

WARHAMMER  
40,000

A SPACE MARINE BATTLES NOVEL

# RYNN'S WORLD

STEVE PARKER



Oto świat Czterdziestego Pierwszego Tysiąclecia. Od ponad stu wieków Imperator zasiada na Złotym Tronie Ziemi. Dzięki swej boskiej woli włada ludzkością. Dzięki sile niezwykłych zastępów panuje nad milionami planet. Jest gnijącym ciałem, utrzymywanym przy życiu dzięki mocy artefaktów pochodzących z Mrocznych Wieków Technologii. Jest Władcą Śmierci. Każdego dnia tysiące obywateli Imperium oddaje swe dusze w ofierze, by On mógł żyć wiecznie. Zatrzymany między życiem i śmiercią, Imperator stoi zawsze na straży ludzkości. Liczne floty okrętów kosmicznych przemierzają zamieszkane przez demoniczne istoty otchłania Pustki, jedynej bramy między odległymi gwiazdami. Ich drogę oświetla Astronomican, psychiczna manifestacja woli Imperatora. Potężne armie na niezliczonej liczbie światów wznoszą broń w Jego imieniu.

Jego najwierniejszymi żołnierzami są Adeptus Astartes, Kosmiczni Marines, bioinżynierijnie modyfikowani nadludzie. Wspierają ich liczne legiony Gwardii Imperialnej, niezliczone regimenty i garnizony na planetach, wiecznie czujni śledczy Inkwizycji oraz tech-kapłani z Adeptus Mechanicus. Lecz jest ich wciąż zbyt mało, by zlikwidować stale obecne zagrożenie ze strony obcych ras, heretyków, mutantów... i jeszcze gorszych istot.

Zycie w tych czasach to zagubienie pośród miliardów ludzi. Egzystencja w najokrutniejszym i najbardziej krwawym systemie politycznym, jaki kiedykolwiek istniał. Posłuchajcie opowieści o tych czasach. Zapomnijcie o potędze technologii i nauki, gdyż tak wiele ich sekretów zostało na zawsze zapomnianych. Zapomnijcie o obietnicach lepszego życia i rozwoju, gdyż w mrocznej przyszłości istnieje jedynie wojna. Pokój zniknął z tego świata. Jest tylko wieczna rzeź i wojna, którym towarzyszy rehot żądnych krwi bogów.

# PROLOG

## Transmisja

*Nie będzie czasu na nadanie kolejnej wiadomości, więc ta jest ostatnia.*

*Utrzymywaliśmy się tak długo, jak to było możliwe, ale wróg przedrze się tu w ciągu najbliższej godziny, a wtedy stracimy tę stację nadawczą, naszą jedyną nadzieję. Nie zdążymy jej należycie zabezpieczyć. Sierżant Praetes nakazuje nam natychmiastowy odwrót. Ostrzał artylerii zielonoskórych z każdą chwilą sięga coraz dalej. Zniszczyli już budynki rządowe i kolegium, a to niedaleko stąd. Jednak muszę podjąć próbę, wysłać ostatnią wiadomość, zanim na dobre opuścimy to miejsce. Przy odrobinie szczęścia orki obrócą je w gruzy i nie poznają jego prawdziwego znaczenia.*

*Rozpocząłem już wycofywanie ostatnich lammasjańskich oddziałów przez północną bramę. Sam wyruszę z tylną strażą, kiedy tylko zakończę transmisję. Ostatnia grupa cywilów i rannych żołnierzy wyruszyła wczoraj, eskortowana przez zdolnych do walki z 18. Pułku Mordiańskiego. Nie zostało ich wielu, zarówno cywilów, jak i żołnierzy.*

*Mam do dyspozycji garstkę plutonów skleconych z niedobitków trzech pułków.*

*Na mnie spadł obowiązek przewodzenia im. Sześć dni temu objąłem naczelne dowództwo, ale nie był to mój wybór. Cały korpus oficerski wyższej rangi padł ofiarą podstępnego ataku zielonoskórych. Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, biorąc pod uwagę naturę wroga, ale klnę się na swój honor - pojawili się i zniknęli niczym duchy, pozostawiając za sobą jedynie pozbawione głów trupy. Podejrzewam, że zależało im tylko na zdobyciu kolejnych, makabrycznych łupów, choć Imperator mi świadkiem, że powinni mieć ich już aż nadto.*

*Moja głowa też wisiałaby u pasa któregoś z tych zielonoskórych dzikusów, gdybym nie był akurat zajęty wypełnianiem swoich obowiązków. Przeprowadzałem egzekucję trzech wiarołomnych dezertersów.*

*Widzę w tym rękę Imperatora.*

*Moja własna wiara, która daje mi siłę do dalszej walki, podpowiada mi, że On musi mieć mnie w swojej pieczy. Wszystko jest częścią Jego wielkiego planu. Nie pogrążę się w rozpacz. Wiem, że Świat Rynn jest niedaleko stąd, to tylko dwa tygodnie podróży przez Osnowę. Być może, z wolą Imperatora, do Szkarłatnych Pięści dotarły już wieści o naszym trudnym położeniu. O Panie Ludzkości, spraw, by pomoc była już w drodze.*

*Nie jest to wcale niedorzeczne założenie. Nadawaliśmy transmisje regularnie o każdej pełnej godzinie od chwili, kiedy niebo przeciął pierwszy z okrętów desantowych zielonoskórych. Ktoś musiał odebrać naszą wiadomość.*

*(Stłumione odgłosy ostrzału artyleryjskiego i wybuchów.)*

*Niech szlag trafi tych plugawych xenos! Ich pociski niewątpliwie spadają coraz bliżej. Nie zostało wiele czasu. Mimo to... wciąż trudno mi uwierzyć z jak ogromną ich liczbą mamy do czynienia. Sieć obrony orbitalnej natychmiast uległa przeciążeniu. Ich statki przesłoniły całe niebo. Powinienem postawić kogoś za to przed plutonem egzekucyjnym - jeśli wierzyć rejestrom, baterie plazmowa i raketowa*

*nie były sprawdzane przez tech-kapłana od ponad trzystu lat!  
Powinniśmy przynajmniej otrzymać jakieś ostrzeżenie. Dlaczego nie było żadnego sygnału ze stacji przekaźnikowej na Dagoth? Mogę tylko podejrzewać, że orki uderzyły na nią w pierwszej kolejności i zniszczyły ją tak szybko, że nikt nie zdążył zaalarmować reszty sektora. Teraz Badlanding płaci za to wysoką cenę.  
Nie ma znaczenia, kto odbierze tę wiadomość. Kimkolwiek jesteś, musisz powiadomić Szkarłatne Pięści. Nie próbuj udzielać nam pomocy w pojedynkę. Tylko Adeptus Astartes mogą nas teraz ocalić. Nikt inny nie ma szans w tym starciu. Orcza inwazja na taką skalę... to musi być Waaagh! Jeśli nie powstrzymamy jej tutaj, rozleje się dalej. Na Tron, zaleje nas wszystkich.  
O Panie Ludzkości, oby nie było za późno.  
Do Kosmicznych Marines ze Szkarłatnych Pięści - jeśli otrzymacie tę wiadomość na tyle wcześnie, by móc przyjść nam na ratunek, wiedzcie, że opuściliśmy Krugerport i zaszyliśmy się w sieci jaskiń pod Górą Rys, na północ od miasta. Spróbujemy wytrwać tam, jak długo się da. Nie ma dla nas innego schronienia.  
Zapasów wystarczy nam na tydzień, może dwa, jeśli...  
(Odległe strzały z karabinów maszynowych, po których rozlegają się głośniejsze, dochodzące z niedaleka trzaski broni laserowej. Ponaglące okrzyki.)  
Ustał ostrzał artyleryjski. Za chwilę do walki ruszy piechota!  
Wycofujemy się. Nadaję tę transmisję nieszyfrowanymi kanałami.  
Na Nieśmiertelnego Zbawiciela, modlę się, by ktoś ją odebrał.  
Nie ma czasu do stracenia! Ta wiadomość musi dotrzeć do Świata Rynn! Jeśli mamy tu zginąć, by inni zostali ostrzeżeni, niech tak będzie. Byle nasza śmierć nie poszła na marne.  
Komisarz Alhaus Baldur odmeldowuje się.  
Kod identyfikacyjny Munitorum (zweryfikowany): CM41656-18F  
Znacznik czasu (IST): 17:44:01 3015989.M41*

## CZĘŚĆ PIERWSZA

*Kiedy człowiek umiera przedwcześnie, co właściwie dobiega końca?  
Z pewnością coś więcej niż życie. Gałąź usycha i nie zrodzi już owoców. Zacierają się  
przyszłość. Ścieżki urywają się nagle i już nigdy nie pobiegą dalej. Czy jego  
potomkowie zostaliby świętymi, czy mordercami? A może i jednymi, i drugimi?  
Kiedy człowiek umiera przedwcześnie, zabiera ze sobą odpowiedzi.  
Nasuwa się więc pytanie - czy zatem wszyscy ludzie nie powinni zostać zbawieni?*

Fragment / pamiętnika ocalałego /  
wicehrabiego Nila Vanadera Isopha (936.M41-991.M41)

# 1

## Arx Tyrannus

### Góry Diabelskiego Ostrza

-Niepokoje - powiedział Ruthio Terraro, spoglądając na karty, które wyciągnął z talii. Taki ich układ, który sam w sobie stanowił zły znak, nazywano *Płonącą gwiazdą*. Mężczyzna nie przypominał sobie, by dotykał choć jednej z nich, nie rozłożył ich też świadomie w taki sposób, ale tego rodzaju luka w pamięci nie była dla niego niczym nowym. Głęboki trans zawsze wyglądał tak samo, podobnie jak przebudzenie. Był niczym niezwykle realistyczny sen o spadaniu, który zawsze kończył się krzykiem, dreszczem przeszywającym całe ciało i walką o złapanie tchu.

Fakt, że wciąż miał problem z wyjściem z transu złościł Terraro. Opanowanie własnych talentów świadczyło o każdym kronikarzu, tym bardziej, że inni kodyfikatory zdołali już się z tym uporać. Jeśli jakkolwiek zaniepokoiło to olbrzyma po prawej ręce Terraro, to ten nie dał tego po sobie znać.

-Niepokoje - powtórzył za nim olbrzym. - Mów dalej, bracie.

-Walka z wielkimi przeciwnościami - kontynuował Terraro, odwracając się od kart. - Oceany krwi. Burzowe chmury, ciężkie i ponure od nadciągającej przemocy. Pod nimi rozwidlona droga, oznaczająca wybór. Dwie ścieżki, jedna wiodąca ku dniowi, a druga ku nocy. Taki sam wynik otrzymałem za poprzednimi czterema razami, czcigodny bracie Jedyńie z niewielkimi różnicami. Czy mam spróbować ponownie? Olbrzym, Eustace Mendoza, Mistrz Kronikarzy, stanął u boku kodyfikatora i spojrzał na starożytne karty posępnymi oczami skrytymi w cieniu kaptura. Ich stylizowane ryciny wydawały się poruszać i tańczyć w blasku złotych kandelabrow, podczas gdy resztę komnaty spowijał gęsty mrok.

- Nie, Ruthio - powiedział głębokim barytonem. - To nie będzie konieczne. Twoja interpretacja pokrywa się z wizjami brata Deguerro. Strumienie czasu i immaterium niczego nam już dziś nie zdradzą. Przedyskutuję tę kwestię z epistolariuszami na najbliższym spotkaniu rady. Na razie powinieneś wrócić do swojej kwatery i pozwolić, by zajęli się tobą wybrańcy. Pełna zbroja i uzbrojenie, zrozumiano? Musimy wyglądać godnie. Za cztery godziny nastanie świt, a wraz z nim Dzień Założenia. Przed nami długa uroczystość.

Ze skinieniem głowy Terraro zebrał karty, odsunął krzesło od masywnego, dębowego biurka i wstał. Mierząc dwa metry wciąż był o głowę niższy od Mistrza Kronikarzy, choć obaj byli równie szerocy w ramionach. Mistrz położył sękatą dłoń na jednym z jego ramion i razem wyszli z pomieszczenia.

Dopóki ten dzień nie dobiegnie końca - powiedział Eustace Mendoza do Terraro, idąc pustym, oświetlonym lampami korytarzem - przyszłość będzie musiała zaczekać.

Choć Alessio Cortez skłonny był przyznać, że ani trochę nie interesują go sztuki muzyczne, poczuł się głęboko poruszony hymnem, który rozbrzmiał wśród ponurych murów rekluzjum. Pieśń była równie żałobna co starożytna. Każda jej cudowna nuta stanowiła rozdzierający serce lament za braćmi bitewnymi, których zakon utracił nie

tylko w ciągu ostatnich stu lat, lecz przez wszystkie wieki od swego chwalebego początku.

Cortez słyszał ten hymn zaledwie trzy razy w ciągu swojego życia, gdyż śpiewano go wyłącznie w Dzień Założenia, jednak pamięć poprzednich wykonań w żadnym stopniu nie osłabiała jego efektu. Wspomnienia wszystkich tych śmierci, wszystkich jednostronnych pożegnań, uderzyły go na nowo, jak zawsze. Był to czas prawdziwej żałoby. Czas wspomnień o poświęceniu, na które zdobyli się jego szlachetni bracia. Jego serce przepełniał żal. Co ważniejsze, przepełniała je również duma.

Uczuć tych nie było w stanie stłumić żadne poczucie winy. Trzy i pół wieku wojen wystarczyło, aby zupełnie zdusić w nim syndrom ocalałego. Astartes żył i umierał, aby doskonalić swoje umiejętności i atrybuty, wzmacniać ducha drużyny oraz nieustannie dążyć do perfekcji w sztuce wojny. Tylko tak mógł dotrzymać złożonych przez siebie przysiąg. Śmierć była nieunikniona, nawet dla Kosmicznych Marines. Była to jedynie kwestia czasu. Nieśmiertelność stanowiła jedynie domenę Imperatora, niezależnie od tego, co mówili inni.

Spojrzał w kierunku przeciwległej nawy rekluzjum, skąd płynęły dźwięki hymnu, chcąc lepiej przyjrzeć się chórowi serwitorów. Cóż to były za żalosne stworzenia! Ich chude, pozbawione kończyn ciała zostały przytwierdzone do niskich kolumn z czarnego marmuru, które skrywały w sobie mechaniczne urządzenia podtrzymujące je w stanie pół życia. Każdy ich oczodół przesłaniała żelazna płytką. Z ust wystawały czarne membrany wokalizacyjne, zaś blade, pozbawione włosów głowy oplatały żebrowane kable, które łączyły je w idealnej synchronii, jednocząc ich szczątkowe intelekty i skupiając je wyłącznie na pieśni.

Na galerijce po prawej stronie, wysoko ponad wejściem do rekluzjum, siedział kolejny serwitor podłączony kablami do masywnych, mechanicznych organów parowych, które dudniły ponuro, tworząc akompaniament.

Nieszczęśnicy - pomyślał Cortez. Ale może lepiej, by to oni dawali śpiewem wyraz naszemu smutkowi, niż gdybyśmy mieli robić to sami?

Niemal się uśmiechnął na myśl o tym. Gdyby ktokolwiek zmusił go do śpiewania, raczej nie uczyniłby honoru zmarłym. W rzeczywistości, można byłoby to poczytać nawet jako obrazę.

Nie była to nowa myśl. Co sto lat żartował sobie w ten sam sposób i za każdym razem pozwalał tej chwili szybko się ulotnić.

Kwestie, które nie dotyczyły zabijania wrogów zakonu, rzadko kiedy zaprzętały uwagę Corteza na dłużej niż kilka sekund.

Pedro zawsze go za to ganił.

Hymn dobiegł końca. Jego ostatnia, żałobna nula wybrzmiała w umysłach zebranych jeszcze przez kilka chwil po tym jak sam dźwięk umilkł. Cortez oczyścił umysł, czując swoistą ulgę, po czym przeniósł wzrok na absydę, gdzie najwyższy kapelan Tomasi wstąpił na pozłacany ołtarz z czarnego marmuru i zaczął odczytywać słowa pamięci z Księgi Dorna.

Margol Tomasi był imponującą postacią. Nie miał innego wyjścia, gdyż piastując urząd najwyższego kapelana często zmuszony był skupiać na sobie niepodzielną uwagę wielkich zgromadzeń, takich jak tu obecne. U człowieka na jego stanowisku nie było miejsca na zwątpienie lub nieśmiałość. Obowiązkiem jego, a także



wszystkich podległych mu kapelanów, było dbać o wiarę i posłuszeństwo braci bitewnych oraz poddanych w służbie zakonu. Gdy przemawiał, inni musieli słuchać i wierzyć w niego oraz w religijne przykazania, których był orędownikiem.

Cortez darzył Tomasiego wielkim szacunkiem, może nawet odrobiną sympatii.

Najwyższy kapelan był niezrównany w walce wręcz i posiadał na swoim koncie zabitych niemal tak wielu potężnych wrogów, co sam Cortez. Jednak, co ważniejsze, obaj mieli podobny pogląd na życie, który charakteryzował się elegancką prostotą. Należało strzec honoru zakonu, a wrogowie Imperium musieli zginąć. Wszystko inne, poza tymi dwoma kwestiami, nie miało znaczenia. Cóż innego było wartego uwagi? Dlaczego Pedro przejmował się drugo albo trzeciorzędными sprawami, jak coroczni interesanci, reformy praw planetarnych czy trans sektorowe relacje handlowe? Jakie znaczenie te rzeczy miały dla Kosmicznych Marines?

Po kilku minutach Tomasi skończył odczytywać wersety z Księgi Dorna, po czym wystąpił przed złotą mównicę, na której spoczywała księga. Jego zbroja była całkowicie czarna. Wypolerowano ją na tak wysoki połysk, że lśniła niczym ciemne zwierciadło w świetle lamp ściennych i tysięcy świec wotywnych, które ustawiono po obu stronach absydy. Ceramitowy napierśnik oraz naramienniki ozdobione zostały połyskliwymi kośćciami zgładzonych wrogów i pieczęciami czystości z wosku oraz pergaminu zapisanego krwią. Hełm z charakterystyczną płytą twarzą - niezwykle szczegółowym odzwierciedleniem czaszki odlanej z wypolerowanego złota przypięty był do pasa, odsłaniając surową, poznaczoną głębokimi bruzdami twarz. Nawet wśród Szkarłatnych Pięści niewielu było takich, którzy dłużej wytrzymałoby jego srogie spojrzenie.

Była to część, w której Tomasi zwracał się do Imperatora i Prymarchy Rogala Dorna, by przychylnie spojrzeli na kongregację i pobłogosławili zebranych w ich krwawym dziele. Następnie opowiadał o zaciekłych wrogach zakonu oraz o ich planach na sianie zniszczenia pośród gwiazd oraz na zniewolenie lub unicestwienie ludzkości. Jego słowa przyniosły oczekiwany rezultat, stopniowo potęgując napięcie na podobieństwo nadciągającej burzy. Cortez czuł jak coś w nim wzbiera i wiedział, że to nienawiść, czysta i potężna, jego nieodłączny towarzysz, a zarazem paliwo dla gorejącego w nim płomienia.

Każdego stulecia dziesiątki Szkarłatnych Pięści oddawały życie w obronie Imperium przed plugawymi zarazami, które je trawiły. Z zewnątrz, z niewyjaśnioną nienawiścią i barbarzyństwem, szturmowały je niezliczone rasy obcych, których celem był rozpad Imperium budowanego z mozołem przez dziesięć tysięcy lat. Od wewnątrz, co godne najwyższej pogardy, toczyło je niewybaczalne zepsucie oraz szaleństwo zdrajców, mutantów i podłych, niewdzięcznych heretyków.

Niech oni wszyscy będą przeklęci - pomyślał Cortez, zaciskając dłonie w pięści. Nie będzie dla nich litości, ni miłosierdzia. Same gwiazdy zaczerwienią się od ich krwi. Tomasi był mistrzem pod tym względem. Raz na sto lat, zebrawszy cały zakon w Arx Tyrannus, przemieniał ich braterski żal w coś o wiele potężniejszego, cenniejszego i bardziej śmiertelnościowego. Cortez znał to uczucie lepiej niż wielu innych. Żył z nim dłużej i przyjmował je bez żadnych zahamowań. Wielokrotnie za swojego życia wypełnionego przemocą i walką, leżał połamany i krwawiący w jakimś bunkrze lub na tyłach transportowca Rhino, słysząc jak medycy szeptali między sobą, że tym



razem nie przeżyje. Za każdym razem jego ciało wygrywało walkę nawet z najstraszliwszymi obrażeniami, zadając kłam ich wyrokom, i znajdowało siłę, by się uleczyć, powstać i ponownie wyruszyć na wojnę, wypełniając niekończącą się powinność wobec zakonu.

Doskonale wiedział, skąd pochodzi ta siła i miał nadzieję, że jego czwarta kompania nauczy się przyjmować tę nienawiść tak samo jak on. Nie tylko w słowie lub w czynie, lecz głębiej, każdym skrawkiem swej duszy, co pozwoli im przetrwać nawet najstraszniejsze chwile.

Myśl o braciach bitewnych pod jego dowództwem sprawiła, że odwrócił wzrok od ołtarza. Powiódł wzrokiem po środkowej części wielkiej nawy. Łącznie stało tam dokładnie dziewięciuset czterdziestu czterech Kosmicznych Marines, wszyscy w pełnych zbrojach bojowych, których każdy naramiennik i nagolennik został wypolerowany na błysk przed tak ważną okazją. Wyglądali wspaniale, ustawieni w idealnych szeregach, ze spojrzeniami skierowanymi na Tomasiego, który właśnie uniósł nad głowę przepięknie wykonany bolter i dziękował Imperatorowi oraz kuźniom Marsa za narzędzia wojny używane przez zakon od wieków.

Wśród zakutych w niebieskie zbroje postaci Cortez wyłowił swoją kompanię, którą z łatwością zidentyfikował po krawędziach naramienników w barwie głębokiej zieleni. Pod jego dowództwem czwarta kompania stała się ucieleśnieniem zdecydowanych i ryzykownych gambitów, które Cortez od zawsze uwielbiał. Nawet jeśli inni uważali je za lekkomyślne i zuchwałe - cóż z tego?

Powierzchnie ich zbroi nosiły ślady większej liczby zwycięstw i posiadały więcej odznaczeń niż jakakolwiek inna kompania, za wyłączeniem kompanii krucjaty, elitarniej pierwszej kompanii Szkarłatnych Pięści.

Cortez był niegdyś członkiem tej elitarniej jednostki w randze sierżanta. Wszyscy przyszli kapitanowie kompanii musieli dowieść swej wartości, służąc przez lata pod wymagającym dowództwem samego Mistrza Zakonu. Cortez czuł jednak, że to w jego ukochanej czwartej kompanii jest jego miejsce, gdzie miał zaszczyt dowodzić jednymi z najlepszych braci bitewnych, z jakimi kiedykolwiek wyruszał do boju. Iamad, Benedictus, Cabrero, stary, jednooki Silesi, okrutny, nieustępliwy Vesdar. Sami urodzeni zabójcy.

Kolejno zatrzymał wzrok na każdym z nich, pozwalając sobie na nieznaczne skinienie głową. Solidna dyscyplina. Nie spodziewał się niczego innego. Żaden z nich się nie poruszył. Żaden się nie odezwał. Wszyscy byli w pełni skupieni na poważnej ceremonii, która właśnie teraz dobiegała końca.

Najwyższy kapelan Tomasi w końcu opuścił znad głowy czcigodny, zdobiony złotem bolter i zagrzmiał:

- Za każdą przelaną kroplę naszej krwi, niech z ran naszych wrogów popłynie szkarłatna powódź. Za każdą ryś na naszych świętych zbrojach, niech ich ciała i kości zostaną strzaskane przez nasze ostrza albo zmiażdżone przez nasze pięści. Imperium przetrwa. Nasz zakon przetrwa. Wy również przetrwacie. O to zanosimy modły w imieniu naszego Prymarchy, który nas ukształtował, a także w imieniu Imperatora, który nas stworzył.

- Za Dorna i Imperatora - odparli zgromadzeni. - Za chwałę i honor Szkarłatnych Pięści.

Cortez nie szczędził gardła przy tej odpowiedzi. Pozostali członkowie rady zakonu, stojący obok niego w zachodniej nawie, postąpili podobnie.

- Zanosimy nasze modły - dodał najwyższy kapelan już nieco łagodniej. - Niech się tak stanie.

Tomasi odwrócił się i pochylił głowę przed masywną postacią stojącą w okrytej cieniami wnęce po jego lewej ręce, po czym zszedł z ołtarza i udał się do relikwiarza na tyłach rekluzjum, by umieścić wykorzystane podczas obrządku relikwie na właściwym im miejscu. Wysoka postać wyłoniła się z cienia, zmierzając w kierunku podwyższenia umieszczonego przed ołtarzem. Widok mężczyzny w pełni okazałości zapierał dech w piersiach. Światło migotało na jego wysadzonym klejnotami napierśniku i połyskiwało na złotej aureoli nad głową. Złote czaszki oraz przepięknie grawerowane orły zdobiły ryngraf, nakolanniki oraz karwasze. Opancerzoną talię opasał tabard z czerwonego jedwabiu, dumnie prezentujący ikonę zakonu - zaciśniętą czerwoną pięść na czarnym tle. Starożytne pieczęcie czystości, które zwisały z jego naramienników, zaszeleściły, gdy się zatrzymał.

Wszyscy, z wyłączeniem członków rady zakonu, natychmiast opadli na jedno kolano. Cortez i jego bracia z rady jedynie pochylili głowy, korzystając z przywileju dawanego im przez rangę, i czekali aż postać przemówi. Głos, który rozbrzmiał, był silny i głęboki, a zarazem ciepły jak prądy Południowego Adaceanu; grzmiący bas, którego nie sposób było zignorować.

- Powstańcie, bracia. Proszę.

Cortez spędził większość życia słuchając tego głosu, wykonując jego rozkazy, a czasami, wcale nierzadko, ostro się mu przeciwstawiając. Był to głos jego najbliższego przyjaciela, a jednocześnie lorda i przywódcy. Należał do Pedro Kantora, dwudziestego dziewiątego Mistrza Zakonu Szkarłatnych Pięści, a także najbardziej imponującej postaci, która pojawiła się tego dnia w rekluzjum, gdyby nie liczyć ośmiu potężnych pancerników stojących z wygaszonymi silnikami na tyłach nawy.

- Byliśmy świadkami obrządku - zaczął Mistrz Zakonu - ku pamięci wszystkich tych czcigodnych braci, którzy oddali życie w ostatnim stuleciu. Ich imiona wryto na murach sali pamięci, a zapiski o ich czynach zostały umieszczone w Księdze Honoru. Gdyby któryś z was chciałby po dzisiejszym dniu oddać im szczególną cześć, zwróćcie się do jednego z kapelanów w odpowiednim czasie i poproście o odpowiednie modlitwy i ofiary. Szczerze zachęcam was do tego, gdyż jest to zarówno nasza tradycja, jak i obowiązek. - Powiódł spojrzeniem po szeregach milczących Kosmicznych Marines.

- Jesteśmy Szkarłatnymi Pięściami - powiedział. - My nie wybaczymy i nie zapominamy. Martwi żyją w naszych wspomnieniach i w progenoidach, a nasze czyny muszą zawsze - służyć czczeniu ich pamięci.

W hołdzie poległym Mistrz Zakonu zacisnął prawą dłoń w pięść i uderzył nią trzykrotnie w rzeźbioną płytę piersiową swego kunsztownie wykonanego napierśnika.

Patrzył jak zebrani wojownicy powtarzają ten sam gest.

- Oddajemy cześć poległym - wyrecytowali jednocześnie.

- Chwała zmarłym.

Mistrz Zakonu zaczekał aż echo przestanie odbijać się od skrytych w mroku krokwi nad ich głowami, po czym przemówił:

- Za chwilę wasi kapitanowie wyprowadzą was na zewnątrz. Następnie zgromadzimy się w bastionie Protheo, gdzie będziemy świadkami Cudu Krwi i otrzymamy pierwsze z dzisiejszych błogosławieństw bitewnych. Dziś nie będzie posiłku. Dzień Założenia wymaga od nas postu, którego musimy się trzymać. Po otrzymaniu błogosławieństw w bastionie Protheo powrócimy tutaj, by wziąć udział w inicjacjach oraz w Zanurzeniu.

Czyżby wyobraźnia płatała Cortezowi figla? Przez ułamek sekundy był pewien, że Mistrz Zakonu rzucił w jego kierunku dyskretne spojrzenie, po czym dodał:

- Dziś dołączają do nas członkowie Wyższej Izby Rynn, którzy przybędą do nas z Nowego Rynn, aby oddać cześć naszemu zakonowi oraz jego tradycjom, a także świętować z nami kolejną rocznicę Założenia. Niektórzy zwrócili się do mnie ze swymi wątpliwościami w tej kwestii, dlatego powiem jedno: nie umniejszajcie wagi naszych powiązań z rynnicką szlachtą. Biorąc na siebie odpowiedzialność zarządzania tym systemem gwiazdnym, zdjęli z naszych barków ciężar, który jest niegodny ludzi wojny.

Mężczyzna zamilkł na chwilę, po czym dodał:

- Musicie dostrzec w tym wartość, jak ja. Ich wysłannicy wkrótce wylądują na Szczycie Tarvo. Przybyli tu na moje zaproszenie. Najprawdopodobniej nie będziecie musieli z nimi rozmawiać, ale gdyby się tak stało, oczekuję od was tolerancji i uprzejmości. Pamiętajcie, że w galaktyce takiej jak ta, są jedynie dziećmi, zaś my jesteśmy ich opiekunami.

Cortez zmarszczył brwi. Teraz miał już pewność, że te słowa skierowane były do niego. On i Kantor wielokrotnie ścierali się w kwestii tego, czy należy pozwalać rozpuszczonym, folgującym sobie arystokratom na przebywanie wewnątrz świętych murów twierdzy-klasztoru, ale słowo Mistrza Zakonu stało na równi z prawem. Nie mając większego wyboru Cortez w końcu ustąpił, dając upust swojej frustracji w walce z dronem bojowym w salach treningowych.

Cortez twierdził, że strach jest silniejszy niż miłość. Wiedział, że Tomasi zgodziłby się z nim. Wolał dystansować się od nic nie wartych mas tak bardzo jak to możliwe. Bezwstydnym sposobem, w jaki zdawały się one na silniejszych od siebie przyprawiały go o mdłości. Cóż takie wsobne, miękkie paniątka mogły wiedzieć o poświęceniu? Cóż znaczyło dla nich Imperium, poza poczuciem bezpieczeństwa, wygody i własnego zysku? Nawet ci nieliczni szlachcice, którzy zdecydowali się spędzić kilka lat w Gwardii Rynn, robili to wyłącznie po to, by uzyskać prawo do noszenia munduru w dni świąteczne. Czas ich tak zwanej służby zawsze był wyjątkowo krótki i pozbawiony incydentów.

Mistrz Zakonu przemówił ponownie, przerywając strumień myśli Corteza.

- Moi bracia Astartes - powiedział. - To nabożeństwo dobiegło końca. Idźcie z honorem, z odwagą i z błogosławieństwem Imperatora, zawsze pamiętając o swej świętej powinności.

- Na twój rozkaz - odparły szeregi.

Przesycone zapachem kadzidła powietrze rekluzjum wkrótce rozbrzmiało odgłosem pancernych butów kroczących po kamiennej posadzce, gdy kolejni kapitanowie

wyprowadzali swe kompanie przez obszerne, brązowe wrota sanktuarium. Gdy nadeszła kolej Corteza, mężczyzna zszedł z transeptu do środkowej nawy, zostawiając za sobą jedynie kapitanów Ashora Drakkena oraz Drigo Alveza. Schodząc na dół, Cortez posłał chórowi serwitorów ostatnie pogardliwe spojrzenie i zobaczył, że już je wyłączono. W tym milczącym bezruchu przypominały teraz jedynie rząd szkaradnych, alabastrowych popiersi.

Na jego skinienie czwarta kompania ustawiła się za nim do wymarszu.

Gdy minęli wielkie, łukowato sklepione przejście i wyszli na szeroki, pokryty śniegiem dziedziniec, Cortez spojrział w niebo. Dwie godziny temu, gdy nabożeństwo się zaczynało, było bezgwiezdne i kompletnie czarne. Od tego czasu świt wstał nad Górą Diabelskiego Ostrza, przynosząc ze sobą opady śniegu i rześkie, lodowate powietrze, które otrzeźwiło go i usunęło z nozdrzy nieprzyjemnie bogaty aromat kadzidła.

Maszerując, zastanawiał się, czy do czasu następnego Dnia Założenia jego własne imię zostanie wyryte na ścianach sali pamięci. Nigdy nie obawiał się śmierci. Zawsze rzucał się w wir nawet najbardziej beznadziejnej walki, częściej mając na uwadze cel misji niż własne przetrwanie. Być może właśnie to, połączone z nieskończonymi pokładami nienawiści dla wrogów, było przyczyną, dla której zawsze przeżywał. Walka bez strachu przed śmiercią była wyzwalająca. Oczywiście, nie był na tyle głupi, by wierzyć w mity, które wokół niego narosły - mity, z których ludzie pod jego dowództwem, maszerujący w równym tempie za jego plecami, wydawali się czerpać wielką i oczywistą przyjemność.

Cortez Nieśmiertelny, nazywali go za jego plecami.

Mimo tych spekulacji z pewnością nie był nieśmiertelny. Był przekonany, że pewnego dnia napotka godnego przeciwnika, który zada kłam tym nedorzecznym pogłoskom. Jakaś jego część niemal nie mogła doczekać się tej chwili. Pomijając wszystko inne, z pewnością byłaby to niezapomniana walka.

Miał nadzieję, że dwie rzeczy wydarzą się, gdy ten dzień w końcu nadejdzie.

Po pierwsze chciał umrzeć godnie, tanio skóry nie sprzedając, z rękawicą energetyczną miażdżącą pancerze i kości, pistoletem grzmiącym w dłoni i mrozącym krew w żyłach okrzykiem bojowym na ustach.

Po drugie chciał, aby bracia, którzy otrzymają organy wyhodowane z jego gruczołów progenoidowych, uhonorowali go swymi czynami i pewnego dnia sami stali się bohaterami zakonu.

Te wyobrażenia sprawiały Alessio Cortezowi radość.

Nie sądził, aby którekolwiek z tych pragnień było szczególnie nedorzeczne.

Gdy on i jego ludzie byli już w połowie dziedzińca, jego uwagę zwróciło coś innego. Mała, odziana w togę postać wypadła z łukowato sklepionego przejścia po prawej, potknęła się i upadła twarzą w śnieg. Natychmiast podniosła się, ignorując białe grudy, którymi była teraz oblepiona, po czym ruszyła biegiem w kierunku głównego wejścia do rekluzjum. Symbol koła zębatego po lewej stronie klatki piersiowej pozwalał przypuszczać, że jest to sługa należący do Technicarum Javiera Adona. Runy poniżej zdradzały, że służył w wieży znanej jako Communicatus.

- Ty tam! - warknął Cortez. - Stój!

Głos Corteza był tak władczy, że nogi mężczyzny zastygły w bezruchu jeszcze zanim

jego umysł zdążył przetworzyć usłyszane słowa.

-Tak ci spieszno, by umrzeć, wybrańcu? - spytał Cortez, patrząc się na niego. - Chyba wiesz, co się wydarzy, gdy przekroczysz próg tych drzwi.

Członkowie czwartej kompanii zatrzymali się za plecami swojego kapitana. Oni również zwrócili się w kierunku samotnej postaci.

Gdyby ten malutki człowieczek postawił stopę wewnątrz murów sanktuarium, byłby już martwy. Pisma tego zabraniały. Za wyjątkiem niektórych sług Sacratium oraz serwitörów, jedynie pełnej krwi Astartes mogli bez obaw przebywać w rekluzjum. Mężczyzna uklonił się nisko Cortezowi, a następnie braciom bitewnym za jego plecami.

- Czcigodny lordzie, odcisnęto we mnie wiadomość dla Mistrza Zakonu

- powiedział. - Pośpiech został głęboko zaprogramowany we mnie przez samego Monitora. Ja... Mam rozkaz dostarczyć wiadomość bez względu na konsekwencje dla mojej osoby. - Mężczyzna wskazał na szerokie wejście do rekluzjum. - Miałem nadzieję, że spotkam lorda Kantora przy wyjściu.

- Nie będzie tędy wychodził - oznajmił Cortez, podkreślając te słowa ruchem głowy w kierunku wielkich wrót z brązu. - Poza tym Durlan Cholo wie chyba, że nie należy niepokoić naszego lorda w Dzień Założenia naszego zakonu. Ciekawi mnie, jakaż to informacja jest aż tak niecierpiąca zwłoki?

Sługa wbił wzrok w ziemię u stóp Corteza i odparł:

- Przed odcisnięciem wiadomości zostałem wprowadzony w trans, panie, dlatego jej treść jest mi nieznaną. Wiem tylko tyle, ile powiedział mi Monitor. Bardzo nalegał, aby mistrz Kantor wysłuchał jej niezwłocznie.

Cortez postąpił kilka kroków naprzód, zgniatając dziewiczy śnieg pod podeszwami pancernych butów, aż stanął zaledwie kilka metrów od małego mężczyzny.

- Przekaż tę wiadomość mnie - powiedział. - Ja niezwłocznie wrócę do środka i przekażę ją jego lordowskiej mości w twoim imieniu.

Sługa zastanawiał się nad propozycją zaledwie przez jedno uderzenie serca.

Jakakolwiek dłuższa zwłoka mogła być poczytana jako obraza, gdyż każda istota żyjąca w Arx Tyrannus wiedziała, że Pedro Kantor kochał Alessio Corteza i ufał mu ponad wszystko. Zgodnie z wiedzą Corteza, nie było między nimi żadnych tajemnic. Podjąwszy decyzję, sługa uśmiechnął się z ulgą i pochylił głowę.

- Słynny kapitan jest równie dobry, co mądry. Prześlę teraz kod aktywacyjny, panie. Wypowiedz go na głos, a odtworzę wiadomość.

Cortez pokiwał głową i obserwował, jak palce sługi poruszają się, rysując w powietrzu szereg symboli.

- Mam - oznajmił Cortez. - Piętnaście Theta Cerberus.

Ciało sługi natychmiast zeszywniało, jakby poraził go silny prąd. Głowa mężczyzny opadła na jedną stronę, a oczy uciekły mu w głąb czaszki, gdy zaczął przemawiać głosem, który w niczym nie przypominał tego, jakim posługiwał się jeszcze przed chwilą.

- Wiadomość nadzwyczajna z Imperialnego transportowca komercyjnego Videnhaus. Poziom szyfrowania omega. Wiadomość przesłana w głęboką przestrzeń kosmiczną sygnałem pulsacyjnym nadanym przez komisarza Alhausu Baldura. Kod identyfikacyjny potwierdzony. Przekazuję wiadomość...

Jego głos ponownie zmienił się nie do poznania.

Cortez miał mieszane uczucia, słuchając jak mały sługa odtwarza słowa zrozpaczonego komisarza Baldura. Słowa wysłane w głęboką przestrzeń kosmiczną całe tygodnie temu. Dotarcie do celu zajęło im trochę czasu. Szanse na to, że obrońcy Badlanding zdołali przetrwać tak długo były niewielkie, delikatnie mówiąc. Chwilę później wiadomość wspomniała o orczym Waaagh.

Cortez poczuł jak serce zabiło mu mocniej. Krew zaszumiała w uszach. Natychmiast wezbrało w nim uczucie zniecierpliwienia, wypełniając mięśnie nową energią i wprowadzając w tryb gotowości bojowej na sam dźwięk tego słowa.

Waaagh!

Tak, było to coś, o czym Pedro Kantor musiał usłyszeć natychmiast, niezależnie od święta, niezależnie od wszystkiego, co symbolizował ten dzień. Orki nie będą czekać. Święta i tradycje nic dla nich nie znaczyły. Nie było w galaktyce siły bardziej śmiertelnej i destrukcyjnej co regularne Waaagh. Nawet teraz zielonoskórzy mogli próbować wdrzeć się głębiej w sektor Loki, zmiatając stojące im na drodze patrole marynarki wojennej i siły obrony planetarnych. Badlanding byłoby dla nich idealnym przyczółkiem.

Sługa dotarł do końca wiadomości i powrócił do pełnej świadomości, podrywając głowę. Przez chwilę Cortez myślał, że mężczyzna upadnie na śnieg w nagłym ataku drgawek, ale ten opanował spazmy i spojrzał potulnie w górę.

- Jeśli chcesz, bym powtórzył, mój panie...

Cortez pokręcił głową.

- Jak masz na imię, wybrańcu? - spytał.

- Ha... Hammond, mój panie - odparł mężczyzna. Wyraźnie schlebilo mu to pytanie.

- Wracaj do Communicatusa, Hammondzie - rzekł Cortez. - Powiedz Cholo...

Powiedz Monitorowi, że kapitan Cortez przesyła podziękowania. Wspaniale wypełniłeś swój obowiązek. Na honor, udam się teraz do Mistrza Zakonu i przekażę mu twoje słowa.

Oczy Hammonda zabłyszczały, gdy usłyszał komplement. Z trudem powstrzymywał łzy radości i dumy cisnące mu się do oczu pod spojrzeniem Corteza. Raz jeszcze pochylił nisko głowę, po czym narysował na piersi symbol aquili.

- Interwencja mojego lorda ocaliła to nic nie warte życie. Jego szczodrość równa jest znajomości sztuki wojennej. Zaprawdę, niechaj cudowne światło Imperatora świeci mu wiecznie.

Cortez w duchu podziękował za to, że jego szczodrość i znajomość sztuki wojennej nie były równe. Gdyby tak było, już dawno by nie żył.

Oddalił Hammonda skinieniem głowy w kierunku kamiennego przejścia, z którego sługa się wyłonił, po czym zawrócił i ruszył w stronę wejścia do rekluzjum. Przez ramię zawołał:

- Sierzancie Cabrero, zabierzcie ludzi do bastionu Protheo i zaczekajcie tam na mnie. Wkrótce do was dołączę.

- Na rozkaz, wasza szczodrość - odparł Cabrero, próbując po wstrzymać szeroki uśmiech.

Cortez odpowiedział mu tym samym. Humor wyraźnie mu się poprawił na samą myśl o wyruszeniu na wojnę i to nie z byle jakim wrogiem, ale przeciwko dzikim,

ohydny orkom. To dopiero był przeciwnik, który umiał walczyć!

- O mojej szczodrości przekonasz się jutro na sali treningowej - rzucił do Cabrero. Słyszając to, sierżant stracił nieco rezonu. Zasalutował sztywno, uderzając pięścią w napierśnik i odprowadził czwartą kompanię tak, jak mu nakazano.

Cortez wrócił tą samą drogą, idąc po własnych śladach dopiero co odcisniętych w śniegu.

Z półmroku granitowego portyku rekluzjum wyłonił się Ashor Drakken, wyprowadzający swoją trzecią kompanię na mroźne powietrze.

- Chyba pomyliłeś kierunki, bracie? - rzucił sucho Drakken, widząc maszerującego w jego stronę Corteza.

Cortez zwolnił odrobinę, mijając znajomego kapitana.

- To nie może czekać, Ashor. Bądź gotowy na radę. Z pewnością zostanie zwołana.

- Nie dziś - odparł Drakken z pewnością graniczącą z arogancją.

Cortez nie powiedział nic więcej. Z wilczym uśmiechem ruszył dalej, by po chwili zniknąć za drzwiami sanktuarium.



## 2

### Szczyt Tarvo

### Góry Diabelskiego Ostrza

Ramis Savales zmusił się do wyprostowania. Tak wczesnym rankiem górskie powietrze zawsze było lodowate, szczególnie w okresie primagiddusa, miesiąca pierwszego chłodu. Mężczyzna zdał sobie sprawę, że od kilku chwil kuli się, by osłonić się przed kąśliwym zimnem. Tak nie przystało. W żadnym wypadku nie powinien podejmować gubernatora planetarnego i członków Wyższej Izby Rynn zgarbiony jak staruszek, niezależnie od swego prawdziwego wieku.

Wyciągnawszy z kieszeni poobijany chronometr z brązu, sprawdził godzinę. Prom miał jeszcze kilka minut zanim ktoś mógłby jednoznacznie powiedzieć, że się spóźnia. Widząc, że palce posiniały mu na mrozie, spróbował wetrzeć w nie odrobinę ciepła.

Co roku zima robiła się odrobinę gorsza, a przynajmniej tak mu się zdawało. Życie w Górach Diabelskiego Ostrza stawało się o tyle trudniejsze, a miesiąc pierwszego ciepła o tyle bardziej wyczekiwany. Wiedział jednak, że to nie klimat się zmieniał. Niezupełnie. To jego ciało, najzwyczajniej w świecie. Najlepsze lata miał już za sobą. Wkrótce będzie musiał skonsultować się z mistrzem w kwestii wyboru nowego ucznia. Duma i zwykły upór sprawiły, że odwlekał tę rozmowę już zbyt długo. Czekał już niemal od godziny, stojąc na obrzeżach lądowiska na szczycie Tarvo, tuż za żółtą linią wyznaczającą strefę bezpieczeństwa. Lądowisko miało kształt koła o średnicy około stu metrów, które nieznacznie wystawało ponad łagodny obrys góry niczym przerośnięty dysk podtrzymywany od dołu przez żelazne dźwigary, które grubością dorównywały rosnącym na dalekiej północy drzewom limlat. Na jego obwodzie stale migotały czerwone światełka, zaś na samym środku wymalowano ogromną, białą ikonę - stylizowanego orła z dwoma głowami i rozpostartymi skrzydłami. Poprzedniego lata osobiście doglądał prac konserwacyjnych. Linie malunku wciąż były wyraźne i ostre, choć stopniowo zaczęła pokrywać je cienka warstwa śniegu.

Chmury nad górami miały barwę mokrej dachówki. Jasne, ciężkie płatki śniegu opadały spiralnie na ramiona jego całorocznego płaszcza.

Pod płaszczem Savales miał urzędową koszulę w ciemnogrnatowych barwach swych panów, której pierś zdobiła ikona zakonu. Tego rodzaju ubiór stanowił ogromny przywilej, choć koszula w żadnym stopniu nie chroniła go przed zimnem. Mężczyzna mimowolnie zaczął zastanawiać się, o ile bardziej komfortowo czułby się w todze, którą zwyczajowo nosił na terenie fortecy. Jej zimowa wersja, utkana z grubej wełny raumasów, była o wiele bardziej odpowiednia na taką pogodę. Urzędowy mundur przywdziewał zaledwie raz lub dwa razy do roku i w duchu dziękował, że zazwyczaj wypadało to w okresie wiosennym lub letnim.

Lodowaty podmuch wiatru wiejącego od zbocza przedarł się przez płaszczy. Savales zaklął na głos. Odwrócił głowę, by spojrzeć przez ramię, ale ani wiatr, ani przekleństwa nie wydawały się wzruszać milczących, nieruchomych postaci, które

stały za jego plecami w dwóch długich szeregach.

Serwitory. Ich nic nie wzruszało. Cierpliwie czekały na jego rozkazy, parami trzymając lakierowane, czarne lektyki.

Savales odwrócił od nich wzrok, mamrocząc pod nosem.

Do diabła, zaklął, naprawdę zrobiłem się tak miękki?

I pomyśleć, że kiedyś jako aspirant przeszedł Próbę Krwawej Dłoni. Teraz mógłby być już bratem bitewnym, niepomnym na ból i niewygodę, jednak w krytycznym momencie proces implantacji się nie powiodł. Bez uświęconych implantów był jedynie zwykłym człowiekiem, niezależnie od tego, jak wspaniałym był wojownikiem. Jego przeznaczeniem było żyć i umrzeć jako zwykły śmiertelnik, czując chłód w starych, obolałych kościach.

Siedemnaście uświęconych implantów, które uczyniłyby z niego Szkarłatną Pięść...

Miał zaledwie czternaście lat, gdy medycy zakonu podjęli pierwszą próbę implantacji. On sam dałby wszystko, bez żadnych wyjątków, aby ta operacja się powiodła.

Jakże okrutny okazał się los!

Ile razy od tego czasu śnił o życiu, które mógłby wieść, mając udział w chwalebnych czynach pancernych olbrzymów podróżujących pomiędzy gwiazdami, by odszukać go i poddać próbie? Ile razy budził się z policzkami mokrymi od łez, kwiląc cicho w mrocznej ciszy pokoju, lamentując nad tym, co mogło się wydarzyć?

Przeszedł każdy test, do perfekcji opanował każde postawione przed nim zadanie.

Śmierć robiła wszystko, by go powstrzymać, porwała nawet jednego z jego rywali, ale nie była w stanie zabrać duszy Ramira Savalesa. On przetrwał i zasłużył sobie na miejsce pomiędzy najlepszymi, podczas gdy inni chłopcy, za wyjątkiem Ulmara Tevesa, leżeli sparaliżowani, utonęli lub wykrwawiali się na śmierć na cuchnących, czarnych bagnach jego rodzinnego świata.

Ostatni test był najtrudniejszy. Podstępne żądło opasłego smoka kolczastego niemal przebiło jego skórę. Zaledwie jeden mikrogram jego palącego jadu wystarczyłby, aby przynieść mu niewypowiedzianą agonię, szaleństwo i w końcu śmierć.

Śmiercionośny kolec trzykrotnie niemal użądlił go w nadgarstek, gdy siłował się z jadowitą kreaturą, ale wyszedł z tego starcia zwycięsko. Zapracował sobie na to.

Jednakże nikt, wliczając w to samego Savalesa, nie spodziewał się, że jego ciało, jego własne przeklęte ciało, obróci cały ten wysiłek wniwecz.

W jednej chwili zapominając o chłdzie, jego usta wykrzywił grymas na myśl o wydarzeniach z przeszłości. Od tego czasu minęło pięćdziesiąt siedem lat, a on wciąż słyszał w uszach słowa lekarza pochylającego się nad stołem, do którego go przypięto - słowa, które kompletnie zmiażdżyły jego marzenia:

*Nic z tego, młodzieńcze. Twoje ciało się opiera. Implanty się nie przyjmą.*

*Nie będzie ci dane służyć tak jak my.*

*Nigdy nie zostaniesz Astartes.*

Bolało go to nawet teraz, niczym nie do końca zagojona rana, nawet mimo, że uczucie osłabło na przestrzeni lat. Wtedy miał ochotę umrzeć i tym samym zakończyć ból rozczarowania. Sądził, że śmierć uczyniłaby mu przysługę. Zamiast śmierci pojawiła się inna sposobność, która nadeszła z najmniej spodziewanej strony. Sam Pedro Kantor, Mistrz Zakonu, Lord Diabelskiego Ostrza, odwiedził

nastoletniego Savalesa, gdy ten siedział zapłakany w samotności swej ponurej, kamiennej celi w sercu góry będącej domem zakonu. Mistrz mówił o wartości, którą ujrzał w zrozpaczonym młodzieńcu, a także o potencjale, jakiego nie należało zmarnować. Cóż z tego, że Savales nie mógł zostać Astartes, mówił. Było to godne ubolewania, rzecz jasna, ale być może oznaczało to, że Imperator miał dla niego inne zadanie. Zakon nie był w stanie przetrwać jedynie dzięki krwi przelewanej przez Marines. W swej olbrzymiej mądrości Pedro Kantor zaoferował niedoszłemu neoficie inny rodzaj posługi.

Młody Savales został uczniem służącego lordowi podstarzałego majordomusa, Argola Kondrisa, którego ostatecznie zastąpił po śmierci.

Zarządca domu, seneszał mistrza, najwyżej postawiony ze wszystkich wybrańców - był to najwspanialszy los, jaki mógł spotkać zwykłego śmiertelnika i niemożliwy do opisanego słowami honor. Savales dziękował za to Imperatorowi i Jego świętym każdego dnia. Równie gorliwie modlił się za bezpieczeństwo i długie życie człowieka, który dał mu tę cudowną drugą szansę, tego samego, który wysłał go, by powitał rynniczkich szlachciców w ten mroźny, zimowy poranek.

Tak - pomyślał. Stoję tutaj teraz w imieniu mego pana. To mój obowiązek, powinność będąca wielkim błogosławieństwem. Dlatego do diabła z tym przeklętym zimnem! Odmawiając Dziewiątą litanię wytrwałości świętego Serpico, uniósł oczy ku niebu i raz jeszcze spróbował przebić wzrokiem zasłonę padającego śniegu w nadziei na ujrzanie nadciągającego statku.

Nic.

Zmarszczył brwi. Miał właśnie ponownie sprawdzić swój chronometr, gdy usłyszał ciche, odległe dudnienie potężnych silników turbinowych. Hałas stopniowo narastał aż w końcu, po kilku sekundach, w oddali pojawił się czarny kształt, z początku zaledwie zarys, który z każdą chwilą stawał się coraz bardziej wyraźny i szczegółowy. Zaczyna się - pomyślał Savales. Przynajmniej są o czasie.

W ciągu kilku minut ryk promu stał się ogłuszający. Gdy statek zawisł w powietrzu przed ostatecznym zejściem, ciąg pionowych silników sterujących liznął powierzchnię lądowiska, a jego podbrzusze przesłoniło większą część nieba. Savales musiał przyznać, że zrobiło to na nim wrażenie.

Peregrine był wspaniałym okrętem, na oko długim na trzydzieści metrów i wysokim na piętnaście, do tego imponującym rozpiętością skrzydeł. Jego dziób przyozdobiono połyskliwą figurą orła wykonaną z litego złota. W przeciwieństwie do ikony wymalowanej na płycie lądowiska, ten miał tylko jedną głowę. Smukłe burty statku w barwie spizu nosiły insygnia władz planetarnych oraz rodzin rządzących dziewięcioma prowincjami. Wszystkie herby odtworzono z pietyzmem przy użyciu klejnotów i metali szlachetnych.

Gdy wyłączono silniki, a ich dudniący ryk przeszedł w łagodny pomruk, Savales wygładził poły płaszcz, przeczesał rzednące włosy, poprawił mankiety koszuli i postąpił kilka kroków naprzód. Czuł przyjazne ciepło emanujące z masywnych turbin i pozwolił ciału przez chwilę się nim napawać. Stojąc w cieniu długiego, ostro zakończonego dzioba usłyszał nowy odgłos - warkot elektrycznych silników. Z wnętrza promu wyłoniła się kładka, po której zeszło dwóch mężczyzn w jasnokremowych liberiach Gwardii Rynn. Dotarłszy do podstawy rampy, ustawili się

po obu jej stronach, jeden z lewej, drugi z prawej, po czym oparli wypolerowane karabiny laserowe na jednym ramieniu. Żaden z nich nie nawiązał z Savalem kontaktu wzrokowego.

Mężczyzna poczuł, że uśmiech ciśnie mu się na usta. Przerośnięci paziowie - pomyślał, zaśmiewając się w duchu. Nie przetrwaliby nawet godziny na Blackwater. Drechnidy połknęłyby ich żywcem, o ile bagienne żarłaczce nie dopadłyby ich wcześniej. Naraz poczuł ukłucie winy. Był niesprawiedliwy. Nie tego uczył go lord Kantor. Siły obrony planetarnej miały swoją rolę do odegrania. Szlachta potrzebowała ochroniarzy, a jakąś część populacji zawsze trzeba było utrzymywać w ryzach, nawet tutaj w Świecie Rynn, zaś obie te rzeczy były niegodne uwagi legendarnych Adeptus Astartes.

Kolejne kroki rozbrzmiały na wypolerowanych płytach rampy. U jej szczytu pojawiły się smukłe kostki, do których wkrótce dołączyła reszta postaci, gdy gubernator planetarna wyłoniła się z wnętrza wraz ze swoją świtą i zaczęła schodzić w kierunku Savalesa.

Mężczyzna wziął głęboki oddech, wyprostował plecy i przygotował się na powitanie najpotężniejszych biurokratów na planecie, modląc się na Świętą Terę, by nie zrobili nic głupiego podczas swojego pobytu tutaj.

Lektyka lady Mai Cagliestry została wyłożona poduszkami, ale stroma i wyboista górską dróżką sprawiała, że nie była to przyjemna podróż. Mimo to nic nie było w stanie zepsuć jej humoru w tak podniosłym dniu. Czekwała na to całe swoje życie. I pomyśleć, że w końcu przekroczy bramy Arx Tyrannus. Chciało jej się śpiewać. Jedynie dekady wyuczonej powściągliwości oraz trzymania się sztywnych zasad zachowania, które wpajała jej nieżyjąca już matka, powstrzymywały ją przed otwartym okazywaniem radości. Miała dziewięćdziesiąt siedem lat - choć każdy poszedłby o zakład, że była uderzająco piękną czterdziestolatką - a mimo to czuła się równie podekscytowana co dzieci w dzień dożynek.

Nawet mroźne powietrze i ponura panorama złowieszczych, czarnych szczytów po obu stronach drogi wzmacniały to doznanie. Oto były Góry Diabelskiego Ostrza, domena legendarnych Szkarłatnych Pięści.

On również tu był. Czekwała siedem długich lat, by znów go ujrzeć. Wkrótce miał stanąć przed nią, jak zawsze olśniewający w swej ceramitowej zbroi w barwach granatu, czerwieni i złota.

Na sygnał mężczyzny, którzy przedstawił się jako zarządca Savales, zakapturzone serwitorki niosące jej lektykę zatrzymały się. Konwój dotarł do końca górskiej ścieżki. Wychyliwszy się przez otwór w lewej ścianie swego pojazdu, kobieta zobaczyła, że ich kolumna stała na skraju ziejącej przepaści, która dzieliła ich od celu podróży.

Zarządca podszedł do okienka lektyki gubernator i skłoniwszy głowę, powiedział: - Dotarliśmy do głównej bramy, pani. Pomyślałem, że może chciałaby pani obejrzyć zwodzenie mostu.

Maia uśmiechnęła się do niego z zacienionego wnętrza lektyki, po czym wyciągnęła ku niemu dłoń. Jej starszy sekretarz, którego pieszczotliwie nazywała Małym

Mylosem, spieszył już na przód kolumny z samego tyłu, aby jej usłużyć, ale nie zdążył. Savales delikatnie pomógł jej wsiąść. Chwytną przedramię seneszala, kobieta natychmiast wyczuła żylastą twardość jego mięśni.

Musiał kiedyś być niezłą partią - pomyślała. Ciekawe, ile ma lat?

Gdy stanęła już o własnych siłach, zarządca Savales wskazał w lewą stronę. Maia powiodła spojrzeniem za jego ręką. Przed nią, górując nad skrajem otchłani, stały wielkie wrota fortecy-klasztoru Arx Tyrannus.

Na kilka sekund Maia Cagliestra zapomniała, że należy oddychać.

- Na Złoty Tron - szepnęła w końcu.

Żaden z piktogramów z jej okazałej biblioteki nie był w stanie oddać sprawiedliwości temu widokowi. Wrota miały przynajmniej sto metrów wysokości. Jako dziecko, bardzo dawno temu, czytała wiele na ich temat. Wiedziała, że kiedyś stanowiły część kadłuba legendarnego okrętu o nazwie Rutilus Tyrannus, będącego kosmicznym domem zakonu na wieki przed tym jak Szkarłatne Pięści objęły we władanie Świat Rynn. Nawet dziś pochodzenie bramy było oczywiste, gdyż na jej powierzchni wciąż widniał olbrzymi, błyszczący symbol aquili, który niegdyś zdobił dziób potężnego statku.

Wrota zostały wprawione w dwie masywne, kwadratowe wieże najeżone działami artyleryjskimi i wyrzutniami rakiet wycelowanymi w ciemnoszare niebo, gotowymi odeprzeć atak, którego Maia nie śmiała sobie wyobrazić. Nawet najplugawsze i najbardziej agresywne rasy xenos nie były chyba na tyle głupie, by atakować świat zarządzany przez Marines.

Po obu stronach wież ciągnęły się olbrzymie szanice fortecy-klasztoru, sterczące z czarnej skały pod ostrymi kątami, równie wieczne i niewzruszone jak same góry. Zupełnie jakby i one zostały wzniesione w jakiś odległych, prehistorycznych czasach. Mury, podobnie jak brama, zostały zbudowane z części Rutilusa Tyrannusa.

Następnie, wzdłuż całej ich długości, rozstawiono niszczyielskie działa dalekiego zasięgu, które bez wątpienia niegdyś stanowiły uzbrojenie stanowisk strzeleckich na bakburcie i sterburcie okrętu.

Jak wiele wrogich statków zniszczyły te działa w czasie międzygwiazdnych potyczek, zastanawiała się Maia?

Na szczytach pobliskich wzniesień kobieta ujrzała podobne budowle, nieco mniejsze, ale równie mocno ufortyfikowane na wypadek ataku. Wygląd większości z nich nic jej nie mówił, lecz gdy na jednej z nich dostrzegła wieżyczki z nadajnikami i odbiornikami sygnałów z głębokiej przestrzeni kosmicznej, szybko rozpoznała Communicatus, który widziała w jednej ze swoich książek. Chwilę później zobaczyła statek szturmowy typu Thunderhawk, który nadleciał z północnego zachodu, sunąc tuż poniżej linii chmur, po czym powoli opadł na dach dużego, cylindrycznego budynku stojącego na groźnie wyglądającym północnym zboczu góry.

Usłyszała głos Savalesa - mimo że nie dotarły do niej jego słowa - i odwróciła się w jego stronę. Mężczyzna trzymał palec przyciśnięty do niewielkiego, mechanicznego urządzenia przy uchu.

- Przepraszam, zarządcu - powiedziała. - Mówił pan coś?

Savales nie odparł natychmiast. Zresztą wszelkie słowa utonęłyby pośród ogłuszającego, metalicznego jęku, który rozległ się po drugiej stronie rozpadliny.

Maia odwróciła głowę i patrzyła z lekko otwartymi ustami jak wrota Arx Tyrannus powoli otwierają się z głośnym piskiem. Spod szerokiej, poziomej osłony umieszczonej w skale poniżej, wysunął się metalowy most.

Cztery minuty minęły zanim hałas ucichł na dobre. Gdy maszyna umilkła, most był w pełni rozciągnięty, łącząc ze sobą oba brzegi przepaści, a wrota fortecy stanęły przed nimi otworem.

Po przeciwległej stronie mostu Maia zobaczyła duże, humanoidalne sylwetki zmierzające im na spotkanie. Serce zabiło jej mocniej. Bez wątplenia były to pierwsze Szkarłatne Pięści, jakie dzisiaj pozna. Gdy postacie wyszły z cienia bramy, zdała sobie sprawę, że ma przed sobą jedynie zwaliste serwitory bojowe prowadzone przez jednego ze starszych sług zakonu. Serwitory stanęły po obu stronach drogi, twarzami do wewnątrz, niczym posągi zdobiące długi korytarz. Nawet nie spojrzwały w kierunku szlachciców.

- Rzadko zdarza się, by Astartes nie stali na straży bram, lecz dziś jest właśnie taki dzień, milady - powiedział zarządca Savales, odczytując zawód na jej twarzy.

- W Dzień Założenia wszyscy bracia bojowi są zobowiązani brać udział w uroczystościach. - Mężczyzna wskazał dłonią lektykę Mai. - Ruszamy dalej?

Gubernator wciąż była nieco przytłoczona zimnym, ponurym dostojeństwem Arx Tyrannus i nie ufała swojemu głosowi, dlatego jedynie skinęła głową, po czym wróciła na swoje miejsce z pomocą zarządcy, ponownie dając się zaskoczyć jego dyskretnej sile. Chwilę później, gdy lektyki znalazły się na moście, obserwowane przez puste, bezduszne oczy serwitorów bojowych, Maia poczuła ukłucie chłodu, przed którym nie były w stanie osłonić jej nawet grube futra. Z pewnością nie było to ciepłe powitanie, na które liczyła. Stojąca po obu stronach mostu poddana lobotomii żywa broń obserwowała mijające je lektyki. Broń trzymała w gotowości. Maia słyszała bzyczenie śmiertelnej, ujarzmionej energii. Poczula, że dostaje gęsiej skórki i naraz robi się jej duszno. Nigdy wcześniej nikt nie celował do niej z broni, przynajmniej nie jawnie. Na przestrzeni lat doszło do kilku nieudanych zamachów na jej życie, ale o wszystkim zawsze dowiadywała się po fakcie.

Skierowała wzrok przed siebie, próbując uspokoić dudniące serce.

Jego regularny rytm powrócił dopiero, gdy przekroczyli bramy zakonu.

### 3

## Arx Tyrannus

### Góry Diabelskiego Ostrza

Na szczycie czarnych, kamiennych murów centralnej twierdzy łopotały sztandary w barwach granatu, szkarłatu i złota. Każdy z nich pysznił się dumnymi herbami jednej z dziesięciu kompanii zakonu oraz ikonografią tysięcy chwalebnych krucjat.

Na rozległym, pokrytym śniegiem placu bastionu Protheo, sto metrów poniżej sztandarów, Marines z zakonu Szkarłatnych Pięści ustawili się w idealnej formacji. Każdy opancerzony wojownik stał dokładnie metr od pozostałych braci, a kolejne szeregi utworzono zgodnie z przynależnością do kompanii, drużyny oraz starszeństwa.

Pasma pary i spalin wydobywały się z kratek wentylacyjnych ich hełmów oraz plecaków. Wielkokalibrowe boltery trzymali sztywno przed sobą z lufami skierowanymi ku górze, zaciskając na nich pancerne dłonie.

Za plecami Marines stało sześć tysięcy wybrańców w niebieskich togach, odpowiadających barwą zbrojom ich panów. Wszystkie zakapturzone głowy były pochylone. Żaden Marine, ani żaden sługa nie obrócił się, ani nawet nie spojrzął w kierunku zarządcy Savalesa, który wprowadził lady Maię oraz jej świętę na plac przez łukowato sklepione wejście na jego południowo-zachodnim krańcu.

Z ust prowadzonych przez Savalesa szlachciców wyrwały się stłumione westchnięcia i równie ciche okrzyki zaskoczenia. Savales pozwolił tej chwili przeminąć i szedł dalej, pragnąc jedynie, by jego podopieczni jak najszybciej zajęli wskazane im miejsca. W tym celu poprowadził ich na północ, wzdłuż strzelistego wewnętrznego muru, dobre trzydzieści metrów od najbliższego szeregu Szkarłatnych Pięści, w kierunku niewielkiego, drewnianego podwyższenia, które zostało wzniesione przez wybrańców specjalnie na tę okazję.

Pomimo szybkiego tempa jakie narzucił, niespodziewanie znalazł się w towarzystwie gubernator. Kobieta zrównała się z nim, z łatwością dotrzymując mu kroku na swoich długich, smukłych nogach.

- Są niesamowici, zarządcu - szepnęła, nawet nie starając się ukryć zachwyty w głosie. - Widziałam ich już w naszej stolicy, ale nigdy tak. Nigdy nie było ich tak wielu. Ja... Chyba nigdy wcześniej nie czułam obecności Imperatora tak mocno jak w tej chwili.

Savales rzucił jej przelotne spojrzenie, mając zamiar przytaknąć w możliwie najoszczędniejszy sposób, ale słowa zamarły mu na ustach w chwili, gdy zobaczył, że pani gubernator płacze. Łzy ciekły jej w dwóch połyskliwych strużkach po gładkich, upudrowanych policzkach.

On i gubernator pochodzili z zupełnie różnych światów, dosłownie i w przenośni, lecz w tym wypadku doskonale potrafił zrozumieć reakcję kobiety na spektakl, który rozgrywał się na ich oczach. Widok zgromadzonych Astartes potrafił poruszyć serce każdego imperialnego lojalisty. Mężczyzna nie zwolnił kroku, ale teraz w jego słowach przebrzmiewała uprzejmość.



- Od stu lat nikt nie widział wszystkich członków zakonu razem, milady. Nawet ja. To doprawdy niezwykły widok, jak sama pani zauważyła. Moje serce raduje się na myśl, że tak mocno to panią porusza.

Gubernator uśmiechnęła się mimowolnie, po czym bez słowa zwołała, zrównując się ze swoim sekretarzem, który podał jej małą, jedwabną chusteczkę do otarcia łez.

Jeśli najbliżsi Kosmiczni Marines słyszeli tę rozmowę -a było to niemal pewne, jako że ich słuch znacznie przewyższał zdolności zwykłego człowieka - nie dali tego po sobie poznać. Zarówno oni, jak i wybrańcy, wciąż przypominali posągi z marmuru, oczekując na przybycie kapelanów oraz członków rady zakonu.

Savales oraz jego bogaci podopieczni wkrótce dotarli do podstawy płytkich, drewnianych schodów prowadzących na podwyższenie. Zarządca zatrzymał się obok nich i pomógł lady Mai pokonać kilka pierwszych stopni, bardziej z obowiązku niż z konieczności. Kobieta najwyraźniej nie potrzebowała oparcia w męskim ramieniu, ale i tak przyjęła oferowaną pomoc, niewątpliwie przez wzgląd na etykietę.

- Stąd będziecie mieć doskonały widok na przebieg obchodów, milady- powiedział Savales, gdy kobieta przeszła przez bramkę na szczycie schodów.

A przy okazji będziecie oddzieleni od reszty - pomyślał na koniec. Nic nie może przeszkodzić w uroczystościach.

Gdy ostatni członek stołecznej świty wdrapał się na schody, Savales również wszedł na podwyższenie. Znalazłszy się na górze, zobaczył, że większość szlachciców zajęła już miejsca na miękko wyściełanych krzesłach z drewna ebonowego. Garstka najmłodszych sług zakonu stała na tyłach platformy w oczekiwaniu na każdy rozkaz Savalesa. Gdy mężczyzna spojrział w stronę pierwszego rzędu, dostrzegł, że miejsce najbliższe lady Mai wciąż było puste. Tuż obok, nieco zbity z tropu, stał wicehrabia Isopho, minister handlu i najstarszy przedstawiciel prowincji Dorado.

- Zupełnie cię nie rozumiem, Maiu - powiedział, zupełnie zapominając o konwenansach, jakby wokół nich nie było nikogo innego. - To miejsce mi się należy. Dlaczego, u licha...

Lady Maia posłała mu ten rodzaj uśmiechu, którego - jak domyślał się Savales - używała wielokrotnie, aby postawić na swoim. Był równie olśniewający, co przepelniony obietnicą.

- Mój drogi, mężny Nilo - powiedziała. - Twoje towarzystwo jest zawsze błogosławieństwem, o czym już ci wspominałam. Ale miałam nadzieję, że dziś usiądzie przy mnie zarządca Savales, chyba że uważasz, iż będziesz w stanie objaśnić mi przebieg uroczystości lepiej niż on.

Wicehrabia, szczupły, wytworny, wąsaty mężczyzna po pięćdziesiątce, posłał Savalesowi krótkie, surowe spojrzenie. Wyraźnie był rozsierdzony faktem, że gubernator życzyła sobie, by ustąpił miejsca komuś, kto wciąż, technicznie rzecz biorąc, należał do pospółstwa, niezależnie od tego, jaki status uzyskał sobie wewnątrz murów zakonu. Po kilku sekundach wicehrabia zdołał przywołać na twarz w miarę przekonujący uśmiech, po czym skłoniwszy się milady, oznajmił:

- Oczywiście, jak sobie życzysz. - Następnie ruszył w stronę Savalesa, minął kilka rzędów siedzeń i powiedział: - Czy twoi ludzie mogliby przynieść dodatkowe krzesło, zarządco?

Sekretarz Mylos, który siedział na skraju pierwszego rzędu, natychmiast zerwał się

na równe nogi.

- Nie ma takiej potrzeby, mój panie - powiedział. - Proszę zająć moje miejsce. Z radością usiądę w drugim rzędzie z innymi. Isopho bąknął do Mylosa coś z grubsza miłego, po czym opadł na krzesło, natychmiast zapominając o uśmiechu.

Savales dostrzegł, że lady Maia zaprasza go do siebie gestem. Ruszył w jej stronę z pewnym wahaniem, jako że wcale nie miał ochoty tłumaczyć czegośkolwiek w czasie uroczystości, po czym zajął wskazane miejsce obok niej. Po swojej prawej ręce miał teraz margrabinę Lyotę z prowincji Macarro, dość pulchną kobietę, która z wielkim entuzjazmem podchodziła do całej tej sprawy.

- Myśli pan, że Mistrz Zakonu pomacha do nas, gdy będzie nas mijając? - spytała Savalesa.

Było to niedorzeczne pytanie i zarządca musiał ugryźć się w język, żeby jej nie ofuknąć. Czy ta kobieta myślała, że biorą udział w jakimś festynie? Zamiast tego skruszonym tonem odparł:

- Nie sądzę, moja pani. Dzień Założenia to czas zadumy i powagi, a nie zabawy. W trakcie naszej podróży tutaj starałem się, by wasza czcigodność odniosła wrażenie, że my, którzy pławimy się w chwale Szkarłatnych Pięści, powinniśmy w tak doniosłym dniu starać się być niewidzialnymi. Ściąganie na siebie uwagi, przeszkadzanie w jakikolwiek sposób, chociażby poprzez machanie dłonią, byłoby poczytane jako wielka zniewaga przez naszych protektorów. Musimy zachowywać się, jakbyśmy byli w Wielkiej Bazylice. Nikt nie przeszkadza arcybiskupowi Galendzie podczas jego słynnych kazań, czyż nie?

Margrabina wydawała się być porażona tą myślą.

- Na Złoty Tron - sapnęła. - Przenigdy... Ma pan rację, zarządco. Postaram się być na tyle niewidoczna, na ile pozwoli mi moje oblicze.

Savales nie był pewien, co chciała przez to powiedzieć, ale nie miało to znaczenia. Ucieszyło go, że jej okrągła twarz przybrała wyraz nieco bardziej odpowiadający powadze tej okazji. Właśnie wtedy poczuł muśnięcie czyichś opuszków na grzbiecie lewej dłoni i odwrócił się z powrotem do lady Mai.

- Jak długo będą tak stać w bezruchu? - spytała gubernator, przyglądając się Marines. - Żaden z nich nawet nie drgnął odkąd przybyliśmy. Gdyby nie para lecąca z ich ust, mogłabym przysiąc, że te pancerze są puste.

Słuchając jej, Savales wyjął z kieszeni stary, mosiężny chronometr i spojrzał nań z konsternacją.

Musiał się zepsuć - pomyślał. To nie może być prawda.

Ale nie, wskazówka wciąż odliczała sekundy tak samo jak zawsze. Chronometr był prawdziwym antykiem odziedziczonym po starym Kondrisie i przez te wszystkie lata nie spóźnił się nawet o sekundę. Jego eleganckie, metalowe wskazówki podpowiadały mu teraz, że coś musiało być nie tak. Mężczyzna patrzył jak uciekają kolejne sekundy, napełniając go uczuciem coraz większego niepokoju.

Poranne uroczystości powinny były już się zacząć. A lord Kantor, co Ramir Savales wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, nigdy się nie spóźniał.

Wielka, kopulasta i wypełniona kolumnami sala Strategium była cicha, lecz bynajmniej nie pusta. Jedynie dwa spośród ciężkich, kanciastych krzeseł z onyksu,

które otaczały masywny, kryształowy stół umieszczony na środku pomieszczenia, pozostawały puste.

Gdzież oni się podziewają - pomyślał Cortez. Był trzecim członkiem rady, który dotarł na miejsce i powoli zaczynał się niecierpliwić.

Przekazał Mistrzowi Zakonu wiadomość od Hammonda w głównej nawie rekluzjum i na własne oczy widział, jaki efekt wywołały jego słowa. Mistrz Zakonu zareagował dokładnie tak, jak spodziewał się tego Cortez, ze spokojem i opanowaniem. Jedynie lekko zmrużone oczy zdradzały odrobinę gniewu, że wieści o ataku na Badlanding dotwały do Arx Tyrannus właśnie teraz, w tak szczególny dzień. Było to kłopotliwe, fakt, jednak nikt, kto wcześniej stawiał czoła zielonoskórym i przeżył, nie mógł lekceważyć takich informacji. Nie należało ignorować znaczenia takiej wiadomości. Niczym nadciągająca burza, której pomruki niesie ze sobą wiatr, tak widmo wielkiej wojny wisiało nad sektorem Loki i wydawało się bliższe niż kiedykolwiek na przestrzeni ostatniego milenium.

Orki!

Nie licząc niewielkiego odchylenia od kursu, Badlanding leżało w prostej linii pomiędzy układem Gwiazdy Rynn i Charadonem, systemem gwiazdowym, w którym aż roiło się od tych krwiożerczych bestii. Jeśli wierzyć wiadomości zdesperowanego komisarza to Waaagh naprawdę nabierało rozpędu na rubieżach sektorach, Szkarłatne Pięści były jedyną siłą w zasięgu roku podróży przez osnowę zdolną zareagować na czas i do tego z odpowiednią stanowczością. Dzień Założenia czy nie, działań przeciwko powstrzymaniu Waaagh nie należało odwlekać.

Więc gdzie ty się u licha podziewasz, Pedro, myślał Cortez.

Mężczyzna zabębnił opancerzonymi palcami o stół. Odgłos rozdarł pełną napięcia ciszę. Kilku innych członków rady posłało mu poirytowane spojrzenia.

- Co? - rzucił Cortez prowokacyjnie, ale przestał bębnić o stół.

Po kolejnej minucie milczenia dodał jeszcze:

- Jeśli będziemy musieli jeszcze dłużej czekać, to chyba osobiście poprowadzę tę naradę.

Raphael Acastus, Mistrz Oblężenia, kapitan dziewiątej kompanii, parsknął śmiechem. Nikt nie wziął tego komentarza na poważnie. Cortez znany był z niecierpliwości i z faktu, że rzadko miał dość samozaparcia, by nie dawać temu wyrazu. Jedynie Drigo Alvez, Mistrz Tarczy, kapitan drugiej kompanii, zwietrzył w tym szansę, by nieco usadzić Corteza. Napotkawszy jego wzrok, powiedział:

-Zasadniczo, Alessio, ten obowiązek przypadłby mnie. Mimo wszystko, doceniam twój entuzjazm. Gdybyś tylko umiał go przekuć w odrobinę cierpliwości...

Kilku innych kapitanów uśmiechnęło się pod nosem. Cortez stęknął. On i Alvez nie darzyli siebie zbytnią miłością. Kapitan drugiej kompanii był najbardziej ponurym i sztywnym Marine, jakiego Cortez kiedykolwiek poznał. Na dodatek był do bólu przewidywalny, choć wyglądało na to, że to właśnie te cechy sprawiały, że Mistrz Zakonu darzył go tak wielkim zaufaniem. Poza tym Alvez nie miał racji.

W rzeczywistości to Eustace Mendoza, Mistrz Librariusza, przewodniczyłby naradom w Strategium w przypadku nieobecności Mistrza Zakonu. Gdyby zabrakło Mendozy, obowiązek ten przypadłby najwyższemu kapelanowi Tomasiemu.

Przez moment Cortez miał zamiar wytknąć mu ten błąd, ale zanim otworzył usta,

rzucił przelotne spojrzenie staremu kronikarzowi. Zauważył, że Mendoza patrzy wprost na niego. Kronikarz pochwycił jego wzrok i niemal niezauważalnie pokręcił głową.

Potężny psionik przesłał wprost do umysłu Corteza jedynie trzy słowa.

*Zostaw to, bracie.*

Cortez odpowiedział nieznacznym wzruszeniem ramion i na nowo zaczął bębnić palcami o blat stołu, znów ściągając na siebie uwagę pozostałych.

Ishmael Icario, Mistrz Cieni, kapitan dziesiątej kompanii, roześmiał się w głos.

- Alessio - powiedział. - Ze wszystkich braci bitwy, których kiedykolwiek poznałem, ty jesteś najbardziej niecierpliwym. Jak sądzę, to Mistrz Zakonu Traegus ujął to najlepiej.

„Jedynie w absolutnym bezruchu ciała i kompletnej ciszy głosu możemy usłyszeć prawdę naszych skrytych myśli, a dzięki temu poznać lepiej siebie samych”.

Cortez posłał Icario groźne spojrzenie. Algemon Traegus był wyjątkowo kontrowersyjnym szesnastym Mistrzem Zakonu Szkarłatnych Pięści i ewidentnie jednym z ulubieńców Icario, biorąc pod uwagę częstotliwość, z jaką kapitan zwiadowców cytował pisma byłego mistrza. Wielu starszych członków zakonu z nieufnością podchodziło do nauk Traegusa. To właśnie on zapoczątkował kontrowersyjne programy rozrodcze - programy, w których niedoszli aspiranci zakonu, którzy przetrwali próby i wciąż byli płodni, mieli rozmnażać się z kobietami o odpowiedniej puli genów w nadziei na spłodzenie męskich potomków na tyle silnych, by pewnego dnia zasilić szeregi zakonu jako pełnoprawni Astartes.

Niestety, efekty były nieprzewidywalne i rozczarowujące.

Tuż po objęciu urzędu siedemnasty Mistrz Zakonu, Klede Sargo, natychmiast wstrzymał projekt swego poprzednika. Od tamtego czasu żaden Mistrz Zakonu nie próbował podejmować jego dzieła.

- Ja doskonale słyszę swój wewnętrzny głos, bracie - powiedział Cortez w odpowiedzi na słowa Icario. - Przemawia do mnie z siłą grzmotu i w chwili obecnej podpowiada mi, że mamy xenos do zabicia. Im szybciej do tego przystąpimy, tym lepiej.

- Tak też się stanie - odparł donośny głos z przeciwległej strony sali. Przez chwilę słowa odbijały się echem od pokrytych freskami wewnętrznych powierzchni kopuły. Siedzący Astartes odwrócili się i ujrzeni Pedro Kantora, który właśnie zamykał masywne skrzydła ebonowych drzwi. Wszyscy wstali, gdy Mistrz Zakonu zaczął schodzić po schodach centralnego przejścia, mijając ciasno ustawione szeregi ław z białego marmuru, na główny poziom Strategium. W kilku długich, lekkich krokach, zupełnie jakby jego ciężki pancerz wspomagany nie ważył zupełnie nic, podszedł do onyksowego tronu stojącego u szczytu stołu i zasiadł na swoim miejscu, gestem nakazując pozostałym uczynić to samo. Krzesło natychmiast wyczuło jego ciężar. Zatopione w posadzce przekładnie szcęknęły i zagrzechotały, przysuwając je do krawędzi stołu.

Mistrz Zakonu ostrożnie oparł ciężkie karwasze na lekko połyskliwej powierzchni kryształu, splótł opancerzone palce ze sobą i pochylił się do przodu.

- Przepraszam was, bracia, że musieliście na mnie czekać. Chciałem porozmawiać z Monitorem osobiście, a następnie wysłałem wiadomość do zarządcy Savalesa, że

nasze uroczystości rozpoczną się z niewielkim opóźnieniem. Jak sądzę wszyscy znacie już przyczynę zwołania tej nagłej narady.

Kapitan Acastus wpatrywał się w jedyne onyksowe krzesło, które wciąż stało puste.

- Czyżby najwyższy kapelan nie zamierzał do nas dołączyć, mój panie?

Nie powinniśmy na niego poczekać?

Kantor odwrócił głowę do Acastusa.

- Ogromna większość obowiązków związanych z dzisiejszym dniem spoczywa na barkach Tomasiego. Znacznie więcej niż na moich. Nie powinniśmy przeszkadzać mu przed Cudem Krwi. Później streszczę mu wszystko, o czym tutaj mówiliśmy, ale wysłuchamy raportu brata Adona bez niego.

Powiedziawszy to, Kantor skinął głową do członka zgromadzenia, który wyróżniał się na tle innych samym swoim wyglądem. Był to Mistrz Kuźni, Javier Adon, Mistrz Technicarum i najwyższy zbrojmistrz Zakonu. Jedno spojrzenie na ciało zespolone z metalem wystarczyło, aby dostrzec jego niezwyklej stosunek do duchów-maszyn. Na jego zbroi umieszczono ikonografię zarówno zakonu, jak i Adeptus Mechanicus.

Potężne serwo-ramiona wyrastające z pleców przydawały jego wyglądowi aspekt olbrzymiego, mechanicznego pająka. Gdy przemawiał, słowa wydobywały się z kratki przesłaniającej dolną część jego twarzy. Dochodzące z niej dźwięki przypominały ochrypli, mechaniczny zgrzyt pozbawiony intonacji i modulacji.

- Zgromadzeni bracia - zaczął mężczyzna. - O godzinie siódmej pięćdziesiąt osiem dzisiejszego Dnia Założenia, nasze systemy komunikacyjne bliskiego zasięgu odebrały i odszyfrowały sygnał pulsacyjny na poziomie imperialnego szyfrowania omega. Sygnał nadawany był wielokrotnie w piętnasto sekundowych odstępach. Jego źródłem był transportowiec komercyjny, który wyłonił się z osnowy dwie jednostki astronomiczne od orbity Phraecos.

Jedno z mechanicznych ramion Adona nachyliło się nad jego prawym ramieniem z cichym warkotem i umieściło szeroką, cyfrową wtyczkę danych w gnieździe umieszczonym na krawędzi stołu, a następnie docisnęło ją z wyraźnym kliknięciem. W tej samej chwili kwarcowy blat rozblysnął i zaczął pulsować światłem, a nad jego powierzchnią pojawił się półprzezroczysty hololityczny widok lokalnego systemu gwiazdowego.

Zgromadzeni Astartes spojrzeli w górę.

- Kod identyfikacyjny nadającej jednostki został poprawnie zweryfikowany - ciągnął Adon. - Statek nosi nazwę Videnhaus i jest zarejestrowany. Nie ma podstaw, aby wątpić w wiarygodność wiadomości, choć ona sama została zaszyfrowana dopiero później przez kapitana statku. Pierwotna wiadomość, jak wiemy, została nadana niezakodowana z planety Badlanding.

- Co znajduje się w wiadomości? - spytał Ashor Drakken, kapitan trzeciej kompanii, Mistrz Linii.

Rozległ się krótki trzask zakłóceń, a chwilę później powietrze wypełnił głos komisarza Alhausa Baldura.

- Nie będzie czasu na nadanie kolejnej wiadomości, więc ta jest ostatnia...

Mistrz Kuźni Adon odtworzył całą wiadomość, pozwalając pozostałym wysłuchać jej w pełnym skupieniu. Pod koniec Cortez z trudem był w stanie usiedzieć w miejscu. Słuchając jej po raz drugi, złapał się na tym, że pragnienie natychmiastowego wyru-

szenia do Badlanding było silniejsze niż kiedykolwiek. Czuł zew walki.

- To wszystko - oznajmił Adon, gdy głos komisarza ucichł. - Nie ma nic więcej.

- Jak dla mnie tyle wystarczy - powiedział Cortez, krzyżując spojrzenia z Kantorem.

- Wyślij moją czwartą kompanię, panie. Oczyszcimy Badlanding z zielonoskórego plugastwa. Wypalimy je świętym ogniem.

- Wyślij siódmą - rzekł Caldumus Ortiz, Mistrz Bram, z równym ferworem.

- Jeśli nawet nie nas samych, to chociaż jako wsparcie dla brata-kapitana Corteza. Kantor rozplótł palce, po czym uniósł w górę obie dłonie, prosząc o spokój.

Kapitanowie zawsze rywalizowali ze sobą o zaszczyt brania udziału w kolejnych misjach. Niczego innego od nich nie oczekiwał, ale ostatecznie decyzję zawsze podejmował w oparciu o analizę taktyczną. Nigdy nikogo nie faworyzował, pomimo przyjaźni z Alessio Cortezem.

- Mistrzu Kuźni, pokaż nam Badlanding w odniesieniu do Świata Rynn. I podaj nam przybliżony czas podróży, zarówno w najlepszym, jak i najgorszym przypadku.

Javier Adon nie poruszył się, ale widmowy widok nad stołem oddalił się od Gwiazdy Rynn z zawrotną szybkością, by po chwili zaprezentować relatywne położenie ich układu gwiazdowego w stosunku do Frei, gwiazdy typu K, wokół której orbitowała planeta Badlanding. Obok dwóch maleńkich, świetlistych punktów zaczęły przewijać się szeregi cyfr.

Po chwili wyliczenia dobiegły końca i Adon przemówił:

- Jeśli osnowa będzie spokojna, a prądy i zawirowania będą nam sprzyjać, jeden z naszych krążowników będzie w stanie dotrzeć na orbitę wskazanej planety w około trzysta sześćdziesiąt osiem standaryzowanych godzin.

- To prawie dwa tygodnie - warknął Cortez. - Do tego czasu zielonoskórzy mogą już ruszyć dalej. Powinniśmy wyruszyć natychmiast!

- Jeśli dojdzie do zawirowań osnowy - kontynuował Adon - a prądy nie będą nam sprzyjać, podróż może potrwać kilka razy dłużej. Biorąc pod uwagę posiadane informacje nie jestem w stanie trafnie przewidzieć najgorszego scenariusza. Być może Mistrz Librarius mógłby powiedzieć coś więcej w tej sprawie.

Eustace Mendoza pochylił się w stronę Pedro Kantora.

- Lokalne prądy osnowy wydają się spokojne w ostatnim czasie. Librarius nie wykrył żadnych znaczących anomalii, które w obecnej chwili stanowiłyby przeszkodę dla podróży.

Słuchając go, Cortez miał wrażenie, że Mendozę zaprzęta coś innego, zupełnie niezwiązanego z Dniem Założenia. W mrocznych korytarzach fortecy-klasztoru dało się słyszeć ukradkowe szepty, że inni kronikarze coraz częściej donosili o złych omenach. Czyżby Mistrz Psionik coś przed nimi ukrywał?

Potężna postać siedząca bezpośrednio po prawej ręce Mistrza Zakonu odchrząknęła, zwracając na siebie uwagę wszystkich. Jego pancerz wspomagany był bogato zdobiony, zaś lewy naramiennik, miał nosić zwyczajową ikonografię związaną z którąkolwiek z kompanii, przypominał olbrzymiego, srebrnego dwugłowego orła. Był to Ceval Ranparre, Mistrz Floty, bohater Hesperidonu.

- Dwa tygodnie - powiedział. - Zaufaj mi, mistrzu, jak zawsze. Nasze siły dotrą do Badlanding na czas, niezależnie od wszystkiego. Za twoim pozwoleniem, wyślemy Krzyżowca. Ze wszystkich naszych okrętów ten jest najbardziej niezawodny, gdy w

grę wchodzi konieczność szybkiego podróżowania przez osnowę.

Kantor zaaprobował tę sugestię skinieniem głowy.

- Wobec tego skupię się na tym, kogo wysłać.

- Czwartą - powtórzył Cortez. - Nie ma czasu na debaty, jeśli mamy w jakikolwiek sposób pomóc komisarzowi Baldurowi i jego niedobitkom.

Drigo Alvez parsknął szyderczo, słysząc to. Cortez z pewnością doskonale wiedział, że siły imperialne na Badlanding z pewnością zostały już wyrżnięte do nogi.

Kantor powiódł spojrzeniem po zebranych przywódcach. Położył dłonie płasko na stole, po czym podźwignął się na nogi. Gdy jego ciężar przestał spoczywać na czarnym tronie, siłowniki raz jeszcze obudziły się do życia i wysunęły krzesło spod stołu. Stojąc tak niczym wspomnienie dawnej chwały, echo Prymarchy z czasów Wielkiej Krucjaty, Mistrz Zakonu górował nad resztą zgromadzenia.

- Bądźmy realistyczni, bracia. To nie będzie misja ratunkowa. Ci ludzie już nie żyją. Naszym zadaniem będzie zebranie informacji w kwestii zagrożenia ze strony tego rzekomego Waaagh. Na przestrzeni lat powstrzymaliśmy już niejednego znaczący najazd orków, jednak zawsze wielu Astartes musiało przypłacić to życiem. Jeśli istnieje jakiś sposób, dzięki któremu moglibyśmy powstrzymać to Waaagh zanim ogarnie resztę sektora, to chcę go znaleźć i wykorzystać.

W jednej chwili wszystkie postaci wokół stołu poderwały się na równe nogi i uderzyły pięściami w ceramitowe napierśniki.

- W imię Prymarchy - wyrecytowali jednocześnie.

Kantor skinął głową, po czym odszedł od stołu i ruszył szerokimi schodami z powrotem w stronę podwójnych wrót Strategium. Znalazłszy się na szczycie, przystanął i spojrzał na członków rady.

- Ranparre, każ załodze przygotować Krzyżowca, gdy tylko Cud Krwi dobiegnie końca. Mistrzu Kuźni Adonie, niech twoi zbrojmistrzowie przygotowują broń i ekwipunek dla całej kompanii.

- Tak, mój panie - zabzyczał Adon.

Kantor zamarł z jedną ręką na ciężkim, brązowym kole przytwierdzonym do drzwi i dodał:

- Procesja rozpocznie się za piętnaście minut. Uroczystości muszą odbyć się zgodnie z planem. Upewnijcie się przed ich rozpoczęciem, że wszyscy są na swoich miejscach. W kwestii tego, który z kapitanów będzie miał zaszczyt wykonać to zadanie, poinformuję was o tym po Zanurzeniu.

Rozległ się jęk żelaznych zawiasów, a chwilę później ciężkie, drewniane drzwi zatrzasnęły się za plecami Mistrza Zakonu.

W zapadniętym kręgu na głównym poziomie Strategium członkowie rady zasalutowali sobie nawzajem, po czym rozeszli się, mając nadzieję, że to właśnie im przypadnie zaszczyt wyruszyć w bój w imieniu samego Imperatora.

- Zaczyna się procesja - powiedział Savales z wyraźną ulgą w głosie.

Dwadzieścia minut wcześniej otrzymał wiadomość od lorda Kantora. Naprędce zwołano pilną sesję rady zakonu. Od tego czasu zarządca był stale podenerwowany. Co mogło być tak ważne, by zakłócić przebieg tego najświętszego z dni?

Knykcie zbiegły mu od zaciskania palców na chronometrze. Teraz, w końcu, mógł



schować starą pamiątkę z powrotem do kieszeni.

- Zaczyna się, milady - powtórzył. Maia podekscytowana, pochyliła się w krześle i wzięła wdech.

W wysokim na dwadzieścia metrów, łukowato sklepionym przejściu pojawiła się wysoka, ciemna postać. Wszyscy wybrańcy stojący w szeregach za swymi panami Astartes opadli na kolana. To był on, w końcu! Miała wrażenie, że zaraz wybuchnie na jego widok. Mężczyzna jaśniał niezwykłym światłem. Wydawał się tak olśniewający w wypolerowanym na wysoki połysk pancerzu, że aż zbyt piękny, by na niego patrzeć.

Długo czekała, by znów móc zobaczyć Pedro Kantora. Minęło siedem lat od kiedy spędziła w stolicy tych trzydzieści krótkich minut na naradzie z nim. Od tego czasu z pewnością widział niejedną bitwę, ale nawet jeśli jego pancerz uległ uszkodzeniu, to nie było po tym śladu. Rzemieślnicy zakonu byli niezrównani w tym, co robili. Mężczyzna w każdym calu był uosobieniem siły i honoru, jak go zapamiętała.

- Niezapomniany widok, nieprawdaż? - szepnął zarządca Savales, jakby czytał jej w myślach. - Proszę spojrzeć, nadchodzi najwyższy kapelan Tomasi oraz członkowie Sacratium. Widzi pani to kryształowe berło?

Maia pokiwała głową. Trudno było go nie zauważyć. Masywna konstrukcja z litego złota i ciętego laserowo kryształu z pewnością ważyła dwa razy tyle co ona. Pomimo tej wagi, straszliwie wyglądający najwyższy kapelan wydawał się je nieść ze złudną łatwością. Cud krwi.

Ojciec Mai wspomniał o tym zaledwie raz. Jak twierdził, było to coś zbyt wspaniałego, zbyt wzniosłego i znaczącego, by do opisania cudu używać czegoś tak ograniczonego jak ludzki język. Umarł, mając nadzieję, że pewnego dnia jej również będzie dane go ujrzeć.

Teraz, patrząc jak najwyższy kapelan Tomasi z powagą kroczy pomiędzy szeregami Astartes, Maia poczuła przebiegający po plecach dreszcz. Kapelan przypominał istotę z sennych koszmarów, istne ucieleśnienie śmierci, dlatego zmuszała się, by nie spuszczać oczu z pięknego berła, miast spoglądać w puste oczodoły jego trupiego hełmu. W odróżnieniu od ponurego mężczyzny, gałka berła przywodziła na myśl złociste słońce. Metalowe promienie okalały idealną kulę z przezroczystego kryształu, która w połowie była wypełniona czymś, co przypominało zaschniętą krew.

Tomasi szedł odmierzonym krokiem, dokładnie po śladach Mistrza Zakonu, powoli kołysząc berłem nad głową od lewej do prawej. Kilka metrów za nim kroczyli pozostali kapelani, również zakuci w czarne pancerze, z twarzami skrytymi za wyszczerzonymi, ceramitowymi czaszkami. Niektórzy nosili na głowach kaptury, zaś pozbawione warg szczęki upiornych masek wyłaniały się z głębokich cieni. Inni zrezygnowali z nakrycia głowy. Wszyscy nieśli przedmioty o znaczeniu religijnym. Niektórzy trzymali w dłoniach kadzielnice, które kołysały się niczym wahadła, wypełniając powietrze mocno aromatyzowanym, niebieskim dymem. Inni dzierżyli w dłoniach starożytne księgi. Na ich skórzanych oprawach odcisnięto imperialną aquilę oraz pięść, symbol zakonu. Jeszcze inni nieśli prastarą broń, bez wątpienia absolutnie bezcenną, która kiedyś zapewne należała do zmarłych, ale bynajmniej nie zapomnianych bohaterów. Idąc, wszyscy monotonicznie wyśpiewywali

błogosławieństwa. Ich głosy łączyły się w jeden niski, hipnotyczny pomruk.

- Niech pani obserwuje berło - powiedział Savales.

Maia skupiła się na nim, wodząc wzrokiem od lewej do prawej, od prawej do lewej. Stopniowo zaczęła zdawać sobie sprawę, że coś się działo. Wewnątrz kryształowej kuli na szczycie zachodziła jakaś zmiana.

- Krew - wyszeptała.

W miarę jak najwyższy kapelan posuwał się naprzód, kołysząc berłem w rytm swoich kroków, zaschnięta krew widoczna w kuli zaczęła zmieniać się w płyn.

Maia wzięła gwałtowny wdech. Nie była pewna, czy oczy nie płatają jej figla, ale cichy głos Savalesa potwierdził to, co widziała.

- Kryształowa kula zwiera w sobie krew samego Rogala Dorna - powiedział mężczyzna. - Wyobraź sobie, moja pani. Właśnie jesteśmy świadkami tego, jak krew Prymarchy odzyskuje swą płynną formę po dziesięciu tysiącach lat w zamknięciu! Prawdziwy cud! Ta krew została zabezpieczona przez medyka po tym, jak Prymarcha został ranny podczas walk o Świętą Terrę. Widzieć to na własne oczy...

Mai zakręciło się w głowie. Poczwała, że robi jej się słabo. Choć wyglądała młodo, wcale taka nie była. Zaczęła obawiać się, że serce ją zdradzi, że tego było już za wiele. Krew Rogala Dorna, syna samego Imperatora... Nie potrafiła objąć umysłem znaczenia tej sceny. Nie była w stanie znaleźć słów, aby odpowiedzieć zarządcy. Pozostali szlachcice również byli głęboko poruszeni zmianami zachodzącymi w kryształowej kuli. Wszyscy słyszeli wyjaśnienie Savalesa i siedzieli teraz zupełnie oszołomieni. Niektórzy łkali cicho. Ich wiara w Imperialne Credo w końcu została wynagrodzona przez to niewytłumaczalne zdarzenie.

Maia usłyszała wicehrabiego Isopho, który cichym, pełnym powagi głosem spytał:

- Ale co to wszystko oznacza, zarządcu?

Savales nawet na moment nie spuścił wzroku z berła, gdy odpowiadał.

- To znaczy, że Prymarcha wciąż jest z nami, wicehrabio. Wciąż trzyma Szkarłatne Pięści w swojej pieczy. Ludzkość nie jest sama, nawet teraz, nawet po dziesięciu tysiącach lat wojen, mroku i nieustannych rzezi. A skoro Prymarcha jest z nami, to znaczy, że jest z nami również sam Imperator.

Maia poczuła, że włosy na karku stają jej dęba. Wierzyła w to. Wierzyła we wszystko, co mówił zarządcą. Cudu krwi nie dało się porównać z czymkolwiek, czego doświadczyła za życia. Arcybiskup Galendra stale powtarzał, że wiara sama w sobie jest nagrodą. Ale tu... Tu mieli dowód!

Przez resztę procesji siedziała jak sparaliżowana.

To, co ujrzała wpłynęło na nią tak mocno, że przez trzy dni po powrocie do stolicy nie chciała nikogo widzieć, ani z nikim rozmawiać. Wszystko to wstrząsnęło nią dogłębnie, zupełnie odmieniając sposób, w jaki patrzyła na wiele rzeczy. Z początku czuła się zagubiona. Czuła głęboką potrzebę, by na nowo odnaleźć swoje miejsce w Imperium w tym nowym świetle. Gdy w końcu wróciła do oficjalnych obowiązków, wykazywała się oddaniem i poświęceniem, któremu nie mogli zaprzeczyć nawet jej najgorliwsi krytycy. Wiara płonęła w niej niczym ogień. Inni widzieli to w jej oczach. Maia Cagliestra nie wiedziała jeszcze, rzecz jasna, że będzie zmuszona sięgnąć do najgłębszych jej pokładów, by przetrwać ponure, przesiąknięte krwią dni, które miały nadejść.

## 4

### Przestrzeń

### Badlanding

Wielkie ekrany przesłaniały większą część półokrągłej przedniej ściany mostka na pokładzie Krzyżowca. Strumienie danych spływały po nich niczym połyskliwy deszcz po setkach czarnych szyb. Przez największy z nich, umieszczony na samym środku, nie przewijały się żadne dane. Zamiast tego jego piksele układały się w obraz starszego astropaty okrętowego, bladego, pomarszczonego mężczyzny o imieniu Cryxus Gloi. Mężczyzna wyglądał, jakby dobijał dziewięćdziesiątki, choć miał zaledwie czterdzieści cztery lata. Trudy jego powołania pozbawiły go wielu rzeczy, w tym zmysłu wzroku. Jego oczy uległy atrofii w wyniku przykucia duszy, gdy jego umysł został ukształtowany zgodnie z wolą Imperatora. Zostały po nich jedynie dwa ciemne, puste oczodoły, jednak ich utrata nie miała znaczenia, gdyż Gloi zyskał inny rodzaj spojrzenia, o wiele potężniejszy.

Kapitan Ashor Drakken stał w pełnej zbroi z zaciśniętymi pięściami, przyglądając się twarzy Gloi'a na ekranie. Musiał odwdziżyć się za honor, który Kantor uczynił jego byłej kompanii. Drakken nie mógł dopuścić do niepowodzenia misji.

- Musi istnieć jakiś sposób - warknął. - Mistrz Kantor musi zostać niezwłocznie poinformowany. Jeśli ten księżyc jest w stanie ukryć nas przed radarami, to z pewnością będzie w stanie uczynić to samo z transmisją astropatyczną.

Gloi zmarszczył brwi.

- Nie ma takiej rzeczy, kapitanie, która ukryłaby transmisję astropatyczną.

Przysięgam, że w chwili, gdy wysłę jakąkolwiek wiadomość, każdy orczy psionik na tych statkach pozna nasze położenie. Jeśli chcesz, bym sięgnął do eteru bez alarmowania naszych wrogów, musimy wrócić na rubieże tego systemu, gdzie wyszliśmy z osnowy. Stamtąd będę w stanie bezpiecznie przesłać wiadomość, stąd nie. Jakakolwiek ingerencja zakończy się bitwą kosmiczną, której, jak obaj wiemy, nie przetrwamy.

Gloi nie był tchórzem. Służył na Krzyżowcu od dwudziestu lat, wypełniając swe obowiązki bez zarzutu, również w ogniu walki, dlatego zasłużył sobie na to, by rozmawiać otwarcie ze swoimi przełożonymi. Ci, którzy nie posiadali drugiego wzroku, rzadko kiedy wiedzieli cokolwiek na temat osnowy. Co sprytniejsi szybko uczyli się ufać w tych kwestiach tym, którzy się na tym znali.

- W porządku, Gloi - powiedział Drakken. - Na razie to wszystko.

Mężczyzna przerwał połączenie i odwrócił się do swego zastępcy, który stał spokojnie u jego boku.

- Jakież uwagi, Leo?

Sierżant Leoxus Werner pogrążył się w zadumie. Był człowiekiem, który przykładął wielką wagę do słów. Jego obie rękawice miały barwę szkarłatu, co dystygowało go jako jednego z weteranów zakonu. Na przestrzeni półtora wieku służby mężczyzna był wielokrotnie odznaczany. Zawsze zasłużenie. Jego twarz pobrużdżona była głębokimi, groźnymi bliznami. Każda z nich stanowiła dowód na zwycięstwa

okupione krwią i na życie spędzone na oczyszczaniu galaktyki z obcego plugastwa, które nienawidziło ludzkości. Jednak to nie twarz Wenera zdradzała największy zaszczyt, jaki go w życiu spotkał, lecz jego lewy naramiennik. Zamiast standardowej ikonografii zakonu sierzant nosił w tym miejscu przepięknie wykonaną pieczęć w kształcie czaszki, symbol legendarnej Straży Śmierci, zbrojnego ramienia Ordo Xenos Świętej Inkwizycji.

Werner służył w tej doborowej formacji przez siedem lat zanim wrócił do zakonu Szkarłatnych Pięści i nawet wtedy nie mógł zdradzić swym braciom żadnych szczegółów na ten temat. Przysięgał dochować tajemnicy.

Drakken nigdy o to nie pytał. Wiedział, że Werner dotrzyma przysięgi aż do śmierci. Prawość była dewizą sierzanta.

- Szesnaście orczych okrętów wojennych - powiedział Werner, napotykać spojrzenie kapitana - i to tylko po tej stronie planety. Pięć z nich dorównuje rozmiarami statkom marynarki klasy Emperor. Biorąc pod uwagę zamięłowanie zielonoskórych do stawiania broni ponad pancernym, każdy z nich ma zapewne przewagę siły ognia. Dlatego zgadzam się z Cryxusem Gloi, bracie-kapitanie. Po naszej stronie stoi jedynie szybkość oraz fakt, że jeszcze nie zwęszyli naszej obecności. Powinniśmy się tego trzymać. Jeśli ruszymy wprost na nich, przy wtórce grzmotów dział... - Mężczyzna pokręcił głową. - Niedźwiedź nie wdaje się w walkę z pięcioma tygrysami bagiennymi, chyba że wie coś, czego nie wiedzą one.

Drakken zgodził się z tym stwierdzeniem, ale nie pozostał mu dłużny.

- Mimo to nie przelecieliśmy takiego szmatu drogi tylko po to, by policzyć ich statki i zawrócić. Alessio Cortez miałby cholerne używanie, gdyby się tak stało. Mistrz Zakonu dał mi swobodę decyzji w tej kwestii i zamierzam z tego skorzystać.

- Operacja lądowa, mój panie?

Wąskie usta kapitana Drakkena wygięły się w lodowatym uśmiechu.

- Dokładnie tak - powiedział. - Trzy Thunderhawki zajdą ich od tyłu. Pozostaniemy niewidzialni tak długo jak to możliwe. Gdy już rozeznamy się w sytuacji, rozpetamy piekło i postaramy się wyrządzić możliwie najwięcej szkód, zanim zdążą w jakikolwiek sposób odpowiedzieć.

- Nasze cele? - spytał sierzant.

Drakken odwrócił się w stronę jednej z trzech dużych stacji roboczych, które wpuszczono w podłogę mostka, i ruszył w jej kierunku. Werner podążył za nim. Zagłębienie wypełnione było mieszanką serwitów oraz ludzkich oficerów połączonych kablami i aparaturą na głowach z rzędem konsol jarzących się na wprost nich. W stacji najbliższej stóp Drakenna siedział chudy tech-kapłan w grubych, wełnianych szatach Divisio Linguistica Adeptus Mechanicus. Jego bladą twarz oświetlało zielonkawe światło ekranu, nad którym się pochylał. Gęszcz cienkich, metalowych kosmyków wychodził z jego najeżonej gniazdami czaszki i łączył się z portami transferu danych umieszczonych po obu stronach konsoli.

- Adeptcie Orrimen - zagrzmiał Drakken. - Czy serwitory dokonały już przekładu?

Tech-kapłan odpowiedział nie obracając się, ani nie poruszając szczęką. Upiorny głos dobył się z głośników zamontowanych po obu stronach jego głowy.

- Translacja dobiega końca, mój panie - wychrypiał. - Chcesz, bym odtworzył ją w całości czy wolisz podsumowanie?

- Ogranicz się do przydatnych informacji.

- Wobec tego podsumowanie - odparł tech-kapłan. - Cała transmisja to wiadomość w dialekcie orczego języka używanego przez kilka największych klanów sektora Charadon. Klany, które korzystają z tej formy języka widnieją zapisane w klasyfikacji Ordo Xenos jako Gofy, Krwawe Topory, Trupie Czachy, Wredne Słońca, a także trzydzieści trzy inne, pomniejsze klany. Mówca został zidentyfikowany jako arcyherszt Urzog Mag Kuli, znany porucznik Snagroda, samozwańczego Arcypodpalacza z Charadonu. Wiadomość skierowana jest do wszystkich band orków, które obecnie przebywają w obrotowych sektorach Segmentum Tempestus oraz przeciwoobrotowych sektorach Ultima Segmentum. Nakazuje ona wszystkim orczym statkom w tych sektorach zjednoczyć się pod sztandarem Arcypodpalacza. To również deklaracja, że Waaagh Snagroda właśnie się rozpoczęło, że nikt go nie powstrzyma i że jest to boska wola orczych bogów, Górka i Morka.

Na tym Orrimen zakończył swój raport, ale przedłużająca się cisza skłoniła go, by dodać jeszcze:

- Czy chce pan zadać jakieś pytania, kapitanie?

Drakken nie odpowiedział. Odwrócił się jedynie do Wemera i z uniesionymi brwiami czekał na komentarz sierżanta. Wemer wyglądał na poważnie zaniepokojonego.

- Wygląda na to, że komisarz Baldur miał rację. Tylko ile innych światów padło ich łupem w czasie, gdy tu lecieliśmy? Z ilu innych światów mogą jeszcze nadawać?

- Z tego przestaną nadawać już wkrótce - powiedział Drakken. - Sygnał wzmacniany jest przez statki, ale z pewnością pochodzi z Krugerportu. Zlikwidujemy go u źródła. Chcę, by ich naziemne stacje nadawcze dalekiego zasięgu zostały wyłączone na dobre. Przygotuj braci, Leo. Mamy nasz cel. Wyruszamy za godzinę.

Wemer skrzyżował spojrzenie z kapitanem.

- Jasnym jest, że tam na dole stawimy czoła ogromnym trudnościom, panie. Straty są niezwykle prawdopodobne. Jeśli mogę, chciałbym prosić o zaszczyt poprowadzenia tej operacji.

Drakken zmarszczył brwi, doskonale zdając sobie sprawę, że Werner próbował go chronić.

- Nic, Leo. Zamierzam dowodzić osobiście. Mistrz Kantor powierzył mi ten zaszczyt. Po moim powrocie spodziewa się szczegółowego raportu. Muszę zobaczyć Krugerport na własne oczy. Oczywiście, jeśli przychodzi ci na myśl inny sposób, w jaki moglibyśmy im zaszkodzić, lub inny cel godny uwagi...

Wemer przez chwilę zastanawiał się w milczeniu, po czym powiedział:

- Badlanding to praktycznie martwy świat. Większość tamtejszej wody jest śmiertelnie toksyczna, a orki potrzebują jej tak samo jak ludzie osadnicy. Krugerport posiada jedną, wielką oczyszczalnię.

Drakken pokiwał głową.

- Przylega do muru obronnego w południowo-wschód niej dzielnicy. Tak. widziałem ją na mapach.

Sądzę, że możemy bezpiecznie założyć, że orki zaopatrują stamtąd swoje statki, przygotowując się do następnej fazy najazdu. Atak na ich systemy komunikacyjne z pewnością opóźni Waaagh, ale jeśli uda się nam jednocześnie uderzyć na oczyszczalnię, zmusimy ich do zaopatrzenia statków gdzie indziej. To pokrzyżuje ich plany

jeszcze bardziej. Może nawet doprowadzi do wewnętrznego rozłamu.

Drakken dumiał nad tym przez chwilę. Niewątpliwie miało to sens.

-Dobrze - powiedział. - Musimy zrobić wszystko, by Mistrz Zakonu zyskał czas na ostrzeżenie dowództwa Segmentum. Gratulacje, Leo. Wygląda na to, że jednak poprowadzisz grupę uderzeniową.

## 5

### Krugerport

### Badlanding

Służba w dziesiątej kompanii, kompanii zwiadowców zakonu, miała na celu udowodnienie własnej wartości. Chodziło o osiągnięcie mistrzostwa w sztuce wojny i kontroli nad własnym ciałem. Każdy zwiadowca uczył się, jak wykorzystywać wszczepione mu organy, ufać im i stać się z nimi jednością, nieustannie doskonaląc się w sztuce zabijania. Lata służby miały dowieść jego gotowości. Dopiero po tym czasie mógł on liczyć na wezwanie. Otrzymywał wtedy rozkaz, by wrócić do Arx Tyrannus i przystąpić do Zanurzenia. Był to starożytny rytuał, którego początki sięgały jeszcze czasów, gdy stapał wśród nich sam Prymarcha. Dorn niegdyś witał nowych braci bitewnych w swoich szeregach, nacinając swą dłoń i dzieląc się z nimi krwią. Teraz ta krew stanowiła świętą relikwię i stanowiła jedynie symbol jego obecności. Czas wymógł zmiany w rytuałach zakonu. Teraz zwiadowca, który stawał się bratem bitewnym musiał zanurzyć lewą dłoń w krwi przeciwnika, którego osobiście zabił. Sam rytuał uległ pewnej zmianie, ale nie jego znaczenie. Pięść dosłownie pokrywała się szkarłatem. Był to ostatni krok na drodze do zostania jednym z braci zakonnych. Ostatni krok przed przydzieleniem do jednej z pozostałych dziewięciu kompanii.

W przeciwieństwie do niektórych, sierżantowi zwiadowców Ezrze Mishinie wcale nie było do tego spieszo. W ramach swoich obowiązków często pełnił rolę snajpera. Długie dni, spędzane w oczekiwaniu na idealną okazję do oddania strzału, nauczyły go cierpliwości. Kilka lat w randze sierżanta, którego zadaniem było prowadzić młodszych i mniej doświadczonych kolegów, jedynie umocniło go w tym przekonaniu. Wiedział, że dostanie wezwanie na Zanurzenie, gdy przyjdzie na to pora. Na razie interesowało go jedynie wykonanie zadania i spełnienie obowiązku, jaki spoczywał na jego barkach. W tej konkretnej chwili była to służba w charakterze oczu i uszu trzeciej kompanii kapitana Drakkena.

Mishina został osobiście wybrany przez kapitana Ieario, by towarzyszył trzeciej w misji na Badlanding i jeśli miał być szczery, nie było innego miejsca, gdzie wolałby teraz być. To było jego miejsce, wśród gęstych cieni wrogiego miasta, gdzie polował na strażników obcych przy użyciu zarzuconego na ramię wytłumionego karabinu boltowego, z nożem bojowym w dłoni i wzrokiem wzmocnionym przez czułe soczewki noktowizora. Jak do tej pory udało mu się zdławić charczące oddechy pół tuzina zielonoskórych. Jego buty i spodnie plamiła krew.

Pięć godzin temu. gdy miejscowa gwiazda. Freiya, wciąż jaśniała na popołudniowym niebie, statki szturmowe Thunderhawk w służbie trzeciej kompanii wylądowały w wadi, jakieś trzydzieści kilometrów na południowy zachód. Leciały nisko ze słońcem za rufami, korzystając z jego oślepiającego blasku, by zamaskować jasny blask rozgrzanych silników plazmowych.

Mishine i trzech zwiadowcy pod jego dowództwem natychmiast wyruszyli w stronę



miasta, przeczesując okolicę w poszukiwaniu zagrożeń mogących cziąć się na oddziały taktyczne podążające za nimi.

Gdy słońce zaczęło się chylić ku horyzontowi, w końcu dotarli do poznaczonego wybuchami i poczerńiałego od ognia muru obronnego. Lokalne siły orków były wyraźnie rozluźnione. Wyglądało na to, że wybiły miejscowe oddziały Gwardii Imperialnej do nogi. Dla nich walka na razie się skończyła. Dla zwiadowców była to dobra wiadomość, ponieważ zielonoskórzy w żaden sposób nie zabarykadowali olbrzymich wyrw, jakie ich artyleria utworzyła w wysokich murach z piaskowca. Mishina i jego zwiadowcy zaczęli aż zgasną ostatnie promienie zmierzchu, a noc okryje ich swym całunem. Gdy się tak stało, bezgłośnie wśliznęli się do miasta, zabijając niczego nieświadome orki opanowanymi do perfekcji ciosami swych długich nożów bojowych pomiędzy trzeci i czwarty krąg szyjny.

Przerwanie rdzenia kręgowego szybko i cicho wyłączało orki z walki. Ten rodzaj zabójstwa stał się wizytówką każdego prawdziwego zwiadowcy Astartes.

Mishina uśmiercił w ten sposób wielu wrogów. Było to dla niego coś równie naturalnego jak ciche oddychanie czy poruszanie się od osłony do osłony. Wszystkie te rzeczy robił zupełnie nieświadomie. Sierżant zadowolony był ze swoich zwiadowców, choć było stanowczo zbyt wcześnie na szafowanie komplementami. Kapitan Icario przydzielił mu kilku obiecujących żołnierzy. Dwóch z nich doświadczyło mordu na zielonoskórych jedynie dzięki sesjom sensorycznym dostępnym w librarium zakonu, lecz tej nocy splamili swe ręce ich krwią naprawdę, zaś w perspektywie mieli jeszcze więcej zabijania.

Starając się robić jak najmniej hałasu. Mishina postawił nogę na krawędzi starej, drewnianej skrzyni, po czym podciągnął się na płaski dach opuszczonego, parterowego habitatu. Z tej pozycji był w stanie przyjrzeć się planowi miasta. Samotny księżyc Badlanding, w cieniu którego stacjonował wciąż niewykryty Krzyżowiec, jeszcze nie wzeszedł. jednak sierżant nie potrzebował go, by oglądać świat przez noktowizor z klarownością ponurego, nieco błotnistego popołudnia. Za wyjątkiem muru obronnego oraz garstką wystawnych, dwupiętrowych budynków, Krugerport miał niską zabudowę. Znaczna większość budowli miała nie więcej niż pięć lub sześć metrów wysokości. Wszystkie ulice były wąskie, przydając habitatom wygląd niskich, przysadzistych postaci, które zbiły się w gromadę, by chronić się nawzajem przed gnany wiatrem pyłem. Było to brzydkie miejsce i to nie tylko dlatego, że obrócono je w perzynę. Brakowało w nim odrobiny fantazji. Zamiast tego rządziła tu swego rodzaju dziwaczna funkcjonalność, jakby wszystkie elementy poskładano naprędce i utrzymywano jedynie na skraju działania. Nie było żadnych parków, ani muzeów.

Mishina widywał już wcześniej tego rodzaju miasta. Wznoszono je pospiesznie, by wydobywać miejscowe zasoby, a gdy te się wyczerpywały, kiedy kopalnie oraz pola promethium wysychały, a wraz z nimi całe bogactwo, ich populacje stopniowo wymierały, topniejąc w rekordowo krótkim czasie.

Otoczające ich mury wzniesiono z piaskowca. Być może kiedyś pokrywały je plakaty nawołujące do wiary w Imperatora oraz pracowitości, lecz teraz znaczyły je wyłącznie ślady po ciężkich walkach ulicznych, strasząc czarnymi bliznami po pociskach laserowych i plazmowych oraz niezliczonymi otworami po metalowych

kulach. Ze swojej pozycji Mishina zobaczył kilka niewielkich targowisk i placów handlowych, gdzie niegdyś musiały stać posągi, które teraz przypominały jedynie rumowiska. Większość z nich zapewne przedstawiała obraz Imperatora i Jego świętych, lecz teraz nie sposób było określić, z jakim pietyzmem je wykonano. Orki obróciły je w gruzy. Nic z podsycanej nienawiścią złościwości zdrajców i splamionych Chaosem szumowin, lecz bez wątpienia dając bezmyślny wyraz swej czystej miłości do zniszczenia w każdej postaci.

Zielonoskórzy byli prostymi stworzeniami. W oczach Mishiny byli jedynie połączeniem mięśni i agresji. To mu wystarczało.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na dachu skromnego habitatu sierżant nawiązał kontakt z pozostałymi zwiadowcami i ustalił ich pozycje. Mishina kiwał głową przy każdym kolejnym raporcie. Żaden z nich nie został wykryty przez wroga. Żaden też nie zdradził swojej obecności. Wszyscy zajęli pozycje wskazane im przez dowódcę i na dodatek zrobili to bardzo sprawnie.

Jak na razie wszystko szło dobrze. Mishina rozkazał im utrzymywać pozycje i oczekiwać dalszych rozkazów.

Na północy, w odległości blisko ośmiu kilometrów zgodnie z, odczytem laserowego dalmierza wmontowanego w noktowizor. mężczyzna zobaczył zamontowany na dachu wysoki maszt z kutego żelaza, który identyfikował ten konkretny budynek jako bunkier komunikacyjny Krugerportu. Na szczycie osiemdziesięciometrowej kratownicy ujrzał skupisko talerzy satelitarnych, tworzących potężną antenę nadawczą. Orki przyozdobiły podstawę wieży czymś w rodzaju zardzewiałej, metalowej pieczęci. Pomalowane na czerwono żelazne płyty zostały ułożone w jedną całość, która z grubsza przypominała wyszczerzony pysk obcego.

Przybliżywszy obraz, Mishina zauważył że dachy budynków otaczających bunkier zostały umocnione. Narożniki obłożono stertami worków z piaskiem, zza których wystawały lufy ciężkiej broni. Wiele z nich wyglądało na działa laserowe i ciężkie boltery, stanowiące standardowe wyposażenie Gwardii Imperialnej.

Jeśli nas wykryją, to będzie oznaczać kłopoty - pomyślał Mishina.

Zwaliste postaci kręciły się po okolicy w świetle palenisk, nad którymi orki piekły mięso. Zwiadowca dostrzegł, z mieszaniną odrazy i gniewu, że nabite na rożen i lizane przez pomarańczowe płomienie kawałki mięsa miały charakterystyczny wygląd ludzkich kończyn.

Zapach potwierdził jego najgorsze przypuszczenia. Przypominał nieco woń pieczonego groksa, ale nieco ostrzejszą w nozdrzach. Już kiedyś czuł coś podobnego - był to swąd płonących stosów pogrzebowych.

Oddalił ponownie obraz, po czym odwrócił głowę w prawo aż w końcu odnalazł to, czego szukał. Po wschodniej stronie, dziewięć i sześć dziesiątych kilometra od jego pozycji, z łatwością zidentyfikował oczyszczalnię wody po jej masywnej, kanciastej sylwetce, do której od południowej ściany przylegał równy szereg olbrzymich, metalowych cystern.

Mishina uniósł dłoń w rękawicy do komunikatora przy lewym uchu. uruchomił kanał dowództwa trzeciej kompanii i powiedział:

- Bracie-kapitanie, tu Cień Jeden.

- Mów, Cień Jeden - odpowiedział poważny głos Drakkena.

- Drużyna Cieni na pozycjach, mój panie. Mamy dobry widok na okolicę. Wyznaczyliśmy dla was trasę. Możecie wyruszać w każdej chwili.

- Zrozumiałem, Cień Jeden. Wyruszamy. Chcę wiedzieć o wszystkich wrogich ruchach.

Drakken to solidny dowódca pomyślał Mishina. Z jego imieniem wiąże się sporo legend. Nie ma skłonności do popełniania błędów, tyle wiem. Ale mimo to mam to przeklęte przecucie, jakby coś łaskotało mnie w umyśle. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba. Być może jest po prostu za łatwo.

A może to coś zupełnie innego.

Drakken wiedział, że próba bezgłośnego poruszania się w pancerzu wspomaganym MkVII była jak przeładowywanie boltera przy użyciu zębów - praktycznie niemożliwa i z reguły niewarta zachodu. Prędzej lub później orki musiały zdać sobie sprawę z obecności trzeciej kompanii, a gdy już do tego dojdzie, to prawdziwa praca, ta szlachetna praca, dla której żył, zacznie się naprawdę.

Kapitan poprowadził Astartes przez wyłom w murze obronnym, który oznaczył dla niego Mishina. Orki nie miały prawa zobaczyć tych znaków, gdyż zwiadowcy korzystali z płynu widocznego jedynie w podczerwieni. Wizjery hełmów Szkarłatnych Pięści wychwytywały te plamy jakby te przypominały jaskrawe, neonowe światła. Kosmiczni Marines podążali za nimi w głąb Krugerportu, wiedząc, że droga dla nich została już oczyszczona.

Znalazłszy się za murem zewnętrznym, Drakken otworzył kanał z sierżantem Wernerem, który był jakieś dwadzieścia metrów za nim, szukając swój oddział do przejścia przez wyłom. Drakken powierzył mu dowództwo nad trzema dziesięć osobowymi drużynami.

- Tutaj się rozdzielamy, Leo. Podążaj za oznaczeniami zwiadowców i niech Imperator ma cię w swojej opiece.

- Ciebie również, mój panie - odparł Wemer. W następnej chwili on i jego ludzie odłączyli się od głównej grupy, znikając w atramentowej ciemności wąskiej uliczki po ich prawej.

Drakken zaczekał aż ostatni z dowodzonych przez Wenera Astartes zniknie im z oczu, po czym dał swojemu oddziałowi sygnał do wymarszu w jednej linii.

Ulice Krugerportu były zasadniczo zbyt wąskie, by móc nawigować po nich jakimkolwiek ciężkim sprzętem. W przypadku niektórych osad była to część strategii mającej na celu uniemożliwienie wrogim pojazdom szturm. Jednak w przypadku Kruger-portu Drakken odnosił wrażenie, że miało to związek jedynie z ludzką tendencją do trzymania się razem w nieprzyjaznych warunkach. Ta planeta była wyjątkowo bezlitosnym kawałkiem kosmicznej skały. Jej wiatry potrafiły dusić swoim korozyjnym pyłem, zaś chemiczne morza były w stanie oddzielić ciało od kości człowieka w ciągu zaledwie kilku chwil.

Dlaczego więc ktokolwiek miałyby się tu osiedlać? Nie było to żadną tajemnicą. Na korzyść Badlanding przemawiały dwie rzeczy. Po pierwsze, istniała tu atmosfera, którą dało się oddychać, co było pewną rzadkością pośród milionów światów, jakie ludzkość odkryła od czasu pierwszych prób ekspansji w przestrzeń kosmiczną. Mimo

olbrzymich rozmiarów Imperium, liczba światów zamieszkałych w stosunku do planet nienadających się do zamieszkania oscylowała poniżej jednego procenta. Drugi powód, dla którego skolonizowano Badlanding, był równie prozaiczny - Góry Rys, w stronę których komisarz Baldur miał poprowadzić niedobitków, obfitowały w żyły adamantium i proteocytu. Tego ostatniego związku używano w produkcji rzadkiego ceramitu, materiału, z którego produkowano większość płyt bojowych pancerzy Astartes.

Na myśl o Górach Rys Drakken zmarszczył brwi. Na misję zabrał ze sobą osiemdziesięciu trzech Kosmicznych Marines, nie licząc ogromnej liczby sług, pilotów, techników, specjalistów od komunikacji i tym podobnych, którzy byli niezbędni do właściwego działania floty Szkarłatnych Pięści. Osobiście dowodził trzydziestoma Astartes, a trzydziestu kolejnych przydzielił Wernerowi. Czterej bracia z dziesiątej kompanii Szkarłatnych Pięści służyli jako zwiadowcy. Ośmiu braci bitwy przydzielił do strefy lądowania, gdzie w udziale przypadło im patrolowanie okolicy szerokiego wadi, w której Thunderhawk przysiadł z dala od wścibskich oczu. Ostatnich dziesięciu zostało wysłanych na drogę biegnącą w pewnym oddaleniu od miasta, sunąc ponad wydmami piaskowymi w ścigaczach Landa, z zadaniem jak najszybszego dotarcia do ostatniego znanego położenia sił Gwardii Imperialnej. Raport złożony przez tę ostatnią grupę stanowił wyjątkowo ponure wieści. Jaskinie, do których uciekł Baldur, przypominały teraz masową mogiłę. Zasuszone zwłoki, w większości pozbawione głów, które zabrano jako trofea, gęsto ścieliły tunele. Znalaziono też truchła orków, ale nie było ich nawet w połowie tyle co ludzi. Było jasne, że Baldur i niedobitki jego sił zostały zapędzone w kozi róg, a następnie wybite do nogi. Nie mieli żadnych szans. Ależ orki musiały napawać się tą masakrą! Jedynie fakt, że miał na głowie hełm, powstrzymał Drakkena przed splunięciem na ziemię. Nienawidził zielonoskórych ze śmiertelną pasją. Przez większość swego życia w zakonie walczył w obronie imperialnych placówek i szlaków handlowych przed ich plugawym rodzajem, ale ci rok po roku zawsze wracali, bez wytchnienia najeżdżając rubieże sektora Loki ze światów granicznych. To było zadanie bez końca. Niezależnie od tego, ilu obcych padało trupem, zakon nie robił żadnych postępów. Sukces można było mierzyć jedynie w odległości, w jakiej obce hordy udawało się trzymać z dala od cywilizowanych planet.

Na przestrzeni ostatnich dwóch stuleci obcy postawili stopę na Świecie Rynn zaledwie raz. Ani razu, od kiedy Szkarłatne Pięści osiedliły się tam na stałe. W kolejnych latach zapobieżono szeregowi potencjalnie niszczycielskich Waaagh, które tłumiono w załączku z chirurgiczną precyzją uderzeń zaplanowanych po mistrzowsku przez Pedro Kantora. Drakken wsławił się, biorąc w nich udział, ale prawdziwa chwała należała się Mistrzowi Zakonu.

Nic dziwnego, że nazywając go drugim Polluxem pomyślał Drakken, obserwując cienie przed sobą na wypadek obecności orków.

On sam miał głęboki i niewzruszony szacunek dla Kantora, chociaż braterska więź między nimi była nieco słabsza niż w przypadku Mistrza Zakonu i Alession Corteza. Nie było to coś, co specjalnie martwiło Drakkena. Przyjaźń nie miała dla niego większego znaczenia, przynajmniej w zestawieniu z silnym przywództwem. Jego zdaniem każdy szanujący się Astartes myślał tak samo. Nie darzył Corteza zbytnią miłością, to

było pewne. Według niego mężczyzna był arogancki, zadufany w sobie, hałaśliwy i prostacki, a jego status jakiegoś niezwycięzonego bohatera zakonu stanowiła cierń w boku Drakkena.

Musi to mieć związek z Blackwater - pomyślał, wychodząc zza rogu habitatu z piaskowca i dając sygnał swoim ludziom, by podążali za nim. To, jak trzymali się razem...

Głos sierżanta zwiadowców Mishiny wyrwał go z zamyślenia.

- Kapitanie - rozbrzmiał głos zwiadowcy w komunikatorze. - Tu Cię Jeden. Mamy ruch w okolicy celu.

Drakken natychmiast uniósł dłoń, nakazując swoim ludziom wracać pod osłonę budynku.

- Szczegóły, Mishina.

- Konwój lekko opancerzonych pojazdów orków jedzie główną drogą w kierunku wieży komunikacyjnej, bracie-kapitanie. Pierwsze maszyny zajęły już na plac przed nią.

- Liczebność?

Mishina zamilkł na kilka sekund, po czym odpowiedział:

- Widzę przynajmniej trzydzieści pojazdów i chmury pyłu wzbijane przez kolejne z tyłu. Jeśli zbyt wcześnie zorientują się o naszej obecności, mój panie, będziemy mieć kłopoty. I to niemałe.

Sierżant Wemer i jego oddział skręcili na wschód u podstawy muru obronnego, podążając za widocznymi w podczerwieni plamami pozostawionymi przez zwiadowców Vermiana i Rogara, którzy otrzymali za zadanie wytyczenie ścieżki od wyłomu w murze do oczyszczalni wody.

Do tej pory nie musieli ani razu otwierać ognia z bolterów.

W przypadku tak precyzyjnych zadań - pomyślał Wernerim im dłużej tak pozostanie, tym lepiej. Podziwiał swych towarzyszy z kompanii. Co kilka przecznic, gdy jego tryb noktowizyjny zamieniał ciemną noc w ponury dzień, zauważał ciała orczych strażników ukryte w poczerniałych wnękach wejść lub wciśnięte pomiędzy poznaczone dziurami po kulach beczki i skrzynie. W ciemności nic nie było w stanie przebić milczącej dobranocki noża podryzającego gardło.

Zwiadowcy znali się na swojej robocie. Przy odrobinie szczęścia Werner i jego oddział mieli szansę dotrzeć do oczyszczalni zanim jakkolwiek obca szumowina podniesie alarm. Wtedy, rzecz jasna, będą musieli porzucić wszelkie pozory działań w ukryciu. Sprawy przybiorą nieco bardziej jawny obrót. O to miały już zadbać ładunki termiczne. Po ich wysadzeniu cała ta przeklęta planeta dowie się, że Szkarłatne Pięści przybyły, by siać śmierć i zniszczenie w imieniu Imperatora.

Werner spodziewał się, że będą musieli wywalczyć sobie drogę powrotną. Ulice szybko zapełnią się bestialskimi kanalami. Lecz gdy znajdą się już za murem, pozostanie im tylko wezwać Thunderhawki i utrzymać pozycję do czasu ich przybycia. Wszystkie późniejsze wydarzenia zależały od pilotów, strzelców pokładowych i nawigatorów. Wemer nie kłopotał się sprawami, na które nie miał wpływu. Po prostu taki już był.

Usłyszał, że Drakken próbuje wywołać jego częstotliwość.

- Leo, zgłoś się.

- Jestem, mój panie. Słucham.

- Wasz status?

- Znajdujemy się jakiś kilometr od celu. Zwiadowcy zajęli pozycje snajperskie. Jak na razie aktywność orków jest minimalna, ale wkrótce się to zmieni, jak sędzę.

- Nie mylisz się - powiedział Drakken. - Wokół wieży komunikacyjnej aż roi się od zielonoskórych. Obawiam się, że w związku z tym musimy zmienić plan.

Wemer natychmiast kazał swoim ludziom się zatrzymać. Wszyscy przeszli w tryb czuwania, a lufy ich bolterów natychmiast omiotły wszystkie dachy, rogi ulic, drzwi i boczne alejki.

- Słucham, bracie-kapitanie - odpowiedział Werner.

- Z północy nadjechały lekkie pojazdy orków. Kontaktowałem się z sierżantem Solarim. Twierdzi, że ani jego ścigaczy, ani jego ludzi nikt nie widział. Wrócili na pokład Thunderhawka i czekają na rozkazy, w razie gdybyśmy potrzebowali wsparcia powietrznego. Posłuchaj uważnie, Leo, wiem, że rozmawialiśmy na temat ataku, ale teraz naszą jedyną nadzieją na zniszczenie wieży komunikacyjnej jest odciążenie części obrońców. Chcę, żeby twoją drużyna uderzyła najpierw i narobiła tak wiele hałasu, jak to tylko możliwe.

Werner zaklął w duchu. Logice kapitana nie można było niczego odmówić, oczywiście, założenia nowego planu również były bez zarzutu, ale oznaczało to, że prowadził swoich ludzi prosto w ogień. Lekkie pojazdy pancerne orków może i wyglądały jak bezwartościowe rzęchy, ale były szybkie, a ciężkie działa zielonoskórych, o ile działały poprawnie, były równie niszczycielskie co broń z arsenału Imperium. Wąskie uliczki zapewniłyby jego podwładnym osłonę przez większość czasu, ale wiedział, że w drodze powrotnej do punktu zbiorczego byłiby zmuszeni pokonać kilka szerokich ulic. To oznaczało bieg po otwartym terenie, prawdopodobnie pod silnym ostrzałem.

Nic nie mógł poradzić. Rozkazy od kapitana były równoznaczne z rozkazami od samego Imperatora. Musiał się im podporządkować, niezależni od wszystkiego.

Werner był Kosmicznym Marine. Poszedłby na pewną śmierć, gdyby jego przełożeni tak rozkazali. Nie martwił się o to, jak umrze. Ważne było dla niego, jak żył.

- Zostaw to nam, mój panie - powiedział. - Oczyszczalnia zapłonie tak jasnym płomieniem, że wszystkie orki pomyślą, iż słońce wstało wcześniej niż zwykle.

- Dobrze. Liczę na ciebie, Leo - rzekł Drakken. - Powiadom mnie, gdy tylko znajdziecie się na pozycjach. Koniec transmisji.

Werner dał sygnał swoim Astartes, którzy ponownie ruszyli w stronę celu przekonani o słuszności swego morderczego gniewu.

Mishina dotarł tak blisko, jak tylko mógł. Nie był w stanie zrobić już nic więcej dla oddziału kapitana Drakkena poza osłanianiem ich ogniem snajperskim i informowaniem o ruchach wroga. Nie było już żadnej cichej roboty do wykonania.

Ta faza operacji dobiegła końca. Odmówiwszy krótką modlitwę dziękczynną do swego śmiertelnościanego ostrza, schował je do pochwy, mając nadzieję, że dziś nie będzie już zmuszony go dobywać. Tej nocy jego nóż odebrał życie szesnastu przerośniętym obcym.

Nieźle, jak na jedną noc, powtarzał sobie. Zastanawiał się, ilu xenos położy trupem jego karabin snajperski, gdy już dojdzie do

wymiany ognia. Miał nadzieję, że więcej niż szesnastu.

Drugi zwiadowca, który miał zapewnić osłonę snajperską dla oddziału Drakkena, był dosyć świeżym nabytkiem o imieniu Janus Kennon.

Kennon był młody. Mishina miał obawy, że niedoświadczony zwiadowca potrzebuje dłuższego szkolenia przed tak krytyczną misją i udał się z tymi wątpliwościami do kapitana Icario. Wyglądało jednak na to, że wrodzone umiejętności Kennona predestynowały go do wielkich rzeczy. Na przestrzeni ostatnich stu lat żaden inny nowicjusz nigdy nie zbliżył się do jego wyników na strzelnicy, nawet w gęstej, symulowanej mgle. Celność i wyczucie Kennona graniczyły z niemożliwością. Mishina odniósł wrażenie, że kapitan Icario widział w młodym Marine swego potencjalnego protegowanego.

W chwili obecnej Kennon przycupnął na rogu pokrytego pyłem dachu mniej więcej osiemset metrów na północny zachód od aktualnej pozycji Mishiny, osłaniając barykadę orków przed wieżą komunikacyjną od zachodniej strony.

Przynajmniej tę pozycję wskazał Kennonowi Mishina. Gdyby to był ktoś inny, sierżant założyłby, że jego rozkazy zostały wykonane co do joty, ale nie w przypadku tego żółtodzioba. Chłopak był zbyt pewny siebie. Pochwały od kapitana uderzyły mu do głowy.

Mishina nie mógł się powstrzymać. Na krótką chwilę skierował noktowizor na północny zachód i przybliżył obraz.

Szybko wychwycił sygnaturę ciepłą Kennona... dokładnie tam, gdzie powinna być.

Poczuł krótkie ukłucie wstydu, że zwątpił w towarzysza ze Szkarłatnych Pięści.

Robisz się zazdrosny, Ezra - pomyślał sobie. Czyżbyś zazdrościł chłopakowi talentu?

Nie masz powodów, żeby w niego wątpić. Przeszedł ten sam proces indoktrynacji psychologicznej co ty. Zaufaj wyborowi kapitana Icario.

Myśli te ledwo przemknęły Mishinie przez głowę, gdy mężczyzna usłyszał w komunikatorze wywołujący go głos Kennona.

- Cień Cztery do Cienia Jeden. Słyszysz mnie pan, sierżancie?

- Słyszę cię, bracie - odparł Mishina. - Mów.

- Sierżancie, nie wiem, czy pan to widzi, ale olbrzymi ork właśnie wysiadł ze swego rodzaju ciężarówki na środku placu. Wchodzi na schody po zachodniej stronie budynku. To musi być przywódca orków. Ten stwór jest równie szeroki co brat Ulis! Mishina szczerze w to wątpił. Ulis był pancernikiem, jednym z szanowanych członków Starszyny zakonu. Miał w ramionach około cztery metry szerokości. Największy ork, jakiego Mishina widział na własne oczy miał trzy metry w barach. Trzeba było bezpośredniego trafienia pociskiem z czołgu Predator, żeby powalić tego sukinkota.

Mishina zmrużył oczy, patrząc na wprost, ale z tego kąta nie był w stanie dostrzec kreatury, o której mówił Kennon. Miał właśnie przeskoczyć na sąsiedni dach, by zyskać lepszy widok, gdy usłyszał głos młodego zwiadowcy:

- Zmierza na dach bunkra. Mam jego paskudny pysk na celowniku, sierżancie. Proszę o natychmiastowe pozwolenie na oddanie strzału.

- Nic pozwalam, bracie - powiedział Mishina. - Utrzymuj pozycję dopóki...

- Mogę go załatwić, sierżancie - nalegał Kennon. - To musi być ich przywódca. Jedno trafienie i cała ta ich wataha pójdzie w rozsypkę. Raz jeszcze stanowczo proszę o

pozwolenie na oddanie strzału.

Głos Mishiny był równie twardy co pocisk z boltera.

- Nie oddasz tego strzału dopóki kapitan Drakken nie wyda rozkazu. Zrozumiano?  
Kennon milczał.

- Spytałem, czy rozumiałeś, bracie?

Z ociąganiem, nawet nie kryjąc pogardy i rozczarowania w głosie, młody zwiadowca potwierdził. Mishina natychmiast na wiązał kontakt z kapitanem Drakkenem.

- Cień Cztery twierdzi, że ma na celowniku orka, który jego zdaniem wygląda na przywódcę zielonoskórych, kapitanie. Prosi o pozwolenie na oddanie strzału.

Drakken nawet nie potrzebował czasu do namysłu.

Odmawiam, Cień Jeden. Nic macie zgody. Sierżant Werner i jego oddział właśnie szykują się do szturm na oczyszczalnię wody. Chcę odciągnąć te orki zanim uderzymy na bunkier komunikacyjny. Czy to jasne?

Było to jasne. Gdyby brat Kennon strzelił - niezależnie od tego czy by trafił, czy spudłował - orki zebrane wokół bunkra skierowałyby swoje pojazdy opancerzone przeciwko najbliższemu zagrożeniu.

Mishina doskonale rozumiał zapał Kennona. Sam chciałby oddać ten strzał. Jedno pociągnięcie za spust, jedno kasznięcie z lufy broni przysporzyłoby mu takiej sławy i honoru, jakiej kiedykolwiek doświadczyła jedynie garstka braci z dziesiątej kompanii. Gdy pomyślał, że ten jeden strzał mógł przyczynić się do rozpadu, a przynajmniej do znacznego opóźnienia potencjalnego Waaagh...

Byłby to nic tylko triumf Kennona - pomyślał Mishina ale coś, z czego mogłaby być dumna cała kompania. Wszyscy tu obecni zostaliby odznaczeni.

Gdzieś z tyłu głowy usłyszał słaby głosik: Liczą się rezultaty. Pozwól Kennonowi strzelić.

Mishina słyszał już kiedyś te niebezpieczne podszepty. Podejrzewał, że usłyszy je jeszcze wiele razy za życia. Zareagował na nie tak samo jak zawsze. Stłamsił je w sobie, tak jak go wyszkolono, tak jak nauczono jego umysł podczas rygorystycznego warunkowania. Utopił je w bezgłośnej litanii powinności.

Pomyśl o zakonie, powtarzał sobie. Pomyśl o patriarsze, o Imperatorze i Terrze.

Nikommu by się nie przysłużył, kierując się poczuciem osobistej dumy. Prawdziwy Astartes był ponad to.

Naraz na ogólnym kanale komunikacyjnym rozbrzmiała krótka wiadomość.

Oddział sierżanta Wenera szykuje się do wysadzenia celu numer dwa - szczeknął Drakken. - Bądźcie gotowi!

Dach zadrżał pod stopami Mishiny od nagłego grzmotu. Oślepiający błysk białego światła, jaśniejszego niż supernowa, rozświetlił całe miasto od strony południowo-wschódniej dzielnicy. Zaraz po niej nastąpiły trzy kolejne, szybkie eksplozje, z których każda wstrząsała miastem niczym kroki potężnego Tytana.

Mishina zacisnął powieki, odwracając głowę z dala od kierunku wybuchów, chcąc uniknąć chwilowego oślepienia przez ich blask. Oddział sierżanta Wenera przypuścił atak na oczyszczalnię wody w iście spektakularnym stylu. Wszelkie procedury działania w ukryciu przestały mieć zastosowanie.

Gdy huk wybuchów termicznych zamienił się w dzwonienie w uszach, Mishina otworzył oczy. Z budynków otaczających bunkier komunikacyjny dobiegła go



potworna kakofonia orczych gardłowych wrzasków, które mieszały się z rykiem potężnych, plujących spalinami silników.

Uliczki i alejki otaczające oczyszczalnię wody rozbrzmiały odległymi wystrzałami z broni. Nadnaturalnie wyczulony słuch Mishiny wyłowił charakterystyczny szcęk boterów w odległości jakichś dziesięciu kilometrów. Trwała wyjątkowo zażarta wymiana ognia. Mężczyzna odmówił pod nosem modlitwę do Imperatora za bezpieczeństwo sierżanta Wenera i jego ludzi. Z placu przed bunkrem komunikacyjnym w kierunku wystrzałów odjeżdżały właśnie pierwsze motocykle i buggy zielonoskórych. Ich silniki warczały i parskaly jak dzikie zwierzęta. Właśnie tak, wy bezmózgie stwory pomyślał Mishina. Jazda stąd. Sprawdźcie, co się tam dzieje.

Wszystko odbywało się zgodnie z przewidywaniami kapitana Drakkena. Po raz pierwszy, od kiedy ujrzeli pojazdy orków, Mishina zaczął mieć prawdziwe przekonanie, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Właśnie wtedy ponownie usłyszał w komunikatorze głos Kennona.

- Herszt jest w ruchu, sierżancie. Nie mogę dłużej czekać. Oddaję strzał! Mishina niemal się zapomniał. Zwiadowcy byli z natury cichymi ludźmi. Podniesiony głos z reguły wystarczył, by zdradzić ich pozycje. Mimo to niemal zaczął krzyczeć do komunikatora.

Wstrzymaj ten cholerny ogień! To rozkaz. Na Tron, jeśli pociągniesz za spust, młokosie, każę się obedrzeć żywcem ze skóry! Wyraziłem się jasno...

Krótki rozbłysk niebieskawo-zielonego światła rozjarzył plac przed bunkrem komunikacyjnym. Mishina poczuł, że jego główne serce na chwilę zamarło.

Instynktownie wiedział, co to oznaczało. Kennon mimo wszystko strzelił.

Przybliżony obraz potwierdził to, gdy Kennon pociągnął za spust po raz drugi, a potem trzeci. Wszystkie kule snajpera dosięgły celu, ale rozbijały się w krótkich, nieszkodliwych rozbłyskach na jakiegoś rodzaju niewidzialnej tarczy energetycznej. Przybliżywszy obraz, Mishina dostrzegł generator przypięty do pleców potwora. Żaden snajper nie miał szans powalić tej bestii. Kennon właśnie zdradził swoją pozycję na nic.

Herszt orków obrócił się w kierunku Kennona. nabrał powietrza w płuca i wydał z siebie bitewny ryk, który wydawał się trząść posadami całego miasta.

Mishina mimowolnie zauważył, że Kennon wcale nie przesadzał, mówiąc o rozmiarach tej kreatury. Naprawdę budziła grozę, a masywna, kanciasta maszyna na jej plecach dodatkowo potęgowała ten efekt.

Pół sekundy po tym jak myśl ta przemknęła mu przez głowę, oślepiło go białe światło. Orki na dachu zwróciły szperacze w kierunku ciemnych dachów, a noktowizor sierżanta zwiadowców nie był w stanie dostatecznie szybko zareagować na niespodziewaną jasność. Mishina osłonił oczy dłonią. Szczeknęły karabiny maszynowe i ciężka broń, plując ogniem we wszystkich kierunkach. Z gardeł niezliczonej liczby obcych padały groźby i wyzwania w gardłowym języku, który uchodził za formę ich komunikacji.

Wszelkie szanse na odciążenie sił zielonoskórych od wieży komunikacyjnej spadły do zera.

- Cień Jeden do kapitana Drakkena - powiedział szybko Mishina.

- Może sobie pan darować, sierżancie - warknął Drakken po drugiej stronie.  
W atramentowej ciemności, gdzie nie dosięgały snopy orczych szperaczy, niczym światła stroboskopów rozbłysły lufy bolterów braci bitewnych, którzy właśnie ruszyli w bój, kładąc trupem pierwszych przeciwników tej nocy. - Jeśli to przeżyjemy - kontynuował rozwścieczony Drakken - będzie mógł pan osobiście wyjaśnić radzie zakonu, co się tu u licha wydarzyło.

Mishina zaklął siarczyście i obiecał sobie, że dopilnuje, by Kennon za to zawisł. Następnie odbezpieczył karabin boltowy, sprawdził, czy w komorze znajduje się pocisk, po czym omiótł ulicę poniżej swojej pozycji, sektor po sektorze, wypatrując czegokolwiek, co mogłoby zagrozić od flanki ludziom Drakkena podczas szturm na cel.

Kanonada po obu stronach trwała długimi godzinami.

Suche, pokryte pyłem ulice Krugerport wkrótce spłynęły czerwienią.

- Astartes, wycofać się! - ryknął Drakken.

Nie był pewien, że go słyszą. Nie miał pewności, czy obwody mikrowokalne w ryngrafie wciąż przekazywały jego głos. W hełm trafił orczy pocisk plazmowy, który przepalił ceramitową płytę i oparzył mu ciało na lewym policzku.

Wizjer przestał działać. Oślepiiony mężczyzna zmuszony był pośpiesznie zerwać zniszczony hełm z głowy, czując grad pocisków dzwoniących o powierzchnię pancerza. Nie pozostało mu nic innego jak wykrzykiwać rozkazy, pośród świstu kul z karabinów maszynowych i wybuchów pocisków artyleryjskich, które wyrywały dziury w ścianach habitatów po obu stronach ulicy.

Przeciwników przybywało. Wylewali się ze wszystkich stron, niezależnie od tego, ile kul on i jego Pięści wystrzeliły w ich stronę. Do tego momentu zabili już dziesiątki, może nawet setki potężnie umięśnionych obcych, ale ich natarcie nie słabło. Bez najmniejszego szacunku wdeptywali ciała swoich martwych towarzyszy w krwawy pył. Ciągnął się za nimi paskudny fetor, który Drakken dobrze znał - smród skwaśniałego potu i grzybów, gorszy niż gnijące śmieci.

Trzymając na muszce największego, najciemniejszego orka, którego zobaczył, Drakken pociągnął za spust pistoletu boltowego. Nic. Niewiele myśląc, wymienił magazynek, poruszając opancerzonymi palcami z wyuczoną szybkością. Ponownie wycelował broń. Stwór pokonał w tym czasie ponad dziesięć metrów, biegnąc niezdarnie na nogach szerokich jak tors dorosłego mężczyzny. Kapitan wystrzelił. Pocisk trafił kreaturę prosto w spadziste czoło.

To go jednak nie powstrzymało. Orki nie tak łatwo było zabić. Sekundę później wybuch pocisku rozsądził czaszkę orka. Jego ciężkie, bezgłowe truchło runęło na pylistą ulicę, obficie brocząc czerwoną posoką.

Drakken na sekundę spojrzął w alejkę za sobą i zobaczył, że rozkaz dotarł do jego ludzi. Oddział bardzo powoli przesuwał się w kierunku wyłomu, przez który weszli do miasta. Tam mieli spotkać się z grupą sierżanta Wenera. Ci, którzy jako pierwsi dotarli do przerwy w murze, mieli utrzymać pozycje i poczekać na pozostałych.

Po drugiej stronie ulicy, w cieniu innego habitatu, Drakken zobaczył jednego ze swych Astartes, brata Cero, który osłaniał ich ogniem z ciężkiego boltera. Masywna broń warczała i terkotała, szerokim łukiem wypluwając z siebie śmiertcionosne

pociski i zamieniając pierwsze szeregi szarżujących orków w krwawe strzępy. Śmierć zebrała tak wielkie żniwa, że natarcie orków chwilowo się załamało, gdy ci, którzy biegli za poległymi odwrócili się, by znaleźć schronienie za osłoną.

Drakken wykorzystał ich chwilowe zawahanie, by przebiec przez ulicę i skryć się za zasłoną obok Cero.

- Czy pozostali słyszą mnie przez komunikator? - krzyknął wprost w ucho podwładnego.

Ryk ciężkiego boltera powinien zagłuszyć jego słowa, ale implant uszny Lymana był w stanie odfiltrować i wyłović nawet najcichsze odgłosy. Cero usłyszał swojego kapitana i odpowiedział, nawet nie odwracając się od swoich celów:

- Słyszają pana, kapitanie. Sierżant Werner właśnie poinformował, że jego oddział zabezpieczył wyłom. Utrzymują tę pozycję, ale zwiadowcy donoszą, że xenos nadciągają ze wszystkich stron.

- Dlatego musimy się stąd wynosić. Dlaczego nie posłuchałeś mojego rozkazu?

- Ktoś musi osłaniać wasz odwrót, mój panie.

- Nie jesteś w stanie poruszać się równie szybko jak ja - powiedział Drakken. - Chcę, żebyś dotarł do południowego rogu habitatu. Ruszaj natychmiast. Podążę za tobą, gdy znajdziesz się na pozycji strzeleckiej!

Cero wypuścił ostatnią serię pocisków, po czym wybiegł spod osłony habitatu w stronę końca uliczki, gdzie jego bracia walczyli z wrogimi siłami ze wschodu. Gdy to uczynił, Drakken wychylił się zza podziurawionego kulami murku z piaskowca i zaczął strzelać do najbliższych zielonoskórych. Każdy pocisk wyłączał z walki kolejnego przeciwnika, o ile nie zabijał go na miejscu.

Cero ze wszystkich sił przebierał nogami, ale broń i zamontowana na plecach amunicja wyraźnie ciążyła mu i znacząco go spowalniała. Marine nawet nie zauważył masywnej postaci, która wychyliła się ponad krawędzią dachu po jego prawej stronie. O obecności napastnika przekonał się dopiero, gdy jasny promień z działa laserowego - broni zagrabionej jakimś martwemu gwardziście imperialnemu - przeszła oba jego kolana, z łatwością przecinając kości, ciało i ceramitowy pancerz. Cero runął jak długi, wyjąc z bólu. Z odciętych kikutów siknęła gorąca krew.

Drakken odwrócił się i zobaczył, że jego brat bitewny czołga się, pomimo bólu, w kierunku upuszczonej broni, desperacko chcąc odpowiedzieć ogniem bestii, która go okaleczyła.

Jednak wspomniany stwór zdążył już zniknąć. Nie było po nim śladu. Gdy orki po północnej stronie zobaczyły upadek Kosmicznego Marine, ponownie rzuciły się naprzód, rozwścieczone widokiem świeżej krwi i krzykami agonii przeciwnika.

- Potrzebujemy ognia zaporowego - zażądał Drakken przez komunikator.

Gdyby był w stanie usłyszeć głosy swoich Astartes, wiedziałby, że oni sami znaleźli się pod silnym ostrzałem. Ulice wprost roily się od orków. Ich pojazdy pędziły szerszymi arteriami miasta, plując ołowiem z umieszczonych na wieżyczkach broni. Drakken położył trupem kolejne trzy najbliższe orki. Kończyła mu się amunicja.

Zerwał z pasa granat odłamkowy, jednocześnie go odbezpieczając, i rzucił w stronę przeciwników. Chwilę później wypadł zza osłony, biegnąc wprost w kierunku Cero, który wciąż leżał na środku ulicy.

Za jego plecami rozległ się głośny huk, a zaraz po nim chór obcych ryków.

Mężczyzna dopadł do boku Cero.

- Zostaw broń, bracie. Chwyć mnie pod ramię. Szybko!

- Uciekaj, mój panie - powiedział Cero. - Wciąż mogę osłaniać twój odwrót.

Z ciemnej alejki po lewej stronie wyłonił się olbrzymi ork z dwoma rembakami uniesionymi do uderzenia. Drakken zauważył go zbyt późno. Nie miał czasu na wycelowanie broni.

Stwór otworzył gębę pełną ostrych jak brzytwa zębów i wydał z siebie bitewny ryk, zmniejszając dystans. Nagle głowa orka poleciała w tył, a w prawej skroni pojawiła się ziejąca dziura. Potwór padł na kolana. Chwilę później jego głowa eksplodowała posoką i odłamkami kości.

Drakken spojrzał w górę, odruchowo przygotowując się do strzału, i zobaczył sierżanta Mishinę, który stał na krawędzi pobliskiego dachu, mocno przyciskając kolbę swego karabinu snajperskiego do ramienia.

- Musimy uciekać, mój panie - krzyknął zwiadowca. Wystrzelił kolejne cztery pociski w głąb ulicy, trafiając cele z niebywałą precyzją. Cztery mosiężne łuski upadły u jego stóp. Cztery orki padły na ziemię, przewracając kolejne stwory podążające tuż za nimi.

- Zostaw broń - warknął Drakken do Cero.

Marine wypuścił z dłoni ciężki bolter i odpiął pas z nabojami, podczas gdy Drakken uwolnił go od ciężaru nieporęcznego plecaka.

- Zaczekaj - powiedział kapitan, łapiąc nadgarstek Cero. - Zaciągnę cię...

Promień białego światła przeciął jego słowa w pół.

Ból pojawił się znikąd, niczym ogień trawiący każdy jego nerw. Krzyknąłby, ale płuca były puste i nie chciały się napełnić na nowo. Gdzieś z oddali usłyszał rozpaczliwy krzyk Cero, któremu towarzyszyły odgłosy wystrzałów.

Tylko czemu wszystko było tak ciche, tak straszliwie odległe?

Ból przeminął szybko i całkowicie, jakby wszystko mu się przyśniło. Teraz zastąpiło go uczucie spadania. Wiedział, że uderzył o ziemię, gdy to uczucie przeminęło, mimo że nie poczuł uderzenia. Jego wewnętrzny głos przemówił do niego po raz ostatni, ciszej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Więc tak wygląda śmierć - powiedział. - Jest cieplejsza niż się spodziewałem.

Gdyby sierżant zwiadowców Mishina odwrócił się zaledwie ułamek sekundy wcześniej, mógłby strzelić do zabójcy kapitana. Nie zmieniało to faktu, że i tak nie zdołałby uratować Ashora Drakkena. Sylwetka szarżującego orka, który ruszył już w głąb ulicy w poszukiwaniu kolejnej ofiary, jedynie mignęła mu przed oczami, ale to wystarczyło, by go rozpoznać.

Urzog Mag-Kull. Ogromny arcyherszt, do którego Kennon strzelił jako pierwszy, wywołując cały ten cholerny bałagan.

Pociski Mishiny odbiłyby się od pola energetycznego potwora, tak samo jak strzały Kennona. Ale gdyby miał choćby cień szansy, to i tak otworzyłby ogień.

Brat Cero wciąż żył. Odcięte na wysokości kolan nogi uniemożliwiały mu ucieczkę bez czyjejś pomocy. Mężczyzna lewą ręką podtrzymywał opancerzone ciało martwego kapitana. W prawej dłoni ścisnął pistolet boltowy poległego dowódcy.

Mishina słyszał, że Cero powtarza w kółko jedno słowo -Nie! - rozpaczliwie próbując

wyprzeć z umysłu śmierć kapitana, a może to, co postrzegał jako swoją w tym rolę. Orki były zaledwie dwieście metrów od Cero i teraz zbliżały się już bez żadnych przeszkód. Spowalniał je tylko fakt, że nieustannie się przepychały i siłowały ze sobą, by znaleźć się w pierwszym szeregu, gdzie miały większą szansę na zabicie kogoś.

- Tu Cień Jeden! - krzyknął Mishina przełączając się na kanał ogólny. - Kapitan Drakken poległ! Powtarzam, kapitan Drakken poległ!

Chwilę później przeładował broń, po czym opadł na jedno kolano, zdeterminowany, by utrzymać swoją pozycję, skąd mógł przynajmniej próbować osłaniać Cero i powstrzymać orki przez zbezczeszczeniem zwłok kapitana.

Sierżant Werner odpowiedział, z trudem zachowując spokój. Wyraźnie nie chciał uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Nie miał innego wyjścia. Bracia ze Szkarłatnych Pięści nie mieli w zwyczaju kłamać.

- Określ swoją pozycję, Cień Jeden.

Mishina otworzył usta, wznawiając ogień. Miał przed sobą tyle celów, że nie sposób było chybić.

- Dwa kilometry na północny-wschód od was — odparł. -Pospieszcie się! Sam ich nie powstrzymam.

Kątem oka dostrzegł ruch na zachodzie. Poczul jak habitat zadrżał pod jego stopami, a po chwili zobaczył chmurę pyłu, który wzbił w powietrze przejazd pojazdów opancerzonych zmierzających wprost w kierunku wylomu w murze; w stronę pozostałych Astartes.

Na wszystkich świętych, zaklął Mishina.

- Zapomnijcie o nas, sierżancie - powiedział do Wenera.

Właśnie widziałem dużą kolumnę pancerną, która zmierza w waszą stronę. Niech pan zabiera swój oddział i wynoście się stąd. Ktoś musi złożyć raport radzie zakonnej.

- Do diabła, nie zostawię im ciała kapitana! - ryknął Werner. - Nie tutaj!

Mishina doskonale wiedział, że żadne słowa nie przekonają sierżanta. Zamiast tego powiedział tylko:

- Wobec tego, na Tron, natychmiast wezwij Thunderhawki! Bez wsparcia powietrznego żaden z nas nie ujdzie stąd żywy!

## 6

### Arx Tyrannus, Góry Diabelskiego Ostrza

- Jeszcze raz - powiedział Kantor. - Chcę tego wysłuchać raz jeszcze.

Minęło piętnaście dni od czasu potyczki w Krugerporcie. Zaledwie siedem godzin temu Krzyżowiec przybił do stacji Raxa, głównej orbitalnej stacji zaopatrzeniowej, która krążyła w połowie drogi pomiędzy Światem Rynn a jego najbliższym księżycem, Dantienne. Gdy na pokład załadowano już odpowiednią ilość paliwa, Krzyżowiec otworzył wrota hangaru i dwa ocalałe Thunderhawki opadły na powierzchnię planety z poturbowanymi niedobitkami sił ekspedycyjnych na pokładach. Mistrz Zakonu wyszedł im na spotkanie na płytę lądowiska Arx Tyrannus, gdy pierwsze promienie słońca pojawiły się nad wschodnimi szczytami. Szkarłatne Pięści niezwykle rzadko powracały do swego sanktuarium tak zdziesiątkowane. Z osiemdziesięciu czterech Kosmicznych Marines zaledwie dwudziestu ośmiu wróciło żywych. Większość z nich była ranna, choć dwaj towarzyszący im medycy, Arvano Ruillus i Lyrus Vayne, dokładali wszelkich starań, by połatać ich w drodze powrotnej. Ciała Astartes szybko się regenerowały, jednak tylko kapelani z sanktuarium byli w stanie uzdrowić ich złamanego ducha.

Thunderhawki wylądowały trzy godziny temu. Natychmiast rozpoczęto skany sensoryjne oraz przyjmowano raporty. Zwołano pierwszą z wielu sesji rady. Zakon otrzymał naprawdę potężny cios. Wszyscy mieszkańcy fortecy-klasztoru, nawet podrzędni słudzy, szybko usłyszeli o stratach poniesionych przez trzecią i dziesiątą kompanię. Wielu wybrańców otwarcie łkało. W rekluzjum trwało czuwanie.

Tu w Strategium, ponad wielkim, kryształowym stołem, zapanowała ponura, ciężka atmosfera. Jej źródłem było puste, onyskowe krzesło Drakkena.

Ashor Drakken nie żył! Było to niemal niepojęte. Kantor odczuł tę stratę tak, jakby to on sam odniósł ranę. Utracił nie tylko zaufanego i szanowanego brata, lecz również wielu członków trzeciej, którą Kantor niegdyś prowadził do walki. Kapitan trzeciej kompanii był wzorem dla innych Astartes - stoickim, odważnym i oddanym wojownikiem. W odpowiednim czasie musieli złożyć mu hołd. W tej chwili jednak najważniejsza była przechwycona wiadomość orków. Chwilę przed tym jak ich statek uciekł z systemu Freiya, wchodząc w osnowę, zaledwie kilka minut zanim ciężkie krążowniki orków byłyby w stanie otworzyć do nich ogień, anteny grzbietowe Krzyżowca odebrały niekodowany, nieskompresowany sygnał.

Na rozkaz Kantora Mistrz Kuźni Adon ponownie otworzył jego tłumaczenie od początku. W tle urywanych, mechanicznych tonów syntezowanego głosu jednostki translacyjnej, dało się słyszeć cichy gardłowy i parszający pseudo-język orczego mówcy.

- Wy słuchać Snagrod, Arcypodpalacza z Charadon. Ludź w niebieska-skorupa trup. Ork żyw. Tu walka, ork zabić ludź w niebieska-skorupa. Ork silniejszy, twardszy, większy. Ork walczyć z ludź w niebieska-skorupa znowu. Dobra walka. Ork atakować świat ludź w niebieska-skorupa. Oni nie uciekać. Ludź nie-skorupa też

umrzeć. Dużo. Dużo walka. Dużo zabijać. Ork rosnać. Waaagh! rosnać. Świat ludź w niebieska-skorupa w ogniu. Ludź płonąć. Sagrod nie przestawać. Przybyć szybko. Gdy głos syntezatora umilkł, Kantor powiódł spojrzeniem wokół stołu. Wszyscy zgromadzeni Astartes, za wyjątkiem skrytego za metalową maską Mistrza Kuźni, marszczyli gniewnie brwi. Mimo prostoty języka obcych, sens wypowiedzi był jasny. Głos należał do Snagroda, a jego zamiary były aż nadto oczywiste.

Kapitan Cortez odezwał się zanim ktokolwiek inny zdążył otworzyć usta.

- Wrócimy tam z całą flotą, jaką mamy. Potniemy ich statki na kawałeczki i zamienimy całą planetę w kulę roztopionego żużlu. - Spojrzał na Kantora, po czym dodał: - Powinniśmy byli tak zrobić od samego początku.

Drigo Alvarez zareagował na jego słowa, nawet nie patrząc w stronę Corteza.

- I zapewne to ty, mój niezwykły bracie, wyjaśnisz Najwyższemu Lordom Terry, dlaczego nadający się do zamieszkania świat wraz ze wszystkimi jego zasobami właśnie stał się zupełnie bezużyteczny dla Imperium. Z przyjemnością wyruszę z tobą tylko po to, by zobaczyć ich reakcję.

- Gdy już skończymy z obcymi, udam się gdziekolwiek zechcesz - odparował Cortez.

- Dość tego - powiedział Kantor, unosząc dłoń, by uciszyć ich obu. - Badlanding nie stanowi już dla nas celu strategicznego. Orki miały dwa tygodnie, by kompletnie splądrować planetę. Zapewne ruszyły już dalej. W obecnej chwili chcę wiedzieć, kiedy Waaagh może dotrzeć na Świat Rynn, ilu wrogów możemy się spodziewać, a także jakie są nasze możliwości w zakresie odparcia ataku z przestrzeni na pełną skalę.

- Na tym etapie niemożliwa jest trafna ocena sytuacji, mój panie - rzekł Ceval Ranparre. W gestii Mistrza Floty leżało dokonanie tego typu szacunków. - Adon i ja wykonaliśmy kilka symulacji na podstawie okolicznych populacji orków, które mogły odpowiedzieć na pierwotne wezwanie zielonoskórych. Wziąwszy pod uwagę braki w danych, ich trafność jest mocno wątpliwa. Mimo to obaj uważamy, że to, co widzieliśmy do tej pory, stanowi jedynie fragment sił, którym przyjdzie nam stawić czoła. W czasie kiedy Krzyżowiec wracał do bazy utraciliśmy kontakt z jedenastoma zamieszkanymi systemami. Wszystkie położone są na wschodnich krańcach naszego sektora i wszystkie były celami ataków zielonoskórych w przeszłości. Od czasu incydentu na Badlanding nie otrzymaliśmy od nich żadnych wiadomości. Nie słyszeliśmy też o żadnych ocalałych imperialnych jednostkach. Nie otrzymaliśmy również żadnych wieści z wysuniętych przyczółków marynarki na Dagoth, Cantatus III, Heliod czy Gamma Precidio. Cała wschodnia rubież zupełnie umilkła. Nawet biorąc pod uwagę nieprzewidywalne prądy osnowy, nie dawałbym nam więcej jak dziesięć dni na przygotowania. W zależności od tego, który system padnie następny, może się okazać, że mamy ich zaledwie sześć.

- Sześć dni - mruknął Selig Torres. - My będziemy w stanie zmobilizować siły na czas, ale Gwardia Rynn i Flota Obrony Planetarnej już nie. Nie przed czymś takim. Ranparre skrzyżował spojrzenia z Torresem i nie spuszczał wzroku, mówiąc:

- Jako że wróg zdradził nam swoje plany, osnowa zadziała na naszą korzyść. Statki orków będą zmuszone przeniknąć do rzeczywistej przestrzeni stosunkowo daleko od jakichkolwiek studni grawitacyjnych, podobnie jak nasze okręty. Już samo to powinno dać nam od czterdziestu do pięćdziesięciu pięciu godzin, podczas których

możemy oznaczyć, prześledzić i przeanalizować flotę orków, a następnie odpowiednio przegrupować nasze siły na wysokiej orbicie. Jako dowódca floty zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby żaden ork nie postawił stopy na tym świecie.

- Ani na chwilę w to nie wątpię - powiedział Kantor. - Mimo wszystko chcę, żeby każda jednostka naziemna była w pełnej gotowości bojowej. Szykując się do obrony, podzielimy nasze siły pomiędzy fortecę-klasztór i stolicę.

- A co z pozostałymi prowincjami? - spytał Olbyn Kadena, kapitan szóstej kompanii, Mistrz Straży.

Kator spojrział na niego i pokręcił głową.

- Nie możemy ryzykować zbytniego rozdrobnienia naszych sił. Poślę braci z kompanii krucjaty, by doglądali przygotowań, ale wezwę ich z powrotem, gdy tylko dojdzie do walk. Będziemy się bronić tu i w stolicy.

W Nowym Mieście Rynn i na okolicznych terenach mieszkało mniej więcej osiem procent rynnickiej populacji - nieco ponad szesnaście milionów ludzi. Drugie w kolejności największe miasto na planecie miało mniej niż trzy miliony mieszkańców. Większość tych, którzy mieszkali poza miastami, stanowili pracownicy kontraktowi, którzy służyli w dziesiątkach tysięcy agrokomun pokrywających większość gruntów rolnych na trzech kontynentach.

- Gwardia Rynn i władze Civitas poradzą sobie z uchodźcami - ciągnął Kantor.

- Naszym głównym zadaniem będzie eliminacja xenos.

Mężczyzna odwrócił się do kapitana Alveza i powiedział:

- Drigo, powierzam ci dowodzenie oddziałami, które będą bronić Nowego Rynn. Zajmiecie Cassar. Wyznaczę kilka drużyn z kompanii krucjaty, które wam pomogą. Twarz Alveza zdradzała oznaki zaniepokojenia.

- Nie martw się, bracie - powiedział Kantor, zauważając wyraz twarzy kapitana.

- Poinstruję ich, by wykonywali twoje rozkazy, jakby pochodziły wprost ode mnie.

Cassar jest dobrze zaopatrzony i stacjonuje tam już blisko czterystu wybrańców.

Mimo to powinieneś przygotować listę potrzeb do za twierdzenia przeze mnie.

Następnie Kantor zwrócił się do Mistrza Floty.

- Bracie Ranparre, jak szybko możemy odwołać Prosperine i Hadriusa ze szlaków handlowych N'goth-Katar? Ich siła ognia może okazać bardzo przydatna na miejscu.

- W zależności od prądów osnowy, mój panie, ich przylot zająłby w najlepszym wypadku dziesięć tygodni. Przesłanie im nowych rozkazów zajęłoby dodatkowo połowę tego czasu.

- W sumie piętnaście tygodni - rzekł kwaśno Kantor. - Nie. To za długo. Szlaki handlowe mogą okazać się istotne, jeśli ta wojna zacznie się przeciągać. Zostawmy te okręty tam, gdzie są. Jak szybko możemy przywołać resztę naszej floty?

- Większość floty znajduje się w odległości kilku dni podróży osnową. Na swój sposób, mój panie, mamy szczęście, że ten kryzys przyszedł tak krótko po Dniu Założenia. Nasze statki nie miały czasu się oddalić. Większość z nich wróci na czas.

- To już coś - parsknął Cortez po drugiej stronie stołu.

- Zrób tak - powiedział Kantor. - Przywołaj je z powrotem i dopilnuj, by lokalne siły marynarki utworzyły linię obronną, której centralnym punktem będzie nasza wschodnia flank. Orki zaatakują bezpośrednio od strony przestrzeni, którą już podbiły. Jak zawsze, bracie, powierzam dowodzenie całą flotą tobie. Ja będę stąd



osobiście dowodził naszymi naziemnymi instalacjami obrony orbitalnej. Obiecuję ci, że będziesz mieć wsparcie wszystkich dział plazmowych i baterii raketowych na planecie. Jeśli jest coś, co mogłoby ci w jakikolwiek sposób pomóc w walce, skontaktuj się ze mną osobiście, a ja dopilnuję, byś to otrzymał. Będziesz naszą pierwszą linią obrony, Ceval. Jeśli Imperator pozwoli, będziesz też jedyną linią, jakiej będziemy potrzebować.

Na te słowa Mistrz Floty uniósł kąciki ust, ale uśmiech nie objął jego ciemnych oczu.

- Jeśli zielonoskórzy ośmielą się wkroczyć do naszej przestrzeni, zgotuję im piekło, panie. Możesz być tego pewien. Czy mogę już iść, o ile nie wymagasz już mojej obecności? Jest wiele do zrobienia i chciałbym się zabrać do pracy.

Kantor wstał, nakazując całej radzie uczynić to samo.

- Ruszaj, bracie - powiedział. - Niech Dorn czuwa nad tobą, gdy będziesz celebrować śmierć każdego naszego wroga.

- Niech czuwa nad nami wszystkimi - odparł Ranparre. Zasalutował, uderzając pięścią o napierśnik, odwrócił się od stołu i wyszedł przez zachodnie wrota Strategium.

Wciąż stojąc, Drigo Alvez powiedział:

- Jeśli mam wkrótce udać się do Nowego Rynn, mój panie, to ja również proszę o zezwolenie na rozpoczęcie przygotowań.

Oczy Kantora napotkały spojrzenie kapitana, który niemal dorównywał mu wzrostem.

- Idź, Drigo - powiedział. - Później cię wezwę. Wciąż jest wiele rzeczy, o których musimy porozmawiać. Na razie jednak lepiej będzie, jeśli zaczniesz przygotowania. Możesz odejść. Nastąpiła kolejna seria salutów. Chwilę później, jeszcze zanim odgłos ciężkich kroków kapitana Alveza wybrzmiał w powietrzu komnaty, Kantor wykonał gest i powiedział:

- Usiądźcie, bracia.

Członkowie rady usiedli w milczeniu i zadumie. Nawet Cortez wydawał się nadzwyczaj cichy.

- Jak zamierzasz podzielić resztę? - spytał w końcu Torres.

- Większość z was będzie dowodzić swoimi kompaniami na murach klasztoru zgodnie z protokołem obrony w oblężeniu - oznajmił Kantor. - Dziś wieczorem, na godzinę dwudziestą trzecią, zwołam kolejną radę, by omówić szczegóły. Kiedy tylko statki orków wyjdą z osnowy, postawicie w stan gotowości bojowej wszystkich swoich ludzi. Wierzę, że brat Ranparre powstrzyma zielonoskórych. Nigdy wcześniej mnie nie zawiódł. Ale mimo wszystko wolę, by wszyscy byli gotowi. Żaden ork nie ma prawa postawić stopy na uświęconej ziemi naszego domu. Byłoby to dla mnie wielkie i straszliwe świętokradztwo.

- Dla nas wszystkich - wyrzucił z siebie Caldimus Ortiz, kapitan siódmej kompanii, Mistrz Bram. To na nim spoczywała odpowiedzialność, by żaden wróg nigdy nie wdarł się do Arx Tyrannus.

Kantor dostrzegł ogień w oczach Ortiza na samo wspomnienie o zielonoskórych powracających na Świat Rynn. Wodząc wzrokiem po twarzach zebranych ujrzał tę samą ponurą determinację i zimną bezwzględność, która kryła się tuż pod powierzchnią każdego z nich.

Ten tak zwany Arcypodpalacz nas nie docenia - pomyślał. Srogo go za to ukarzymy.

- Wszyscy musicie się przygotować - powiedział Kantor. -Dostosujcie wszystkie ćwiczenia do sytuacji. Jeśli to wszystko, co mieliśmy do omówienia...

- Mój panie - wtrącił Eustace Mendoza - jest jeszcze jedna kwestia, którą musimy poruszyć przed zakończeniem tej sesji.

Kantor odwrócił się do Mistrza Kronikarzy.

- Mów, przyjacielu.

- Wybaczcie, bracia - zaczął Mendoza - że odwracam waszą uwagę od istotniejszych spraw, ale wciąż musimy zdecydować o losie zwiadowcy, Janusa Kennona.

Najwyższy kapelan Tomasi pokiwał złowieszczo głową.

- Brat Kennon jest, przynajmniej po części, odpowiedzialny za ponure straty, jakie nasz zakon poniósł w Krugerporcie. Czy kapitan Icario ma coś do powiedzenia w jego obronie?

Wchodząc do Strategium, Tomasi zdjął trupi hełm, tak jak stanowiło prawo zakonu. Teraz zwrócił swe czarne jak węgiel oczy w stronę niezwykle cichego kapitana dziesiątej kompanii.

Ishmael Icario nie był w stanie spojrzeć najwyższemu kapelanowi w oczy. Zamiast tego mówił z opuszczoną głową, jakby ciążył mu wielki wstyd.

- Synowie Dorna, w niemałym stopniu jestem współwinny zachowania brata Kennona. Chcąc jak najszybciej posłać go na pole bitwy, by przetestować jego umiejętności, zignorowałem sygnały od moich sierzantów. Moje osobiste ambicje przesłoniły mi zdrowy osąd i za to przepraszam. Jeśli on zostanie ukarany, to ja również powinienem ponieść konsekwencje za swoją pomyłkę.

Alessio Cortez parsknął i pokręcił głową.

- Jeśli w drzewo uderzy błyskawica, która wzniesie ogień, to czy jest to wina lasu?

Icario uniósł głowę, zaskoczony.

- Teraz ty będziesz cytować nauki Traegusa mnie, bracie?

Cortez wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kantor ujrzał w łagodnych oczach Icario poczucie porażki, ale trwało to zaledwie chwilę.

- Nikt cię nie obwinia, Ishmaelu — powiedział Mistrz Zakonu. - Dlaczego mielibyśmy to robić? Ja również wiązałem wielkie nadzieje z Janusem Kennonem. Jednak talent jest niczym bez dyscypliny. Kennon nie kierował się zasadami naszego zakonu. Marine, który nie słucha rozkazów, nie poddał się w pełni swemu warunkowaniu psychologicznemu. Nie można nazywać go Kosmicznym Marine. Jeśli wina leży po czyjejkolwiek stronie, to tylko i wyłącznie po stronie Kennona. Czy nie wysłałeś na tę misję sierzanta Mishinę? Czy nie przysporzył on swej kompanii chwały, ryzykując życiem, aby odzyskać ciało kapitana Drakkena z pola bitwy?

- Tak - zagrzmiął najwyższy kapelan Tomasi, spoglądając w stronę Mistrza Zakonu.

- Brat Ezra Mishina dowiódł swej wartości.

Kantor nie mógł nie zauważyć znaczenia kryjącego się za spojrzeniem kapelana.

- W istocie. Nadszedł czas, by dopuścić go do Zanurzenia. Dołączy do trzeciej kompanii, jako pierwszy z wielu, którzy z czasem odbudują jej liczebność. Mam nadzieję, że ucieszysz się to, Ismaelu.

Kantor posłał rzadki, przelotny uśmiech kapitanowi Icario i w końcu ujrzał załazki

wzajemności przebijające się przez kwaśny wyraz twarzy kapitana zwiadowców. Lord Diabelskiego Ostrza uczyni tym zaszczyt zarówno mi, jak i wszystkim dziesięciu kompaniom - powiedział Icario, po czym zamilkł. A gdy jego uśmiech stopniał, dodał: - Wciąż jednak pozostaje kwestia losu Kennona.

- Jak on radzi sobie z poczuciem winy? - spytał Cortez.

- Muszę przyznać, że nie najlepiej - oznajmił Icario. - Mimo wszystko trwa przy swoim postanowieniu o otwarciu ognia do herszta orków, Mag-Kulla.

Ktoś parsknął krótkim śmiechem po lewej stronie Kantora. Matteo Morrelis, Mistrz Ostrzy, kapitan ósmej kompanii, pochylił się, opierając przedramiona na kryształowej powierzchni.

- Zapisy z sensorium dowodzą jego winy bez cienia wątpliwości. Wszyscy je widzieliśmy. Jeśli ktoś nie potrafi podporządkować się hierarchii dowodzenia, niezależnie od okoliczności, to nie jest godny, by nosić nasze barwy i nazywać się naszym bratem.

Kantor miał już coś powiedzieć, gdy Cortez grzmotnął sękatą pięścią w stół.

Wszystkie głowy natychmiast zwróciły się w jego kierunku.

- Gdyby zabił tego orka - warknął Cortez w stronę Morrelisa - nazywalibyśmy go bohaterem. - Następnie zwrócił się do Kantora: - To Kennona awansowałibyście do trzeciej kompanii, a nie Mishinę.

- Ta decyzja nie powinna zależeć od gdyby - zripostował Calidmus Ortiz

- szczególnie, że nie zabił tego orka, bracie.

Cortez posłał Ortizowi gniewne spojrzenie.

- Najwyższy kapelanie - powiedział Kantor. - Czy chciałbyś dodać coś jeszcze zanim wydam oświadczenie?

Odpowiadając, Tomasi wydawał się szczerze zasmucony.

- Utrata jednego z kapitanów zawsze jest tragedią, nie tylko dla zakonu, ale dla całej ludzkości. Ci, którzy nadają się na dowódców stanowią rzadkość. Brat Kennon, lekceważąc bezpośredni rozkaz, znacząco przyczynił się do śmierci jednego z najlepszych członków zakonu. Ashor Drakken był wielokrotnie odznaczanym bohaterem, którego służba trwała od ponad dwóch wieków. Istnieje jednak pewien precedens w tej sprawie. Przeczesał w jego poszukiwaniu archiwa. - Mężczyzna wskazał Eustace'go Mendozę, którzy skinął głową z zamkniętymi oczami. - Kara za spowodowanie na nas takiej katastrofy - ciągnął Tomasi - musi być najsrozsza z możliwych. Nie mamy innego wyjścia, niezależnie od tego, jak bardzo będzie to dla nas bolesne.

Kilku kapitanów pochyliło głowy, słysząc te słowa.

Kantor uczynił podobnie. Gdy uniósł spojrzenie sekundę później, powiedział:

- Podjąłem decyzję. Sprawiedliwości stanie się zadość. Janus Kennon zostanie poddany przemianie w serwitora.

Alessio Cortez zmełł w ustach litanie cichych przekleństw. Mendoza pokiwał głową.

- Librarius będzie gotowy na jego przyjęcie, gdy już zostanie o tym poinformowany.

- Odwracając się do kapitana Icario, dodał: - Proces rozpruwania umysłu jest bolesny.

Nie zamierzam ci kłamać, bracie. Na szczęście twa bardzo krótko. Tyle mogę obiecać. Ismael Icario nie odpowiedział. Oparł ogoloną głowę na dłoniach, kładąc łokcie na kryształowym blacie stołu.

- Wciąż będziemy mogli wykorzystać wrodzone zdolności Kennona - wtrącił Mistrz Kuźni Adon ostrym, maszynowym głosem. - Nie musimy ich zaprzepaszczać. Jako serwitor bojowy będzie służyć zakonowi przez tysiąc lat. Być może, gdy już zostanie wycofany ze służby, to wystarczy, by zmasać plamę na jego honorze.

- To czyjego wina zostanie zmasana leży wyłącznie w gestii samego Imperatora - powiedział Tomasi.

- Ishamelu - powiedział Kantor. - Zabierzesz brata Kennona do librabrium jutro o wschodzie słońca. Zrób to po cichu, gdy pozostali będą obserwować poranne rytuały bojowe. Lepiej będzie, jeśli dowiedzą się już po wszystkim. Chciałbym załatwić tę sprawę i mieć ją już za sobą najszybciej jak to możliwe. Nie możemy pozwolić, by rzucała ona jakikolwiek cień na nabożeństwa żałobne.

- O wschodzie słońca - powtórzył cicho Icario. - Osobiście tego dopilnuje, mój panie. Na chwilę cisza ponownie zapadła nad kryształowym stołem. W końcu Kantor wstał i formalnie zakończył spotkanie, zwalniając pozostałych członków rady. Wiedział, że wkrótce tu wróca.

On i Cortez wychodzili jako ostatni. Gdy szli obok siebie przez ponure, oświetlone płomieniami świec korytarze fortecy, mijając zacienione wnęki, w których stały wiecznie wyprostowane, kamienne posągi przedstawiające dawnych bohaterów, Cortez zadał pytanie staremu przyjacielowi i mistrzowi.

- Myśląc o własnej chwale i o ciosie, jaki zadałoby to wrogowi, ale nie mając pojęcia o technologii, która chroniła tego Mag-Kulla, czyż sam nie oddałbyś tego strzału? Mistrz Zakonu zmarszczył brwi.

- Myślę, że znasz już moją odpowiedź, Alessio.

- Tak sądzę - westchnął ciężko Cortez - tak samo jak ty moją.

- W rzeczy samej.

Ramię w ramię przeszli w milczeniu kolejnych kilka kroków, aż dotarli do skrzyżowania korytarzy, gdzie ich drogi się rozchodziły.

Prywatne komnaty Kantora znajdowały się na najwyższych poziomach centralnej twierdzy, za każdym razem zmuszając go do pokonania setek stopni schodów. Sama ta czynność często pozwalała mu oczyścić umysł. Doskonale wiedział, że jasność myśli przyda się mu w najbliższym czasie bardziej niż w jakiegokolwiek innej sytuacji od dłuższego czasu. Nim dwóch przyjaciół udało się w swoją stronę, Kantor położył rękę na ramieniu Corteza.

- W imię Prymarchy, Alessio, nigdy nie stawiaj mnie w takiej pozycji - powiedział.

- Gdybym musiał osądzić cię w taki sam sposób, jak zrobiłem to dziś z bratem Kennonem, zniszczyłoby mnie to, bracie.

- Nie - odparł Cortez. - Nie zniszczyłoby cię to, Pedro. Masz w sobie dość siły, by uczynić coś takiego. Dlatego właśnie zostałeś wybrany, by nam przewodzić. Kantor uśmiechnął się przelotnie, ale był to pusty gest i Cortez dobrze o tym wiedział. Nie było między nimi żadnych tajemnic. Zbyt dobrze znali siebie nawzajem.

Mistrz Zakonu zdjął rękę z ramienia przyjaciela, odwrócił się w stronę szerokiej klatki schodowej na końcu korytarza i ruszył przed siebie, mając nadzieję, że przynajmniej na dłuższy czas, był to ostatni raz, gdy rozmawiali o odmowie wykonania rozkazów.

## Port kosmiczny Nowego Rynn

### Prowincja Rynnland

Stolica budziła się przy wtórze głębokiego, dudniącego ryku szesnastu Thunderhawków Szkarłatnych Pięści sunących tuż ponad slumsami, które wyrosły wokół jedyne go portu kosmicznego na planecie. Z metalowych kadłubów wysunęły się podwozia. Potężne turbiny zmieniły tonację z ryku w wysoki, pulsujący wizg. Pojazdy osiadły na pasie lądowiska, które zostało uprzątnięte, zaledwie dwadzieścia minut wcześniej, przed ich przybyciem.

Powodem nie było lenistwo, ani brak organizacji pracowników portu kosmicznego Nowego Rynn, lecz fakt, że o przylocie Marines powiedziano im zwyczajnie w ostatniej chwili. Brak wcześniejszego ostrzeżenia był zamierzony. Kapitan Alvez nie chciał, aby mieszkańcy miasta o tym wiedzieli. Nie miał ochoty na przebijanie się przez ulice pełne wiwatujących cywilów. Nie mieliby pojęcia, na czyją cześć wiwatują. Alvez urodził się dla wojny. Czy chcieliby celebrować jego dar do zabijania? Czy chcieliby celebrować setki litrów krwi, które przelewał co roku? Szczerze w to wątpił. Większość z nich czułaby obrzydzenie, gdyby wiedziała, co widział i czego dokonał. A nawet jeśli nie obrzydzenie, to z pewnością strach, który prowadził na krawędź szaleństwa.

Port kosmiczny znajdował się około sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od najdalszego z wielkich murów obronnych stolicy, jednak hałas potężnych turbin Thunderhawków dotarł aż do centrum miasta, majestatycznej, ufortyfikowanej wysypki otoczonej wodami rzeki Rynn. Była to Zona Regis, często nazywana Srebrną Cytadelą, siedziba gubernator oraz drugi dom wszystkich członków Wyższej Izby Rynn. Pośród strzelistych murów leżał Cassar, ogromna twierdza zbudowana przez zakon po inwazji zielonoskórych tysiąc dwieście lat temu z myślą o obsadzeniu garnizonu stolicy Szkarłatnymi Pięściami, gdyby kiedykolwiek jeszcze zaszła taka potrzeba.

Wyglądało na to, że ten czas właśnie nadszedł.

Słońce wychylało się ponad horyzont na wschodzie, gdy silniki Thunderhawków przechodziły w stan spoczynku. Zwykli mieszkańcy, którzy słyszeli ich ryk, zarówno dorośli, jak i dzieci, właśnie się ubierali przed kolejnym dniem pracy w polu lub w manufakturze. Ich pot i znój ku chwale Imperatora nigdy nie był uświetniany na starożytnych rzeźbach, ani obrazach, a ich posążków próżno było szukać na straganach miejskiej Zona Commercica.

Mieszkańcy stolicy przywykli do odgłosu statków przylatujących i odlatujących o najróżniejszych porach dnia. Port kosmiczny wielokrotnie gościł większe i bardziej hałaśliwe okręty niż Thunderhawkki. Poza wieloma naziemnymi lądowiskami, olbrzymia budowla posiadała trzy szerokie cylindryczne wieże, na szczycie których znajdowały się okrągłe płyty lotnisk podtrzymywane przez zawieszenie antygrawitacyjne. Te były w stanie zapewnić przestrzeń nawet dla największych pojazdów trans atmosferycznych. Większość ludzi, którzy usłyszeli ryk Thunder-

hawków, przerwała na chwilę to, co właśnie robiła i nadstawiła uszu. W tych dźwiękach było coś odmiennego. Tylko wojskowe jednostki latały razem i to w takiej liczbie.

Kontaktując się z personelem obsługi powietrznej portu kosmicznego, kapitan Alvez wyraźnie podkreślał, że ich przybycie powinno być zachowane w tajemnicy.

Naczelnemu zarządcy portu przekazał przez sieć wokalizacyjną, że jeśli zostanie na miejscu jakieś chóry, orkiestry lub jakiegokolwiek inne fanfary, to zabije go osobiście. Było więc naturalne, że rozzłościło go, gdy po zejściu z rampy swego Thunderhawka został przywitany przez ponad tysiąc osób w nieskazitelnych mundurach w kremowych barwach.

Gdy tylko ujrzeli jego masywną, pancerną sylwetkę, opadli na jedno kolano i pochyłili głowy. Barczysty mężczyzna ze złotymi pagonami wydał rozkaz, na który wszyscy klęczący żołnierze zakrzyknęli jednym głosem:

- Chwała niech będzie Szkarłatnym Pięściom, prawowitym synom Rogala Dorna, ręki Imperatora i obrońcy ludzkości!

- Na krew Dorna - zaklął cicho Alvez, wiodąc spojrzeniem po szeregach odpucowanych żołnierzy. - Po prostu pięknie.

Za jego plecami kolejni Astartes zaczęli opuszczać statek, maszerując szybko w dół rampy Thunderhawka. Ich ciężkie buty uderzały o metal w idealnym, wojskowym rytmie. Za nimi podążała duża grupa serwitorów, które dźwigały skrzynki z amunicją, bronią i zapasami na każdą możliwą okazję.

Serwitory z portu kosmicznego niezgrabnie ruszyły z miejsca, by im pomóc, a na terenie lądowiska zapanował gwar.

Alvez postąpił kilka kroków i zawołał do Gwardii Rynn:

- Spocznijcie, żołnierze. Stawać na nogi. Ale już!

Członkowie nieproszonego komitetu powitalnego wstali energicznie. Każdy z mężczyzn trzymał wzrok wbity w przestrzeń przed sobą. Żaden nie śmiał krzyżować wzroku z lodowatym spojrzeniem kapitana Kosmicznych Marines. Było oczywiste, że wykonanie komendy spocznij przychodziło im z trudem.

- Oficer dowodzący - ryknął Alvez. - Niech mi się pokaże. Natychmiast!

Jego głęboki, ostry i nawykły do wydawania rozkazów ton sprawił, że niektórzy gwardziści podskoczyli. Po chwili nerwowego wahania gruby mężczyzna z oficerskimi pagonami wyszedł przed grupę, sztywno machając rękami podczas marszu. Na jego piersi połyskiwały brązowe, srebrne i złote gwiazdy, zaś ponad rondem wykrochmalonego kapelusza widniała odznaka w kształcie złotej aquili. Alvez zauważył wypolerowane srebrne czaszki na kołnierzyku jego koszuli i powiedział:

- Wasze nazwisko, pułkowniku.

Brzmiało to jak żądanie. Pułkownik skłonił się w pas, przyciskając dłonie do piersi w standardowym salucie imperialnym. Gdy się wyprostował, zdjął kapelusz, wbił spojrzenie w sam środek wypolerowanego napierśnika Alveza, po czym powiedział:

- Portius Cantrell, mój panie, oficer dowodzący drugiego Pułku garnizonowego Rynnlandu, grupa operacyjna obrony soroccańskiej, na twój rozkaz.

Na Alvezie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Nazywam się Drigo Alvez, pułkowniku. Jestem kapitanem drugiej kompanii

Szkarłatnych Pięści, Mistrzem Tarczy, więc uczyn mi tę grzeczność i spójrz mi w oczy, gdy do mnie mówisz. Pana szacunek został odnotowany, ale powinien pan zwracać się do mnie, a nie do mojego pancerza. Cantrell, który przy wzroście stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrów sięgał zaledwie do symbolu orła na piersi kapitana Astartes, przełknął ślinę i pospiesznie uniósł wzrok.

Alvez spojrział na niego z góry bez cienia uśmiechu.

- Tak lepiej. A teraz proszę mi powiedzieć, co pan i pana ludzie tutaj robią. Wydałem wyraźny rozkaz zarządcy tego obiektu. Ostrzegłem go, że zostanie rozstrzelany, jeśli mnie nie posłucha.

Cantrell odruchowo opuścił spojrzenie na żelbetową powierzchnię lądowiska, po czym natychmiast spojrział Alvezowi w twarz.

- Kontroler lotu Celembra posłuchał twoich rozkazów, mój panie. Nie prosił o żadne formalne powitanie. Jednak moi ludzie i ja byliśmy już na miejscu w ramach rotacji. Jeden z moich poruczników był w centrum kontroli lotów, gdy nadeszła wiadomość. Przekazał mi ją, a ja pozwoliłem sobie stawić się na miejscu. Wybacz mi, mój panie. Wiem, że jasno wyraziłeś się w kwestii fanfar, ale pomyślałem, że pełne szacunku wojskowe powitanie będzie na miejscu. Nie mogłem z czystym sumieniem pozwolić, by wasz przylot pozostał zupełnie niezauważony.

Wygląda na to, że moje rozkazy nie były dostatecznie szczegółowe - pomyślał Alvez.

Choć nie zostałem powiadomiony odpowiednio wcześniej o waszym przybyciu

- ciągnął pułkownik - ja i moi ludzie jesteśmy zaszczytni, będąc do waszej dyspozycji. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, czegokolwiek, dołożymy wszelkich starań, by to dostarczyć, w imię Imperatora oraz lorda Diabelskie Ostrze.

Do naszej dyspozycji - pomyślał ponuro Alvez. Wkrótce przekona się pan o prawdziwym znaczeniu tych słów, pułkowniku, ale jeszcze nie dziś. Spójrz tylko, jak szybko sprowadzasz swoich ludzi do poziomu sług. Ludzie walki powinni mieć więcej dumy.

Alvez nienawidził lizusostwa, nie cierpiał tego jak większość ludzi płaszczyła się przed nim, rozpaczliwie pragnąc zaskarbić sobie przychylność i ochronę Astartes.

Wiedział, że sytuacja jeszcze się pogorszy, gdy jego ludzie zajmą pozycje w samym mieście. Przechodził przez to już setki, a może i więcej razy za swojego życia.

Obecność choćby jednego Astartes pomiędzy zwykłymi ludźmi powodowała skrajne reakcje. Widział już wszystko, od obrzydliwej służalczości po bezmyślny strach.

W większości wypadków trzymanie cywilów z dala od marines było częścią standardowej procedury operacyjnej. Pozwalanie ludziom na przebywanie zbyt blisko swych obrońców bywało szkodliwe. Alvez był w stanie zaakceptować ich strach i chęć izolacji - w istocie, biorąc pod uwagę alternatywy, nawet je preferował - ale nadmiar uwielbienia, miłości i uwagi szybko stawał się męczący, podobnie jak niekończące się ofiary z wykwintnych potraw, kosztownych jedwabów, religijnych drobiazgów, alkoholu, narkotyków, a nawet kobiet - rzeczy, z których żaden Astartes nie miał najmniejszego pożytku.

- Nie sądzę, byśmy teraz potrzebowali waszej pomocy, pułkowniku - powiedział Alvez. - Jeśli się to zmieni, nie omieszkam pana powiadomić. Co do naszej obecności tutaj, przejdzie pan pełną odprawę, gdy uznam, że przyszedł na to czas. Na razie niech pan zabierze swoich ludzi z lądowiska i wraca do obowiązków. Musimy

rozładować statki, a jeśli będziecie płatać się między nogami, komuś może stać się krzywda.

Alvez zobaczył, że wyraz twarzy pułkownika stężał na ułamek sekundy w odpowiedzi na tę słabo zawoalowaną zniewagę. Być może pod tymi wszystkimi medalami krył się człowiek walki. Dowiemy się tego, gdy wyjdą na jaw informacje o nadciągającej burzy. Na Terrę, najwyższa pora, aby przypomnieć tym ludziom, że cenę przetrwania płaci się własną krwią.

- Wobec tego życzę ci dobrego dnia, mój panie - odparł pułkownik nieco chłodniejszym tonem niż wcześniej. Mając poczucie, że otwarcie go zbyt, zasalutował raz jeszcze, po czym pomaszerował z powrotem do swoich ludzi. Gdy pokonał połowę dystansu, Alvez ustąpił nieco i zawołał za nim:

- Pułkowniku Cantrell!

Oficer Gwardii Rynn zatrzymał się i obrócił na pięcie. Tym razem spojrzął górującemu nad nim kapitanowi prosto w twarz, nie spuszczać wzroku.

- Mój panie?

Alvez zawahał się, po czym, podnosząc głos tak, by żołnierze Cantrella usłyszeli go równie wyraźnie, powiedział:

- Być może pan i pańscy ludzie mogą coś dla mnie zrobić.

Twarc pułkownika wyraźnie pojaśniała, a żołnierze Gwardii Rynn dumnie wypięli piersi.

- Czego tylko mój pan sobie życzy. Cokolwiek powiesz.

- Utwórzcie kordon - powiedział Alvez. - Trzymajcie cywilów i resztę personelu tego portu na dystans, dopóki nie przygotujemy naszych transportowców. Wyruszymy do Cassaru tak szybko jak będzie to możliwe. Oczyśćcie dla nas trasę. Ustawcie barykady, zróbcie co trzeba. Zaprzęgnijcie do pracy lokalne siły porządkowe, jeśli to konieczne, ale nic nie ma prawa stanąć nam na drodze stąd do Zona Regis.

- Będzie jak mówisz, panie - odparł Cantrell. - Czy jest ktoś z kim mogę koordynować działania?

- Kontaktuj się z moim osobistym służącym - oznajmił Alvez. - Zostaw otwarty kanał wokalizacyjny Beta, pasmo czwarte. To powinno wystarczyć. Ma na imię Merrin i powie ci wszystko, co potrzebujesz wiedzieć.

Cantrell skłonił się po raz ostatni, przyjmując wszystko do wiadomości, po czym odwrócił się w stronę swych ludzi i zaczął wydawać rozkazy.

Alvez patrzył jak Gwardia Rynn oddalała się w pośpiechu, po czym zaczął nadzorować rozładunek z Thunderhawków.

Zastanawiało go, czy politycy usłyszeli już o jego przybyciu? Z całą pewnością. Zapewne teraz gorączkowali się, jak zrobić z tego wielkie święto i pokazać się ludziom u boku wybrańców Imperatora. Cholerni próżniacy!

Po jego prawej stronie rozległ się głęboki warkot i szcęk gąsienic. Mężczyzna obrócił się i zobaczył, że transportowiec opancerzony Land Rider zbliżał się, by zabrać go do miasta.

Alvez szedł w stronę potężnej maszyny, zachodząc w głowę, ile czasu miał na przygotowanie miasta na nadciągającą falę ohydnych xenos.

Z jakiegoś powodu wiedział, że nie miał go wystarczająco wiele.



## 8

### Zona Regis, Nowy Rynn

Maia Cagliestra nie przypominała sobie, by ktokolwiek budził ją odkąd skończyła dziesięć lat, ale w ten właśnie sposób przywitał ją dzisiejszy poranek. Półprzytomna, czując, że wciąż kleją się jej powieki, z trudem podźwignęła się z łóżka.

- Co... co się dzieje?

Gdy otworzyła oczy, poczuła ukłucie jasnego bólu. Złotawe promienie słoneczne wypełniały cały pokój, wlewając się przez południowe okna. Ciężkie, aksamitne zasłony zostały odsłonięte. Niebo na zewnątrz było niebieskie i bezchmurne, zwiastując rychłe nadejście lata.

Jej pierwsza dwórka delikatnie ścisnęła ramiona Mai. Teraz przestała nimi potrząsać.

- Musi pani wstać, milady. Musimy się jak najszybciej przygotować. Sekretarz Mylos czeka już na panią na wielkim balkonie. Tam też przyniosę śniadanie.

- Która jest godzina? - spytała Maia. - I dlaczego mnie tak budzisz? Nigdy wcześniej tego nie robiłaś, Shivaro.

Shivara cofnęła dłonie, ale wyraz jej twarzy pozostał nieugięty. Była niezwykłą i budzącą szacunek kobietą, której Maia ufała bardziej niż komukolwiek innemu, nawet Mylosowi. Shivara była wysoka i piękna, zaś pod jej dopasowanymi szatami z białego jedwabiu rysowały się wyraźne mięśnie, choć w żadnym stopniu nie ujmowało jej to kobiecości. Niewielu zdawało sobie sprawę, że Shivara pochodziła spoza planety. Mylos również tego nie wiedział. Kobieta była siostrą Adeptus Sororitas, trenowaną od urodzenia na ochroniarzkę i przyboczną kogoś, kto zasługiwał na tak niecodzienną ochronę. Gubernatorzy planetarni w całym Imperium znajdowali się pod opieką tych śmiercionośnych strażników. Maia wiedziała, że jeśli coś niepokoiło Shivarę, sama miała powód, aby zacząć się martwić.

Proszę wstawać, milady - powiedziała przyboczna.

-Wydarzyło się coś niespodziewanego. Do miasta przybyły Szkarłatne Pięści.

Maia natychmiast usiadła na łóżku. Ciemne włosy opadły w nieładzie na blade ramiona. Wielki uśmiech rozpromienił jej twarz.

- Przybyli? To cudownie. Ciekawe, czy jest wśród nich sam Mistrz Zakonu?

Shivara zmarszczyła brwi.

- Co się z tobą dzieje? - spytała skołowana gubernator. -Ich obecność cię niepokoi?

- Bardzo, milady.

Maia poczuła nagły przypływ gniewu. Jej uśmiech znikł.

- Natychmiast się wytłumacz. Przybyli do nas synowie samego Imperatora. W ogóle nie rozumiem twojego zachowania.

Zrzuciła z siebie pościel, przerzuciła nogi przez krawędź łoża z baldachimem i wsunęła stopy w miękkie, białe kapcie, po czym wstała, przeciągając swe szczupłe ciało.

Jej spojrzenie natychmiast, podobnie jak każdego ranka, powędrowało w stronę wielkiego posągu stojącego w południowo-zachodnim rogu pomieszczenia.

Wykonano go z najbielszego marmuru na planecie. Oedonis Śmiertelny. Arcydzieło.

Gdyby sekretarz skarbu wiedział, jak wiele funduszy pałacowych Maia

sprzeniewierzyła, by ją zakupić, miałyby poważne problemy. Nie potrafiła sobie jednak odmówić, gdy rzeźbiarz, Ianous Aurelia, w końcu zgodził się ją sprzedać. Szantażowanie starca było długim i żmudnym procesem, ale opłacało się.

Spojrzenie Shivary podążyło za wzrokiem jej pani.

Posąg, Oedonis, był równie wielki co Astartes. Było w nim coś, jakiś subtelny niuans w wyrazie twarzy lub w jego postawie, co przypominało Mai codziennie o Mistrzu Zakonu, Pedro Kantorze.

Niepokoi mnie ich liczebność, milady - powiedziała Shivara, wrywając Maię z zadumy. - Przybyli przynajmniej w sile jednej kompanii. - Na chwilę się zawahała.

- Pogłoski z portu kosmicznego mówiły, że wyglądali, jakby szykowali się na wojnę. Maia oderwała wzrok od szerokich ramion posągu.

- Na wojnę? - spytała. - To niedorzeczne. Na Świecie Rynn nie było wojny od...

- Tysiąca dwustu sześćdziesięciu czterech lat, milady - westchnęła ciężko Shivara.

- To znaczy, że przyszła na nią najwyższa pora.

## 9

### Nowy Rynn

#### Prowincja Rynnland

Sierżant Huron Grimm widział, że jego przełożony był w paskudnym nastroju, czy też raczej w paskudniejszym niż zwykle. Kapitan Alvez jechał w lewej wieżycze Land Raidera, Aegis Eternis, nie zaszczycając tłumu zebranego po obu stronach Autostrady 19 choćby spojrzeniem. Grimm wiedział to, ponieważ jako prawa ręka kapitana, siedział w prawej wieżycze pojazdu, co było niemałym honorem.

Mężczyzna nawet wśród sierżantów był weteranem. Od dawna służył jako dowódca oddziału i wykazał się w walkach już wielokrotnie. Gdy brat Romnus poległ w boju trzy lata temu Alvez wybrał Grimma na swojego nowego zastępcę, wcielając go do grupy dowodzenia drugiej kompanii. Była to decyzja, którą resztą kompanii przyjęła całkiem dobrze.

Służba bezpośrednio pod kapitanem sprawiała Grimmowi przyjemność, choć relacje między oboma Marines były w najlepszym wypadku napięte. Mieli zupełnie odmienne charaktery. Grimm zrobiłby wszystko dla swojego dowódcy, rzecz jasna, ale szybko przekonał się, że Alvez był wyjątkowo chłodnym i samotnym człowiekiem. Być może nie zawsze tak było. Już nie raz przyszło sierżantowi do głowy, że Alvez mógł po prostu stracić po drodze zbyt wielu przyjaciół.

Tego rodzaju zachowania były dość powszechne wśród Astartes, którzy przeżyli wielu ze swych braci, z którymi służyli.

Grimm przeszedł próby zakonu sto trzy lata temu. Dość wcześnie w swojej karierze zyskał sobie status weterana i przywilej malowania prawej rękawicy na czerwono, po tym jak poprowadził dziesięcioosobową drużynę przeciwko oddziałowi pojazdów opancerzonych na 6-Edinae. Niewielu braci żyło dostatecznie długo, by odsłużyć całe dwa stulecia. To właśnie spośród nich werbowano kapitanów. Byli to naprawdę niezwykli ludzie: Alvez, Cortez, Kadena, Acastus i im podobni, nie wspominając nawet o samym Mistrzu Zakonu.

W przeciwieństwie do Alveza, którego publiczne uwielbienie wyjątkowo irytowało, Grimm je akceptował. Pozwalał sobie czerpać ciepło, które biło od ich uśmiechów i zapłakanych twarzy. Ci ludzie byli jak dzieci, których doświadczenia ograniczały krótkie życie i relatywnie kruche ciała. Mimo to Imperium nie istniałoby bez nich. Czyż jego istnienie nie opierało się na ich ciągłym przetrwaniu? To właśnie po to Imperator stworzył swoich Kosmicznych Marines.

Młodzi i starzy obywatele rynnickiej stolicy patrzyli na niego, machając i krzycząc, gdy Aegis Eternis przejeżdżał z rykiem, mieląc pod gąsienicami szerokie pasy skalbetowej powierzchni.

- Niech żyją Szkarłatne Pięści! Niech żyją nasi obrońcy!

Po obu stronach drogi płaczące kobiety, które z trudem powstrzymywał kordon żołnierzy z Gwardii Rynn, rzucały na drogę garście czerwonych i niebieskich kwiatów. Słodki, kwiecisty zapach był mocno wyczuwalny, ale wkrótce zmieszał się

z oparami prometium z dymiących wydechów pojazdów opancerzonych i stał się o wiele mniej przyjemny.

Co za marnotrawstwo - pomyślał Grimm - wydawać ciężko zarobione pieniądze na kwiaty, tylko po to, by rozjechały je gaśnice czołgów. Sprzedawcy kwiatów przynajmniej dzięki temu trochę zarobią.

Za Aegis Eternis sunęła długa kolumna pojazdów opancerzonych, wszystkie w niebieskich barwach zakonu, dumnie prezentując ikonę czerwonej pięści w czarnym okręgu. Drgania wywołane ich przejazdem sprawiały, że z parapetów i kominków w zasięgu kilometra spadały bibeloty. Podłużne pęknięcia pojawiały się na oknach i ścianach lśniących, pomalowanych na biało habitatów. Ludzie w ogóle tego nie zauważali. Mogli mieć pretensje później, ale nie zmieniało to faktu, że tej wielkości oddziały nie widziano w stolicy od dziesięcioleci. Był to spektakl, którego nikt nie chciał przegapić. Bary i tawerny jeszcze przez wiele lat miały rozbrzmiewać historiami: Byłem tam, gdy jechali przez miasto, widziałem ich kapitana na własne oczy, naprawdę.

Potem te same historie zostaną nieco podkolorowane:

Wielki kapitan spojrzał prosto na mnie i pomachał, przysięgam.

Jeden z nich spytał o moje imię!

Dlaczego by nie? - pomyślał Grimm. Dlaczego wojownicy od czasu do czasu nie mogliby być obiektem uwielbienia? Żołnierze Imperium poświęcali swoje życie walce w imieniu Imperatora. Niesli innym pokój dzięki swojej ofierze. Tak było w przypadku Gwardii Imperialnej, Marynarki Wojennej, a nawet niejawnych, acz potężnych sił Świętej Inkwizycji. Nawet Eklezjarchia posiadała własne wojsko. Ich krew była walutą, dzięki której Imperium trwało. Dzięki wojnom prowadzonym na jego rubieżach, rdzeń pozostawał niezagrożony. W tych ponurych, niebezpiecznych czasach, gdy ludzkość znajdowała się pod nieustannym ostrzałem ze wszystkich stron, ludzie bardziej niż kiedykolwiek potrzebowali bohaterów, w których mogli wierzyć. Grimm rozumiał znaczenie tego. Dlaczego kapitan Alvez również tego nie dostrzegał?

Oczywiście, Kosmiczni Marines nie byli zwykłymi siłami zbrojnymi. Byli jedynym żywym łącznikiem z Boskim Imperatorem, jaki ci ludzie mogli ujrzyć za swojego żywota. Cały ten znój, cały kult, wszystkie te miedziaki, które kładli na tacę - widok choćby jednego Astartes w jakiś sposób urealniał te legendy. Skoro Astartes istnieli, to znaczyło, że Imperator również był prawdziwy. A skoro Imperator był prawdziwy, to znaczyło, że ludzkość wciąż jeszcze mogła mieć nadzieję na zbawienie. Jego Boski Majestat ponownie zstąpi i zmiażdży niezliczonych przeciwników, i po tak długim czasie w galaktyce znów zapanują pokój i bezpieczeństwo.

Ludzie bardziej religijni niż Huron Grimm nazywali to wiarą.

Osiem dekad temu, podczas polowania na eldarskich łowców niewolników na Iaxus III, młody kapłan, poćwiartowany i pozostawiony na pewną śmierć w trzewiach płonącego, imperialnego kościoła, wypowiedział te słowa, po tym jak Grimm zaniósł go w bezpieczne miejsce. Kapłan wkrótce zmarł, wykrwawiając się na śmierć, ale sierżant nigdy nie zapomniał gorliwości w oczach umierającego mężczyzny.

Spokorniał dzięki temu wydarzeniu. Dobrze wiedział, że nawet Marines mogli nauczyć się czegoś wartościowego od zwykłych ludzi.

Spoglądając z góry ze swojej pozycji na wieżyczce, zatrzymał wzrok na grupce dobrze ubranych dzieci, które praktycznie piałły z zachwytu, czując ziemię drżącą pod ich stopami. Inne gorączkowo machały rękami, siedząc ojcom na barana, desperacko próbując zwrócić uwagę opancerzonych olbrzymów, których rozpoznały z kart książek i lekcji historii. Niektóre dzieciaki, w szczególności te najmłodsze, były absolutnie przerażone. Grimm widział, że wiele z nich wołało chować się za rąbkami spódnic swoich matek, zostawiając na tkaninach pasma smarków.

Małeńka, niedożywiona dziewczynka, która - sądząc po pomarańczowych szmatach - była jedną z sierot zamieszkujących miejskie przytułki, spoglądała na Grimma wielkimi, niebieskimi oczami. Nie wołała, ani nie krzyczała. Nie uśmiechała się, ani nawet nie płakała. Jedynie pomachała do niego z wyjątkową nieśmiałością. Grimm nieznacznie uniósł opancerzoną dłoń, odwzajemniając pozdrowienie.

- Nie zachęcaj ich - warknął kapitan Alvez, nie odrywając wzroku od drogi przed nimi.

Nic nie było w stanie umknąć jego uwadze.

- Przepraszam, panie - odparł Grimm.

- Nie interesuje mnie, czy spotkamy tutaj nawet dwunastu lordów Terry - burknął Alvez. - Nie zwracaj na nich uwagi. Nie jesteśmy tutaj dla rozrywki tych głupców.

- Oczywiście, cokolwiek powiesz.

- To naprawdę są głupcy, Huronie - ciągnął Alvez. - Tylko spójrz na nich. Są tacy ślepi i szczęśliwi w swojej ignorancji.

Nikt, nawet jedna osoba, sądząc po ich głupawych uśmiechach, nie zadał sobie pytanie, dlaczego tu jesteśmy. Żadnemu z tych durniów nie przyszło nawet do głowy, że obecność tak wielu Marines musi zwiastować straszliwe niebezpieczeństwo.

Dorn jeden raczy wiedzieć, co oni sobie wyobrażają.

Grimm nie mógł z tym dyskutować. Prędzej lub później zaczną się zastanawiać - pomyślał. A wtedy wybuchnie totalna panika. Na tym świecie żyje dwieście milionów ludzi. Dwieście milionów istnień zawisnie na włosku. Na własne oczy widział, co orki robią z bezbronnymi. Widział, jakich okrucieństw potrafiły się dopuścić.

Obracając tę myśl w głowie, raz jeszcze skierował spojrzenie w stronę sieroty z przytułku, ale ktoś musiał wypchnąć ją do tyłu i dziewczynka zniknęła w gęstwinie ludzkich nóg.

W jego głowie pojawił się obraz, od którego zmarszczył gniewnie brwi i zgrzytnął zębami. Wyobraził sobie, że dziewczynka znów na niego patrzy, ale jej niebieskie oczy były pozbawione życia. Jej blond włosy płonęły. Jej skóra rumieniła się i wtedy zdał sobie sprawę z tego, że została nabita na rożen. Ktoś piekł ją nad otwartym ogniem. Ujrzał masywnego, ciemnoskórego herszta orków niebotycznych rozmiarów, który zdjął rożen znad ognia i zatopił zęby w jej ciele, pożerając dziewczynkę jakby była dla niego zaledwie przekąską.

Nie były to bezpodstawne wyobrażenia. Grimm wielokrotnie widział dowody na tak odrażające czyny w światach najechnanych przez orki.

- W imię Dorna - syknął pod nosem - nie tutaj. Po moim trupie.

Pomimo ryku silnika Land Raidera i terkotania jego szerokich gąsienic, kapitan usłyszał go.

- Chciałeś coś powiedzieć, Huronie?

Grimm pokręcił głową.

- Nie, mój panie - odparł, po czym, chwilę później dodał: - Tylko tyle, że jeśli Waaagh dotrze na Świat Rynn, to przysięgam, że Adacean spłynie krwią orków! Kapitan słuchał go, wciąż nie odwracając wzroku od drogi. Pancerna kolumna właśnie zbliżała się do Bramy Ocaro.

Wysokie wieże z białego kamienia dumnie pięły się w górę na tle późno porannego, niebieskiego nieba. Tuż za bramą rozciągała się Zona 6 Industria, jedyna strefa produkcyjna, przez którą konwój Szkarłatnych Pięści musiał przejechać, by dotrzeć do Cassaru. Na jej ulicach powinno być znacznie mniej ludzi. W strefach przemysłowych ludzie pracowali, a nie mieszkali. Chyba, że ktoś chciał umrzeć młodo od nadmiaru toksyn i chorób.

- Waaagh z pewnością dotrze i tutaj, Huronie - powiedział Alvez, gdy olbrzymia Brama Ocaro zaczęła się otwierać z jękiem przed kolumną. - Gdy się tak stanie, wiedz, że wspólnie sprawimy, iż morza zacierwienią się od krwi.

# 10

## Dach Wielkiej Twierdzy

### Arx Tyrannus

Kantor spoglądał ponad morzem chmur, nad które niczym szpony wystawały czarne szczyty okolicznych gór. Niebo miało barwę głębokiego błękitu, tak jak jego pancerz, zaś bliźniacze słońca były jasne, choć nie dawało zbyt wiele ciepła. Tutaj, na dachu najwyższego budynku fortecy-klasztora, rzadko kiedy bywało ciepło. Ekipy techniczne konserwujące baterie przeciwlotnicze ustawione na rogach dachu pracowały w najgrubszych szatach z wełny raumasów. Nawet pomimo ochrony technicy nie byli w stanie zbyt długo pracować w tych warunkach. Powietrze tu było tak rzadkie, że bez masek tlenowych szybko straciliby przytomność i w ostateczności umarli.

Rzecz jasna rzadkie powietrze w ogóle nie przeszkadzało Mistrzowi Zakonu. Nie przeszkadzało również Seligowi Torresowi, kapitanowi piątej kompanii, który stał u jego boku. Obaj Astartes mogli przez dłuższy czas przebywać w tym miejscu bez większych problemów.

Zarządca Savales nie zdołał przetłumaczyć Torresowi, by ten zaczekał na Mistrza Zakonu na dole, ale Kantor nie sprzeciwiał się jego obecności. To miejsce ponad chmurami, gdzie kasał ich lodowaty wiatr, było równie dobre jak każde inne na rozmowę o nadciągającej na ich planetę ciemności. Torres spotkał się z nim, ponieważ był przeciwny temu, w jaki sposób Mistrz Zakonu zamierzał zażegnać zagrożenie, które niosło ze sobą Waaagh. Na ostatnim posiedzeniu rady jasno przedstawił swoje zdanie. Teraz jednak stał u boku Kantora, nie bardzo wiedząc, jak zacząć. To było do niego niepodobne. Kantor znał zgryźliwego, szczerego do bólu kapitana już ponad wiek i dobrze wiedział, gdy ten miał coś do powiedzenia.

- Mów otwarcie, Seligu. Nie ma sensu, byś nagle zmieniał swoje podejście.

Torres postąpił krok naprzód i obrócił się, tak by móc spojrzeć Mistrzowi Zakonu prosto w oczy. Kantor widział, że mężczyzna się nie uśmiecha.

- Na ile możemy mieć pewność, mój panie - zaczął Torres - że wszystko odbędzie się zgodnie z planem?

Kantor długo o tym myślał. Sesja rady zeszłej nocy miała wyjątkowo burzliwy przebieg. Część kapitanów, wśród nich Torres, nawoływali, by posłać większą część sił w przestrzeń w roli grup abordażowych. Jaki był sens trzymania Szkarłatnych Pięści na powierzchni, skoro orki musiał najpierw przebić się przez blokadę? Czy nie byłoby lepiej wysłać wojowników zakonu na front, gdzie mogliby przeprowadzić szturm na statki orczych przywódców i zabić ich?

Starsi i bardziej doświadczeni członkowie rady stanęli po stronie Kantora.

Argumentowali, że niezależnie od tego, jak efektywna okaże się blokada, orki na pewno postawią stopę na Świecie Rynn. Nawet gdyby zakon dysponował dziesięciokrotnie większą flotą, przerwy w ich liniach obrony można byłoby mierzyć w tysiącach kilometrów. Taka była natura walk w przestrzeni. Nie mieli wątpliwości,

że orki zdolają się przedrzeć, a gdy statki wylądują na planecie, ich barbarzyńskie załogi zaleją ziemię, która nie widziała rozlewu krwi od tysiąclecia.

Kantor nie zamierzał dopuścić, by Gwardia Rynn samotnie stawiała czoła zielonoskórom. Było niezwykle istotne, aby większość sił zakonu pozostała na powierzchni, żeby odeprzeć najeźdźców niezależnie od ich miejsca lądowania. Zdaniem Kantora rozważanie jakiegokolwiek innego podejścia było głupotą, dlatego zaniepokoiło go, że kilku obecnych na naradzie kapitanów tak żarliwie broniło swoich racji. Doskonale rozumiał ich pragnienie chwały. Abordaż był jedną z najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych misji, jakich mogli się podjąć Kosmiczni Marines, ale jej powodzenie potrafiło przynieść wielką sławę. Jednak w tej bitwie od sławy i chwały znacznie ważniejsza była obrona ich własnego domu. Chodziło o zapewnienie bezpieczeństwa wszystkiemu, co reprezentowały sobą Szkarłatne Pieści, zarówno dla siebie, jak i dla zwykłych ludzi, w obliczu zagrożenia, któremu mało który zakon kiedykolwiek musiał stawić czoła.

- Musisz mi zaufać, Seligu - powiedział Kantor. - Wiesz, że nie poprowadziłbym naszych braci na manowce. Jeśli twierdzę, że musimy skupić się na naszych silnych stronach w wojnie naziemnej, to dlatego, że przemyślałem alternatywy. Orki nie mogą zyskać na powierzchni planety żadnego punktu zaczepienia. Jeśli szybko nie uporamy się z ich zarodnikami, to rozniesie je wiatr i skażą ten świat na całe dekady. Ale jeśli zorganizujemy nasze drużyny w jednostki szybkiego reagowania... słyszałeś mnie zeszłej nocy. Nie będę się teraz powtarzać.

Torres pokiwał głową, ale powiedział:

- Nie chodzi o to, że w ciebie wątpię, panie. Twoje słowo jest prawem i poszedłbym za tobą nawet wprost w paszczę otchłani, jak zapewne wiesz. Ale nie mogę się pozbyć pewnych wątpliwości związanych z tym planem. On z góry zakłada, że poniesiemy porażkę już na samym początku.

Kantor skinął głową.

- Jestem realistą, Seligu. Orki przebiją się. Trudno powiedzieć, w jakiej liczbie, ale to nieuniknione. Nawet gdybyśmy wysłali wszystkich braci bitewnych do abordażu, nie bylibyśmy w stanie tego zmienić. Dlatego będziemy walczyć na obu frontach. Taka jest moja decyzja i to już postanowione.

Torres nie wyglądał na zadowolonego, ale dobrze wiedział, że nie miał już zbytniego pola manewru. Zmieniając temat, spytał:

- Czy Thunderhawki wróciły już z Nowego Rynn?

- Wkrótce tu dotrą.

- A co z naszymi braćmi z kompanii krucjaty? Kiedy zamierzasz odwołać ich z misji doradczych?

Kantor powiódł spojrzeniem po bezkresnej panoramie białych chmur.

- Odwołam ich, gdy tylko pojawią się pierwsze informacje o wrogu.

Skierował oczy ku niebu. Wiedział, że wysoko nad powierzchnią planety okręty zakonu, wraz z flotą obrony systemowej - armadą okrętów wojennych pod banderą Imperialnej Marynarki Wojennej, które były niezdolne do podróżowania przez osnowę - powoli zajmowały pozycje, formując linię bojową mierzącą setki tysięcy kilometrów.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że do tego doszło - powiedział Torres. - Już straciliśmy



Ashora Drakkena... I pomyśleć, że te same orki śmiały atakować nas tu, na naszym własnym świecie...

Kantor skrzywił się. On również opłakiwał stratę Drakkena. Prędzej lub później będą zmuszeni wskazać jego następcę, zapewne kogoś z kompanii krucjaty, kto będzie godny przewodzić kompanii w bitwie. Na razie niedobitki z Krugerportu zostały wcielone do drugiej kompanii Drigo Alveza, która stacjonowała w stolicy, jednak nie była to sytuacja idealna. Trzecia kompania miała własną tożsamość oraz dumne i wspaniałe tradycje. Zwyczajnie nie było czasu na nominowanie nowego kapitana przed wysłaniem ludzi na kolejną misję. Musiało to poczekać do czasu odparcia ataku orków.

- Ashor jest z nami duchem, Seligu. Gdy przyjdzie właściwszy moment, złożymy mu hołd w sali pamięci. Co zaś się tyczy kwestii Waaagh, które zapuściło się tak daleko i szybko w głąb naszego sektora, to sam nad tym sporo myślałem. Sądzę, że siły Snagroda w pierwszej kolejności atakują stacje komunikacyjne. To by wyjaśniało, dlaczego żadne wieści o Waaagh nie dotarły do nas z innych planet poza Badlanding, choć wiemy, że orki najechały już szereg innych systemów planetarnych.

Torres zmrużył oczy.

- Sugerujesz, panie, że ten Snagrod przed przystąpieniem do ataku stosuje strategię izolacji?

- Widywaliśmy już wcześniej tego rodzaju działania ze strony plemion orków, ale przyznaję, że nigdy nie były tak dobrze zorganizowane.

Machina propagandowa Munitorum w całym Imperium nieustannie przedstawiała orki jako gorszych, bezmyślnych i zezwierzęconych wrogów, którzy posiadali niewielkie zrozumienie dla takich kwestii, jak prowadzenie długotrwałej wojny. Dla zwykłych ludzi zielonoskórzy byli jedynie plugawymi xenos, którzy kierowali się wyłącznie instynktem, podczas gdy ich małe mózgi były niezdolne do analizy taktycznej i reagowania. W większości wypadków propaganda ta była bliska prawdy. Przeciętny ork radził sobie niemal wyłącznie dzięki sile swych mięśni, wytrzymałości i dzikiej brutalności. Snagrod, najwidoczniej, nie był jedynie zwykłym orkiem, czego zdążył już dowieść. Pokolenia spędzone na walkach z zielonoskórymi nauczyły Kantora, żeby nie lekceważyć tych, którzy zdołali osiągnąć rangę arcyherszta. Całe czterdzieście pierwsze tysiąclecie pełne było niepokojących dowodów na to, że wśród milionów odmiennych plemion, znajdowała się coraz większa liczba jednostek, które stanowiły zagrożenie, jakiemu Imperium nie stawiało czoła od czasu ponurych dni Herezji. Żeby dojść do tego samego wniosku, wystarczyło przestudiować raporty bitewne z Armageddonu, kluczowego dla Imperium świata-kopca leżącego w Segmentum Solar.

W roku 949.M41 arcyherszt orków poprowadził Waaagh na niespotykaną dotąd skalę przeciwko siłom imperialnym na tym świecie. Przywódcą zielonoskórych był Ghazghkull Mag-Uruk Thraka, a jego zdolność strategicznego myślenia była tak niezwykła, że niemal udało mu się zrealizować swój plan. Kolejnym przejawem jego niezwykłego geniuszu taktycznego był fakt, że zdołał nawet wpłynąć na masowy exodus zielonoskórych, gdy losy bitwy nieodwołalnie odwróciły się na jego niekorzyść.

Jeśli Ghazghkull Mag-Uruk Thraka był w stanie myśleć strategicznie, to oznaczało,

że Arcypodpalacz z Charadon również był do tego zdolny. Snagrod przeprowadzał błyskawiczne ataki z zaskoczenia na wszystkie stacje komunikacyjne w głębokiej przestrzeni, jakie napotkał na swojej drodze. Dopiero wtedy i tylko wtedy posyłał wszystkie swoje siły, by mordowały i łupiły odizolowane światy.

Jednak to samo nie miało prawa się mu udać ze Światem Rynn. Kantor nie zamierzał do tego dopuścić. Snagrod popełnił wielki błąd przy wyborze celu, a na dodatek wszem i wobec ogłosił swoje intencje. Orki nadciągały w pełnej sile, a ich przywódca chciał, by Szkarłatne Pięści były na to gotowe. Pragnął godnej walki, która zrobi z niego legendę i pozwoli zjednoczyć plemiona zielonoskórych z całej galaktyki pod jego sztandarem. Gdyby mu się to udało, jego Waaagh byłoby nie do zatrzymania. Kantor zdał sobie sprawę z tego, że Torres spogląda na niego z zatroskaną miną.

- Nigdy wcześniej cię takim nie widziałem, panie. Jesteś wyjątkowo... posepny.

Mistrz Zakonu nie zamierzał obrażać inteligencji swojego brata, przyjmując fałszywą postawę. Torres zasługiwał na więcej, a oszustwo nie było w jego stylu. Kłamstwa rzadko kiedy szły w parze z honorem.

- Pod żadnym pozorem...

Szum zakłóceń z komunikatora przeszkodził mu w pół zdania. Kantor przycisnął palec do słuchawki w uchu i powiedział:

- Monitorze.

Głos po drugiej stronie był nadzwyczaj rozgorączkowany.

Oczy Kantora robiły się coraz większe wraz z każdym słowem.

- Niemożliwe - zagrmiał. - Sprawdź swoje przyrządy. To musi być jakiś błąd.

Chwilę później dodał:

- Więc każ mu sprawdzić jego przyrządy, do diabła!

Kantor skrzyżował spojrzenia z Torresem, wciąż słuchając głosu Monitora. Gdy wiadomość dobiegła końca, opuścił dłoń i mruknął:

- Na krew Dorna!

- Mój panie?

Kantor chwycił Torresa za opancerzone ramiona.

- Orki, Seligu. Waaagh! Już tu są. W naszym systemie!

Torres pokręcił głową.

- Niemożliwe, panie. To nie może być prawda. W jakiej odległości? Czterdziestu godzin? Pięćdziesięciu?

- To właśnie najgorsze - powiedział Kantor przez zaciśnięte zęby. - Trzech.

- Trzech? - wydyszał Torres. - To by oznaczało...

- To szaleństwo. Samobójstwo. Wszystkie ich siły wyłoniły się z osnowy zaledwie sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od planety. Nasze okręty zawracają już, by je przechwycić. Umieść swoich braci na stanowiskach bojowych. Powierzam ci dowodzenie bastionem Laculum. Uzgadniaj wszystko z Technicarum. Chcę, żeby wszystkie baterie raketowe i działa plazmowe były w pełni gotowe najszybciej jak to możliwe. Bądź też gotów na wezwanie do Strategium. Zwołam ostatnią, nadzwyczajną sesję rady, póki jeszcze jest czas. - Obrócił się do ekipy technicznej, która właśnie kończyła prace nad działami przeciwlotniczymi.

- Wy tam, wybrańcy - zawołał. - Kończcie szybko. Będziecie potrzebni na dole.

Słudzy pokłonili mu się z szacunkiem, po czym wrócili do pracy ze zdwojoną

energiją.

Torres był zbyt oszołomiony, by zasałutować Kantorowi, który obrócił się na pięcie i pośpiesznie ruszył z powrotem w kierunku schodów przy północnej krawędzi dachu. Na wieżach we wszystkich zakątkach czarnej fortecy zdążyły już rozbrzmieć syreny alarmowe.

A niech to - pomyślał Kantor, gdy jego pokryte ceramitem buty rozbrzmiały na płytach posadzki. Żadna imperialna flota nie ryzykowałaby wyjścia z osnowy w pobliżu dużej studni grawitacyjnej. Połowa statków rozpadłaby się na kawałki. Czy mógł mieć nadzieję, że dokładnie to samo działo się teraz z okrętami Snagroda? Nie wierzył, że orki będą w stanie wyjść z tak lekkomyślnego posunięcia bez szwanku. Stabilne wyjście z osnowy tak blisko gwiazdy było praktycznie niemożliwe. Ile statków mogło wyjść z tego cało? Ile z nich przetrwa, by zasiać śmierć i zniszczenie na Świecie Rynn?

## Nowy Rynn, Prowincja Rynnland

Grimm był w Nowym Mieście Rynn tylko dwukrotnie za swojego życia, po raz ostatni czterdzieści dwa lata temu. Bracia bitewni byli tu wysyłani niezwykle rzadko. Siły Arbitrów i Gwardii Rynn wystarczały, aby utrzymać porządek. W stolicy tak obsesyjnie skoncentrowanej na handlu i komercjalizacji, niewiele było zastosowań dla sztuki wojennej, w której specjalizowali się Kosmiczni Marines.

W miarę jak konwój Szkarłatnych Pięści sunął przez jedną zatłoczoną dzielnicę po drugiej, Grimm na nowo zapoznawał się z tym miejscem. Niewiele zmieniło się w zewnętrznych okęgach. Habitaty wciąż w większości przypominały kwadratowe pudełka z piaskowca i blachy falistej. Środkowe dzielnice, przez które właśnie jechali, pyszniły się skupiskami nowych, monolitycznych wież z ciemnego kamienia i stali, zbudowanych z myślą o szybko rozwijającej się klasie średniej. Wieże wznosiły się wysoko ponad ulice, rzucając długie cienie, ale nigdy nie sięgały równie wysoko co połyskliwe iglice i minarety w samym centrum miasta.

Przed nimi zamajaczył kolejny z łączących się murów obronnych oraz szerokie wrota z adamantium, na powierzchni których wytrawiono prastare wizerunki założycieli miasta. Była to Brama Peridion. Tuż za nią leżała Residentia Ultris, najbogatsza i najbardziej ekskluzywna strefa mieszkalna w stolicy. To właśnie tutaj członkowie Wyższych i Niższych Rodów posiadali swoje posiadłości. Po przeciwległej stronie, na północnym krańcu dzielnicy, konwój miał wjechać na most Farrio, szeroką tytanowo-skalbetową konstrukcję, która łączyła oba brzegi rzeki Rynn. Za mostem znajdował się cel podróży konwoju, wysepka, na której mieściła się Zona Regis, znana również pod nazwą Srebrna Cytadela.

Dotarcie na miejsce z portu kosmicznego zajęło Astartes umiarkowaną ilość czasu, choć żołnierze Gwardii Rynn, którzy zapewniali im niezakłócony przejazd, mieli pełne ręce roboty z rozentuzjasmowanym tłumem. Chwilami konwój zmuszony był się zatrzymać. W przyływach religijnego uniesienia, kilku szalonych obywateli, niepomnych na ryzyko śmierci pod gąsienicami czołgu, wyskoczyło z tłumy, aby klęknąć i złożyć hołd przed ryczącym Land Raiderem Aegis Etemis. Miejscowe siły porządkowe natychmiast dopadły do nich, by odciągnąć ich na bok, w razie konieczności uciekając się do przemocy. Nikt jednak nie zginął. Gwardziści co do zasady nie mieli ciężkiej ręki. Posiadali za to dużą wprawę w tym, jak radzić sobie ze swoimi ludźmi.

Brama Peridion jęknęła głośno, gdy olbrzymie metalowe turbiny zaczęły się obracać. Pomędzy jej wielkimi, tytanowymi zębami zaczęła pojawiać się przerwa, rosnący zygzak, który odsłonił przed Grimmem leżącą za wrotami drogę oraz zabudowania. Olbrzymia brama wyglądała na niemożliwą do sforsowania. Zamontowano ją po ostatnim szturmie orków na planetę z myślą o podobnych atakach w przyszłości. Starożytne mury obronne również wzmocniono w różnym stopniu, wszystko po to,

by upewnić się, że stolica nigdy nie padnie łupem jakichkolwiek najeźdźców. Grimm zastanawiał się, jak szybko te mury i bramy zostaną poddane próbie. Najbardziej wysunięte struktury obronne miasta były zwykłymi kamiennymi budowlami, które nie miały szans przetrwać jakiegokolwiek ostrzału artyleryjskiego. Lecz im bliżej centrum miasta, tym mury były trwalsze. Sierżant wiedział, przykładowo, że mury Srebrnej Cytadeli, za którymi leżał Cassar, pałac gubernatora oraz budynki parlamentu, chronione były tarczami próżniowymi podobnymi do tych w Arx Tyrannus. Sama zaś forteca-klasztór była nie do zdobycia. Więc może Srebrna Cytadela również taka była. Nie miał wątpliwości, że po przybyciu na miejsce kapitan Alvez rozkaże przyłączonym do kompanii zbrojnym dokonać pełnej oceny. Przystępując do obrony jakiegoś miejsca, najpierw należało poznać granice jego wytrzymałości.

Aegis Eternis wjechał przez łukowato sklepioną bramę Peridion do Residentia Ultris. Kontrast pomiędzy tą, a pozostałymi strefami, przez które przejeżdżali, był z miejsca zauważalny. Po obu stronach autostrady ciągnęły się estakady prowadzące do eleganckich budynków z białego marmuru, których mury i dachy zdobiły piękne posągi i płaskorzeźby. Okalające je ogrody były niezwykle zielone. Grimm powiódł spojrzeniem po obu stronach drogi, z przyzwyczajenia obserwując linię drzew i krzewów. Natychmiast zauważył zatrzęsienie wielobarwnych kwiatów, pośród których wiele nie pochodziło ze Świata Rynn i zostało sprowadzonych ogromnym kosztem do uprawy. Przez przerwy w roślinności widział cienie uzbrojonych strażników, którzy patrolowali tereny wokół posiadłości. Kapitan Alvez utkwił spojrzenie na wprost, nie interesując się oznakami prestiżu i bogactwa. Grimm zastanawiał się, jak kapitan poradzi sobie z członkami Wyższej Izby Rynn, gdy przyjdzie z nimi porozmawiać. Zapewne będą domagać się odpowiedzi na pytanie, dlaczego Pięści przybyły do stolicy, a gdy dowiedzą się o nadciągających Waaagh, będą żałować, że kiedykolwiek zapytali.

Wciąż prowadząc resztę kolumny, Aegis Eternis przetoczył się po moście Farrio, zostawiając błyszczące, białe posiadłości za sobą. Po drugiej stronie południowa brama Regis stała przed nimi otworem. Nieco dalej rządowe budynki połyskiwały niczym rtęć w świetle słońca, przyćmiewając nawet posiadłości Residentia Ultris. To stąd zarządzano całym Światem Rynn.

To tutaj stała Iglica, masywny gmach o niezliczonej liczbie wieżyczek wprost ociekający architektonicznymi zdobieniami, o które zadbali najwspanialszy artyści w rynnickiej historii.

Na szczycie iglicy, pod kopułą z najczystszej syntetycznej diamentu, mieściła się siedziba rady Wyższej Izby Rynn, gdzie zapadały decyzje, które miały wpływ na handel w całym gwiazdozbiórze Perytonu. Nieco dalej na zachód, niższa o połowę i nawet w części nie tak olśniewająca, ale o wiele cenniejsza, gdy szło o broń, amunicję i systemy wsparcia, stała twierdza Cassar, utrzymywana przez wybrańców w imieniu zakonu.

Na szerokim, ośmiokątym dachu twierdzy stały długo lufowe działa i baterie rakietowe wycelowane w niebo. Grimm nie miał wątpliwości, że były załadowane. Wybrańcy z pewnością już o to zadbali.

Od Cassaru jego uwagę odwrócił Alvez. Kapitan wypluł z siebie wiązanke przekleństw. Grimm wrócił spojrzeniem na drogę, żeby sprawdzić, co ją sprowokowało.

W poprzek połyskliwej drogi, blokując praktycznie całą jej szerokość, stało zatręśnienie rynnickich polityków, dyplomatów, postaci religijnych i wysokich rangą oficerów wojskowych. Wszyscy byli równie wymuskani co otaczające ich budynki, zupełnie jakby każda część ich stroju pochodziła prosto od krawca, przygotowana specjalnie na okoliczność spotkania z oddziałem Szkarłatnych Pięści.

- Nie zniżę się do ich poziomu - warknął kapitan Alvez pod nosem.

Kapitan nienawidził wszystkich rzeczy, które nie miały bezpośredniego związku z jego obowiązkami. Jego życie kręciło się wokół wojny. Nie interesowało go doskonalenie swych zdolności krasomówczych, ani dobrych manier, które były tak istotne dla tych durniów.

Mężczyzna zastukał czerwoną rękawicą w dach Land Raidera, na co kierowca, brat Agorro, płynnie zatrzymał maszynę. Nie wyłączył jednak silnika, tylko pozwolił, by ten pracował na wolnych obrotach. Agorro znał Alveza na tyle dobrze, by móc podejrzewać, że konwój ruszy dalej w ciągu kilku najbliższych minut.

Alvez zwrócił się do Grimma.

- Za mną, sierżancie - powiedział, po czym wysiadł z lewej wieżyczki. Przeszedł na bok pojazdu i zeskoczył na ziemię. Pancerne buty ciężko grzmotnęły o powierzchnię drogi. Grimm spostrzegł, że pomimo ogromnego szacunku dla Kosmicznych Marines części dygnitarzy zrzędał mina. Z trudem zachowywali zimną krew. Astartes pod każdym względem byli czymś więcej niż tylko zwykłymi ludźmi. Nie chodziło jedynie o różnice w fizjonomii, choć zapewne miały one decydujące znaczenie.

Różnice psychologiczne jedynie powiększały przepaść pomiędzy obiema grupami.

Grimm wątpił, by zwykły człowiek wyobrażał sobie, co oznaczało być Astartes.

Może jedynie w snach. Przysięgi, poświęcenie, nieustanne wzmacnianie ciała, przyzwyczajanie do agonii w najgorszych możliwych formach. Nie, ci ludzie nie mogli tego rozumieć, a czego nie rozumieli, tego się obawiali, choć z reguły była to jedyna rzecz, która stała pomiędzy nimi a ostateczną ciemnością.

Grimm wysiadł z pojazdu podobnie jak kapitan i postąpił kilka kroków, by stanąć u jego boku. Dwóch olbrzymich wojowników spojrzało z góry na swój wystrojony komitet powitalny.

Lady Maia Cagliestra, która, sądząc po jej ciepłym, serdecznym uśmiechu, była najmniej przerażona z całej grupy, skłoniła głowę przed kapitanem i opadła na jedno kolano.

- Mój panie - powiedziała.

Drigo Alvez spojrzał na nią, po czym zwrócił spojrzenie na pozostałych.

- Co to ma znaczyć? - spytał ostro. - Tylko gubernator będzie klęczeć? Czyżby pozostali z was stali ponad takimi przejawami szacunku?

Szlachcicom nagle zrobiło się spieszo, by opaść na ziemię i wykonać rozkaz, choć niektórzy uczynili to z nieco większym ociąganiem niż inni. Jeden chudy mężczyzna z wyłupiastymi oczami wydawał się szczególnie niechętny, żeby zachować się stosownie do sytuacji. Starszy, pulchniejszy człowiek po jego prawej stronie szarpnął chudzielca za rękaw i syknął:

- Na Tron, klękaj, Eduardo!

- Jestem markizem i ministrem rządu - odparł grubiańsko ów Eduardo, ale jako że wszyscy klęczeli, on również w końcu się ugiął, choć z wyraźnym niesmakiem na twarzy. Chociaż i jego rozzłościła bezczelność tego małego durnia, Grimm miał nadzieję, że kapitan Alvez tego nie zauważy. Oczywiście jednak stało się inaczej.

- Ty - zagrzmiął Alvez, wskazując na mężczyznę wyprostowanym palcem.

- Wstań i podejdź tu.

Eduardo nagle stracił cały rezon. Pobladł wyraźnie, po czym przełknął ślinę i wskazał na siebie z miną, która mówiła Kto, ja?

- Jeszcze chwila wahania, robaku, a przemaluję swoje rękawice twoją krwią

- warknął Alvez.

Pozostali szlachcice trzymali spojrzenia wbite w skalbet, gdy Eduardo wystąpił naprzód, jak mu kazano. Ciemna, mokra plama rozlała się na lewej nogawce jego spodni. Jego wcześniejsza pewność siebie zupełnie wyparowała.

- Kim jesteś, robaku?

Mężczyzna wydawał się szczerze zaskoczony tym pytaniem, zupełnie jakby kapitan powinien był wiedzieć, z kim ma do czynienia. Czyżby nie wszyscy go znali?

- Jestem Eduardo Corda, z rodu Corda, markiz Paletty, wiceminister edukacji.

Kapitan Alvez pochylił się nad nim niczym burzowa chmura, która za chwilę miała porazić piorunami wszystko wokół.

- Edukacji, powiadasz? Może więc powinienem cię wyedukować w kwestii tego jak kruche jest twoje żalosne życie. Myślisz, że twój status albo historia twojego rodu daje ci jakieś specjalne prawa w stosunku do Marines samego Imperatora?

Teraz Eduardo Corda wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

- Odpowiedz! - wrzasnął Alvez, a jego głos zabrzmiał niczym wystrzał z broni.

Grimm podejrzewał, że gdyby ten dureń Corda nie popuścił już w spodnie, to z pewnością uczyniłby to teraz. Być może jednak nie docenił szlachcica, gdyż markiz oblizwał usta, wziął głęboki oddech i jękając się powiedział:

- Wielcy są Astartes Szkarłatnych Pięści. Nie chciałem urazić jego lordowskiej mości i przepraszam, jeśli się tak stało. Jestem jednak członkiem Wyższych Rodów Szlacheckich. Człowiek mojej proweniencji nie powinien klękać. Pochodzę ze starego i szanowanego rodu.

Alvez pochylił się jeszcze bardziej.

- Nie - syknął. - Jesteś idiotą. Mam nadzieję, że twój ród skończy się wraz z tobą. W zasadzie brzmi to całkiem nieźle. -Mężczyzna zwrócił się do Grimma. - Sierzancie, zabierzcie go.

Grimm natychmiast postąpił krok do przodu i chwycił mężczyznę jedną ręką za kołnierz, unosząc go z łatwością w powietrze. Nogi Cordy zadyndały metr nad ziemią. Wtedy właśnie przemówiła lady Maia. Wciąż klęczała, jednak uniosła głowę, by spojrzeć Alvezowi w oczy.

- Błagam cię, panie, nie zabijaj go. Nie jest godzien twojego wybaczenia, a obrażając cię przyniósł wstyd wszystkim Wyższym Rodom, ale służy jako starszy członek mojego gabinetu i trudno mi będzie go zastąpić.

Alvez spojrział na nią, milcząc. W końcu powiedział:

-Nie myśl, że jestem taki chętny mordować ludzi, których przybyłem tu chronić. On

nie umrze za swój występki. Ale wszyscy muszą ugiąć kark przed Szkarłatnymi Pięściami. Bez wyjątków. Nie obchodzą mnie wasze instytucje i fantazje o wyższym statusie. Te kwestie są dla mnie nieistotne. Zapamiętajcie to. W nadchodzących dniach będziecie pod moją ochroną, ponieważ tak rozkazał Mistrz Zakonu. Nie ma żadnego innego powodu. Gdyby rozkazano mi zabić was wszystkich, wykonałbym ten rozkaz w mgnieniu oka, bez chwili zawahania i żadna rzecz w galaktyce, poza słowem samego Pedro Kantora, nie mogłaby mnie powstrzymać.

Następnie zwrócił się z powrotem do Grimma i powiedział:

- Markiz się pobrudził, sierżancie. Przyda mu się kąpiel. Zajmijcie się tym.

Grimm nie musiał pytać, co kapitan miał na myśli.

- Na rozkaz, panie - powiedział, po czym ruszył z powrotem w kierunku mostu Farrio, trzymając Eduardo Cordę przed sobą, jakby ten ważył niewiele więcej niż garść śmieci.

Kiedy się znalazł w odległości od kapitana Alveza, którą uznał za bezpieczną, by zaryzykować szept, powiedział do Cordy:

- Nigdy więcej się do niego nie zbliżaj. Rozumiesz, durniu? Dziś ocaliło cię jedynie wstawiennictwo gubernator.

Odpowiadając, Corda dławił w sobie płacz.

- To był mój błąd, panie. Przysięgam. Nie miałem na myśli nic złego. Ja... Ja paliłem godzinę temu liście ceby. Nie miałem pojęcia...

Przez chwilę Grimm miał ochotę uderzyć mężczyznę. Liście ceby u dzieci potrafiły wywołać choroby, a nawet mutacje. Dlaczego bogacze wciąż ich nadużywali pozostawało dla niego tajemnicą. Słyszał już wszystkie wymówki. Ludzie powtarzali, że wszechświat jest ponurym i brutalnym miejscem, i mieli rację, ale biedniejsi dawali sobie radę bez sprowadzania na siebie klątwy narkotyków.

- Więc jesteś podwójnym głupcem i ode mnie również musisz trzymać się z dala, jeśli nie chcesz umrzeć.

- Nie chcę - zakwilił Corda. - Nie chcę umierać, na Tron!

- Potrafisz pływać? - warknął Grimm.

- Ja... Słucham?

- Pytam, czy umiesz pływać, prostaku?

- Ja... tak. To znaczy, pływałem trochę jako dziecko i... -Corda spojrzął ponad krawędzią mostu i nagle zrozumiał, co się zaraz stanie. - Na święte imię Terry, proszę. Nie rób tego. Nie musisz.

Zbliżyli się do balustrady z kutego żelaza na skraju mostu. Kilka kroków później Grimm zatrzymał się tuż obok niej.

- Wrzucę cię na płytką wodę w okolicach południowego brzegu. Będziesz miał tylko kawałek do przepłynięcia. Przeżyjesz, o ile nie jesteś tak beznadziejny na jakiego wyglądasz. Następnym razem będziesz pamiętać, by okazać szacunek lepszym od siebie. Jeśli mój pan uzna, że niczego się nie nauczyłeś, zabije cię od razu.

Corda otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy Grimm odchylił się, wkładając sporo siły w zamach, który posłał wiceministra edukacji ponad wody rzeki Rynn.

Dotrzymując danego słowa, wycelował tak, by biadolący szlachcic wylądował w miarę blisko płycizny przy brzegu, lecz okazało się, że nie tak blisko jak planował. Markiz natychmiast zaczął kaszleć i młócić wodę w ogromnej panice. Grimm



widział, że wcale nie udaje.

Dobrze - pomyślał. Niech Imperator zdecyduje o tym, czy przeżyjesz.

Obrócił się z powrotem w kierunku kapitana i zobaczył, że szlachcice zostali odprawieni. Oddalając się od Alveza z pochylonymi głowami, wyglądali na mocno przerażonych.

Grimm spotkał kapitana w połowie drogi do Land Raidera.

- Powiedziałaś im o Waaagh, panie?

- Pokrótce - odparł Alvez. - Nie było czasu się rozwodzić. Właśnie dotarły do mnie wieści z Arx Tyrannus, Huronie. Okręty orków już tu są.

- W systemie? - spytał Grimm. - To niemożliwe!

- Ale prawdziwe.

Alvez wdrapał się z boku Land Raidera, po czym ponownie zajął miejsce w zagłębieniu swojej wieżyczki. Gdy Grimm uczynił to samo, a pojazd na nowo ruszył w kierunku Cassaru, Alvez podniósł głos ponad ryk silnika czołgu:

- Niech się pan szykuje, sierzancie. Wkrótce zacznie się zabijanie.

## 12

### Blokada

#### Przestrzeń lokalna Świata Rynn

- Zawrócić okręt. Dajcie mi namiar na salwę dziobową. Baterie burtowe mają wziąć na cel tamten niszczyciel zanim zdąży ponownie wystrzelić!

Ceval Ranparre siedział na masywnym tronie dowodzenia, który stał na podwyższeniu ciągnącym się wzdłuż tylnej ściany mostka okrętowego. W komorach roboczych poniżej, jego podwładni uwijali się gorączkowo. Tysiąc głosów przemawiało naraz, połowa z nich w Binarnym, języku maszynowym Adeptus Mechanicus.

Kolejny potężny wstrząs zatrzęsął statkiem. Było to już trzecie takie trafienie w ciągu ostatniej minuty. Mapy i moduły danych rozsypały się po całym pokładzie. Ranparre poczuł, że sztuczna grawitacja zawiodła na ułamek sekundy i wiedział, że jego barka bojowa, Szabla Scaurusa, musiała zaliczyć trafienie w śródkręcie, w miejsce, gdzie znajdowały się wszystkie systemy krytyczne. Tarcze okrętu były w tym miejscu najmocniejsze, ale nawet one nie były w stanie dużo dłużej znosić takiego ostrzału. Tarcze próżniowe wkrótce przestaną działać. Statków Astartes oraz Imperialnej Marynarki było sto razy mniej, a wraz z każdą upływającą minutą w systemie pojawiały się kolejne szpetne, niezgrabne jednostki orków.

Nie byliśmy gotowi - pomyślał Ranparre. Wciąż formowaliśmy szyk bojowy. Ze wszystkich xenos w galaktyce tylko orki mogły odważyć się na tak psychotyczny i samobójczy skok.

Widział już efekty naruszenia prawdziwej przestrzeni tak blisko planety. Na samym początku starcia koło ich okrętu przeleciało kilka gładko odciętych dziobów, które krwawiły w lodowatą pustkę zdatnym do oddychania powietrzem i zwłokami obcych. Część z nich miała uderzyć w planetę z całą siłą dalekosiężnych pocisków wielkotonażowych. Ranparre i jego załoga nic nie mogli z tym zrobić. Zniszczenie tych wraków rozbiłoby jedynie jedną śmiertelnośną masę na wiele mniejszych. Poza tym cała siła ognia potrzebna była do odparcia znacznie większego zagrożenia w postaci okrętów obcych, która próbowały przebić się na powierzchnię. Z miejsca stało się jasne, że ich blokada była żałośnie niewystarczająca. Nie przy takiej przewadze przeciwnika!

Ranparre miał kilka wieków doświadczenia w walkach kosmicznych. Okręty Szkarłatnych Pięści pod jego dowództwem uratowały dziesiątki światów bez konieczności wysyłania na powierzchnię sił lądowych. Rebelianci, zdrajcy, heretycy, xenos, nawet plugastwa rodem z osnowy... Ranparre walczył już z dziesiątkami wrogich statków zarówno na wysokiej orbicie, jak i w kosmicznej otchłani. Lecz nawet on za swojego nienaturalnie długiego żywota nie musiał stawiać czoła tak olbrzymim siłom, jakie Arcypodpalacz z Charadonu teraz posłał przeciwko nim. Wyglądało to tak, jakby nawet w tej bezkresnej czarnej pustce nie było takiego miejsca, które nie znalazło się pod naporem orczych okrętów, mknących w kierunku planety, ciągnąc za sobą smugi rozżarzonej plazmy.

- Niech Aurora i Verde utworzą z nami szyk. Chcę, aby Aurora znalazła się na naszej lewej burcie, a Verde na prawej. Wszystkie działa dziobowe wycelowane w mostek dowodzenia ich okrętu flagowego. Jeśli ten potwór Snagrod jest na pokładzie, wciąż jeszcze mamy szansę skończyć to tu i teraz.

Z rzędu stacji roboczych zatopionych w metalowej podłodze po prawej stronie mostka jeden ze współ koordynatorów artyleryjskich krzyknął:

- Mamy zamiar na salwę dziobową, mój panie. Pozwolenie na otwarcie ognia z lanc dziobowych?

- Wstrzymać się - odparł Ranparre. - Otworzymy ogień razem z krążownikami uderzeniowymi. Jeśli ten potwór ma jakieś tarcze, musimy liczyć na to, że chociaż je przeciążymy.

Kilka sekund później operator stacji komunikacyjnej po lewej zaraportował, że baterie dział Aurora i Verde namierzyły wroga i oczekiwały na rozkaz Ranparre'a do otwarcia ognia.

- Dajcie sygnał - warknął Ranparre. - Wszystkie baterie dziobowe... ognia!

Środkowe ekrany przed nim rozbłysły oślepiająco białą energią, gdy potężna broń dała upust swej furii. Szerokie, świetliste włócznie rozgorzały na trasie dziesiątków tysięcy kilometrów. Tuzin mniejszych orczych myśliwców i statków wsparcia pomiędzy dwoma okrętami flagowymi zostało unicestwionych. Najzwyczajniej w świecie przestały istnieć. W następnej chwili promienie lanc uderzyły w okręt flagowy orków z całą siłą, prosto w jego gargantuiczny, zwierzęcy pysk.

- Bezpośrednie trafienie ze wszystkich baterii - zaraportował współ koordynator artyleryjski.

Nie mogliśmy spudłować - pomyślał Ranparre. Jak wielki jest ten potwór?

- Raport uszkodzeń wrogiej jednostki - rzucił.

- Brak danych, mój panie - odparł inny głos ze stacji po prawej. - Nasze przednie czujniki zostały poważnie uszkodzone. Działają z czterdziestoprocentową skutecznością. Wstępne skany sugerują, że wrogie tarcze przyjęły na siebie większą część uderzenia. Wrogi okręt nieustannie zmniejsza dystans przy zachowaniu pełnej zdolności bojowej.

- Ile czasu zajmie ponowne naładowanie dział? - spytał Ranparre. - Nasze baterie dziobowe muszą natychmiast być gotowe do kolejnej salwy!

- Czy mój pan życzy sobie wezwać kolejne posiłki? - spytał jeden z operatorów komunikacyjnych. - Barka bojowa Tigurius jest zaledwie dwadzieścia jeden tysięcy kilometrów stąd. Krążowniki uderzeniowe Hewson i Maqueda znajdują się odpowiednio sześć i dziewięć tysięcy kilometrów od naszej pozycji.

Ranparre spojrział na wyświetlacze taktyczne przed sobą, skupiając się na tych, które pokazywały sytuację na bakburcie i sterburcie. To, co zobaczył, przypominało kompletny chaos. Blokada planetarna pękała w niezliczonej ilości miejsc naraz.

Okręty orków przedzierały się pomiędzy imperialnymi jednostkami jednocześnie na stu różnych wektorach szturmowych. Przestrzeń pomiędzy linią bojową i planetą połyskiwała szczątkami zniszczonych statków i rozbłyskami wybuchów. Szybko odnalazł Tiguriusa dzięki oznaczeniu identyfikacyjnemu. Okręt utracił hermetyczność na bakburcie i zaczynał się przechylać na sterburcie, nękany przez rój mniejszych okrętów szturmowych orków. Wrogie statki krążyły wokół barki niczym

rozgniewane osy, dziurawiając jej burty pociskami i bronią energetyczną. Tigurius w żadnym wypadku nie był w stanie udzielić wsparcia Szabli Scaurusa. Jego oczy wyłowiły symbole CF-166 i CF-149 - Hewson i Maqueda. Obie jednostki toczyły ciężki bój. Na jego oczach kadłub Maquedy zaczął pękać. W przyptywie desperacji, chcąc zabrać ze sobą do grobu jeszcze jednego wroga, jej kapitan, Darrus Graedo, musiał wydać rozkaz do zwrotu i wejścia na kolizyjny kurs taranujący. Silniki plunęły rozgrzaną plazmą, gdy statek grzmotnął dziobem prosto w burtę ciężkiego krążownika orków, który do tej pory nieustannie zasypywał Maquedę salwami z bakburty ze swojej pozycji na godzinie drugiej.

Ranparre patrzył jak ostry dziób Maquedy wgryza się głęboko we wrogą burtę. Ich kadłuby gwałtownie złączyły się ze sobą. Nastąpiła seria jasnych rozbłysków, po których, w tej samej chwili, oba statki implodowały, zapadając się do środka. W tym samym momencie wszystkie migoczące na pokładach światła zgasły.

- Właśnie straciliśmy Maquedę - powiedział głos z jednej ze stacji.

Ranparre skupił swoją uwagę na Hewsonie i zobaczył, że przynajmniej ten statek radził sobie lepiej. Okręt wykonał beczkę przez bakburtę i odpalił potężną salwę burtową w chwili, gdy potworna jednostka orków próbowała przelecieć nad nim. Żelazne podbrzusze wroga zostało podziurawione w stu różnych miejscach, odrywając od kadłuba ciężkie metalowe płyty. Systemy krytyczne zostały przeładowane. Chwilę później wybuchowa reakcja łańcuchowa rozerwała statek obcych od środka. Gdy przestrzeń wokół umierającego okrętu wypełniła się wirującymi odłamkami, kapitan Hewsona nakazał załodze wykonać ostry zwrot, po czym poczęstował salwą z bakburty trzy lekkie krążowniki orków, które leciały za większym okrętem jako wsparcie.

Ranparre widział, że mimo tych kilku cennych trafień wciąż było zbyt wiele luk w ich obronie, przez które mogły się przedostawać wrogie statki. Xenos byli zwyczajnie zbyt liczni, by ich powstrzymać, zaś ich największe okręty nieubłaganie zbliżały się, sekunda po sekundzie, kilometr po kilometrze. Szabla Scaurusa wkrótce miała stracić przewagę zasięgu i celności.

Baterie dziobowe w pełnej gotowości za osiemdziesiąt trzy sekundy, mój panie

- zaraportował starszy koordynator artyleryjski.

- Niech ktoś wywoła kapitana Hewsona - warknął Ranparre. - I natychmiast nawiążcie bezpośrednie połączenie z Mistrzem Zakonu Kantorem.

- Na twój rozkaz, panie - odparł najbliższy operator komunikacyjny.

Niech Dorn ma nas w swojej opiece - pomyślał Ranparre, nie odrywając spojrzenia od koszmaru, który rozgrywał się na jego oczach.

Niech Dorn ma na w swojej opiece, sami jesteśmy bezradni.

## Wyższa Izba Rynn

### Nowy Rynn

- To chyba jakieś nieporozumienie - zawołał baron Etrando. - Bez wątplenia to błąd komunikacyjny. Stan wojenny? To... niesłychane. Niedorzeczne!

Maia ledwo słyszała go ponad harmidrem, jaki panował w całej Wyższej Izbie Rynn. Przewodniczący już kilkakrotnie prosił o spokój, ale w pomieszczeniu panowało kompletne zamieszanie. Do Wyższej Izby Rynn należało stu osiemnastu szlachciców, z czego dwudziestu sześciu było członkami jej rządu, i nagle wszyscy chcieli dać upust w tym samym momencie swemu przerażeniu lub niedowierzaniu.

Jidan Etrando siedział zaledwie trzy krzesła od Mai. Kawalek dalej i jego słowa zupełnie zmieszałyby się ze ścianą dźwięku.

- Nie jest to żaden błąd - odparła, podnosząc głos. - Księżycowe stacje śledzenia na Dantienne i Syphs potwierdziły te informacje zanim kontakt z nimi został zerwany. Cała sieć obrony orbitalnej została postawiona w stan gotowości. Nadciągają. Nie ma co do tego wątpliwości.

- Dlaczego tutaj? - spytał młody poseł z tylnego rzędu. -Dlaczego teraz?

Maia lekko się odwróciła i zobaczyła, że był to Buló Dacera, podsekretarz Wydobywania i Przetwórstwa Surowców.

- To obcy, Buló. Nie musimy ich rozumieć. Flota zatrzyma ich zanim zdążą wylądować.

Ci, którzy byli dostatecznie blisko, by ją usłyszeć, umilkli. Cisza zaczęła się rozprzestrzeniać po obitej pluszem, kopułowato sklepionej komnacie aż w końcu hałas przycichł do poziomu szmeru.

Przynajmniej przewodniczącego, którego starożytne ciało było po części ludzkie, a po części machiną na stałe połączoną z systemami danych służącymi Wyższej Izbie Rynn, było słyhać należycie.

- W imię Imperatora - wyrzucił z siebie - opamiętajcie się. Wszystkie kwestie, nawet takie jak ta, należy omawiać z zachowaniem powagi należącej tej szlachetnej instytucji.

Mężczyzna odwrócił najeżoną czujnikami głowę w kierunku Mai. Kobieta poczuła na sobie jego elektroniczne spojrzenie, gdy dodał:

- Jeśli gubernator chce zabrać głos, niech wstąpi na mównicę aquili.

- Zabiorę głos - oznajmiła Maia formalnie, po czym wstała z ławy. Jej kroki były miarowe i pełne zdecydowania, którego w rzeczywistości wcale nie czuła. Wieści o Waaagh mocno nią poruszyły. Za rządów jej matki najpoważniejszym kryzysem była ucieczka skazańców z więzienia. Niezwykle cięta kobieta-polityk o kamiennym sercu, której łono wydało Maię na świat, nauczyła ją wielu różnych rzeczy, zazwyczaj w mało przyjemny sposób.

Nie przygotowała jednak Mai na wypadek inwazji obcych, która zagrażała życiu każdego mężczyzny, kobiety i dziecka na planecie.

Maia rozpaczliwie trzymała się swojej wiary, ale głos w jej głowie nie przestawał

zadawać pytania, dlaczego Imperator pozwolił, by coś takiego spotkało ludzi, którzy go kochali i czcili.

Zatrzymała się na podwyższeniu i odchrząknęła, po czym powiodła spojrzeniem po szlachcicach, którzy spoglądali na nią z wyczekiwaniem z ław po obu stronach komnaty.

Są równie przerażeni jak ja - pomyślała. Może nawet bardziej. Ciekawi mnie, ilu z nich myśli, że to kara za ich grzechy?

Wcześniej doszło już nawet do incydentu z uczestnictwem miejscowych sił porządkowych. Osiemnastu posłów próbowało zapewnić sobie nielegalny transport z planety na pokładzie szybkiego statku. Gdyby kapitan Alvez nie uziemił wszystkich jednostek niemilitarnych, Maia podejrzewała, że teraz przemawiałaby do pustego pomieszczenia.

Samej sobie wmawiała, że nigdy by nie uciekła. Szkarłatne Pięści nieustannie trenowały dla takich chwil, były dla nich stworzone. By chronić ludzkość przed jej wrogami - był to główny powód ich istnienia. Pedro Kantor nie mógł jej zawieść.

Na moment uniosła spojrzenie ku niebiosom i wbiła wzrok w spodnią część przepięknej, diamentowej kopuły. Widoczne przez panele niebo miało odcień bardzo głębokiego błękitu. Bliźniacze słońca były już w połowie drogi w stronę horyzontu na zachodzie, gdzie na czas nocy pochłaniały je wody Medeany. Po wewnętrznej stronie największego i najbardziej centralnie położonego diamentowego panelu namalowano podobiznę Imperatora o ciemnych lokach okalających złotawą skórę, spoglądającego z góry na zebranych spojrzeniem, które Maia od zawsze uznawała za surowe, lecz pełne miłości. Daj mi siłę, błagała go bezgłośnie.

- Szanowni członkowie, Wysoka Izbo - zaczęła. Jej głos wzmacniał mikrofon ukryty w głowie orła zdobiącego mównicę. - Stawiamy czoła czemuś, o czym do tej pory czytaliśmy jedynie w archiwach. Nikt nie podejrzewał, że zielonoskórzy będą na tyle głupi, by tu wrócić. Uczynili to jednak, dlatego rozumiem wasze obawy. Ale ich nie podzielam. - To, rzecz jasna, było kłamstwo. - Jesteśmy przywódcami - ciągnęła dalej - i tak też musimy się zachowywać. To w nas zwykli ludzie będą szukać oparcia. Szkarłatne Pięści przybyły tu w wielkiej sile. Jestem pewna, że nie ma większego źródła pociechy niż to.

Siedzący w ławce po lewej Eduardo Corda wyglądał, jakby miał się z nią nie zgodzić. Jego włosy wciąż były nieco wilgotne.

Pozostałe zwrócone ku niej twarze były blade i zroszone potem. Mimo jej słów wciąż byli przerażeni. Jedynie wicehrabia Isopho wyglądał na opanowanego. W ogóle jej to nie dziwiło. Za młodu mężczyzna przeciwstawił się rodzinnej tradycji i pozostał w służbie Gwardii Rynn dwa razy dłużej niż jakikolwiek inny szlachcic. Na dodatek opuścił jej szeregi wyłącznie ze względu na śmierć swojego ojca. Z tego co wiedziała był dobrym oficerem i żołnierze z Gwardii Rynn wciąż darzyli go pewną dozą szacunku, czego nie można było powiedzieć o innych oficerach.

Powinnam trzymać Nilo blisko siebie - pomyślała Maia. Jego zdanie może się liczyć, jeśli...

- Również Gwardia Rynn - mówiła dalej - zapewniała mnie, że będzie nas bronić. Właśnie wysłano nam dodatkowe siły z Pól Targis. Gdy do nas dotrą, pomogą w zabezpieczeniu miasta. Ludzie z okolicznych osad mogą szukać schronienia za

zewnątrznym murem. Nawet jeśli orkom uda się przedrzeć, nie spodziewamy się długiego oblężenia. Mimo to sprowadzamy zapasy awaryjne drogą morską i lądową, a wszystkie dobra przeznaczone na eksport zostały cofnięte z portu kosmicznego. Te fakty wydawały się nieco uspakajać posłów. Ich umysły zaczęły chwytac się szczegółów, miast wyobrazac sobie ohydnych obcych, którzy zamierzali zniszczyć wszystko, co kiedykolwiek było im bliskie. Jedna kobieta, hrabina Maragretto, zaszlochala gdzieś z tyłu na wieść o oblężeniu, ale szybko stłumiła płacz.

- Zaufajcie naszym protektorom - powiedziala Maia. - Poprzysięgli bronit naszej planety i tak własniet uczyniã. Zaufajcie te¿ egzekutorom Civitas, a co za tym idzie Adeptus Arbites, którzy ich nadzorujã. Oni równie¿ zložyli solennã przysięgę przed Imperatorem i nie pozwolã, by nasze społeczeństwo popadlo w panike i ruine. Celem zachowania kontroli nad sytuacjã wprowadzona zostala godzina policyjna. Ponad wszystko, moze jedynie poza samym Imperatorem, zaufajcie potężnym Kosmicznym Marines ze Szkarlatnych Pięsci. To w nich najwieksza nadzieja. Oni zakończã ten koszmar. Juz nad tym pracujã, a moja wiara w nich jest niezachwiana. Niech wasza wiara równie¿ taka będzie, a wkrótce zostaniemy wynagrodzeni.

Spojrzała na swoich pobratymców, szukając przy tym innych słów, którymi mogłaby ich uspokoić, ale na razie nie miała nic więcej do powiedzenia. W tej chwili mogli jedynie siedzieć i czekać aż inni rozprawiã się z przeciwnikiem.

- Udostępnie teraz mównicę wszystkim, którzy chcieliby coś powiedzieć.

Kobieta zesła z podwyższenia z tą samã, wystudionã gracjã, po czym wróciła na swoje miejsce.

Gdy usiadła, rozbrzmiał chrypliwy głos przewodniczącego:

- Niech uniesie rękę ten, kto chciałby zwrócić się do wysokiej izby.

W jednej chwili dziesiątki rãk poszły w górę, a komnata na nowo eksplodowała rykiem głosów uniesionych w ślepej panice.

## Arx Tyrannus, Góry Diabelskiego Ostrza

Kantor szedł szybkim krokiem przez wewnętrzny dziedziniec w kierunku centralnej sali Strategium, gdy ujrzał na niebie pierwsze oznaki walk.

Niebo ciemniało. Na zachodnim horyzoncie, ponad wierzchołkami Gór Diabelskiego Ostrza ostatnie promienie dnia tworzyły jedynie słabą, łagodną lunę. Otaczające go ze wszystkich stron wysokie mury skrywały jednak sam zachód słońca, choć i tak nie miałby czasu, aby zatrzymać się i go podziwiać. Niebo nad jego głową miało barwę głębokiej purpury przechodzącej w czerń, na tle której pojawiały się kolejne gwiazdy. Właśnie tam, pośród znajomych konstelacji, wszystko się zaczęło. Tego wieczora na nieboskłonie było znacznie więcej gwiazd niż zwykle, a wiele z nich nieubłaganie zbliżało się do siebie. Niektóre odznaczały się wyjątkowo krótkim żywotem. Mistrz Zakonu wiedział, że każdy rozbłysk oznaczał wystrzał z potężnej broni energetycznej lub ostatnie chwile jakiegoś okrętu. Gdy zaś szło o to drugie, to ile istnień gasło wraz z tymi niezwykle krótkimi rozbłyskami? Miał jedynie nadzieję, że oznaczały one śmierć orków, a nie ludzi.

Po chwili pojawiły się inne, jeszcze jaśniejsze i wyraźniejsze światła, które zakreśliły ogniste luki na niebie. Jarzyły się pomarańczowym żarem wejścia w atmosferę.

Wiedział, że najgorsze właśnie się zaczęło. Linia obrony została przerwana.

Za szybko - pomyślał. Czy naprawdę do tego doszło?

Imperialna blokada zwyczajnie nie miała czasu na uformowanie się. Snagrod musiał to przewidzieć. Musiał zgadywać, że największe szanse na powodzenie będzie miał niespodziewany atak frontalny, którego żaden ludzki dowódca nie ośmieliłby się zaryzykować. Wyjście z osnowy tak blisko planety... Żaden ludzki dowódca by się na to nie poważył.

Dlatego właśnie powinienem był to przewidzieć - pomyślał gorzko Kantor. Nie należało się spodziewać, że bestia będzie myśleć tymi samymi kategoriami co my.

Powinienem był wziąć pod uwagę obcą naturę orczego umysłu.

To jednak nie była pora, by stać tu i łajać się. Czekala go rada zakonu. Wszedł do zewnętrznych sal Strategium, szybko minął kamienne korytarze, po czym w ciągu kilku sekund dotarł do szerokich, podwójnych drzwi i otworzył je zamasyście.

Zwróciło się ku niemu dwanaście twarzy, na których malował się wyraźny niepokój. Członkowie rady wstali. Kantor pokonał błyskawicznie schody przykryte chodnikiem, prowadzące do kryształowego stołu. Ponad jego blatem unosił się pełen zakłóceń obraz holograficzny, który przedstawiał bitwę na orbicie.

- Moi bracia - powiedział Kantor, gdy dotarł do onyksowego tronu. Usiadł, a siedzisko zaakceptowało jego ciężar. Ukryte pod podłogą koła zębate zachrobotaly i cały mechanizm pchnął krzesło do przodu, zatrzymując się, gdy napierśnik mężczyzny znalazł się pół metra od krawędzi stołu, a jego pancerne buty wsunęły się pod blat. - Siadajcie.



Gdy usłuchali, rozległy się odgłosy ceramitowych pancerzy uderzających o kamień. Alessio Cortez jako pierwszy pochwycił spojrzenie Kantora i przemówił, wskazując gestem holograficzny obraz nad głową.

- Kompletna jatka - zdołał wysyczeć pomiędzy zębami zaciśniętymi w gniewie.

Mistrz Kuźni Adon otworzył połączenie z siecią komunikacyjną floty, by członkowie rady mogli usłyszeć na własne uszy, co się działo. Głosy, które usłyszeli, były pełne desperacji. Praktycznie każde ich słowo potwierdzało najgorsze przypuszczenia.

- Nie mieliśmy dość czasu na przygotowanie - zazgrzytał Mistrz Kuźni Adon.

Najwyższy kapelan Tomasi nie uniósł wzroku na hologram. Zamiast tego wbił spojrzenie w swoje splecione dłonie i powiedział:

- Tylu wiernych złożyło już najwyższą ofiarę.

- W istocie - przytaknął Mateo Morrelis - ale nie na darmo. Nie należy ignorować tego, jak wiele statków zestrzeliła flota. Nasze siły na orbicie walczą niczym lwy w potrzasku!

- A my siedzimy tu i gadamy - splunął Cortez. - Wydaj rozkazy, panie. Poślij nas w bój.

Kantor obrzucił go spojrzeniem.

- Wkrótce będziesz miał walki pod dostatkiem, Alessio. Okręty desantowe już lecą w naszą stronę. Przywitamy ich ogniem z bolterów i ostrzami. - Zwrócił się do Adona:

-Mistrzu Kuźni, chcę, aby wszystkie okręty śledzono aż do momentu lądowania.

Wkrótce zacznie się bombardowanie orbitalne. Nasze tarcze próżniowe osłonią nas, ale gdy tylko ostrzał się zakończy, pošlemy tam drużyny oczyszczające na pokładzie Thunderhawków. Chcę, by cała operacja była nadzorowana przez zbrojownię. Ci, którzy nie wezmą udziału w działaniach naziemnych, obsadzą stanowiska ziemia-orbita. Dopóki choć jeden z naszych statków będzie walczył w przestrzeni, musimy zapewnić im wszelkie wsparcie.

- Technicarum już teraz śledzi trajektorię każdej wrogiej jednostki, mój panie. Nie będzie pomyłek.

Kantor pokiwał głową. Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał, gdy powiedział:

- Moje Pięści, nie spodziewałem się, że herszt orków wykona aż tak ryzykowany ruch. Ale to ryzyko mu się opłaciło. Niemniej, gdy w kolejnych wiekach ludzie będą czytać o tym dniu, a analitycy z akademii wojennych w całym Imperium będą spoglądać do swych tekstów historycznych, muszą się z nich dowiedzieć, że przetrwaliśmy i ostatecznie wyszliśmy zwycięsko z tego starcia. Jesteśmy Szkarłatnymi Pięściami, a to jest nasz dom. Rozprawimy się z tymi najeźdźcami jak należy.

- Być może uda się nam utrzymać Sorocco - zasugerował Raphael Acastus - ale co z Callioną i Magalaną?

Kantor zdążył już przemyśleć tę kwestię.

- Monitor nawiązał łączność z miejscowymi siłami Gwardii Rynn na obu kontynentach i będzie nas informować o rozwoju wypadków. W pierwszej kolejności musimy zabezpieczyć Sorocco. Oceany utrudnią przeciwnikom przemieszczanie się, gdziekolwiek wylądują. Najpierw jednak musimy oczyścić z ich obecności Sorocco.

- Jeśli orki utworzą własną blokadę - powiedział naczelny medyk Curien Droga

- będą mogły posłać dodatkowe siły w dowolne miejsce na planecie.

Kantor odwrócił się do starego lekarza.

- Nie skreślałbym jeszcze naszej floty, Curien - powiedział. Wskazując na widmową bitwę, która rozgrywała się ponad stołem, dodał: - Ceval Ranparre nie przegrał jeszcze żadnego starcia w życiu. Chociaż przeciwnik ma przewagę liczebną, on na pewno znajdzie jakiś sposób, by odwrócić losy bitwy.

- Eliminacja Snagroda - skwitował Cortez. - Nie mamy jednak pewności, że jest tu osobiście.

- Bestia tu jest - powiedział Eustace Mendoza. - Zapewniam was.

- Jesteś w stanie nam go wskazać? - spytał Kantor. - Gdyby udało się nam skierować przeciwko niemu resztę floty zanim wyląduje na planecie...

Mendoza pokręcił ogoloną głową.

- Osnowa wokół planety jest bardzo wzburzona, po tym jak została rozerwana tak blisko i w tak wielu miejscach jednocześnie. Miną dni, a może nawet tygodnie, nim będę mógł znów trafnie odczytać jej pływy i zawirowania. Wyczuwam plugawą aurę Snagroda gdzieś tam, pośród tych wszystkich przedśmiertnych wrzasków psychicznych, ale to wszystko.

- Jeśli wyczujesz cokolwiek innego, natychmiast mi o tym powiedz, bracie.

Coś, czemu Mistrz Kuźni się przysłuchiwał, zmusiło go do spojrzenia w górę.

Mężczyzna skierował soczewki optyczne w kierunku Mistrza Zakonu i powiedział:

- Mistrz Floty prosi o natychmiastową rozmowę z tobą, mój panie.

Kantor zmarszczył brwi.

- Wysłuchajmy go, bracie.

Pozostali członkowie rady spojrzeli na Mistrza Zakonu, oczekując, że oddali ich, by móc porozmawiać z Mistrzem Floty na osobności, ale Kantor jedynie pokręcił głową i powiedział:

- Cokolwiek Ranparre ma do powiedzenia, powinniśmy wysłuchać tego wszyscy.

Zostańcie. Wysłuchacie go ze mną.

Zostali więc i słuchali, choć nie były to dobre wieści.

- Obecna sytuacja jest dramatyczna - zazgrzytał głos w komunikatorze. - Powtarzam, natychmiast połącz mnie z Mistrzem Zakonu. Nie ma chwili do stracenia.

- Czy on mnie słyszy? - spytał Kantor Mistrza Kuźni.

- Tak, mój panie.

- Cevalu, tu Mistrz Zakonu. Raportuj.

Kantor znał Mistrza Floty na tyle długo, że pomimo wyraźnych prób Ranparre'a z łatwością wylapał napięcie w jego głosie. To zaniepokoiło go o wiele bardziej niż same jego słowa. Zawsze sądził, że Ranparre był niewzruszony.

- Mój panie, straciliśmy ponad pięćdziesiąt sześć procent naszych sił, a kolejne okręty orków nieustannie pojawiają się w realnej przestrzeni. W obecnej chwili nie wierzę, by możliwe było rozstrzygnięcie tego konfliktu w przestrzeni. Musisz się przygotować na ofensywę lądową na wielką skalę.

Kantor podejrzewał, że jego własny wyraz twarzy odzwierciedlały ponure miny, które zobaczył u pozostałych członków rady.

- Chcesz przez to powiedzieć, że już nic więcej nie wskórasz tam na górze?

Zapadła cisza. Ranparre wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

- Mój panie? Nie jestem pewien, czy rozumiem pytanie. Oczywiście będziemy

walczyć do ostatniego człowieka. Każdy zestrzelony przez nas okręt będzie oznaczać mniej zielonoskórych na powierzchni.

- Nie o to mi chodziło, Cevalu - powiedział Kantor. - Chcę wiedzieć, czy uważasz, że rozsądniejszym byłoby wycofanie ocalałych statków?

Znów cisza.

- Nie przychodzą mi do głowy takie okoliczności, mój panie - oznajmił Ranparre tonem podkreślającym każde słowo - które skłoniłyby mnie do wycofania się. Wróg okupił zniszczenie każdego naszego statku ogromnymi stratami. Poczyniłbym wielki afront poległym, a sam okryłbym się hańbą, gdybym wycofał się teraz z walki, nie mogąc ogłosić zwycięstwa w ich imieniu.

- Nie ma hańby w taktycznym odwrocie - odparł Kantor - w szczególności, gdy osobiście wydam taki rozkaz. Nie mogę dopuścić do zniszczenia całej floty. Sprawy mają się i tak o wiele gorzej, niż przypuszczaliśmy. Wydadz rozkaz do odwrotu Krzyżowca. Ich zadaniem będzie dotrzeć do kwatery głównej Segmentum i sprowadzić pomoc. Nie pozwolę, by duma powiodła cię do zguby.

- Statek nie będzie w stanie wykonać skoku tak blisko studni grawitacyjnej, mój panie - powiedział Ranparre. - Sami natomiast nie zdołają przedrzeć się przez flotę orków.

Kantor zmarszczył czoło. Wiedział, że nie ma wyboru.

- Wobec tego niech wszystkie pozostałe okręty pomogą im się przebić. Będą musieli zaryzykować skok. Wiele statków Snagroda przetrwało taki manewr, więc i im może się to udać. To mój ostatni rozkaz dla ciebie, bracie. Gdy Krzyżowiec się wycofa, możesz walczyć do ostatniego człowieka. Twoja legenda będzie żyć wiecznie.

Ranparre miał nigdy nie dowiedzieć się, z jakim trudem przyszły Kantorowi te słowa.

- Dziękuję ci, panie - odpowiedział jedynie. - Walczcie mężnie. Niech Dorn ma was wszystkich w swojej opiece. W głośniku rozległ się trzask zakłóceń, gdy Ranparre przerwał połączenie.

- Bywaj, bracie - powiedział Kantor do siebie. - Zobaczymy się ponownie u boku samego Imperatora.

# 15

## Cassar

### Nowy Rynn

Alvez nie usiadł. Chodził w tę i z powrotem u szczytu stołu, stukając pancernymi butami o granitową posadzkę. Pozostali obserwowali go bez słowa.

Cassar posiadał jedynie niewielkie Strategium. W przeciwieństwie do swojego odpowiednika w Arx Tyrannus, zbudowano je na bazie kwadratu. Brakowało również kopulastego sklepienia. Nawet stół był inny - prostokątny, wykonany z drzewa ebonowego zamiast z kryształu i niemal równie stary jak sam budynek. Wokół niego zasiadło dwanaście Szkarłatnych Pieści, wliczając w to Hurona Grimma, epistolariusza Deguerro oraz przywódców z kompanii krucjaty, drugiej i trzeciej. Kapitan w końcu przystanął i spojrzał w oczy swoim kompanom.

- Najwyższe dowództwo Gwardii Rynn wysłała do nas kolumnę pojazdów opancerzonych i piechoty z Pól Targis, dlatego za wszelką cenę musimy zabezpieczyć Autostradę 2. Kiedy tylko pułk pancerny minie bramę Umbris, macie ją zawrzeć i zabarykadować. Orki mają w zwyczaju wykorzystywać ukształtowanie terenu. Góry Anshar Minoris chronią naszą północno-zachodnią flankę, ale oznacza to również, że zepchną wroga w kierunku północnych dzielnic. Podejrzewam, że brama Umbris znajdzie się pod silnym ostrzałem w początkowej fazie inwazji. - Jego oczy spoczęły na jednym z sierżantów-weteranów, który siedział po przeciwległej stronie stołu, Astartes o wąskiej twarzy i ostrym podbródku. - Sierżancie Delos, będziecie odpowiedzialni za tę sekcję muru. Stacjonują tam już cztery plutony Gwardii Rynn. Przejmiecie nad nimi dowodzenie, gdy tylko dotrzecie na miejsce. Upewnijcie się, że starsi oficerowie wiedzą, kto tu rządzi.

Delos nieznacznie skinął głową.

- Zrozumiano, mój panie.

Alvez w końcu postanowił usiąść. Położył jedną z opancerzonych dłoni na blacie i odchylił się w krześle.

- Dźwigamy na naszych barkach ogromny ciężar, moi bracia, ale jesteśmy przygotowani do tego zadania. Mistrz Zakonu na nas liczy. Dotarły do nas wieści, że blokada została przerwana. Wkrótce orki spadną na nasze głowy niczym deszcze monsunowe. Właściwie już do tego doszło. W mieście został wprowadzony stan wyjątkowy. Wszyscy zdolni do służby cywile zostaną wcieleni do oddziałów milicji. Zapasy jedzenia i kluczowych zasobów zostaną zgromadzone w jednym miejscu i będą wydzielane zgodnie z protokołami kryzysowymi Munitorum. Dla nas, rzecz jasna, te kwestie mają drugorzędne znaczenie. Niech Gwardia Rynn i Arbitres radzą sobie z cywilami. Nasza rola jest znacznie prostsza. Jesteśmy tu, by wygrać wojnę. Aby odnieść sukces, musimy jedynie przetrwać do czasu, gdy padnie ostatni xenos. Kilku pozostałych pokiwało głowami. Inni mruczyli coś pod nosem przytakująco lub siedzieli w milczeniu, jak Huron Grimm, z ponurymi minami.

- Miejskie mury są trwałe - ciągnął Alvez. - Są na tyle silne, że wytrzymają, jeśli nie będziemy popełniać błędów. Bramy są nawet trwalsze, zresztą do ich obrony

przydzieliłem już ciężki sprzęt. Jeśli pojawi się w nich jakikolwiek wyłom, wróg natychmiast poczuje ogień naszych Predatorów i Vindicatorów. Zbrojmistrze pracują na murach, przygotowując działa Thunderfire. Jestem całkowicie przekonany, że dopóki mamy amunicję i zapasy, jesteśmy gotowi sprostać naporowi wroga, przynajmniej na powierzchni. Jednak podziemia pod miastem to zupełnie inna kwestia. Nie mam innego wyboru jak przydzielić wszystkie drużyny Terminatorów, za wyjątkiem tych, którzy będą pełnić służbę w porcie kosmicznym, do obrony tuneli. -Uprzedzając jakiegokolwiek protesty ze strony sierżantów kompanii krucjaty, którzy siedzieli przed nim, uniósł pancerną dłoń. - Nie wydałbym takiego rozkazu, gdybym nie uważał, że jest to absolutnie konieczne, bracia. Dorn jeden wie, że wolałbym obsadzić wami bramy miasta, ale orki z pewnością spróbują przedrzeć się do miasta tunelami, a taktyczne pancerze sprawdzą się najlepiej w tej sytuacji. Przynajmniej nie ominie was walka. Nie możemy pozwolić sobie na zawalenie tunelów, ponieważ są częścią miejskiego systemu przeciwpowodziowego. Wzdłuż innych biegną kanały doprowadzające energię i chłodziwo do systemów obronnych. Musimy je odpowiednio zabezpieczyć.

- Tak się stanie - powiedział Barrien Gallacus, sierżant dowodzący pierwszą drużyną straży przedniej. - Zatkamy je truchłami xenos.

- Dopilnujcie tego - rzekł Alvez.

Mężczyzna pochylił się, wiodąc spojrzeniem po zebranych w pomieszczeniu Astartes. Na jego pokrytej bliznami i ogorzałej twarzy pojawił się złowieszczy uśmiech.

- Radujcie się na myśl o nadciągającej bitwie, bracia - dodał. - Dla takich chwil warto żyć. Po to właśnie się urodziliśmy. Dowiedzimy naszej siły w ogniu walki.

Powietrze wkrótce zyska smak zwycięstwa. Zaufajcie mi, że tutaj narodzą się legendy.

## 16

### Arx Tyrannus

#### Góry Diabelskiego Ostrza

Nadeszli.

W późniejszym czasie ta noc miała zyskać sobie miano Nocy Gorejącego Nieba i ze wszech miar zasługiwała na tę nazwę. Ciągące się ponad tysiąc kilometrów poszarpane szczyty Diabelskich Ostrzy trzęsły się i rozbłyskiwały od potężnych wybuchów. Pozbywszy się przygotowanej naprędce blokady orbitalnej, flota zielonoskórych rozpoczęła bombardowanie, które miało pochłonąć miliony istnień. Okręty Snagroda były przygotowane, by skapać miasta i metropolie w morzu płomieni. Wziąwszy pod uwagę siłę ognia, jaką dysponował wróg, ostrzał nie musiał być nawet szczególnie celny.

Pedro Kantor zacisnął zęby, patrząc jak spada wokół nich śmiercionośny deszcz bomb. Zgromadzeni za jego plecami bracia z Gwardii Honorowej byli wyjątkowo niespokojni. Niebo ponad bastionem Sercia, na którym stali, było zasnuwane dymem z ładunków wybuchowych obcych. Żadna bomba nie spadła na fortecę-klasztór. Te, które powinny były, wybuchały nieszkodliwie pół kilometra nad głową Kantora, niezdolne do spenetrowania potężnych tarcz próżniowych, które chroniły Arx Tyrannus.

Wszystkie eksplozje na powierzchni połyskliwych tarcz kapały okolicę w rozbłyskach światła jasnego niczym za dnia.

Pracujące na pełnych obrotach tarcze próżniowe sprawiły, że powietrze stało się duszne i parne, niemal lepkie, a uszy obrońców wypełniło głośnie, nieustanne buczenie, wyraźnie słyszalne w przerwach pomiędzy kolejnymi wybuchami.

Kantor przyzwał do siebie zarządcę Savalesa. Seneszał podążył za swoim panem w pewnej odległości, na wypadek gdyby Kantor czegoś potrzebował, dzielnie znosząc nawałnicę zielonoskórych. Teraz Mistrz Zakonu chciał zapewnić mu bezpieczeństwo. W chwili, gdy skończy się bombardowanie, tarcze próżniowe miały zostać opuszczone, by pozwolić na ogień odwetowy. Podtrzymywanie tarcz było bezpieczniejsze, ale pozwalało orkom na relatywnie bezkarne lądowanie w dowolnym miejscu na planecie, gdyż w takim wypadku przeciwstawić mogłyby się im jedynie rozproszone instalacje obrony plazmowej obsadzone przez Gwardię Rynn. Na rozkaz swego pana Savales wystąpił naprzód i stanął przed Kantorem z pochyloną głową.

- Czego mój pan sobie ode mnie życzy? - powiedział, podnosząc wzrok.

Kantor z dumą stwierdził, że na twarzy mężczyzny nie znalazł choćby cienia strachu. Savales był równie opanowany co zawsze. Powinien być jednym z nas - pomyślał Kantor. Sam mógł by zapracować sobie na miano legendy.

- Wróć do centralnej twierdzy, Ramirze. Wolałbym, żebyś nie przebywał na otwartej przestrzeni, gdy tarcze zostaną opuszczone.

Stary seneszał wytrzymał spojrzenie swego pana.

- Moje miejsce jest przy tobie, panie, gdybyś czegokolwiek potrzebował, niezależnie

od niebezpieczeństwa. - W jego głosie nie było sprzeciwu. Mężczyzna jedynie przedstawił bezsporny fakt.

- W tej chwili życzę sobie, by mój seneszał wrócił do twierdzy, jak rozkazałem - oznajmił Kantor. - Martwy mi się nie przydasz. Zgromadź w Refectorium najmłodszych wybrańców.

Na pewno będą przestraszeni, więc będziesz mógł nauczyć ich, jak walczyć ze swoim strachem.

Savales okazał odrobinę wahania, ale odparł:

- Oczywiście, jak sobie życzysz, mój panie. Jeśli będziesz mnie potrzebować, wezwij mnie, niezależnie od okoliczności.

Kantor nie zwykł się uśmiechać. Nie był to wyraz, który naturalnie gościł na jego pociągłej, poważnej twarzy. Teraz jednak pozwolił sobie, aby cień uśmiechu zatańczył na jego ustach w związku ze wspomnieniem, które wciąż było żywe w jego pamięci. Choć Savales wyglądał na starszego od niego, Kantor wciąż darzył mężczyznę niemal ojcowiskim uczuciem. Pamiętał Savalesa jako przybitego młodzieńca i wyraz jego twarzy, gdy siedział w celi dawno temu, wierząc, że śmierć jest dla niego jedyną ucieczką od uczucia, jakie towarzyszyło mu po nieudanej próbie zostania Astartes. Pamiętał również zmianę, jaka zaszła w nim, gdy chłopak zyskał w życiu nowy, szlachetny cel.

Savales uklonił się głęboko, przeprosił, po czym ruszył w kierunku głównej twierdzy, zamiatając za sobą rąbkiem togi. Nad ich głowami wciąż z hukiem rozkwitały wybuchy.

Kantor usłyszał w komunikatorze głos Monitora.

- Mój panie, właśnie straciliśmy bazę powietrzną Scar Lake. Próbowałem nawiązać połączenie na częstotliwościach zapasowych, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Nie mogę również skontaktować się z siłami Gwardii Rynn stacjonującymi w Caltarze, Sagarro, Mycei... Ja... Nie potrafię tego wyjaśnić, panie.

Poruszenie Monitora było zrozumiałe. Utrata łączności ze stolicami prowincji byłaby zła sama w sobie, ale baza powietrzna Scar Lake była solidnie ufortyfikowana. Jeśli orkom udało się odciąć ją od świata zewnętrznego, wkrótce opanują też samą bazę. Czy to możliwe, że zielonoskórzy już teraz krążyli po ulicach prowincjonalnych stolic, szlachtując całe rodziny, które przed nimi uciekały?

- Co z Nowym Rynn? - spytał Kantor przez wokalizator w swoim hełmie.

- Sygnał jest słaby - zaraportował Monitor. - Urywany. Ale wciąż mamy z nimi kontakt. Wieści są ponure. Informacje o lądownikach orków docierają ze wszystkich stron. Najwięcej widziano ich na południowych mokradłach, w okolicach Varduy i Porto Kalis. Cała sieć obronna wciąż prowadzi ostrzał z dział ziemia-orbita, ale liczba celów...

Tak - pomyślał Kantor. Wkrótce wylądują i tu.

- Zrób, co w twojej mocy, żeby utrzymać połączenie ze stolicą - powiedział Monitorowi. - Informuj mnie o wszystkim.

Odwrócił się do swojej Gwardii Honorowej i wykrzyknął:

- Nasi bracia z tego bastionu sobie poradzą. My udamy się teraz do bastionu Protheo. Za mną.

Pięciu podległych mu marines odpowiedziało jednocześnie i ustawiło się za nim do

wymarszu. Idąc, Kantor spojrzął ponad zachodnimi blankami i pomimo jasnych rozbłysków wybuchających bomb ujrzał łuny niezliczonych statków xenos wchodzących w atmosferę. Na całym Świecie Rynn paskudne, brudne i głośnie pojazdy orków zjeżdżały właśnie z ramp na ubitą ziemię w poszukiwaniu rzezi. Społeczności farmerskie legną w ruinie - pomyślał Kantor. Orki opadną je niczym szarańcza i nic, co stanie im na drodze, nie ujdzie z życiem. Bestiami będzie kierować jedynie żądza krwi. Gdyby chociaż to przeklęte bombardowanie ustało, moglibyśmy zacząć zestrzeliwać je z nieba.

Widok z bastionu Protheo jedynie potwierdził jego obawy. Tam, gdzie góry przechodziły w niskie pagórki, a pagórki zamieniały się w stepy, noc rozświetlały jasne płomienie. Niebo wrzało od wchodzących w atmosferę statków, których smugi cięły czarne płótno nieba długimi, ognistymi łukami. Bomby nie przestawały spadać z przestrzeni, tworząc leje w miejscach, gdzie kończył się parasol ochronny tarczy próżniowych.

To katastrofa - pomyślał Kantor. W annałach zakonu moje imię zawsze będzie łączone z tą nocą. Muszę dołożyć starań, by zapamiętano ją jako czas honoru, a nie wstydu. Nie zamierzam być Mistrzem Zakonu, który dał się pokonać na własnej ziemi.

Gdy bombardowanie zaczęło słabnąć, tak jak teraz, zmiana stała się natychmiast zauważalna. Wkrótce ogniste paki wykwitające nad fortecą-klasztorem znikły zupełnie. Był to znak, że nadchodzą orki. Wkrótce miały wylądować w pobliżu Arx Tyrannus i przypuścić szturm. Zamierzał pokazać im, jak poważny był to błąd! Mężczyzna otworzył w komunikatorze połączenie z Mistrzem Kuźni Adonem.

- Tak, mój panie? - wychrypiał stary zbrojmistrz.

- Opuść tarcze - rozkazał Kantor. - Czas rozpętać piekło.

- Baterie Sercia, Protheo i Marez są gotowe, mój panie. Baterie Laculum są w przygotowaniu.

- Jakież kłopoty, Javierze?

- Chwilowa usterka, panie. Raport pokazuje, że wszystkie systemy pracują normalnie. Przyrządy celownicze zostały już zmapowane. Dane śledzące dla pocisków właśnie są ładowane. Baterie Laculum będą gotowe za trzy minuty.

- Gdy tylko będą gotowe - powiedział Kantor - otwórz ogień ze wszystkiego, czym dysponujemy. Chcę maksymalnego odwetu na flocie zielonoskórych. Na Terre, uhonorujemy tym Ranparre'a! Jakie jest ryzyko, że po zniszczeniu celów spadające odłamki wyrządzą duże szkody?

- Niewielkie, panie. Największe okręty orków trzymają się orbity, skąd mogą wysłać lądowniki. Większość trafień pchnie odłamki w przestrzeń, z dala od planety. Prawdopodobieństwo wyrządzenia szkód na powierzchni znajduje się w okolicach dziesiątej części procenta.

- Dobrze - odparł Kantor. - Masz moje pełne zaufanie. Dopilnuj, by wrogowie ludzkości poczuli nasz gniew.

- W imię Dorna - zazgrzytał Adon.

Komunikator wyłączył się z kliknięciem.

Kantor zwrócił się do swego oddziału i pozostałych dowódców kompanii przez kanał dowodzenia:



- Wkrótce opuścimy tarcze, bracia. Wtedy nadejdą. Pobłogosławcie swoją broń i nieście wrogom śmierć w imieniu zakonu.

Inny głos, należący do Marqola Tomasiego, dodał:

- Istnieje tylko Imperator.

Głos Kantora dołączył do pozostałych w tradycyjnej odpowiedzi.

- On jest naszą tarczą i naszym obrońcą.

Zaczęły wyc syreny, a czerwone lampy ostrzegawcze zbudziły się do życia. Z wierzchołka wieży około sześćdziesiąt metrów po prawej stronie Kantora w powietrze wzbijała się wielka chmura pary. Na jej szczycie okrągły właz o średnicy pięciu i grubości jednego metra otworzył się z sykiem hydrauliki. Wszędzie wokół fortecy-klasztoru działo się to samo. Włazy otwierały się, odsłaniając zaokrąglone nosy pocisków balistycznych ziemia-orbita, z których każdy uzbrojony został w najbardziej niszczycielskie głowice konwencjonalne, jakie były dostępne.

Syreny zmieniły ton, ostrzegając o rychłym odpaleniu rakiet. Marines na chwilę przerwali przegląd swojego uzbrojenia i odwrócili się, by obserwować jak pierwsze płomienie liżą wierzchołki wież-silosów. Ziemia zadrżała, a powietrze wypełnił huk, który zagłuszył wszelkie inne odgłosy.

Snagrod nie docenił Szkarłatnych Pięści, przybywając tutaj. Wkrótce miał zapłacić za ten błąd.

Ogłuszający ryk plazmowych silników raketowych zmienił swój ton. Chwilę później ujrzeli czubek pocisku położonego najbliżej Kantora. Z początku rakietę wydawała się przyspieszać wyjątkowo powoli. Wyraźnie mocowała się z grawitacją, próbując wynieść swój ciężar w powietrze.

Z silosu wylaniały się kolejne fragmenty rakiety, która zaczęła nabierać prędkości.

Grawitacja przegrywała. Pocisk w końcu opuścił komorę wyrzutni i wystrzelił prosto w niebo z rykiem wściekłego boga, ciągnąc za sobą smugę oślepiająco jasnych płomieni.

Zaraz za nim poleciały kolejne, mknąc w górę na szerokich kolumnach ognia i dymu. Obserwując rakietę sunącą po łukowatych trajektoriach w kierunku odległych celów, Pedro Kantor nawet przez chwilę nie wyobrażał sobie, jaki straszliwy cios wkrótce spadnie na wszystko, co kiedykolwiek uważał za siebie bliskie.

Noc Gorejącego Nieba dopiero się zaczęła.

Savales przystanął w korytarzu przed Refectorium i natychmiast wyczuł unoszącą się w powietrzu aurę strachu. Gładkie, kamienne ławy wypełniali najmłodsi wybrańcy, z których część kulila się, spoglądając spod zmarszczonych brwi na kopulasto sklepiony sufit. Inni jedynie mocno zaciskali powieki. Niektórzy tulili się do siebie lub kołysali w przód i w tył. Najmłodszy z nich miał zaledwie osiem lat, najstarszy zaś blisko czternaście. Żaden z nich nigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Nawet Savales poszedłby o zakład, że orki nie zdecydują się na coś tak bezczelnego jak bezpośredni szturm na świat domowy Astartes.

Młodych wybrańców zebrano w tym miejscu, by przeczekali bombardowanie orbitalne, ale również po to, by nie krzatali się pod stopami Astartes i starszych sług, z których wielu pracowało przy systemach obronnych fortecy-klasztoru. Kilku

dorosłych krążyło pomiędzy ławami, powtarzając chłopcom, by byli silni oraz że ta nawałnica, która raz za razem wstrząsała całą górą, wkrótce się zakończy.

Jeden z dorosłych, chudy jak palec mężczyzna o imieniu Bernis Kalisde, Mistrz Refectorum, warknął na grupę chłopców, przechodząc obok nich. Kilku młodzików podskoczyło z miejsca, a jednemu wyrwał się nawet okrzyk strachu.

- Jesteście żałośni! - powiedział mężczyzna. - Spójrzcie na siebie. Wyglądacie jak zbite psy. Należycie do zakonu. Czy niczego nie nauczyliście się od lepszych od siebie? Strach jest bezużyteczny. Jedyne was osłabia. Wyzbądźcie się go, albo wybijemy go z was siłą.

Savales obserwował Kalisdego z cienia zachodniego wejścia. Do tej pory nikt nie zauważył jego przybycia. Nie przepadał za tym człowiekiem. Kalisde lubił krytykować i nienawidził chwalić innych, nawet gdy ktoś na to zasłużył. Przed wszystkim jednak nie miał prawa uderzyć nikogo, kto nie służył bezpośrednio pod nim. Niektórym chłopcom wyznaczono już miejsca w Sacratium, Apothecarionie i Technicarum, które mieli zająć, gdy dorosną. Gdyby Mistrz Refectorum podniósł na nich rękę, sam musiałby liczyć się z poważnymi konsekwencjami.

- Spójrzcie na mnie - ciągnął Kalisde. - Widzicie, żebym ja się trząśł? Czy moje oczy mokre są od łez, tak jak wasze? Nie. Jesteście słabi, wszyscy bez wyjątku. Bomby nie są mi ani trochę straszne. Śmiałybym się z was, gdybym nie był tak zniesmaczony.

Savales w końcu wkroczył do Refectorum, zmierzając w kierunku środka sali.

Osobisty herb Mistrza Zakonu na plecach i piersi jego togi stanowił symbol najwyższej władzy wśród wybrańców. Żaden inny śmiertelnik nie miał prawa go nosić, dopóki Savales nie przekaze go dalej. Widząc wchodzącego zarządcę, Kalisde przestał krążyć po pomieszczeniu i stanął wyprostowany, obrzucając Savalesa spojrzeniem pełnym powściągliwego szacunku.

- Spójrzcie no, chłopcy. Zarządca Savales nie boi się pocisków zielonoskórych, nieprawdaż, zarządco?

- Nie, dopóki mam nad głową tarcze próżniowe - odparł Savales, zatrzymując się kilka kroków przed Kalisdem i uśmiechając się do młodzieńców, którzy patrzyli na niego z obu stron. Następnie utkwiał spojrzenie w Mistrzu Refectorum i powiedział:

- Teraz ja się nimi zajmę, Bernisie. Ty i twoi ludzie jesteście wolni.

Kalisde nie cierpiał, gdy ktoś mówił mu, co ma robić na swoim terytorium, ale wiedział, jaką władzę posiadał zarządca. Jego szczęka pracowała przez chwilę, gdy rozważał możliwe odpowiedzi, ale nawet jeśli jakąś uznał za właściwą, to postanowił zachować ją dla siebie. Skinął jedynie głową, po czym ruszył w kierunku łukowatego przejścia w północnej ścianie, które prowadziło do kuchni. Pozostali dorośli podążyli za nim bez słowa.

Savales powiódł wzrokiem po zebranych wokół chłopcach. Nie mógł winić Kalisdego za to, co próbował osiągnąć, ale były lepsze sposoby na uspokojenie dzieci aniżeli wzbudzanie w nich poczucia winy i niższości.

- Zróbcie dla mnie miejsce - powiedział dwóm młodzieńcom po prawej. Zrobił krok nad ławą i usiadł obok nich. - Reszta niech podejdzie bliżej. Chcę, żeby wszyscy mnie słyszeli.

Młodzi słudzy bez słowa wstali od innych stołów i zebrali się wokół niego. Ich koledzy zrobili dla nich miejsce, tak że najbliższe ławki były teraz ciasno wypełnione.

Ta nowa bliskość była na swój sposób krzepiąca. Gdy zbili się w jedną gromadę, drżenie góry straciło nieco ze swej grozy.

- Teraz - zaczął Savales - ilu z was rozumie, co się dzieje na zewnątrz?

Żaden nie uniósł dłoni. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, że forteca-klasztór jest szturmowana przez orki, ale żaden z nich nie widział takiego stwora na oczy. Wszystko, co wiedzieli o zielonoskórych, nauczyli się z historii opowiadanych czasami przez starsze sługi, zawsze z trzeciej ręki, a także z tego, co mogli wyczytać z fresków zdobiących korytarze zakonu, na których bohaterowie Szkarłatnych Pieści kładli trupem zwaliste zielone postaci całymi setkami.

- Wiedzieliście, że obcy chcieli zaskoczyć mistrza Kantora, prawda? Mieli nadzieję uderzyć z całą siłą w fundamenty zakonu i odnieść szybkie zwycięstwo. Cóż, spróbujcie sobie wyobrazić, jaki rozgniewany musi być teraz przywódca xenos. Przygotowywali się do tego całymi latami, może nawet dekadami. Ich armie pokonały ogromne odległości w zimnej, czarnej przestrzeni z zamiarem unicestwienia największego zagrożenia dla ich rasy, jakie istnieje w całym sektorze. Ryzykowali śmiercią milionów, wychodząc z osnowy tak blisko planety i stracili przez to całe mnóstwo swoich najpotężniejszych okrętów. To wszystko prawda. Teraz jednak, dotarłszy do celu, zrzucili na nas ładunki wybuchowe, tylko po to, by przekonać się, że ich broń jest kompletnie bezużyteczna. Każda bomba rozbija się o nasze tarcze bez żadnej szkody. Mamy się bać? My? Przecież to dobra komedia. Zobaczył, że kilka twarzy pojaśniało, ale mury klasztoru wciąż drżały. Bombardowanie zdawało się nie mieć końca. Było jasne, że chłopcy potrzebowali dalszej otuchy.

- Gdy byłem w waszym wieku - kontynuował - przeżyłem najstraszniejszą chwilę w swoim życiu. Domyślcie się, co to było?

- Zobaczyłeś xenos - rzucił dziewięciolatek o wielkich oczach, siedzący po drugiej stronie stołu.

- Nie - odparł Savales. - Nie zgadłeś.

- A może demona? - zasugerował inny mniej więcej w tym samym wieku.

Pozostali uciszyli go natychmiast, rysując symbole ochronne. Chłopiec skulił się w sobie.

Savales zmarszczył brwi i pokręcił głową, chociaż nie czuł złości.

- Nie, to też nie to. Ale nie wymawiamy tego słowa głośno, dziecko. Pamiętaj, czego cię uczono. Cóż, wygląda na to, że żaden z was nigdy nie zgadnie, dlatego powiem wam. Najstraszniejszą chwilę w swoim życiu przeżyłem, gdy wydawało się, że moja szansa na służenie zakonowi została bezpowrotnie zaprzepaszczone. Byłem niewiele starszy od was, gdy dowiedziałem się, że nigdy nie zostanę Astartes. Bardzo tego pragnąłem. Wątpiłem w wartość jakiegokolwiek innego życia. Przemyślałem swoje życie i byłem pewien, że czeka mnie tylko śmierć. Lecz ostatecznie przeżyłem życie lepsze niż na to zasługiwałem i tak też będzie w przypadku każdego z was. Zakon nas potrzebuje, a każdy z nas potrzebuje zakonu. Mistrz Kantor zna imiona was wszystkich. Troszczy się o wszystkich wybrańców. W istocie, kiedyś powiedział mi: *Ramirze, wybrańcy są jak ta góra. Co masz na myśli, panie?* — spytałem go. *Są niczym skała, na której stoi ten klasztor, powiedział. To dzięki ich staraniom bracia bitewni zawsze są gotowi do walki. Chciałbym jedynie, by reszta Imperium wie-*

*działa, jak wiele z naszej chwały i honoru zawdzięczamy tym, którzy nam służą.*

- Naprawdę tak powiedział? - spytał chłopiec po lewej ręce Savalesa.

- Naprawdę - potwierdził zarządca. - Przez całe wasze życie zakon będzie od was wiele wymagać. Czasami będziecie zmęczeni, ale nie możecie się poddawać.

Czasami będziecie odczuwać ból, ale musicie sobie z nim poradzić. Musicie bez reszty oddać się swoim obowiązkom. Lord Diabelskiego Ostrza liczy na was.

Zwycięstwa zakonu są również waszymi zwycięstwami. Nie zapominajcie o tym.

- Mężczyzna wskazał palcem na wysoki sufit i uniósł wzrok. - Gdy orki skończą zrzucać swoje bezużyteczne bomby, nasi panowie rozpoczną prawdziwą walkę i również oni ją zakończą. Zobaczycie. Szkarłatne Pieści są niepokonane. Nawet przekłęci Scythianie ponieśli klęskę i uciekli w Wielki Mrok przed gniewem zakonu. Atmosfera w Refectorium zauważalnie się rozluźniła. Większość chłopców siedziała teraz wyprostowana. Savales ujrzał dumę gorejącą w ich oczach.

Doskonale - pomyślał.

- Mam nadzieję, że wszyscy znacie Dziewiątą litanię przeciw lękowi Gordeau.

Najmłodszy wyglądał na podenerwowanego, ale pozostali pokiwali głowami.

Jeśli jej nie znacie - powiedział łagodnie zarządca - słuchajcie i starajcie się dołączyć.

Na pewno szybko się jej nauczycie.

Kiedy rozpoczął odmawiać litanię, w pomieszczeniu rozbrzmiały kolejne głosy, które niemal zagłuszały huk bomb. Ledwie zauważyli moment, w którym grzmoty wybuchów ustały. Gdy śmierć przyszła po nich niedługo później, takich właśnie ich zastała - nieustraszonych i pełnych dumy w sercach.

Savales nie musiał martwić się o wartość swego życia. Przeżył je bowiem z wielkim honorem i zginął w jedynym miejscu, które kiedykolwiek nazywał domem.

Orki pojawiły się wkrótce po odpaleniu pierwszych niszczycieli-statków. Przybyły w ogromnej liczbie, uzbrojone w niemożliwe do opisanego czołgi, pojazdy i broń, wylewając się z opasłych transporterów, którym udało się przedrzeć przez obronę średniego oraz bliskiego zasięgu fortecy-klasztora i wylądować. Na górskich stokach zaroilo się od zielonoskórych, niepomyślnych na ogień, który natychmiast do nich otworzono.

Alessio Cortez nie czuł strachu. Minęło tyle czasu, że nie był pewien, czym właściwie jest strach. Gdy tylko dotarły do niego wieści, że na zboczach spostrzeżono orki, poczuł jedynie znajomy, palący żar bitewnej żądzy. Krew szybciej zaczęła krążyć w jego żyłach, dostarczając mięśniom wszystkiego, czego będą potrzebowały w nadchodzącej bitwie. Czuł rytmiczne pulsowanie w opancerzonych palcach, zaciśniętych na uchwycie wiernego pistoletu boltowego.

Teraz im pokażemy - pomyślał. Teraz zapłacą za swoją arogancję.

Jemu i jego kompanii przypadła w udziale obrona niższych szańców bastionu Protheo. Gdy tylko horda obcych pojawiła się w zasięgu ich wzroku, otworzyli ogień w stronę pierwszych, rozszalałych szeregów. Orki, które z reguły unikały nocnych ataków, kiedy ich słaby wzrok stawał się jeszcze słabszy, niosły płonące pochodnie, które czyniły z nich niezwykle łatwe cele. Bestie miały niewielkie szanse na sforsowanie zachodniego muru. Dzieląca ich przepaść uniemożliwiała to. Miały jednak do swojej dyspozycji wielkie, niezgrabne pojazdy pancerne, na których

zamontowano działa o nieprawdopodobnie wręcz szerokich lufach. Gdyby udało się im doprowadzić artylerię na odpowiednią odległość, mogłaby razić wnętrza fortecy swoimi ogromnymi jak beczki pociskami.

Czwarta kompania nie zamierzała do tego dopuścić.

Boltery plunęły ogniem, rozdzierając noc. Mury rozjarzyły stroboskopowe błyski wystrzałów. Działa laserowe uderzały z trzaskiem błyskawic, jonizując powietrze.

Ich promienie przeszywały szpetne czołgi wroga, tnąc je na kawałki, gdy tylko znalazły się w ich pobliżu. Kolejne eksplozje zatrzęsły zboczami gór.

- Za chwałę, bracia! - krzyknął Cortez, strzelając raz za razem.

Za plecami usłyszał czyjś grzmiący głos:

- Za chwałę, kapitanie!

Cortez na ułamek sekundy odwrócił głowę i ujrzał białą czaszkę. Znał ten głos.

Należał do jednego z kapelanów Tomasiego, brata Rhavy, który kroczył w ich stronę w towarzystwie dwóch czarno odzianych akolitów Sacratium. Każdy z akolitów niósł w milczeniu skrzynię pełną dodatkowej amunicji i pakietów energetycznych.

Rhava dołączył do Corteza na gzymsie. Uniósł połyskujący pistolet plazmowy i zaczął słać jedną rozgrzaną kulę plazmy za drugą w kierunku tłoczonych szeregów zielonoskórych, zatrzymując ich na krawędzi rozpadliny. Wielu z orków spadło w otchłań, gdy dosięgnął ich ogień Marines albo pchnął któryś z tłoczących się za ich plecami towarzyszy.

Jak idzie obrona, bracie-kapitanie? - spytał kapelan Corteza pomiędzy wystrzałami.

Cortezowi skończyły się naboje. Sięgając po kolejny magazynek do pasa, odpowiedział: Nie ma w tym zbytnej filozofii, świętobliwy. Tym sposobem nas nie pokonają. Cały ten szturm to masowe samobójstwo.

- Lecz mimo to - powiedział Rhava, nie przerywając strzelać - wydajesz się tym upajać.

Cortez uśmiechnął się pod hełmem.

- Powiedz, że to dla ciebie mordega.

- W żadnym wypadku - przyznał Rhava. Kolejny oślepiający pocisk plazmowy trafił jakiegoś orka prosto w pierś. Potwór padł na kolana. Jego klatka piersiowa przypominała teraz ziejący krater przypalonego ciała.

Od północnej strony do ich uszu doszedł potworny ryk. Cortez spojrzął kątem oka w tym kierunku i zobaczył kolejnego niszczyciela-statków, który wyłaniał się z silosu, plując naokoło mieszkanką płomieni i dymu.

- Słyszałem - powiedział Rhava, również zauważając startujący pocisk - że Krzyżowiec zdołał uciec.

Oczy Corteza podążyły za ognistym śladem rakiety. Siła rażenia tej broni była niewiarygodna. Jakaś jego część żałowała, że nie może polecieć wraz z nią, żeby zobaczyć ogrom zniszczeń, jakie wyrządzi pośród przeklętych, wrogich statków, które dosięgnie.

- Ranparre oddał wszystko, by tak się stało - dodał. - Musimy odwrócić losy tego starcia w jego imieniu. Teraz, gdy już...

Mężczyzna nigdy nie dokończył tego zdania.

Wydarzyło się coś straszliwego. Jeden z pocisków wystrzelonych z drugiego krańca fortecy-klasztoru niespodziewanie zmienił trajektorię.

Nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, co spowodowało tę zmianę. Zwykła usterka? Sabotaż? A może wola złośliwych bogów? Odpowiedź na to pytanie miała na zawsze pozostać tajemnicą, ale jej rezultat został na wieki uwieczniony w księgach historycznych Imperium.

Rhava podążył za spojrzeniem Corteza.

- Na Dorna...

Pocisk zrobił krótki korkociąg w powietrzu nad Arx Tyrannus. Czas wydawał się zwolnić dla Corteza, który patrzył, nie mogąc nic wskórać. W następnej chwili rakietę runęła w kierunku zbocza góry, a ciąg potężnych silników zmusił przeciwpancerną głowicę do przebijania się przez kolejne pokłady skalne.

Góra zadrżała.

Cortez i Rhava upadli na ziemię.

Odgłosy wystrzałów zastąpiło wycie syren.

Gdy pocisk wgryzł się dwieście metrów w głąb skały, na której wzniesiono Arx Tyrannus, eksplodował, podpalając jeden po drugim starożytne, podziemne składy amunicji.

Nie było czasu, by się osłonić, uciekać lub choćby zakląć.

Biały ogień ogarnął wszystko, obracając w popiół ostatnią drobinę nadziei dla całej planety.

## CZĘŚC DRUGA

*Były to dni tak ponure, że przyćmiewało je tylko jedno wydarzenie w historii zakonu. Mroczniejsze miały dopiero nadejść. Jednak mrok nie jest rzeczą samą w sobie. Nie posiada formy, ani kształtu. Jest jedynie brakiem światła. A gdy pojawia się światłość, mrok zawsze ustępuje.*

*Nawet najdrobniejsza, najbardziej ulotna iskra może zapłonąć z siłą słońca.*

*Potrzebuje jedynie właściwego paliwa. Snagrod dostarczył nam go w nadmiarze.*

Kodyfikator Ruthio Terraro z Librariusza  
Zakon Szkarłatnych Pięści

# 1

## Mur Gorriona

### Nowy Rynn

Koncepcja cierpliwości była dla orków równie obca, co cała ich rasa dla przeciętnego człowieka. Zielonoskórzy nie okazywali chwili zawahania, nie zbierali się wokół palenisk na narady wojenne, ani żeby ocenić skutki swojego lądowania. Po prostu nacierali masą, przez co te najbiedniejsze dzielnice, położone na obrzeżach stolicy planetarnej, których nie obejmował wielki mur obronny miasta, szybko ogarnęły płomienie i dzika, niczym nieskrępowana destrukcja.

Alvez i Grimm od kilku godzin przebywali na południowo-zachodnim szanctu, nadzorując rozmieszczenie zasobów Szkarłatnych Pieści na tych odcinkach zewnętrznych murów miasta, które uznano za najsłabsze. Pozostałe sekcje, w szczególności te, które w założeniu miały szansę bronić się najdłużej, obsadzono kompaniami nerwowych żołnierzy z Gwardii Rynn. Alvez uznał, że w obecnej chwili to najlepsze wyjście, chociaż tęgi, wysoko postawiony oficer, który przedstawił się jako generał Saedus Mir, stanowczo, na tyle na ile pozwalał mu szacunek do Astartes, protestował, twierdząc, że jego ludzie będą twardym orzechem do zgryzienia dla obcych. Alvez wiedział, że pierwsza godzina walk pozwoli oddzielić tchórzy od wojowników. Miał zamiar zwracać szczególną uwagę na to, jak Gwardia Rynn radzi sobie na swoich odcinkach muru. Dopiero wtedy mógł ocenić, do czego zdolne są siły generała Mira.

Krzyżujące się łuki pomarańczowego światła pocięły nocne niebo, gdy pojazdy orków zaczęły wchodzić w atmosferę, wysypując się ze zdolnych do podróżowania po osnowie krążowników i niszczycieli. Miejskie instalacje obronne zostały wystawione na ciężką próbę i strzelały praktycznie bez przerwy. Fale dźwiękowe po każdym wystrzale dudniły w całej okolicy. Alvez widział, że spora liczba topornych lądowników spadła z nieba jako płonący złom, ale były zwyczajnie zbyt liczne, by robiło to jakąś znaczącą różnicę.

Eskadry imperialnych myśliwców i bombowców przelatywały z rykiem silników nad ich głowami, aby dopaść te statki, które zdołały się przedrzeć, jednak rynnickich pilotów było zbyt mało. Mimo że dzięki niezrównanym umiejętnościom pilotażu i śmiertelnej broni zaliczyli ogromną liczbę zestrzeleń, istna nawałnica pojazdów zielonoskórych w końcu przytłoczyła również ich. Mieli już nigdy nie wrócić do hangarów na Polach Targis, by namalować na kadłubach swoich maszyn kolejne symbole w nagrodę za potwierdzone trafienia.

Patrząc, jak szala zwycięstwa w bitwie powietrznej przechyla się na stronę najeźdźców, Alvez odmówił ponurą modlitwę za dusze zgubionych pilotów z Gwardii Rynn. Stwierdził, że jeśli piechota i załogi czołgów były choć w połowie tak odważne, to mogły go jeszcze zaskoczyć.

- Wiedziałeś, że do tego dojdzie - powiedział sierżant Grimm, który stał u jego boku. Alvez, zakuty do walki w masywny pancerz taktyczny - lepiej znany wśród Astartes jako Pancerz Terminatorów - pogłaskał palcem spust dwulufowego botera



szturmowego. Była to ciężka broń, znacznie większa niż zwykły bolter, do której montowano równie ciężki magazynek. Pociski z tej broni robiły sieczkę z celów organicznych, a w razie potrzeby były nawet w stanie przebić pancerz czołgu.

- To było pewne niemal od samego początku, Huronie. Trudno jest powstrzymać Waaagh w przestrzeni kosmicznej. Widzisz te wszystkie statki? To zaledwie początek zielonej powodzi. Nim nastanie świt za tymi murami będzie się roić od tego obcego tałatajstwa i ich maszyn.

- Cieszę się, że zgodziłeś się ewakuować zewnętrzne podgrodzie, mój panie. Wiem, że ryzykowaliśmy, gdy wrogowie zaczęli już lądować, ale był to... właściwy wybór. Alvez parsknął za zimną metalową osłoną twarzy.

- Mówisz tak, jakby to była kwestia moralności, Huronie. Nie myl ze sobą tych dwóch rzeczy. Nie jestem rozrzutnym człowiekiem. To obleżenie nie zakończy się zbyt szybko. Utraciliśmy już kontrolę nad orbitą. Wróg ląduje całymi stadami. Prędzej lub później każdy mężczyzna, każda kobieta, a może nawet każde dziecko będzie zmuszone walczyć o przetrwanie. Ewakuacja ludzi z zewnętrznego podgrodzia jedynie odwlekła ich śmierć do jutra albo któregoś z kolejnych dni. Nie miej złudzeń. Ta walka będzie wymagała wielu poświęceń. Jednak Szkarłatne Pięści wyjdą z niej zwycięsko.

Transportowiec orków z dziobem przypominającym wyszczerzony, metalowy pysk wypełniony ostrymi kłami przeleciał nisko nad ich głowami. Żołnierze z Gwardii Rynn na sąsiednim odcinku muru instynktownie przypadli do ziemi. Ryk silników był ogłuszający, a w chwilę po przelocie maszyny w powietrzu wyczuwalny był podmuch gorąca. Alvez i Grimm nawet nie drgnęli, a jedynie śledzili maszynę spojrzeniami.

Dwie potężne wieżyczki obrony laserowej zahuczały głośno, obierając cel. Jasne promienie światła wystrzeliły, tnąc poszycie transportowca. Trafiony statek wykwitł kilkoma świetlistymi pękami pomarańczowego ognia i przechylił się na sterburcie. Impet natarcia utrzymał go w powietrzu jeszcze przez kilka sekund, po czym pojazd runął dziobem w dół na przysadziste habitaty o płaskich dachach. Niczym odpalona flara, wybuch zalał okoliczne ulice blaskiem. W jego świetle Alvez zobaczył tysiące orków oszalałych z żądzy krwi, które atakowały ulicami i bocznymi alejkami w kierunku murów, wymachując wszelkimi możliwymi narzędziami mordy nad swymi zniekształconymi łbami.

- Przyszykuj się - powiedział kapitan do swego zastępcy. -Nie mają prawa postawić stopy na szańcach, ani zdobyć bram.

Chwilę później nakazał pozostałym Astartes na Murze Gorriona szykować broń. Wzdłuż całej długości muru dało się słyszeć trzask przeładowywanej broni, gdy wielkokalibrowe pociski wskakiwały do pustych komór. Następnie wysłał krótką wiadomość do generała Mira, zezwalając Gwardii Rynn na otwarcie ognia z Earthshakerów. Po kilku sekundach został nagrodzony błyskiem i hukiem potężnej artylerii, która zebrała pierwsze śmiertelne żniwo w ten bitwie.

Dwie drużyny Terminatorów z kompanii krucjaty, pod dowództwem Zarrana i Valdeusa, przy wsparciu pełnego Pułku Gwardii Rynn, miały za zadanie utrzymać port kosmiczny Nowego Rynn. Gdy Alvez nawiązał z nimi łączność, dowiedział się,

że walki wokół portu kosmicznego oddalonego od ich pozycji o blisko sześćdziesiąt kilometrów przybierały na sile. Lokalnymi siłami dowodził sierżant Zarran.

Mężczyzna raportował, że obrona przeciwlotnicza portu zestrzeliła ogromną liczbę obcych okrętów, ale wróg wciąż dysponował potężną liczbą pojazdów pancernych i piechotą. Pomimo tych ponurych wieści, Alvez usłyszał w głosie Zarrana coś, co sam znał aż nazbyt dobrze - ten człowiek uwielbiał swoją pracę. Sierżant ewidentnie nie mógł już doczekać się nadchodzącej rzezi.

Bardzo słusznie - pomyślał Alvez. Oczyszczanie galaktyki z xenos to szlachetna praca.

Zielona horda kłębiąca się na ulicach u stóp szanów znalazła się niemal w zasięgu bolterów. Kapitan zrobił krok naprzód, stając na samej krawędzi umocnień. Tłoki zasyczały, wspomagając ruchy jego masywnej postaci. Mężczyzna uniósł rękę i wycelował bolter szturmowy w kierunku nadciągających szeregów.

- Podejdźcie tu, sierżancie - powiedział do Hurona Grimma. - Mówiliście o zabarwieniu Adaceanu na czerwono. Pora rozpocząć to dzieło.

Grimm dołączył do niego na murze, po czym - wraz z pozostałymi siłami zgromadzonymi wzdłuż wielokilometrowego muru - otworzyli ogień do dzikich najeźdźców.

Przez błyskające światła, dym i hałas żaden z Kosmicznych Marine nie zauważył, że niebo na wschodzie rozjaśnił nagły, krótki błysk.

O samej katastrofie dowiedzieli się dopiero, gdy tuzin różnych kanałów komunikacyjnych w jednej chwili rozbrzmiał rozszalałymi głosami, które przekazywały tę samą informację.

Kronikarze zginęli. Wszyscy.

Kapitan zaklął.

- Na świętą Terrę, co tu się wyprawia?

## Arx Tyrannus

### Góry Diabelskiego Ostrza

Ból obudził Pedro Kantora. Coś szarpało go za lewe ramię, które musiało być złamane przynajmniej w tuzinie różnych miejsc. Jego nerwy słały ogniste protesty do mózgu, domagając się, by leżał bez ruchu, gdy ciało się goiło. Usłyszał wysoki ryk frustracji, po którym szarpanie stało się jeszcze bardziej natarczywe.

Kantor otworzył oczy. Na skraju pola widzenia pojawiły się czerwone glify ostrzegawcze, ale mężczyzna zignorował je, skupiając się na uczuciu szarpania. Po lewej stronie kucała niska, żylasta postać, której pomarszczone zielone ciało okrywała jedynie przepaska biodrowa ze słabo wygarbowanej, zwierzęcej skóry. Ostre zęby sterczały mu z ust, nad którymi wisiał długi, haczykowany nos. Małe, czerwone ślepią stworza płonęły z frustracji.

Mężczyzna miał przed sobą pętaka, który najwyraźniej myślał, że Kantor już nie żyje i chciał ukraść mu Strzałę Dorna. Jednak legendarny bolter szturmowy był przytwierdzony do rękawicy Mistrza Zakonu, przez co paskudny, mały xenos nie był w stanie zdobyć upragnionego łupu. Pomimo strzaskanych kości, dłoń Kantora wystrzeliła do przodu niczym atakujący wąż. Mężczyzna uwolnił nadgarstek z długich palców stworzenia i chwycił je za gardło, wpijając palce głęboko w ciało. Pędrak zaczął szarpać się w panice, próbując wezwać swoich pobratymców, ale imadło zaciśnięte wokół krtani nie pozwalało na jakikolwiek przepływ powietrza. Kantor zwiększył nacisk, przebijając skórę i czując pękające pod nią ścięgna. Strużki obcej krwi pociekły mu po dłoni. Oczy pętaka uciekły w głąb czaszki, a język wypelzł na brodę. Stwór przestał się szamotać. Kantor poczuł jak pod palcami pękają kręgi i wiedział, że kreatura nie żyje. Odrzucił martwe truchło na bok.

Gdzie się znajdował? Co się stało?

W jednej chwili strzelał z wyższych szanów bastionu Protheo, a w następnej cały świat wypełniło białe światło. Pamiętał jedynie głos Javiera Adona, który rozpaczliwie wywoływał go przez komunikator, ale po tym...

Mężczyzna przewrócił się na bok i podźwignął na nogi. Jego pancerz zarejestrował podwyższony poziom promieniowania i kilka wycieków w systemach chłodzenia - nie było to nic poważnego, ale ta druga rzecz wymagała, by prędzej lub później pancerzowi przyjrzeni się zbrojmistrze.

Nadciągał świt, jednak był to świt niepodobny do jakiegokolwiek innego, który widziano na Świecie Rynn. Niebo przybrało barwę wścieklej czerwieni. Gwiazdę Rynn i jej siostrę, Eloix, przesłaniała gruba zasłona dymu i popiołów. Rozżarzone drobiny tańczyły wokół niego na wietrze. Instynkt podpowiadał mu, że stoi twarzą w kierunku zachodu, zaś fortecę-klasztór ma za swoimi plecami. Odwrócił się, by spojrzeć na wschód...

...i niemal upadł na kolana.

Kompletne spustoszenie.

Nawet pomimo gęstego dymu był w stanie stwierdzić, że jego ukochany dom uległ niemal całkowitemu zniszczeniu. Stał teraz po przeciwległej stronie zachodniej rozpadliny, niemal na samym jej skraju, omiatając spojrzeniem scenę, której jego mózg chciał rozpaczliwie zaprzeczyć. Coś zmiotło Arx Tyrannus z powierzchni planety. Cokolwiek to było, prawdopodobnie przerzuciło go na zachodnie zbocze góry po drugiej stronie przepaści.

Powiew wiatru przegonił chmurę pyłu i w tym samym momencie Kantor zobaczył, że mury, bramy, bastiony, wieże i twierdza praktycznie przestały istnieć. Arx Tyrannus wyglądało teraz jak zbieranina sterczących elementów ze stali i kamienia, wystających z rumowiska niczym połamane zęby. Tu i tam zauważał znajome kształty w nieznanym dotąd stanie, pozostałości po wspaniałej budowli obróconej w gruzy. Ujrzał wielki, kamienny blok, który stał dumnie pośród strzaskanych ruin. Na jego powierzchni wciąż widać było wzór z wyrytych czaszek. Niegdyś był częścią północno-zachodniej bramy. Teraz był częścią niczego. Po prawej stronie zobaczył bezgłowy i bezręki posąg z czarnego marmuru, który chylił się pod dziwnym kątem, oparty na splekanych, żelaznych dźwigarach. Była to figura Isseusa Coredo, kapitana Szkarłatnych Pięści, który oddał swe życie w bitwie na dwieście lat przed narodzinami Kantora. Posąg stał w sali pamięci w otoczeniu równie szlachetnych towarzyszy. Teraz trwał samotnie niczym ucieleśnienie tej straty. Symbol, jak sądził Kantor, jego własnej hańby.

Jestem Mistrzem Zakonu - pomyślał. Moim zadaniem było do tego nie dopuścić. Dornie, wybacz mi.

Zasłona z dymu i popiołów ponownie przesłoniła widok, za co Kantor był niemal wdzięczny. Czuł klucie w sercach. Jego członki były ocieężałe z żalu i niedowierzania. Co mogło trafić ich z taką siłą? Czy orki trzymały w odwodzie jakąś straszliwą broń, wiedząc, że Szkarłatne Pięści opuszczą tarcze próżniowe, gdy tylko bombardowanie orbitalne dobiegnie końca?

Wszystkie pytania szybko zeszły na dalszy plan, gdy usłyszał za sobą postękiwanie i szuranie. Mężczyzna obrócił się w kierunku źródła dźwięku, jednocześnie unosząc Strzałę Dorna. Widoczność była niezwykle ograniczona. Światło słońce przebijało się przez wypełnione popiołem powietrze, dając jedynie czerwonawy blask, ale po sylwetkach Kantor natychmiast poznał, z kim ma do czynienia. Trzy potężne postacie kroczyły w jego stronę, ściskając w wielkich dłoniach ciężkie pistolety i ostrza. Nie czekał aż znajdą się w zasięgu wzroku. Wystarczyła jedna myśl, by Strzała Dorna szczęknęła. Postać na środku obróciła się i padła na ziemię, a z gardeł dwóch pozostałych wyrwał się okrzyk zaskoczenia. Stwory musiały zobaczyć pośród dymu rozbłysk lufy Kantora, gdyż ruszyły pędem w jego stronę, unosząc broń. Kule świsnęły obok jego głowy niczym rozwścieczone insekty.

Kantor wystrzelił ponownie, celując w sam środek kłębowiska. Ork po prawej stronie oberwał dwa razy w pierś. Pociski wybuchły, rozrywając kreaturę od środka. Ostatni z trójki zielonoskórych przyspieszył, wypadając zza zasłony dymu wprost na Kantora. Ewidentnie chciał doprowadzić do walki wręcz, gdzie ogromna siła jego rasy dała by mu ogromną przewagę. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Sama siła nic nie znaczyła, gdy używało się jej nieumiejętnie. Pierwszy, zamaszty cios orka - płaskie cięcie ogromnej, wyszczerbionej maczety, które miało w założeniu

skrócić Mistrza Zakonu o głowę - był wyjątkowo łatwy do uniknięcia. Ostrze świ-  
snęło nad głową Kantora. Gdy tylko klinga minęła go, mężczyzna skrócił dystans,  
aktywując pole siłowe rękawicy energetycznej na swej prawej dłoni i wyprowadził  
śmiercionośny podbródkowy, który wydrążył bestię xenos niczym dojrzały owoc.  
Stwór runął na skaliste podłoże. Dym unosił się z dziury ziejącej w jego piersi.  
Ile jeszcze takich potworów było na tych zboczach?

Orki zaatakowały Arx Tyrannus niczym fala lawy. Czy ten kataklizm zdziesiątkował  
je również?

Czy któryś z jego braci przeżył?

Kantor spróbował otworzyć niekodowany kanał komunikatora, desperacko próbując  
nawiązać połączenie z kimkolwiek. Wizjer poinformował go jednak o zbyt silnych  
zakłóceniach związanych z cząsteczkami energii, które stanowiły pozostałość po  
wielkiej eksplozji. Mężczyzna zdjął hełm, zastanawiając się, czy może sobie  
pozwolić na podniesienie głosu. Jeśli orki wciąż były w okolicy, wszystkie z  
pewnością ruszą na niego, wiedzione żądzą mordy.

Niech przychodzą - pomyślał.

Tym sposobem będzie mógł przynajmniej tymczasowo ulżyć sobie, siejąc wśród nich  
śmierć.

Przypiąwszy hełm do pasa, nabrał powietrza w płuca. Już miał krzyknąć, gdy  
usłyszał charakterystyczny szczęk boltera gdzieś na północ od swojej pozycji. Bez  
namysłu ruszył w tę stronę. Czyżby któryś z jego braci przeżył? A może to tylko jakiś  
zielonoskóry maruder postanowił wystrzelić ze zdobyczej broni kilka salw na  
wiwat?

Idąc po krawędzi rozpadliny, Kantor zobaczył dziesiątki trupów zaścielających ziemię.  
Większość z nich należała do orków. Ich masywne ciała były spalone na wiór. Część  
przygniatały wielkie, skalne odłamki, które wybuch wyrzucił w powietrze. Pośród  
nich Kantor dostrzegł jednak znacznie smutniejszy widok. Coraz częściej natrafiał na  
nieruchome sylwetki Szkarłatnych Pięści, leżące pośród martwych xenos. Ich  
również eksplozja wyrzuciła z szanćów fortecy-klasztoru, zaś odniesione przez nich  
rany przekraczały ich zdolności regeneracji. Mężczyzna miał ochotę zatrzymać się  
przy każdym z nich i upewnić się, że na pewno nie żyje, ale odgłos wystrzałów był  
już bardzo blisko. Pośród dymu widział nawet towarzyszące im rozbłyski z lufy.  
Kantor minął poległych i przyspieszył kroku, gotowy dołączyć do walki.

- No dalej! - ryknął znajomy głos. - Chodźcie na spotkanie śmierci, wy plugawe  
kanalie. Nic nie osiągnęliście, słyszycie mnie? Dopóki żyję, wasz rodzaj ma się czego  
bać.

Kantor ujrzał zwalistą sylwetkę, która zaszła rozszalałego brata z lewej strony. Zanim  
ten zdążył wycelować w kreaturę pistolet boltowy. Mistrz Zakonu wystrzelił  
dwukrotnie, trafiając potwora w bok.

Martwy ork osunął się na ziemię i na ten moment okolica stała się wolna od  
zagrożeń. Zdeterminowany brat obrócił się.

- Ty tam! - krzyknął. - Dobrze cię widzieć. Jak ci na imię, bracie?

Kantor uśmiechnął się, pomimo wszystkiego, co ujrzał do tej pory. Ze wszystkich  
głosów, jakie mógłby usłyszeć w tym momencie, usłyszał dokładnie ten, którego  
sobie życzył. Postąpił kilka kroków w kierunku nieznanego, ujawniając się, i

powiedział:

- Kiedyś nazwałeś mnie drugim Polluxem, bracie, ale byłeś wtedy w błędzie. Adresat tych słów stanął jak wryty, po czym skoczył naprzód, by położyć dłonie na ramionach Kantora.

- Pedro! Na wszystkie światy... Ty żyjesz!

Kantor odwzajemnił uścisk starego przyjaciela.

- O ile nie umarliśmy razem, Alessio, a nasze duchy nie krążą po tym koszmarze to... tak, żyję.

Uwolnili się ze swoich objęć i obaj zrobili krok w tył, przyglądając się swoim twarzom. Alessio Cortez uśmiechał się, ale trudno było przeoczyć wyraz bólu w jego spojrzeniu. Kantor wiedział, że jego przyjaciel odczuwał tę stratę równie mocno, jak on sam.

- Ktoś jeszcze? - spytał.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł cicho Cortez. -Sprawdziłem wiele ciał, bracie, ale nie znalazłem jeszcze nikogo żywego.

- Wiesz może...?

Cortez zmarszczył brwi.

- Jeden z naszych pocisków, Pedro. Na przekłete kości Scythian, to była jedna z naszych cholernych rakiet! Rhava i ja widzieliśmy ją przed uderzeniem. Grzmotnęła prosto w zbocze góry.

Kantor potrząsnął głową.

- Mistrz Kuźni twierdził, że były jakieś problemy z bateriami Luculum, ale kolejne skany nie wykazały żadnych usterek.

- W przeciwnym wypadku Adon by ich nie używał.

Była to prawda. Mistrz Zakonu nie sądził, by wina leżała po stronie Javiera Adona. Czy był to zwykły wypadek? Zrządzenie losu o prawdopodobieństwie jak jeden do miliarda? A może był to wynik sabotażu? Każde z tych wyjaśnień było równie trudne do przełknięcia.

- Niszczyciel-statków nie byłby w stanie wyrządzić takich szkód - zasugerował Cortez. - Musiał trafić w jeden z naszych podziemnych składów amunicji. Potężna reakcja łańcuchowa to jedyne wytłumaczenie tej... katastrofy.

Kantor miał właśnie odpowiedzieć, gdy na zachodzie, nieco dalej w dół zbocza, rozległ się huk wystrzałów z boltera. Jedno spojrzenie wystarczyło, by obaj Astartes rzucili się pędem w kierunku hałasu. Gdy biegli ramię w ramię, mijając dymiące pozostałości po maszynach orków oraz góry martwych zielonoskórych, Kantor powiedział:

- Jeśli mamy poznać odpowiedzi na nurtujące nas pytania, bracie, to będą musiały one poczekać na inny dzień. Nasze przeznaczenie leży gdzie indziej. Musimy zebrać wszystkich, którzy przeżyli i wynosić się stąd. Wkrótce pojawią się tu kolejne orki. Podążając za odgłosem wystrzałów, Kantor i Cortez wkrótce odnaleźli sierżanta imieniem Viejo. Gdy go znaleźli, mężczyzna stał nad ciałem zakutym w czarny pancerz, wycinając w pień niewielką grupę zielonoskórych pokrak, na które natrafił, gdy próbowały okraść ciało.

Radość Viejo na widok swoich przełożonych nieco temperowała świadomość tego, co się wydarzyło. Zakute w czerń ciało należało do kapelana Rhavy. Cortez ukląkł

obok niego i odmówił krótką modlitwę. Na szyi Rhavy wisiał gruby wisior ze złota i rubinów, od którego biła wyraźna aura mocy. Był to różaniec, amulet ochronny, który każdy z kapelanów otrzymywał po przyjęciu do Sacratium. W dzisiejszych czasach stojąca za nim starożytna technologia była niemal całkowicie niezrozumiała. Cortez zdjął go ostrożnie, mrużąc do zwłok:

- Jeśli pozwolisz, bracie, zachowam go, dopóki nie będę mógł go zwrócić któremuś z twoich współbraci. Tam jest jego miejsce.

Postanowił nie zakładać różańca na szyję. Jedyne inny kapelan miał prawo nosić go w ten sposób. Zamiast tego Cortez opasał sobie nim talię, wyczuwając delikatne mrowienie na skórze. Następnie wstał, przysięgając zemstę.

We trzech ruszyli dalej, zachowując dziesięciometrowe odstępstwa między sobą, i kontynuowali poszukiwania. Raz po raz odwracali ciała swoich braci, których pancerze były strzaskane lub pęknięte, a zakute w nie postaci zimne i martwe. Nie poddawali się jednak i ta determinacja w końcu się opłaciła.

Pół godziny później z trzech zrobiło się ich dziewięciu. Po kolejnej godzinie

- szesnastu. I choć nie przerywali poszukiwań, zabijając wszystkich zielonoskórych, którzy stanęli im na drodze, ich liczba bardziej już nie urosła.

Z ponad sześciuset Szkarłatnych Pięści przeżyło zaledwie szesnastu. Po większości tych, którzy polegli, nie pozostał nawet ślad. Wybuch, który zniszczył ich pradawne domostwo, ich samych obrócił w nicość. Ten sam los spotkał tysiące wybrańców, którzy sądzili, że za murami fortecy-klasztoru znajdą schronienie.

Kilka martwych sług zakonu leżało na zboczach wśród ciał Astartes i obcych, lecz było ich niewiele. Połamane i poskręcane ciała trudno byłoby rozpoznać, gdyby nie charakterystyczne togi, w których umarli. Każde kolejne mijane zwłoki przypominały Kantorowi o jego lojalnym zarządcy. Świadomość tego, że stary mężczyzna już nigdy nie miał przynieść mu do komnat przyprawianych owoców i świeżej wody, ani zostać na przyjacielską pogawędkę, była niczym cios noża w plecy. Wiedział, że będzie tęsknić za szczerą, otwartą twarzą Savalesa oraz jego łagodnym usposobieniem.

Szybko stało się jasne, że dalsze wysiłki są pozbawione sensu. Nadszedł czas, by obrać nowy cel. Kantor zdawał sobie sprawę z tego, że było tylko jedno miejsce, gdzie mogli się udać - Nowy Rynn. Dzięki Imperatorowi i patriarsze, spora część Szkarłatnych Pięści była tam, gdy wybuchł pocisk.

- Broń - rzucił do nieco sponiewieranych Astartes, którzy stali przed nim. - Będziemy potrzebowali zapasów. Granatów, amunicji, wody, kapsułek odżywczych, ostrzy, wszystkiego, co znajdziecie. Weźcie, ile tylko zdołacie. Mamy przed sobą długą i trudną drogę.

Podszedł do niego Cortez.

- Co z poległymi? - spytał półgłosem. - Nie możemy ich tu zostawić jak padlinę. Kantor doskonale wiedział, co orki zrobiłyby z ciałami. Najpierw pozbawiłyby ich świętych pancerzy, których fragmenty wykorzystałyby do własnych celów. Następnie sprofanowałyby zwłoki, odrabując głowy i dłonie, które nosiłyby jak obrzydliwe trofea.

Potrząsnął głową, jednocześnie starając się wyrzucić z głowy te obrazy i negując słowa Corteza.

- Chciałbym, żebyśmy mogli oddać cześć naszym braciom, Alessio, ale jesteśmy tu

już zbyt długo. Wkrótce pojawi się tu horda orków. Na pewno będą chciały napawać się tym zniszczeniem. Nie mamy czasu na grzebanie zmarłych.

- Jeśli mogę, panie - powiedział brat Galica, członek piątej kompanii. - Być może moglibyśmy ich spalić. Niektórzy z martwych xenos mieli przy sobie toporne miotacze płomieni. Stos pogrzebowy uniemożliwiłby świętokradztwo.

Kantor czuł na sobie piętnaście par oczu, które oczekiwały na jego decyzję. Widział to w ich twarzach. Był pewien, że gdyby im odmówił, posłuchałyby go, ale żaden z nich nie byłby szczęśliwy, że zostawiają tak swoich zmarłych. W głębi serca czuł, że on również nie byłby z tego zadowolony.

- Dobrze - oznajmił. - Galica, Olvero i Teves pobierają miotacze xenos. Szukajcie również kanistrów z paliwem. Orki mogły mieć przy sobie dodatkową amunicję. Pozostali zajmą się zwłokami. Załatwmy to szybko.

Tak też uczynili i wkrótce ułożyli stos z ciał zakutych w ciemnoniebieskie pancerze. Pośród nich, w mniejszej liczbie, znalazły się inne barwy - czerń kapelanów, wśród nich Rhava, czerwień zbrojmistrzów i biel medyków .

Kantor w szczególności opłakiwał fakt, że żaden z tych ostatnich nie przeżył. Medyk byłby w stanie odzyskać bezcenne genoziarna z ciał. Teraz potrzebowali ich bardziej niż kiedykolwiek, gdyż posiadały one podstawowe znaczenie dla przywrócenia dawnej siły zakonu w przyszłości... o ile ich zakon miał jakąś przyszłość.

Kantor wiedział, że brzemień to spoczywało wyłącznie na jego barkach. Modlił się do Polluxa, by sprostać temu zadaniu.

Bracia Galica, Teves i Olvero zapalili stos. Biały ogień plunął z dysz broni obcych. W końcu, gdy paliwo w kanistrach się skończyło, odrzucili broń na bok i dołączyli do pozostałych w ostatnim salucie.

W miarę jak ogień trawił ciała poległych, Kantor zaczął żałować, że nie ma wśród nich najwyższego kapelana Tomasiego, którego wsparcie duchowe byłoby równie nieocenione co wiedza odnośnie właściwych obrządków. Postanowił sam powiedzieć kilka słów, podczas gdy płomienie wysoko trzaskały. Ale choć jego bracia wydawali się nimi poruszeni, to wydało mu się, że były jedynie kiepską namiastką.

Tomasi został duchowym przywódcą Szkarłatnych Pięści na długo przed tym jak Kantor czy Cortez się urodzili - przez blisko pięćset lat służył zakonowi z bezgraniczną lojalnością i honorem. Teraz zaś, w mgnieniu oka, został wymazany z istnienia. Jedną z największych, najsilniejszych osobowości, jakie Kantor kiedykolwiek poznał, została zdmuchnięta w jednej chwili wraz z tymi, którym sam przewodził. Kolejna legenda, która zakończyła się niespodziewanie, bez odpowiednio chwalebego końca. To Tomasi odprawił Rytuał Sukcesji, podczas którego całkowita władza nad zakonem została przekazana Kantorowi z rąk zmarłego Mistrza Zakonu Visidara. Kto teraz miał odprawiać ich rytuały? Który spośród kapelanów w stolicy był godny tego, by zająć miejsce Tomasiego?

Kantor wyciągnął rękę i położył dłoń na ramieniu Corteza.

- Wystarczy - powiedział. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Nowy Rynn znajduje się ponad tysiąc kilometrów stąd, a ziemie, które dzielą nas od naszego celu, będą roić się od przeciwników. Snagrod ma zamiar unicestwić nas zupełnie. Być może już teraz sądzi, że mu się to udało, ale na pewno wyśle swoje siły, by się o tym upewnić. Zbierz pozostałych do wymarszu.



Cortez nie ruszył się z miejsca. Stał jedynie, wpatrując się w płomienie.

- Gdy tylko zobaczę tego plugawego sukinsyna, Pedro...

Po drugiej stronie ognia rozległ się krzyk. Kantor zostawił Corteza i zaczął obchodzić stos naokoło, podejrzewając, że nie może to zwiastować nic dobrego.

Miał rację.

Brat Alcador stał ze wzrokiem skierowanym na zachód, w kierunku rozległej kotliny Arcalan, spoglądając w niebo.

- Nadlatują pojazdy, mój panie - powiedział. - I nie są to nasi!

Kantor podążył za spojrzeniem swego brata bitewnego.

On również ujrzał w oddali szybko zbliżającą się grupę ciemnych kształtów.

Zachowując swój kurs, wrogie statki miały szansę dotrzeć do pozycji Pięści w ciągu zaledwie kilku minut.

Leciały w czymś, co z grubsza można byłoby określić formacją. Mniejsze pojazdy krążyły niebezpiecznie blisko gromady większych, masywniejszych maszyn.

Tej brawury nie sposób było pomylić z czymkolwiek innym.

- A niech ich - splunął Kantor.

Cortez obszedł stos pogrzebowy i teraz śledził spojrzeniem ciemne kształty w oddali.

- To dar, bracie. - Mężczyzna uniósł pistolet boltowy na wysokość napierśnika, by pokreślić swoje słowa. - Już teraz możemy rozpocząć naszą zemstę!

- Nie zamierzam ryzykować życiem pozostałych Pięści - uciął Kantor. - Jak twoim zdaniem mamy walczyć przeciwko statkom powietrznym bez broni przeciwlotniczej?

Nadciągające pojazdy orków mogły być uzbrojone w wielkotonażowe bomby, pociski powietrze-ziemia i Imperator raczył wiedzieć, co jeszcze. Gdyby zginęli tutaj, zbombardowani z powietrza przez te plugawe dzikusy... Nie. Wszelkie szanse na sprawiedliwość i zemstę rozwiąłyby się niczym dym na wietrze.

- Wycofujemy się - oznajmił Kantor. - Natychmiast!

Cortez patrzył na niego, jakby ten oszalał.

- Mamy uciekać, Pedro? Chyba naprawdę tak nie uważasz. Pozwól im wylądować.

Możemy zastawić na nich pułapkę.

Jeśli teraz zaczniemy się bać śmierci, przestaniemy być godni tego, by żyć. Z pewnością to rozumiesz. Zachowamy honor tylko jeśli podejmiemy walkę. To sposób Astartes. To jedyny sposób.

Kantor przeszył Corteza spojrzeniem.

- Do diabła, tu nie chodzi o honor czy dumę. Tu chodzi o przetrwanie naszego zakonu. Nic innego. Nowy Rynn to nasza jedyna nadzieja. Musimy połączyć się z siłami Alveza. A teraz zbierz wszystkich braci bitewnych, kapitanie. Przejdziemy przez wąwóz Yanna. Teren zapewni nam osłonę dopóki nie dotrzemy na stopy.

Cortez zaklął i splunął na ziemię. Przez najkrótszą z chwil Kantor poczuł wściekłość, jaką wywołała ta bezczelność. Byli przyjaciółmi, to fakt, w związku z czym zawsze pozwalał Cortezowi na odrobinę więcej niż innym. Teraz jednak sprawy zaszły za daleko. Hierarchia miała znaczenie nadrzędne. Kapitan najwyraźniej o tym zapomniał.

Głos Kantora był niebezpiecznie cichy, gdy rzekł:

- Posłuchaj mnie, Alessio. To mój rozkaz. Rozkaz, bracie! Wiele razy ze mną dyskutowałeś, ale nigdy nie posunąłeś się do niesubordynacji. Teraz, gdy potrzebuję

twojej siły bardziej niż kiedykolwiek, uczynisz podobnie.

W spojrzeniu Corteza była dzikość. Usterka pocisku czy nie, jego dusza płonęła kompulsywną potrzebą wypatroszenia tych, którzy przybyli na Świat Rynn z zamiarem wyrządzenia krzywdy jego braciom. Jego dom został zniszczony, a ze wszystkich członków czwartej kompanii przetrwał tylko on. Z jego pobliżnionej twarzy dało się wyczytać, że mężczyzna walczy sam ze sobą. Wyraźnie był rozdarty pomiędzy rozkazami swego mistrza, a podążaniem za głosem swojego serca. W końcu, na oczach Kantora, warunkowanie psychologiczne wzięło górę. Twarz Corteza straciła szaleńczy wyraz, a jego górna warga na powrót przesłoniła zaciśnięte zęby.

- Zrobię jak każesz, mój panie - warknął Cortez. - Jednak wcale nie musi mi się to podobać.

Kantor puścił to mimo uszu. Wystarczyło, że Cortez wykona rozkazy. W przeciwieństwie do tego, co powiedzieli sobie w korytarzu po tym jak zapadł wyrok w sprawie Janusa Kennona, nie mógł okazać nieposłuszeństwa. Prawdziwi Astartes byli całkowicie zależni od wszczepów psychologicznych. Paskudny nastrój Corteza miał się utrzymywać do czasu, gdy jego zbroja stanie się śliska od krwi wrogów, a ten moment miał nadejść już wkrótce.

Ciemne kształty na niebie zbliżały się, ujawniając kolejne szczegóły.

Myśliwce bombowe i transportowce - pomyślał Kantor. Orki kontrolują naszą przestrzeń powietrzną. Z jakąż łatwością im to przyszło. Byliśmy zbyt pewni siebie. Ja byłem zbyt pewny siebie. Nigdy więcej do tego nie dopuszczę.

Rzęzenie silników raketowych stawało się coraz wyraźniejsze. Ich ryk niósł się echem po okolicznych równinach. Kantor wyminął Corteza z zamiarem jak najszybszego wyprowadzenia swoich ludzi z tej okolicy.

Cortez bez słowa ruszył za nim.

Myślisz, że nie chcę ukarać tych xenos tak samo jak ty, Alessio? - wściekał się Kantor w duchu. Wybiłbym ich do ostatniego. Spoglądałbym prosto w ich czerwone ślepia, przekręcając ostrze i nurzając obie dłonie w ich krwi. Ale poczekam z tym na właściwy moment, tak samo jak ty. Musisz słuchać moim rozkazów. Jesteśmy Astartes. Tak, jesteśmy tarczą przeciwko ciemności. Jednak bez dyscypliny jesteśmy niczym.

### 3

## Cassar

### Nowy Rynn

Świt nie przyniósł stolicy wytchnienia. Wprost przeciwnie, wraz z nadejściem światła obudził w ludziach poczucie strachu i beznadziei, które skrywała noc. W końcu jasne stały się rozmiary tej inwazji. Wielu z tych, którzy spoglądali na horyzont dosłownie wypełniony wrogo nastawionymi, obcymi maskarami, straciło nadzieję. Tego poranka na samym murze Gorriona czterysta osób popełniło samobójstwo.

Większość samobójców wywodziła się z Gwardii Rynn. Ludzi, którzy powinni lepiej znosić takie sytuacje. Ludzi, którzy powinni być szkoleni, aby sprzedać swoje życie jak najwyższym kosztem. Ludzi, którzy powinni byli walczyć, niezależnie od okoliczności, gdyż to od nich wszystko zależało. Większość z nich jednak dołączyła do armii z nadzieją, że nigdy nie skalają rąk walką. Zaciągnęli się, bo marzył im się mundur, uwaga kobiet i pieniądze, za które mogli wyżywić swoje rodziny. Gdy spoglądali na to, co zostało z niegdyś tętniących życiem przedmieść, które wzniesiono dla taniej, niewyedukowanej siły roboczej, widzieli jedynie śmierć. Śmierć miała kolor zieleni. Śmierć nosiła dziwną, tandetnie wyglądającą broń i jeździła hałaśliwymi, dymiącymi złomami. Śmierć była wszędzie, złorzecząc, przysięgając obrońcom rzeź i próbując sforsować bramy.

Alvez przekazał tymczasowe dowództwo nad murem Goniona doświadczonemu sierżantowi z trzeciej kompanii, Dremirowi Soto, podczas gdy on i Grimm ruszyli na poszukiwanie najstarszego z kronikarzy. We wszystkich raportach pojawiał się ten sam motyw - kronikarze, którzy wspomagali linie obrony, zaczęli wyć z bólu i padali na kolana. Od tego czasu nie byli w stanie lub też nie byli skłonni z nikim rozmawiać. Alvez podejrzewał, że za ten stan rzeczy odpowiedzialny był jakiś atak psioniczny, który przeprowadzili szamani orków z armii Snagroda.

Nie był jednak przygotowany na prawdę.

On i Grimm odnaleźli starszego epistolariusza, Delevana Deguerro, klęczącego w milczeniu przed ołtarzem w małym, acz dostatecznie przestronnym rekluzjum.

Postacie Dorna i Imperatora spoglądały na nich beznamytnie z misternych witraży. Z postawy kronikarza Alvez wynioskował, że wydarzyło się coś strasznego.

Deguerro zawsze roztaczał wokół siebie aurę siły i pewności siebie. Teraz jednak wyglądał nie jak syn jednego z najwspanialszych Prymarchów, jacy kiedykolwiek żyli, lecz jak człowiek ogarnięty chorobą, która pozbawiła go wszystkich sił.

Jeśli Deguerro usłyszał nadejście dwóch braci bitewnych - a naprawdę trudno było przeoczyć dudniące kroki ubranego w pancerz kapitana Terminatorów - to nie dał tego po sobie poznać. Ani na chwilę nie oderwał spojrzenia od zimnej, kamiennej posadzki.

- Kronikarzu - powiedział Alvez cicho z szacunku dla uświęconej natury tego miejsca.

Daguerro nie zareagował.

Alvez nieznacznie uniósł głos.

- Daguerro, mówię do ciebie!

Wciąż żadnej reakcji. Huron Grimm wystąpił naprzód i położył dłoń na prawym naramienniku kronikarza, naciskając na tyle mocno, by ten nieznacznie się obrócił.

- Bracie - powiedział. - To nie czas na milczenie. Musimy wiedzieć, co cię trapi.

Wszyscy członkowie librariusza zachowują się niczym rażeni piorunem. Jeśli nie możesz mówić, pokaż nam to w języku bitewnym Astartes.

Gdy się odezwał, głos Deguerro brzmiał chropowato i słabo:

- To idealny czas na milczenie.

Mężczyzna w końcu odwrócił się do nich. Kiedy Alvez spojrział w jego oczy, pierwszą myślą, jaka przyszła mu do głowy, było, jak puste się wydawały. Nie było w nich żadnego błysku.

- Cała chwała, cała szlachetność, odwaga i duma... Co za strata - mruknął Deguerro.

- Wszystko przypadło na zawsze, bracia.

Alvez i Grimm wymienili spojrzenia.

- Wyjaśnij - rzekł Alvez.

- To właśnie nadejście tej tragedii wyczuwaliśmy - ciągnął Deguerro. - Gdyby chociaż znaki były jaśniejsze...

Mężczyzna odwrócił się z powrotem w stronę ołtarza. Najwyraźniej był to koniec jego wyjaśnień. Alvez warknął gniewie. Dość tego! Jak miał rozwiązać problem, skoro nikt nie chciał powiedzieć mu, o co chodzi? Chwytał kronikarza i szarpnął nim w tył, czyniąc coś, na co niewielu by się odważyło.

- To ja tu dowodzę, epistolariuszu. Mistrz Zakonu oddał cię pod moją komendę i masz respektować ten przydział. Teraz w prostych słowach powiedz mi, co się z tobą dzieje albo przysięgam, że Eustace Mendoza o wszystkim się dowie.

Deguerro strącił dłoń Alveza na bok.

- Eustace Mendoza nie żyje, kapitanie! Czy to dla was dostatecznie jasne? Wszyscy nie żyją. Wszyscy, którzy zostali, by bronić naszego domu, zginęli. Arx Tyrannus nie istnieje!

Nie miało to żadnego sensu. Arx Tyrannus przestało istnieć? Niemożliwe. Była to forteca nie do zdobycia, która miała trwać na szczycie swojego górskiego tronu do czasu, gdy cała planeta roztopi się w żarze umierających słońc za jakieś piętnaście miliardów lat.

- Ostatni raz tylu braci zginęło podczas oblężenia Barenthal - wyszeptał Deguerro.

Jego gniew znów przygasł, zduszony przez wody wzbierającej na nowo rozpaczy.

Alvez miał problemy z przetworzeniem tego, co właśnie usłyszał. Deguerro nie był durniem, ani oszustem. Wobec tego musiał się mylić. Jednak nie sposób było zaprzeczyć jego bólowi oraz rozpaczy, która mocno wyryła się na rysach jego twarzy.

- Ktoś zamieszał ci w głowie - nie ustępował Alvez. - To jakaś sztuczka orczych psioników.

- Chciałbym, żeby tak było, bracie - odparł Deguerro, nie odwracając się. - Zeszłej nocy nasz dom nawiedziła straszliwa tragedia. Nasi bracia zginęli w palących, białych płomieniach. Słyszałem to, czułem to. Wszyscy to odczuliśmy, zupełnie, jakbyśmy my też umierali. Psioniczna fala uderzeniowa niemal rozdarła nasze dusze.

- Co ją powstrzymało? - spytał sierżant Grimm tonem znacznie spokojniejszym niż

kapitan.

Deguerro uniósł głowę i parsknął bez rozbawienia.

- Orki - powiedział wprost.

Alvez spojrział na Grimma. Jego mina zdradzała dezorientację.

- Orki? - upewnił się.

- Psionicy orków - wyjaśnił Deguerro. - Od kiedy wylądowali, nieustannie przypuszczają na nas ataki psioniczne. Nic z czym nie dawalibyśmy sobie rady, ale jest ich bardzo wielu. Ich połączone siły uniemożliwiają nam przesłanie jakiegokolwiek wiadomości przez osnowę. Przynajmniej dopóki przebywają tu w takiej sile. Ich rozproszone myśli tworzą coś w rodzaju duszącej, psychicznej mgły. Cieszcie się, że tego nie widzicie, bracia. To coś obrzydliwego.

- Wciąż nie rozumiem - powiedział Grimm. - Twierdzisz, że uratowała cię obecność orczych psioników?

- Tak - rzekł Deguerro, kiwając głową. - Są w każdej hordzie, otaczają nas ze wszystkich stron. Jest ich dostatecznie dużo, by stworzyć bufor przeciwko potężnej kumulacji psionicznych przedśmiertnych wrzasków. Widzicie, podobnie jak w przypadku każdej innej energii, energia psioniczna rozprasza się wraz z przebytą drogą. O wiele szybciej, gdy natrafi na opór. Szamani orków walczyli, by przetrwać ten wybuch. Gdyby tego nie uczynili, utracilibyśmy wszystkich kronikarzy w tym mieście. Pod tym względem poszczyli się nam.

Alvez spojrział w górę na stylizowaną, szklaną podobiznę Rogala Dorna, który prezentował się olśniewająco w pancerzu z połyskliwego złota.

- To niemożliwe - mruknął sam do siebie. - Arx Tyrannus? Pedro Kantor? Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę tego na własne oczy. Gdy już wygramy tę wojnę, wrócimy do Diabelskich Ostrzy, a wtedy zobaczysz, Deguerro. - Kapitan wbił spojrzenie w tył głowy kronikarza. - Zobaczysz, że się myliłeś.

Kronikarz nie odpowiedział.

- W ciągu godziny chcę was widzieć na murach - rozkazał kapitan oschłym tonem.

- Ciebie i twoich braci z librariusza. Dość już tego. Na Tron, wciąż przynależysz do Szkarłatnych Pięści i masz wykonywać swoje obowiązki z honorem, niezależnie od okoliczności.

Wypowiedziawszy te słowa, mężczyzna obrócił się i z hukiem wypadł z rekluzjum. Ustawione wokół świece dewocyjne drżały przy każdym jego kroku.

Grimm został z tyłu. Spoglądał teraz z góry na brata, którego cierpieniem nie potrafił ulżyć. Nie mając innego wyboru, ruszył w stronę drzwi niewielkiego pomieszczenia.

Nim przekroczył próg, obrócił się jeszcze i powiedział:

- Wierzę ci, bracie, choć wolałbym, żeby było inaczej. Mimo wszystko, kapitan ma rację. Ta rozpacz, ta bezsilność... - Pokręcił głową. - Wiesz równie dobrze jak ja, że nie leży to w naszej naturze. Jesteśmy Astartes. Eustace Mendoza z pewnością oczekiwałby, byś ruszył w bój.

W następnej chwili również Grimm opuścił nawę i ponownie zaległa cisza.

Minęła cała minuta zanim Deguerro podźwignął się na nogi. Mężczyzna spojrział na podobiznę Imperatora, którego szlachetne rysy wykonano z bursztynowego szkła, i powiedział cicho:

- Jestem Kosmicznym Marine. To oczywiste, że będę walczyć.

Kapitan Alvez był już za murami Cassaru, gdy Grimm go dogonił. Właściwie to zdążył już niemal przekroczyć most oddzielający Zona Regis od Residentia Primaris. Nawet w pancerzu terminatorów niestrudzony kapitan szybko pokonywał teren, a w jego ruchach dało się teraz zobaczyć dodatkowy pośpiech. Grimm również to zauważył. Zrównał krok z kapitanem, gdy przechodzili pod łukiem zdobionej bramy Ocaro.

- To wszystko prawda - powiedział. - Widzę to w jego spojrzeniu.

Alvez mruknął pod nosem coś niezrozumiałego.

- Musi pan powiedzieć pozostałym. Oni wyczuwają, że coś jest nie tak.

Kapitan nie zwalniał kroku.

- A nawet jeśli to prawda - zagrział. - Czy możemy cokolwiek z tym zrobić? Czy możemy się cofnąć w czasie i odwrócić bieg wydarzeń? Nawet nie wiemy, co się wydarzyło.

- Ale wierzy mu pan - rzekł Grimm.

- Wolałbym nie - odparł Alvez. - Walczę ze sobą, żeby nie rozpatrywać wszystkich konsekwencji takiej sytuacji, ale mam swoje rozkazy i nawet to niewiele zmienia. Mamy obronić miasto przed oblężeniem, jakiego nigdy nie widziałem. Jeśli nasz zakon istotnie poniósł taką potworną stratę, musimy upewnić się, że przynajmniej my przetrwamy. Nie wiem jak ty, Huronie, ale ja nie zamierzam umierać z ręki jakichś orków, dlatego nic to nie zmienia.

Grimm nie miał na to odpowiedzi.

- W zasadzie - powiedział Alvez, gdy przeszli kolejne dziesięć metrów - jest coś, co mogę zrobić. Wprowadzam Protokół Ceres.

Sierżant spojrzał na niego zaskoczony. Nikt nie korzystał z Protokołu Ceres od czasu, gdy spisano go na pergaminie całe wieki temu, wkrótce po tym, jak przekłeta rasa Scythian zredukowała siły zakonu do zaledwie kilku drużyn. Zawarte w niej zasady były jasne: żadna Szkarłatna Pięść nie miała prawa ginąć w walce z żadnego innego powodu niż pomoc swoim braciom. Siła zakonu była wszystkim. To oznaczało, że żaden z braci bitewnych nie mógł narażać życia w obronie ludzi, ani rzeczy materialnych.

- Jesteś pewien, że to konieczne, mój panie? - spytał Grimm.

Alvez nawet na niego nie spojrzał.

- Wprowadzam go mimo wszystko.

Osiemnaście minut później dotarli do biedniejszej strefy mieszkalnej o nazwie Deltoro Residentia. Tutejsze ulice były wąskie i brudne, a wyrastające wokół koślawe budynki wyglądały, jakby miały się zaraz zawalić. Wiele z nich wybudowano w wyraźnym pośpiechu. Upływ czasu dodatkowo zrobił swoje, w efekcie czego kamienne ściany wyższych pięter rzadko kiedy miały ten sam odcień co niższe kondygnacje.

Kontrast pomiędzy tym miejscem a Zona Regis i willami możnych był porażający. Ponure boczne alejki wypełniały sterty śmierci i pokryte robactwem truchła psowatych lub kotowatych. Powietrze silnie śmierdziało związkami chemicznymi, których używano w pobliskiej strefie fabrycznej. Życie w takich lub gorszych warunkach było chlebem powszednim w znacznej większości miast w całym

Imperium. Jeśli Nowy Rynn jakkolwiek różniło się pod tym względem, to nie było tego widać na przykładzie tak zwanych dzielnic biedoty.

Brak dóbr doczesnych ludzie rekompensowali sobie wiarą. Symbole imperialnej aquili były wszędzie, podobnie jak uliczne kapliczki poświęcone niezliczonym świętym i innym postaciom religijnych. W przeciwieństwie do wszystkiego innego, kapliczki były nieskazitelne. Żadna z nich nie nosiła jakichkolwiek śladów uszkodzeń czy graffiti.

Mijając je, Grimm przyglądał się im uważnie, gdy wraz z Alvezem kontynuowali swój szybki marsz w kierunku szanów Muru Gorriona. Gdzieś niedaleko rozległ się huk artylerii oraz stłumiony trzask i terkot ogromnych miejskich wieżyczek strażniczych.

Choć wycie syren skłoniło ludzi do poszukania schronienia, to nie minęło wiele czasu zanim Alvez i Grimm zostali zauważeni. Słyszając odgłosy ich kroków na bruku, miejscowi zaczęli wyglądać zza drewnianych okiennic.

- To Szkarłatne Pięści! - zawołał ktoś.

Grimm usłyszał krzyki, które rozbrzmiały wzdłuż całej ulicy.

- Cholera - skwitował kapitan Alvez.

Kolejne drzwi otwierały się z trzaskiem. Ludzie wylegli na ulicę, by paść na kolana przed dwoma Astartes. Powietrze wypełnił dźwięk błagalnych głosów. Wygłodzone kobiety łokciami przepychały się do przodu, trzymając przed sobą do błogosławieństwa płaczące dzieci.

Starcy i chorzy błagali o namaszczenie, sądząc, prawdopodobnie, że sam ten fakt uwolni ich od bólu i dolegliwości albo chociaż w jakiś sposób zbliży do Imperatora. Inni gotowi byli oddać swój najcenniejszy dobytek w nadziei, że zaskarbią sobie tym przychylność. Tu zakrzywiony sztylet z paskudną szczerbą i małym, czerwonym klejnotem-zapewne zwykłym szkiełkiem - wprawionym w wyszlizganą rękojeść. Tam posążek świętego Clario z Płonącej Lancy bez lewej ręki, którą stracił zapewne wiele lat temu. Żadna z tych rzeczy, podobnie zresztą jak setki innych, nie kosztowałyby na targowisku więcej niż jednego imperialnego centyma, ale dla ich właścicieli posiadały dużą wartość. Ci ludzie rozpaczliwie pragnęli, by ich dzielnica została ocalona przed orkami. Przywykli już, że ta okolica, jak również oni sami, znajdowały się bardzo nisko na liście priorytetów polityków.

Dalsza droga została całkowicie zatarasowana. Żeby iść dalej, Alvez i Grimm musieliby przepychać się przez tłum, co zapewne skończyłoby się wieloma obrażeniami, a może i śmiercią.

- Głupcy - zaklął Alvez tak cicho, że w istocie jedynie nadludzki słuch Grimma był w stanie to wyłapać. - Czy wyglądam na cholernego kapelana?

Garbata staruszka w pogryzionym przez mole, czerwonym szalu podźwignęła się z kolan i ruszyła chwiejnie w ich kierunku, ściskając w zaszuszonych dłoniach coś cennego. Grimm widział, że kobieta płacze. Nie potrafił utożsamić się z jej emocjami, ani z emocjami pozostałych zgromadzonych, ale widział tego rodzaju zachowania dostatecznie wiele razy, by wiedzieć, że silny wpływ na wiernych był jednym z brzemion, które dźwigali na barkach Kosmiczni Marines. Ludzie ci najprawdopodobniej nigdy w życiu nie byli równie blisko żyjących symboli światła Imperatora co teraz. W ich oczach widział religijną gorliwość pomieszaną z radością.

Staruszka pokuśtykała w stronę Alveza, mrużąc pod nosem niezrozumiale, po czym uniosła dłonie, oferując swój osobisty skarb.

Grimm podświadomie wiedział, że sprawy zaraz przybiorą zły obrót.

- W imię Dorna - warknął kapitan. - Natychmiast zejście nam z drogi. Wracajcie do swoich domów. W całym mieście panuje stan wyjątkowy. Nie mamy na to czasu. W gniewie odtrącił dłonie starej kobiety. Jej mały skarb wypadł jej z dłoni. Staruszka upadła na skalbetową powierzchnię drogi i zakwiliła, przyciskając do ciała pogruchotany nadgarstek. Zgromadzeni westchnęli z zaskoczenia i cofnęli się, nie podnosząc się z kolan. Niektórzy przypadli czołami do ziemi, okazując całkowite poddaństwo. Nikt się nie odezwał.

- Z drogi - rozkazał Alvez przez wokalizator w hełmie. Jego głos rozbrzmiał na całej ulicy, zdmuchując kurz i brud z parapetów oraz gzymsów budynków. - Jesteśmy w stanie wojny. Nigdy więcej nie domagajcie się błogosławieństw od moich Astartes. Czy to jasne? Nie jesteśmy kapłanami, tylko wojownikami. A teraz z drogi, do cholery!

Gdy ludzie skoczyli na równe nogi, dając Astartes możliwość szybkiego przejścia, Grimm zobaczył, że radość w ich oczach została zastąpiona przez strach. Było to wyjątkowo niefortunne. Czy kapitan Alvez naprawdę miał aż tak niskie mniemanie na temat miłości i szacunku zwykłych ludzi? Grimm czuł, że prędzej lub później ci ludzie zostaną wcieleni w szeregi walczących, by stoczyć bój, do którego byli kompletnie nieprzygotowani. Mieli oddać życie, by choćby na chwilę dać odpór wrogowi. Czy nie walczyliby lepiej, gdyby Astartes inspirowali ich, a nie przerażali? Wściekły Alvez mszył przed siebie, nie zaszczycając choćby spojrzeniem rzędów ludzi po obu stronach ulicy, którzy kłaniali się przed nim i błagali o jego wybaczenie. Grimm zwrócił się do starszej kobiety, która wylądowała na ziemi, po czym ostrożnie pomógł jej usiąść. Staruszka spojrzała na niego i posłała mu bezzębny uśmiech. Choć miała połamane kości i musiało to sprawiać jej ogromny ból, uniosła bezwładną rękę do płyty twarzowej hełmu i musnęła ją opuszkami palców, mrużąc pod nosem coś niezrozumiałego.

Grimm zobaczył w jej oczach uwielbienie i radość, zupełnie jakby kapitan Alvez nawet jej nie tknął.

Mężczyzna przeniósł spojrzenie na parę w średnim wieku po jego lewej.

- Wy tam! Zajmiecie się tą kobietą? Wymaga pomocy medycznej. Zabierzcie ją do najbliższego lazaretu. To rozkaz.

Wspomniana para, gruby mężczyzna w jasnych, pikowanych spodniach i jego wychudzona żona, pokłoniła się głęboko i natychmiast ruszyła, by pomóc starej kobiecie stanąć o własnych siłach. Grimm uniósł ją i umieścił w ramionach mężczyzny, nie mogąc się nadziwić temu, jak lekkie wydawało się jej kruche ciało. Cieszyło go, że sam nigdy nie zazna takiej słabości. Czas był nieubłagany dla wszystkich żywych istot, lecz gdzieś głęboko w genoziarnach Astartes ukryto sposób na jego przewycięzenie. Żaden Kosmiczny Marine nie miał nigdy doświadczyć tego uczucia. Imperator oszczędził swoim synom takiego losu.

Grimm obejrzał się, szukając czegoś i już po krótkiej chwili jego wyostrzony wzrok wypatrzył zgubę. Gdy szedł w stronę wejścia do małego habitatu, ludzie natychmiast się przed nim rozstępowali. Schylił się przy jednym z brudnych okien



i podniósł skarb starej kobiety. Był to niezwykle prosty wisiołek - mała, drewniana aquila na sznureczku, którą można było zawiesić na szyi, chociaż rzemyk z trudem byłby w stanie objąć nadgarstek Astartes. Zawieszka była kiedyś pięknie pomalowana, ale była już bardzo stara, przez co farba spękała i się złuszczyła. Gdy wrócił do staruszki, żeby oddać jej zgubę, kobieta wyraźnie się poruszyła i zaczęła wyjaśniać coś grubemu mężczyźnie, który trzymał ją na rękach, na co jego żona syknęła:

- Nie bądź niemądra, stara matko. Najwspanialszy tego nie potrzebuje.

- Wytłumaczcie się - powiedział Grimm.

Gruby mężczyzna przełknął ślinę z drzeniem podbródka.

- Chciałaby, żebyś go wziął, mój panie. Obawiam się, że jest niespełna rozumu. Nie rozumie... - Mężczyzna przelotnie spojrzął w wizjer hełmu Grimma, po czym ponownie wbił spojrzenie w ziemię.

Grimm spojrzął na aquilę, która wydawała się maleńka na dłoni jego czerwonej rękawicy. Nie mógł przyjąć tego podarku. Po wstąpieniu do zakonu, Astartes ze Szkarłatnych Pięści składali przysięgę ubóstwa. Pragnienie i posiadanie dóbr doczesnych było postrzegane jako słabość. Pancierz, broń, a nawet trofea zabrane z pola bitwy - wszystko to nie należało do każdego marine z osobna, ale do zakonu. Oznaczało to, że sam zakon mógł przyjąć ten drobny podarunek.

Grimm zwrócił się bezpośrednio do staruszki, chociaż nie miał pewności, czy go rozumie.

- Dziękuję ci za ten podarek, stara matko, ale nie w swoim imieniu, gdyż jest to sprzeczne z naszym kodeksem, ale w imieniu naszego zakonu. Niech Imperator ma w opiece ciebie... - W tym momencie przeniósł wzrok na grubego mężczyznę i jego żonę, i dodał znacząco: - A także wszystkich, którzy okażą ci życzliwość.

W komunikatorze nagle rozległ się czyjś ostry głos.

- Sierzancie, marnuje pan czas.

Kapitan Alvez oddalił się już na odległość ponad stu metrów.

Ściskając drewnianą aquilę w lewej dłoni, Grimm minął starą kobietę i małżeństwo, po czym ruszył za coraz bardziej zniecierpliwionym przełożonym. Ludzie po obu stronach ulicy kłaniali mu się nisko.

Mijając ich, Grimm pozdrawiał ich nieznacznymi skinieniami głowy, myśląc sobie, że niezależnie od siły ich wiary w Imperatora, a także potęgi Adeptus Astartes, wkrótce ci ludzie będą bezdomni... tak samo jak on. Deltoro Residentia stanie się strefą walki. Ilu z tych ludzi dożyje następnej pory roku?

Niemal zrównał się z kapitanem Alvezem, gdy w przestworzach rozległ się głośny, metaliczny jęk. Szeroki, czarny cień na chwilę przesłonił słońce. Grimm spojrzął w górę i ujrzał podbrzusze szpetnego transportera orków, który ciągnął za sobą smugę czarnego dymu i ognia z wyrwy na rufie. Statek wymknął się spod kontroli i spadał z dużą szybkością. Nie było wątpliwości, że uderzy w jedną z pobliskich dzielnic.

Kapitan Alvez był już połowie kamiennych schodów, które prowadziły na dach habitatu. Kolejne stopnie pękały pod jego ciężkimi krokami, zasypując ulicę poniżej pyłem i skalnymi odłamkami. Grimm podążył za nim i już po chwili razem obserwowali ze szczytu habitatu jak wrogi okręt rysuje nad miastem luk czarnego dymu.

Pojazd uderzył i roztrzaskał masywny, kamienny cylinder, znacznie wyższy niż mur oddzielający poszczególne dzielnice, po czym zniknął z pola widzenia. Grimm znał tę konstrukcję, a przynajmniej wiedział, czego była częścią. Był to komin wyrastający z dachu jednej z wielu stołecznych manufaktur znajdujących się pod opieką Adeptus Mechanicus.

- Zona 6 Industria - powiedział.

Alvez nawiązał już połączenie przez komunikator.

- Do wszystkich drużyn w szóstej strefie. Tu kapitan Alvez. Mamy wyłom. W waszej strefie spadł właśnie transportowiec orków. Zarządzam natychmiastową czystką. Trzecią i czwartą sekcję muru Goniona zostawcie Gwardii Rynn. Ten rozkaz ma status priorytetowy. Powtarzam, mamy wyłom. Wyeliminujcie wszystkie orki w Zona 6 Industria.

Podczas gdy kapitan wydawał rozkazy, Grimm sprawdzał poziom naładowania swojego pistoletu plazmowego i rozgrzewał zginacze rękawicy energetycznej. Jego własna drużyna, którą zostawił pod dowództwem brata Santanosa, była jedną z tych, które znajdowały się najbliżej miejsca katastrofy. Za przyzwoleniem kapitana, Grimm chciał wrócić na miejsce i poprowadzić swoich ludzi podczas eliminacji zielonoskórych intruzów. Ilu mogło być na takim statku? Ilu z nich przetrwało uderzenie? Gdyby orkom udało się zdobyć tutaj przyczółek, imperialne siły stanowczo zbyt wcześnie utraciłyby ważny punkt strategiczny. Manufaktury były niezwykle istotne z punktu widzenia dostarczania zapasów amunicji. Ich utrata byłaby katastrofalna w skutkach.

Wydawszy rozkazy, Alvez sprawdził swoją broń - mistrzowsko wykonany miecz energetyczny i masywny bolter szturmowy. Obie te relikwie zakonne otrzymał, awansując do rangi kapitana. Miały niezwykle misterną oprawę bogato zdobioną złotymi zwojami. Po sprawdzeniu broni i odmówieniu krótkiej modlitwy, kapitan zwrócił się do Grimma:

- Jesteśmy dostatecznie blisko, by pomóc, sierżancie. Za mną.

Alvez nawet nie trudził się, żeby korzystać ze schodów przy zejściu. Zamiast tego po prostu zeskoczył z dachu i grzmotnął o chodnik cztery metry niżej, lądując z takim impetem, że jego pancerne buty strzaskały kamienne płyty chodnika. Grimm poszedł za jego przykładem, choć jego buty zostawiły wyraźnie płytsze ślady. W następnej chwili obie Szkarłatne Pięści ruszyły w dół ulicy, która prowadziła do bramy łączącej strefę mieszkalną z fabryczną.

Grimm miał nadzieję, że przynajmniej kilku zielonoskórych przetrwało katastrofę. Jeśli epistolariusz Deguerro mówił prawdę, to zbliżał się czas zapłaty. Poprzysiągł sobie, że nim ten dzień dobiegnie końca jego zbroja będzie pokryta posoką xenos.

## 4

### Zachodnie zbocza, Góry Diabelskiego Ostrza

Kantor i jego piętnastu braci bitewnych posuwali się szybko w dół zbocza wąwozu. Spod ich butów co chwila sypały się luźne kamyki. Mistrz Zakonu był przekonany, że żaden z orczych pilotów ich nie dostrzegł. Żaden z paskudnych, ciężko uzbrojonych myśliwców nie oddzielił się od głównej grupy, przynajmniej na razie, chociaż ryk ich silników stawał się głośniejszy z każdą sekundą.

Miał nadzieję, że zrujnowana forteca-klasztor, całe to usiane ciałami gruzowisko, wystarczy, by odwrócić uwagę zielonoskórych od wąwozu Yanna. Nie zamierzał jednak ryzykować, dlatego nieustannie poganiał swoich Marines. Sklecona naprędce drużyna sierżanta Segali pełniła rolę przedniej straży. Drużyna Viejo zamykała pochód, uważnie wypatrując wszelkich śladów orczego pościgu. Cortez i jego drużyna trzymali się blisko Kantora.

Komunikacja w czasie marszu ograniczała się do krótkich i zdawkowych komend. To odpowiadało Kantorowi. Nie miał wiele do powiedzenia. Lepiej było, gdy każdy mógł pozostać sam na sam ze swoimi myślami, wspominając braci, którzy znaczyli dla niego najwięcej. Oczywiście on sam też zmagał się ze swoim żalem, ale jako przywódca nie mógł pozwolić sobie, by zdominował on jego myśli. Musiał wyprowadzić stąd swoje Pięści. Wkrótce mieli dotrzeć na wzgórze, które oferowały znacznie gorszą osłonę. Drzewa rosły tam rzadko. Zamiast tego głównie kwitły tam ostre, suche trawy i kolczaste krzewy. Gdyby piloci orków postanowili przeczesać okolicę w poszukiwaniu nowych celów, to właśnie na wzgórzach Kantora i jego ludzi byłoby wypatrzeć najłatwiej. Na otwartym terenie nie mieliby nawet dokąd uciekać. Cortez dogonił go, zrównał się z nim krokiem i w końcu powiedział:

- Nie mamy czasu zacierać śladów. Prędzej lub później ruszą za nami.

Hełm Corteza skrywał wyraz jego twarzy, ale w głosie starego przyjaciela Kantor wyraźnie słyszał ukryte za tymi słowami znaczenie: Chcę, żeby nas znaleźli.

- Nic nie poradzimy, Alessio - odparł. - W obecnej chwili możemy jedynie się ukrywać i trzymać śladów naszej przedniej straży.

Cortez spojrzał na północny-zachód, podążając za linią wąwozu. Przed nimi drużyna Segali posuwała się szybko naprzód, omiatając otoczenie w poszukiwaniu naziemnych wrogów. Kapitan odwrócił się z powrotem do Kantora i rzekł:

- Kazesz nam zachowywać się jak myszy, Pedro, a ja wolałbym, żebyśmy zawrócili i walczyli jak lwy.

Kantor skrzywił usta skryte za płytą twarzową.

- Sposób zachowania myszy służy naszym celom, bracie. Mysz chce przetrwać. Czas na walkę wkrótce nadejdzie, ale nim się to stanie musimy połączyć się z naszymi braćmi w stolicy. To jedyne logiczne rozwiązanie.

- Logika - powtórzył Cortez, choć wypowiedział to słowo, jakby chciał przekląć.

- Spytaj orki, co sądzą o...

Kantor uniósł dłoń, by go uciszyć, gdy jego słuch wychwycił jakiś nowy odgłos.

Cortez nadstawił uszu i również go usłyszał. Gdzieś poniżej ryku i charkotu orczych silników dało się słyszeć jakiś inny dźwięk, znacznie równiejszy, bardziej rytmiczny i lepiej wyregulowany. Wciąż jeszcze był słaby, ale stopniowo narastał.

- Lightningi - powiedział Kantor, gdy implant Lymana odfiltrował i wyostrzył dźwięk. - Nadlatują z południowego-zachodu. Są trzy. Podejrzewam, że to eskadra myśliwców ze Scar Lake.

Cortez przechylił głowę.

- Szybko się zbliżają. Musieli zauważyć orki. - Kapitan spojrział na skaliste zbocze po lewej stronie, a potem znów na Kantora.

- Idź - powiedział Kantor. - Zdasz raport z sytuacji.

Zebrani wokół Astartes zatrzymali się, oczekując na nowe rozkazy. Siła przyzwyczajenia sprawiła, że wszyscy unieśli boltery w gotowości.

- Wszystkie jednostki, utrzymać pozycje - rozkazał Kantor przez komunikator.

Cortez wbiegł po zboczu. Mniejsze skały rozsypywały się w drobny mak pod podeszwami jego ciężkich butów. Ze zbocza zeszło kilka małych lawin z ziemi i kamieni. Znalazłszy się tuż poniżej krawędzi wąwozu, mężczyzna przystanął i przykucnął, mając świadomość swoich rozmiarów, po czym wyrzwał ponad brzeg.

- Miałeś rację, panie - zaraportował. - Trzy Lightningi kierują się w stronę gór. Orki je spostrzegły. Wrogie myśliwce odłączyły się od grupy. Nie podoba mi się to.

Przeciwnik ma nad nimi przewagę trzy do jednego. Latające maszyny orków mogły wydawać się ciężkie, toporne i obdarzone aerodynamiką pancernika, ale na tym polegał cały trik. Mimo wyglądu, często były śmiertelnie niebezpieczne. Żadna jednostka powietrzna Gwardii Rynn nigdy nie walczyła przeciwko orkom. Imperialne Lightningi, standardowo uzbrojone w działa automatyczne i laserowe, były budowane z myślą o osiągnięciach, a nie wytrzymałości. Orczy piloci mogli równie dobrze ostrzelać, co staranować.

- Na pewno wysłano ich tu, żeby zbadali źródło wybuchu - powiedział Kantor.

Miało to sens. Eksplozja, która unicestwiła Arx Tyrannus, musiała być widoczna nawet po drugiej stronie kontynentu. Łączność z bazą powietrzną Scar Lake została utracona wiele godzin temu, jeszcze podczas pierwszego szturmów orków na planetę, ale pojawienie się Lightningów sugerowało, że sama baza mogła wciąż znajdować się w rękach Gwardii Rynn. Kantor żywił taką nadzieję, ale tak czy inaczej niewiele był w stanie z tym zrobić.

- Nie jesteśmy w stanie im pomóc, Alessio - powiedział do Corteza. - Nie jesteśmy odpowiednio uzbrojeni. Ruszajmy dalej. Ich przybycie da nam więcej czasu. Pospiesz się.

Odwróciwszy niechętnie spojrzenie od nieuchronnego starcia powietrznego, Cortez na wpół zsunął się, a na wpół zbiegł po zboczu z powrotem na pozycję Kantora.

- Wszystkie jednostki, kontynuować marsz - rozkazał Mistrz Zakonu.

- Niech Imperator ma ich w swojej opiece - powiedział Cortez, wyrównując krok z innymi.

## 5

### Trzy tysiące metrów nad Górami Diabelskiego Ostrza

- Jastrząb Jeden, tu Jastrząb Trzy - powiedział porucznik Keanos przez wokalizator.  
- Cel namierzony.

- Jastrząb Trzy, masz pozwolenie na otwarcie ognia - padła odpowiedź. - Eskadra Jastrząb, nawiązać walkę!

Keanos przełączył czerwony pstryczek na drążku, po czym odpalił raketę. Wspornik pod jego prawym skrzydłem plunął białym ogniem, a w następnej chwili pocisk pognał przed siebie w kierunku wciąż odległego celu, ciągnąc za sobą smugę dymu. Dwie sekundy później w oddali wykwitła kula ognia. Czarne odłamki pomknęły w stronę ziemi.

- Potwierdzam trafienie - powiedział głos w wokalizatorze. - Pierwsza krew należy do Jastrzębia Trzy.

Keanos poczuł nagłą euforię. Właśnie strącił obcy statek. Służył w Gwardii Rynn jako pilot już od dziesięciu lat i nie spodziewał się, że kiedykolwiek zobaczy prawdziwą walkę. Większość wylatanego czasu spędził na rutynowych patrolach i symulatorach. Nie mógł się doczekać, żeby opowiedzieć o tym wszystkim swojej żonie, Azeli, i ich synowi, Oricowi. Oczywiście musiało to poczekać do czasu zakończenia działań wojennych, kiedy znowu będą razem.

Miał na uwadze, że będzie musiał nieco upiększyć tę historię. W rzeczywistości to pocisk Airstrike AF-9 wykonał za niego większość pracy. Miał jeszcze drugi taki podwieszony pod lewym skrzydłem i dzięki niemu miał zamiar zaliczyć kolejne trafienie przed zakończeniem tej potyczki. Orki wciąż nie otworzyły ognia.

Wyglądało na to, że nie posiadały żadnej broni, której zasięg równałby się Airstrike'om. Jednak zgodnie z odczytami czujników czołowych było ich jeszcze osiem. Nawet gdyby jemu i pozostałym pilotom eskadry Jastrząb udało się zaliczyć strącenia wszystkimi dostępnymi pociskami, wciąż musieliby uporać się z trzema myśliwcami orków. To zaś był zupełnie inny rodzaj walki.

Obce myśliwce wykonały właśnie zwrot w jego kierunku. Liczby na wyświetlaczu dalmierza malały bardzo szybko. Trochę za szybko jak na jego gust. Orki gnały w linii prostej, bezpośrednio w kierunku imperialnych myśliwców. W kokpicie Keanosa rozbrzmiał znajomy sygnał.

- Jastrząb Jeden, namierzyłem kolejny cel - oświadczył Keanos przez wokalizator.  
- Alfa-Sześć. Powtarzam, mam zamiar na cel Alfa-Sześć.

Gdy to powiedział, zobaczył dwie białe smugi, które pomknęły w stronę orków, po jednej z każdego Lightninga po obu jego stronach. Keanos miał nadzieję, że ich celem nie był Alfa-Sześć. Chciał, żeby było to jego strącenie.

Jeden z pocisków zaczął wirować wokół własnej osi na sekundę przed tym jak runął w kierunku ziemi. Sfrustrowany głos oświadczył: - Tu Jastrząb Jeden. Awaria pocisku. Brak trafienia. Brak trafienia. Jastrząb Trzy, cel jest twój. Rozwał go. Keanos wcisnął guzik na drążku i poczuł, jak ostatni Airstrike uwalnia się spod lewego skrzydła. Biała smuga pomknęła przed siebie i już po sekundzie z nieba zaczęła spadać kula czerwonego ognia i czarnego dymu.

- Dwa na dwa trafienia, Jastrząb Trzy - oznajmił dowódca eskadry.

Keanos miał ochotę podskoczyć z radość. Nie licząc narodzin Orica, to był najlepszy dzień w jego życiu. Dwa strącenia! Ciekawe, ile jeszcze zaliczy ich przed zakończeniem wojny?

Wyczerpawszy zapas rakiet, przełączył systemy celownicze na sterowanie ręczne.

Rzut oka na wyświetlacz podpowiedział mu, że zarówno jego działko automatyczne, jak i laserowe, były w pełni naładowane, odbezpieczone i gotowe do wystrzału.

Myśliwce orków przed nimi były już niemal w ich zasięgu.

Chodźcie tu, wy obce pokraki - pomyślał. Dziś z pewnością zdobędę miano asa.

## 6

### Zona 6 Industria

#### Nowy Rynn

Walki na ulicach wokół uszkodzonej manufaktury trwały w najlepsze, gdy Alvez i Grimm dotarli za wzniesione naprędce barykady. W chwili przybycia kapitana ci, którzy nie byli bezpośrednio zaangażowani w wymianę ognia posłali mu krótki, ostry salut. Mężczyzna skinął im głową, ale nie odpowiedział tym samym. Choć był wielkim tradycjonalistą nawet on wiedział, że tu i teraz, gdy znajdowali się pod ciężkim ostrzałem wielkiej i zdeterminowanej bandy orków, nie było czasu na wzmacnianie prawidłowych zachowań oraz dyscypliny.

Kule świszczały mu wokół głowy, gdy biegł ku drużynie Anto, która przycupnęła za odcinkiem grubych, prefabrykowanych murów typu Aegis.

Faradis Anto, który również pochodził z Blackwater, służył pod Alvezem od ponad wieku. Był dość niski jak na Szkarłatną Pięść, ale miał bystry umysł i był znany ze swej stanowczości. Alvez rozważał nawet kandydaturę Anto na pozycję Grimma, ale on sam i jego podwładny byli zbyt do siebie podobni. Huron Grimm stanowił jego przeciwieństwo, nadając ich relacjom dynamiczną równowagę, do której Alvez dążył, choć nigdy nie powiedział tego Grimmowi wprost. Jak dotąd nie żałował tej decyzji. Zbliżając się do Anto, powiedział do Grimma:

- Ruszaj, sierżancie. Twój oddział czeka na ciebie. Jednak pozostaw ten kanał otwarty, gdybym cię potrzebował.

- Mój panie - odparł Grimm. Odwrócił się do Alveza plecami, po czym pobiegł przywitać się ze swoimi braćmi, którzy schronili się za betonowym rogiem młyna przetwórczego, który teraz dziurawiły kule z broni maszynowej orków.

Anto zasalutował Alvezowi.

- Dobrze cię widzieć, panie.

- Raportuj, Faradis.

- Transportowiec był duży i wypełniony po brzegi. Manufaktura mocno ucierpiała podczas ataku, ale nadbudowa wciąż jest w jednym kawałku. Część orków okopała się w środku. Ich liczebność oceniamy na sześćdziesiąt do osiemdziesięciu. Pozostali wykorzystują wrak statku jako osłonę. Kolejni zielonoskórzy wylegają na ulice, zabijając wszystkich na swojej drodze. Dwukrotnie już próbowali oflankować nas po tej stronie dzielnicy, ale za każdym razem ich odparliśmy. Jeśli mamy ich zmusić do wycofania się ze swoich pozycji, musimy przeprowadzić frontalny atak.

Anto zamilkł na chwilę, po czym dodał:

- Nie będzie to łatwe, mój panie. Orki, które okopały się za wrakiem i w manufakturze dysponują sporą siłą ognia. Zwiadowcy z drużyny Bariaxa są naszymi oczami i uszami. Jak dotąd donieśli, że wróg dysponuje odpowiednikami uzbrojenia plazmowego i laserowego, a także szeregiem broni xenos. Na dodatek orki są bardzo czujne. Sierżant Bariax i jego ludzie próbowali zinfiltrować manufakturę jednaście minut temu. Mieliśmy nadzieję, że uda im się wyeliminować herszta orków i tym sposobem wywołać zamęt wśród umocnionych sił. Obawiam się, że plan się nie po-

wiódł, mój panie.

- Jakież straty? - spytał Alvez.

- Dwóch zwiadowców. Powiedziano mi, że to dobrzy żołnierze.

Niedostatecznie dobrzy - pomyślał Alvez. Nie możemy pozwolić sobie na żadne straty, szczególnie teraz, gdy jesteśmy ostatnimi żywymi członkami zakonu.

Wciąż jeszcze nie podzielił się z innymi ponurymi wieściami od Deguerro, po części dlatego, że miał nadzieję, iż okażą się one nieprawdziwe, a po części ze względu na brak czasu.

- Dysponujemy mapą okolicy? - spytał. - Potrzebujemy planu manufaktury.

Za ich plecami rozległo się donośne dudnienie, jakby sam bóg zaczął dobijać się do bram miasta. Alvez i Anto obrócili się, by zlokalizować jego źródło. Naprawdę trudno byłoby je przeoczyć. Stała przed nimi olbrzymia postać, której każdą kanciastą powierzchnię pokrywały zwoje i pergaminy opisujące wielkie czyny z jej przeszłości. Po prawej stronie potężnie opancerzonej skorupy można było dostrzec ikonę zakonu wprawioną w kamienny krzyż Crux Terminatus, symbol zastrzeżony wyłącznie dla tych, którzy zasłużyli sobie na miejsce w kompanii krucjaty. Pomiedzy przypominającymi tłoki nogami powiewał na wietrze biały tabard przyozdobiony symbolem aquili, który wyszyto złotą nicią. Na lewej nodze postać nosiła wieniec laurowy z kutego srebra okalający złotą czaszkę - kolejny z olbrzymich zaszczytów, jaki spotkał ją na przestrzeni sześciu wieków służby w szeregach Szkarłatnych Pięści. Był to pancernik, a jego imię brzmiało brat Jerian. Gdy przemawiał swym modulowanym głosem niskim jak ryk masywnego brachiodonta byczego, powietrze wokół niego wibrowało.

- Nie potrzebuje pan żadnych planów, czcigodny kapitanie.

Uniósł lewą rękę do góry i obrócił o trzysta sześćdziesiąt stopni swoją olbrzymią rękawicę energetyczną.

- Jeśli będziesz potrzebował wejścia, stworzę je dla ciebie.

Teraz uniósł w powietrze prawe ramię, a powietrze wypełnił mechaniczny wizg obracających się luf działka automatycznego.

- Jeśli będziesz potrzebował śmierci, zadam ją w twoim imieniu.

Alvez obrzucił spojrzeniem starożytnego wojownika. Wewnątrz tego kroczącego sarkofagu umieszczono brata bitewnego takiego jak on sam. Czy też raczej kogoś, kto był nim niegdyś. Jerian zyskał sobie miano bohatera zakonu jeszcze nim Alvez się urodził. Poległ jednak w Bitwie Szmaragdowych Piasków, a jego ciało zostało niemal całkowicie zniszczone przez skoncentrowany biokwas będący wytworem ohydnej rasy tyranidów. Była to powolna, bolesna śmierć, niegodna Marine. Medycy zrobili co mogli, by go uratować, zaś zbrojmistrze podłączyli go do tej starożytnej aparatury. Gdyby śmierć próbowała raz jeszcze go osiągnąć, miałyby naprawdę trudny orzech do zgryzienia. Alvez był tego pewien.

Każdy brat w zakonie znał opowieści o zwycięstwach i bohaterstwie Jeriana.

Pancernik najwyraźniej miał zamiar jeszcze bardziej poszerzyć tę listę.

Alvez postąpił kilka kroków w stronę metalowego olbrzyma. Zatrzymał się pięć metrów przed nim i utkwiał spojrzenie w wąskim wizjerze, który wycięto wysoko w jego zwalistym pancerzu.

- Dobrze, bracie Jerianie - powiedział. - Będziesz naszym wsparciem. Zaatakujemy



od czoła i rozniesiemy wrogów tam, gdzie stoją. Masz wykonywać moje rozkazy. Musi być tak, jak mówię. Nie inaczej. Alvez nie czuł się dobrze, przemawiając w taki sposób do równie legendarnej postaci, ale wolał mieć pewność, że wszyscy - nawet Jerian - mają świadomość, że jego autorytet był niepodważalny.

Jeśli Pedro Kantor naprawdę nie żyje - powtarzał sobie - przyszłość zakonu leży w moich rękach.

Była to gorzka myśl, która nie była dlań żadnym powodem do dumy.

- Rozumiesz mnie, Pradawny? - spytał maszyne. - Zrobimy to po mojemu.

- Zrobimy jak zechcesz - zagrzmiął Jerian - dopóki będę mógł zabijać orki.

## Zachodnie wzgórza

### Góry Diabelskiego Ostrza

Kantor i jego Pięści wyszli z wąwozu Yanna na łagodne zbocze, które wilo się pomiędzy ostatnimi pagórkami. Przed nimi rozpościerały się wschodnie stopy, oślepiająco jasne w popołudniowym świetle. Na zachodzie w powietrze unosił się dym z tysięcy ognisk. Skłębione, czarne kolumny były tak wysokie, że Astartes widzieli je z odległości setek kilometrów, wznoszące się gdzieś zza linii horyzontu. Nie mieli jednak pojęcia, czy był to dym z rozbitych statków xenos czy też z płonących osad. Kantor miał nadzieję, że to pierwsze.

Gdy nakazał swoim Astartes obrać kierunek północno-zachodni, usłyszał za plecami eksplozję. Obrócił się, jednak widok przesłaniały mu łukowate grzbiety wzgórz. Miał nadzieję, że wybuch nie był jedynie przedśmiertnym krzykiem któregoś z Lightningów.

Na wschodzie, tam skąd przybyli, Diabelskie Ostrza pięły się w niebo niczym mur poszarpanych kłów, których ostre czubki były białe jak kość, zaś korzenie i granie niemal całkowicie czarne. Kantor znał te góry niemal od urodzenia. Dlaczego więc czuł się teraz, jakby się z nimi żegnał? Arx Tyrannus zostało zniszczone, lecz góry trwały przecież niezmiennie. Nie potrafił wyjaśnić tego uczucia.

Drużyna Corteza szła teraz przodem, kilometr przed pozostałymi, przejąwszy rolę przedniej straży. Sierżant Segala i jego oddział towarzyszyli Kantorowi, ale zachowywali pełen szacunku dystans. Nie chcieli zaprzętać głowy Mistrzowi Zakonu, zupełnie jakby wyczuwali ciężar spoczywający na jego barkach.

Wiedzieli, że wezwie ich, gdy będą mu potrzebni.

Nagły ryk silników raketowych rozdarł powietrze i zaledwie sto metrów nad głową Kantora przemknął jeden z Lightningów. Szesnaście skrytych za wizjerami par oczu spojrzęło w górę, śledząc jego trajektorię. Zaledwie sekundę później z rykiem przeleciał nad nimi ciężki myśliwiec orków, plując gradem ołowianych pocisków i promieni laserowych z najeżonego bronią dziobu. Kantor widział, że Lightning próbuje zgubić pościg, tańcząc z prawej na lewą, ale przeciwnik uczepił się jego ogona. Pilot imperialnego myśliwca spróbował ostrego zwrotu w lewo, wykorzystując spadek terenu, ale ork musiał przewidzieć ten manewr. Lightning wleciał prosto w strumień pocisków, które rozszarpały jego metalowy kadłub.

Wrak spadł na ziemię na północ od pozycji Corteza.

Myśliwiec orków zmienił kurs. W ogniu walki pilot nie zauważył Kosmicznych Marines na ziemi, a przynajmniej Kantor miał taką nadzieję.

- Pedro - powiedział Cortez przez komunikator. Nie musiał dodawać nic więcej.

- Idź, Alessio - odparł Mistrz Zakonu. - Będziemy tuż za tobą.

Okolica była usłana połyskliwymi kawałkami metalu w miejscu, gdzie Lightning zarył dziobem w ziemię, tworząc szeroką bruzdę.

Cortez przyklęknął obok ciała pilota i odczytał naszywkę z nazwiskiem, którą umieszczono na jego piersi tuż poniżej skrzydlatej czaszki.

- Keanos - powiedział. - Tak masz na nazwisko? Jestem kapitan Cortez ze Szkarłatnych Pięści. Jeśli mnie słyszysz, Keanos, powiedz, jak masz na imię. Ranny mężczyzna poruszył się. Jego kombinezon był przesiąknięty krwią. Jej zapach wyraźnie unosił się w powietrzu, mieszając z gryzącym smrodem rozgrzanego metalu.

- Galen - powiedział w końcu. - Mam na imię... Galen... Keanos.

Cortez przystawił manierkę do ust mężczyzny.

- Możesz pić, Galenie Keanos? To woda.

Keanos zdołał upić łyk, ale chwilę później zaczął kasłać, co wyraźnie sprawiało mu ogromny ból, dlatego Cortez zabrał manierkę, zatkał ją na nowo i przypiął do paska. Ciężkie kroki zachręściły na piasku i kamieniach za jego plecami. Cortez instynktownie wiedział, że ma za sobą Mistrza Zakonu. Nie odwracając się, powiedział:

- Jest z nim bardzo źle, Pedro. Nie pożyje zbyt długo. Okażmy mu litość.

Kantor przykucnął obok rynnckiego pilota i gestem nakazał Cortezowi odrobinę się cofnąć.

- Najpierw musimy się czegoś dowiedzieć.

- Ma na imię Galen Keanos - powiedział Cortez.

- Galen - powtórzył Mistrz Zakonu, kiwając głową. W następnej chwili przeniósł spojrzenie na umierającego mężczyznę. - Galenie, słyszysz mnie?

Keanos spojrzał w kierunku głosu, ale wzrok miał pusty.

- Jestem Pedro Kantor, lord Diabelskich Ostrzy, Mistrz Zakonu Szkarłatnych Pięści.

- Mój... mój panie - wysapał Keanos. Przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar wstać.

- Nie, Galenie - rzekł Kantor, ostrożnie kładąc prawą dłoń na ramieniu mężczyzny.

- Leż spokojnie. Nie powinieneś się ruszać. Wkrótce ulżymy ci w cierpieniu, ale uczynisz honor mnie i samemu Imperatorowi, jeśli zniesiesz go jeszcze trochę.

Potrzebujemy informacji.

- Spróbuję... odpowiedzieć, panie.

- Przyleciałeś ze Scar Lake?

- Tak. Moja... moja eskadra została wysłana, by zbadać rozbłysk światła w górach.

Wydawało się nam, że dochodziło od strony Arx Tyrannus, ale nasze komunikatory dalekiego zasięgu padły. Orki zniszczyły... nasze maszty antenowe w trakcie pierwszego ataku. Potrzebowaliśmy wsparcia, ale nie było jak... Moja żona i dziecko... zostali ewakuowani na południe. Oric. Mój Oric.

- Gaśnie w oczach - powiedział Cortez.

-W kokpicie powinien być pakiet medyczny, Alessio. Znajdź go szybko.

Cortez pokręcił głową.

- Uczyniłem to, gdy go wyciągnąłem. Zostały po nim jedynie strzępy. Cały kokpit był podziurawiony.

- Galenie - ciągnął Kantor. - Czy baza powietrzna Scar Lake wciąż funkcjonuje? Nasi wciąż się bronią?

Keanos zakasłał. Spieniona krew zebrała się w kącikach jego ust.

- Orki... przypuściły szturm na placówkę, ale... my... odparliśmy ich dwukrotnie.

Generał Mazius... zginął.

- A co z miastami? Jakież wieści ze stolicy? Albo z Caltary lub Sagarro?  
Czekali na odpowiedź Keanosa, ale twarz mężczyzny zastygła w bezruchu.  
Mężczyzna już nawet nie mrugał.

- Nie żyje - oznajmił Cortez. - Scar Lake zapewne już padło.

- Niemal na pewno - powiedział Kantor, nie odrywając oczu od martwego mężczyzny. - Nic, co Snagrod robi nie wydaje się przypadkowe, ale niemal... planowe.

- Nie wiemy tego - zaprotestował Cortez.

Kantor skrzyżował z nim spojrzenie.

- Jesteś tego pewny, Alessio? Orki najpierw zniszczyły stacje przekaźnikowe w głębokiej przestrzeni, potem przypuściły skoncentrowany atak na naziemne systemy komunikacyjne, a wkrótce potem na placówki wojskowe. Snagrod nie walczy jak zwykły ork. Myśli jak żołnierz Imperium. Musiał wszystkiego nauczyć się od nas. Cortez zmrużył oczy. Nie wiedział, czy ma w to wszystko wierzyć. Doświadczenie nauczyło go, że to, czego orkom brakowało w głowie, nadrabiały siłą. To właśnie ich niski intelekt nie pozwalał im rozwinąć skrzydeł, a nie siły działające przeciwko nim. Sprytne orki - obdarzone intelektem, który sugerował Kantor - były przeciwnikiem zupełnie innego rodzaju. Przeciwnikiem, którego być może nikt nie był w stanie powstrzymać.

- Musimy przeć naprzód - powiedział Mistrz Zakonu. - Orczy pilot mógł nas przeoczyć za pierwszym razem, ale może nas dostrzec podczas kolejnego przelotu. Podejrzewam, że ekipa śmieciarzy jest już w drodze, żeby ogołocić ten statek z części. - Przewidując następne słowa swojego przyjaciela, dodał: - Nie, Alessio. Nie zostaniemy tu, żeby zastawić na nich pułapkę. Mistrz Zakonu obrócił się i zaczął się oddalać, rozkazując braciom bitewnym, którzy chronili teren wokół zestrzelonego Lightninga, ruszać za nim. Gdy odszedł na odległość jakichś pięciu metrów, odwrócił głowę i rzucił przez ramię do Corteza:

- Możesz umieścić we wraku kilka ładunków termicznych, bracie. Jestem pewien, że orki docenią tę niespodziankę.

W końcu coś ucieszyło Corteza. Kilka minut później sprawa była załatwiona. On i jego drużyna pospiesznie ruszyli za resztą grupy, zajmując miejsce tylnej straży. Maszerowali bez wytchnienia. Ziemia pod ich nogami stawała się coraz zieleńsza aż w końcu, po kilku godzinach, znaleźli się na równinach porośniętych bujną, soczystą trawą. Zeszli kilka tysięcy metrów w dół, od kiedy opuścili ruiny swojego domu. Bliżej poziomu morza ziemia wydawała się cieszyć porą roku zupełnie inną od zimowych mrozów na szczytach gór. Powietrze było cieplejsze, a ciśnienie i wilgotność wyraźnie wyższe.

Gdy siostrzane słońca zaczęły znikać za zachodnim horyzontem, zalewając wszystko odcieniami czerwieni i złota, jego uszu doszedł potężny wybuch, który odbił się echem od gór i poniósł po równinach.

Cortez zmrużył oczy, spoglądając z kierunku, z którego przybyli i zobaczył słup dymu bijący w powietrze z miejsca ostatniego spoczynku Galena Keanosa.

Po chwili wznowił marsz, zastanawiając się, ilu śmierdzących xenos właśnie zabił. Poprzysiągł sobie, że to dopiero początek.

## 8

### Zona 6 Industria

#### Nowy Rynn

Brat Jerian był ucieleśnieniem śmierci. Orki nie były w stanie wiele wskórać w starciu z furją jego broni. Przynajmniej z początku. Zbłąkane oddziały orków próbowały po raz trzeci oflankować pozycję Szkarłatnych Pięści zaledwie kilka minut po tym jak Jerian pojawił się za barykadą. Bardzo szybko przekonały się, że nie mają szans w starciu z przeciwnikiem, któremu nie straszne były ich karabiny i ostrza. Jerian nie potrzebował osłony. On sam był osłoną. Wyszedł przed szeregi ryczących, obcych szumowin i uruchomił działko szturmowe.

Gdy broń plunęła ogniem, nawałnica pocisków była tak niszczycielska, że przecinała orki w pół. Nawet zielonoskórzy z tylnych szeregów szarżującej masy nie byli w stanie uniknąć gradu ostro zwieńczonych kul, które dziurawiły kolejne ciała aż ulicę pokryła warstwa krwi i dymiących wnętrzności.

Jerian wydał z siebie bojowy okrzyk, który poniósł się echem po całej południowo-wschodniej dzielnicy, zagłuszając nawet odległy huk dział samobieżnych Basilisk i artyleryjskich Earthshakerów. Mało który ryk bojowy xenos mógłby się mu równać. Alvez podejrzewał, że gdy okrzyk przebrzmi, część orków weźmie nogi za pas. Więksi zielonoskórzy z reguły nie bali się niczego, ale byli bardzo przesądni, nieufni wobec nieznanego i nie stronili od ucieczki w obliczu oczywistej porażki. Był to z ich strony najjaskrawszy przejaw inteligencji.

- Do mnie! - ryknął Jerian, ruszając z hukiem ulicą w kierunku manufaktury i rozbitego transportowca orków. Z luf jego działka szturmowego wciąż unosił się gryzący dym. Masywne, hydrauliczne tłoki poruszające nogami syczały, klekocząc przy każdym ruchu. Czarny jak smoła dym wydobywał się z dwóch rur wydechowych, które umieszczono na jego szerokich, metalowych plecach.

- Drużyny Rectris i Gualan - powiedział Alvez przez komunikator - posuwajcie się za bratem Jerianem. Osłaniajcie jego martwe strefy. Drużyny Grimm i Ulias biorą lewą flankę. Drużyny Anto i Haleos, macie prawą flankę. Naprzód !

Alvez maszerował z Maurillo Rectrisem i jego drużyną. Zielonoskórzy wypadli zza rogu budynku, by ich przechwycić, ale padli trupem, gdy tylko pokazali swoje szpetne, płaskie pyski. W ciągu kilku minut Jerian zdołał doprowadzić pozostałych w okolice manufaktury. Z umieszczonych wysoko, powybijanych okien budynku natychmiast posypał się na nich grad kul z pistoletów i karabinów maszynowych. Szkarłatne Pięści nie wahały się ani chwili. Bracia unieśli boltery, przymierzili i posłali śmiercionośną nawałnicę pocisków w kierunku ciemnych okien. Jerian również odpowiedział ogniem, którego niszczycielska siła szybko sprawiła, że kolejne serie z broni braci bitewnych stały się zbędne. Wyższa część ściany została doszczętnie zniszczona. Mosiężne łuski spadały pod jego nogi niczym metalowy deszcz. Orki wycofały się spod okien nie mając zamiaru stawiać czoła tej śmiercionośnej kanonadzie.

- Jerianie - zawołał Alvez, ale pancernik nie słyszał go lub też nie chciał go usłyszeć.

- Bracie Jerianie - zagrział ponownie Alvez, tym razem nieco bardziej dobitnie.
- Wstrzymaj ogień. Ruszamy dalej. Musimy zabezpieczyć północną ścianę. Sami wybijemy sobie drogę do środka.

Jerian przerwał ostrzał. Jego działko szturmowe zwolniło z wizgiem, który brzmiał niemal smutno. Chwilę później, zgodnie z rozkazem, ruszył gwałtownie naprzód. Drużyny Rectris i Gualan szybko zajęły pozycje wzdłuż północnej ściany budynku. Po przeciwległej, południowej stronie manufaktury, transportowiec orków leżał na wpeł przysypany porozbijanymi cegłówkami. Z kadłuba wciąż były w powietrze kłęby czarnego dymu.

Alvez nawiązał połączenie z Huronem Grimmem.

- Jesteście na pozycjach, sierżancie?

- Tak, mój panie - odparł Grimm. - Napotkaliśmy na opór przy południowym wejściu, ale znaleźliśmy już osłonę i mamy dobry widok na strącony statek. Odnotowaliśmy znaczną aktywność wroga na zachód i północny-zachód od naszej pozycji.

- Utrzymujcie pozycję do czasu nadejścia nowych rozkazów - powiedział Alvez.

Następnie nawiązał połączenie z sierżantem Anto. - Jaki jest wasz status, bracie.

- Obie drużyny są już na pozycjach, mój panie. Czekamy na twój rozkaz do ataku.

Nie ma tu żadnego wylomu, ale obserwujemy orki przez cztery duże bramy ładunkowe. To Trupie Czachy. Alvez zamyślił się. Klan Trupich Czach był znany z zamiłowania do grabieży i obsesji graniczącej z manią na punkcie szabrowania maszyn.

- Jeśli to Trupie Czachy, tym lepiej dla nas - powiedział do Anto. - Ich uwaga będzie podzielona pomiędzy nas i maszynierę w środku. Gdy tylko Rectris i Gualan przebiją się przez północny mur, drużyny oskrzydłające mają zapewnić im ogień zaporowy. Potwierdź.

- Potwierdzam, panie. Czekamy na sygnał.

Zakończywszy połączenie, Alvez zwrócił się do Maurillo Rectrisa, który stał po jego lewej stronie z plecakiem przyciśniętym do ceglanej ściany manufaktury.

- Niech twoi ludzie założą ładunki, sierżancie. Dwadzieścia sekund powinno wystarczyć.

- Panie - rzekł Rectris. Mężczyzna odsunął się od ściany, przywołał do siebie dwóch członków swojej drużyny, po czym zaczął wydawać rozkazy.

Stojący w odległości zaledwie kilku metrów od Alveza brat Jerian zagrział:

- Powinien pan pozwolić mi wybić dziurę w ścianie, kapitanie - powiedział, niespokojnie rozluźniając i zaciskając swoją rękawicę energetyczną.

- Potrzebujemy odpowiednio dużego wylomu, bracie - oznajmił Alvez. - Na dodatek efekt musi być natychmiastowy. Jestem przekonany, że mógłbyś w pojedynkę obrócić to miejsce w pył, wolałbym jednak byś skupił się na miażdżeniu orków, a nie ścian. Bądź w gotowości. Znajdziesz się w pierwszym szeregu.

Jerian przestał poruszać kończyną.

- Przynajmniej w tym względzie wykazuje się pan wielkim rozsądkiem.

Alvez nie mógł nie zauważyć przytyku w jego słowach. Kapitan poczuł krótki przyływ złości, który jednak szybko minął. Pradawni, jak często mówiono o pancernikach, znani byli ze swojej opryskliwości i zrzędlivosti. Nikt nie podejmował prób zmian osobowości wykutych w wojnach na przestrzeni sześciuset

lat. To jest, o ile ktoś nie lubił ciągłych porażek. Poza tym, dzięki długiej historii heroicznych czynów, Jerian i jego mechaniczni towarzysze zasłużyli sobie na poziom tolerancji, jakim Alvez mało kogo darzył.

Komunikator zasyczał szumem zakłóceń, po którym rozbrzmiał głos sierżanta Salvadora Uliasa.

- Lordzie kapitanie - powiedział. - Grupa orków próbuje okrążyć budynek. Zmierzają w waszą stronę. Jest ich dwadzieścia. Są uzbrojone w ciężkie karabiny i ostrza.

Wkrótce będą w waszej okolicy. Czy mamy nawiązać walkę?

- Rectris? - spytał Alvez.

- Dziesięć sekund. Rozmieszczamy właśnie ostatnie ładunki.

Sądząc po raporcie Uliasa, było to o dziesięć sekund za długo. Alvez uniósł swego boltera.

- Wszystkie oddziały, otworzyć ogień!

- Za Dorna i Imperatora - odparł Anto przez komunikator.

Wokół całego budynku rozbrzmiał huk wystrzałów i terkotanie bolterów. Jak na komendę z wnętrza budynku odpowiedziało im głucho dudnienie ciężkiej broni orków.

- Ładunki rozmieszczone - oznajmił Rectris. - Cofnąć się!

Drużyny Rectrisa i Gualana przyłgnęły do muru. Brat Jerian zrobił jedynie dwa kroki w tył, czekając na wybuch. Alvez doceniał jego odwagę. Każdy normalny Kosmiczny Marine ryzykowałby zdrowiem, a może nawet życiem, stojąc tak blisko strefy rażenia. Ale nie Jerian. Powietrze wypełnił ogłuszający huk, a następnie fontanna pyłu i kamieni. Alvez stracił Jeriana z oczu, ale słyszał jak deszcz skalnych odłamków odbija się od płyt pancerza pancernika.

- Naprzód! - zagrzmiął Jerian. - Nieśmy im śmierć!

Chmura pyłu zawirowała i Alvez wiedział, że Jerian zaatakował. Po chwili usłyszał charakterystyczny wizg działka szturmowego omiatającego wnętrze budynku.

- Zabić wszystkich - ryknął Alvez przez komunikator, po czym on również zaatakował przez wyrwę w ceglany murze. Jego bracia bitewni podążyli za nim bez chwili wahania.

Orki zgromadzone wewnątrz manufaktury natychmiast odpowiedziały ogniem, ostrzeliwując Kosmicznych Marines z podwyższeń z metalowych krat lub zza taśmociągów olbrzymiej, zautomatyzowanej linii montażowej. Pętaki przemykały z cienia do cienia, drżąc o swoje życie. Zatrzymywały się, by wystrzelić ze swoich wielkokalibrowych pistoletów tylko wtedy, gdy znalazły sobie solidną osłonę. Z kolei ich przerośnięci krewniacy walczyli bez żadnego strachu. Całymi watahami atakowali na ślepo, wywijając toporami łańcuchowymi, wprost pod lufy Szkarłatnych Pięści, gdzie wybuchowe, reaktywne pociski z bolterów robiły z nich sieczkę. Bratu Jerianowi wkrótce skończyła się amunicja, jednak ani na chwilę go to nie spowolniło. Pancernik ruszył szturmem, roztrącając na boki niedziałającą maszynę, łaknąc jedynie krwi wrogów zakonu. Był to doprawdy niesamowity widok. Kolejne orki padały trupem wraz z każdym łukiem zakreślonym w powietrzu przez jego potężną, metalową pięść. Gdy napierał coraz mocniej na masę skłębionych obcych, którzy wydawali się wyłaniać z otaczających go cieni, jego ciężkie stopy robiły miazgę z ciał poległych.

Alvez usłyszał mechaniczny śmiech maszyny - dźwięk tak nieludzki, jak tylko było to możliwe.

Trzy orki zeskoczyły z podwieszanego chodnika i wylądowały zaledwie trzy metry przed Alvezem. Były dostatecznie blisko, by móc natychmiast zaatakować. Ale nawet w pancerzu terminatorów kapitan był szybszy. Jego palec nacisnął na spust starożytnej broni. Największy z orków, jeszcze zanim był w stanie wziąć zamach, zatoczył się w tył trafiony prosto między oczy. Pocisk wybuchł, rozrzucając na wszystkie strony kawałki mózgu i czaszki. Stwór runął na ziemię niczym bezładna kupa mięsa.

Pozostałe orki nie czekały aż spotka ich ten sam los. Jeden z nich rzucił się na niego z wielkim, wyszczerbionym ostrzem, które przypominało bardziej tasak niż miecz czy nóż. Uderzenie odtrąciło na bok bolter szturmowy Alveza, ale nie zdołało wytrącić mu go z ręki. Kreatura uniosła drugą broń, nabijaną kolcami pałkę z żelaza, po czym opuściła go z oślepiającą szybkością. Cios ześliznął się ze szczękiem po ceramitowym naramienniku Alveza.

- Giń - wyrzucił z siebie kapitan. Miecz energetyczny w jego lewej dłoni przypominał świetlistą plamę. Jego klinga przeszła z trzaskiem przez brzuch stwora, przecinając orka na pół.

Gdy obie połowy upadły na posadzkę z mokrym plaśnięciem, Alvez obrócił się w stronę trzeciego napastnika. Nikogo już jednak zobaczył. Sierżant Gualan strzelił stworowi w plecy z bliskiej odległości. W piersi orka ziała dziura po trzy pociskowej serii wybuchowych boltów. Gualan, podobnie jak reszta jego drużyny, szukał już nowych celów.

- Huronie - powiedział Alvez przez komunikator - raportuj.

- Trzydzieści osiem potwierdzonych trupów po południowej stronie, mój panie - odparł Grimm. - Orki, które teraz szukają schronienia w zestrzelonym statku, zostały mocno przetrzebione. Sugeruję, by drużyny Grimm i Ulias dokończyły sprawę. Alvez usłyszał w tle wystrzały z bolterów, które jednak stały się dość sporadyczne, zupełnie jakby braciom zabrakło celów.

- Zróbcie to - rozkazał Alvez. Następnie przełączył kanały. - Faradis, raport.

Sierżant Anto również zdawał relację na tle milknących wystrzałów. On też donosił o znacznej redukcji żywych celów w swoim sektorze i podobnie jak Grimm, prosił o pozwolenie na kontynuowanie natarcia. Nie było w tym nic dziwnego. Jaka prawdziwa Szkarłatna Pięść wolałaby trwać bezczynnie, gdy w okolicy grasowały orki? Alvez wiedział jednak, że ani dla Grimma, ani dla Alto nie będzie to żadne wyzwanie. Walki wewnątrz manufaktury również dobiegały końca, w czym niemałą zasługę miała nieokiełznana furia brata Jeriana.

- Odmawiam, Faradisie - powiedział kapitan, dokonując szybkiej oceny. - Chcę, byście wraz z Haleosem zabezpieczyli perimetr. Po okolicy wciąż mogą krążyć orki. Drużyny Grimm i Ulias zajmą się oczyszczeniem wraku. Rectris i Gualan przejęli kontrolę nad budynkiem. To koniec. Wychodzę na zewnątrz.

Tak właśnie uczynił. Dowodzenie nad operacją oczyszczenia budynku z niedobitków zostawił Maurillo Rectrisowi, po czym wyszedł na światło gasnącego słońca.

Statki orków wciąż malowały czarne smugi na ciemniejącym błękitnie nieba. W powietrze były wielometrowe kolumny czarnego dymu. Alvez widział, jak unoszą się



ponad mury miasta niczym olbrzymie duchy, które pełzną powoli po nieboskłonie. Nie wiedział, czy oznaczało to martwe orki czy martwych ludzi, lecz nie miał wątpliwości, że był to symbol śmierci.

Mężczyzna wypatrzył sierżanta Anto i jego drużynę, którzy zabezpieczali po wschodniej stronie szereg silosów z surowcami i ruszył w ich kierunku. Miał właśnie wywołać go przez komunikator, gdy ziemia zadrżała pod jego stopami. Huk potężnej eksplozji rozbrzmiał gdzieś za murami obronnymi dzielnicy. W tej samej chwili Anto uniósł głowę. W uchu Alveza rozległ się czyjś natarczywy głos, odcinając wszelką inną komunikację poza częstotliwością awaryjną.

- Drużyna Thanatora do kapitana Alveza - powiedział. - Powtarzam, drużyna Thanatora do kapitana Alveza. Odbiór.

- Z tej strony Alvez. O co chodzi, sierżancie?

- Mój panie - zaczął sierżant Thanator - kolejny statek orków właśnie spadł na miasto. Zniszczenia są poważne.

- Gdzie? - spytał Alvez. - Będziemy w stanie zdusić zagrożenie w zarodku?

- Nie będzie to możliwe, panie - odparł Thanator. Z tonu sierżanta Alvez wnioskuje, że nie była to jedynie kolejny wypadek. - Właśnie zniszczyli całą sekcję muru Pavelisa!

Na krew Dorna - zaklął Alvez.

- Muszę wiedzieć, o której sekcji mówisz, sierżancie.

- Zona 4 Commercia, sekcja druga, mój panie. Wróg przelewa się przez szanice niczym szarańcza. Potrzebujemy wsparcia. Sama ich liczba...

- Ilu Astartes straciliśmy? - dopytywał się kapitan.

- Żadnego, panie. Nasze siły zgromadzone były wokół bramy. Wyłom znajduje się jakiś kilometr na zachód od niej. Jednak straty wśród Gwardii Rynn... Podejrzewam, że idą w setki. W tej dzielnicy jest prawie milion mieszkańców, panie. Robimy, co możemy, ale jest nas zbyt mało. To miejsce wkrótce będzie przypominać kostnicę! Alvez skierował już swe kroki w kierunku wschodniej bramy strefy fabrycznej.

- Trzymajcie się, Thanatorze - rozkazał. - Przysięgam, że otrzymasz posiłki. Właśnie wysłałam do ciebie Predatory i Vindicatory.

Kapitan wydłużył kroku i przyspieszył. Ściany budynków i latarnie uliczne trzęsły się przy każdym jego kroku. W drodze skontaktował się z drużyną Anto, która dołączyła do niego z bolterami gotowymi do boju.

Ponura myśl przyszła mu do głowy i nie chciała go opuścić.

To był wybieg! Nie mogło być inaczej. Orki zaczęły używać swoich statków jak taranów. Co, na świętą Terę, wyprawiały oddziały przeciwlotnicze Gwardii Rynn? Czyżby jego Pięści odbiły Zona 6 Industria tylko po to, by utracić Zona 4 Commercia?

Jeśli orki będą dalej tak sobie poczynać - a wiedział, że tak będzie - jak długo będą w stanie bronić Nowy Rynn?

## 9

### Wschodnie stepy

#### Prowincja Hellestro

Niewielu zwykłych ludzi zdawało sobie sprawę z tego, jak wiele informacji krążyło wokół nich. Powietrze, którym oddychali, było ich pełne, lecz ich nosy nie były do nich dostrojone, jak u psowatych albo u milionów innych stworzeń.

Kosmiczni Marines byli inni. W ciele każdego z ocalałych braci Kantora umieszczono organ nazywany neurogłośnią lub Pożeraczem, który wyhodowano z geno-ziaren innych Astartes, a następnie wszczepiono im podczas bolesnych zabiegów, które miały na zawsze odróżnić ich od zwykłych ludzi. Podstawową funkcją neurogłośni była natychmiastowa analiza substancji przy użyciu zmysłu smaku. Umożliwiało to szybkie wykrycie toksyn. W związkach organicznych możliwe było wykrycie wartości odżywczych, zaś pojedyncza molekula na wietrze pozwalała wykryć ukrytego wroga lub wskazać kierunek, w którym się udał. Cortez i jego oddział znów pełnili rolę przedniej straży, dlatego wysforowali się kilometr przed resztę grupy.

Kapitan wziął wdech i poczuł w powietrzu zapach śmierci. Noc zapadła trzy godziny temu. Mistrz Zakonu nakazał zwiększenie tempa. Miał nadzieję pokonać po ciemku jak największą odległość. Gdyby się ociągali, światło dnia mogłoby ich zastać na otwartym terenie, gdzie promienie słoneczne odbijałyby się od ich pancerzy i broni. Załogi powietrzne orków mogłyby wypatrzeć ich z daleka.

Musieli wykorzystać noc na swoją korzyść. Kantor prowadził ich na północny-zachód do miejsca, gdzie kończyły się wschodnie stepy a zaczynał Azcalan, ogromny las deszczowy kontynentu soroccańskiego.

Gdy Szkarłatne Pięści znajdą się pod osłoną drzew, dzień i noc przestaną mieć znaczenie. Marines będą w stanie podróżować bez odpoczynku i dotrzeć do stolicy znacznie wcześniej. Teraz jednak myśli Corteza całkowicie zaprzętał znajomy zapach.

Każdy kolejny wdech mówił mu o rozlanej krwi i mokrych wnętrznościach wystawionych na działanie powietrza. Były też inne zapachy. Najsilniejszym z nich było łajno, ani ludzkie, ani orcze.

Krowy - pomyślał. Bydło. To ich zapach czuję.

Najbliższy księżyc planety, Dantienne, stał niemal w pełni. Jego skalista powierzchnia zawierała domieszki kobaltu, przez co odbite światło miało wyraźnie błękitny odcień. Dla Corteza i pozostałych Pięści wszystko miało zielonkawą barwę. Wizjery w ich hełmach zostały ustawione w trybie noktowizji, dodatkowo rozjaśniając mrok.

Maszerując na czele swojej drużyny, Cortez dostrzegł ciemne kształty zalegające na trawiastej równinie. Przypominały bezkształtne czarne plamy. Zbliżywszy się do nich wraz z pozostałymi braćmi, czuł, że zapach staje się coraz silniejszy.

Cortez nawiązał połączenie z Mistrzem Zakonu.

- Orki były tu niedawno.
- Zaszlachtowały bydło - odparł Kantor, uprzedzając następne słowa Corteza.
- Czuję krew.

Cortez podbiegł do najbliższych zwłok. Światło Dantienne połyskiwało na kupie skłębionych, mokrych wnętrzności, które wylały się z rany w podbrzuszu.

Ciekawe, dlaczego nie zabrali mięsa? - zastanawiał się.

Jeśli istniało jakieś słowo, którym można byłoby określić orki, z pewnością nie była to rozrzutność. Te stwory zbierały wszystko. Ale nie w tym wypadku.

W następnej chwili zobaczył głębokie ślady w ziemi i to mu wystarczyło za odpowiedź.

- Motocykle - powiedział Mistrzowi Zakonu przez komunikator. - Widzę ślady opon. To robota orczych łupieżców.

- Możliwe - przytaknął Kantor. - Nie zatrzymywaliby się, żeby ogołocić padlinę. Musieli jedynie tędy przejeżdżać, mordując wszystko, co stanęło im na drodze, a ciała zostawili dla podążających za nimi zbieraczy.

Cortez znalazł też inne ślady.

- Wygląda na to, że odjechali w tym samym kierunku, w którym my zmierzamy. Mężczyzna ponownie wciągnął powietrze nosem. Wiaterek z północnego-zachodu niósł ze sobą wyraźny fetor orków. Nawet najbrudniejsi, trawieni chorobami żebracy nie byli w stanie dorównać smrodem xenos. Cortez wychwycił również inne zapachy. Jednym z nich było promethium. Płynne paliwo. Był w stanie stwierdzić, że nie pochodziło z miejscowych źródeł. Było w nim znacznie więcej węgla niż w rafinowanych paliwach używanych przez Imperium.

Po chwili wiatr zmienił kierunek i zaczął wiać nie z północnego-zachodu, lecz z północy, gdzie łagodne wypiętrzenie terenu ograniczało widok na okolice.

Ten zapach sprawił, że na chwilę zamarł.

- Ludzka krew - powiedział Kantorowi przez komunikator. - Świeża. Dochodzi z drugiej strony wzniesienia na północ od mojej pozycji.

- W okolicy jest tylko jedna, niewielka osada. Wspólnota rolnicza Zar-Meneda. Słyszysz cokolwiek?

Cortez nadstawił uszu, ale noc była cicha. Jeśli nawet było coś słychać, to pagórek blokował dźwięki.

- Muszę przejść na drugą stronę wzniesienia.

- Dobrze - powiedział Kantor. - Trzymaj się protokołów zwiadowczych, bracie. Zrozumiano? Informuj mnie o wszystkim.

Pozostali podążą za tobą, gdy tylko znajdziesz dogodny punkt obserwacyjny.

- Zrozumiano - odparł Cortez. - Ruszam.

Działania terenowe z zupełnie nowym oddziałem nigdy nie szły idealnie. Cortez starał się nie myśleć o braciach, których stracił. Czy naprawdę minęło zaledwie kilka tygodni od kiedy spoglądał na nich z nawy rekluzjum, czując jak rozpięra go duma? Czy Silesi naprawdę nie żył? Czyżby już nigdy nie miał usłyszeć ostrego śmiechu Iamada? On jako jedyny członek czwartej kompanii przetrwał. Dlaczego zawsze był ostatni? To samo wydarzyło się na Kalaphax, a potem znów na Gamma VI Monserrat, gdzie całe oddziały ginęły i tylko Alessio Cortez wracał z pola bitwy

- osamotniony, ranny i zmęczony, ale jakimś cudem żywy.

Teraz Kantor przydzielił mu cztery nowe twarze. Nowe przynajmniej dla Corteza. Oczywiście widział je już wcześniej. W tym sensie nie były nowe. W bractwie liczącym niecały tysiąc wojowników nie było nieznanym. Mimo że bracia z poszczególnych kompanii trzymali się głównie swego towarzystwa, nie dało się uniknąć pewnej dozy interakcji pomiędzy kompaniami. Wręcz ich do tego zachęcano. Dwaj członkowie nowej drużyny Corteza - bracia Rapala i Benizar - należeli do siódmej kompanii Caldimusa Ortiza, choć służyli w różnych oddziałach. Cortez pamiętał ich z zimowych ćwiczeń polowych, które on i Ortiz odbyli jakieś dwanaście lat temu w górach na północ od Arx Tyrannus. Rapala i Benizar spisywali się bardzo solidnie. Ich wyniki nie były oszałamiające, ale byli godni zaufania i bardzo wszechstronni.

Pozostali dwaj bracia bitewni pod dowództwem Corteza byli mu mniej znani. Jednym z nich był brat Fenestra, cichy, szczupły mężczyzna z Blackwater, który służył w piątej kompanii Seliga Torresa. Miał zimne, ciemne oczy, którymi wydawał się prawie nie mrugać. Cortez odnosił wrażenie, że Fenestra nie przepadał za nim, chociaż ich ścieżki nie skrzyżowały się nigdy wcześniej. Nie miało to znaczenia. Cortez nie potrzebował, żeby ludzie go lubili, tylko żeby robili co mówi lub wykazywali się odrobiną inicjatywy, gdy przyszło im działać w pojedynkę. Ostatni z nich był najmłodszy. Brat Delgahn służył w zakonie zaledwie od osiemnastu lat. Z dziesiątej kompanii do ósmej kompanii przeniesiono go zaledwie dekadę temu. Podobnie jak Fenestra, mężczyzna wydawał się nieufny względem Corteza. Nigdy nie odzywał się nieproszony i zawsze trzymał się nieco na uboczu.

- Nie wychylajcie się - powiedział im Cortez przez komunikator, prowadząc ich pod górkę. Nie musiał szeptać w obawie o wykrycie. Zewnętrzny wokalizator w jego hełmie był wyłączony, co oznaczało, że żaden dźwięk nie przedostawał się za ceramitową płytę twarzową, mimo że jego głos był czysty i mocny.

Skradanie się w pełnym pancerzu było równie trudne co zachowanie ciszy. Nawet w przypadku naoliwionego i zadbanego pancerza, ceramitowe płyty często zgrzytały i postukiwały o siebie nawzajem. Dodatkowo towarzyszyło temu niemal ciągle buczenie atomowego źródła energii. Spędziwszy kilka wieków w pancerzu wspomaganym, łatwo było o nim zapomnieć, lecz ono nieustannie tam było, stale obecne. I należało o tym pamiętać, by zupełnie się nie zdradzić.

Cortez i jego drużyna dotarli na grzbiet wzniesienia w ciągu kilku sekund i wyrzeli ponad jego krawędzią. Przed nimi rozpościerał się okryty całunem nocy teren, który przypominał obszerny zlepek pól uprawnych i pastwisk. W świetle dnia każde z nich miałoby inny odcień zieleni lub żółci, w zależności od tego, jakie zboża lub trawy na nich rosły. Teraz jednak, oglądane przez wizjery hełmów Astartes, miały jedynie różne odcienie błotnistej zieleni. Poszczególne części oddzielały siatki z drutu i kamienne murki. Pomiędzy nimi biegły dwie gruntowe drogi, z zachodu i z północnego-wschodu, które prowadziły do skupiska budynków oddalonych od ich pozycji o jakieś osiemset metrów.

To musiała być wspólnota rolnicza Zar-Meneda. Na samym jej środku, skryty przed wzrokiem Corteza przez rząd metalowych silosów na zboże, płonął olbrzymi stos,

rzucając pomarańczowe cienie na podziurawione kulami ściany. Musiało tam dojść do walki. Może nawet nie walki, lecz rzezi. Jaki opór mogli stawić farmerzy wraz ze swymi rodzinami bezwzględny, krwiożerczym najeźdźcom, którzy zmasakrowali ich bydło? Smród zielonoskórych stał się ostrzejszy i wyraźniejszy. Podobnie zresztą jak zapach ludzkiej krwi. Cortez wychwycił również odgłosy dochodzące od strony wspólnoty. Jego podstawowe serce przyspieszyło. Wciąż tu są - pomyślał z uśmiechem. Jego palce odruchowo powędrowały do uchwytu pistoletu boltowego.

Było ich trzydziestu. Wszyscy byli zieloni i przysadziści. Żaden z nich z pewnością nie ważył mniej niż dwieście kilogramów. Cortez zaklął pod nosem. Z jednej strony cieszył się, że nie wystawili żadnych straży. Z drugiej strony, widać było ich arogancję. Czyżby przeświadczenie o tym, że już wygrali tę wojnę, tak mocno uspiło ich czujność?

Miał zamiar wkrótce uświadomić ich, jak bardzo się mylili.

Jego drużyna trzymała się z tyłu, skryta w cieniu dwóch ośmiokątnych silosów na zboże. Światło olbrzymiego ogniska orków nie sięgało aż tak daleko. Był to doskonały punkt obserwacyjny.

Cortez lustrował okolicę, wyglądając z cienia. Po drugiej stronie ogniska dostrzegł szereg szpetnych pojazdów, które z trudem można było określić mianem motocykli i łażników. Ich silniki były zgaszone. Wszystkie pomalowano na czerwono. Wyraźnie widział to w świetle ognia. Pojazdy były lekko opancerzone i uzbrojone w ciężkie karabiny maszynowe. Z elementów pancerza sterczały groźnie wyglądające metalowe kolce i ostrza.

Cortez widział już tego rodzaju maszyny w akcji podczas działań wojennych na innych światach. Doskonale wiedział, jak bardzo orczy motocykliści uwielbiali ścigać swoje ofiary i rozszarpywać je na strzępy, używając pojazdów w roli taranów. Pomimo ich wyglądu, maszyny orków potrafiły być bardzo szybkie. Sama piechota nie wystarczyła, żeby dać odpór ich taktyce błyskawicznych natarć. Było niezwykle istotne, by zielonoskórzy nie mogli dosiąść swoich motocykli dopóki nie wyrzną ich wszystkich.

Po pracownikach farmy nie było śladu. Cortez przybliżył obraz czarnego kształtu, który ujrzał w ogniu i zmarszczył brwi. Wyraźnie była to ludzka stopa. Ile osób zginęło przez orki w tych płomieniach?

Rozległ się krzyk, po którym Cortez obrócił głowę w lewo. Wyglądało na to, że orki jeszcze nie skończyły się bawić. Krzyk wyrwał się z gardła około trzydziestoletniej kobiety, która leżała na ziemi. Otaczała ją gromadka pięciu dzieci w różnym wieku, które kobieta mocno tuliła do siebie.

- Nie patrzcie, dzieci! Nie patrzcie! - krzyknęła do nich.

Po chwili Cortez zobaczył, dlaczego. Zza stosu wyłonił się mężczyzna idący tyłem w kierunku kobiety i dzieci. Jego ramiona drżały pod ciężarem orczego ostrza, które ewidentnie było dla niego zbyt duże. Ślady łez na jego policzkach odbijały blask ogniska.

Było jasne, że przed czymś ucieka i po chwili to coś również pojawiło się w polu

widzenia.

Herszt orków był zwalistym olbrzymem o żółtych włosach, odzianym w długą kurtkę bez rękawów, którą wykonano z grubej skóry jakiegoś łuskowatego jaszczura. Stwór miał na głowie hełm z dwoma prostymi rogami, z których każdy miał przynajmniej metr długości. W nosie nosił ciężki kolczyk ze złota, zaś przy pasie wisiały mu cztery ludzkie czaszki, które wydawały się wyjątkowo małe w porównaniu z jego szerokimi jak kłody udami.

Herszt kroczył powoli wokół ognia za przerażonym mężczyzną. Był niezbrojony, ale nie miało to znaczenia. Chociaż farmer ścisnął w rękach ostrze, nie miał żadnych szans. Dla orków to była jedynie gierka, okrutna zabawa, która mogła zakończyć się tylko w jeden sposób.

Pozostałe orki siedziały na ziemi i patrzyły, pokrzykując i zanosząc się zwierzęcym śmiechem, jak ich herszt gnębi ocalałych ludzi. Podobnie jak przywódca, wszystkie nosiły złote kolczyki w nosach. Ich kamizele wykonano z takiej samej skóry jaszczura, która nie pochodziła ze Świata Rynn. Tego Cortez był pewien.

Teraz kobieta zwróciła się bezpośrednio do mężczyzny.

- Uciekaj, Aldren - błagała. - Zostaw nas i uciekaj!

Jeśli nawet mężczyzna, Aldren, usłyszał ją, to nie dał tego po sobie znać. Spojrzenie szeroko otwartych oczu utkwiał w potworze, który stale zmniejszał dystans między nimi. Mężczyzna uniósł ostrze najwyżej jak mógł, stękając z wysiłku. Herszt orków zatrzymał się na chwilę i obrzucił go spojrzeniem czerwonych oczu, które połyskiwały ponurym rozbawieniem. W następnej chwili postąpił kolejny krok w przód.

Aldren zrobił wypad, opuszczając orczy ostrze tak mocno i szybko jak tylko mógł, ale było to żałośnie słabe uderzenie. Herszt zielonoskórych odtrącił broń na bok, wytrącając ją mężczyźnie z rąk.

- Wkraczamy do akcji - powiedział Cortez do swojej drużyny. - Szykujcie broń.

- Myślałem, że mieliśmy przestrzegać protokołów zwiadowczych, mój panie - rzekł niepewnie brat Fenestra.

- Mieliśmy. Teraz wprowadzam protokół bojowy. Wyłączcie wszystkie kanały poza tym i zaszyfrujcie je za pomocą klucza alfa-trzy. Mój głos jest jedynym, który musicie słyszeć, dopóki nie uznam, że jest inaczej.

Wyczuwał ich wahanie. Wiedzieli, co zamierzał. Odcinając komunikację z Mistrzem Zakonu, Cortez uniemożliwił Pedro Kantorowi wydawanie rozkazów. Rozkazów, które niemal na pewno kazałyby im się wycofać, podczas gdy jego dusza łaknęła słusznej zemsty. Brak łączności oznaczał, że Cortez mógł uniknąć oskarżeń o niesubordynację. Był to wybieg, który stosował w przeszłości i to dość często.

- Słyszeliście mnie? - warknął na swoich podkomendnych. - Powiedziałem alfa-trzy. Wykonać.

Jego Astartes zrobili, jak kazał. Wiedział, że to zrobią. Koniec końców, nazywał się Alessio Cortez. Pomimo wszystkiego, co zaszło, jego legenda wciąż była żywa wśród członków zakonu. Czasami sława i reputacja okazywały się przydatne.

Gdy Astartes potwierdzili zaszyfrowanie połączeń, kapitan wyjaśnił im swój plan.

Chwilę później ruszyli dwójkami — Benizar i Delgahn w lewo, a Rapala i Fenestra w prawo.

Cortez niewiele mógł zrobić dopóki nie znajdą się na pozycjach. Nie miało to trwać długo. Wspólnota była niewielka, zaś głębokie cienie rzucane przez blask płomieni odbijający się od budynków i silosów oferowały doskonałą osłonę.

Cortez ponownie skupił się na losie Aldrena, kobiety i jej dzieci.

Herszt orków wyciągnął prawą rękę, chwycił Aldrena za głowę i uniósł go do góry. Mężczyzna zawisł w powietrzu, młóćąc nogami i bezcelowo starając się trafić rękami w przedramię orka. Herszt orków obrócił się w stronę ognia i zaczął iść. Z jego gardła wydobył się gardłowy, głęboki śmiech.

Krzyki kobiety znów przybrały na sile.

- Na Tron, nie! - zawyła. - Aldren!

Do swoich dzieci krzyknęła:

- Zamknijcie oczy, dzieci. Zamknijcie oczy i nie słuchajcie!

Cortez mocniej zacisnął dłoń na uchwycie pistoletu boltowego. Palce jego rękawicy energetycznej na przemian zginały się i prostowały. Byłyby w stanie kruszyć stal.

- Do diabła - mruknął. - Pospieszcie się.

Wiedział jednak, że jego Marines nie zdążą uratować Aldrena, natomiast gdyby on sam zdradził się zbyt wcześnie, naraziłby na szwank cały plan. Nie było nic, co mógłby zrobić.

Herszt dotarł do granicy stosu i ryknął coś do swoich pobratymców. Cortez zmarszczył nos na dźwięk języka orków. Był równie paskudny co sami zielonoskórzy. Cokolwiek powiedział, wywołało to nową falę krzyków i śmiechów, co najwyraźniej ucieszyło herszta. Stwór wyciągnął ramię i przytrzymał Aldrena nad ogniskiem.

Żółte płomienie chciwie liznęły jego nogi.

Powietrze wypełniły przyprawiające o ciarki, piskliwe krzyki agonii.

- Gdzie jesteście? - spytał Cortez swoje Pięści, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

- Dlaczego nie jesteście na pozycjach?

Odpowiedział mu brat Benizar.

- Jesteśmy przy pojazdach, panie. Właśnie przecinamy prze wody paliwowe.

- Szybciej - warknął w odpowiedzi Cortez.

Skóra Aldrena pokryła się pęcherzami. Mężczyzna szamotał się i krzyczał ile sił, ale był bezbronny wobec siły herszta orków. Wkrótce jego ciało poczerniało, a płomienie wspięły się wyżej, sięgając klatki piersiowej.

Orki najwyraźniej dobrze się bawiły. Kobieta odwróciła wzrok. Głowy swoich dzieci przytrzymywała skierowane w dół, by nie patrzyły na ostatnie, męczeńskie chwile ojca.

- Zrobione - oznajmił Benizar przez komunikator. - Te motocykle już nigdzie nie pojedą.

- Natychmiast zajmijcie pozycje strzeleckie! - szczechnął Cortez. - Już czas.

Wypowiedziawszy te słowa, wyłonił się z cienia silosu i wyszedł na otwartą przestrzeń. Uniósł pistolet boltowy, odbezpieczył broń i oparł ją na grzbiecie rękawicy energetycznej, zupełnie jakby brał udział w jakimś turnieju strzeleckim. Skierował muszkę w stronę głowy herszta orków, celując w jego przerośniętą czaszkę. Pozostałe orki wciąż go nie zauważyły. Były zbyt zaaferowane torturami człowieka. Cortez wziął głęboki wdech. Jedną myślą aktywował wokalizator w

hełmie. Jego głos zagrział niczym grom, kompletnie zagłuszając krzyki Aldrena.  
- Ty! Obca szumowino!

Na moment wszystkie orki zamarły, po czym, jak jeden mąż, trzydzieści szpetnych, czerwonoookich pysków zwróciło się w jego stronę.

Cortez wystrzelił jeden pocisk.

Nabój trafił herszta orko w w gardło, po czym wybuchł, strącając mu z karku głowę w hełmie. W powietrze trysnęła krew tak gęsta, że aż niemal czarna.

Stwór upuścił Aldrena prosto w płomienie. Nie miało to znaczenia. Aldren już nie żył. Ból zabił go jeszcze zanim ogień sięgnął do pasa.

Bezgłowe truchło herszta runęło na ziemię niczym ścięte drzewo. W chwili, gdy uderzyło o podłoże, pozostałe orki skoczyły na równe nogi, porywając broń. Cortez skierował lufę pistoletu w lewo, mierząc do orków stojących najbliżej kobiety i jej dzieci. Umieścił trzy pociski w czołach kolejnych trzech xenos. Następne trupy padły na ziemię.

- Marines! - ryknął. - Do boju!

Z dwóch stron rozbrzmiały wystrzały bolterów. Brat Delgahn podpalił rzekę paliwa, która wyciekła z motocykli i łazików orków. Ściana ognia wystrzeliła w górę, więząc orki dokładnie tam, gdzie Cortez chciał. Nie zamierzał pozwolić, by którykolwiek z nich przetrwał tę noc.

Kantor z pewnością usłyszał wystrzały, gdy tylko się zaczęło. Z pewnością ujrzał też łunę ognia. Jeśli próbował wywołać Corteza przez komunikator, to bez wątpienia wiedział już, że kapitan odciął całą łączność. Wiązały się z tym konsekwencje, ale Cortez mógł z tym żyć. W tej chwili liczyła się jedynie krew i furia.

Ziemię ściliły truchła orków. Nienawiści stało się zadość.

- Zdejmij hełm, Alessio - powiedział Kantor. Jego głos był twardy jak stal i zimny niczym morza polarne.

On i Cortez stali nieco na uboczu, pod wschodnią ścianą jednego z bloków wspólnoty rolniczej gdzie przetwarzano mięso raumasów. Wszędzie wokół leżeli martwi xenos. Pozostałe Szkarłatne Pięści krążyły pośród ciał z ponurym zadaniem sprawdzenia, czy żaden z przeciwników nie był jedynie ranny. Najszybszym sposobem na upewnienie się, że obcy nie wstaną, było zmiażdżenie ich czaszek pod podeszwami pancernych butów. Mimo to czerepy orków były nadzwyczaj twarde. Nawet Astartes w pełnych pancerzach musieli się postarać, żeby strzaskać grubą kość .

Cortez uniósł prawą rękę do zatrząsków i przewodów umieszczonych na szyi i wykonał rozkaz swego pana. Uniósł hełm nad głowę, po czym oparł go na lewym przedramieniu.

Kantor wbił w niego płomiennie spojrzenie.

Już kiedyś o tym rozmawialiśmy - powiedział Mistrz Zakonu. - Rozmawialiśmy o tym, niedługo po tym jak wydaliśmy wyrok na Janusa Kennona.

Cortez skinął głową.

- Byłem wtedy z tobą szczerzy. Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Naprawdę sądziłeś, że będę w stanie tłumić swą wściekłość aż dotrzemy do stolicy?

- Miałem nadzieję, że uszanujesz zwyczaje zakonu, kapitanie. Miałem nadzieję, że uszanujesz mnie. Nawet jeśli niejako Mistrza Zakonu, to jako twojego przyjaciela i



brata.

- Oczywiście, ja...

- Milcz, do diabła! Wysłuchaj mnie. Nie mogę pozwolić ci na taką swobodę. Obaj wiemy, jak wielu braci bitewnych bierze z ciebie przykład. Czy oni również powinni okazywać brak szacunku dla moich rozkazów, jak ty? Jestem twoim panem i dowódcą. Myślisz, że nasze straty na Arx Tyrannus cokolwiek zmieniają? Nie zmieniają nic. Wciąż to ja dowodzę zakonem. Do mnie należy władza. Ty, ja, my wszyscy... będziemy żyć i umierać przez decyzje, które ja podejmę, a ty, Alessio, w imię Dorna, masz się im podporządkować. Znaj swoje miejsce. Bądź Kosmicznym Marine, którego potrzebuję, w przeciwnym razie przysięgam ci, że nasze relacje zmienią się raz na zawsze.

Cortez nie chciał tego. Zawsze uważał ich przyjaźń za jedyną stałą rzecz w niepewnym wszechświecie.

Ile razy ratowali sobie nawzajem życie? Ile razy podczas pierwszych dwóch wieków służby stali plecami do siebie, osłaniając się wzajemnie, podczas gdy wrogowie atakowali ich ze wszystkich stron? Cortez tęsknił za tymi prostszymi czasami. Jakaś jego część zazdrościła niższym rangą braciom bitewnym. Dowodzenie było wielkim zaszczytem, lecz również brzemieniem, które zupełnie ich odmieniło. On i Kantor przestali być równymi sobie. W istocie trwało to już ponad wiek, ale Cortez nigdy nie odczuwał dzielącej ich przepaści tak mocno jak teraz. Oczywiście nie czuł wyrzutów sumienia, że zaszlachtował tych zielonoskórych, teraz jednak musiał zapłacić za to właściwą cenę.

- Dziś przedłożyłem zemstę nad moją powinnością względem ciebie - powiedział.

- Rozgniewałem cię i za to przepraszam, bracie. Zaakceptuję każdą formę kary, którą uznasz za słuszną. Nie żałuję jednak zabicia tych xenos. Trwam przy swoim postanowieniu. - Wskazał najbliższe z ciężkich, zielonych zwłok. - Te kanalie musiały umrzeć. Dusze poległych tego potrzebowały. Kantor przypatrywał mu się przez chwilę w milczeniu, po czym rzekł:

- Potrzeby żywych są ważniejsze niż potrzeby zmarłych. Poprowadziłeś cztery Szkarłatne Pięści do walki, której mogliśmy uniknąć. Uruchamiam Protokół Ceres. Jest nas za mało, byśmy mogli ryzykować utratę kolejnych braci dla zaspokojenia twojej przeklętej furii. Kapelani wyznaczą ci pokutę, gdy już dotrzemy do stolicy. Być może pozwolą ci zrozumieć twój błąd, bo wygląda na to, że ja tego nie potrafię. Odwrócił się do Corteza plecami.

Pozostałe Pięści, upewniwszy się, że wszystkie orki nie żyją, zaczęły nosić ciężkie ciała obcych na stos, gdzie wrzucały je w trzaskające płomienie. Palenie ciał zielonoskórych było powszechną praktyką po walce i należało to robić szybko. Orki mnożyły się poprzez rozsiewanie zarodników. W ciągu kilku godzin powietrze byłoby ich pełne, a małe kapsuły komórkowe uniosłyby się na wietrze.

Większość nie znalazłaby podatnego gruntu, ale jakiś odsetek trafiłby do ciemnych, wilgotnych miejsc, gdzie mogłyby zapuścić korzenie. Z ziemi wyrosłyby grzybnie, wewnątrz których zaczęłyby rozwijać się nowe formy życia, gotowe wyrznąć sobie krwawą ścieżkę przez galaktykę.

Kobieta wraz z piątką stłoczonych wokół niej dzieci stała oparta o gipsową ścianę jednego z bloków farmy. Ich twarze wciąż były zapłakane, niezdolne wyrwać się z

okowów strachu i niepewne dalszej przyszłości. Żadne z nich nie oglądało palenia wrogów. Tej nocy widzieli już dostatecznie dużo płonących ciał.

- Za trzy godziny będzie świtać - oznajmił Kantor. - Miałem nadzieję, że do tego czasu będziemy już znacznie bliżej Azcalanu. Powiedz pozostałym, że wyruszamy, gdy tylko ostatnie ciała zostaną spalone. Po tych słowach opuścił Corteza i ruszył w kierunku kobiety oraz jej dzieci.

Cortez odprowadził go wzrokiem.

Gdy martwe orki płonęły w ogniu, pozostała już tylko jedna kwestia.

- Imię kobiety - rzekł brat Galica, gdy Mistrz Zakonu przystanął obok niego - brzmi Jilenne.

- Jilenne - powtórzył Kantor ze skinieniem głowy. - Dziękuję, bracie. Szykuj się do wymarszu.

Galica zasalutował, po czym obrócił się i odszedł w kierunku swojej drużyny, która przeprowadzała właśnie szybką inspekcję pancerzy i broni. Kantor spojrzął z góry na skulonych, zbitych w jedną gromadę cywili. Galica dał manierkę z wodą kobiecie, która teraz próbowała namówić swoje roztrzęsione dzieci do tego, by wzięły chociaż mały łyk.

Wyglądali żałośnie. Żadne dziecko nie powinno oglądać takich rzeczy. Żaden rynnicki cywil nie powinien być przez to przechodzielem. Obrona ludzkości była obowiązkiem Szkarłatnych Pięści. Jak oceniała go ta kobieta? Zawiódł ją. Jej mąż został spalony żywcem na jej oczach. Dzieci tego człowieka słyszały jego krzyki. Kantorowi wydawało się niemożliwe, że to wszystko działo się naprawdę. Wojna dotarła również na ten świat, chociaż ich obecność powinna była temu zapobiec. Czy wpłynęły na to jego własne decyzje?

Kobieta wydawała się mała i krucha, a mimo to obejmowała swoje dzieci tak, jakby mogła oszczędzić im dalszych cierpień dzięki swojej wątłej sile. Nie patrzyła na niego, ale mógł jedynie zgadywać, czy był to wynik szacunku czy strachu. Czy to możliwe, że bała się Astartes równie mocno jak orków?

Przez rozmowę z Cortezem zdjął hełm i celowo nie założył go z powrotem w nadziei, że kobieta będzie przez to spokojniejsza, gdy zaczną rozmawiać. Teraz jednak nie był już pewien, czy robiło to jakąkolwiek różnicę.

Świadomie łagodząc ton, powiedział:

- Czy tobie lub któremuś z twoich dzieci stała się jakaś krzywda?

Naraz zdał sobie sprawę z tego, jak głupie było to pytanie. Oczywiście, że stała im się krzywda, choć może nie fizyczna. W ich oczach wszechświat na zawsze zmienił swoje oblicze. Noc nie będzie już dla nich czasem spokojnego snu. Wizje zielonych potworów będą ich dręczyć, aż do końca ich dni. Imperialne zapiski mówiły same za siebie. Wielu z tych, którzy napotkali obce rasy, popadali w obłęd. Nie wierzyli, że są bezpieczni w galaktyce, która zrodziła takie maskary. Inni woleli popełnić samobójstwo aniżeli stawić czoła tej ponurej prawdzie.

- Wkrótce was opuścimy - powiedział jej. - Moi Astartes i ja mamy jeszcze długą drogę do przebycia. Czy możemy coś jeszcze zrobić zanim odejdziemy?

Kobieta wyszeptała coś do dzieci, po czym powoli, z wahaniem, wypuściła je z uścisku.

Kantor czekał.

Gdy dzieci się cofnęły, kobieta podpełzła na czworakach i przycisnęła czoło do prawego buta Kantora, cicho szlochając.

- Ocaliłeś nas, panie. Na Złoty Tron, na światłość Boga-Imperatora, ocaliłeś nas. Błagam cię, na Świętą Terę, nie opuszczaj nas teraz. Te stworzenia wrócą, prawda? To nie ja was uratowałem - pomyślał Kantor. To Alessio.

Miała rację w kwestii orków. Przyjdą następne. Całe watahy. Było to pewne jak wschód słońca. Gangi motocyklowe orków z reguły jechały na czele znacznie większych sił. Gdy te dotrą już na miejsce, nie będzie miał, kto uratować tych ludzi po raz drugi. Kobieta i jej dzieci staną się przelotną rozrywką dla zielonoskórych, po czym zostaną zaszlachtowani jak zwierzęta, które niegdyś hodowali.

Jeśli weźmiemy odpowiedzialność za tych ludzi, dokąd nas to zaprowadzi?

- pomyślał gorzko Kantor. Mamy ratować każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, które spotkamy po drodze? Będą nas tylko spowalniać, podczas gdy musimy poruszać się jak najszybciej.

Przez jakiś czas mocował się z ludzką częścią swojej natury, starając się odgradzić ją murem racjonalności. Musiał zdusić w sobie współczucie. W obecnej chwili na nic mu się ono nie przyda.

Zakon musi przetrwać - powtarzał sobie jak mantrę. Zakon musi przetrwać. Nic innego nie ma znaczenia. Dobre intencje będą naszą zgubą. Doprowadzą do naszego zniszczenia. Gdyby tak się stało, moglibyśmy równie dobrze zginąć wraz z pozostałymi w eksplozji pocisku.

Choć nie przyszło mu to łatwo, zrobił krok w tył i wysunął but spod głowy kobiety. Dopiero teraz odważyła się wielkimi, brązowymi i mokrymi od łez oczami poszukać jego spojrzenia.

- Błagam, panie! - zaszlochała. - Bez was nie ma dla nas nadziei.

W istocie, nie ma dla nas nadziei - pomyślał Kantor. - To samo mógłbym powiedzieć o sobie i moich braciach. Jaką szansę ma nasza szesnastka przeciwko Waaagh?

Odwrócił się do niej plecami, po czym kazał swoim ludziom szykować się do wymarszu. Następnie ruszył w stronę stosu, gdzie trzy drużyny kończyły właśnie przegląd uzbrojenia. Za plecami słyszał płacz kobiety, który nie dawał spokoju jego sumieniu.

Usłyszał swój wewnętrzny głos: Odwróć się plecami do potrzebujących, a stracisz wszystko, czym jesteś. Mistrz Visidar wypowiedział te słowa zaledwie dekadę przed swoją śmiercią.

Kantor zaklął, wiedząc, że miał wtedy rację.

Gdy oddalił się na odległość dziesięciu metrów od Jilenne, odwrócił głowę i spojrzał przez ramię. Poczul, że mówi coś, ale słowa brzmiały mu w uszach zupełnie obco.

Wydawały się przechodzić przez jego usta automatycznie.

- Nie będę powstrzymywał was przed podążaniem za nami - powiedział. - Ale nie będziecie w stanie za nami nadażyć. Przynajmniej przez dłuższy czas. Jednak dopóki będziecie z nami, żaden zielonoskóry nie skrzywdzi ciebie, ani twoich dzieci.

Gdy skierował spojrzenie przed siebie, dodał na koniec:

- Tylko tyle mogę dla was zrobić.

Jilenne to wystarczyło. Tembr jej szlochu zmienił się ze strachu i żalu we wdzięczność.

Kantor usłyszał, że ponagła swoje dzieci, by wstały i zebrały się wokół niej, podczas gdy ona sama podążyła w krok za Mistrzem Zakonu. Mężczyzna dalej kroczył w stronę ognia, nie zwalniając kroku, ale też nie przyspieszając.

Mimo to, gdy on i jego Szkarłatne Pięści opuszczali osadę rolniczą ciągnąc za sobą gromadkę uchodźców, Kantor nie był w stanie pozbyć się złych przeczuc.

Przekroczył pewną linię. Kobieta wkrótce zrozumie, że dał jej fałszywą nadzieję.

Ona i jej dzieci wkrótce się zmęczą. Astartes wysforują się do przodu aż w końcu całkowicie znikną im z pola widzenia.

Co wtedy kobieta pomyśli sobie o swoich wybawicielach?

Co wtedy pomyśli o sobie on sam?

Na wschodzie niebo zmieniło barwę z granatu na fiolet, a wkrótce potem na czerwień. Góry Diabelskiego Ostrza przypominały czarne zęby na tle pełgającego świtu. Niewielkie, różowe chmurki sunęły nad ich głowami gnane zachodnim wiatrem, choć zmiana pór roku oznaczała, że znikną jeszcze przed nastaniem południa.

Kiedy Cortez i pozostali ocalali wyruszali w podróż z fortecy-klasztoru do stolicy, las deszczowy Azcalan był jedynie ciemną kreską na północno-zachodnim horyzoncie. Teraz zbliżali się do jego południowo-wschodniego krańca. Tutejsza okolica była znacznie zieleńsza. Ze wszystkich stron otaczały ich strączyńce i osty. Kolczaste drzewa cyklakorowe rosły w grupach po dwa lub trzy, wyciągając swoje krwistoczerwone korony w stronę brzasku nowego dnia.

Cortez prowadził tylną straż, podążając za Kantorem i drużyną Segala w odległości pięciuset metrów, wyglądając jakichkolwiek oznak pościgu. Nocą niebo nieustannie przecinały ogniste wstęgi, które były jasnym znakiem, że orki wciąż bezkarnie posyłały swoje siły na powierzchnię planety. Wydawało się, że nic już nie jest w stanie ich powstrzymać. Bateriom obrony globalnej wyczerpał się zapas amunicji lub zostały zniszczone. Po siłach powietrznych Gwardii Rynn nie było śladu. Nawet jeśli Scar Lake zostało zdobyte, wciąż jeszcze powinien działać port kosmiczny w stolicy... O ile on również nie padł łupem wroga.

Ta myśl zmroziła Corteza. Jeśli port kosmiczny Nowego Rynn padł, siły orków mogły bez przeszkód lądować na obrzeżach stolicy. Nie wyobrażał sobie, by Drigo Alvez mógł do tego dopuścić, ale jeśli port kosmiczny wciąż znajdował się w ich rękach, to gdzie, u licha, było wsparcie powietrzne? Gdzie podzięwały się pojazdy zwiadowcze? Alvez bez wątpienia posłałby kogoś, by sprawdzić, dlaczego stracili łączność z Arx Tyrannus.

Ciszę w eterze przerwał głos brata Fenestry.

- Wyraźnie tracą siły, kapitanie. Powinniśmy ich tu zostawić. Cortez spojrział w kierunku, z którego przyszli. Za nimi wlokły się zmęczone postacie. Kobieta i jej dzieci coraz bardziej zostawały z tyłu.

Do diabła, Pedro - pomyślał. Powinieneś był zostawić ich na farmie.

Nie był jednak bez winy. To jego czyny sprawiły, że nie dana była im szybsza śmierć. Być może Pedro popełnił błąd, pozwalając kobiecie podążać za nimi, ale to on, Cortez, sprowadził na nią to cierpienie. Być może łaskawszym byłoby pozwolić hersztowi orków zabić ją zanim się wmieszali? Wtedy mogłaby wraz z mężem

podążyć ku światłu Imperatora. Oszczędziłoby to jej udreki, przez którą teraz przechodziła.

Obserwował ją przez chwilę, jak potyka się o własne nogi, rozpaczliwie próbując nieść dwójkę najmłodszych dzieci. Pozostała trójka, w wieku od dziewięciu do trzynastu lat, wlokła się u jej boku z pochylonymi głowami i spojrzeniami wbitymi w ziemię. Nie rozmawiali ze sobą. Nie mieli na to siły. Próbuąc przez kilka godzin nadążać za Szkarłatnymi Pięściami, musieli czasami podbiegać, żeby nadrobić stracony dystans, a mimo to i tak coraz bardziej zostawali z tyłu.

Cortez był pewien, że kobieta wkrótce upadnie. Dzieci, które niosła na rękach były małe, ale podczas długiego marszu nawet niewielki ciężar zaczynał z czasem ciążyć. Było mu jej żal, ale darzył ją również ogromnym szacunkiem. Jej ramiona i barki musiały boleć, nie wspominając nawet o mięśniach nóg i pleców. A mimo to znajdowała siłę, by stawiać kolejny krok za krokiem.

Wtedy, na ułamek sekundy zanim się obrócił, zobaczył, że lewa noga załamała się pod nią i kobieta upadła na ziemię, przekręcając ciało tak, by nawet przy upadku jej maleństwu nie stała się krzywda. Wyglądało na to, że zahaczyła nogą o kępę trawy. Pozostałe dzieci przyklekły przy niej, żeby pomóc jej wstać.

Fenestra również był tego świadkiem.

- Czyli to koniec - powiedział. - Nareszcie. Będziemy mogli przyspieszyć.

Cortez nawiązał połączenie z Mistrzem Zakonu.

- Pedro, to ja. Kobieta upadła. Sądzę, że już nie wstanie. Chciałem cię tylko poinformować.

Minęła dłuższa chwila zanim Kantor odpowiedział.

- Dzielnie walczyła, żeby za nami nadążyć. Imponujące, że była w stanie wytrwać tak długo, nie sądzisz?

- To prawda - odparł Cortez po chwili. - Ale to już koniec. Nie jest w stanie dłużej dźwigać swego brzmienia. - Zrobił kolejną przerwę. - Ja... Nie powinienem był jej ratować, Pedro. Jedyne odroczyłem nieuniknione i przedłużyłem jej cierpienia.

Może powinienem...

- ...okazać jej ostateczną łaskę? - powiedział Kantor, kończąc zdanie za Corteza.

- Tak.

Nastąpiła tak długa przerwa, że tym razem Cortez myślał, że Mistrz Zakonu przerwał połączenie. Ostatecznie Kantor rzekł:

- Utrzymaj pozycję i zaczekaj na mnie, ale każ pozostałym kierować się w stronę linii drzew. Chcę, by nasze drużyny znalazły się pod ich osłoną zanim oba słońca staną się widoczne.

Cortez nie był pewien, co planuje jego przyjaciel, ale powiedział:

- Jak sobie życzysz. - Sekundę później przerwał połączenie. Przekazał rozkazy Mistrza Zakonu swoim ludziom, którzy ruszyli dalej. Fenestra wydawał się oddalać szybciej niż pozostali. Cortez odprowadził ich wzrokiem dopóki nie zniknęli mu z pola widzenia za krawędzią płytkiego wąwozu. Blisko miejsca, w którym stracił ich z oczu, wyłoniła się sylwetka Pedro Kantora, który zmierzał w jego kierunku.

Mimo iż pancerz Kantora był podrapany, nadkruszony, pogięty i przypalony w kilku miejscach, mężczyzna wciąż wyglądał niczym postać z legend. Był wszystkim, czym Mistrz Zakonu być powinien. Nad jego głową jaśniała złota aureola wstającego

świtu.

Gdy znalazł się w odległości trzech metrów od Corteza, stanął i spojrzał na wschód.  
- Słońca wkrótce wzejdą, Alessio. Do tego czasu powinniśmy znaleźć się już pod osłoną drzew. W przeciwnym wypadku będziemy ryzykować, że ktoś wypatrzy nas z powietrza.

Cortez skinął głową. Znał zwyczaje orków i wiedział, że rzadko kiedy latały nocą. Ich zmysł wzroku był słaby w porównaniu do zmysłu powonienia. Wraz z nadejściem ciemności ogarniało je coś w rodzaju apatii, przy której mogłyby wymordować się nawzajem. Nocne ataki przypuszczały jedynie przy świetle pochodni lub szperaczy, co było dość fortunate, gdyż takie źródła światła stanowiły idealne cele dla imperialnej artylerii. Gdy tylko wzejdą słońca, niebo zarozi się od głośnych, paskudnych maszyn latających. Kantor miał rację. Musieli znaleźć się pod osłoną lasu w ciągu następnego dziesięciu minut.

- Chodź - powiedział Mistrz Zakonu, ruszając w kierunku dzieci pochylonych nad nieruchomą postacią matki.

Dzieci usłyszały nadchodzących Kosmicznych Marines i ze strachem w oczach postąpiły kilka kroków w tył, wyraźnie nie mogąc się zdecydować, czy ważniejsza była dla nich matka, czy też ich własne życie. Cortez zauważył, że spoglądają na jego broń, a w szczególności na rękawicę energetyczną. Zastanawiało go, co sobie myślały. Czy naprawdę sądziły, że zamierza użyć jej przeciwko nim? Biorąc pod uwagę, jak okrutny był wszechświat, być może tak właśnie było. Swoją drogą, jakie były intencje Pedro? Czyżby zamierzał skrócić męki całej gromadki?

Kantor przyklęknął u boku kobiety i zdjął hełm.

Cortez próbował wyczytać cokolwiek z jego twarzy, ale ta nie zdradzała żadnych emocji.

- Jilenne - powiedział Mistrz Zakonu. - Słyszysz mnie?

Oczy kobiety wciąż były zamknięte, ale jej usta nieco się rozchyliły. Słabym głosem wyszeptała:

- Były takie ciężkie. Takie ciężkie...

Kantor pokiwał głową.

- Tak - odparł. - Ale udało ci się je donieść aż tutaj.

Kantor wyciągnął ręce i odebrał jej dwójkę najmniejszych dzieci, po czym gestem nakazał starszym zabrać je od niego. Gdy to uczyniły, odwrócił się z powrotem do kobiety.

Łaska Imperatora - pomyślał Cortez. Nie musisz tego robić, Pedro. To moja wina. To moja dusza powinna się tym splamić.

Zanim otworzył usta, przemówił Kantor.

- Już pora - rzekł, wyciągając pancerną rękawicę w stronę ciała kobiety. - Pora, by teraz ciebie ktoś poniósł.

Na oczach Corteza Mistrz Zakonu podniósł kobietę, po czym wyprostował się, trzymając ją w ramionach. Na tle jego rzeźbionego, ceramicznego napierśnika wyglądała na małą i kruchą, niczym szmaciana lalka.

W następnej chwili Mistrza Zakonu zwrócił się do Corteza przez komunikator:

- Gdy znajdziemy się wśród drzew, będą mieć większe szanse. W tej chwili to podopieczni zakonu. Nie możemy ich porzucić.

Kantor ruszył w kierunku odległych drzew, niosąc kobietę, jakby ta nic nie ważyła. Przez komunikator dodał jeszcze:

- Pomóż dzieciom, Alessio. Pomóż im szybko znaleźć osłonę. Wkrótce będzie świtać. Cortez spojrział z góry na dzieci. Ich ubrania były postrzępione i nosiły ślady całonocnej wędrówki, jednak w oczach najstarszej trójki ujrzał dziki błysk, w którym rozpoznał wolę przetrwania.

Bardzo dobrze - pomyślał.

On sam miał wyjątkowo okrutne dzieciństwo, które było codzienną walką o przetrwanie na bagnach i moczarach Blackwater, gdzie nawet najmniejsze stworzenia stanowiły śmiertelne zagrożenie. Dzieci często zabijały inne dzieci, walcząc o terytoria łowieckie i dobytek. Te dzieci w niczym go nie przypominały. Zostały wychowane na farmerów, nie na morderców. Przynajmniej były zdrowe od pracy na roli. Nie trzeba ich było nieść. Jeśli wyruszą niezwłocznie, dotrą do linii drzew na czas.

- Nie obawiajcie się - powiedział, robiąc krok naprzód, po czym pochylił się i podniósł dwójkę najmniejszych dzieci. - Waszej matce nic nie będzie, ale musimy się spieszyć. Wszyscy musicie być głodni. W lesie są owoce i woda. Będziecie mogli zjeść wszystko, co znajdziecie, ale tylko jeśli za mną nadążycie. To jasne?

Najstarszy chłopiec, trzynastoletni, jękał się nieco i nie miał odwagi spojrzeć w twarą, beznamiętną maskę hełmu Corteza, ale zdołał powiedzieć:

- Będziemy mogli zjeść i odpocząć w lesie?

- Tak - odparł Cortez i odwrócił się w kierunku drzew. - Ale tak jak mówiłem, musicie za mną nadążyć.

Ruszył przed siebie szybkim krokiem. Dwójka małych dzieci na jego rękach głośno płakała. W jego uszach dźwięk ten brzmiał wyjątkowo skrzekliwie.

Za plecami słyszał dyszenie pozostałych, którzy biegli, starając się nadążyć. Drzewa stawały się coraz większe, wyciągając ich stronę zimne, cieniste ramiona. W końcu wzięły ich w swe objęcia na krótko przed tym jak większe z dwóch słońc Świata Rynn wychyliło głowę ponad ostre jak brzytwa szczyty Diabelskich Ostrzy. Zaczął się nowy dzień i na całym kontynencie do życia budziły się dzikie hordy.

# 10

## Zona Regis

### Nowy Rynn

- Jaja argalatto - zaczęła wymieniać mała służąca - krojony melon bagienny i piklowane serca valpidów. - Kobieta postawiła na stole trzy dania. Gnąc się w ukłonach, wycofała się z balkonu i skryła w cieniu głównej komnaty, gdzie czekała, gotowa odpowiedzieć na wszelkie zachcianki ze strony jaśnie pani i jej dwóch gości. Shivara, ochroniarka gubernator, stała bardzo blisko.

Słońca wzeszły i powietrze na balkonie szybko się ocieplało. Odgłosy wystrzałów artyleryjskich dochodzące z obrzeży miasta zaczęły rozbrzmiewać godzinę temu. Z początku były szokujące i nieprzyjemne, ale z czasem stały się jedynie szumem tła. Z tej odległości nie sposób było usłyszeć wrzasków i bojowych okrzyków. Maia była za to wdzięczna. Mimo grzmiących dział, uśmiechnęła się do zaproszonych na śniadanie gości, wicehrabiego Isopho i generała Mira, po czym wskazała na jedzenie.

- Proszę, częstujcie się.

Isopho odpowiedział uśmiechem, ale Mir jedynie przypatrywał się jedzeniu bez żadnego wyrazu.

- Jestem pewien, że jest wyśmienite, moja pani - powiedział bez większego przekonania. Maia pomyślała, że być może dania były zbyt wykwintne jak na jego gust. Mężczyzna podniósł widelec, ale niczego nie tknął, dopóki nie uczyniła tego sama gospodyni. Zgodnie ze zwyczajem rynnickich wyższych sfer, żaden mężczyzna nie mógł jeść, dopóki kobieta siedząca przy tym samym stole nie skosztowała pierwszego kęsa.

Maia wzięła do ust odrobinę jajka, mężczyźni również zaczęli jeść.

- Poprosiłam o wasze towarzystwo, panowie, ponieważ mamy wiele do omówienia - zaczęła. - Wolałam zrobić to tutaj, gdzie nie będzie nam przeszkadzać żaden z członków Wyższej Izby Rynn. Chciałabym szczerze porozmawiać z wami o naszej sytuacji.

- O co chciałabyś zapytać, pani? - spytał Mir, unosząc do ust kielich ze schłodzoną wodą. - Najważniejsze kwestie zostały omówione na wczorajszej ostatniej sesji.

- To prawda, ale mieliście całą noc na przemyślenie sprawy - powiedziała Maia.

- Chciałabym poznać wasze obecne zdanie.

- Jest tak, jak mówili Astartes-oznajmił Mir. - Ataki zielonoskórych osłabły w nocy. Kapitan Alvez kazał naszej artylerii ostrzeliwać wrogie źródła światła blisko murów. Oczywiście sami stosujemy zaciemnienie. Bez widocznego celu orki są skołowane i nie atakują. Jeśli ostatnia noc była jakimkolwiek wyznacznikiem, powinniśmy mieć dość czasu, by przebroić się i przegrupować przed nastaniem każdego świtu. To niezwykle ważne, jeśli chcemy utrzymać się do czasu przybycia posiłków.

Utrzymamy się, ale nie ma tu miejsca na samozadowolenie. Zwiadowcy Kosmicznych Marines czuwają bez przerwy, niezależnie od godziny. Nasi zwiadowcy również, ale na nieco mniejszym obszarze. Słyszałem, że niewielka część



hordy zielonoskórych wykorzystuje noktowizory i taktyki infiltracyjne, ale to tylko mały odsetek. Jeśli spróbują prześliznąć się do miasta, odpowiemy z zabójczą siłą. Maia pokiwała głową.

- Wobec tego musimy skupić się na tym, co wydarzy się za dnia. Czy nasza obrona przeciwlotnicza została umocniona zgodnie z dekretem kapitana?

- Tak, w miarę naszych możliwości - odparł Mir, przełykając kawałek serca valpida, po czym dodał. - Nasze Hydry i baterie rakietowe zostały ustawione tak, by osłaniać najbardziej narażone obszary. Niestety, oznacza to, że pewne sekcje muru wystawione są na atak, szczególnie na wschodzie, zachodzie i północnym-zachodzie. Rzecz jasna w ostatnim przypadku pasmo górskie Tarczy daje nam pewną osłonę. W górach jest relatywnie mało wrogów.

- Czy naprawdę możemy pozwolić sobie na jakiegokolwiek słabe punkty? - spytał Isopho.

- Obawiam się, że nasze możliwości taktyczne są nieco ograniczone, wicehrabio - zwrócił się do niego Mir. - Najsilniejsze ataki suną od południa i południowo-zachodu. W tym regionie wylądowało najwięcej statków orków. Szkarłatne Pięści zorganizowały swoje ścigacze Landa, motocykle i transportowce w jednostki szybkiego reagowania. To samo uczyniłem z naszymi Sentinelami i Chimerami. Te jednostki będą starały się utrzymać wszelkie przerwy w obronie, które orki będą próbowały wykorzystać. Główne siły Kosmicznych Marines, wraz z naszymi pułkami piechoty i artylerii, zajmą pozycje na murach i bramach wszędzie tam, gdzie napór jest najsilniejszy. Zrobimy wszystko, by utrzymać się na swoim terytorium. Żałuję jedynie, że nie udało się nam przygotować okopów na obrzeżach miasta przed lądowaniem xenos. Dzięki temu mielibyśmy znacznie większe pole manewru. Maia uniosła kielich w kierunku Mira.

- Sprawił się pan wyjątkowo, wzięwszy pod uwagę okoliczności, generale. Teraz najważniejsze, abyśmy nie oddali większego terenu. Biskup Galenda odwiedził mnie osobiście po wczorajszej sesji, domagając się dodatkowej ochrony dla Zona Sanctum i kościołów w pozostałych dzielnicach.

- Nie powinien niepokoić cię tego typu sprawami, moja pani - rzekł Isopho, marszcząc gniewnie brwi.

Mir przytaknął.

- Jeśli biskup chce przedyskutować kwestię obrony Wielkiej Bazyliki, proszę wysłać go do mnie.

Maia spojrzała przez balustradę balkonu na miasto. Jej miasto. W oddali, tam, gdzie trwały walki, słupy dymu pięły się w powietrze niczym ciemne wieżycy.

- Zamierza poprosić o to Astartes - powiedziała. - Wątpię jednak, by zdobył przychylność kapitana Alveza.

Isopho i Mir wymienili spojrzenia.

- Szkarłatne Pięści są zupełnie inne niż sobie wyobrażaliśmy - zauważył wicehrabia.

- Nasi protektorzy są równie zimni i twardzi co pancerze, które noszą. Czasami zastanawiam się, czy wewnątrz na pewno kryją się ludzkie istoty.

- Nie są ludźmi - powiedziała Maia, spoglądając w swój talerz i nabijając na widelec kolejny plasterk bagiennego melona. - Są kimś więcej. Wydają się przez to bardzo zdystansowani, to prawda, ale powinniśmy tym bardziej ich za to kochać. Być może

utrata człowieczeństwa jest ceną, jaką zapłacili za tak wielką siłę.

W jej głosie dało się słyszeć wyraźny smutek.

Isopho niespokojnie poruszył się na swoim krześle. Słyszał pogłoski na temat posągu w pokoju Mai. Słyszał szepty o tym, że zadurzyła się w Mistrzu Zakonu. Miał nadzieję, że były to jedynie plotki, ale teraz był pewien, że stało za tym coś więcej.

- Wątpię, czy kiedykolwiek ich zrozumiemy - ciągnęła Maia tęsknym głosem. - W każdym razie ja cieszę się z ich obecności.

Generał Mir wyraził aprobatę dla tych słów. Gdy jedli, wzdłuż całej linii obronnej trwały ciągłe walki. Ludzie i Astartes walczyli, i ginęli w obronie murów, odpierając ataki hordy xenos.

Wciąż było wcześnie, ale wielu już teraz zaczynało się modlić o jak najszybsze nadejście nocy.

## 11

### Las deszczowy Azcalan

#### Prowincja Rynnland

- Coś jest nie tak, panie - powiedział sierżant Viejo do Mistrza Zakonu.

Dotarłszy do lasu, Szkarłatne Pięści weszły kilkaset metrów w jego głąb i rozproszyły się, zabezpieczając niewielki obszar i upewniając się, że w cieniu gęsto rosnących drzew nie czają się żadne niespodzianki.

Stanęli w kole, plecami do środka, z bronią w pogotowiu, podczas gdy ich noktowizory pomagały rozjaśnić półmrok zalegający pod koronami drzew.

Panowała grobowa cisza, zupełnie jakby wokół nie było żadnych zwierząt. Wraz z końcem zimy wąskie snopy światła przenikające przez najwyższe partie lasu i pstrzące leśne poszycie, powinny roić się od kolcoskrzydłów i muszlogrzebietów, drapieżników, które się nimi żywiły, a także wielu innych form życia.

Nic z tych rzeczy. Żaden ornithid nie śpiewał w koronach drzew. Żaden brachiodont nie ryczał z brzegu rzeki Rynn, która przecinała leśne ostępy. Żaden kynid nie warczał i nie pluł ze swej jamy ukrytej głęboko pomiędzy splątanymi lianami i korzeniami.

Kantor nabrał głęboko w płuca chłodnego powietrza i skupił swój umysł na zawartych w nim wiadomościach na poziomie molekularnym. Niektóre zapachy pochodziły od niego: metal, ceramit, gorące, zjonizowane powietrze, które nieustannie wydobywało się z rur wydechowych zamontowanego na plecach generatora.

Na powierzchni pancerza wyczuwał również drobiny skóry i potu kobiety, Jilenne, którą ułożył przy pniu grubego drzewa, gdy już stało się jasne, że nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo. Kobieta odpoczywała teraz ze swoimi dziećmi, zjadłszy odrobinę leśnych owoców, które znalazł dla nich brat Alcador.

Rzecz jasna, dominował zapach roślinności. Kantor czuł woń grubej, gąbczastej kory drzew, liści nad ich głowami, a także chwastów i pędów u ich stóp. Ziemia była bogata w składniki odżywcze i sole mineralne.

Był wśród nich jeszcze jeden zapach - słaby, lecz znajomy. Ostatni raz czuł go zaledwie trzy godziny temu.

Orki.

Pozostałe Szkarłatne Pięści wyczuły go niemal w tym samym momencie. Ich palce powędrowały do spustów broni, oczy zaś lustrowały listowie w poszukiwaniu jego źródła. Mimo że twarze marines przesłaniały hełmy, Kantor natychmiast rozpoznał znajome napięcie w ich ruchach.

- Nie ma wiatru - powiedział sierżant Segala. - Trudno je wysledzić na podstawie samego zapachu.

Sierżant Viejo zgodził się z nim.

- Trudno jednoznacznie wskazać kierunek. Nie widzę żadnych oznak, że tędy przechodziły. Żadnych śladów stóp. Żadnych śladów po ostrzach na drzewach.

Orki nie przeszłyby tędy, nie zostawiając na korze drzew kilku szram. Tego rodzaju przejawy agresji były dla nich równie naturalne co oddychanie. Ich małe mózgi

nieustannie popychały je do wyrażania swej gwałtownej natury.

- Zachód - powiedział Cortez, zdejmując hełm, by nabrać większy haust powietrza.

- Nie jestem pewien, ale zapach wydaje się nieco silniejszy na zachodzie.

- Na zachód stąd leży rzeka Tecala - powiedział Kantor. - Jak również most, który musimy przekroczyć.

Brat Delgahn przemówił po raz pierwszy od momentu, gdy zostawili za sobą ruiny Arx Tyrannus.

- Mój panie, proszę cię, by to mnie przypadł zaszczyt dokonania rekonesansu. Jeśli orki są na zachód stąd, znajdę je.

Po chwili dołączył do niego głos innego członka drużyny Corteza. Był to brat Fenestra.

- Być może pozwolisz, mój panie, byśmy obaj dostąpili tego zaszczytu.

Co to ma znaczyć? - pomyślał Kantor. Czyżby myśleli, że winię ich za to, co wydarzyło się na farmie? Nie okazałem im gniewu. Oni jedynie słuchali rozkazów Alessio.

Mimo to Kantor postanowił posłać kogoś innego. Mogli myśleć, co chcieli.

- Nie wyrażam zgody - powiedział oschle. - Sierzancie Viejo, wybierz dwóch członków ze swojej drużyny, którzy wyruszą na zwiad. Ich zadaniem będzie zabezpieczyć most, a potem się stamtąd wynieść. Mają do mnie wrócić z raportem za godzinę. Kapitanie Cortez, pana drużyna nie odpoczywała od czasu walki. Macie wyczyścić broń i broń, a następnie przejść w stan pełnego snu na czas jednej godziny. Drużyna sierżanta Segali będzie patrolować okolicę. To wszystko.

- Teves, Galica - warknął Viejo. - Zwiad. Pozostali będą czuwać.

Dwaj bracia bitewni wybrani przez sierżanta zaszalowali Kantorowi i wtopili się w cień na zachodzie, poruszając się w odległości kilku metrów od siebie. Broń trzymali w gotowości i omiatali lufami otoczenie, osłaniając sobie nawzajem plecy.

Kantor odprowadził ich spojrzeniem, po czym obrócił się i spojrzał na Jilenne oraz jej dzieci, które spały oparte o drzewo. Kiedy się obudzą, ich mięśnie będą zeszywniałe i obolałe. To nie pomoże im w utrzymaniu tempa marszu.

Zamieniłem moich niezrównanych wojowników w niańki - pomyślał gorzko. Wróg czai się gdzieś niedaleko, gdzieś w tym lesie. Bez dodatkowego obciążenia i przeszkód, dotarlibyśmy do stolicy w trzy, może cztery dni. Ile czasu zajmie to teraz? Obserwując śpiącą rodzinę, miał mieszane uczucia. Czy mógł ich tu zostawić?

Wiedział, że byłoby to najrozsądniejsze wyjście. W lesie jedzenia i wody było pod dostatkiem. Mogliby sami dotrzeć do stolicy, podążając za rzeką Rynn. Gdyby nie natrafili na swojej drodze na żadne orki, mieliby szansę na przetrwanie.

Przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez najwyższego kapelana Tomasiego po bitwie o wąż Braxa. Słowa szczere, lecz podyktowane najlepszymi intencjami, na dodatek wypowiedziane z rzadkim uśmiechem jakiegoś dwięście czterdzieści siedem lat temu.

- Podziwiam twe niezłomne poczucie honoru, Pedro - powiedział mu najwyższy kapelan. Kantor był wtedy sierżantem. Ryzykował życiem swoim i swoich braci z drużyny, osłaniając wąż podczas przejazdu ostatniego konwoju z uchodźcami. Tego dnia uratowali tysiące istnień. - Jednak czasami honorowi ludzie muszą robić niehonorowe rzeczy. To co słuszne z moralnego punktu widzenia, musi ustąpić temu

co istotne dla taktyki. Obawiam się, że sam sobie stawiasz poprzeczkę niewiarygodnie wysoko. Jeśli czegoś z tym nie zrobisz, pewnego dnia zawiedzie cię to do zguby.

Kantor cieszył się, że słowa te pochodziły od najwyższego kapelana, a nie od naczelnego kronikarza. Gdyby usłyszał je od Eustacego Mendozy, poczytałby je za ponurą przepowiednię. W ustach Tomasiego była to jedynie rada.

Rada, której nigdy nie wziąłem sobie do serca - pomyślał.

Zza linii drzew Kantor zobaczył to, o czym donieśli mu, a następnie, na jego prośbę, narysowali nożami na ziemi Galica i Teves. Mniej więcej dwieście metrów na północny-zachód od jego pozycji leżał zgnieciony kadłub transportowca orków. Statek spadł z nieba i wyciął wśród drzew szeroki pas, tworząc przesiekę. W obecnej chwili okolica roiła się od zielonoskórych, którym udało się przetrwać katastrofę. W koronach drzew powstała ziejąca wyrwa. Uszkodzony statek leżał podwoziem do góry, zalewany promieniami rynnickiego słońca. Wszędzie wokół leżały na ziemi roztracone pnie.

Niektóre z nich zostały porąbane i wrzucone do ognisk rozszanych po karczowisku. Zebrane wokół płomieni grupki wielkich, potężnych orków obżerały się kawałkami pieczonego mięsa.

Kantor powąchał powietrze. Przynajmniej nie było to ludzkie mięso. Gdy podążył za zapachem na północ, znalazł jego źródło. Było to truchło byka brachiodonta. Jego blade ciało wypatroszono, wycinając duże kawały mięsa. Wokół ran kłębiły się czarne chmary uczujących much.

Mimo dwunastu metrów długości, zwierzę nie miało szans z uzbrojonymi orkami. Podobnie zresztą jak ludzie, których wciśnięto do prowizorycznych klatek ustawionych na południowo-zachodnim krańcu obozowiska. Nie byli to żołnierze z Gwardii Rynn. Sądząc po kolorach ich poplamionych ubrań, byli to zwykli pielgrzymi. Najprawdopodobniej zmierzali do kapliczki Ivestry na północnym wschodzie, gdy natrafili na orczych najeźdźców. Teraz garnęli się do siebie w ciasnocie klatek, szlochając. Każdy z nich zapewne modlił się, aby to nie on był następny.

Co stało się z tymi, którzy zostali już wybrani, było aż nadto oczywiste. Z niższych gałęzi pobliskich drzew zwisały zwłoki. Ich ciała pokrywały głębokie, czerwone szramy. Ubrania przypominały przesiąknięte krwią szmaty. Te rany nie były jednak najgorsze. Wszystkich zmarłych spotkał los o wiele straszniejszy. Ich twarze zostały całkowicie usunięte. Ale nie brutalnie i niechlujnie, lecz z mrozącą krew w żyłach, chirurgiczną precyzją. Zwłoki kołysały się i obracały na wietrze, drwiąc z przyszłych ofiar zastygłymi grymasami uśmiechu.

- Wszystkie drużyny na pozycji - powiedział kapitan Cortez przez komunikator.

- Dobrze - odparł Kantor. - Ruszamy na moją komendę.

Wiedział, że nie można było tego uniknąć. Z początku miał nadzieję na inne rozwiązanie problemu, ale gdy zobaczył klatki z niewolnikami, natychmiast zmienił zdanie.

Poza tym, racjonalizował sobie, było tu blisko sto orków. Nie mogli ot tak ruszyć dalej z nadzieją, że nie podejmą pościgu. Zaatakowałyby ich od tyłu, gdy tylko

wpadłyby na ich trop.

Mimo wszystko z pewną obawą posyłał wszystkich swoich Astartes przeciwko tak licznemu wrogowi, kiedy amunicja i zapasy były na wyczerpaniu. Jego plan ataku opierał się na minimalnym zużyciu pocisków do bolterów, ale zakładał również posłanie Pięści do walki wręcz z orkami, choć gdyby miał jakiś wybór, wolałby tego uniknąć.

Miał nadzieję, że przed przypuszczeniem ataku uda im się zidentyfikować przywódcę bandy, ale jak do tej pory żaden z orków nie wydawał się dowodzić. Żaden z nich nie był większy, ani ciemniejszy od pozostałych, a zazwyczaj to właśnie te dwie cechy, ponad wszystko inne, wskazywały na dominującą pozycję wśród zielonoskórych. Kantor spojrzął z powrotem w kierunku powgniatanego wraku statku orków.

Ich przywódca musi być w środku - pomyślał. Ale odgłosy walki wywabią go na zewnątrz.

Wybrał otwarty kanał komunikatora i zwrócił się do trzech drużyn którymi dowodził.  
- Szkarłatne Pięści, dajcie upust swojej furii. Chcę być z was dumny. Otworzyć ogień!

Pośród drzew otaczających obozowisko orków, boltery szcęknęły w krótkich, kontrolowanych seriach. Każda Szkarłatna Pięść wybrała sobie cel jeszcze zanim padł rozkaz. Na komendę Kantora pierwszych kilku wrogów straciło życie.

Wybuchowe pociski położyły trupem tuzin stworów. Krew siknęła wielkimi fontannami.

Pozostałe orki, widząc śmierć swoich pobratymców, poderwały i zarepetowały broń. Dostrzegłszy rozbłyski luf pośród czarnych jak atrament cieni, wycelowały w stronę drzew swoje wielkie karabiny maszynowe i odpowiedziały ogniem.

- Zasłona dymna! - rozkazał Kantor przez komunikator.

Niewielkie metalowe kanistry błysnęły w rynnickim słońcu, wylatując pomiędzy drzew i lądując w okolicach największych skupisk wrogów. Niektóre orki bezmyślnie śledziły je spojrzeniami dopóki nie upadły u ich stóp. Inne strzelały w stronę linii lasu z typową dla siebie, kiepską celnością.

Kanistry zaczęły syczeć i plunęły gęstą, dławiącą zasłoną szarego dymu, która wkrótce zasnuła powietrze nad całą przesieką. Nie dało się dostrzec nic poza jasnymi rozbłyskami luf orków, które strzelały na oślep jak szalone.

- Przełączyć się na termowizję - powiedział Kantor do swoich ludzi, jednocześnie posyłając sygnał przez neurokonektory, które stanowiły łącze pomiędzy jego mózgiem a systemami pancerza. Wizjer w jego hełmie przełączył się na odpowiedni filtr, pokazując mu niewyraźny, szary obraz pełen wielkich, białych postaci, które strzelały we wszystkie strony na chybił trafił.

- Ruszamy! - padł rozkaz.

Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak to zaplanował. Orki nic nie widziały i same przetrzebiły własne szeregi gradem śmiertcionośnych, wystrzelonych na ślepo kul. Astartes ruszyli przez wypełnione dymem karczowisko, zabijając wszystko na swojej drodze. Ryki zwierzęcej frustracji i gniewu odbijały się echem od otaczających ich drzew, zlewając się z głębokim terkotaniem dziesiątek karabinów. Kantor parł naprzód, trzymając Strzałę Dorna na wysokości barku. Każda sylwetka xenos, która wyłaniała się z dymu, kończyła z dwoma śmiertcionośnymi pociskami

boltera szturmowego we łbie. Olbrzymie cielska ciężko zwały się na ziemię. Upadająca broń poszczykiwała w zetknięciu z kamieniami i powalonymi drzewami. W przeciwieństwie do Astartes, zielonoskórzy byli zupełnie ślepi. Bardziej przypominało to masakrę niż prawdziwą walkę.

Kantor opuścił Strzałę Dorna i uruchomił pole siłowe swej rękawicy energetycznej. Poczł jak śmiercionośna aura budzącej się do życia broni szczypie go w skórę. Pozostali Astartes zamierzając oszczędzać amunicję robili to samo. Cortez, Viejo i Segala dysponowali własnymi rękawicami energetycznymi, których teraz używali z zabójczą skutecznością, miażdżąc i rozrywając wszystko, co znalazło się w ich zasięgu. Pozostałe Pięści nosiły długie, bojowe ostrza monomolekulame o ząbkowanych klingach. Marines używali ich z bezlitosną skutecznością, będącą wynikiem wielu dekad codziennych treningów.

Cięli arterie i przebijali najważniejsze organy przeciwników, którzy wciąż ich nie widzieli.

Zasłona dymna zaczęła rzednąć. Z północnego-wschodu wiał lekki wiatr, który zaczął rozpraszać szary całun. Ile orków zginęło do tej pory? Sześćdziesiąt? Siedemdziesiąt? Kantor nie był w stanie powiedzieć.

Walka zmieniła swoje oblicze. Dym nie dawał już należytej osłony. Kantor przełączył swój wizjer w tryb standardowy i zobaczył olbrzymiego, poznaczonego bliznami stwora, który atakował wprost na niego z żelaznymi toporami w obu łapach. Potwór ryknął, nacierając szaleńczo. W jego czerwonych oczach płonęła żądza krwi. Kantor poczuł, że wpajane mu przez wieki odruchy zaczynają przejmować kontrolę.

Nieświadomie przyjął postawę bojową. Z łatwością prześliznął się obok pierwszego, świszczącego ostrza przeciwnika, skrócił dystans i chwycił jego lewe przedramię jeszcze zanim zdążyło opaść. Na krótką chwilę zamarli w tej pozycji. Gorący oddech stwora cuchnął kwaśno, docierając do nozdrzy Kantora przez otwory w płycie twarzowej. Spore kawałki mięsa brachiodonta utknęły między kłami orka, dając gnijące świadectwo jego ostatniego posiłku.

- Posmakuj tego - warknął Kantor.

Włożył całą swoją siłę w zabójczy prawy sierpowy. Pole energetyczne rękawicy huknęło niczym grom. Cios trafił orka w mostek. Cała zawartość jego klatki piersiowej wystrzeliła z tyłu pleców przez olbrzymią dziurę wylotową. Czerwone oczy zapadły się w głąb czaszki. Wydrażona jak owoc, bezwładna kreatura odpadła od swego zabójcy, po czym runęła na ziemię w kałużę mokrych wnętrzności.

Kantor zrobił krok w tył i uniósł wzrok. W okolicach środka przesieki jego bracia bitewni wspólnie dobijali ostatnich orczych wojowników, wykorzystując swoją przewagę dwóch lub nawet trzech do jednego. Uwagę Kantora zwrócił ruch w poszarpanej wyrwie w kadłubie statku. Zobaczył, że jedna z drużyn miała właśnie zamiar wejść do środka.

Nie musiał nawet sprawdzać, kto nią dowodził.

- Alessio - powiedział przez łącze.

Postać na czele drużyny na chwilę odwróciła głowę.

- Pozwól mi to uczynić - rzekł Cortez.

Kantor skinął głową.

- Ruszaj.

Oddział zniknął wewnątrz rozbitego statku. Mistrz Zakonu odwrócił się, by zlustrować resztę obozowiska. Wiele orczych ognisk zostało zdeptanych w trakcie walki. Niektóre wciąż płonęły. Płomienie dwóch z nich trzaskały głośno, trawiąc ciała zielonoskórych, którzy do nich wpadli.

Kantor przeniósł spojrzenie na klatki, w których tłoczyli się schwytni pielgrzymi. Zobaczył, że część z tych, którzy znajdowali się najbliżej krat, padło ofiarami wymiany ognia. Ich ciała znaczyły dziury po kulach z orczych karabinów. Słyszał żalosne zawodzenia ludzi, którzy przyciskali ich ciała do siebie, rozpaczliwie błagając poległych braci i siostry, by trzymali się życia pomimo odniesionych ran. Kantor podszedł do najbliższej klatki. Ludzie wewnątrz kulili się ze strachu, choć z pewnością go rozpoznali i wiedzieli, że właśnie ich uratował.

- Cofnijcie się - powiedział im, mimo iż nie było takiej potrzeby.

Wyciągnął rękę zakutą w rękawicę energetyczną, chwycił kolczaste, przerdzewiałe kraty z żelaza i wyrwał je, otwierając klatkę.

W następnej chwili spojrzął z góry na ludzi, których on i jego Astartes właśnie ocalili.

- Wyjdźcie z klatki i zbierzcie się na środku karczowiska - zagrział. - Jestem Pedro Kantor, Lord Diabelskich Ostrzy, Mistrz Zakonu Szkarłatnych Pięści. Róbcie, co mówię. Jesteście już bezpieczni. Za chwilę uwolnię pozostałych.

Rozbity statek orków nie był aż tak duży, ale jego korytarze i komory zostały przystosowane do stworzeń wyższych i szerszych niż Alessio Cortez, dzięki czemu on i jego drużyna przemieszczali się z łatwością, trzymając boltery w pogotowiu i oczyszczając jedno skąpane w półmroku pomieszczenie po drugim. W większości wypadków znajdowali jedynie pętaki, które pracowały w pocie czoła swoimi kluczami i młotkami, pochylone nad dziwacznymi kawałkami maszynarii. Astartes pozbywali się ich przy użyciu noży lub pancernych rękawic, patrosząc je lub skręcając im karki zanim te zdążyły rzucić się do ucieczki.

Natrafili jedynie na kilka dorosłych orków. Większość z tych olbrzymich dzikusów była na zewnątrz, gdy przypuścili szturm. Ci, którzy zostali w środku byli przypięci pasami do leżanek, najwyraźniej odzyskując siły po jakiś osobliwych zabiegach chirurgicznych. Wyjaśniało to, dlaczego nie dołączyły do walki. Jeden z zielonoskórych posiadał groteskową drugą głowę przyszytą w okolicach lewego barku. Nierówne szwy były widoczne nawet w półmroku. Wyglądał na nieprzytomnego. Cortez wepchnął mu nóż pomiędzy kręgi szyjne i przeciął rdzeń, upewniając się, że stwór już nigdy się nie wybudzi. Inny ork, nie tyle nieprzytomny, co wciąż nieco senny, posiadał dodatkową parę grubych, masywnych ramion przytwierdzonych do bioder. Pojawienie się Szkarłatnych Pięści pobudziło go, bo zaczął szarpać się w więzach, próbując wstać i stawić im czoła. Brat Benizar podszedł i poderżnął mu gardło. Brat Rapala dołączył do niego i razem poszatkowali stworza na kawałeczki.

Niedługo później korytarz kończył się szerokim, łukowatym przejściem, przez które padało jasne światło. Cortez, idący jak zwykle z przodu, uniósł dłoń i cała drużyna stanęła.

- Słuchajcie - powiedział im przez komunikator.



Z oświetlonego pomieszczenia przed nimi dochodziły dziwne dźwięki. Dźwięki, które zupełnie nie pasowały do tego miejsca. Niemal ludzkie, ale wydobywające się z nieludzkiej krtani. Było coś jeszcze - odgłos przytłumionego płaczu, jakby ktoś szlochał przez zakneblowane usta. Cortez zakradł się do wejścia najciszej jak potrafił, po czym wyjrzał zza krawędzi drzwi do wnętrza komory.

Spod sufitu zwisały zwoje kabli i rur. Podłogę, jeszcze niedawno będącą sufitem przewróconej maszyny, zaśmiecały połamane kawałki rur, metalowe płytki, strzaskane słupki i zbieranina narzędzi, których przeznaczenia Cortez nawet nie śmiał się domyślać. Pośród całego tego bałaganu mężczyzna ujrzał scenę tyleż osobliwą, co potworną.

Na środku pomieszczenia stał samotny ork, który ostrzył duży skalpel o osełkę, nucąc pod nosem jakąś fałszywą melodię. Miał na sobie długi kitel, który niegdyś może i był biały, ale teraz wyglądał na tak przesiąknięty i zaplamiony krwią, że trudno było to jednoznacznie stwierdzić.

Stwór wyglądał niczym pokrętna parodia imperialnego medyka. Być może ujrzał kiedyś jakichś medyków podczas swoich podróży po galaktyce i doszedł do wniosku, że tego rodzaju strój stanowi symbol ich profesji. Czyżby próbował ich naśladować? Być może zwyczajnie znalazł gdzieś ten kitel i przywdział go, niewiele myśląc. Niezależnie od przyczyny, było jasne, że to ten potwór odpowiedzialny był za stworzenie dwugłowego orka, na którego Cortez i jego oddział natrafili wcześniej, nie wspominając o innych potwornościach.

Równie jasne stało się, że to ta bestia odpowiadała za pozbawione twarzy ludzkie zwłoki zwisające z drzew na zewnątrz. Cortezowi wystarczyło jedno spojrzenie na pysk orka. Podczas gdy imperialny medyk przy pracy nosił na twarzy maseczkę chirurgiczną, ten stwór założył zamiast niej skórę twarzy zdartą ze swojej ostatniej ofiary. Efekt był przerażający. Cielista maska wciąż była śliska od krwi.

Znow dało się słyszeć stłumiony szloch. Cortez wyszukał spojrzeniem jego źródło. Do stołu stojącego przed osobliwym chirurgiem przypięto mniej więcej dwudziestoletniego mężczyznę, który teraz miotał się w więzach. Usta miał rzeczywiście zakneblowane, ale szeroko otwarte oczy śledziły każdy ruch orka, który zwrócił się w jego stronę, ściskając skalpel w rękę.

Cortez na chwilę odwrócił się i wręczył swój pistolet boltowy bratu stojącemu za nim. Był to Fenestra.

- Potrzyj to - powiedział. - Raczej mi się nie przyda.

Fenestra odebrał pistolet od Corteza, po czym zmierzył go spojrzeniem.

- Co zamierzasz?

Cortez wyłonił się z cienia łukowatego przejścia i wszedł do pomieszczenia, pozwalając, by jasne światło ukazało go w pełnej, morderczej chwale.

Ork miał właśnie wykonać pierwsze nacięcie na twarzy schwytanego człowieka, lecz gdy Cortez się ujawnił, uniósł łeb znad pracy i wydał z siebie gniewny ryk. Porzucił skalpel na rzecz paskudnie wyglądającej piły, po czym obszedł stół operacyjny i ruszył w stronę Corteza, nawet nie kryjąc swoich zamiarów.

Cortez przyjął postawę bojową.

- Zamierzam rozszarpać tę kreaturę na strzępy - powiedział do Fenestry.

I zrobił dokładnie tak, jak mówił.

Cortez wyłonił się z wnętrza transportowca orków i ruszył w stronę Kantora, który rozmawiał właśnie z przywódcą pielgrzymów uwolnionych z klatek.

Obszarpani uchodźcy spoglądali na Corteza ze strachem. Skąpany od stóp do głów we krwi swoich nieprzyjaciół, przypominał jakiegoś boga śmierci, który dopiero co wypelzł z czeluści. Ten widok mógłby przerazić niemal każdego.

- Statek został oczyszczony - zaraportował oschle Mistrzowi Zakonu.

Kantor spojrzął na starego przyjaciela, oceniając stan jego pancerza, po czym jedynie pokiwał głową.

Brat Benizar prowadził przed sobą mężczyznę, którego Cortez uratował ze stołu operacyjnego. Jedna z kobiet poderwała się z ziemi. Podbiegła do ocalonego i zarzuciła mu ręce na szyję, powtarzając jego imię w przerwach pomiędzy pełnymi ulgi szlochami.

Kosmiczni Marines zignorowali tę radosną chwilę, ale kobieta z wdzięczności padła na kolana przed Benizarem i zaczęła całować grzbiet jego prawej rękawicy. Stojący za nim Fenstra i Rapala parsknęli śmiechem. Benizar uwolnił dłoń z uścisku kobiety, mówiąc:

- To naszemu kapitanowi powinnaś dziękować, kobieto.

Gdy wskazał Corteza, kobieta obróciła się gorliwie, by obdarzyć wdzięcznością tego, który uratował jej męża. Widząc jednak skąpaną w posoce postać, o której mówił Benizar, stanęła jak wryta i padła na kolana. Nie śmiać podnosić wzroku, raz za razem powtarzała jedynie słowa podziękowań.

Cortez kompletnie nie zwracał na nią uwagi.

- To jest Menaleos Dasat, przywódca tej grupy - zwrócił się do niego Kantor. Mistrz Zakonu wykonał gest w kierunku chudego, starego mężczyzny w poplamionej, brązowej todze. Mimo niedawnych wydarzeń w zachowaniu tego człowieka, a może nawet w samym jego wyglądzie, było coś mówiącego o wielkiej sile. - Dasat prowadził grupę do sanktuarium świętego Ivestry - ciągnął Kantor. - Przemierzali pieszo starą trasę, gdy napadły ich orki. Menaleosie, oto kapitan Alessio Cortez, Mistrz Szarzy, dowódca czwartej kompanii Szkarłatnych Pięści.

Dasat przycisnął czoło do ziemi, po czym przysiadł na piętach, mówiąc:

- Jestem niegodzien klęczeć przed twym obliczem, mój panie.

Cortez ledwie widocznie skinął mu głową w odpowiedzi, a następnie zwrócił spojrzenie ku Kantorowi.

- Powinniśmy stąd zniknąć. Wciąż jeszcze czeka nas daleka droga.

Niemal w tym samym momencie na wschodnim krańcu przesieki pojawił się sierżant Viejo, prowadząc za sobą Jilenne i jej dzieci. Tuż przed atakiem na obozowisko, Kantor nakazał kobiecie zostać z tyłu i skryć się pod korzeniami drzewa ebonowego. Nie musiał powtarzać jej dwa razy. Kiedy tylko kobieta zobaczyła Astartes szykujących broń, domyśliła się, że w okolicy są orki. Czekwała więc ze swoimi dziećmi, starając się oddychać szeptem, dopóki ktoś po nich nie wróci. Viejo niósł na rękach dwójkę najmniejszych dzieci.

Mistrz Zakonu skierował na nich uwagę Dasata i powiedział: - Ta kobieta i jej dzieci również zostały uratowane przed xenos. Nie są to pielgrzymi, ale macie okazać im życzliwość. Wycierpieli równie wiele co wy.

Dasat znów się skłonił.

- Wszyscy wierni są równi wobec imperialnego credo -rzekł. - Przyjmiemy ich jak swoich, mój panie. I pomyśleć, że tak małe dzieci...

Pozwolił by te słowa zawisły w powietrzu.

- Jak długo zajmą twoim ludziom przygotowania, Dasacie? - spytał Kantor. - Nie możemy marnować czasu. Inne orki mogły usłyszeć odgłosy walki.

Na wspomnienie o tym w zmęczonych uchodźców wstąpiły nowe siły.

- Nie mamy nic, panie - powiedział Dasat. - Jesteśmy gotowi ruszać na twój rozkaz. Jednak nic nie jedliśmy od czasu schwytania, a woda, którą nam dali, cuchnęła ich odchodami. Nie mogliśmy jej pić. Obawiam się, że jesteśmy bardzo osłabieni.

Kantor przywołał do siebie sierżanta Segalę.

- Sierżancie, ile czasu zajmie znalezienie czegoś do jedzenia dla tych ludzi?

- W okolicy są owocujące drzewa - odparł Segala, niewiele myśląc. - Karłowate grusze i aberlok.

- Dobrze. Dasacie, wyślij swoich ludzi z sierżantem Segalą. Zaprowadzi ich do miejsca, gdzie znajdują pożywienie. Muszą zebrać go tyle, by starczyło dla wszystkich, a także na dalszą drogę.

Segali powiedział jeszcze:

- Mamy jedynie kilka minut, sierżancie. Pospieście się.

Sierżant uderzył pięścią o napierśnik.

- Na twój rozkaz, panie. - Po chwili obrócił się i ruszył w kierunku lasu. Dasat wywołał szereg imion, po czym kilka postaci odłączyło się od grupy i podążyło za masywnym Kosmicznym Marine.

Jilenne i jej dzieci dołączyły do grupy. Kobiety z pielgrzymki natychmiast zrobiły wokół nich mnóstwo zamieszania. Widząc to, Dasat się uśmiechnął.

- Pozwolę wam się lepiej zapoznać - rzekł Kantor, oddalając się od małego mężczyzny. Gestem kazał Cortezowi iść za sobą.

Dasat raz jeszcze uderzył czołem o ziemię, po czym wstał i podszedł do Jilenne, by się przedstawić.

- Widziałeś to? - spytał Corteza Kantor. - To doprawdy niezwykle, nie sądzisz?

Cortez wychwycił w głosie Mistrza Zakonu niespodziewany żal.

- Przykro mi, Pedro - powiedział. - Co niby miałem zobaczyć?

Kantor odwrócił głowę tak, by móc spojrzeć na towarzysza.

- Podobieństwo, Alessio. Podobieństwo. Ten człowiek, ten Dasat... Tak bardzo przypomina mi Ramira, że musiałem dwa razy spojrzeć, żeby upewnić się, że nie mam omamów.

Dopiero teraz Cortez zrozumiał ból w głosie starego przyjaciela.

- Przykro mi, bracie, ale nie widzę tego - odparł. - Zarządca był dwa razy większy niż ten mężczyzna. - Zrobił pauzę. - Poza tym Ramir Savales wolałby umrzeć, walcząc z orkami gołymi rękami, niż dałby się pojmać.

Kantora zaskoczył gniew z jakim Cortez wypowiedział ostatnie słowa. Przystanął i spojrzał kapitanowi w oczy.

- Gardzisz nimi, Alessio? - spytał. - Nienawidzisz ich, bo tak desperacko trzymają się życia?

- Nie nienawidzę ich - powiedział Cortez. - Ale ci ludzie są teraz dla nas dodatkowym ciężarem. Przyznaję, że obecność tej kobiety i jej dzieci to moja wina, Pedro.

Wolałbym, żeby było inaczej. Teraz jednak będziemy mieć pod opieką prawie trzydzieści osób. Żadna z nich nie jest nawet uzbrojona. Gdzie znajduje się jakaś granica?

Kantor odpowiedział mu przez zaciśnięte zęby.

- Istniała kiedyś granica, Alessio. Pamiętaj o tym. Istniała, ale to ty ją przekroczyłeś. Teraz jesteśmy odpowiedzialni za tych ludzi, dlatego masz ich chronić. Tylko w ten sposób możesz uhonorować imię Rogala Dorna i uhonorować mnie.

Gdy obrócił się, zostawiając Corteza za sobą, miał jeszcze jedną rzecz do powiedzenia.

- Niech pan przygotuje swoją drużynę, kapitanie. Jesteście na szpicy.

Menaleos Dasat był jednocześnie pełen podziwu i lęku, choć tego ostatniego nie śmiał po sobie okazywać, by nie obrażać swych wybawicieli. Przez całe życie nauczał imperialnego credo każdego, kto chciał słuchać. Nie był eklezjarchą, tylko synem zwykłego farmera, ale jego wiara w Imperatora Ludzkości była wyjątkowo silna. Przez lata Ignęli do niego inni, którzy potrzebowali czegoś więcej od życia, czegoś w co mogli uwierzyć albo czegoś, co przydałoby ich pracy większego sensu. Dasat dorastał w rolniczej osadzie na północ od Sagarro, na granicy prowincji Inpharis i Rynnland. Za młodu często podróżował do miast i miasteczek ze swoim ojcem. Podróże te najczęściej miały na celu negocjowanie jak najlepszych cen od kupców i eksporterów, ale jego ojciec zawsze znajdował czas, by odwiedzić miejscowe imperialne świątynie. W owych czasach wydawało mu się, że wizerunki i posągi Szkarłatnych Pięści były wszędzie. Młody Dasat patrzył na nie z podziwem, nie potrafiąc sobie wyobrazić, jak te istoty wyglądały na żywo. Teraz wiedział. Ani razu przez sześćdziesiąt lat swojego życia nie wyobrażał sobie, że dane mu będzie porozmawiać z Mistrzem Zakonu, samym Lordem Diabelskich Ostrzy. Miał nadzieję, że udało mu się ukryć drżenie całego ciała, gdy rozmawiał z tym ponurym, surowym olbrzymem. Być może Mistrz Zakonu wziął te drgawki za oznakę podeszłego wieku, a nie strachu.

Ależ ten człowiek miał twarz! Tak surową i kanciastą. A te jego głęboko osadzone oczy, twarde i zimne niczym górski lodowiec.

Desat nie był nawykły do strachu. Zawsze żył w przekonaniu, że Imperator miał plan i wszyscy ludzie byli jego częścią. Wierzył, że jego przeznaczeniem było żyć i umrzeć jako farmer, który w wolnym czasie niósł dobre słowo wszędzie tam, gdzie witano go z otwartymi rękami. Gdy grupa wiernych przybyła do niego z prośbą o poprowadzenie pielgrzymki do sanktuarium Westy, bardzo mu to schlebiło. Na swój sposób postrzegał ten zaszczyt jako coś w rodzaju zapłaty za wysiłek. Cała grupa spoglądała na niego z wielkim szacunkiem. Mało kto potrafiłby temu odmówić. Było to najwspanialsze uczucie na świecie... Do czasu.

Wtedy zaczął się ten koszmar. Pomiędzy drzewami pielgrzymi dostrzegli wstęgi ognia na niebie. Niedługo później usłyszeli potężny huk od strony Gór Diabelskich Ostrzy, a blask ze wschodu na krótko zamienił noc w dzień. Pozostali oczekiwali od Desata odpowiedzi, a ich strach był aż nadto widoczny. On nie wiedział jednak, co powiedzieć, więc zarządził kontynuowanie podróży. Czy się mylił? Nie. Sama pielgrzymka była szlachetnym przedsięwzięciem. Nie potrafiłby sobie wybaczyć,

gdyby zawrócił z nieznanych przyczyn, gdy dotarli już tak daleko. Wkrótce potem, zaledwie godzinę przed tym jak mieli rozbić obóz, z lasu wypadły na nich potwory, które otoczyły grupę i zaszlachtowały wielu pielgrzymów zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Dasat słyszał co nieco o orkach, ale jego wiedza ograniczała się do historii, które jego ojciec opowiadał mu w ramach przestrogi, gdy był chłopcem. Małe dzieci słuchały tych opowieści z przestachem, a wtedy ich rodzice mówili:

- Módlcie się do Imperatora każdego dnia i pracujcie ciężko w Jego imieniu, a on was ochroni.

Dorastając, Dasat popełnił błąd i przestał brać te historie na poważnie. Nikt kogo znał nie widział żadnych xenos. Nie mając w tym względzie żadnego doświadczenia, zaczęło mu się, wydawać, że władza ludzkości nad galaktyką jest absolutna.

Kiedy wtrącono go do klatki i kazano patrzeć, jak członkowie jego stadka poddawani są obrzydliwym i straszliwym torturom, szybko zrozumiał swój błąd. Skoro nawet Świat Rynn nie był bezpieczny, to z całą pewnością takie miejsce nie istniało.

Tylko cud - ingerencja Imperatora, który wysłał swoich synów-wojowników, by wybawili go od złego - sprawił, że Dasat i pozostali członkowie jego grupy wciąż żyli. Tylko jak długo?

Mężczyzna szedł w milczeniu, pogrążony w myślach. Pozostali ocaleni kroczyli w ślad za nim. Oni również nic nie mówili, onieśmieleni przez postacie, które szły przodem pogrążone w ciszy, wyrabując sobie drogę przez gęsty las i nawet na chwilę się nie zatrzymując. W rzeczywistości ta cisza niepokoiła Dasata. Wyglądało to tak, jakby ci niebiescy giganci porozumiewali się telepatycznie, choć bardziej prawdopodobne było, że korzystali z jakichś systemów komunikacyjnych zamontowanych w hełmach. Nigdy nie ściągali ich z głów. W zasadzie do tej pory uczynił to jedynie Mistrz Zakonu i to też tylko wtedy, gdy rozmawiał z Dasatem i pozostałymi pielgrzymami, zupełnie jakby widok jego ludzkich rysów był w jakiś sposób istotny. Była jeszcze ta kobieta, Jilenne, i jej potomstwo. Szkarłatne Pięści uratowały ją z jakiejś wspólnoty rolniczej gdzieś na południowym-wschodzie, a przynajmniej tak twierdziła. Dasata cieszyło, że jego ludzie zaopiekowali się jej dziećmi. Nawet w obliczu katastrofy potrafili zachować człowieczeństwo. Serce podeszło mu do gardła, gdy przypomniał sobie o dzieciach, które wyruszyły z Vardua z jego grupą. Było ich dziewięcioro. Wszystkie zostały zdeptane na śmierć podczas ataku orków. Przynajmniej oszczędzono im okropieństw, których doświadczyli pozostali. Bez wątpienia były teraz u boku Imperatora.

Spoglądając na szerokie plecy idących przed nimi Szkarłatnych Pięści, Dasat zastanawiał się, dlaczego w ogóle pozwolono im się do nich przyłączyć. Nie miał wątpliwości, że szybciej przemieszczałiby się, gdyby zostawili ich za sobą. Wiedział, że zmierzają do Nowego Rynn. Z początku sądził, że jego ludzie nie będą w stanie nadażyć. Rozważał nawet zasugerowanie Mistrzowi Zakonu, by zostawili ich w tyle. Żadna rzecz nie była tak ważna jak to, by Szkarłatne Pięści dotarły do celu i zaczęły dawać odpór najeźdźcom. Jednak sama myśl o tym, że miałyby zwrócić się do Mistrza Zakonu lub do któregośkolwiek z wielkich, niewzruszonych Wojowników napelniała go przerażeniem. Ci ludzie w niczym nie przypominali postaci z malowideł czy posągów, które były jedynie ciepłymi, chwalebnyymi wyobrażeniami ukształtowanymi

rękami zwykłych śmiertelników.

Te istoty były żywymi legendami. Aniołami śmierci stworzonymi wyłącznie z myślą o zabijaniu. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie, co działo się w ich głowach, choć podejrzewał, że jest w stanie odgadnąć, co myśleli sobie niektórzy z nich. Mowa ciał dwóch z nich wydawała się wyjątkowo nieprzyjazna. Gdyby nie mieli na głowach hełmów, zapewne pluliby z obrzydzeniem na ziemię za każdym razem, gdy którykolwiek z nich spojrzałby w kierunku bezradnych uchodźców. Bardzo starał się trzymać swoich ludzi z dala od tych dwóch. Nie zamierzał dawać im sposobności do dania upustu swojej irytacji. Jednego z nich przedstawiono mu z imienia. Był to słynny kapitan Cortez. Imię tego drugiego pozostawało tajemnicą.

Choć Dasat wyobrażał sobie, że jego ludzie będą spowalniać Szkarłatne Pięści, mylił się. Deszczowy las Azcalan robił to o wiele skuteczniej. W rzeczywistości stanowił tak trudną przeszkodę w ich podróży na zachód, że pozwalał pielgrzymom na utrzymanie tempa. Mistrz Zakonu nie zamierzał się tłumaczyć, Dasat zaś wcale tego od niego nie oczekiwał, z faktu, że Kosmiczni Marines stale trzymali się z dala od wytyczonych ścieżek, które biegły przez las. W większości wypadków drogi te prowadziły wzdłuż rzeki Rynn. Dasat zastanawiał się, czy Szkarłatne Pięści unikały ich, ponieważ orki mogły korzystać z rzeki do przerzutu żołnierzy. Miało to sens. Gdy tak nad tym wszystkim dumał, Molbas Megra, oborowy w okolicach trzydziestki i jeden z najbardziej wygadanych członków grupy, przyspieszył kroku i zrównał się z Desatem.

- Są zupełnie inni niż sobie wyobrażałem - powiedział do Desata przyciszonym głosem. - Większość kobiet się ich boi, mimo że nas uratowali. Są tacy... inni od nas. Chciałeś chyba powiedzieć, że ty się ich boisz - pomyślał Dasat. Oczywiście, że są inni. To Kosmiczni Marines, synowie Imperatora.

Megra zawsze uważał się za silnego i odważnego. Nigdy nie przepuścił okazji, by opowiedzieć o tym innym, ale gdy obcy wtrącili go za kraty płakał, kompletnie się z tym nie kryjąc. Dasat nie osądzał go zbyt surowo. On sam uronił kilka łez, gdy zatrzaśnięto za nimi drzwi klatki, sądząc, że czeka ich jedynie długa, bolesna śmierć.

- Na południe stąd biegnie szosa - rzekł Megra. - Prowadzi aż do samej stolicy.

Dlaczego nie prowadzą nas tamtędy? Na pewno byłoby szybciej. I bezpieczniej, jak sądzę. Wydaje mi się, że lepiej trzymać się z dala od lasu. Co myślisz?

Dasat powstrzymał się, by nie spiorunować go spojrzeniem.

- Wolałbyś narazić nas na atak najeźdźców? Zaufaj naszym panom. Nie ocalili nas po to, by dać nam zginąć w drodze do sanktuarium.

Mężczyzna czuł na sobie spojrzenie Megry, który gapił się na niego, układając na języku ciętą ripostę. Nie zdążył jednak nic powiedzieć. Zza drzew przed nimi doszedł ich czyjś głęboki głos.

- Niebezpieczeństwo dopadnie nas prędzej lub później, parobku. Módl się, byśmy dojrzeli je, zanim ono dojrzy ciebie.

Tym razem Dasat spojrzał na Megrę i zobaczył, że ten zupełnie pobladł. Głos pomiędzy drzew nie brzmiał ani trochę przyjaźnie. Należał do kapitana Corteza.

- O-on mnie usłyszał? - wyjąkał Megra z niedowierzaniem.

Dasat zmarszczył brwi. Oczywiście, że cię usłyszał - pomyślał. Czy legendy nie mówią o tym, że ich zmysły dalece przewyższają nasze?

Bez wątpienia widzieli dalej i o wiele wyraźniej. Do czego jeszcze byli zdolni? Czy potrafili czytać w myślach? Słyszał kiedyś, że niektórzy to umieli. Czy wobec tego zdawali sobie sprawę, jak bardzo przerażeni byli jego ludzie, wlokąc się przez gęstą dżunglę w ślad za półbogami wojny? Megra był na tyle głupi, by wypowiedzieć swoje myśli na głos, lecz nie uczynił tego nikt inny. Pozostali ograniczali się jedynie do sporadycznego pocieszania dzieci Jilenne. Być może czas przytępi nasz strach - pomyślał Dasat. Powiadają, że oswojenie się z czymś sprawia, iż przestajesz się tego bać.

Było to coś, co przeczytał dawno temu w starej księdze. Wtedy poczytał to za wielką mądrość. Teraz jednak nauka ta wydawała mu się żałośnie naiwna i zupełnie nieprawdziwa.

Jak by nie patrzeć, znacznie lepiej poznał zielonoskórych.

I bał się ich teraz sto razy bardziej.

## Zona 3 Commercias,

### Nowy Rynn

Kapitan Alvez stał na górnym balkonie, obserwując najniższe piętra pasażu handlowego Menzilon. Pasaż był to masywnym budynkiem z wielkimi, otwartymi przestrzeniami. Kopulasty sufit ze szkła wznosił się jakieś pięćdziesiąt metrów ponad kolorową mozaikę marmurowej posadzki. Przed przybyciem hordy obcych miejsce to było czymś w rodzaju zamkniętego targowiska, gdzie burżuazyjna rynnicka klasa średnia przychodziła marnotrawić swój czas i centymy. Wkrótce po ewakuacji pierwszych, zewnętrznych dzielnic zamieniono je na centrum dla uchodźców. Mozaiki na wspaniałej, marmurowej posadzce gdzieniegdzie plamiła krew. W innych miejscach przykrywały je brudne, białe prześcieradła, pod którymi leżeli ranni i zdesperowani. Nie wszyscy, którzy szukali schronienia, odnieśli obrażenia. Wielu z nich zwyczajnie nie miało, dokąd się udać. Ich domy spłonęły lub obróciły się w gruzy. Obok nich Alvez widział torby z dobytkiem, z reguły dość skromnym. Ci ludzie mieli zaledwie kilka chwil, by zabrać co tylko mogli, zanim Gwardia Rynn przepędziła ich z nieosłoniętych murami zewnętrznych dzielnic. Sądząc po ich obszarpanych strojach, najprawdopodobniej i tak nie posiadali zbyt wiele. Wśród nich były dzieci. Te, które były zbyt młode, by zdać sobie sprawę z prawdziwego zagrożenia, ganiały się wokół szerokich, kamiennych kolumn podpierających strop i balkony.

Alvez czuł zapach ludzkiej krwi. Było jej naprawdę dużo. Jego hiperwrażliwy słuch wychwytywał każde stęknienie, każdą prośbę o wodę, jedzenie lub coś, co złagodziłoby ból. Słyszał płaczące kobiety, powtarzające imiona swoich utraconych synów i córek. Mężczyźni również płakali, zwracając się do Imperatora z pytaniem, co uczynili, że go obrazili i dlaczego przestał roztaczać opiekę nad swoimi wiernymi sługami.

Durnie - pomyślał Alvez. Imperator pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. On nikogo nie porzucił. To on stworzył Rogala Dorna, a Prymarcha stworzył nas. Nie złamie nas żaden ork. Niezależnie od wszystkiego, Szkarłatne Pięści wyjdą z tego zwycięsko, nawet jeśli będą ostatnimi żywymi istotami na tej planecie. Zwycięzimy i odzyskamy ten świat.

Po prawej stronie usłyszał odgłos ciężkich kroków. Po marmurowych stopniach wchodził jeden z Astartes. Po chwili Alvez ujrzał przyozdobiony wieńcem laurowym hełm sierzanta. Mężczyzna znał wszystkie jego wgięcia i zadrapania na tyle dobrze, że natychmiast rozpoznał właściciela hełmu, który wydawał się nosić kilka świeżych śladów uszkodzeń.

- Co cię zatrzymało, Huronie? - spytał.

- Zielonoskórzy, rzecz jasna, mój panie - odparł sierzant. Mężczyzna wkroczył na balkon i stanął u boku Alveza.

- Gdzie twoja drużyna?

- Czekają na nas, na murze Verano po północnej stronie, jak kazałeś. Ciężarówka



podjechały już, żeby ewakuować tych ludzi.

- Dobrze - rzekł Alvez.

Grimm spojrział z góry na niższe piętro.

- Co za żalony widok - powiedział.

- W rzeczy samej - przytaknął Alvez. - Spójrz w południowo-wschodni róg, gdzie nie dociera żadne światło. Stamtąd emanuje najgorszy smród. To miejsce śmierci dla tych, którym nie można już pomóc.

Grimm pokiwał głową.

- Czy medycy nie mogą nic dla nich zrobić?

- Poza eutanazją już nic.

- Wobec tego powinni to uczynić, żeby nie odwracali ich uwagi od tych, których wciąż można uratować.

Alvez parsknął.

- Znasz uzdrowicieli równie dobrze jak ja, Huronie. Nawet najbardziej oczywiste prawdy nie pozwolą im się poddać w walce o każdą jedną duszę. Nasi lekarze są podobni.

- Chciałbym, żeby Gwardia Rynn i bojówki cywilne były równie stoickie.

Alvez zmarszczył brwi.

- Komisarze zadbają o dyscyplinę. Dzisiaj rano przeprowadzono kolejne egzekucje. Liczba dezertów spadnie na kolejnych kilka dni, choć nie sądzę, by wpłynęło to na ilość samobójstw.

- Tak bardzo boją się orków, że są gotowi odebrać sobie życie. - Grimm pokręcił głową. - Zupełnie tego nie rozumiem. Jeśli nie potrafią zacisnąć zębów i stawić czoła wrogowi...

Pozwolił sobie nie dokończyć zdania. Zamiast tego postąpił krok do przodu, oparł dłoń na rzeźbionej balustradzie i wychylił się przez krawędź. Poniżej zobaczył kilku niższych rangą eklezjarchów w beżowych szatach obszytych czarno-białą szachownicą, którzy chodzili pomiędzy zagubionymi i zrozpaczonymi ludźmi, dodając im otuchy słowami z imperialnego credo lub jednej z wielu jego ksiąg uzupełniających.

- Czy wszystko jest gotowe do ewakuacji, mój panie? Nie sposób ocenić, ile będziemy mieć czasu.

- Skoro ciężarówki są już na miejscu, starsi medycy rozpoczną procedurę

- powiedział Alvez. - Ci, którzy mają największe szanse na przetrwanie, będą mieć pierwszeństwo.

Na zewnątrz trwała nieustanna kanonada. Najbliższa sekcja muru obronnego padła mniej niż trzydzieści minut temu. Dwa plutony piechoty Gwardii Rynn i kompania czołgów Lemana Russ próbowała powstrzymać orki, które przedzierały się przez wylom, ale Szkarłatne Pięści wiedziały, że było jedynie kwestią czasu, gdy będą musiały się wycofać. Orki nacierały niczym niekończąca się fala, która zdobywała teren centymetr po centymetrze, zalewając ostatecznie całą dzielnicę. Kawalek po kawaleczku, orki powoli, nieubłaganie spychały imperialne siły w kierunku Srebrnej Cytadeli. W obecnej sytuacji Szkarłatne Pięści i Gwardia Rynn mogły jedynie próbować je spowolnić. Odzyskanie utraconych terenów było niemożliwe. Koszt w

ludziach i sprzecznie byłby stanowczo zbyt wysoki.

Gdy na niższym piętrze się zakotłowało, a pierwsi ramii zostali zabrani do północnego wyjścia, gdzie mieli wsiąść na oczekujące ciężarówki, kapitan Alvez złapał się na tym, że rozmyśla o Cevalu Ranparre, Mistrzu Floty. Czy mężczyzna zdołał uratować swój statek? Czy którykolwiek z okrętów kosmicznych Szkarłatnych Pięści zdążył uciec w osnowę? Miał taką nadzieję. Choć jego duma stanowczo protestowała przeciwko tego rodzaju myślom, prawda była następująca - bez znaczącej pomocy z zewnątrz, on i jego bracia ze Szkarłatnych Pięści mogli jedynie starać się utrzymać pozycję i przetrwać jak najdłużej. Ponad to...

Jeden z braci walczących gdzieś na zewnątrz budynku przekazał raport z sytuacji przy wyłomie. Alvez słuchał. Był to sierżant Lician z drużyny dewastatorów. Oddział sierżanta miał za zadanie osłaniać ogniem dwunasty Pułk piechoty Gwardii Rynn. Sądząc po głosie Liciana, sprawy przybrały zły obrót.

- Mój panie, pułkownik Cantrell wydał swoim ludziom rozkaz do regularnego odwrotu. Straciliśmy mur. Na ulicach roi się od xenos. - Niemal mimowolnie dodał.

- Ci ludzie walczyli dzielnie, bracie-kapitanie. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale obawiam się, że ta porażka była nieunikniona. Zielonoskórych przybywa niczym wody w czasie powodzi.

- Czy habitaty zostały ewakuowane na czas? - spytał Alvez.

- Duża część tak - odparł Lician. - Ale w przypadku wielu nie zdążyliśmy. Orki niszczą wszystko na swojej drodze. -W jego głosie dało się słyszeć nutę zgorzknienia. - Jeszcze nigdy nie słyszałem takich wrzasków.

- Podaj pozycję swojej drużyny, bracie.

- Wycofujemy się wraz z dwunastym Pułkiem. W chwili obecnej jesteśmy trzy kilometry na wschód od...

Lician przerwał w pół zdania. Alvez słyszał, że mężczyzna naradza się z innym bratem bitewnym. Po chwili, znów zwracając się do kapitana, Lician rzekł:

- Mój panie, musicie uciekać z pasażu! W waszą stronę...

Alvez nie usłyszał reszty. Przeciwnie ściana pasażu eksplodowała do środka w olbrzymiej chmurze pokruszonych kamieni, stali i szkła. Śmiercionośne odłamki poleciały we wszystkie strony. Ci, którzy stali najbliżej południowej ściany zostali zmiażdżeni. Coś olbrzymiego i ciemnego poruszało się w wielkiej chmurze pyłu, która obejmowała teraz połowę wnętrza.

Grimm, który wciąż stał przy kamiennej balustradzie, ryknął w kierunku niższego piętra.

- Zabierzcie stąd wszystkich!

Choć wzmacniacz wokalizacyjny w jego hełmie został ustawiony na maksymalną głośność, nikt nie usłyszał go przez ryk i charkotanie tego, co właśnie zaważyło połowę budynku.

Gdy kurz nieco opadł, poruszający się w nim cień przybrał wyraźniejszą postać.

- Padnij! - krzyknął kapitan Alvez, w ostatniej chwili odpychając Grimma na bok.

Rozległ się huk wystrzału z działa. W chwilę później balustrada, przy której sierżant stał jeszcze sekundę temu, wybuchła ogniem i odłamkami.

Alvez wycelował swój szturmowy bolter i wystrzelił w kierunku czarnego kolosa, który wyłonił się z dymu. Jego pociski jedynie zadzwoniły o pancerz. Silniki ryknęły,

gdy pojazd ruszył przed siebie, miażdżąc pod gaśnicami rannych mężczyzn i kobiety, którzy nie zdążyli uciec na czas.

Do środka wjechała olbrzymia, orcza pancernia, kompletny zlepek zrabowanych czołgów i transporterów, które zespawano ze sobą, tworząc jeden wielki pojazd gaśnicowy. Jej pancierz pokrywały poskręcane, czarne kolce, zaś pośród opancerzonych wieżyczek obracała się lufa opasłego działa.

Wszystkie armaty zwróciły się teraz ku Alvezowi i z hukiem grzmotu posłały w jego stronę niszczycielską salwę pocisków.

Gdyby Alvez nie miał na sobie pancerza terminatorów, eksplozje prawdopodobnie rozerwałyby go na strzępy, jednak w tym wypadku zranić go mogło jedynie bezpośrednie trafienie.

Kapitan zaczął się wycofywać pod osłoną dymu i pyłu, które wzbily w powietrze wybuchy. Grimmowi, który sam ledwo uniknął rozerwania na kawałeczki, nakazał iść przodem.

Znalazszy się na zewnątrz, zobaczyli, że wszystkie ciężarówki poza jedną odjechały, wioząc na pakach Rynnitów, których udało się ocalić. Żadna inna postać nie wyłoniła się już z budynku. Siedzący w szoferce ostatniego pojazdu kierowca, przerażony mężczyzna w stroju Gwardii Rynn, gorączkowo machał do nich ręką.

- Mój panie! - wrzasnął, przekrzykując odgłosy walącego się budynku. - Pospieszcie się. Wsiadajcie na pakę.

Ciężarówka okazała się ciężkim, wojskowym sześciokołowcem, który był w stanie zabrać na pokład trzy tony ładunku. Jego paka była nieosłonięta. Alvez spojrzał na nią z powątpiewaniem. Grimm wskoczył na podest. Całe zawieszenie przysiadło z jękiem. Kapitan szybko uczynił to samo. Kierowca wrzucił bieg. Z początku ciężarówka miała problem z przyspieszaniem, ale wkrótce zaczęli oddalać się od pasaży, mijając porzucone sklepy i habitaty.

Na oczach Alveza i Grimma tylna ściana pasaży Menzilon w końcu się zawaliła w wielkiej chmurze kurzu i dymu w kształcie grzyba.

- Myśli pan, że...? - spytał Grimm.

- Nie - odparł Alvez. - Trzeba czegoś więcej, by powstrzymać to coś.

Tok myślowy zakłócił mu nowy odgłos, ledwie słyszalny ponad tykiem silnika ciężarówki. Przypominał odległe, natarczywe bzyczenie i dochodził z południowego - wschodu. W zasadzie było to kilka podobnych odgłosów, które zlewały się w jeden.

- A niech to - zaklął kapitan. - Nadlatują orcze koptery!

Miał rację. Koptery spadły na nich z nieba, plując gradem pocisków. Ich szaleni, zielonoskórzy piloci szczerzyli kły z rozkoszy. Ogień z karabinów podziurawił pakę ciężarówki i zagrzechotał na pancierzach obu Kosmicznych Marines.

Alvez wycelował w pierwszy kopter i wystrzelił krótką serię z boltera szturmowego. Maszyna na chwilę obniżyła lot, ale utrzymała się w powietrzu. Sekundę później, gdy pocisk eksplodował, rozsadzając pilota od wewnątrz, bzyczący, jednoosobowy pojazd wpadł w korkociąg i uderzył w róg jednego z wysokich habitatów.

Pozostały jeszcze dwa koptery. Grimm strzelił ze swojego boltera i trafił w bak paliwa drugiej maszyny, zamieniając ją w oślepiająco jasną kulę żółtego ognia, która runęła na drogę za nimi.

- Nie zwalniaj! - ryknął Alvez do kierowcy. Odwróciwszy głowę, zobaczył

wyłaniający się mur Verano. Pozostałe ciężarówki już dawno znalazły się za jego bramami.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - powiedział kierowca z Gwardii Rynn.

Oczywiście, powiedział to nie w porę. Ostatni kopter orków zanurkował w ich stronę i zanim Grimm lub Alvez byli w stanie odpowiedzieć ogniem, wystrzelił w nich raketową salwę.

Większość rakiet przeleciała obok, ale jedna z nich świsnęła pod pojazdem, po czym uderzyła w ziemię. Wybuch wyrzucił w górę ciężarówkę, która zaczęła koziołkować w powietrzu. Grimm i Alvez spadli z paki i z hukiem wylądowali na ziemi. Od poważniejszych obrażeń uratowały ich jednak pancerze, dzięki czemu już po kilku chwilach zmierzali w kierunku bramy Verano.

Kierowca z Gwardii Rynn nie miał tyle szczęścia. Jego zmasakrowane, zakrwawione ciało leżało bez ruchu, w połowie w środku, a w połowie na zewnątrz strzaskanej szoferki.

Grimm biegł u boku Alveza, spowalniając swój krok, by dostosować tempo do znacznie cięższego pancerza terminatorów.

- A niech ich - splunął Alvez, rozglądając się na boki.

Z obu stron nacierała na nich skłębiona fala orków z karabinami i uniesionymi do uderzenia ostrzami, istny mur zielonych ciał i ostrego metalu. Obaj bracia Szkarłatnych Pięści natychmiast otworzyli ogień, kładąc trupem dziesiątki wrogów w pierwszych szeregach.

- Ruszaj się - warknął Alvez. - Musisz dotrzeć do bramy, Huronie. Musisz zamknąć ją zanim się przedrą na drugą stronę. Nie zamierzam dzisiaj tracić kolejnej dzielnicy.

- Nie opuszczę twojego boku - odparował Grimm. Jego głos drżał ze względu na odrzut boltera, gdy posyłał serię za serią w stronę hordy. Jego lewą ręką powędrowała do pasa, skąd wypiął granat odłamkowy. Odbezpieczył go kciukiem i rzucił w najbliższe kłębowisko zielonoskórych.

Rozległ się głośny huk i nieszczęsne orki z pierwszych szeregów eksplodowały w deszczu czerwonych flaków i jasnych kości. Grimm rzucił kolejny granat, zabijając następny tuzin dzikich bestii i to było na tyle. Zapas granatów wyczerpał się.

Do ryku hordy zielonoskórych dołączył teraz warkot silników. Łaziki i motocykle pracowały na wysokich obrotach, próbując się przebić, ale ulice były tak pełne orczej piechoty, że nie było dla nich miejsca.

- Nie zniosę niesubordynacji, sierżancie - warknął Alvez po między strzałami. - Nie teraz. Musimy zawrzeć wrota zanim orki przedostaną się na drugą stronę. Dotrzesz tam znacznie szybciej niż ja. Uruchom mechanizm. Prześliznę się zanim bramy się zamkną. Pamiętaj, że obowiązuje Protokół Ceres. Nie zamierzam ginąć z ręki tych kanalii.

Mężczyzna ostrzelał orki po swojej lewej stronie ogniem z boltera szturmowego, kładąc kilka trupem, ale zielonoskórych było tak wielu, że w ich miejsce pojawili się kolejni, zdeptując zwłoki poległych.

Grimm otrzymał rozkaz. Nie musiał mu się podobać, ale rozkaz to rozkaz. Wystrzelił ostatnią serię z boltera, po czym obrócił się i rzucił sprintem w stronę bramy Verano. Biegając, powiedział do kapitana przez komunikator:

- Nie pozwolę im zamknąć bramy dopóki nie znajdzie się pan po drugiej stronie.

Alvez zignorował jego słowa. Idąc tyłem, skupiał się na wybieraniu celów dla swojego szturmowego boltera, który wciąż trzymał orki na dystans. W lewej ręce ścisnął świecący miecz energetyczny, starożytne ostrze o nazwie Riad. Jego klinga, wykonana w dawno zapomnianej technologii, była w stanie przeciąć z łatwością pancerz czołgu. Jeśli orki zbliżą się na wyciągnięcie ręki, Alvez będzie mógł je zaszlachtować.

Nie odczuwał nawet odrobiny strachu przed zbliżającą się hordą. Spojrzawszy przez ramię, zobaczył, że Huron Grimm znalazł się już za bramą, a on sam miał do pokonania nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. Jednak przeklęta brama wciąż stała otworem.

- Grimm? - zagrział głos kapitana w komunikatorze. - Co, w imię Dorna, się tam wyprawia?

- Mechanizm, mój panie - odparł sierżant. - Zaciął się. Musimy zamknąć bramę ręcznie.

- Więc zróbcie to - warknął Alvez. Orki niemal siedziały mu na karku. Mężczyzna uniósł Riad do góry, gotowy do uderzenia. - Lepiej się pospieszcie!

Grimm nie mógł w to uwierzyć. Miał ochotę kogoś obwinić, a potem rozszarpać go na kawałki gołymi rękami. Żołnierze z Gwardii Rynn obsadzający mur strzelali z blanków do hordy orków, która otoczyła kapitana, ale ich karabiny laserowe były żałośnie nieskuteczne. Tylko ciężka broń - działka automatyczne, działa laserowe i ciężkie boltery - dawały jakikolwiek efekt trafiając w tłum xenos. Ale nawet one nie wystarczały, by zmusić orki do odwrotu.

Członkowie drużyny Grimma również byli na murze, kładąc ogień zaporowy, ale gdy tylko sierżant odkrył, że mechanizm bramy zawiódł, zawołał ich na dół do pomocy. Ręczne zamknięcie bramy oznaczało konieczność przepchnięcia obu jej skrzydeł jednocześnie. Z tyłu każdej sekcji wrót sterczały grube, metalowe sztaby, które to umożliwiały. Ale gwardzistom zajęłoby stanowczo zbyt wiele czasu, żeby przesunąć bramę choćby o centymetr. Zamiast nich do pracy zabrał się oddział Grimma, podczas gdy po drugiej stronie bramy ich dzielny kapitan starał się wyróżnić przez szeregi wroga krwawą ścieżkę.

Grimm usłyszał jego głos w komunikatorze. Mężczyzna dyszał ciężko nawet pomimo nadludzkiej możliwości jego genetycznie zmodyfikowanego ciała.

- Sierżancie, raport!

Grimm odpowiedział mu przez zaciśnięte zęby, napierając ze wszystkich sił na uchwyt i desperacko starając się zawrzeć wrota.

- Robimy co możemy, kapitanie - zdołał z siebie wydusić, ale nic ponadto.

- To nie wystarczy - odparł Alvez. - Pracujcie szybciej!

Grimm stękał, wkładając wszystkie siły w zamknięcie bramy. Obok niego na uchwyt napierało dwóch innych braci. Dwaj kolejni pracowali przy drugim skrzydle. Z murów docierały do nich głośnie i nieustające odgłosy wystrzałów.

- Nie jesteśmy w stanie utrzymać ich na dystans! - krzyknął oficer Gwardii Rynn.

- Jest ich zbyt wiele!

Grimm zawył z wściekłości. Wolałby być na zewnątrz u boku swojego kapitana. Na osnowę, miał zamknąć wrota, kiedy Drigo Alvez walczył po drugiej stronie z nieprzyjacielem?

*Rozkazy* - powiedział mu głos w głowie. *Musisz słuchać rozkazów.*

- Kapitanie - stęknął Grimm. - Jak daleko jest pan od bramy? Prawie ją zamknęliśmy. Zostały tylko trzy metry!

Była to prawda. Gwardziści mieli później opowiadać historie o niesamowitej sile Kosmicznych Marines. Taki wyczyn nie powinien nawet być możliwy. Skrzydła bramy ważyły po kilka ton. W założeniu do ich zamykania należało użyć potężnych maszyn, które były w stanie zewrzeć je ze sobą.

- Zamknijcie bramę - rozkazał Alvez.

Grimm natychmiast przestał pchać. Jego bracia poszli za jego przykładem.

- Mój panie...

- Powiedziałem, żebyście zamknęli tę przeklętą bramę, sierżancie. Ogłuchliście? Otoczyły mnie. Jest ich zbyt wiele, a jeśli się przedrą to, klnę się na Dorna, oskarżę cię o niesubordynację. Przysięgam ci, że to będzie twój koniec jako Astartes. Rozkazuję ci uratować tę dzielnicę i tak właśnie uczynisz. Ile setek tysięcy ludzi skryło się za tymi murami! Wykonaj rozkaz, Huronie!

Świadoma część umysłu Grimma sprzeciwiała się temu, ale jego warunkowanie psychologiczne sięgało niezwykle głęboko. Z dziwnym otepieniem jego ciało raz jeszcze zaczęło wkładać ogromny wysiłek w zapieczętownie bramy.

Ponownie jego bracia wzięli z niego przykład.

Ani się obejrzał, kiedy zadanie zostało wykonane. Stał teraz zdyszany, opierając hełm o grubą, metalową powierzchnię.

Posłał swoich braci z drużyny z powrotem na szanice, gdzie mogli wspomóc Gwardię Rynn siłą ognia, chociaż wiedział, że było już za późno. Natychmiast odczuł tę stratę w głębi duszy. Chwilę później brat Kia nawiązał z nim łączność. Ton jego głosu mówił Grimmowi wszystko. Nawet pancierz terminatorów miał swoje granice wytrzymałości. Kapitan nie był w stanie dłużej walczyć w obliczu tak przytłaczającej przewagi wroga. Poległ.

Grimm pozwolił, by ugięły się pod nim kolana. Przez całe życie nie czuł czegoś podobnego. Miał nadzieję, że już nigdy się to nie powtórzy. Mężczyzna wymacał lewą dłońią coś przy pasie, po czym oderwał przedmiot i uniósł go na wysokość wizerka. Była to małeńka, drewniana aquila, amulet, który stara, rynnicka kobieta próbowała wręczyć kapitanowi Alvezowi, gdy razem przemierzali ulice.

Grimm przyjrzał się jej z bliska. Otaczająca go bitewna wrzawa przycichła jedynie do szumu tła. Ta żałosna, mała ozdóbka miała chronić ludzi. Miała posiadać zaklętą moc, tak? Kobieta, pełna rewerencji dla Szkarłatnych Pięści, chciała, by to Drigo Alvez przyjął od niej talizman. Jednak to on, Huron Grimm, ostatecznie go od niej wziął. I to on przeżył.

Co to oznacza? - zaczął się zastanawiać.

Nic, odparł głos w jego głowie. Bardzo przypominał głos kapitana.

To nic nie znaczy, Huronie, powtórzył głos. To tylko kawałek drewna. Zniszcz go!

Automatycznie, w pewnym odrętwieniu, Grimm zacisnął pancerną rękawicę na małeńkiej ikonie, miażdżąc ją w drzazgi. Teraz powstań, powiedział głos. Wracaj do walki. Uhonoruj mnie. Uhonoruj zakon, jak cię nauczono. Grimm wstał, jak nakazał mu głos, załadował do boltera świeży magazynek, wdrapał się na blanki i wrócił do walki.

# 13

## Las deszczowy Azcalan

### Prowincja Rynnland

Pistolet Corteza szczęknął głucho, ale nie było czasu na zmianę magazynku. Marine miał przed sobą olbrzymiego orka, którego skóra miała barwę węgla. W każdej szponiastej łapie zaśliniona bestia trzymała metrowej długości tasak. Oba ostrza były ząbkowane niczym szczęki medeańskiego szarpacza. Nastąpił błyskawiczny atak. Cortez odruchowo przesunął się o krok w lewo, jeszcze zanim świadoma część jego umysłu zdążyła zarejestrować kąt uderzenia. Jego czas reakcji był wynikiem całych wieków sumiennych treningów.

Ostrza zielonoskórego berserkerka wgrzyły się głęboko w ziemię w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Cortez. W ułamku sekundy, które stwór potrzebował na wyszarpięcie broni z podłoża, rękawica energetyczna Marine zakreśliła w powietrzu łuk. Cios spadł na korpus potwora, zaliczając piorunujące uderzenie w odsłonięty bok orka. Trzask śmiertelnych energii zjonizował powietrze, wydzielając przy tym ostry, metaliczny zapach. Ork zawył i padł na kolana. Wielki, sferyczny kawałek jego ciała został doszczętnie zniszczony. Stwór runął na ziemię, brocząc posoką, ale Cortez jeszcze z nim nie skończył. Nie należało zostawiać rannego orka na polu bitwy. Obrażenia, które zabiłyby nawet Marine, mogły jedynie okaleczyć orka do czasu aż jego wypełniony algami organizm nie zregenerowałby się. Widział to już wcześniej.

W chwili, gdy truchło kreatury uderzyło o ziemię, Cortez uniósł opancerzoną stopę i opuszczył ją z całą siłą na głowę orka. Jeden, dwa, trzy razy. Z początku czaszka stwora opierała się potężnym ciosom, ale przy trzecim uderzeniu ustąpiła. Kości w końcu pękły, a mózg zamienił się w papkę.

Nie było czasu na świętowanie zwycięstwa. Wokół Corteza inni bracia bitewni prowadzili walkę w zwarciu. To właśnie w tych sytuacjach orki były najgroźniejsze. W tym się wyróżniały. Ich pierwotna, zwierzęca siła i dzikość były niezrównane wśród wszystkich obcych ras, może za wyjątkiem ohydnych tyranidów. Oczywiście w walce jeden na jednego Astartes mieli przewagę. Żadne żyjące istoty nie trenowały tak zawzięcie, by osiągnąć mistrzostwo w sztuce walki jak oni. Orki jednak nie walczyły w pojedynkę. Ich siłą zawsze była liczebność. Nacierają na nich całymi setkami, zupełnie jakby las wyrzygiwał ich po przypadkowym zjedzeniu czegoś trującego.

- Nie ustępujcie pola! - ryknął Cortez, dobywając noża bojowego. Jego długa klinga została zaostrzona na monomolekularnym poziomie, a następnie pokryta warstwą syntetycznego diamentu, podobnie jak noże wszystkich Szkarłatnych Pięści. Dzięki temu z łatwością cięły cielska orków, wyzynając wielkie, krwawe kawały mięsa z ich wyjątkowo muskularnych ciał.

Minęło kilka dni odkąd uratowali Dasata i jego pielgrzymów z obozowiska handlarzy niewolników, i był to już trzeci raz, gdy oddział z Arx Tyrannus wpadł na wędrowną

watahę orków. W poprzednich dwóch razach oddział pełniący rolę straży przedniej szybko radził sobie z problemem. Tamte bandy były relatywnie małe. Ta była o wiele większa. Nie było sposobu, aby ją wyminąć. Walka była nieunikniona.

Cortez usłyszał w komunikatorze głos Kantora, który rozkazał drużynie Viejo odciąć na północ wraz z uchodźcami i odciągnąć ich z dala od walki tak szybko jak to możliwe. W następnej chwili Mistrz Zakonu wpadł pomiędzy orki niczym śmiertelny wir, kładąc trupem każdego, kto próbował się zbliżyć.

Cortez z przyjemnością poobserwowałby niezrównane umiejętności przyjaciela w akcji, ale dwa wyszczerzone orki, nieznacznie mniejsze i jaśniejsze od potwora, którego Cortez dopiero co uśmiercił, rzuciły się na niego z dwóch stron. Cortez cofnął się o krok i toporne ostrza orków przecięły puste powietrze. Nie dał im czasu na odzyskanie równowagi. Wpojono mu, że każde chybione uderzenie stanowiło jego szansę. Mężczyzna skoczył w prawo, wrażając klingę ostrza noża bojowego głęboko w brzuch jednego z przeciwników, do tego stopnia, że poczuł jak sztych broni zgrzyta o wewnętrzną powierzchnię kręgosłupa. Niemal natychmiast szarpnął za rękojeść noża. Ząbkowana krawędź na górze klingi zahaczyła o wnętrze stworzenia, wrywając je przez ziejącą dziurę w podbrzuszu. Przez krótką chwilę stwór stał, patrząc na swoje poskręcane flaki z wyrazem otumanienia na swoim durnym pysku. Cortez zwrócił się już do drugiego przeciwnika, miażdżąc mu ręką w kolanie kopniakiem w nogę postawną. Ork upadł na drugie kolano z rykiem wściekłości i bólu. Ponownie błysnęła rękawica energetyczna Corteza. Nastąpił ostry trzask elektryczności i głowa stworzenia znikła w czerwonej mgiełce.

Martwe, bezgłowe ciało runęło w przód na klatkę piersiową, podrygując i brocząc gorącą krwią.

Cortez obrócił się i grzmotnął nasadą rękawicy w bok głowy drugiego orka, którego chwilę wcześniej wypatroszył nożem. Kolejne bezgłowe truchło zważyło się na ziemię, prosto w kałużę własnych flaków.

W komunikatorze Cortez usłyszał swoje imię.

- Alessio, spróbuj odciągnąć je na zachód. Twoja drużyna i oddział Segali weźmiecie je w kleszcze.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić - pomyślał Cortez, gdy jego rękawica energetyczna położyła trupem kolejną zieloną poczwagę.

Mężczyzna ujrzał kątem oka, że Mistrz Zakonu walczył w odległości zaledwie kilkunastu metrów od niego. Fenestra i Benizar trwali u jego boku, dając z siebie wszystko. Cortez rzucił się w wir walki jeszcze bardziej zaciekle, stając się zaledwie plamą niebieskiego ruchu. Masakrował kolejnych dzikich wrogów, gdy tylko ci wyłonili się z ciemnozielonej gęstwiny.

Cortez przekazał rozkazy Mistrza Zakonu swojej drużynie i wszyscy razem zaczęli się przesuwać na zachód, nie przerywając walki. Kantor podążał za nimi, grzmiąc przez komunikator:

- Tak jest! Niech za nami idą. Trochę na północ. Ściągajcie ich uwagę na siebie.

Drużyna Corteza pozwalała orkom stale zmniejszać dystans. Sami wycofywali się, oddając pola metr po metr. Roślinność przeredziła się, przez co orki traciły osłonę. Obieranie za cel nowych bestii stało się łatwiejsze, dzięki czemu liczba zabitych rosła. Łby zielonoskórych wybuchały w jasnych fontannach, gdy



perfekcyjnie umiejscowione pociski z bolterów eksplodowały im wewnątrz czaszek. Jeszcze chwila - pomyślał Cortez.

Ta chwila nadeszła. Orki chwyciły przynętę. Kantor nakazał drużynie Segali uderzyć na nie z zachodniej flanki i dokończyć dzieła. Ze schwytanych w śmiertcionośny ogień krzyżowy orków zostały jedynie krwiste strzępy. Te, które przetrwały, pierzchły z powrotem w las, gdzie ich zielone ciała zlały się w jedno z dżunglą. Przynajmniej na chwilę Kosmiczni Marines odparli zagrożenie.

- Na północ - powiedział Kantor. - Wkrótce zaczniemy zbliżać się do stolicy. Od tej pory będziemy podążać wzdłuż rzeki Rynn.

Drużyny Corteza i Segali ruszyły za nim.

Maszerując, Cortez ocenił zapasy amunicji. Sytuacja zaczynała być krytyczna.

Wyglądało na to, że musiał poprosić innych o dodatkowe magazynki.

Lepiej, żeby wkrótce dotarli do Nowego Rynn.

Kantor nie planował tej trasy. Od początku podejrzewał, że orki wykorzystywały rzekę Rynn jako szybką drogę do stolicy, niezależnie od miejsca lądowania awaryjnego. Teraz musiał powtórnie przemyśleć swoją decyzję. On i jego ludzie spoglądali na wartkie, chłodne wody i nie zobaczyli śladu po orczych łodziach.

Widzieli jedynie przepływające obok ludzkie zwłoki z rozrzuconymi rękami i nogami, których podziurawione plecy ledwie wystawały ponad powierzchnię wody. Byli to ludzie, którzy zginęli w górnym biegu rzeki, zapewne mężczyźni i kobiety z niewielkich osad z pogórza oraz górskich stoków, gdzie rzeka miała swoje źródła.

Trzech kolejnych pielgrzymów, których Kantor tak rozpaczliwie pragnął ocalić, wyzionęło po drodze ducha, jednak to nie rany były bezpośrednią tego przyczyną, ale wszystko co wycierpieli w niewoli. To i marsz przez dżunglę okazało się dla nich zbyt wyczerpujące. Jakimś cudem stary Dasat wciąż się trzymał, choć każdego dnia wyglądał na coraz słabszego. Kantor podejrzewał, że przywódca pielgrzymki wciąż czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo swoich ludzi. Miał zamiar doprowadzić ich do stolicy, niezależnie od wszystkiego.

Ostatnie starcie z orkami było czymś, czego Kantor za wszelką cenę chciał uniknąć. Każda potyczka kosztowała ich czas i cenną amunicję. Na dodatek ryzykowali, że ściągną sobie na głowę jeszcze większe siły wroga. Był jednak dumny z trzech naprędce skleconych drużyn, które z nim podróżowały. Przyparte plecami do przysłowiowego muru od momentu zniszczenia ich domu, walczyły niczym tygrysy bagienne, zostawiając za sobą szlak martwych xenos.

Po godzinie marszu Kantor i jego dwa oddziały w końcu dogonili drużynę Viejo oraz uchodźców, którzy zdążyli już dotrzeć na brzeg rzeki. Viejo zaszutował, widząc Mistrza Zakonu i zdał krótką relację. Nikt nie został ranny, ale niektórzy pielgrzymi byli w szoku wywołanym walką.

Dasat czekał za plecami Viejo aż sierżant zda raport, po czym, gdy ten się oddalił, skłonił się nisko, wykonując na piersi znak aquili.

- Chwała Imperatorowi, mój panie - rzekł stary mężczyzna - że nie odnieśliście żadnych ran.

Kantor zdjął hełm i spojrzał z góry na starca.

- Bywało gorzej - powiedział. - I zapewne będzie jeszcze nie raz.

Łzy spłynęły po policzkach starego mężczyzny.

- Pan i pana wojownicy nieustannie ryzykujecie dla nas życiem. Nie potrafię opisać wstydu, który odczuwam. Nigdy wcześniej nie widziałem tak bezinteresownego męstwa, panie. Nasze nic nie warte istnienia są dla was jedynie ciężarem. Macie ważniejsze sprawy.

Przepełniony żalem i poczuciem winy szloch wstrząsnął jego kościstymi ramionami. Kantor położył mu na ramieniu masywną dłoń w geście pocieszenia.

- Wystarczy, Dasacie - rzekł cicho swoim głębokim głosem. - Ten, kto żyje oddany Imperatorowi nie powinien umierać przedwcześnie z łap obrzydliwych, bezmyślnych xenos. Poza tym, jesteśmy prawie na miejscu. Jeśli się nie mylę, za jeden dzień będziemy w stolicy. Brzegiem rzeki dotrzemy do wzgórza Jadeberry. Musisz jeszcze przez jakiś czas być silny. Tam czeka nas kolejna bitwa. Moi bracia zrobią wszystko, żeby was chronić, ale będziemy potrzebować twojej siły. Pijcie wodę z rzeki. Szukajcie pożywienia. Spijcie, dopóki was nie obudzimy. Z łaski Imperatora ta podróż wkrótce dobiegnie końca.

Dasat pokiwał głową.

- Modłę się o pomyślny koniec, panie. Dla nas wszystkich.

Kantor zdecydował, że on również się pomodli. Nie na kolanach jak wielu wyznawców Imperialnego Credo, lecz poprzez akt dbałości o swoją zbroję i broń. Zamierzał cicho intonować święte wersety zakonu, litanie błagalne o siłę, skierowane do duchów maszyn, na których polegał. Pomyślał o Imperatorze. Szkarłatne Pięści, podobnie jak większość zakonów Astartes, nie czciły Pana Ludzkości jako boga, lecz jako ojca. Mimo to posiadający dar bracia z Librariusza od zarania istnienia zakonu twierdzili, że Imperator zawsze był wszechobecny niczym jasne, psioniczne światło, symbol nadziei, który istotnie zdawał się wzmacniać oddanie tych, którzy pracowali w Jego imieniu.

Kantor miał nadzieję, że On wysłucha modłów Desata.

Mężczyzna ruszył w stronę brzegu rzeki, gdzie Cortez i kilku innych zmywali posokę xenos z pancerzy.

Kantor wszedł na płyciznę i zaczerpnął w dłonie wodę, którą obmył swoją starożytną zbroję. Jest nas szesnastu przeciwko całemu światu pełnemu wrogów - pomyślał. Lecz mimo to przetrwaliśmy tak długo. Stoi za tym coś więcej. Mam nadzieję, że dożyję chwili, kiedy odkryję co.

# 14

## Cassar

- Sierżant Grimm był prawą ręką kapitana - powiedział Faradis Anto. - Poza urażoną dumą, nie widzę powodu dla twojego sprzeciwu, bracie.

Grimmowi to się nie podobało. W jaki sposób czcili pamięć o Drigo Alvezie, kłócąc się o to, kto będzie dowodził pozostałymi siłami? Czy bracia zebrani wokół ebonowego stołu w Strategium myśleli, że on tego chciał? Że tego pragnął? Gdyby mógł oddać własne życie, by odzyskać brata-kapitana, bez wahania chwyciłby ostrze i przebił sobie oba serca.

Rozwahał, czy im tego nie powiedzieć.

- Chcesz mnie obrazić, Anto? - warknął ostrzegawczo Barrien Gallacus. - Duma nie ma tu nic do rzeczy. Drigo Alvez był kapitanem i byłym bratem kompanii krucjaty. Ta ostatnia kwestia jest zasadnicza. Powinniśmy trzymać się hierarchii. Sierżant z kompanii krucjaty byłbym naturalnym wyborem.

- Kogo masz na myśli? - spytał Erdys Phrenotas.

Phrenotas dowodził czwartą drużyną tylnej straży kompanii krucjaty. Gallacus z kolei przewodził pierwszej drużynie straży przedniej. Grimm pokręcił głową z rozpaczy, gdy tylko Phrenotas otworzył usta. Wyglądało na to, że stara rywalizacja zdominuje teraz całą debatę. Cała nadzieja na szybkie rozstrzygnięcie sprawy właśnie wyparowała. A może nie?

Gallacus miał właśnie wdać się w werbalną potyczkę z Phrenotasem, gdy drzwi Strategium otworzyły się z hukiem i do środka wkroczyło trzech kolejnych Astartes.

- Co tu się wyprawia? - zapytała stanowczo postać pośrodku całej trójki. - Dlaczego marnujecie czas? Powinniście być na murach i dowodzić naszymi siłami. Co to ma znaczyć?

Mimo ostrego tonu jego głosu i nagłego zagęszczenia atmosfery, Grimm z trudem powstrzymywał cisnący się na usta uśmiešek. Oto był sposób na szybkie rozstrzygnięcie problemu. Prze-mawiającym mężczyzną był epistolariusz Deguerro. Po obu jego stronach stali kodyfikatorzy Terraro i Corda.

- Jesteśmy w trakcie wybierania tymczasowego dowódcy - wyjaśnił sierżant drużyny straży przedniej imieniem Hurien Thanator. Ruchem głowy wskazał sierżanta Anto i dodał:

- Niestety nasi bracia z drugiej kompanii nie potrafią uszanować hierarchii dowodzenia.

Deguerro zatrzymał się przy krześle Thanatora i groźnie spojrział na niego z góry.

- W takim razie ułatwię wam zadanie.

Przeniósł wzrok na Grimma, napotykając jego spojrzenie, i powiedział:

- Przejmuję tymczasowe dowodzenie nad naszymi siłami. Nie! - Uniósł otwartą dłoń w kierunku sierżanta Gallacusa. - Nie strzép sobie języka na jałowe debaty. Istnieje odpowiedni precedens. Możecie to sprawdzić w archiwach librarium na dole.

Sierżancie Gallacus, przejmie pan dowodzenie nad wszystkimi zasobami kompanii krucjaty. Sierżancie Grimm, będzie pan odpowiedzialny za drugą. i trzecią kompanię.

Obaj macie wykonywać moje rozkazy co do joty. Zrozumiano?

Gallacus gniewnie zacisnął szczęki, ale dobrze wiedział, że Deguerro miał rację. W przypadku braku kapitana, najwyższą rangę zyskiwał najstarszy stopniem członek librariusza. Po chwili pokiwał głową.

- Zrozumiano, bracie.

- Sierzancie Grimm? - spytał Deguerro.

- Jak rozkażesz, bracie odparł Grimm z niekłamana ulgą.

- Doskonale. Wobec tego nie ma potrzeby, byście dalej tu przesiadywali. Wasi bracia potrzebują was na murach. Gallacusi, będzie ci towarzyszyć brat-kodyfikator Terraro. Jako mój łącznik. Brat Cordo dołączy z kolei do sierżanta Grimma.

Zasiadający wokół stołu Astartes wstali z krzeseł i zaszalutowali, uderzając pięściami o napierśniki, niektórzy niechętnie, inni zupełnie szczerze.

Deguerro odpowiedział im takim samym salutem.

- Dziękuję, moi bracia. Niech Prymarcha będzie z wami.

Sierzanci w milczeniu wyszli kolejno przez szerokie drzwi z drewna ebonowego.

Zamykający pochód Grimm miał już do nich dołączyć, kiedy zatrzymała go dłoń na ramieniu. Odwrócił się.

- Musimy chwilę porozmawiać, bracie-sierzancie - powiedział Deguerro. Grimm dostrzegł niepokój w jego spojrzeniu.

- Chcesz, bym wyszedł, bracie? - spytał kodyfikator Corda.

- Nie - odparł Deguerro, nie odrywając oczu od Grimma. - Wiesz już, co mam do powiedzenia sierżantowi.

Corda skinął głową i czekał cierpliwie.

- Huronie Grimm - zaczął Deguerro - są dwie rzeczy, o które muszę cię prosić.

Pierwsza to zaufanie. Druga kwestia jest prawdopodobnie nieco bardziej skomplikowana. Wiąże się z niebezpieczeństwem, lecz jej powodzenie lub porażka mogą zdecydować o istnieniu wszystkich, którzy dotąd przetrwali.

- Mów dalej, bracie - rzekł Grimm, nawet nie starając się ukryć ogarniającego go uczucia niepokoju. Psionik był w stanie przejrzeć każdą maskę.

Oczy Deguerro były poważne.

- Członkowie librariusza przepowiedzieli pewne możliwości. Nazwijmy je potencjalnymi, jeśli wolisz. Sądzymy, że szereg silnych... bytów... zbliża się do Nowego Rynn. Jeśli przetrwają ostatnią część swojej podróży, ich przybycie może mieć znaczący wpływ na wynik tej wojny.

- Nie wydajesz się przekonany - powiedział Grimm.

- Tak właśnie działa nasz dar - powiedział ponuro Deguerro. - Czasami jest frustrująco niejasny. Wiemy, że dojdzie do jakiejś zmiany. Powoli zbliżamy się do rozwidlenia, krytycznego momentu w czasie, podczas którego przyszłe ścieżki rozejdą się w zupełnie odmiennych kierunkach. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by skierować tę rzeczywistość, naszą rzeczywistość, na właściwą ścieżkę.

Grimm spojrział na kronikarza, mrużąc oczy. Po chwili pokręcił głową.

- Pozostawię sprawy empireum w twoich rękach, bracie. Nie potrzebuję twoich wyjaśnień, tylko rozkazów. Powiedz, czego ode mnie oczekujesz, a obiecuję ci, że to uczynię.

## 15

### **Las deszczowy Azcalan, Prowincja Rynnland**

Rzeka zakreślała. Podążając jej śliskim brzegiem, Kantor i jego poobijani towarzysze w końcu ujrzeli wzgórze Jadeberry, które wyrosło w oddali ponad koronami drzew. Wzgórze miało znaczenie symboliczne. Reprezentowało, przynajmniej w umyśle Kantora, kres wędrówki, do której nigdy nie powinno było dojść. Jak potoczyłyby się wydarzenia, gdyby forteca-klasztór nie została zrównana z ziemią? Z jaką mocą zakon mógłby odpowiedzieć na atak xenos? Miał się nigdy tego nie dowiedzieć, podobnie zresztą, jak tego, w jaki sposób pojedynczy pocisk z baterii Laculum był w stanie wywołać takie zniszczenie wśród wszystkiego, co było mu bliskie.

Cortez również zobaczył zarys wzgórza wyłaniający się zza zakrętu rzeki i rosnących na jej brzegu drzew. Nawiązawszy połączenie z Kantorem, powiedział:

- W końcu zbliżamy się do celu, Pedro. Założę się jednak, że najtrudniejsze jeszcze przed nami.

- Jestem pewien, że masz rację - odparł Kantor. - Martwi mnie brak łączności. Z tej odległości powinniśmy odebrać jakiś sygnał, choćby słaby i fragmentaryczny.

- Viejo o niczym jeszcze nie raportował - powiedział Cortez. Drużyna Viejo pełniła rolę straży przedniej, wyprzedzając pozostałych o jakieś pół kilometra. - Zupełnie jakby wszystkie szerokopasmowe przekaźniki na planecie zostały zniszczone. To, albo orki wykorzystują jakąś technologię zakłócania łączności. Już kiedyś spotkaliśmy się z czymś podobnym.

Kantor spojrział w niebo ponad szerokim przestworem rzeki, które stanowiło mieszankę jasnego złota i ciemnych szarości. Wkrótce miała nadejść pora deszczów. Jak zachowają się wtedy orki? Czy w jakiś sposób wpłynie to na ich zachowanie? Zrozumiał, że istniała pewna luka w ich wiedzy. Praktycznie nie istniały żadne udokumentowane dane na temat wpływu pogody na zielonoskórych. Jeśli to przeżyje, zleci takie badania odłamowi biologów Adeptus Mechanicus. Tego rodzaju nauki były ich wyłączną domeną, natomiast siły w całym Imperium z pewnością by na tym skorzystały.

Po szaro-złotym niebie wciąż latały orczy statki, zostawiając oleście czarne smugi, które przypominały sztandary oznajmujące, że ten świat należał do nich. Sam ich widok wywoływał w nim poczucie złości i obrzydzenia. Wcześniej przesłaniały mu go gęste korony drzew Azcalanu.

Z każdą minutą wzgórze Jadeberry było coraz bliżej. Jego wierzchołek znaczyły skupiska szarych mauzoleów i aniołów z białego marmuru. Do podnóża wzniesienia mieli dotrzeć za godzinę. Przyglądając się wzgórz, Kantor dostrzegł na szczycie jakiś ruch. Nawet przy maksymalnym powiększeniu nie było jasne, co się tam działo, choć oznaki wymiany ognia potrafił rozpoznać niezależnie od odległości.

Mężczyzna otworzył kanał ogólny i powiedział:

- Musimy się spieszyć, bracia. Na wzgórzu wrze. Nasi bracia nas potrzebują.

Przygotujcie się.

Wzdłuż całego błotnistego nabrzeża maszerujący Astartes raz jeszcze zaczęli szykować ryszunek do walki, ładując ostatnie magazynki do wiernych bolterów i repetując broń.

Zwiększyli tempo, przez co uchodźcy za nimi musieli również przyspieszyć kroku, by nie zostać z tyłu.

Niezależnie od tego, co czekało ich na miejscu, Kantor i jego bitewni bracia musieli zwyciężyć albo zginąć, próbując pokonać wroga.

Był to jedyny znany im sposób.

## 16

### Wzgórze Jadeberry

#### Nowy Rynn

Grimm miał do dyspozycji jedynie cztery drużyny do obrony wylotu tunelu Jadeberry. To właśnie tu przysłał go Deguerro. Epistolariusz był pewien, że ci którzy zbliżali się do miasta, kimkolwiek byli, mieli dostać się do środka właśnie tą drogą. Nawet pomimo psionicznych oparów, przypominających gęste kłęby obcych myśli, które były z umysłów orczych psioników, kronikarze Szkarłatnych Pięści byli w stanie wyczytać to z prądów królestwa immaterium. Deguerro nie zdradził, kogo się spodziewał, zapewne po to, by nie rozbudzać fałszywych oczekiwań, ale Grimm nie potrafił stłumić własnych nadziei. Bez wątpienia byli to ocalali z Arx Tyrannus. Część Szkarłatnych Pięści musiała przetrwać. Czy mógł mieć nadzieję, że wśród nich był Mistrz Zakonu?

Podnóże wzgórza Jadeberry leżało zaledwie dwieście metrów na północ od wejścia do tunelu. Po południowym zboczu wzniesienia biegła błada, kamienista ścieżka, która prowadziła do cmentarza na szczycie. Na północny-zachód od wzgórza, od nurtu rzeki Rynn oddzielały się wody rzeki Pakomac, które meandrowały na południe, a potem na południowy-zachód, zasilając sieć kanałów w granicach miasta, by w końcu rozlać się po niezliczonych rowach irygacyjnych okolicznych farm. Ostatecznie Pakomac rozdzielała się na tysiące maleńkich dopływów, które spotykały się w potężnym Morzu Medejskim.

Rzeki i kanały nie przeszkadzały orkom w rozpełnieniu się po całym regionie. Wprost przeciwnie, zielonoskórzy postanowili wykorzystać to bogactwo wody. Zaczęli używać jej do zasilania swoich olbrzymich parowych maszyn, które wypełniały wzniesione naprędce kuźnie, bardzo przypominające splądrowane przez nich manufaktury. Ich pozycja była bardzo silna. Miasto zostało otoczone praktycznie całkowicie.

Wyglądając zza prowizorycznych barykad, które on i jego żołnierze naprędce wznieśli wokół wylotu ostatniego tunelu po tej stronie rzeki który wciąż znajdował się pod kontrolą Imperium, Grimm przeklinał wszystko, co zielonoskórzy dotychczas osiągnęli.

Stworzenia te były równie dzikie i brutalne co zawsze, ale nie dało się zaprzeczyć pewnej dozie intelektu, która stała za ich dokonaniem. Zniszczenie sieci komunikacyjnej Imperium było mistrzowskim posunięciem. Strategię tę orki najwyraźniej podpatrzyły podczas niezliczonych starć z siłami Imperatora. Aby osiągnąć taki właśnie cel, oddziały szturmowe Gwardii Imperialnej też bardzo często rozmieszczano na początku działań wojennych w taki właśnie sposób. Rzecz jasna siły uderzeniowe Astartes również brały udział w tego rodzaju operacjach. Ktoś powinien był zdać sobie sprawę z tego, że prędzej lub później orki zaczną uczyć się taktyki od swoich wrogów. Musiało minąć wiele czasu zanim tego rodzaju wiedza

dotarła do malutkich mózdków zielonoskórych, ale gdy w końcu tak się stało, takie były rezultaty.

Barykady - składające się głównie z prefabrykowanych ścian-tarcz typu Aegis, stalowych beczek wypełnionych betonem, drutu kolczastego i worków z piaskiem były najlepszym, co jego ludzie byli w stanie przygotować w tak krótkim czasie. Do tej pory udało im się odeprzeć cztery fale napastników, ale w sporej mierze zawdzięczali to polom min przeciwpancernych i przeciwpiechotnych, które Grimm kazał rozmieścić na głównej drodze dojazdowej, dorównującej wytrzymałością tarczom Aegis. Pole minowe zostało już mocno nadwyżęzone i nie sposób było stwierdzić, jak blisko podejrze następną falę napastników.

Jeśli od wschodu zmierzali w ich stronę jacyś Astartes, wkrótce odkryją, jakie wyzwanie czeka na nich zanim wejdą do miasta. Na długo zanim znajdą się w zasięgu ognia obrońców, bijące w niebo kolumny czarnego dymu i nieustanny huk ciężkiej artylerii dadzą im do zrozumienia, że orki kontrolują cały teren za murami miasta. Cały, poza tym jednym wejściem.

Lecz jak długo mamy na nich czekać? - zastanawiał się Grimm.

Wiedział, że przeciwnicy szykowali już kolejne natarcie na ich pozycje. Jeśli jego bracia z Arx Tyrannus rzeczywiście gdzieś tam byli, musieli się pospieszyć.

Mężczyzna spojrział w lewo, w kierunku szczytu wzgórza Jadeberry. Umieścił tam jedyną, którą mu przydzielono, drużynę dewastatorów. Było to doskonałe miejsce dla oddziału ciężkiego wsparcia ogniowego, czego dowiodły ostatnie godziny.

Dewastatorzy dysponowali dwoma działami laserowymi, dwiema wyrzutniami rakiet oraz działem plazmowym. Jak do tej pory zadali ogromne straty nacierającym, zamieniając ich pojazdy w płonące warki i unicestwiając setki żołnierzy wrogiej piechoty. Nie mieli jednak nieskończonych zapasów amunicji. Gdyby ataki przybrały na sile, wkrótce zaczną im jej brakować.

Wciąż obowiązywał Protokół Ceres. Deguerro nie zmienił decyzji Alveza, wiedząc, że kapitan postąpił słusznie. Wkrótce Grimm miał stanąć przed wyborem: ryzykować życiem swoich tymczasowych podkomendnych w imię niejasnego śladu psionicznego czy się wycofać, gdy stanie się jasne, że barykady wkrótce padną. Rozpaczliwie pragnął utrzymać pozycję do ostatniej chwili, dając nieznanym szansę na dołączenie do reszty sił, ale nie mógł za to płacić krwią swoich braci. Nie. Być może, gdyby Deguerro był pewien, że jest pośród nich Pedro Kantor lub jeden z kapitanów, wybór byłby łatwiejszy. W takim wypadku Grimm starałby się utrzymać niezależnie od okoliczności. Żołnierze w Nowym Rynn potrzebowali jakiegoś znaku; potrzebowali, aby powrócił do nich jeden z ich przywódców, członek rady zakonu. To bardzo wzmocniłoby ich morale.

Skoro jednak nie miał takiej pewności, czym mógłby usprawiedliwić śmierć jakichkolwiek Szkarłatnych Pięści? Te rozmyślenia rozstrzygnęły sprawę. Jeśli żadna z zaginionych Pięści nie dotrze tu do czasu odparcia kolejnej fali najeźdźców, wyda braciom rozkaz do odwrotu i zawali za sobą tunel. Nie mógł ryzykować, że orki dostaną się do miasta tą drogą. Kronikarze nie byli nieomylni. Od czas do czasu popełniali błędy, Deguerro zaś sam przyznał, że w ostatnim czasie musieli nieustannie zmagać się z psioniczną mgłą, która emanowała z niezdyscyplinowanych umysłów orczych psioników.



Grimm wciąż spoglądał w kierunku szczytu wzgórza Jadeberry, kiedy ujrzał tam jakieś ożywienie. W jego uchu zaszumiał trzask zakłóceń, a chwilę po nim rozbrzmiał głos:

- Sierzancie Grimm, xenos zbierają się do kolejnego ataku na barykady pod osłoną ruin na południowym-zachodzie. - Chwila ciszy. - Jest ich wiele, bracie. Znacznie więcej niż poprzednio.

Nie mogło być inaczej - pomyślał gorzko Grimm. Głos należał do sierżanta Tiriusa, jeszcze do niedawna oficera trzeciej kompanii pod dowództwem kapitana Drakkena. Surowy Tiberium i jego drużyna przeżyli kompletną klępkę na Badlanding tylko po to, by włączono ich do drugiej kompanii, gdzie wpadli z deszczu pod rynnę. Grimma cieszyła ich obecność. Tirius był silnym i prawym bratem o niezbyt rozdętym ego.

- Jakies pojazdy opancerzone? — spytał Grimm przez komunikator, mając nadzieję, że odpowiedź będzie negatywna.

- Naliczyłem pięć czołgów - odparł Tirius. - Zrabowane Lemany Russy. Ich wieżyczki zostały przerobione. W chwili obecnej nie potrafię powiedzieć, jaki jest ich zasięg i siła rażenia, ale gdy tylko znajdą się w zasięgu naszych dział laserowych i wyrzutni rakiet, obrócimy je w złom. Masz na to moje słowo.

Nieco uspokoiło to Grimma, choć obecność czołgów oznaczała, że orki postanowiły podwoić swoje wysiłki w przejęciu tego obszaru. Zielonoskórzy zawsze działali w ten sam sposób. Przy każdym kolejnym ataku stopniowo posyłali w bój coraz cięższe jednostki, dopóki problem nie został rozwiązany przy użyciu brutalnej siły. Grimm nie był defetystą, ale wiedział, że obrońcy Astartes w końcu ulegną. Musiał być realistą. Zależały od tego dziesiątki istnień.

- Szykujcie broń, bracia - zwrócił się do pozostałych przez komunikator. - Niech Dorn ma nas w swojej opiece. Nikt nie może się równać z synami zakonu. Nigdy się to nie zmieni.

Kolejne słowa przyszły mu do głowy mimowolnie. Słowa, które słyszał już na setkach pól bitewnych pośród gwiazd. Słowa tak bardzo uwielbiane przez kapelanów Szkarłatnych Pięści.

Istnieje tylko Imperator, recytowali kapelani przed walką.

On jest naszą tarczą i naszym obrońcą, odpowiadały im szeregi.

Grimm wypowiedział do swych braci bitewnych pierwszą linijkę. Włożył w nie całe swoje uczucie i w zamian otrzymał równie żarliwą odpowiedź. Żołnierze po jego lewej i prawej przeładowali broń. Byli gotowi.

Z gruzów na południowym-wschodzie wyłoniły się zwałiste postacie, wielkie, ponure kształty w rogatych hełmach, niosące sztandary ze zdartej, ludzkiej skóry. Odcięte głowy podskakiwały przy ich paskach i kołysały się na tyczkach podtrzymujących koślawo pomalowane chorągwie. Niektóre stworzenia zakute były w pudełkowate, ciężkie pancerze, lecz ich nadludzka siła sprawiała, że wciąż były dostatecznie szybkie, by przewodzić szarżującym.

Grimm zobaczył, że jeden z orków wyraźnie przewyższał innych rozmiarami. Rogi na jego hełmie wiły się najpierw na zewnątrz, a potem do środka, zupełnie jak u byka raumasów, z tą różnicą, że pokryto je ostrymi kawałkami stali.

Rogaty herszt uniósł w górę wielki, ryczący topór łańcuchowy i wydał z siebie długi,

gardłowy okrzyk bojowy, który wkrótce podchwyciło tysiące jego żołnierzy. Wyglądało na to, że orki nie odczuwają żadnego strachu, skądinąd słusznie, biorąc pod uwagę, że mieli naprzeciw siebie jedynie czterdziestu wojowników. Czy jednak zdawały sobie sprawę z tego, jak wiele mogła dać z siebie ta czterdziestka? Każda Szkarłatna Pięść na barykadzie była gotowa walczyć, jakby to były jej ostatnie minuty życia.

Zresztą, być może tak właśnie było.

Zrabowane czołgi wyjechały na otwartą przestrzeń, tłukąc się pomiędzy szkieletami strawionych przez ogień budynków, i skierowały swe paskudnie zmodyfikowane wieżyczki w kierunku Astartes. Jeden z nich otworzył ogień. Jego lufa plunęła paskudną mieszaniną dymu i ognia.

Pocisk upadł ponad sto metrów od barykady, jednak siła eksplozji wyrwała w skalbecie krater o głębokości dwóch metrów.

Był to sygnał do ataku, na który orki czekały. Zielonoskórzy rzucili się naprzód, wypełniając powietrze bojowymi okrzykami. Obiegali czołgi, uważając, żeby nie dać się zmiażdżyć pod ich gaśnicami.

- Spokojnie! - rozkazał Grimm. - Nie marnujcie amunicji!

Ze szczytu wzgórza Jadeberry coś pomknęło ze świstem w kierunku pierwszego czołgu, ciągnąc za sobą białą-żółtą smugę. Pocisk, przegryzając się przez metal, trafił prosto w wieżyczkę strzelniczą. Czołg stanął w miejscu. Sekundę później ze wszystkich włazów wystrzeliły czerwone języki ognia. Ze środka wypadły płonące postacie, które wrzeszczały, wymachując rękami.

Jeden z głowy - pomyślał Grimm.

Trepy orków znalazły się niemal w ich zasięgu. Grimm zobaczył krwiożerczy błysk w oczach olbrzymiego herszta.

No chodź, ty plugawa pokrako - zaklął sierżant. Zwróciłeś już moją uwagę. Pora, byś skosztował furii Szkarłatnych Pięści.

- Ognia! - ryknął przez komunikator. Wszystko inne utonęło w nagłym huk wystrzałów z boterów.

Rozgorzała bitwa.

Jeśli gdzieś tam jesteście, bracia - pomyślał Grimm, wystrzeliwując ze swojego pistoletu plazmowego jeden palący pocisk po drugim - to w imię Dorna, pospieszcie się. Wygląda na to, że może to być wasza ostatnia szansa.

Widok, który przywitał Alessio Corteza, gdy wyłonił się spomiędzy drzew lasu deszczowego Azcalan, stanowił obraz całkowitego chaosu. Miasto płonęło. Statki orków leżały na wpół zakopane w zewnętrznych sekcjach zawalonego muru. Wzdłuż pozostałych szanów grzmiące lufy dział artyleryjskich pluły ogniem, ale znacznie więcej armat odpowiadało im z poziomu gruntu. Pociski eksplodowały na murach, osłabiając je stopniowo, kawałek po kawałeczku. Szalone bestie zrobiły nawet wyłom w murze, wykorzystując jeden ze statków powietrznych jako taran!

Kantor i pozostali dołączyli do niego na skraju lasu i zamarli.

- W imię Dorna... - wydusił z siebie Mistrz Zakonu.

- Tam! - krzyknął brat Fenestra. - U podnóża wzniesienia.

Cortez natychmiast zobaczył, w czym rzecz. Wielka horda orków gnała w kierunku

rzędu imperialnych barykad. Niebieskie postacie wychylały się zza tarcz Aegis, by posłać kilka krótkich serii w kierunku nacierającego ze wszystkich stron wroga. Na południowy-wschód od umocnionych pozycji stało pięć czołgów, które teraz przypominały jedynie wypalone, czarne łupiny. Na oczach Corteza jasny strumień plazmy wystrzelił ze szczytu wzgórza Jadeberry i obrócił wielkie skupisko orków w bulgoczącą, poczerniałą masę.

Musimy im pomóc! - warknął Kantor, zrywając się do biegu.

Cortez był tuż za nim.

- Do boju! - ryknął do swoich braci bitewnych.

- Co z naszymi podopiecznymi, mój panie? - spytał sierżant Viejo, wypadając zza osłony drzew.

Do diabła z naszymi podopiecznymi - zaklął Cortez. Nasi bracia nas potrzebują.

- Wzgórze Jadeberry - odparł Kantor pomiędzy kolejnymi wdechami. - Tam będą bezpieczni.

Mistrz Zakonu niemal już dopadł orki, które wciąż jeszcze nie dostrzegły zagrożenia nadciągającego zza ich pleców. Podczas walki włączało im się widzenie tunelowe, przez co rzadko kiedy zauważały cokolwiek poza wrogiem przed nimi. Była to słabość, którą Szkarłatne Pięści wykorzystywały wielokrotnie w całej historii swych brutalnych walk.

Kantor wpadł pomiędzy zielonoskórych niczym ucieleśnienie gniewu i zemsty. Jego rękawica energetyczna roztrącała przeciwników na boki, miażdżąc organy i gruchocząc kości przy każdym uderzeniu.

Orki, ciasno stłoczone przez napierających towarzyszy, przez chwilę nie wiedziały, co je trafiło. Wciąż jeszcze zbierały się po nagłym ataku Mistrza Zakonu, gdy do walki dołączył Cortez i pozostali. U Corteza znów górę wzięły wieki nieustannych treningów. Czas w jego odczuciu zwolnił, zupełnie jakby funkcjonował wewnątrz jakiejś bańki, gdzie jego synapsy pracowały znacznie szybciej niż reszta świata.

Zaskoczone orki obracały się, by stawić mu czoła, ale ginęły zanim były w stanie unieść ostrza lub wycelować w niego broń. Kolejne, stojące za tymi pierwszymi, zdołały wymierzyć mu cios, ale ich uderzenia były absurdalnie powolne dla jego hiper-wrażliwych zmysłów. Niemal śmiał się w głos, parując je ceramitowymi karwaszami. Jego pistolet huczał przy strzałach niemal z przyłożenia, zabijając równie skutecznie co rękawica energetyczna.

Cortez ani na chwilę nie spojrzał za siebie, by sprawdzić, jak radzą sobie jego bracia. Ufał, że walczą z równą zaciekłością co on i miał rację, choć żaden z nich, za wyjątkiem samego Kantora, nie był w stanie dorównać szybkością i umiejętnościami walki wręcz kapitanowi czwartej kompanii.

Zanim Cortez zdał sobie sprawę z tego, co się stało, znalazł się po drugiej stronie orczej hordy. Przed nim były już jedynie barykady. Wyróżnił sobie krwawą ścieżkę przez sam środek kłębowiska obcych.

Rzucił się pędem przed siebie i przesadził murek z pancernych płyt oraz drutu kolczastego, po czym obrócił się z powrotem w kierunku orków, otwierając ogień z pistoletu. Każdy strzał niósł śmierć. Mężczyzna eliminował kolejne cele z szybkością, której nigdy nie byłby w stanie powtórzyć na strzelnicy. Do tego potrzeba było prawdziwej bitwy i adrenaliny, jaką wyzwalały jedynie sytuacje

bezpośredniego zagrożenia życia.

Strzelając raz za razem, zobaczył jak Pedro Kantor wiruje pośród szeregów wroga, przecinając arterie swym długim ostrzem o złotej rękojeści. Powietrze wypełniła mgiełka szkarłatnych kropel. Tam, gdzie nie wystarczał miecz, dzieło zniszczenia kontynuowała jego rękawica energetyczna. Jej moc była niesamowita. Została wykonana przez najlepszych mistrzów, przez co była równie piękna co śmiertcionośna. Zdaniem Corteza nigdy nie była równie cudowna co wtedy, gdy dokonywała rzezi na tych, którzy tak głęboko zranili jego zakon.

Cortez usłyszał w komunikatorze głos. Był to nowy głos -nowy pod tym względem, że nie należał do żadnego z szesnastu pozostałych Astartes, do których zdążył się przyzwyczaić na w ciągu ostatnich dziesięciu straszliwych dni.

- Kapitan Cortez! - krzyknął głos. - Oraz sam Mistrz Zakonu, na Dorna! Niech Imperator cię błogosławi, Deguerro.

- Przedstaw się, bracie - rzucił Cortez, kładąc trupem olbrzymiego, jednorękiego orka, który zamierzał zaatakować Mistrza Zakonu od tyłu.

- Jestem Huron Grimm - odparł głos. - Sierżant pierwszej drużyny taktycznej drugiej kompanii. My... czekaliśmy na was, kapitanie.

Drużyny Viejo i Segali również próbowały się teraz przebić przez horde. Wszyscy skupili się wokół Kantora, robiąc mu przestrzeń do walki. Cortez zastanawiał się, gdzie podziewała się reszta jego drużyny, kiedy przez lukę w szeregach zobaczył, jak osłaniają plecy Mistrza Zakonu.

Ze szczytu wzgórze Jadeberry sypał się ogień z dział laserowych i plazmy, tworząc wyrwy w szeregach wroga i zabijając dziesiątki zielonoskórych.

- Za barykady! - wrzasnął Kantor, po czym zerwał się do biegu i jednym susem przesadził przeszkodę, lądując na równych nogach tuż obok Corteza.

Gdy tylko opadł na ziemię, odwrócił się, a z obu luf Strzały Dorna wystrzeliły bliźniacze języki ognia. Potężnie umięśnione, zielone ciała eksplodowały od środka w rytmie wybuchających w krótkich odstępach mas-reaktywnych pocisków.

Mimo to cały czas coś nie dawało Cortezowi spokoju.

- Gdzie jest Benizar? - spytał przez komunikator.

- Gdzie Teves, Secco i Olvero? - spytał ktoś inny. Brzmiał jak Viejo.

Nie - pomyślał Cortez. To niemożliwe! Nie po to przebyliśmy taki szmat drogi, żeby teraz polegli.

Tak się jednak stało.

Kolejna kula plazmy spadła pomiędzy orki, zabijając wiele z nich i okaleczając albo przypalając inne. W szeregach wroga znów pojawił się wyłom. Przez tę lukę Cortez wypatrzył opancerzone monstrum w wielkim, rogatym hełmie, które uniosło jednego z braci w powietrze, trzymając go za krtań w potężnych, śliskich od krwi szponach energetycznych.

Był to przywódca szturmujących orków. Czyżby stwór poczuł na sobie spojrzenie Corteza? Czy wychwycił nienawiść kapitana, która mogłaby przebić się przez cały ten gwar i zamieszanie? Być może tak właśnie było, bo potwór odwrócił w stronę Corteza spojrzenie swoich czerwonych ślepi, a jego obcy, wypełniony masywnymi kłami pysk wyszczerzył się w uśmiechu. Spoglądając Cortezowi prosto w oczy, ork

zaczyna ostrza szponów.

Ciało w niebieskim pancerzu padło bez życia na zakrwawioną ziemię. Jeszcze przez moment hełm Kosmicznego Marine, którego głowa wciąż tkwiła w środku, spoczywał na wielkim szponie. Chwilę później herszt orków odrzucił go na bok, jakby miał do czynienia ze zwykłym śmieciem.

Sukinsyn! - wrzasnął Cortez, ponownie przeskakując przez barykadę. Wpadł pomiędzy orki, zmierzając prosto w kierunku morderczego ohydztwa pomiędzy nimi. - Alessio! - krzyknął Kantor przez komunikator, ale nic to nie dało. Zamiast tego pozostałe Pięści skoncentrowały swoje wysiłki na torowaniu kapitanowi drogi, pomagając mu się przebić.

Cortez mgliście zauważał ich wsparcie. Orki po obu jego stronach padały z wielkimi otworami po wybuchach w swoich ciałach. Gdzieś nad jego lewym ramieniem rozblęsnęło jasne światło, po którym z gardeł obcych wyrwały się agonizujące ryki. Usłyszał charakterystyczny świst rakiety, a chwilę później grunt zatrzęsął się pod jego stopami, gdy pocisk uderzył w ziemię trzydzieści metrów od niego. Eksplozja wyrzuciła w powietrze fontannę krwi i przypalonego mięsa, które sekundę później spadły jak deszcz.

Szkarłatne Pięści na wzgórzu - zdał sobie sprawę - wciąż zapewniają wsparcie ogniowe.

W następnej chwili stanął przed czarno opancerzoną bestią w rogatym hełmie. Przed swoim celem. Źródłem jego furii. Spostrzegł czarno-białą szachownicę na porysowanym pancerzu potwora. Zauważył ikonę na jego sztandarze z ludzkiej skóry - czerwoną czaszkę tura. Na koniec odnotował różnicę w ich wzroście. Herszt orków wyraźnie nad nim górował. Nawet pochylona, bestia była przynajmniej metr od niego wyższa.

- Trzymajcie pozostałych z dala ode mnie - warknął Cortez przez łącze. Nie musiał nawet tego mówić. Herszt orków ryknął coś, co z trudem przypominało mowę, po czym najbliższe orki odsunęły się, robiąc im miejsce.

- Tak jest - mruknął Cortez. Jego twarz wykrzywił wilczy uśmiech. - Jeden na jednego. - Mężczyzna wymacał rękojęć noża, po czym rozprostował palce rękawicy energetycznej. -Zmierzmy się, potworze!

Jego słowa zagrzmiały, zwielokrotnione przez wzmacniacz wokalizacyjny ustawiony na maksymalną głośność.

Ork ryknął w odpowiedzi, rozpoznając wyzwanie w jego tonie, choć same słowa były dla jego poszarpanych uszu nic nie znaczącym bełkotem. Długie, metalowe szpony kłapnęły kilka razy, jakby cała jego prawa ręka posiadała własną wolę, a jej bestialska natura miała apetyt na surowe, krwiste mięso.

W drugiej ręce ork trzymał topór łańcuchowy, którego żaden zwykły człowiek nie byłby w stanie unieść w powietrze. Zęby broni przypominały wściekłą płamę, wirując zbyt szybko dla ludzkiego oka. To właśnie tę broń stworzył w pierwszej kolejności, rozpoczynając walkę od druzgocącego, poziomego cięcia, którego Cortez uniknął o milimetry, opierając ciężar na nodze z tyłu, podczas gdy ostrze przemknęło tuż obok.

Pomimo pancerza i całej swojej masy potwór był szybki.

Cortez wiedział jednak, że jest szybszy.

Walka rozgorzała na dobre. Pozostali nie mogli zrobić nic poza dalszym masakrowaniem reszty orczej hordy. Wiedzieli, że nie należało bezpośrednio mieszać się do tego starcia. Zabraniał tego honor. Cortez powiedział *jeden na jednego* i tak miało pozostać.

Dla kapitana cały świat się skurczył. Istniał tylko on i jego przeciwnik, zwarci w pojedynku na śmierć i życie. Była to jego definicja istnienia.

Wkrótce miał zostać tylko jeden.

Śmierć otaczała ich ze wszystkich stron, gdy ich broń ścierała się raz za razem.

Zupełnie nie zwracali na to uwagi. Byli godnymi siebie rywalami, a odgłosy następujących po sobie, dudniących uderzeń wkrótce wypełniły wilgotne powietrze.

Cortez warknął, gdy jego rękawica energetyczna ponownie trafiła na zasłonę.

Olbrzymie, kłapiące szpony orczego herszta posiadały własne pole siłowe. Za każdym razem, gdy śmiercionośne pazury zderzały się z ogromną, czerwoną rękawicą Kosmicznego Marine powietrze wypełniały łuki śmiertelnie niebezpiecznej, trzaskającej energii.

W porównaniu z toporem łańcuchowym potwora, nóż bojowy kapitana wyglądał żałośnie, ale w rzeczywistości liczyła się wyłącznie wprawa z jaką posługiwał się bronią. Za każdym razem, gdy stwór ciął powietrze swoim toporem, Cortez przesuwiał się tylko tyle by uniknąć ciosu, a jego tnące i kłujące kontrataki powoli zaczynały dawać się przeciwnikowi we znaki. Ze szczelin w pancerzu potwora zaczęła się sączyć gęsta krew. Cortez miał wrażenie, że druzgoczące ataki przeciwnika stały się wolniejsze, może i o ułamek sekundy, ale to mu wystarczyło, aby znaleźć odpowiednią pozycję do zadania ostatecznego ciosu.

Herszt orków zdawał się wyczuwać, że walka nie idzie po jego myśli. Zmienił taktykę, markując uderzenie szponem, po czym zaatakował Corteza, gdy kapitan przygotował zasłonę.

Zadziałało. Cortez zaczął się z nim siłować, rozpaczliwie starając się utrzymać na nogach. Wiedział, że jeśli padnie pod ciężarem wszystkich tych blach i zielonych mięśni, to już nie wstanie. Zdawał sobie sprawę, że byłby to jego koniec.

Czy to był ten moment? Czy wszystkie historie, wszystkie legendy na temat jego nieśmiertelności, miały tutaj znaleźć swój koniec? Nie sądził, że tego rodzaju stwór mógłby z nim wygrać, lecz z drugiej strony, pomimo okoliczności, musiał przyznać, że był pod wrażeniem surowych umiejętności bojowych orka. Stwór z powodzeniem wykonał fintę. Było to coś, czego nie dokonał żaden zielonoskóry w starciach z Cortezem. Wewnątrz tępego łba bestii najwyraźniej działo się więcej niż początkowo przypuszczał.

Cortez na siłę odpowiedział siłą, ale tylko przez moment. Wiedział, że w ten sposób nie wygra tej walki. Upuścił nóż, uwalniając prawą dłoń, po czym chwycił lewy nadgarstek bestii, mimo że nie był w stanie objąć go w pełni. Przegub potwora był równie gruby co kolano Corteza. Dłoń w rękawicy energetycznej zacisnął na pancernej obudowie, z której wystawały wielkie, metalowe szpony, jednak pola energetyczne obu broni oddziaływały na siebie niczym dwa magnesy o tych samych biegunach, przez co chwyt był utrudniony.

Ork upuścił topór łańcuchowy z myślą, by rzucić się naprzód i pochwycić przeciwnika. Wiedział, że jeśli uda mu się powalić Corteza, wygra tę walkę. Naparł

całym swoim ciężarem i zaczął rzucać głową na wszystkie strony w nadziei, że jeden z jego stalowych rogów przebije wizjer Corteza.

W krtani kreatury zrodził się głęboki, chrapliwy śmiech. Stwór wyczuwał, że zwycięstwo jest już blisko. Wkrótce wgniecie Marine w ziemię, usiądzie na nim okrakiem i zacznie mu obcinać kończyny, jedna po drugiej. Wiedział, że ludzie pod swoimi skorupami są miękcy. Ich ciała odchodziły od kości równie łatwo co miąższ owoców od pestek. Ork lubił to robić. Podobały mu się towarzyszące temu fontanny gorącej czerwieni. Uwielbiał dźwięki wydawane wtedy przez ludzi, piskliwe krzyki i pełen agonii płacz, którym dawali upust w swych ostatnich chwilach.

Nadeszła ta chwila. Ork raz jeszcze naparł ze wszystkich sił, a jego wzmocnione łokami nogi nadały mu ogromnego impetu. Cortez poczuł, że uginają się pod nim nogi, ale tylko czekał na ostatnie pchnięcie orczej maskary. To właśnie w tym momencie herszt był najbardziej narażony na atak.

Cortez wykręcił ciało, zmieniając kierunek swojego pędu w tył i nieco w lewo, a nie w przód, jak oczekiwał potwór, mając nadzieję, że ten ruch nada przeciwnikowi jeszcze większego rozpędu.

Udało się. Masywny ork stracił równowagę i nie miał już szans jej odzyskać. Zachwiał się w przód na jednej, grubej jak pień nodze, desperacko próbując odzyskać równowagę.

Cortez był już za nim. Ceramitowym butem kopnął orka w nogę postawną, z głuchym trzaskiem trafiając go w tył kolana.

Stwór ciężko zwałił się na ziemię. Ciężki pancerz skruszył skalbetową powierzchnię. Ork kilkakrotnie ciął swoim szponem na oślep. Rozpaczliwe ciosy wymierzone były w nogi Marine, jednak Cortez nie stał w jednym miejscu dostatecznie długo, by dać się trafić. Zamiast tego postawił lewą nogę na plecach orka, uniósł nad głowę rękawicę energetyczną, po czym jednym ciosem przebił metalowe płyty pancerza. Jego dłoń zagłębiła się w gorącym, krwistym cieple.

Ork zawył z bólu.

Cortez znalazł to, czego szukał. Zacisnął wokół tego metalowe palce i szarpnął, po czym uniósł swoją zdobycz nad głowę z triumfalnym rykiem.

W przerośniętej, zakrwawionej rękawicy trzymał duży fragment kręgosłupa potwora. Pozostałe orki odwróciły się od barykad, wyczuwając jakąś zmianę. Zobaczyły Corteza stojącego nad ich poległym przywódcą, najsilniejszym z ich plemienia. Ujrzały masywne cielsko przygniecione butem i połyskliwą, białą kość w uniesionej dłoni. Orki, ze wszystkich rzeczy we wszechświecie, siłę rozumiały najlepiej. Natychmiast zdały sobie sprawę, że mają przed sobą przeciwnika, z którego siłą nie mogły się równać. Nie tu. Nie teraz.

Horda rozproszyła się, zapominając o imperialnych barykadach. Orki pierzchły w kierunku pobliskich zrujnowanych budynków, szukając osłony, ścigane ogniem z bolterów. Kolejnych dwadzieścia orków padło trupem z otworami wielkości grejpfrutów w plecach.

Cortez obserwował je przez chwilę, po czym w końcu opuścił ramię. Rzucił kręgosłup orka na ziemię. Ktoś zwrócił się do niego przez komunikator. Jego głos otrzeźwił go nieco i uspokoił. Jego podstawowe serce wróciło do swojego poprzedniego rytmu, pozwalając dodatkowemu sercu przejść w stan uśpienia.

Był to Pedro Kantor.

- Dobra robota - stwierdził mężczyzna.

Cortez słyszał w głosie Mistrza Zakonu napięcie, a nie dumę. Miał właśnie odpowiedzieć, ale uprzedził go inny głos.

- Wojska pancerne! - krzyknął sierżant Tirus. Dowódca drużyny dewastatorów wciąż przebywał na szczycie wzgórza Jadeberry.

- Sierzancie Grimm, czołgi orków suną ku nam od południa. Widzę dwadzieścia.

Tym razem nie damy im rady. Nasza amunicja jest na wykończeniu. Czy moja drużyna ma pozwolenie na opuszczenie pozycji?

Grimm odwrócił się do Mistrza Zakonu, natychmiast zdając się na niego.

- Byli z nami ludzcy uchodźcy - powiedział Kantor do Tirusa. - Rozkazałem im udać się na wzgórze na czas walki. Czy są z wami?

- Tak, panie - odparł Tirus. - Jeden z nich zmarł podczas wspinaczki. Stary mężczyzna. Jego serce nie wytrzymało.

Cortez skrzywił się. Zapewne mowa była o Dasacie. Nie miał wątpliwości, że Kantor ciężko to przyjmie.

Mistrz Zakonu zrobił jedynie krótką pauzę, po czym nakazał drużynie Tirusa natychmiast sprowadzić uchodźców po zboczu wzniesienia. Następnie zwrócił się do sierżanta Grimma:

- Nie potrafię wyrazić, sierzancie, mojej wdzięczności za utrzymanie dla nas tego przejścia. Przysięgam ci, że w odpowiednim czasie zostanie pan za to odpowiednio uhonorowany.

- Twoje słowa są dla mnie wystarczająco wielkim zaszczytem na tuzin żywotów, mój panie - odparł Grimm bez chwili wahania. - Fakt, że żyjesz jest dla mnie jeszcze większą nagrodą. Mieliśmy nadzieję, że to ty, panie.

- Skąd wiedzieliście, że ktokolwiek zmierzał do miasta?

- Kronikarze, mój panie. Wyczuli to. Epistolariusz Deguerro rozkazał nam utrzymać wejście do tunelu tak długo jak to możliwe.

Cortez zbierał się do tego, by pokonać barykady po raz ostatni tego dnia.

- Deguerro? - spytał.

Sierżant Grimm odwrócił głowę w jego kierunku. Jego głos przepelniał smutek.

- Kapitan Alvez już nami nie dowodzi.

- Nie masz chyba na myśli... - powiedział Mistrz Zakonu.

- Mój panie, kapitan oddał swoje życie w boju dwa dni temu - rzekł Grimm.

- Bardziej niż cokolwiek chciałbym, żeby mógł teraz zobaczyć wasz powrót. Wydaje mi się, że nigdy nie wierzył, że zginęliście w Arx Tyrannus. Zapada cisza. Cortez odepchnął na bok zwój drutu kolczastego i wdrapał się na wypełnione betonem beczki, po czym zeskoczył na dół i stanął u boku Kantora.

- Drigo - wyszeptał Mistrz Zakonu. - Na krew Dorna. Tylko nie on.

Cortez usłyszał przejmujący żal w głosie przyjaciela.

Nikt inny nie odezwał się do czasu aż drużyna Tirusa i uchodźcy nie dołączyli do nich kilka chwil później przy wejściu do tunelu.

Kobieta o zmierzwiionych blond włosach podeszła do Mistrza Zakonu i padła przed nim na kolana. Marines zmierzyl ją spojrzeniami. Na jej umorusanej twarzy widać było ślady po łzach.



- Mój panie - zaszlochała. - Dasat nie żyje. - Kobieta spojrzała ze strachem w kierunku sierżanta Tiriusa. - On nie pozwolił nam znieść ciała ze wzgórza. Tirius skinął głową, potwierdzając jej słowa.

- To wzgórze Jadeberry - powiedział Kantor do kobiety, schylając się, by pomóc jej wstać. Była krucha jak lalka. Ze względu na niedożywienie spod skóry sterczały jej ostre wypustki kości. - To wyjątkowe miejsce od czasów, kiedy sam Rynn podbił ten świat w imieniu Imperium. Pozwólmy Dasatowi spocząć tu w pokoju. Gdy ta wojna dobiegnie końca, jego śmierć zostanie odpowiednio uhonorowana, podobnie jak wielu innych. Na razie jednak musimy ruszać dalej. Nasza podróż jeszcze się nie skończyła. Wciąż nie jesteśmy bezpieczni.

Posłusznie kiwając głową, kobieta zdusiła w sobie płacz i udała się do pozostałych uchodźców, aby ich poinstruować.

Cortez wyczuł pierwsze oznaki nadciągających czołgów - drżenie ziemi pod stopami. Kantor również musiał to poczuć, bo wskazał na szeroki wlot do tunelu i powiedział:

- Niech pan prowadzi, sierżancie Grimm. Powinniśmy się pośpieszyć.

- Tędy, mój panie - odparł sierżant i zaczął schodzić w dół do tunelu.

Pozostali podążyli za nim. Za ich plecami usiane gruzami ulice zaczęły się trząść.

## Tunel Jadeberry, Nowy Rynn

Pedro Kantor ślaniał się na nogach z wycieńczenia, ale nie dawał tego po sobie poznać, maszerując za ludźmi z drużyny Grimma. Wyczuwał, że wszyscy otaczający go bracia byli zmęczeni, ale on, bardziej niż ktokolwiek inny, musiał jeszcze przez jakiś czas z tym walczyć. Znow był wśród swoich, dlatego spodziewał się, że będą żądać od niego dobrych rad, odpowiedzi i wskazania ścieżki na przyszłość, która zapewni przetrwanie ich starożytnego bractwa. Do niego należał obowiązek zapewnienia im tego wszystkiego, niezależnie od tego, jak bardzo niemożliwe mogło się to wydawać w tym momencie.

W tunelu było zupełnie ciemno. Na ścianach i pod sufitem rozmieszczono w regularnych odstępach lampy, ale były one zasilane z elektrowni położonej poza granicami miasta, która padła łupem orków niedługo po rozpoczęciu konfliktu. Rzecz jasna, Szkarłatne Pięści bez problemu poruszały się w mroku, jako że ich noktowizory i genetycznie zmodyfikowane oczy były w stanie wypatrzeć każdy szczegół, ale uchodźcy potrzebowali źródła światła, aby nie zostawać w tyle. Dlatego właśnie brat Galica, który zamykał pochód, trzymał nad głową zapaloną flarę. Od czasu do czasu, kiedy uchodźcy zaczynali zwalniać, dodawał im kilka słów otuchy lub przypominał, że zielonoskórzy depczą im po piętach. To ostatnie zawsze działało na nich ożywczo.

Tunel był szeroki na około czterdzieści metrów, a sufit znajdował się dwanaście metrów nad poziomem drogi. Całą tę betonowo-kamienną konstrukcję podtrzymywały kolumny, które wyrzeźbiono na podobieństwo zakapturzonych postaci, czterdziestu dwóch akolitów w służbie słynnego imperialnego zdobywcy Saldano Malverro Rynn. Upiorne, czerwone światło z flary Galici rzucało głębokie cienie między fałdami ich kamiennych tóg.

Kantor wyłowił w mroku kanciaste sylwetki dwóch dużych ciężarówek.

- Czy nie poruszałibyśmy się szybciej, korzystając z tych pojazdów? - spytał Grimma.

- Posłużą do innych celów, panie - odparł sierżant. - Ich paki wyładowaliśmy materiałami wybuchowymi. Gdy oddalimy się na bezpieczną odległość, uzbroję ładunki. Pierwsze orki, jakie tu dotrą, spowodują wybuch, który sprowadzi im na głowy strop i wody rzeki Pakomac.

Kantor skinął głową.

- W takim razie miejmy nadzieję, że będą nas ścigać całą hordą.

Cortez parsknął z rozbawieniem.

- Wątpię w to - powiedział Grimm - choć siły Snagroda są ogromne. Wstyd jest mi przyznać, jak wiele terenu oddaliśmy wrogowi do tej pory.

- Do diabła ze wstydem - rzucił Kantor. - Wykazaliście się o wiele większym męstwem niż ktokolwiek mógłby oczekiwać. Kto inny byłby w stanie utrzymać się tak długo przeciwko tak potężnemu Waaagh? Nigdy więcej nie mów mi o wstydzie.

- Jak sobie życzysz, panie - odparł Grimm. Wracając do poprzedniego tematu, dodał

jeszcze: - Ten tunel stanowi ostatnią drogę na tereny opanowane przez Imperium. Po jego zawalaniu zostaniemy właściwie odcięci od świata.

- Pomoc w końcu nadejdzie - oznajmił Kantor. - Krzyżowiec zdołał uciec.

- To już coś. Mam nadzieję, że wkrótce sprowadzą pomoc. Kapitan Alvez objął nasze siły Protokołem Ceres. Epistolariusz Deguerro również uznał to za mądre posunięcie. W słowach Grimma pojawiło się zawoalowane pytanie. Czy słynne poczucie honoru Kantora i jego współczucie dla zwykłych ludzi zmusi go do unieważnienia dekretu Alveza?

- Protokół Ceres będzie dalej obowiązywać - powiedział Mistrz Zakonu. - Drigo miał rację, stawiając w pierwszej kolejności przetrwanie zakonu.

Miał wrażenie, że gdy to powiedział, Cortez rzucił mu spojrzenie z ukosa.

- Jak na ironię, kapitan oddał własne życie, naruszając jego zasady - ciągnął Grimm.

- Gdyby nie jego poświęcenie, zginęłyby tysiące żołnierzy Gwardii Rynn i cywilów.

- Zaskoczył cię - zauważył trafnie Kantor.

Coś w głosie sierżanta Grimma sugerowało, że mężczyzna uśmiechał się przy odpowiedzi.

- To prawda.

Pięści znalazły się teraz na wysokości dwóch ciężarówek. Kantor zauważył, że celowo ustawiono je w przestrzeniach po między trzema, szerokimi kolumnami.

Zniszczenie tych kolumn naruszało integralność strukturalną całego stropu.

Spadające skały mogły zetrzeć na proch i pogrzebać nawet najtwardsze maszyny orków, natomiast podążające w ślad za nimi lodowate wody rzeki Pakomac były w stanie zrobić z xenos miazgę albo ich utopić. Tak czy inaczej oznaczało to ich koniec.

Xenos potrzebowali do życia powietrza tak samo jak ludzie.

Jakaś częśćka Pedro Kantora chciała to zobaczyć. Żałował, że jego świadomość nie może opuścić ciała, jak u psionika, aby móc być świadkiem tego śmiertelnego odwetu. Była to jednak tylko jakaś mała część. Moce, którymi dysponowali bracia były na równi przekleństwem i błogosławieństwem. Doskonale wiedział, jak często Eustace Mendoza musiał ścierać się z demonami z osnowy i jak wiele wysiłku musiał wkładać, by każdego dnia opierać się ich złowrogim zakusom. Kantor dźwigał na swoich szerokich barkach dostatecznie duże brzemie, by brać na siebie jeszcze dodatkowy ciężar.

Pięści nie zwalniały kroku. Grimm streścił Mistrzowi Zakonu wszystkie wydarzenia od dnia, kiedy pierwsze statki obcych wylądowały na planecie. W zamian Kantor opowiedział mu o tragedii w Arx Tyrannus. Rozdrapywanie psychologicznych ran w żaden sposób mu nie pomagało, ale dzielny sierżant i jego ludzie zasłużyli na to, by usłyszeć tę historię z ust swojego przywódcy.

Przetrwanie zakonu wciąż było niepewne. Nie zostało zbyt wiele, by go odbudować.

Przed nimi nieco pojaśniało. Białe światło dnia rozpraszało mrok pod niewielkim kątem, zwiastując rychły koniec podróży tunelem. Zajęło im to niemal dwie godziny.

Niektórzy uchodźcy zwolnili tak bardzo, że Kantor kazał Pięściom zająć pozycje z tyłu i nieść tych, którzy znaleźli się na granicy omdlenia.

Ledwie postawił lewą stopę na wąskiej rampie prowadzącej z tunelu, gdy usłyszał za sobą potężne dudnienie. Omiótł ich nagły podmuch powietrza, które uciekało z głębi

tunelu w kierunku jego wylotu.

- Odpalili ładunki wybuchowe! - wrzasnął Huron Grimm, przekrzykując narastający łoskot.

Uchodźcy zaczęli pochlipywać ze strachu.

- Biegiem! - rozkazał Kantor. - Zabierzcie stąd tych ludzi!

Astartes chwycili cywilów i z hukiem rzucili się w stronę rampy prowadzącej w kierunku prostokąta światła dziennego. Dudnienie za ich plecami stopniowo narastało. Kantor usłyszał Alessio Corteza, który krzyczał przez komunikator na swoich braci bitewnych.

- Szybciej, bracia! Dorn gardzi powolnymi!

Hałas za ich plecami stał się ogłuszający. Wszystkie inne słowa zginęły w kakofonii. Przewodzący grupie sierżant Grimm rzucił się pędem przed siebie, inspirując pozostałych do tego samego.

Wypadli z tunelu na chwilę przed tym jak spienione kłęby wody i luźnych kamyków eksplodowały z dołu, przemaczając ich do suchej nitki. Fala ścięła niektórych z nóg, ale już po kilku sekundach wytraciła cały impet.

Kantor obrócił się i zobaczył, że jego Szkarłatne Pięści z powrotem stawały na równe nogi, przyciskając do siebie przesiąknięte, rozdygotane sylwetki uchodźców.

- Wszyscy cali? - spytał, szukając jakichkolwiek oznak urazów.

Jedynie kilku uchodźców było nieco poturbowanych.

Kantor zobaczył, że Alessio Cortez wskazuje coś za jego plecami i gestem nakazuje mu się odwrócić.

Odwrócił się.....i ujrzał drużynę braci bitewnych w ciężkich pancerzach terminatorów, którzy mechanicznym krokiem zmierzali w ich kierunku.

W komunikatorze powitał ich głęboki, oschły głos.

Należał do Rogo Victurixa.

- Witamy w Nowym Rynn!

Uciechy w jego głosie nie dało się pomylić z czymkolwiek innym. Niemal śmiał się w głos z radości, widząc swego dowódcę w dobrym zdrowiu, pomimo wszystkiego, co zaszło.

Victurix wskazał gestem swój ciężki pancerz.

- Ukląkłbym, gdybym mógł, panie. Widzę, że kapitan Cortez podtrzymuje swoją opinię nieśmiertelnego. Naprawdę dobrze cię widzieć, bracie.

Cortez skinął głową i zaszutował, uderzając pięścią w tors.

Kantor szeroko uśmiechnął się pod zasłoną płyty twarzowej. Victurix i jego drużyna byli pierwszymi żyjącymi członkami jego kompanii krucjaty, jakich zobaczył od czasu kataklizmu w Diabelskich Ostrzach. Na Terre, co to był za widok!

- Co tutaj robisz, Rogo? Bez wątpienia przydalibyście się na murach.

Victurix zatrzymał swój oddział około cztery metry przed nimi. Uchodźcy nigdy wcześniej nie widzieli pancerzy terminatorów. Sądziłi, że Mistrz Zakonu i jego trzy drużyny marines są masywni, ale nawet oni nie mogli się równać z nowo przybyłymi. Gapili się z wybałuszonymi oczami na olbrzymie, niebieskie behemoty, podczas gdy inne Szkarłatne Pięści, które wyniosły ich z tunelu, stawiały uchodźców na ziemi.

Żaden z ludzi nie śmiał się ruszyć. Sierżant Victurix rzucił im przelotne spojrzenie, po czym ponownie przeniósł wzrok na Mistrza Zakonu. Jego ton odrobinę

spoważniał.

- Mury, które możemy utrzymać, są bezpieczne, mój panie, ale ta ich część wkrótce padnie łupem wroga, dlatego nie możemy zwlekać. Na placu na zachód stąd czekają już na nas transportery. To tylko kilka minut drogi.

- My - dokończył, rozkładając ręce - jesteśmy waszą eskortą.

## CZEŚĆ TRZECIA

*Nim tego typu teorie Eklezjarchia uznała za herezję, za którą groziła kara śmierci, niektórzy ludzie wierzyli w światy równoległe - nieskończoną liczbę fizycznych miejsc podobnych do naszego wszechświata, gdzie wszystko było możliwe.*

*Chociaż uważam się za człowieka pragmatycznego, łatwo jest mi zrozumieć zauroczenie tego rodzaju wierzeniami. Jeśli istniały jakieś równoległe światy, to w wielu z nich orki nigdy nie najechały Świata Rynn.*

*Każdego dnia żałuję, że nie żyję w jednym z takich wszechświatów.*

fragment: Zapiski z szańców - wspomnienia pułkownika w st. spocz. Poritiusa Cantrella (948.M41)

# 1

## Nowy Rynn

### Prowincja Rynnland

Pewnego dnia imperialne biblioteki zapełnią opasłe woluminy opisujące wydarzenia w Świecie Rynn. Miliony pergaminowych stron zostanie pokryte zapiskami o bohaterskich czynach i samo poświęceniu. Samobójcza szarża szesnastej rynnickiej kobiecej milicji przeciwko orkom, które przedarły się przez bramę Baradona zostanie zapamiętana tak samo jak kolejne akty męstwa, które to wydarzenie zainspirowało. Zupełnie jak odważny, lecz niezwykle kosztowny kontratak, przeprowadzony przez pluton trzeciego garnizonu Gwardii Rynn przeciwko orczej artylerii, która obróciła Zona 2 Residentia w gruzy.

Dzień po dniu ostatni wolni mieszkańcy Świata Rynn dowodzili swej determinacji, kurczowo trzymając się desperackiej nadziei, że może właśnie dzisiaj wielka flota Imperium spadnie z nieba i zdziesiątkuje obcych najeźdźców. Każda godzina, kiedy opierali się niezliczonej hordzie Arcypodpalacza, Snagroda, była dowodem na ich siłę i wiarę, ich odwagę i pasję. Każda godzina życia była okupiona krwią i potem. Na wszystkie te opisane wydarzenia, ile jednak przypadało takich, które zostaną zapomniane? Żaden imperialny dokument nie opowie o szlachetnej śmierci sierżanta Pacalisa Filiana, mężczyzny w średnim wieku i dowódcy oddziału, który urodził się na wyspie Calliona. Wiedząc, że wróg lada dzień zdobędzie tę sekcję muru, Filian poprowadził nocny wypad przeciwko orkom, które rozbiły obóz pod murami miasta. Żaden z jego ludzi nie wrócił żywy, ale straty po stronie przeciwnika były zdecydowanie większe.

Żaden mężczyzna i żadna kobieta nie opowie też o ostatnich godzinach życia kapitana Golrida Prinasa z drugiej kompanii dziewiątego Pułku Artylerii Gwardii Rynn. Prinas i jego lojalni artylerzyści walczyli do ostatniej kropli krwi przeciwko istnemu zalewowi orczych maszkar, po czym ściągnęli na siebie ostrzał sojuszniczej artylerii, sprowadzając pociski na własne głowy, gdy stało się jasne, że ich pozycje zostały bezpowrotnie stracone. Gdy śmierć spadała na niego z nieba, Prinas wypowiedział słowa:

Oddaję swoje życie za Świat Rynn, klejnot Imperium, który ustępuje swym pięknem jedynie Terrze.

Ci dzielni wojownicy i miliony innych ginęli za swój świat, za swoich bliskich i za łaskę Imperatora. Nikt jednak nie walczył tak zaciekle, tak nieustraszenie i bezinteresownie, jak ostatnich trzystu osiemnastu braci bitewnych ze Szkarłatnych Pięści.

Choć zielonoskórzy nieubłaganie zbliżali się do Srebrnej Cytadeli i otaczających ją dzielnic, Szkarłatne Pięści kazały im płacić ogromną cenę krwi za każdy zdobyty centymetr. Pochód zielonoskórych zwolnił do żółtego tempa. Za każdym razem, gdy pojawiały się ich pojazdy pancerne, baterie obronne zamieniały je w złom. Gdy orki próbowały wysadzić mury przy użyciu ładunków wybuchowych lub przebić się

przez bramy za pomocą wysokoenergetycznych odpowiedników broni laserowej i termicznej, dziesiątkował je grad pocisków z bolterów i dział plazmowych. Na każdy cios ze strony orków, Szkarłatne Pięści odpowiadały kontratakami, gromadząc wszystkie dostępne siły. Powoli oblężenie przerodziło się w śmiercionośną rutynę, gdzie o przyszłości świata miała zdecydować wojna na wyniszczenie.

Nawet pory roku, niezmiennie od czasów poprzedzających moment, w którym na Świecie Rynn powstała ludzka stopa, nie oparły się efektom Waaagh. Zaledwie tydzień po tym jak Mistrz Zakonu Kantor przybył do stolicy rozpoczął się matiluvia, miesiąc smagających deszczy, który w niczym nie przypominał swoich poprzedników. Zarówno Pakomac, jak i rzeka Rynn, wylały ze swych koryt i podtopiły okoliczne ziemie, zamieniając zdobyte przez orki, zewnętrzne dzielnice w brudne, cuchnące grzęzawiska pełne insektów. Odchody orków mieszały się z wodami powodziowymi, pokrywając dosłownie wszystko. Gdy deszcze ustały i nadeszła pora upałów, powietrze wypełniła śmierdząca, żółto-brązowa mgiełka, która ograniczyła widoczność do zaledwie pięciu lub sześciu kilometrów, wprawiając w zakłopotanie obserwatorów artyleryjskich Gwardii Rynn oraz żołnierzy obsadzonych na czujkach.

Lato sprowadziło na oblężonych inne kłopoty. Choć rzeka Rynn płynęła przez środek miasta, przez co dostęp do wody pitnej nie był żadnym problemem, lejący się z nieba żar odcisnął na obrońcach swoje piętno. Gwardziści służący na murach dzień po dniu musieli zmagać się ze straszliwym upałem. Wielu z nich zgłaszało się do punktów medycznych, skarżąc się na dolegliwości wywołane przez bliźniacze słońca systemu Rynnstar. Inni po prostu mdleli tam gdzie stali. Ilu z nich komisarze zastrzelili za spanie na służbie? Ilu żołnierzy osłabionych wycieńczeniem, nieostrożnych ze względu na odmawiające posłuszeństwa ciała, zginęło od kul zielonoskórych, pomimo, że mogli żyć dłużej, gdyby tylko dano im czas na odpoczynek?

Jedynie Marines byli odporni na to wszystko. Deszcz nie robił na nich wrażenia. Ukrop w ogóle im nie przeszkadzał. Zaczęły krążyć plotki. Tworzono nowe legendy. Niektórzy twierdzili, że Pięści nie musiały jeść. Inni mówili, że nie potrzebowały snu. Jeszcze kolejni utrzymywali, że nie można było ich zabić i jeśli zajdzie taka potrzeba, będą walczyć przez tysiąc lat, nawet jeśli do tego czasu nie przeżyje żaden cywil.

Być może takie pogłoski uspakajały co poniektórych, ale rzeczywistość była o wiele bardziej ponura. Nawet Adeptus Astartes nie mogli walczyć wiecznie. Waaagh Snagroda z każdą chwilą przybierało na sile. Nikt nie podważał, że każdy z braci bitewnych był o wiele bardziej zabójczy niż zwykły ork, ale Szkarłatne Pięści znały prawdę. Wiedziały, że przegrywają, a ta świadomość bardzo ich złościła.

Lato przeszło w jesień. Być może orki preferowały bardziej umiarkowane pory roku. A może im też dało w kość rynnickie słońce. Któż to wiedział? To byli obcy.

Wszelkie próby ich zrozumienia zostały zakazane imperialnymi edyktami. Mogli to robić jedynie uprawnieni do tego ludzie. Niewątpliwie jednak jesień ich rozbudziła. Zielonoskórzy nasilili swoje ataki. Ich liczba wydawała się rosnąć, pomimo codziennych strat. Coraz więcej maszkar każdego dnia krążyło po zrujnowanych ulicach miasta, łupiąc ciała poległych towarzyszy w poszukiwaniu sprzętu oraz



zębów martwych, których używali jako swego rodzaju waluty. Późną jesienią xenos zaczęli wznosić pierwszy ze swoich masywnych, żelaznych zigguratów. W powietrzu wciąż unosiła się żółta mgła, przez co szczegółowa obserwacja ich działań była niemożliwa, ale było jasne, że pracują zgodnie z jakimś planem. Budowla została szybko wzniesiona i wkrótce zaczęto prace nad kolejnymi. Na okupowanych przez obcych terytoriach wciąż płonęły ognie, ale płomienie zniszczenia zastąpiły ognie z fabryk.

Pesymiści twierdzili, że był to znak nadciągającego końca. Orki budowały swe plugawe konstrukcje poza zasięgiem Basilisków i Earthshakerów. Obrońcy mogli jedynie patrzeć. Widok olbrzymich kominów i bloków konstrukcyjnych odniósł efekt natychmiastowy. Wzrosła liczba samobójstw zarówno wśród rynnickich cywili, jak i wśród żołnierzy, nawet pomimo ostrzeżeń i gróźb ze strony komisarzy. Jeśli ośmielisz się obrazić Imperatora, odbierając sobie życie, powtarzali wszystkim odziani na czarno zeloci, ci, których najbardziej kochasz poniosą za karę o wiele bardziej bolesną niż śmierć.

Z początku efekt był taki, że pogrążeni w rozpacz mężczyźni mordowali z łaskawą szybkością całe swoje rodziny, po czym obracali broń przeciwko sobie. Była to sytuacja nie do przyjęcia. Każda osoba zdolna do trzymania karabinu laserowego powinna przebywać na murach.

Z szanów ludzie widzieli jak ich planeta płonie. Siły Arcywroga podpałały wszystko, co znalazło się na ich drodze. Pola stały w płomieniach. Lasy trawiły pożary. Nic nie umknęło przed wygłodniałymi płomieniami. To właśnie wtedy, gdy w wielu zaczęły gasnąć ostatnie promyki nadziei, lady Maia Cagliestra podjęła decyzję. Choć większość członków Wyższej izby Rynn była temu przeciwna, gubernator pozostała nieugięta. Kobieta postanowiła, że ona i grupa szlachetnych dam uda się na mury, by nieść światło i pocieszenie zmęczonym żołnierzom, którzy ich bronili. Wicehrabia Isopho osobiście wyraził przeciw temu płomienny protest. Maia planowała odwiedzać te fragmenty muru, gdzie walki były najcięższe, gdyż jak sądziła to właśnie tam mężczyźni potrzebowali największego wsparcia. Błagania wicehrabiego początkowo nic nie dały, ale w końcu Maia zgodziła się odwiedzać mury jedynie nocą, gdy walki zwyczajowo ustawały. Podczas gdy żołnierze odpoczywali, miała więcej okazji, by z nimi porozmawiać, rozdając przy tym pożywienie i wodę. Stało się to jej rutyną. O zmierzchu każdego dnia, ona i grupa dam robiły się na bóstwa - *Żeby żołnierze wiedzieli, o co walczą*, mówiła każdemu, kto pytał - po czym udawały się pod zbrojną eskortą na kolejny fragment murów. Bardzo szybko ich wizyty stały się bardzo wyczekiwany punkt wieczoru przez oddziały Gwardii Imperialnej i członków milicji, choć komisarze zmuszeni byli dokonać kilku egzekucji na mężczyznach, którzy czynili nieprzyzwoite propozycje. Maia próbowała to ignorować. Po raz pierwszy od rozpoczęcia działań wojennych czuła, że nie chowa się jak tchórz w Srebrnej Cytadeli, kiedy jej ludzie umierają. Dwa tygodnie po tym, jak gubernator zaczęła odwiedzać mury, wicehrabia Isopho ogłosił, że rezygnuje ze stanowiska w Wyższej Izbie Rynn i dołącza do Gwardii Rynn jako oficer armii. Twierdził, że zamierza walczyć u boku pozostałych żołnierzy, co powinien uczynić każdy prawdziwy Rynnita. Jeśli chciał tymi słowami zawstydzić innych członków rządu i zmusić ich do pójścia w swoje ślady, srogo się przeliczył.

Maia przeprowadziła prywatną rozmowę z generałem Mirem i upewniła się, że Isopho zostanie umieszczony na jednej z bezpieczniejszych sekcji murów, chociaż nieustannie chwaliła wicehrabiego za jego męstwo. Mimo wszystkich tych zabiegów, straty w ludziach Gwardii Rynn, a także brak oznak nadchodzącej odsieczy, sprawiały, że morale wciąż topniało. Pojedyncze Szkarłatne Pięści zaczęły patrolować te sekcje murów, na których do tej pory ich nie widywano. Zdecydowano się na to po sugestii młodego kapelana Astartes imieniem Argo. I to podziało. Widok opancerzonych olbrzymów, dumnych i wspaniałych mimo wszystkiego, co przeszli, wciąż robił ogromne wrażenie na zwykłych ludziach. Astartes wzbudzali w nich wiarę i oddanie wszędzie tam, gdzie się pojawili. Starali się pocieszać żołnierzy i walczyli z nimi ramię w ramię. Liczba samobójstw zmalała. Obrońcy się trzymali. Snagrod i jego siły znalazły się w chwilowym impasie. Lecz prace nad bronią, która miała zakończyć tę wojnę, już się zaczęły.

Wraz z nadejściem zimy arcywróg i jego dzicy podkomendni posłali jeszcze większe siły do konstruowania fortów i fabryk broni. Ludzie mogli jedynie z coraz większym strachem obserwować jak powoli i nieubłagane powstawały najpotężniejsze maszyny wojenne, jakie kiedykolwiek stworzono.

Większość nigdy nie słyszała o gargantach. Niewielu mieszkańców Świata Rynn posiadało odpowiednie uprawnienia, które dałyby im dostęp do archiwów Munitorum, w których można było znaleźć zapiski o tych niemal niezniszczalnych, metalowych kolosach. Jednak pozostali przy życiu dowódcy Gwardii Rynn wiedzieli, co się szykuje. Podobnie jak Szkarłatne Pięści.

Rozważano możliwość przeprowadzenia kilku chirurgicznych uderzeń, które doprowadziłyby do zniszczenia tych olbrzymich machin wojennych zanim zielonoskórzy użyją tej potężnej broni do zniszczenia bram i skruszenia murów miasta. Pomysł ostatecznie upadł.

Tego rodzaju operacja wiązała się z wielkim ryzykiem i utratą wielu braci bitewnych. Siły konieczne do podtrzymania impasu zostałyby zdziesiątkowane. Orki zwyczajnie rozpoczęłyby budowę maszyn od nowa. Wziąwszy pod uwagę, że reszta planety była pod każdym względem zdominowana przez rasę zielonoskórych, ich zasoby były niemal niewyczerpane.

Życia Astartes w zamian za kupienie sobie czasu? Mistrz Zakonu Kantor nie mógł na to pozwolić. Jak by na to nie spojrzeć, straty przewyższały zyski.

Przyszła sroga zima. Śnieg był w stolicy czymś niezwykle rzadkim. Nowy Rynn leżał blisko równika i zimy były tu znacznie łagodniejsze niż w rejonach górskich.

Gdy spadł pierwszy śnieg, wychudzone dzieci ze stolicy wyległy na ulice i spoglądały w niebo ze zdziwieniem. Mało kto pamiętał tak piękny widok. Piękny, to fakt, ale również śmiertelny. W ciągu kilku dni pojawiły się pierwsze ofiary niespodziewanie mroźnej zimy. Ta pora roku okazała się niemal równie brutalna co letnie upały i zebrała takie samo żniwo. Najśłabsze dzieci umierały dziesiątkami, zostawiając pogrążonych w rozpacz rodziców, którzy ledwo trzymali się na nogach, nie wspominając nawet o walce z wrogiem. Zmarło również wiele osób starszych. Komisarze i eklezjarchowie znów wyruszyli pomiędzy ludzi, grożąc im lub próbując pocieszyć, w zależności od tego, co lepiej działało.

Po raz kolejny to obecność Kosmicznych Marines przyniosła największą otuchę. Właśnie teraz, w tej najczarniejszej godzinie, Pedro Kantor postanowił podnieść wzrok znad codziennych raportów ze stratami i hololitów taktycznych, i wyruszył między ludzi.

Zobaczył społeczeństwo rozbite, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Czuł ich rozpacz, zupełnie tak jakby była i jego udziałem. Wciąż miał świeżo w pamięci tragedię, która nawiedziła Arx Tyrannus. Od tego pamiętnego dnia nie dawała mu ona spokoju. Jednocześnie wytworzyła też swego rodzaju więź między nim, a tymi, którzy gromadzili się wokół, utraciwszy wszystko, co kochali najbardziej.

Stał przed nimi, trzymając połyskliwy hełm pod lewym ramieniem, i przysięgał, że walka jeszcze nie dobiegła końca. Mówił im, że Krzyżowiec zdołał uciec w zeszłym roku. Podróże przez osnowę były nieprzewidywalne, ale zapewniał, że pomoc w końcu nadejdzie. Załoga Krzyżowca ich nie zawiedzie.

Oni zaś słuchali. Gdy spoglądali na niego z klęczek, widział w ich oczach nadzieję. Chcieli mu wierzyć, dlatego im na to pozwalał. Gdzieś w głębi duszy sam wciąż jeszcze wierzył.

Nadeszła wiosna. Śniegi stopniały. Poranki stopniowo stały się cieplejsze. Nadzieja, którą szerzył Kantor, utrzymała się wraz z nadejściem łagodniejszej pogody.

Jednak za murami miasta sytuacja była inna. Nowa fala ekscytacji doprowadziła orki do morderczego szału.

Konstrukcja gargantów dobiegała końca.

Wkrótce planeta miała zatrzęść się od ich ciężkich kroków. Bogowie śmierci i zniszczenia ruszą w kierunku ostatniego bastionu Imperium, ścierając na proch wszystko na swojej drodze.

Obrońcy Nowego Rynn przez osiemnaście miesięcy odpierali wszystkie siły, jakie rzucił na nich Snagrod. Lecz w walce z pochodem gargantów nie mieli żadnych szans.

## 2

### **Cassar, Zona Regis, Nowy Rynn**

Za osłoniętymi przez tarcze próżniowe murami Srebrnej Cytadeli, stał Cassar, ostatnia, nietknięta skutkami wojny forteca Szkarłatnych Pięści. Na jej dachach i wieżycach ustawiono wielkie działa, które płynnie wirowały na mechanicznych podstawach w lewo i w prawo, wypatrując zagrożeń z powietrza. Poniżej, na wychodzącym na południe balkonie, stał Pedro Kantor. Mężczyzna spoglądał na zasnuty mgłą horyzont. Czarne słupy dymu biły w niebo z niezliczonych miejsc na podbitych przez orki ziemiach. Chorobliwie zielonkawe i brązowawe opary unosiły się z olbrzymich kominów. Daleko poza zasięgiem imperialnych dział i wyrzutni rakiet sunęły transportery i powietrzne maszyny zielonoskórych, których brzęczenie i warkot były słyszalne mimo dzielącej ich odległości.

Stojący u boku Kantora Alessio Cortez warknął coś, obserwując horyzont skąpany w świetle poranka.

- Powtórz, bracie - powiedział Kantor. - Obawiam się, że cię nie słuchałem.

- Powiedziałem, że orki obróciły przeciwko nam nawet to przeklęte powietrze.

Kantor pokiwał głową. Wśród swoich raportów widział również te od medyków. Reakcje alergiczne, problemy z oddychaniem, różne rodzaje raka, śmierć z powodu zawartych w powietrzu toksyn - od zimy liczba takich przypadków znacznie wzrosła. Niegdyś był to piękny świat, zielony i żyzny, niezwykle bogaty i różnorodny pod względem fauny i flory. Orki go splugawiły. Zatrwały, spaliły i pokryły jego powierzchnię bliznami. Nawet gdyby jakimś cudem udało się oczyścić go ze wszystkich xenos, prawdopodobieństwo, że Świat Rynn wróci do dawnej świetności była czymś przekraczającym nawet jego pojęcie.

Blizny, podobnie jak szramy na jego własnym ciele, miały pozostać tu na zawsze.

- Kolejna sesja Wyższej Izby Rynn rozpocznie się za godzinę - powiedział Cortez.

- Wiesz już, co chcesz im powiedzieć?

Rozważyłem twoją propozycję, Alessio, ale nie wyślę wszystkich moich Szkarłatnych Pięści na pewną śmierć. Mam już dość powtarzania tego. Zakon musi przetrwać, niezależnie od wszystkiego. Nie zamierzam być ostatnim mistrzem Szkarłatnych Pięści. Zakon musi przetrwać.

Cortez parsknął szyderczo.

- Nic nie powstrzyma gargantów, obaj to wiemy. Wkrótce na nas ruszą. Gdy już zdobędą kilka ostatnich dzielnic, zwrócą swoje działa przeciwko Srebrnej Cytadeli, a gdy tarcze próżniowe w końcu zawiodą, zapędzą nas w kozi róg i wybiją do nogi.

- Uniósł dłoń. - Proszę, Pedro. Wiem, że sądzisz, że pomoc jest już w drodze, ale ile jeszcze będziemy siedzieć i czekać? Pozwól mi podjąć tę walkę przez wzgląd na wszystko, co razem przeszliśmy.

Kantor spojrział na wschód, lecz tego dnia mgła była wyjątkowo gęsta. Widział rzekę, której wody płynęły w kierunku Medeanu, nie ujrzał jednak samego oceanu.

- Prosisz, żebym zniósł Protokół Ceres, byś mógł w zamian poprowadzić samobójczą szarżę - powiedział cicho głosem pełnym gniewu. - Prosisz, bym rzucił do walki

swoich najlepszych żołnierzy w zamian za chwilową chwałę. Upadłeś na głowę, Alessio?

Cortez zmarszczył brwi i postąpił krok do przodu, kładąc dłonie na kamiennej krawędzi balustrady balkonu.

- Wiesz, ilu naszych braci wyraziło swoje poparcie dla ostatniej, chwalebnej szarży?  
- spytał.

Kantor skinął głową.

- Niemal połowa - odparł. - Wszyscy, co do jednego, nie mają racji. Gra toczy się o większą stawkę niż tylko honorowa śmierć.

Cortez obrócił się na pięcie. Jego oczy płonęły gniewem.

- Jesteśmy Szkarłatnymi Pięściami! Honor jest dla nas wszystkim!

Kantor zmierzył swojego przyjaciela równie srogim spojrzeniem. Ogień i lód  
- pomyślał. Zawsze byliśmy tak bardzo różni od siebie. Ogień i lód.

- Mówię ci bracie, że równie wielki honor możesz uczynić, chroniąc tych ludzi.

Wolisz, żeby historia zapamiętała, że zakon pozwolił im umrzeć?

- I tak umrą - syknął Cortez.

Kantor skoczył naprzód. Choć Cortez był szybki, zwinność Mistrza Zakonu

zaskoczyła go. Sekundę później znalazł się w potężnym uścisku swego pana.

Przez chwilę obaj mężczyźni zastygli w bezruchu. Napięcie trzeszczało między nimi niczym elektryczność statyczna. W spojrzeniu Kantora szalała furia zimowej zamieci, lecz z jego ust nie padły żadne słowa. Nie przeczył, że coraz szybciej tracił nadzieję.

Wiedział doskonale, co oznaczałyby pierwsze kroki gargantów i że wszystko rozstrzygnie się, gdy tylko te metalowe lewiatany zostaną ukończone. Snagrod nie mógł się już doczekać. Naczekał się już dostatecznie długo. Być może nawet był już tym wszystkim znudzony i łaknął nowych zdobyczy w innych światach.

Być może został tu tylko dlatego, że Szkarłatne Pięści walczyły dalej, nie chcąc w końcu szesznąć.

Kantor rozluźnił chwyt. Jego twarz ogarnął smutek.

- Tak wielka przepaść między nami, Alessio - powiedział. - Przez całe wieki tak nie walczyliśmy. Co się z nami stało?

Słyszając te słowa, Cortez ochłonął tak szybko jak świeżo wykute, rozżarzone ostrze, które ktoś włożył do wody.

- Jesteś Mistrzem Zakonu - odparł. - Przed przybyciem orków nie służyliśmy na jednym polu bitwy od czasu, gdy objąłem dowództwo czwartej kompanii. To ty wyświadczyłeś mi ten honor, Pedro, i dałeś mi swobodę, by wykonywać twą wolę bez twojej obecności. Wszystkie wygrane bitwy stoczyłem po swojemu. I nigdy nie przegrałem. Teraz chcę dostać głowę Snagroda... na moich warunkach. Pragnę zemsty za wszystkie Pięści, które zabił. Jeśli ceną będzie moje własne życie, to będzie to niewielka zapłata za oddanie honoru poległym. Wszyscy bracia, którzy zdecydowali się ze mną wyruszyć, zadali sobie to samo pytanie i znaleźli w swym sercu tę samą odpowiedź. Życie za zemstę. Czekamy wyłącznie na twoje błogosławieństwo. Pozwól nam wyruszyć jak prawdziwym wojownikom przystało. Poprowadź nas osobiście. Do diabła z przyszłością!

Kantor ponownie spochmurniał. Zrobił krok w kierunku wyjścia z balkonu.

Cortez chwycił go za przedramię, zatrzymując go w miejscu.

Kantor spojrzął na dłoń starego przyjaciela, po czym powoli uniósł wzrok w ostrzegawczym spojrzeniu.

Cortez puścił jego rękę.

- To ja jestem zakonem - rzekł Kantor lodowato, odwracając się do niego plecami.

- Honorowi Szkarłatnych Pięści przysłużysz się tylko i wyłącznie służąc mnie.

Mężczyzna przeszedł przez łukowate drzwi balkonu i zniknął w ciemnej komnacie za nimi. Po głowie kołatała mu się myśl, że powinien pomodlić się w rekluzjum o wskazówki przed rozpoczęciem sesji Wyższej Izby Rynn. Było jeszcze coś, o co chciał się pomodlić.

Sama myśl o śmierci Alessio Corteza zmroziła go bardziej niż myśl o jego własnym końcu. Nieśmiertelny Cortez, żyjąca legenda Szkarłatnych Pięści. Czy zakon miałby bez niego jakiegokolwiek szanse?

Idąc oświetlonymi przez pochodnie korytarzami, Mistrz Zakonu spojrzął wstecz na swoje życie i zrozumiał, że nie określała go jego ranga, ani dokonania na polach bitew, lecz trwająca kilka wieków więź braterstwa z kapitanem czwartej kompanii. Od momentu upadku Arx Tyrannus wież ta stanowiła fundament, którego uczeplił się kurczowo. Była jedyną pewną rzeczą w całym morzu śmierci i straty. Wiedział, że jego serca nie przetrwałyby zerwania tej więzi.

Gdy wkroczył do cichej, uświęconej komnaty rekluzjum Cassaru, pomyślał o czekających na nich wyzwaniach i wiedział, że tego dnia jedna modlitwa nie wystarczy.

Osobisty sługa epistolariusza Deguerro, Ufrien Kofax, czekał niespokojnie przed rekluzjum na pojawienie się Mistrza Zakonu. Każda upływająca sekunda wydawała się dłużyć jak godzina, ale Kofax musiał czekać. Nie mógł wejść do środka, rzecz jasna. To oznaczałoby jego śmierć. Zamiast tego zwrócił oczy ku rzeźbionym drzwiom, na powierzchni których bohaterowie zakonu stawiali czoła najróżniejszym przeciwnikom. Sterty obrzydliwych obcych i demonicznych postaci leżały u stóp opancerzonych gigantów. Olbrzymy stały z uniesioną bronią, zaś ich okryte hełmami głowy okalały aureole świętego światła, stylizowanymi na blask promieni słonecznych.

Odgłos ciężkich kroków zwiastował nadejście jednego z tych olbrzymów. Modły Mistrza Zakonu dobiegły końca.

Kofax wygładził szatę i przygotował się do przekazania wiadomości.

Kilka minut później Pedro Kantor siedział na wielkim, kamiennym krześle w sali obrad Librarium, słuchając Deguerro i jego braci, którzy zdawali mu relację ze wszystkiego, co wyczytali z osnowy. Ich słowa były tak nieoczekiwane, tak krzepiące, że całe ciało Mistrza Zakonu ogarnęło odrętwienie.

Jest nadzieja - pomyślał. Niewielka, to prawda, lecz mimo wszystko nadzieja.

Chwała niech będzie Dornowi, że powstrzymywaliśmy ich na tak długo.

- Jest ich bardzo wiele, mój panie - powiedział Deguerro. Jego zwyczajowo surowe oblicze rozjaśniał rzadki uśmiech. - Wykryliśmy psioniczne fale dziobowe ponad dwóch tysięcy okrętów.

- Dwóch tysięcy? - powtórzył Kantor. - Jesteście pewni, że to imperialne okręty?

- Z początku nie byliśmy tego pewni - powiedział kodyfikator Librarius, Ruthio Terraro. - Początkowo sądziliśmy, że mamy do czynienia z kolejną falą orków i to wyjątkowo dużą, choć w ostatnich miesiącach coraz większa liczba ich mniejszych, dalekosiężnych statków opuściła nasz system.

Nie musieli nawet rozmawiać o przyczynach takiego stanu rzeczy. Orki sądziły, że już wygrały. Snagrod wysłał swoich zwiadowców w osnowę w poszukiwaniu kolejnych wyzwań. Fakt, że był tak bardzo przekonany o swojej wygranej, był kolejnym policzkiem wymierzonym zakonowi oraz wszystkiemu, co ten sobą reprezentował.

- Ale to nie orki - powiedział Kantor. Pomimo pączkującej w jego piersi nadziei, musiał mieć pewność. - Jesteście tego pewni? Może to jacyś inni xenos? Być może to eldarzy? Ci kapryśni tchórze znani są z tego, że obserwują walki innych ras ze skrajnie pola bitwy.

- To nie są eldarzy, panie - rzekł Deguerro. - Okręty należą do ludzi, a na kilka minut przed twoim przybyciem, otrzymaliśmy potwierdzenie, że to lojaliści. Jest wśród nich Krzyżowiec. Dorn i Imperator odpowiedzieli na nasze modły. Imperium idzie nam z odsieczą.

- Jakim sposobem ich wykryliście? - spytał Kantor, wyciągając szyję. - Odniosłem wrażenie, że psionicy orków byli tak liczni, że ich obecność w jakiś sposób tłumiła wasze... dary.

To prawda, mój panie - odparł Deguerro. - Prawdopodobnie jest ich jeszcze więcej niż wcześniej. Jednak imperialnymi statkami podróżują potężni psionicy. Kilkudziesięciu z nich zarejestrowanych jest jako klasa alfa. Robią wszystko, co w ich mocy, by kanały psioniczne pozostały otwarte. Są wśród nich również kronikarze Marines z kilku różnych zakonów. Przybyli wraz ze swoimi braćmi bitewnymi, którzy złożyli przysięgę pomocy. Nawet psychiczny szum wywoływany przez orki nie był w stanie zupełnie ich zagłuszyć. Udało się nam nawiązać dwustronne połączenie.

- I czego się dowiedzieliście?

Deguerro skinął do kodyfikatora imieniem Thracio, którego palce przebiegły po serii run wprawionych w podłokietnik jego krzesła. W powietrzu nad ich głowami pojawił się migotliwy, półprzezroczysty obraz układu słonecznego. Dwa słońca, jedno duże i żółte, a drugie małe i białe, obracały się powoli w samym jego centrum. Kantor odszukał spojrzeniem Świat Rynn i jego dwa księżycy, Dantienne i Eloix. Była to trzecia planeta od środka, umiejscowiona w samym sercu strefy życiowej swojej gwiazdy, podobnie jak Święta Terra.

Ponad powierzchnią planety pojawiły się hololityczne, zielone trójkąty. Były to statki orków zacumowane na wysokiej orbicie. Wciąż były ich tysiące.

Deguerro zwrócił uwagę Kantora w kierunku orbitalnej płaszczyzny najdalszej planety systemu Rynnstar, Phraecos, jałowego, pozbawionego księżyców świata, którego powierzchnia składała się z zamrożonego metanu. Na hololitycznym pierścieniu jego orbity zamigotał szereg niebieskich trójkątów, wokół których przewijały się pomocnicze strumienie danych cyfrowych.

- Dwa tysiące dwieście szesnaście zdolnych do podróży przez osnowę okrętów - powiedział Deguerro. - Żaden z nich nie jest mniejszy niż lekki krążownik klasy Dauntless. Jest wśród nich również kilka barek bojowych Kosmicznych Marines, ale

większość siły ognia skupiona jest na pokładach pancerników Imperialnej Marynarki Wojennej klasy Emperor i Retribution. Łącznie jest ich osiem. To naprawdę duże poświęcenie ze strony dowództwa Segmentum.

Kantor spojrział na rój trójkątów reprezentujących flotę orków wokół Świata Rynn. Myślał przez chwilę, po czym powie dział:

- Siły imperialne są dostatecznie duże, by się przebić i umożliwić desant sił naziemnych, ale nie na tyle, by z marszu wyeliminować wrogą flotę.

- To prawda - przytaknął Deguerro. - Zapewniono nas jednak, że kolejne posiłki już są w drodze.

- Kiedy dokładnie przybędą? - spytał Kantor.

Zapadła nerwowa cisza. Przerwał ją kodyfikator Thracio.

- Nie jesteśmy pewni. Optymistyczne założenia wskazują na dwa dni, ale osnowa... Deguerro po raz kolejny wskazał na grupę niebieskich trójkątów.

- Flotę dowodzi lord admirał Prioce Galtair IV. Ten mężczyzna to wzór do naśladowania.

- Wiem, kto to jest - przerwał mu Kantor, unosząc dłoń.

- Wolałbym jednak wiedzieć, czy zamierza trzymać flotę poza zasięgiem dział orków do czasu przybycia posiłków. Desperacko potrzebujemy pomocy na ziemi.

Wie już o tym - oznajmił Deguerro. - Flota zmierza w głąb układu gwiazdowego. Oczywiście woleliśmy skonsultować to z tobą, panie, zanim podejmiemy dalsze działania.

Kantor wstał z kamiennego krzesła i powiódł spojrzeniem po swoich braciach-psiownikach.

Pomyślał o Eustacem Mendozie, o tym jak bardzo mu go brakowało i o tym, jak krzepiąca byłaby obecność Mistrza Librariusza w tych ostatnich dniach. Tomasi również powinien był tu być.

- Żałuję, że musimy skrócić tę naradę - powiedział Kantor -ale muszę pojawić się na posiedzeniu Wyższej Izby Rynn, a już jestem spóźniony. Ministrowie ucieszą się, gdy podzielę się z nimi tymi wieściami. Powiadomcie naszych braci. Powiedzcie im, że szale losu w końcu są na skraju przechylenia się na naszą korzyść.

Kronikarze powstali i zaszalutowali mu.

- Na twój rozkaz, panie - rzekł Deguerro. Kantor posłał mu przelotny uśmiech, po czym obrócił się i wyszedł, a jego szybkie kroki rozbrzmiały na kamiennej posadzce.



### 3

## Wyższa Izba Rynn Zona Regis Nowy Rynn

Sala wybuchła oklaskami i wiewatami. Gdyby ktoś z boku oglądał całe to gratulacyjne poklepywanie się po plecach, uściski dłoni i padanie sobie w objęcia, mógłby pomyśleć, że oblężenie dobiegło końca, a wojna była wygrana.

Do tego było jednak daleko.

Kantor obserwował ich spoza złotej mównicy. Ministrowie wydawali się nie zauważać, że flota musiała jeszcze przebić się przez blokadę orbitalną orkow. Wydawali się też nie przejmować faktem, że wciąż znajdowała się w odległości wielu godzin od planety. Pozwolił im cieszyć się chwilą, wiedząc, że rzeczywistość wkrótce sprowadzi ich na ziemię. Był świadkiem tego, jak marnieli na przestrzeni ostatnich osiemnastu miesięcy. Niegdyś dumna szlachta zamieniła się w puste skorupy przekonane o nadciągającej śmierci. To on nakazał im zwolnić ze służby swoje sługi, by można było wcielić je do Sił Obrony. To on nakazał opróżnić osobiste spichrze i magazyny szlachty, a następnie dołączyć artykuły spożywcze do wspólnej puli, skąd wydzielano je zgodnie z prawem sytuacji kryzysowych Munitorum. Żołnierze jedzą w pierwszej kolejności.

Ależ na to pomstowali! Komisarze musieli kilku przykładnie ukarać. Ci, którzy najbardziej otwarcie i najgłośniej sprzeciwiali się zasadom stanu wyjątkowego, zostali publicznie wychłostani. Zdarzyło się to po raz pierwszy od sześciuset lat, aby jakikolwiek szlachcic otrzymał karę cielesną.

Kantor nie był obecny przy chłóście, ale popierał to rozwiązanie. Byli w stanie wojny. Tym, którzy nie potrafili się podporządkować, przeznaczona była śmierć. Pomyślał o własnych staraniach w dostosowaniu się do sytuacji. Jeszcze niedawno dowodził ponad tysiącem potężnych wojowników, a teraz zostało mu już tylko trzystu osiemnastu. Po tym jak przetrwał podróż przez Góry Diabelskiego Ostrza i pokonał cały kontynent w drodze do stolicy, na nowo połączył się z 1. i 2. kompanią, nie wspominając o drużynach z 9. i 10. kompanii, które dawały teraz wsparcie. Cały zakon ze śmiertcionośnej, między-gwiezdnej siły uderzeniowej zamienił się w garstkę zdesperowanych niedobitków, którzy znajdowali się pod nieustannym ostrzałem. W jaki sposób się dostosował? Czy w rzeczywistości cokolwiek się zmieniło?

Był tego pewien, ale jego przemyślenia zostały niespodziewanie przerwane przez głos na kanale awaryjnym komunikatora. Był to Cortez.

- Do diabła, Pedro - wydyszał. - Jesteś tam? Słyszysz mnie?

Kantor odwrócił się plecami do rozradowanych polityków i przycisnął palec do koralika wokalizacyjnego wciśniętego do ucha. Zawsze nosił to maleńkie urządzenie, gdy ściągał hełm.

- Słyszę cię, bracie - powiedział.

- Słyszałem o nadciągającej flocie - rzekł Cortez. Jego głos deformowały zakłócenia wywołane przez grube ściany komnaty. - Żyjemy jednak w okrutnym świecie. Pomoc dotarła za późno, stary przyjacielu.

Kantor miał właśnie zażądać wyjaśnień, gdy poczuł drzenie rozchodzące się po

posadzce sali. Po chwili następne. I następne, powolne i rytmiczne niczym ospałe kroki nowo przebudzonego boga.

- Nie - wyszeptał.

- Obawiam się, że tak - powiedział Cortez. - Garganty rozpoczęły swój marsz!

- Spotkaj się ze mną w Strategium - zakończył Kantor, po czym przerwał połączenie, zszedł z podium i szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia po czerwonym dywanie wyścielającym środkową alejkę. Kilkoro lordów i dam ruszyło z miejsca, by zastąpić mu drogę. Ich twarze wciąż rozpromieniały uśmiechy.

Kantor posłał im srogie spojrzenia. Wykrzywione w gniewie usta sprawiły, że się cofnęli.

- Wynocha! - warknął mężczyzna. - Z drogi.

Nie miał zamiaru się tłumaczyć. Oniemiali z wrażenia szlachcice mogli jedynie obserwować jego opancerzone plecy, gdy wychodził przez szerokie drzwi z drzewa ebonowego ze złotymi okuciami.

Członkowie Wyższej Izby Rynn dopiero wtedy zauważyli drżenie kandelabrow nad swoimi głowami i poczuli narastające wibracje, rozchodzące się po posadzce, a następnie po ich ciele.

Spojrzeli po sobie. Radość ustąpiła miejsca ponuremu zrozumieniu. Nikt nie przypominał sobie, by Srebrna Cytadela kiedykolwiek tak drżała. Nigdy.

Niczym wielokolorowa fala rzucili się do drzwi w poszukiwaniu najbliższych komnat z balkonami. W głębi duszy wiedzieli już, co zobaczą, a przynajmniej podejrzewali to, choć żaden z nich nie chciał w to wierzyć.

Przez całun dymu i zasnutego toksynami powietrza ujrzeli w oddali olbrzymie sylwetki postaci o rogatych głowach i potężnych, kanciastych ramionach najeżonych bronią, pokryte płytami niemożliwego do przebicia pancerza. Ich wielkie, okrągłe oczy płonęły nienawistną czerwienią, przebijając opary, która wciąż je spowijała.

Powietrze wypełniał ryk plujących spalinami silników.

W sumie było ich sześć. Cała planeta wydawała się trząść przy ich każdym miażdżącym kroku.

Kilkoro posłów, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, omdlało na ten widok, osuwając się na podłogę balkonu pod nogi swoich towarzyszy. Inni padli na kolana, wyjąc z rozpacz. Jeszcze inni byli zbyt osłupiali, by zareagować. Stali jedynie w bezruchu, wbijając spojrzenia wytrzeszczonych oczu w gargantuiczne postaci w oddali.

Maia Cagliestra należała do ostatniej grupy. Widziała nadciągający koniec. Była pewna, że teraz imperialna flota zostanie jedynie zgliszczona, o ile w ogóle przebije się przez blokadę. Nawet jej ukochane Szkarłatne Pięści, w które nigdy nie straciła wiary, nie mogły nic wskórać.

Stała więc z innymi, obserwując nadciągającą zagładę i szlochała cicho, utraciwszy resztki nadziei.

## 4

### **Cassar Zona Regis Nowy Rynn**

Kantor wkroczył do Cassaru zaledwie kilka minut po opuszczeniu komnat Wyższej Izby Rynn. Nie udał się jednak bezpośrednio do Strategium. Najpierw odwiedził kronikarzy i nakazał im połączyć się z flotą lorda admirała Galtaire'a.

Kilka minut później ustanowiono kruche połączenie psioniczne, dzięki któremu informacje popłynęły w obie strony. Kantor doniósł o ruchu gargantów, dając lordowi admirałowi do zrozumienia, w jak desperackiej znaleźli się sytuacji. Jeśli flota się nie pospieszy, nie zostanie nikogo, komu mogłaby pomóc. Pograżony w transie brat Deguerro, którego rysy twarzy wykrzywiał grymas bólu, przekazał w odpowiedzi słowa Mistrza Zakonu, podczas gdy inni kronikarze wykorzystywali swe moce do podtrzymania i zabezpieczenia połączenia. Orki bez wątpienia również wykryły imperialną flotę. Wrogie statki były już na kursie przechwytyjącym. Gdyby siłom Imperium udało się je obejść z flanki lub wyminąć w jakiś sposób, mogłyby wciąż przechylić szalę zwycięstwa na swoją korzyść.

Lord admirał Galtaire, przemawiający przez swojego najpotężniejszego astropatę, wyraził ogromne obawy, co do tego planu, ale nie zamierzał pozwolić, by taki zakon jak Szkarłatne Pięści został unicestwiony, podczas gdy jego duma i chluba, okręt flagowy Septimus Astra, był tak blisko. Poprzysiągł, tam i wtedy, że odniesie sukces lub zginie.

Oczywiście sprawa nie rozbijała się jedynie o przedarcie się przez blokadę zielonoskórych. Galtaire potrzebował, by siły naziemne również coś dla niego zrobiły. Gdy Kantor usłyszał, w czym rzecz, poczuł, że krew ścina mu się w żyłach. Szkarłatne Pięści miały odbić port kosmiczny Nowego Rynn.

Zdobycie tego obiektu było dla nich jedyną szansą. Ładowisko było dostatecznie duże, by przyjąć ciężki sprzęt, wliczając w to promy transportowe należące do Legio Titanicus. Dodatkowo port położony był na tyle blisko stolicy, by umożliwić szybkie wysłanie bombowców Marauder na pomoc Srebrnej Cytadeli, zaś jego systemy obronne były zdolne osłaniać nadciągające posiłki... o ile orki jeszcze ich nie rozmontowały.

Po niemal osiemnastu miesiącach walk na murach i pełnieniu straży przy bramach nieustannie kurczącej się twierdzy, Kantor i jego Szkarłatne Pięści musiały udać się na zewnątrz i ostatecznie stawić czoła hordzie. Musieli przejść przez terytorium orków, które wprost roiło się od nieprawdopodobnej liczby wrogów mających do dyspozycji wszelkie możliwe rodzaje broni.

Musieli zinfiltrować i odbić port kosmiczny.

Szanse powodzenia tej akcji były śmiesznie niskie, jednak w przeciwnym wypadku czekała ich pewna śmierć.

Co do tego Pedro Kantor nie miał żadnych wątpiwości.

Atmosfera w Strategium była wyjątkowo napięta. Cortez zrobił, co mu kazano.

Zgromadził tylu starszych rangą członków zakonu, ilu pozostało za chroniącymi ich murami. Zbrojmistrze, medycy, kronikarze, kapelani, weterani kompanii krucjaty

- wszyscy posiadali własną reprezentację. Kantor wyłożył im całą sytuację. Cortez czuł, że krew zaczyna żwawiej krążyć mu w żyłach.

W końcu - pomyślał. Nadszedł ten czas. Ostrze przeciwko ostrzu, pięść przeciwko pięści, pancerz splamiony krwią wrogów - jeśli mamy zginąć, to na Dorna, niech będzie to godna śmierć. Czekałem na to. Marzyłem o tej chwili odkąd tu dotarliśmy. Do diabła z obroną pozycyjną. W końcu nadszedł czas pokazać to, w czym jesteśmy najlepsi.

Z pomocą informacji i wyświetlaczy hololitycznych dostarczonych przez brata Anaisa, najstarszego z obecnych zbrojmistrzów, Kantor streścił im, czego od nich oczekiwano.

- Musimy to zrobić najszybciej jak to możliwe - powiedział. - Pierwszym zadaniem, rzecz jasna, będzie pokonanie trasy stąd do granicy portu kosmicznego. Mamy szczęście, że nie zawalono podmiejskich tuneli, ponieważ to nasza jedyna nadzieja na dotarcie do portu bez większych strat. Drużyny Terminatorów strzegą ich od wielu miesięcy. W obecnej chwili pełno w nich truchwał orków, które próbowały niezauważenie prześliznąć się do miasta. Oddziały uzbrojone w miotacze płomieni i broń termiczną ruszą przodem, by oczyścić tunele z ciał xenos. Pomiędzy naszą obecną pozycją a portem kosmicznym jest odległość niemal sześćdziesięciu kilometrów... Po drodze możemy natrafić na opór. Raz jeszcze przydadzą się drużyny Terminatorów, które najlepiej nadają się do tego zadania. Tę fazę operacji będzie nadzorować Rogo Victurix.

Kantor skinął na starszego zbrojmistrza, brata Anaisa, i sekundę później w powietrzu nad stołem zamigotała kanciasta sieć długich, świecących korytarzy. Mieli przed sobą plan tuneli. Wszystkie Pięści starały się zapamiętać z niego jak najwięcej, podczas gdy Mistrz Zakonu spojrział ponad ebonowym stołem na Rogo, którego oczy wprost błyszczały z radości na myśl o tej misji.

- Szybkość będzie tutaj kluczowa, bracie - powiedział Kantor. - Musicie poruszać się prędko i zdecydowanie. Garganty dotrą do Srebrnej Cytadeli w ciągu najbliższych czterech do sześciu godzin. Tarcze próżniowe będą chronić ludzi jeszcze przez jakiś czas, ale nie wiemy, jak długo. Musimy jak najszybciej odbić port kosmiczny.

- Nasze drużyny Terminatorów znają te tunele na wylot - oznajmił Victurix swoim chropawym głosem. - Zaufaj nam.

Kantor ufał im.

Znów skinął Anaisowi. Palce zbrojmistrza przebiegły po hololitycznym panelu kontroli. Nad stołem pojawiły się zielonkawe zakłócenia, z których wyłonił się plan portu kosmicznego.

Był to największy obiekt na planecie, zdolny obsługiwać trzy transorbitalne dźwigi załadunkowe jednocześnie, po jednym na każdej z podwieszanych płyt lądowisk. Suborbitalne jednostki, zarówno wojskowe i cywilne, mogły skorzystać z kilku tuzinów lotnisk rozmieszczonych tuż za murami portu kosmicznego.

Była to dziwna konstrukcja, niepodobna do żadnego innego budynku w stolicy. Pomniejszona do rozmiaru hololitycznego wyświetlacza przypominała trzy odwrócone do góry nogami miski przylegające do trzech wąskich iglic. W iglicach znajdowały się wieże kontrolne portu kosmicznego, wliczając w to pomieszczenia kontroli łączności i systemów obronnych. To właśnie te budynki, bardziej niż

którekolwiek inne części portu kosmicznego, Kantor i jego Pięści musiały zabezpieczyć.

- Wszyscy zdolni do służby bracia muszą wziąć udział w tej misji - powiedział Mistrz Zakonu - za wyjątkiem braci starożytnych, którzy nie zmieszczą się w tunelach. Zamiast tego zostaną tutaj i pomogą w obronie Srebrnej Cytadeli, walcząc u boku Gwardii Rynn i lokalnej milicji. Jestem pewien, że ich obecność będzie dla ludzi wielkim wsparciem.

W pomieszczeniu nie było żadnego pancernika, który mógłby się temu sprzeciwić, za co Kantor dziękował w duchu. Zamierzał udać się do nich osobiście i wyjaśnić sytuację przed wymarszem.

- Większość naszych drużyn wyjdzie z tuneli na granicy terenów należących do portu kosmicznego - ciągnął Kantor. - Odbiją instalacje obronne na murach i zabezpieczą je na wypadek odwetu ze strony orków. Reszta spróbuje się przebić i przejąć kontrolę nad poszczególnymi lądowiskami. Kapitan Cortez i ja poprowadzimy kolejny oddział do wież kontrolnych i reaktywujemy sieć obronną oraz system łączności. Z łaską Dorna niedługo później pojawią się pierwsze posiłki. Lord admirał Galtaire pokłada wielką wiarę w swoich oddziałach. Całe kompanie naszych braci z innych zakonów Astartes chcą włączyć się do walki. Adeptus Mechanicus sprowadzili swoje potężne Tytany, których zadaniem będzie zniszczenie obrzydliwych gargantów. Marynarka dysponuje dostateczną liczbą Marauderów, by cofnąć xenos z powrotem w Epokę Walk.

Powiódł po nich kolejno wzrokiem i dodał:

- Jednak wszystko zależy od nas.

W odpowiedzi zebrani kiwali głowami z poważnymi wyrazami twarzy.

- Jesteście gotowi odbić nasz świat, bracia? - spytał.

- Za zakon! - ryknęli. Niektórzy uderzyli dłońmi o stół. Ci, którzy stali, huknęli pięściami o napierśniki.

Kantor posłał im pełen determinacji uśmiech i wstał.

- Wobec tego szykujcie się do wymarszu. Zabierzcie tyle amunicji, ile zdołacie.

Niech kapelani poświęcą wasze pancerze i broń. Udam się teraz, by wydać rozkazy starożytnym i poinformować gubernator oraz generała Mira o naszych planach.

Jego Pięści salutowały mu, gdy wychodził, po czym zwróciły się ku sobie, klepiąc po ramionach najbliższych. Niektórzy się śmiali. Inni jedynie szczyrzyli zęby w uśmiechu. Po tak długim czasie w końcu przechodzili do ofensywy. Czuli, że to jedyny słuszny sposób działania.

Nikt nie wierzył w to bardziej niż Alessio Cortez.

## 5

### Tunele podmiejskie Nowy Rynn

Tunel, którym posuwała się grupa uderzeniowa Kantora, był ciemny i wilgotny. Betonowe ściany pokrywały śliskie algi i grube, cermitowe rury, w wielu miejscach spękane. Nawet w blasku światel zamontowanych na pancerzach terminatorów posadzka tunelu ginęła pod dziesięciocentymetrową warstwą gęstej, czarnej cieczy. Bezgłośnie poruszanie się było niemożliwe, ale Szkarłatne Pięści nawet tego nie próbowały. Posuwały się naprzód tak szybko jak to możliwe, a przynajmniej tak szybko jak idący na czele Terminatorzy.

Z początku wszystko szło gładko, nie tylko dla grupy Kantora, ale dla wszystkich grup uderzeniowych uczestniczących w operacji. Ponad dwadzieścia oddziałów Szkarłatnych Pięści starało się dotrzeć do portu kosmicznego przez sieć tuneli. Każdy z oddziałów prowadzony był przez innego Terminatora, torując sobie drogę miotaczami płomieni i bronią termiczną wszędzie tam, gdzie sterty ciał xenos uniemożliwiały przejście. Orki udało się trzymać z dala od Srebrnej Cytadeli. W trakcie kilkunastu miesięcy oblężenia, zielonoskórzy powoli nauczyli się, że próba przeniknięcia do miasta podziemnymi tunelami kończyła się szybką jatką. Victurix i inne drużyny z kompanii krucjaty nie próżnowały. Rola, jaka im przypadła, mogła wydawać się mało chwalebna, ale oddziały Terminatorów wiedziały, że miała krytyczne znaczenie. Ani razu nie narzekali, że muszą spędzać całe dnie w mrokach tuneli. W tym czasie zabili tysiące wrogów.

Przez cały ten czas tunele drżały pod krokami stąpających po powierzchni gargantów, ale dopiero po dwóch godzinach stało się to niebezpieczne. Sam Victurix, któremu przypadło w udziale przewodzenie grupą szturmową Kantora, zwrócił się do Mistrza Zakonu, gdy wstrząsy stały się wyraźnie odczuwalne.

- Muszą znajdować się dokładnie nad nami, mój panie -zagrzemiał jego głos w komunikatorze. - Na suficie tunelu pojawiły się pęknięcia, które stale się powiększają.

Kantor szybko uznał, że sierżant ma rację. Kolejne kroki olbrzymów zrzucały im na głowy i ramiona deszcz pyłu i skalnych odłamków.

- Posuwajmy się naprzód najszybciej jak możemy - powiedział Victurixowi.

Dornie, wybacz nam, jeśli zginiemy tu pod gruzami bez szansy na walkę z wrogiem - pomyślał.

Tak się jednak nie stało.

Minęły następne dwie godziny. Siła wstrząsów stopniowo słabła, gdy Pięści coraz bardziej oddalały się od ich źródła. Wkrótce Kantor ocenił, że on i jego bracia znajdują się w pobliżu granicy portu kosmicznego.

Komunikacja z pozostałymi grupami uderzeniowymi była pod ziemią niemożliwa, ale wszyscy mieli rozkazy już wydane. Uprzednio zsynchronizowali swoje chronometry wizyjne, dlatego Kantor wierzył, że jego marines uczynią dokładnie to, co im kazał. Po kolejnej godzinie Kantor i jego grupa dotarli do ostatniego skrzyżowania przed wyjściem na powierzchnię. W miejscu zbiegu dwóch korytarzy

było niewiele przestrzeni. Kantor wyszedł na czoło, by spojrzeć pomiędzy ramionami Terminatorów. W lewej odnodze tunelu, jakieś trzydzieści metrów przed sobą, ujrzał ciemny kontur przejścia. U jego boku pojawił się Cortez.

- To przejście prowadzi do kamiennych schodów, którymi dostaniemy się na najniższy poziom wieży Coronado.

- Jestem gotowy - oznajmił Cortez.

Drużyna Szkarłatnych Pięści za jego plecami szykowała broń.

- Chcesz iść przodem, Alessio.

To nie było pytanie.

Cortez uśmiechnął się szelmowsko pod zasłoną hełmu.

- Dobrze wiesz, że tak.

Kantor sprawdził wskazania chronometru na wyświetlaczu. Pozostałe grupy szturmowe miały znaleźć się na pozycjach za cztery minuty. Marines wylegną z przejść technicznych i studzienek kanalizacyjnych, do których uprzednio zamontują ładunki wybuchowe, z bolterami gotowymi do zrobienia sieczki ze zniechęconych wrogów. Orki na terenie całego portu kosmicznego nawet nie będą wiedziały, co je trafiło.

- Wprowadźmy wszystkich na schody - powiedział Kantor.

Wyświetlacz podpowiadał mu, że szturm rozpocznie się za trzydzieści sekund.

Bracia za jego plecami ustawili się w szeregu, gotowi do natarcia. Zabrał ze sobą trzy drużyny w standardowych pancerzach wspomaganych model Aquila MkVII, jednego w pancerzu terminatorów oraz dwóch zbroj mistrzów - brata Anaisa i Ruzco. Dobrze wiedział, że krew szumiała im wszystkim w uszach. Nie mogli się już doczekać, kiedy znajdą się wśród przeciwników i zaczną się rzeź.

Dwadzieścia sekund... Dziesięć sekund...

Kantor spojrzął na Corteza i powiedział:

- Gdy ruszysz do walki, bracie, nie zatrzymuj ani na chwilę!

Kapitan parsknął śmiechem.

- Nigdy nie robię inaczej!

Ładunki wybuchowe, które umieścili po wewnętrznej stronie wjazdu wybuchły z głuchym trzaskiem. Astartes na chwilę zniknęli pośród kamiennych odłamków i chmury dymu. Nie czekali aż kurz opadnie.

- Do boju! - ryknął Cortez, rzucając się naprzód.

Rozpoczęli szturm.

Na terenie całego portu kosmicznego - na niższych poziomach wież obronnych, w piwnicach, hangarach, składach paliwa i innych budynkach - Szkarłatne Pięści wypadły z tuneli w swych połyskliwych zbrojach, przy wtórze terkoczącej broni. Port kosmiczny stał się bazą operacyjną orków w dniu, kiedy pokonały niewielki kontyngent Szkarłatnych Pięści i żołnierzy Gwardii Rynn, którzy mieli za zadanie go bronić. Teraz sytuacja się odwróciła. To orki znalazły się w defensywie. Przekonane o swoim zwycięstwie w tej wojnie, były na to zupełnie nieprzygotowane.

Tysiące zielonoskórych zginęły, gdy Marines wylegli na wewnętrzne mury i przejęli wieże obronne. Orki za murami nie były nawet świadome, że coś poszło nie tak.

Większość obcej hordy wpatrzona była w garganty, podążając za nimi na tyle blisko,

na ile wystarczyło im odwagi. Żaden stwór nie chciał przegapić, jak potężne, metalowe kolosy będą równać z ziemią ostatnią, imperialną twierdzą.

Grupy szturmujące główne budynki portu kosmicznego - lądowiska i iglice kontroli - miały trudniej, choć z początku szło gładko.

Cortez wpadł z hukiem do piwnicy wieży Coronado i zobaczył dziesiątki chorobliwie wyglądających pędraków zastygłych w bezruchu ze strachu przed nagłą eksplozją, która przerwała im pracę. Stworzenia dźwigały skrzynie amunicji do wind, które miały je zawieźć do umieszczonych wyżej luków załadunkowych. Teraz większość tej amunicji wałała się po podłodze. Pociski toczyły się po ziemi, podzwaniając o siebie. Cortez natychmiast zaczął odstrzeliwać pędraki z pistoletu boltowego. Na widok pierwszego, zabójczego trafienia pozostałe rzuciły się do ucieczki z piskiem lub wrzaskiem, ale spora ich część uczyniła to zbyt wolno.

Drużyny Lician i Segala, dwa z czterech oddziałów wybranych osobiście przez Kantora, były tuż za Cortezem. Ogień z ich bolterów zaczął rozrywać niewielkich obcych na strzępy.

Poziom piwniczny był jednym wielkim, wysoko sklepionym pomieszczeniem, które wypełniały skrzynie i sterty metalowego złomu. Pod sufitem ciągnęły się grube zwoje kabli i rur wijących się pomiędzy stalowymi dźwigarami. Zwisające z metalowych wsporników lampy rzucały ostre, białe światło. Było jasne, że pędraki nie przepadały za takim światłem. Niemal połowa lamp została rozbita.

Mimo tego nawet mrok nie dawał pędrakom żadnego schronienia. Kolejne Szkarłatne Pięści wlewały się do środka przez właz, aż w końcu pojawił się w nich Victurix i jego czterej bracia Terminatorzy, pod których pancernymi butami trzęsła się ziemia.

- Oczyszczyć i zabezpieczyć teren - rozkazał Kantor, z zadowoleniem przyjmując fakt, że jego marines już zabrali się do tego zadania.

Skoro są tu pędraki - pomyślał Cortez, zabijając - gdzieś w pobliżu jest też ich nadzorca.

Pędraki niechętnie robiły cokolwiek dla dobra swojej rasy bez nadzoru jakiegoś wyjątkowo sadystycznego i brutalnego orka, który stał nad nimi z ościeniem lub batem w ręku.

Zgodnie z przewidywaniami, przez metalowe drzwi na szczycie schodów prowadzących na wyższy poziom do hali wpadł wielki, brązowoskóry ork z jednym okiem, zaalarmowany przez odgłosy wystrzałów. Widząc Kosmicznych Marines w otoczeniu ciał martwych pędraków, stwór zaatakował, rycząc ze wszystkich sił. Nie przebiegł nawet trzech metrów, gdy wystrzelony przez Astartes pocisk eksplodował w jego czaszce, zalewając metalowe stopnie szkarłatem. Zwaliste cielsko stoczyło się po schodach na sam dół.

Brat Gaban z drużyny Licianiana znalazł ostatniego pędraka, który chował się pomiędzy stertami metalowych skrzyń. Strumień jasnego ognia z miotacza płomieni zamienił stworzenie w płomienną kukielkę, która zaczęła podskakiwać jak szalona w miejscu, podczas gdy ogień trawił jej ciało.

- Na górę! - krzyknął Kantor. - Wiedzą już, że tu jesteśmy!

Cortez rzucił się w stronę metalowych schodów, po czym wbiegł na górę. Drużyna Daecora deptała mu po piętach. Podeszwy butów zadzwoniły o metal. Znalazłszy się



na szczycie, Cortez i sierżant Dacor zajęli pozycje po obu stronach otwartych drzwi. Pozostali czterej członkowie drużyny Daecora, trzymając odbezpieczoną broń w pogotowiu, byli gotowi do szturmu. Cortez skinął na Daecora, który dał drużynie rozkaz do ataku.

Marines wpadli przez drzwi, strzelając do każdego ruszającego się celu. Będąc po drugiej stronie, natychmiast rozdzielili się na dwie dwójki, jedna na lewo, druga na prawo, po czym zaczęli osłaniać pozostałych ogniem zaporowym.

- Naprzód! - rozkazał Kantor. Drużyna Liciana atakowała jako następna, dodając coś od siebie do śmiertelniegroźnego chóru eksplodujących naboju.

Cortez ostrzeliwał strefę załadunkową zza framugi drzwi. Naraz usłyszał działo plazmowe brata Ramosa, którego niskie bzyczenie zamieniło się w groźny wizg. Świetliste cewki broni przewodziły potężną energię elektromagnetyczną, przygotowując broń do wystrzału. Chwilę później nastąpił trzask, po którym działo plunęło strumieniem przegrzanej plazmy. Cortez nie widział samego wystrzału, ani wyniku wybuchu, ale usłyszał huk eksplozji, a następnie agonizujące wycie orków.

- Wchodzimy - powiedział Daecor. - Trzymajcie się osłon, bracia. Oro, obserwuj galerię nad głową. Zielonoskórzy! Padilla, potrzebujemy wsparcia, do cholery! Cortez rozluźnił mięśnie i przygotował się, by podążyć za Daecorem. Czuł, że jego pancerz reaguje na każdy, nawet najmniejszy, ruch. Pod grubą, ceramitową powłoką znajdowała się skóra z syntetycznych włókien, które przypominały ludzkie mięśnie, reagując na elektryczne impulsy wysyłane przez mózg. Ich czas reakcji był niemal taki sam jak w przypadku jego ciała, dzięki czemu miał wrażenie, że pancerz był częścią niego, a on był częścią pancerza.

Jego pancerz wspomagany zareagował równie szybko, gdy wypadł zza osłony drzwi z grzmiącym pistoletem bobowym w dłoni. Kantor był tuż za nim. Strzała Dorna plunęła śmiercią w kierunku trzech, masywnych orków ostrzeliwujących się z podwieszanej, metalowej galeryjki.

- Segala i Lician, manewr oskrzydlający - rozkazał Mistrz Zakonu. - Anais i Ruzco, trzymajcie się blisko mnie. Pozostali, ogień zaporowy.

Znajdowali się w strefie załadunkowej Epsilon, głównej strefie załadunkowej wieży Coronado. To tutaj trafiały imperialne dostawy, gdzie przeładowywano je na ciężarówki i rozwożono dalej. Wszędzie roiło się od orków i pędraków. Atak Szkarłatnych Pieści przeszkodził im w załadunku jednego z ich paskudnych pojazdów opancerzonych. Podobnie jak w przypadku podpiwniczenia wysoki sufit podpierany dźwigary. Olbrzymie, metalowe rolety na północnej ścianie były uniesione, a za nimi ciągnęły się skalbetowe drogi oraz pasy startowe. Ciężarówki orków pracowały hałaśliwie na jałowym biegu, ale nawet ich charkoczące silniki nie mogły się równać z bitewnym zgiełkiem.

Cortez dostrzegł ruch po lewej stronie. Czterech zielonoskórych o wydatnych torsach dozbierało się na pace jednej z ciężarówek. Wewnątrz, Cortez zobaczył skrzynie z amunicją ustawione jedna na drugiej. Zwrócił w ich stronę pistolet boltowy, po czym posłał szybką, trzypociskową serię. Nie celował jednak w orki, lecz w pojemniki za ich plecami.

Przez ułamek sekundy jego pociski nie wywołały żadnego efektu.

W następnej chwili ciężarówka eksplodowała w błysku światła i ognia. Orki

wyleciały w powietrze, a ich plecy poszatkowały wielkie odłamki rozgrzanego metalu. Następna eksplozja poderwała w górę ciężarówkę, która chwilę później spadła na ziemię, uderzając maską o skalbeton.

Cortez nie zatrzymał się, by podziwiać swoje dzieło. Wokół niego Szkarłatne Pięści masakrowały wszystko, co było zielone i się poruszało. On również wspierał braci ogniem, starając się, by każdy strzał był śmiertelny. Po to właśnie trenował. Nigdy nie chybiał.

Ujrzał żałośnie wyglądającego orka z mechaniczną ręką, który rzucił się do drzwi na metalowej platformie zawieszanej dwadzieścia metrów nad głowami drużyny Daecora. Bez wątplenia pokraka zamierzała uciec, żeby wszcząć alarm, ale Szkarłatne Pięści nie miały czasu, żeby wdawać się w wymianę ognia. Ich cały plan polegał na pozostawaniu w ciągłym ruchu, uniemożliwiając orkom skoordynowanie działań. Wieża kontroli i pomieszczenie kontroli systemów obronnych portu kosmicznego znajdowały się na wyższych piętrach. Drużyna Terminatorów Victurixa, znacznie wolniejsza niż lżej opancerzone oddziały, miała zostać na dole i utrzymać pozycję. Mistrz Zakonu Kantor liczył na to, że uda się im związać walką orki, dając czas Cortezowi i pozostałym na dotarcie do dwóch głównych celów na górze.

Cortez miał właśnie wystrzelić do uciekającego orka, gdy seria pocisków z nad jego prawego ramienia rozerwała kreaturę na krwawe strzępy. Cortez spojrzał na Strzelca.

- Wybacz, bracie - powiedział brat Talazar, jeden z Terminatorów Victurixa. - To moje trafienie.

Cortez jedynie zaniósł się śmiechem.

Kantor nakazał drużynom Liciana, Daecora i Segali wejść na podwieszane przejścia. Stamtąd mieli udać się do następnego pomieszczenia, a potem dostać się na wyższe piętra.

- Miej się na baczności, bracie - rzekł Cortez do Talazara, oddalając się.

- Ty również - zagrzmiał za nim Talazar.

Zaledwie dwie minuty później, Kantor i pozostali marines, za wyjątkiem Terminatorów, biegli w kierunku łukowatego przejścia umieszczonego po przeciwległej stronie pomostu z czarnego metalu, wiszącego dwanaście metrów nad ziemią. Znajdująca się na szpicie drużyna Daecora ustawiła się po obu stronach drzwi, gotowa do szturm. Ferragamos Daecor służył niegdyś w grupie uderzeniowej Straży Śmierci. Cortez natychmiast dostrzegł to w ruchach sierżanta, a także w zimnej precyzji, z jaką dowodził swoją drużyną.

Kiedy to wszystko dobiegnie końca - pomyślał Cortez - kiedy zaczniemy odbudowę wszystkiego, co straciliśmy, założę się, że zostanie awansowany na kapitana.

Walka w strefie załadunkowej chwilowo dobiegła końca. Trzask bolterów szturmowych Terminatorów na razie ucichł, ale Cortez słyszał przed sobą jakieś poruszenie. Bracia z drużyny Daecora pewniej chwycili broń i przygotowali się do natarcia.

- Na środku następnego pomieszczenia powinna znajdować się wielka klatka windy - powiedział Kantor do pozostałych.

- Wejścia znajdują się na południowej i wschodniej ścianie. Musimy je zabezpieczyć. Nie uszkodźcie mechanizmu windy. Będziemy jej potrzebować. Wszystko jasne?

W komunikatorze rozbrzmiały twierdzące odpowiedzi.

- Dobrze. - Kantor sprawdził magazynek Strzały Dorna, po czym przeniósł spojrzenie z powrotem na drzwi przed sobą.

- Drużyna Daecor, wkraczacie i czyściecie. Lician i Segala, czekajcie na mój rozkaz. Daecor, naprzód!

Bracia bitewni z drużyny Daecora wypadli zza osłony łukowatego przejścia i rzucili się sprintem przed siebie. Znalazłszy się po drugiej stronie, szybko zajęli pozycje za zasłoną z metalowych skrzyń. Chwilę później w ich stronę pomknął grad pocisków z karabinów maszynowych.

- Cekaemy! - zaraportował Daecor, słysząc wokół siebie świszczące kule. Kolejne naboje zadzwoniły o skrzynię, za którą przyklęknął.

- Trzymajcie się osłon - rozkazał swojej drużynie. - Ogień zaporowy na środek. Bracie Cassaves, ty i ja zajdziemy ich od boku. Nie wychylaj się, dopóki pozostali nie skupią na sobie ich uwagi.

- Zrozumiano, bracie-sierzancie - odparł burkliwy Cassaves.

Kantor zwrócił się do Corteza i powiedział:

- Zajmiemy pozycje po obu stronach drzwi. Wsparcie ogniowe. Zrozumiano?

Cortez skinął głową. Kantor rzucił się w stronę prawej strony, Cortez w kierunku lewej. Ich naramienniki uderzyły o ścianę w tej samej chwili. Cortez na moment wychylił się zza osłony i ocenił sytuację. Zajęło to dosłownie sekundę.

Klatka windy znajdowała się na środku pomieszczenia, tak jak mówił Kantor.

Broniące jej orki były ciężko uzbrojone i miały na sobie pancerze płytowe. Cortez nie zauważył wśród nich żadnych pancerzy wspomaganych, ale żelazne płyty były dostatecznie grube, by zatrzymać bezpośrednie trafienie z boltera. Zobaczył, że Daecor i Cassaves próbują zająć przeciwnika z boku, posuwając się wzdłuż ścian po obu stronach, podczas gdy pozostali członkowie drużyny ściągali uwagę orków na siebie. Prawdziwy problem stanowił jednak grad kul z orczej broni. Ciężkie karabiny maszynowe zielonoskórych wypluwały łuski niczym fontanna wodę. Podłogę wokół ich stóp do wysokości kostek ścieliły zużyte naboje, natomiast zasłona, za którą schroniła się reszta drużyny Daecora, była coraz bardziej dziurawa.

Cortez wiedział, że Pięści osłaniające Daecora i Cassavesa ogniem zaporowym potrzebują wsparcia, chociażby chwili oddechu, która pozwoliłaby im zająć pozycje za nowymi osłonami. Musieli uczynić to teraz, nim będzie za późno.

Cortez sięgnął do pasa po granat odłamkowy i odbezpieczył go.

- Drużyna Daecor - powiedział przez komunikator - przygotujcie się do znalezienia lepszej osłony. Leci odłamkowy.

Nie czekając na potwierdzenie, wychylił się zza framugi drzwi, namierzył wzrokiem pozycje strzeleckie orków i rzucił granat. Nie czekał, żeby zobaczyć, co się stanie.

Wiedział, że ładunek wybuchnie dokładnie tam, gdzie sobie zaplanował. Cekał jedynie na nadchodzący huk eksplozji.

Trzy...

Dwa...

Podłoga pod jego stopami zadrżała od wybuchu. Jeden z orków, który został ranny, ale nie zginął, zaczął wyc w agonii. Cortez usłyszał głos sierżanta Daecora.

- Zmniejszyć dystans!

Orki, które przetrwały wybuch, szybko otworzyły ogień na nowo, ale Cortez

wychwycił zmianę w brzmieniu ich broni. Było dwóch mniej. Teraz słyszał terkotanie jedynie sześciu karabinów zielonoskórych.

Kantor wychylił się przez drzwi po drugiej stronie, po czym wystrzelił krótką serię ze Strzały Dorna. Szybkostrzelność broni była porażająca. Mistrz Zakonu mógł sobie pozwalać jedynie na niezwykle krótkie serie, w przeciwnym wypadku byłby w stanie wystrzelać całą amunicję z zamontowanego z tyłu plecaka w ciągu kilkadziesiąt sekund, nawet pomimo olbrzymiej liczby posiadanych naboju.

Głos Daecora w komunikatorze.

- Zaszedłem ich z lewej flanki. Cassaves, jesteś na pozycji?

- Jeszcze chwilę, bracie-sierzancie. - Nastąpiła krótka przerwa, po której Cassaves ponownie przemówił. - Mam ich flankę. Na twój sygnał, bracie.

Cortez wychylił się i wystrzelił z pistoletu. Pocisk zostawił czarną smugę na pokrywie jednej ze skrzyń i zrykoszetował, chybiając paskudny pysk wyszczerzonego orka o centymetry. Ork skierował lufę ciężkiej broni w kierunku Corteza i ryknął, posyłając w jego stronę grad kul. Cortez jednocześnie poczuł i usłyszał jak pociski uderzają w ścianę po drugiej stronie.

- Teraz - powiedział Daecor.

W pomieszczeniu, huk wystrzałów z bolterów rozbrzmiał z dwóch nowych kierunków. Powietrze wypełniły ryki i wrzaski orków. Opancerzone ciała padały na ziemię z odgłosem metalu uderzającego o skalbeton. Chwilę później rozbrzmiał dźwięk metalu ścierającego się z metalem. Kapitan wychylił głowę i zobaczył, że brat Cassaves siłuje się z zakutym w czarną zbroję potworem, próbując wyrwać swoją broń z uścisku kreatury i wystrzelić do niej z najbliższej odległości. Daecor znajdował się po drugiej stronie pomieszczenia. Ostrzał ze strony ocalałych orków, które zobaczyły go i otworzyły do niego ogień, zmusił sierżanta do ponownego skrycia się za osłoną.

Kantor również to zobaczył.

- Lician i Segala, drużyna Daecor potrzebuje wsparcia - rzucił szybko. W następnej chwili, wymieniwszy z Cortezem szybkie spojrzenia, wpadł do komnaty, trzymając Strzałę Dorna wycelowaną prosto przed siebie. Poły szkarłatnej peleryny zatrzepotały mu za plecami.

Cortez również rzucił się do boju, zaledwie pół sekundy za swoim dowódcą.

Skierował żelazną muszkę pistoletu w stronę skrytego pod hełmem łba orka, który mocował się z Cassavesem, po czym wystrzelił pojedynczy pocisk.

Nabój trafił stwora w bok głowy, ale jego hełm miał przynajmniej dwa centymetry grubości, przez co pocisk w zetknięciu z nim eksplodował. Głowa orka odskoczyła do tyłu, na chwilę ogłuszając potwora, ale trafienie nie zdołało go zabić. Oczywiście, nie było to intencją Corteza. Wiedział, co robi. Kupił Cassavesowi jedynie chwilową przewagę.

Zgodnie z przewidywaniami Corteza, Cassaves wykorzystał okazję. Ork instynktownie zamknął oczy w chwili wybuchu, rozpaczliwie chcąc uniknąć oślepienia. Gdy tylko spuścił wzrok z Cassavesa, Kosmiczny Marine wypuścił bolter z prawej dłoni, po czym jednym płynnym ruchem dobył ostrze bojowe. W następnej chwili klinga pomknęła prosto w kierunku krtani orka, tam gdzie jego hełm już nie sięgał.

Czubek ostrza przebił skórę, przecinając zwoje nerwowe przy kręgosłupie. Każde normalne stworzenie natychmiast padło by trupem, ale ork, choć technicznie rzecz biorąc był już martwy, mocował się jeszcze przez następne kilka sekund. Jego chwyt był niezwykle silny. Nawet gdy stwór osunął się już na ziemię, brat Cassaves musiał odginać jego grube, szponiaste palce jeden po drugim.

Gdy został już tylko jeden ork, wszystkie trzy drużyny przeszły do ataku frontального i oczyściły pomieszczenie. Sierżant Lician zaszlachtował zielonoskórego, który przytrzymał głowę Daecora i w komnacie zapadła cisza. Smużki dymu unosiły się jeszcze z luf karabinów i łusek naboju. Niektóre cielska orków, z których każde ważyło przynajmniej po trzysta kilogramów, drgały jeszcze spazmatycznie, podczas gdy wokół nich rozlewały się kałuże gęstej krwi. Powietrze wypełniały zapachy - kordytu, krwi, ozonu oraz gryzący odór ciał obcych.

Kantor nakazał swoim braciom bitewnym wsiąść do windy, która była dostatecznie duża, by pomieścić wszystkie trzy pięciosobowe drużyny. Sam stanął przy panelu sterowania.

Cortez zamknął bramę klatki. Podłoga windy zadrżała. Rozległ się odgłos wprawionych w ruch kół zębatach. Winda ruszyła w górę i po chwili zniknęła w pionowym szybie.

Cortez obserwował migające żółte światła, wprawione w równych odstępach w gładkie, stalowe ściany. Każdy odstęp znaczył kolejne metry, które coraz bardziej zbliżały ich do zwycięstwa lub śmierci.

## 6

### Wieża Coronado

#### Port kosmiczny Nowego Rynn

Minęła godzina i czterdzieści siedem minut odkąd wyłonili się z tunelu technicznego przebiegającego pod portem kosmicznym. Od tego czasu praktycznie nieustannie toczyli walki, choć zgodnie z przewidywaniami Kantora orki nie były w stanie przeprowadzić żadnej skoordynowanej akcji przeciwko oddziałom szturmowym Szkarłatnych Pięści ze względu na istny labiryntu pomieszczeń, sal, stref załadunkowych i szybów wind, a także rozmiary samego portu kosmicznego. Kontakt z drużyną Victurixa był teraz utrudniony. Głos sierżanta Terminatorów brzmiał słabo w komunikatorze. To również było do przewidzenia. Kantor, Cortez i towarzyszący im bracia znajdowali się setki metrów nad miejscem, gdzie wkroczyli do portu. Pod nimi ciągnęły się rzędy pięter z żelbetu i wzmocnionego stalą skalbetu, podpierającego grube, metalowe dźwigary. Prędzej lub później musieli stracić łączność z Terminatorami na niższych poziomach. Victurix donosił o kolejnej fali wrogów. Przekazał również raporty od pozostałych grup uderzeniowych. Walki na terenie portu kosmicznego wciąż trwały. Wyglądało jednak na to, że większość najniebezpieczniejszych orków szturmowała Srebrną Cytadelę razem z resztą hordy. Najwyraźniej uznały, że tam toczy się główna akcja.

Do pewnego stopnia miały rację. Nawet tu, na najwyższych poziomach portu kosmicznego, jakieś czterdzieści kilometrów na południe od miejsca przemarszu najbliższego garganta, były wyczuwalne potężne kroki kolosów. Drżała od nich cała planeta, przynajmniej tak to wyczuwały wysoce wyspecjalizowane zmysły Marines. Kantor modlił się w duchu, by tarcze próżniowe cytadeli wytrzymały do czasu, gdy Legio Titanicus pośle im z odsieczą swoje Tytany. Osławione maszyny-bóstwa szybko rozprawią się ze swoimi tandetnie skonstruowanymi orczykami rywalami. Wiele musiało się jednak wcześniej wydarzyć. Port kosmiczny musiał być całkowicie bezpieczny.

Rozejrzał się.

Kilka chwil wcześniej on i jego bracia weszli z wąskiego korytarza wypełnionego złomem i odchodami orków do szerokiego, półkolistego pomieszczenia, które niegdyś pełniło rolę poczekalni dla pasażerów. Wysokie okna ciągnęły się wzdłuż całej krzywizny zewnętrznego muru, ale wszystkie szyby zostały stłuczone. Przez otwory wpadał do środka ciepły wiatr, podrywając z posadzki kawałki zmiętego papieru i podwiewając poszarpane krawędzie plakatów, które wciąż wisiały na ścianach.

Drużyny Daecor i Lician zabezpieczyły dwa podwójne wejścia do pomieszczenia. Drużyna Segala osłaniała tyły oraz drzwi, którymi właśnie weszli. Zbrojmistrze trzymali się boku Kantora, zgodnie z rozkazem samego Mistrza Zakonu. Od ich przetrwania zależało wszystko. Bez nich sprawa była stracona.

Kantor obrócił głowę, omiatając spojrzeniem pomieszczenie. Tuż za nim stał jego stary przyjaciel. On również się rozglądał, choć chwilowo schował broń do kabury.

- Cholerny bałagan - rzekł cicho Cortez.

Kapitan nie odstępował Kantora na krok od kiedy zagłębili się w tunele pod Srebrną Cytadelą. Mistrz Zakonu doskonale wiedział, że Cortez chciał, a może nawet spodziewał się, że ten wyznaczy mu dowodzenie misją. Wiedział, że jego przyjaciel chciał porzucić wszelkie pozory ostrożności i stawić czoła wrogowi w otwartej walce. To było w jego stylu. Nie interesowała go większa całość. Zawsze skupiał się na tu i teraz oraz na najbliższym przeciwniku, w walce z którym dawał z siebie wszystko. Była to zarówno jego zaleta, jak i największa wada.

Kantor przez chwilę rozważał przekazanie dowodzenia Cortezowi, ale co by osiągnął, zostając w Srebrnej Cytadeli? W starciu z gargantami nie był w stanie zrobić nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Jego obecność tutaj była zdecydowanie bardziej efektywna.

- Zbliżamy się - powiedział przez komunikator. - Nad tą poczekalnią znajduje się jeszcze jedno takie pomieszczenie dla wysokich rangą dygnitarzy. Prowadzi ono do rozległego atrium, skąd dostaniemy się na płytę lądowiska. Centralne iglice znajdują się na jej przeciwległym krańcu. Wewnątrz umieszczono centra kontroli lotów i systemów obronnych.

- Są tutaj trzy lądowiska - zauważył Cortez. - Co z pozostałymi dwoma?

- Wszystko po kolei - odparł Kantor. - Lądowiska nie powinny nas interesować dopóki systemy obronne nie zostaną zabezpieczone. Pomyślimy o wszystkim, gdy zyskamy kontrolę nad przestrzenią powietrzną.

Cortez nagle uniósł dłoń.

- Posłuchaj!

Kantor również to usłyszał. Sufit był gruby, ale dzięki ostrzeżeniu Corteza wychwycił dobiegające z góry odgłosy. Nad nimi poruszało się coś bardzo ciężkiego.

Cortez wydawał się podekscytowany. Czyżby miał nadzieję na spotkanie z samym Snagrodem?

- To na pewno nie pędraki - mruknął pod nosem.

- Ruszamy dalej - powiedział Kantor. - Daecor na szpicy. W atrium łatwo o osłonę. Jeśli zauważycie jakieś cele, nie pozwólcie im się okopać. Na samym środku atrium są szerokie schody. Podest na ich szczycie ciągnie się w płaszczyźnie wschód-zachód. Jeśli chcemy je zabezpieczyć, drużyna Daecor musi uderzyć od wschodu, a Lician od zachodu. Drużyna Segala nadal będzie osłaniać tyły. Anais i Ruzco mają trzymać się blisko Segali. Wszystkie oddziały, potwierdzić rozkazy.

- Na twój rozkaz - powiedział sierżant Daecor.

- Twa wola, mój panie - rzekł Lodric Lician, po którym odezwali się jeszcze Segala i zbrojmistrze.

Kantor zbliżył się do drzwi osłanianych przez drużynę Daecora. Cortez kroczył kilka metrów za jego plecami, nieco po lewej. Gdy znaleźli się na wyznaczonej pozycji, Kantor wydał rozkaz.

- Ruszajcie!

Daecor otworzył drzwi kopniakiem. Pięknie rzeźbione drewno poszło w drzazgi pod uderzeniem ceramitowego buciora. W mgnieniu oka marine znalazł się po drugiej stronie, prowadząc szarżę do atrium wieży Coronado. Niemal natychmiast z wysoko umieszczonych balkonów spadł na niego grad kul karabinowych oraz jasne rozbłyski

ładunków z broni energetycznych.

Daecor i jego drużyna rzucili się za osłony po obu stronach sali, znajdując schronienie za oszpeconymi posągami, które reprezentowały Rynn i jego akolitów.

- Na krew Dorna! - zaklął Daecor przez komunikator.

Kantor wydał rozkazy drużynie Liciana i już po chwili oddział dewastatorów zaczął kłaść ogień zaporowy. Na balkonie tłoczyło się tak wiele orków, że niemal przelewały się przez balustradę. Zielonoskórzy czekali na nich również na niższym poziomie, skryci za podstawami porzuconych posągów po przeciwległej stronie pomieszczenia. Inni stali na szerokich marmurowych schodach, prując z broni do Astartes. Mosiężne łuski spadały na gruby czerwony dywan, po czym staczały się po kolejnych stopniach na sam dół.

Brat Morai uzbrojony był w ciężki bolter. Ze wszystkich broni dewastatorów, ta miała największy zasięg. Wychyliwszy się zza osłony, Morai skierował szeroką lufę broni w kierunku orków na balkonie i mocniej chwycił dźwignię spustową. Potężny odrzut szarpnął bronią, która zasypała pociskami z boltera obce maski zgromadzone na balkonie. Marmurowa balustrada rozsypała się w proch. Straciwszy oparcie, masywni xenos z pierwszych rzędów zostali wypchnięci przez napierających towarzyszy za krawędź balkonu i spadli z wysokości piętnastu metrów na marmurowe płyty. Wielu z nich ciężko grzmotnęło o ziemię, odnosząc poważne obrażenia. To jednak były orki, prawdopodobnie najbardziej wytrzymała rasa, gdy chodziło o odporność na ból. Stwory zerwały się na równe nogi, odrzucając pogięte karabiny, po czym dobyły tasaków, mieczy, toporów i młotów zza pasów ze skór paszczaków.

Z rykiem rzuciły się w kierunku Astartes.

Morai postąpił kilka kroków do przodu, zataczając ciasne łuki w lewo i w prawo plując pociskami bronią. Rozbłyśki z lufy rozświetlały najbliższe otoczenie jasnym, stroboskopowym światłem. Z okna wyrzutu ciężkiego boltera leciała fontanna mosiądzu.

Orki w pierwszych szeregach zostały niemal przepołowione, gdy reaktywne naboje eksplodowały im we wnętrzościach. Ginęły z rykiem, plując gęstą śliną z pysków wypełnionych ostrymi kłami. Posoka schlapała posadzkę, ściany i wszystko wokół. Strzaskane posągi Rynn i jego towarzyszy spływały krwią. Głęboka czerwień wyraźnie odcinała się na nieskazitelnie białej powierzchni marmuru.

Orki z tylnych szeregów nie przerwały szarży, zdeptując podkutymi żelazem buciorami ciała poległych krewniaków. Od czasu do czasu któryś z nich pośliznął się na kałuży krwi lub na rozwłóczonych wnętrzościach.

Sierżant Lician kazał Moraiowi się wycofać, by oszczędzać amunicję. Jego kanonada wystarczyła aby kupić Daecorowi i jego drużynie czas na przygotowanie się. Marines wychylili się teraz zza osłony i posłali salwę pocisków oraz rozgrzanej plazmy w stronę pozostałych szarżujących xenos, kładąc ich trupem na środku sali. Orki na schodach, a także te skryte za osłonami na przeciwległym krańcu atrium nie przestawały zasypywać Szkarłatnych Pieści kulami z wielkokalibrowych karabinów. Właśnie wtedy Kantor usłyszał nowy dźwięk.

Brzmiał jak ciężkie kroki opancerzonych stóp. Tuż przed każdym stąpieniem



pojawiał się charakterystyczny syk i szcęk tłoków wzmacniających nogi. Podest na szczycie schodów zadrżał. Jednej z żyrandoli zawieszonych pod sufitem zakołysał się i spadł na posadzkę, rozbijając się na milion kawałków.

Orki na schodach na chwilę wstrzymały ogień, pozwalając Kantorowi się wychylić. Mistrz Zakonu ujrzał na ich tępych pyskach ślady strachu.

Całym pomieszczeniem wstrząsnął bojowy ryk, który trwał tak długo, że przez moment Kantor sądził, iż nigdy się nie skończy.

Gdy okrzyk umilkł, orki na schodach pierzchnęły ze swoich pozycji i zbiegły na dół, szukając schronienia pośród poprzewracanych posągów na przeciwległym krańcu pomieszczenia, skąd ostrzeliwali się ich towarzysze.

Daecor i jego ludzie nie przerwali ostrzału, by sprawdzić kto postanowił dołączyć do walki. Wciąż zasypywali orki gradem kul, zabijając tuzin zielonoskórych, którzy próbowali przebiec przez salę. Następnie, wykorzystując nieco bardziej sporadyczny ostrzał wroga, biegiem zajęli wysunięte pozycje, które zapewniały im lepszy widok. Kantor i Cortez ruszyli sekundę później, prowadząc drużynę Liciana za osłonę, którą Daecor i jego bracia dopiero co opuścili.

Z tego miejsca Kantor mógł w pełni wykorzystać możliwości Strzały Dorna. Miał idealny kąt strzału względem orków prujących z broni z balkonu na wyższym piętrze. Mężczyzna uniósł lewe ramię, ułożył Strzałę Dorna w pozycji równoległej do posadzki i nacisnął spust, rozszarpując swoje cele na kawałeczki.

Szybkostrzelność starożytnej broni niemal równała się z ciężkim bolterem Moraia. Wystrzelona seria wgryzła się głęboko w szeregi orków. Eksplodujące pociski zostawiały paskudne otwory w ich brzuchach. Zmasakrowane ciała zaczęły spadać przez balustradę balkonu, lądując na marmurowych płytach z głośnym, mokrym plaśnięciem.

Kątem oka Kantor zobaczył, że Cortez i bracia z oddziału Liciana kładą ogień zaporowy, pozwalając drużynie Daecora przesuwając się od osłony do osłony. Sierżant próbował obejść szerokie schody na środku atrium. Ewidentnie miał nadzieję obejść przeciwnika z lewej strony.

Gdy tylko Daecor i jego bracia opuścili swoje pozycje, rozległ się ogłuszający ryk. Tym razem dochodził ze szczytu schodów. Kantor zobaczył, jak sierżant nurkuje za osłonę, lecz czterej pozostali bracia bitewni byli od niego odrobinę wolniejsi.

Mistrz Zakonu z przerażeniem patrzył jak zostają rozczłonkowani na jego oczach. Ich pancerze powinny chronić przed pociskami zielonoskórych, nawet tymi o dużym kalibrze, ale to było coś innego. To, co stało na szczycie schodów, posiadało tak wielką siłę ognia, że nie mieli żadnych szans. Ceramitowe płyty pękały i odpryskiwały pod śmiertelnościami gradem kul. W powietrze trysnęły fontanny krwi. Dla Kantora wszystko działo się w zwolnionym tempie. Znał to uczucie. W przeszłości wielokrotnie był świadkiem tego rodzaju scen. Dlaczego czas zawsze zatrzymywał się, gdy zmuszony był oglądać śmierć swoich braci?

Cztery dzielne Szkarłatne Pięści padły na ziemię niczym martwe kawałki mięsa.

Jeśli zakon miał jakąś przyszłość, ci bracia mieli się o tym już nigdy nie przekonać.

W następnej chwili ich zabójca, którego widok wciąż przesłaniała Kantorowi krzywizna podestu na półpiętrze, zwrócił swoją zabójczą broń w kierunku posągu, za którym utknął teraz Daecor. Kule zaczęły zamieniać posąg w stertę gruzu ze

straszliwą szybkością.

- Kruszyście - zabrzmiał głos sierżanta Liciana w komunikatorze.

Kantor wiedział, że sierżant ma rację. Jedynie amunicja przeciwpancerna mogła poczynić tak wielkie szkody. W pewnym sensie mieli szczęście, że dostęp do niej miały jedynie orki najwyższej postawione w hierarchii.

Mistrz Zakonu usłyszał za sobą ryk wściekłości Corteza. On również był świadkiem śmierci swoich braci Astartes i tego było dla niego już za wiele.

Kantor instynktownie wiedział, co wydarzy się za chwilę. Uniósł dłoń, by zatrzymać starego przyjaciela, ale powinien był się spodziewać, że nic nie było w stanie powstrzymać Alessio Corteza, gdy ten obrał sobie cel. Kapitan wystrzelił do przodu z niesamowitą szybkością. W prawej dłoni ścisnął pistolet boltowy. Lewa ręka, skryta wewnątrz masywnej rękawicy energetycznej, młóciła powietrze podczas sprintu. Nadlatujące z trzech stron pociski zielonoskórych podziurawiły płyty chodnikowe u jego stóp, zaledwie o ułamek sekundy zbyt późno, by go trafić. Znalazłszy się za osłoną tuż obok Daecora, Cortez wycelował pistolet boltowy w stronę bestii, która zabiła jego braci Astartes... i zmarł.

Kantor usłyszał w komunikatorze jego słowa równie wyraźnie jak odgłosy wystrzałów.

- Znam cię! - ryknął Cortez. - Zamordowałeś Drigo Alveza!

Ciężkie kroki zatrzęsły marmurowymi schodami. W końcu Mistrz Zakonu ujrzał wielką, opancerzoną postać. Tak jak podejrzewał na podstawie odgłosu wzmacnianych tłokami nóg, stworzakuty był od stóp do głów w kanciasty, niezwykle gruby pancerz wspomagany. Jedno ramię wieńczył masywny, wielolufowy karabin z podwójnym podajnikiem amunicji. Drugie ramię kończyło się połyskliwymi, kłapiącymi szczypcami szponów energetycznych, wokół których trzaskała śmiertelna energia.

Kantor zdał sobie sprawę, że Cortez miał rację. Rozpoznał potwora z nagrań sensorium niedobitków z Krugerportu. To ta bestia odpowiadała za śmierć kapitana Alveza. Teraz stała tutaj, przed nimi, wbijając swoje spojrzenie w Alessio Corteza. Urzog Mag Kull!

Stwór zaśmiał się, kłapiąc kleszczami.

Zabił już jednego kapitana Szkarłatnych Pięści. Teraz miał ochotę na kolejnego.

## 7

### Wyższe poziomy wieży Coronado

Cortez uważnie obserwował Mag Kulla. Ork postąpił krok od którego zadrżały schody. Jego masywne stopy zakute w metal były zbyt szerokie dla głębokich stopni. Kamień pękł pod naciskiem. Przez chwilę wyglądało nawet, jakby całe schody miały runąć, ale tak się nie stało.

Obok siebie usłyszał Daecora.

- Będziemy mieć z nim pełne ręce roboty.

Mało powiedziane - pomyślał Cortez.

Bestia odwróciła się i ryknęła na swoich mniejszych pobratymców, którzy wciąż ostrzeliwali Marines. Słyszając potworny ryk, wstrzymali ogień.

Dla Corteza był to jasny sygnał. Podobnie jak w przypadku orka przed barykadą na wzgórzu Jadeberry, było to zaproszenie do pojedynku. W ramach sprawdzenia tej teorii, postanowił powoli, ostrożnie wyjść zza osłony.

Wokół niego świsnęło kilka kul z karabinu. Masywny ork ryknął ponownie.

Strzały umilkły.

- Co ty wyprawiasz? - syknął Daecor. - Postradałeś cholerne zmysły, bracie?

Być może - pomyślał Cortez, chociaż nic to nie zmieniało.

Zielonoskóre monstrum było już u podstawy schodów i zwróciło się w jego stronę.

Cortez przemówił do pozostałych:

- To jest sprawa pomiędzy mną a tym potworem. Zrozumie liście? Wy musicie dostać się na dach. Czas ucieka. Znajdźcie te cholerne centra kontroli i zróbcie, co trzeba. Pięści spoglądały na Kantora, szukając u niego jakiegoś potwierdzenia. Wiedzieli, czego wymagał honor, ale z pewnością nie dotyczyło to sytuacji takich jak ta.

- Zabij go, bracie - rzekł Kantor do Corteza. - Rozumiesz? Masz go zabić, a potem do nas dołączyć. To rozkaz.

Cortez skinął głową, nawet na chwilę nie odrywając spojrzenia od zielonoskórego nemezis.

Kantor zwrócił się do pozostałych:

- Na sygnał kapitana szturmujemy schody i podest na pół piętrze.

- Ale mój panie... - zaprotestował sierżant Lician.

- Na mój rozkaz, bracie-sierżancie - uciał dyskusję Kantor.

- Więc lepiej się szykujcie - rzekł Cortez - bo ja zamierzam urwać mu łeb!

Niezależnie od tego czy Urzog Mag Kuli zrozumiał te słowa, bestia wychwyciła agresję w głosie Corteza. Stwór rozłożył ramiona, raz jeszcze dając upust swojemu mrozącemu krew w żyłach rykowi bojowemu. Z jego pyska poleciały gęste strużki śliny.

Cortez schował pistolet do kabury i dobył noża. Wiedział, że ostrze nie będzie w stanie przebić jaskrawożółtego pancerza, ale zdążył już zauważyć kilka miejsc, gdzie klinga mogłaby zranić ciało lub rozciąć kable wspomaganie.

Rzuciwszy ostateczne wyzwanie, potwór zrobił kilka kroków w lewo, okrążając Corteza na otwartej przestrzeni u podstawy schodów. Energetyczne szpony kłapnęły

kilkakrotnie. Cortez spostrzegł jakiś błysk. Wyglądało na to, że kleszcze nie tylko posiadały własne pole siłowe, ale zostały pokryte syntetycznym diamentem, podobnie jak ostrze jego własnego noża. W takim wypadku były w stanie ciąć ceramitowy pancerz jak mokry papier.

To będzie interesujące - pomyślał sobie Cortez.

Z okrzykiem bojowym na ustach, zaatakował stwora. Powietrze wypełnił szcęk ostrzy i trzask broni energetycznej.

Kantorowi nie było łatwo porzucić starego przyjaciela, zwartego w walce z potworem dwukrotnie większym od niego. Wiedział jednak, że wtrącając się, nie zaskarbiłby sobie żadnej wdzięczności. Pojedynek był rzeczą świętą, czymś, co należało szanować. Nawet orki wydawały się z tym zgadzać. Dlatego też, podczas gdy dwaj przeciwnicy ścierali się raz za razem, naprzemiennie krzesząc iskry na swoich pancerzach, Kantor postanowił wykorzystać okazję, jaką dała mu walka na śmierć i życie podjęta przez jego druha. On i pozostali rzucili się w kierunku schodów, po czym wbiegli na półpiętro.

Gdy tylko ruszyli z miejsca, dosięgł ich ogień z karabinów zielonoskórych znajdujących się na podwyższeniu. Kule zadzwoniły o ceramit, ale jako zwykłe naboje, nie były w stanie go przebić.

- Nie zatrzymujcie się - warknął Kantor, gdy drużyny Liciana i Segali wbiegły na marmurowe stopnie w ślad za nim.

Ferragamos Daecor biegł u boku Kantora, mając za plecami dwóch zbrojmistrzów. Po śmierci wszystkich członków swojej drużyny, nie miał już kim dowodzić. Zamiast tego zajął miejsce Corteza jako prawa ręka Mistrza Zakonu, przynajmniej do czasu powrotu kapitana. Kantor, razem z Daecorem, Anaisem, Ruzco i dwoma pięcioosobowymi drużynami z drugiej kompanii, dotarł na podest i natychmiast ruszył sprintem w prawo. Na końcu korytarza znajdowało się duże, sklepione przejście, a za nim rampa, która miała zaprowadzić ich na wyższe piętro. Porykująca horda orczych trepów rzuciła się w pogoń za Astartes, wypadając zza osłon. Drużyna Segali przystanąła. Bracia bitewni przyklękli na jedno kolano w wąskiej linii i odpowiedzieli ogniem, umieszczając kilka pocisków w czaszkach najszybszych ścigających. Sierżant Segala wydał rozkaz i cała drużyna znów była na nogach, starając się dogonić Kantora i pozostałych.

Kantor dotarł do rampy i zaczął biec w kierunku pasa otwartego nieba. Kilka sekund później razem z pozostałymi dotarł na otwartą przestrzeń. Znaleźli się na rozległej płycie lądowiska Coronado.

Lądowisko miało kształt dysku o średnicy sześciuset czterdziestu metrów i było w stanie przyjmować okręty o długości nawet pięciuset pięćdziesięciu metrów. Podobnie jak w przypadku pozostałych lądowisk portu kosmicznego Nowego Rynn, wykorzystywało antygravitacyjny system zawieszenia wzorowany na płytach grawitacyjnych, których używano w większości statków kosmicznych. Dzięki tak potężnemu zawieszeniu lądowisko było w stanie wytrzymać nacisk milionów ton, nie wpływając na integralność strukturalną całej budowli. A była to okazała budowla. Lądowisko Coronado zawieszono na wysokości trzystu metrów, zaś widok na okoliczne ziemie zapierał dech w piersiach. Kantor nie miał jednak czasu go

podziwiać. Gdy on i jego Astartes pojawili się na płycie lądowiska, do ich uszu dotarły ryki i postękiwania z tuzina obcych gardeł.

Kantor obrócił się w kierunku źródła dźwięku. Po swojej lewej stronie zobaczył szereg jasnoczerwonych myśliwców bombowych orków, ustawionych w nierównej linii sięgającej aż za jego plecy. Orki i pędraki z obsługi naziemnej ładowały właśnie nowe pociski do wyrzutni podwieszonych pod skrzydłami. Obok szpetnych, płaskodziobych pojazdów ujrzał grupę masywnych orków w skórzanych czapkach i kurtkach, którym na szyjach dyndały gogle lotnicze. Kiedy tylko ich spojrzenia się skrzyżowały, stwory ruszyły w jego stronę, dobywając pistoletów z kabur.

- Zabić ich! - krzyknął Kantor. Powietrze wypełnił trzask bolterów.

Lodric Lician spostrzegł wózek wyładowany bombami i raketami. Natychmiast kazał bratu Ramosowi obrać go za cel działa plazmowego.

Kantor usłyszał ryk przegrzanej plazmy. Zaraz po nim nastąpił rozbłysk oślepiającego światła. Amunicja orków eksplodowała z taką mocą, że wyrzuciła dwa myśliwce bombowe poza krawędź lądowiska. Pozostałe samoloty stanęły w płomieniach. Kilka sekund później na strzepy rozerwały je wybuchające baki z paliwem, zasypując Kosmicznych Marines płonącym złodem.

Orczy piloci, którzy jeszcze nie zginęli od pocisków marines z drużyny Segali, spoglądali na wraki swoich ukochanych maszyn. Płytę lądowiska spowiły tumany czarnego dymu. Pomarańczowe płomienie tańczyły i trzaskały. Pędraki rozpierzchły się, rozpaczliwie szukając jakiegokolwiek osłony. Nie zdążyły się ukryć, dosięgnął ich ogień Marines. Daecor i członkowie drużyny Segali wyeliminowali ostatnich pilotów zielonoskórych, którzy biegli prosto na Astartes z pistoletami w dłoniach.

Walka trwała zaledwie kilka sekund.

- Czysto, mój panie - oznajmił Daecor.

Kantor omiótł spojrzeniem płytę lądowiska.

- Przeładować broń i za mną.

Skierował ich uwagę na grupę trzech smukłych, czarnych iglic, które połączone były z lądowiskiem Coronado krytym mostem.

- Oba nasze cele są tam - powiedział.

W oknach wież paliły się światła w pomieszczeniach na stu różnych piętrach, które mogły być zajęte przez zielonoskórych. Kantor doskonale wiedział, gdzie musieli się dostać. Miał nadzieję, że napotkają minimalny opór. Pomimo dodatkowych magazynków i baterii, które zabrali ze sobą, wiedział, że wkrótce zaczną im brakować amunicji. Sprawdził odczyt na wyświetlaczu i zobaczył, że Strzale Dorna zostało dokładnie czterysta osiemnaście pocisków. Wtedy zostanie mu już tylko miecz i rękawica energetyczna. Jediną opcją pozostanie walka w zwarciu, gdzie orki były znacznie bardziej zabójcze.

Prowadząc swoje Pięści w kierunku mostu łączącego lądowisko Coronado z centralnymi wieżami, starał się nie myśleć o Cortezie. Kapitan jeszcze do nich nie dołączył, choć minęły zaledwie dwie minuty. Kantor spojrzął przez ramię na rampę wejściową. Nadal nie było po nim śladu. Albo wciąż toczył bój, albo w końcu zadał kłam legendzie o swojej nieśmiertelności.

Na Złoty Tron - pomyślał Kantor. Oby nie to ostatnie.

Poza powrotem do atrium i włączeniem się do walki, nie mógł nic zrobić dla swojego

starego przyjaciela. Musieli odbić port kosmiczny. Potrzebowali wsparcia imperialnej floty.

Wieża kontroli lotów - powtarzał sobie. Systemy obronne. Jeśli zginiesz, Alessio, to przysięgam ci, że nie na darmo.

Gdy znalazł się na skraju krytego mostu, spojrzął w górę na trzy iglice. Zewnętrzna fasada każdej z nich upstrzona była posągami gargulców, które trzymały pulsujące, czerwone lampy, mające za zadanie ostrzegać nadlatujące statki powietrzne o ich obecności. Światła migały kolejno, tworząc efekt fali, która zmierzała na szczyt, po czym zaczynała się ponownie na samym dole.

Kantor powiódł spojrzeniem za błyskającymi światłami i po chwili zdał sobie sprawę, że spogląda w niebo pełne gwiazd. Noc zapadła bardzo szybko, jak zawsze w pobliżu równika. Tutaj, trzysta metrów nad ziemią, powietrze było czystsze. Nie docierały opary zanieczyszczeń, ani chmary much zbierających się wokół dołów kloacznych zielonoskórych. Gwiazdy były jasne i dobrze widoczne.

Niektóre się poruszały.

Mistrz Zakonu przystanął i wyciągnął dłoń.

- Czekajcie - rzucił do pozostałych. - Spójrzcie w niebo.

Na ich oczach kilka z poruszających się gwiazd zniknęło w jasnych rozbłyskach. Inne wystrzeliwały cieniutkie promienie białego i niebieskiego światła. Część przemieszczała się w formacjach, inne po zupełnie przypadkowych trajektoriach.

- Mam nadzieję, że wygrywamy - powiedział sierżant Daecor.

Kantor również na to liczył.

Biegiem ruszyli dalej i wkrótce przekroczyli kryty most.

Musieli sobie wywalczyć dostęp do centralnych wież. Gdy tylko Kantor i jego ludzie się do nich zbliżyli, z drzwi po przeciwległej stronie wylała się rzeka orków. Most był wąski. Miał zaledwie osiem metrów szerokości, co zmusiło orki do atakowania zgrają. W rzeczywistości działało to na korzyść uzbrojonych w ciężką broń marines z drużyny Liciana. Brat Morai wyszedł na czoło i zaczął zabijać orki, po sześć naraz, koszącymi seriami z ciężkiego boltera. Tych, których nie trafił, odstrzeliwali bracia z drużyny Segali. Wkrótce część braci zaczęła zgłaszać, że został im ostatni pełny magazynek.

Podczas gdy Morai starał się oczyścić drogę na wprost, Kantor usłyszał dzikie ryki za plecami. Trepy orków z atrium zaczęły wysypywać się na powierzchnię lądowiska z rampy, z której niedawno skorzystali sami Astartes. Stwory nacierały. Szkarłatne Pięści znalazły się w potrzasku, na dodatek bez żadnej osłony.

Pomimo wyjątkowo kiepskiej celności, zielonoskórzy z racji samej swojej liczebności byli w stanie nafaszerować pancerze Astartes wielkimi metalowymi kulami. Kantor czuł jak pociski raz po raz uderzają o ceramit, za każdym razem krzesząc snopy iskier. Jego pancerz jak żaden inny niegdyś był pięknie rzeźbiony, wysadzany klejnotami i inkrustowany złotem. Teraz zbryzgany był krwią obcych, a w miejscach, gdzie trafiły pociski, pojawiły się szczyrby i czarne smugi.

- Daecorze - krzyknął Mistrz Zakonu. - Ty i ja będziemy osłaniać tyły.

Sierżant obrócił się i otworzył ogień z boltera. Biegnący na czele ork runął na ziemię bez głowy. Z jego szyi buchnął czerwony strumień. Kantor uniósł Strzałę Dorna na wysokość ramienia i zmusił broń do strzału, kontrolując ją za pomocą myśli. Rozkaz

pomknął układem nerwowym, przez gniazda na skórze i wzdłuż kabli, które spajały ciało i pancerz w jedno. Podwójna lufa starożytnej broni plunęła ogniem, a na podłoże posypał się deszcz mosiężnych łusek. Kantor obserwował licznik amunicji na wyświetlaczu wizjera. Zaklął, gdy liczba spadła do trzystu pięćdziesięciu naboji, a potem do trzystu. Orki padały przed nim bez życia. Za każdym razem, gdy na nowo szturmowały rampę, kierował w ich stronę lewą pięść, a Strzała Dorna, zamontowana na jej grzbiecie, robiła z nich krwawą miazgę.

Kolejne stwory nacierały w ich kierunku, gdy w komunikatorze odezwał się sierżant Segala.

- Droga przez most jest czysta. Na razie.

- Segala - rzekł Kantor. - Niech twoi ludzie pójną przodem i zabezpieczą pierwsze pomieszczenie po drugiej stronie. Lician, brat Morai i brat Ramos mają zająć pozycje po obu stronach mostu i osłaniać ludzi Segali. Braci Oro i Padille wyślij do mnie. Natychmiast. Wykonać.

- Na twój rozkaz, panie - odparł Lician. - Słyszeliście mistrza, bracia!

Bracia Morai i Ramos stanęli odpowiednio po lewej i prawej, po czym skierowali ciężki bolter i działo plazmowe w kierunku drzwi po przeciwległej stronie mostu, gdzie gładką, metalową powierzchnię gęsto ścieleły trupy orków. Kałuże krwi odbijały światło z wnętrza, które było ledwo widoczne przez barwione szyby z armoplastu.

Uzbrojeni w działa termiczne bracia Oro i Padilla podbiegli do Kantora. Oro, wyższy i starszy z dwójki, powiedział:

- Chcesz byśmy osłaniali tyły, mój panie?

Orki w końcu zmieniły taktykę pościgu za Szkarłatnymi Pięściami. Zamiast prowadzić frontalny atak z bronią w rękę, posuwały się teraz powoli i ostrożnie, wychylając się ponad krawędź rampy, gdzie podłoże pełne było martwych ciał ich krewniaków xenos. Trzymając się za osłonę, posyłały jedynie krótkie serie z karabinów, po czym z powrotem przypadały do ziemi. Trzypociskowa seria zadzwoniła o prawy naramiennik Kantora, gdy ten zwracał się do Oro i Padilli.

- Będziecie musieli sami utrzymać ładowisko, bracia - powiedział. - Rampa stanowi idealne wąskie gardło, gdzie wasza broń sprawdzi się doskonale. Ile mocy zostało w waszych działach?

- W tym module została jeszcze połowa ładunku, mój panie, ale mam dodatkowo dwa zapasowe - oznajmił Padilla.

- A ty? - spytał Ora Mistrz Zakonu.

Gdzieś za jego plecami zagrzmiał bolter sierżanta Daecora. Kolejny ork padł martwy u szczytu rampy.

- Mam niemal pełny ładunek - powiedział Oro, poklepując moduł zasilający zamontowany na metalowej ramie broni. - Nie mam jednak żadnego zapasu.

Kantor zwrócił się do Padilli ze słowami:

- Wobec tego wiesz, co należy zrobić.

Padilla skinął głową, odpiął jeden z ciężkich modułów od pasa i wręczył go Oro, który mruknął coś w podziękowaniu.

- Z całym szacunkiem, mój panie - zaczął Oro, ponownie zwracając się do Mistrza Zakonu. - Jestem w stanie osłaniać rampę w pojedynkę. Zabierz brata Padille ze sobą.

- Ruchem głowy wskazał mrugające iglice po drugiej stronie mostu. - Mam wrażenie, że przyda się wam cała dostępna siła ognia.

Kantor żywił nadzieję, że tak nie będzie, ale w rzeczywistości miał takie same przeczucia.

- Dobrze, ale jeśli orki zdołają się przebić, masz się wycofać i do nas dołączyć. Ponownie szcęknał bolter Daecora.

- Z całym szacunkiem, panie - rzekł sierżant - im dłużej zwlekamy, tym więcej czasu damy orkom w wieży na przygotowanie obrony. Jedno działo termiczne rzeczywiście powinno wystarczyć.

Kantor zostawił już Corteza samego i nie podobała mu się myśl, że kolejny z jego braci zostanie tu osamotniony. Już i tak zostało ich niewielu. Jednak zarówno Oro, jak i Daecor mieli rację. Nie mogli sobie pozwolić na pozostawienie tu dwóch braci. Oro musiał poradzić sobie sam.

- Padilla, idziesz z nami - zdecydował. - Bracie Oro, niech Dorn ma cię w swojej opiece. Jeśli kapitan Cortez przeżyje starcie z bestią na dole, to nie usmaż go przypadkiem.

Kantor chciał powiedzieć kiedy, a nie jeśli, ale nie przeczył, że wraz z upływem kolejnych minut miał coraz więcej wątpliwości. Jedynym pozytywnym jak dotąd był fakt, że potworny herszt, Mag Kuli, ciągle jeszcze nie pojawił się na szczycie rampy. W komunikatorze usłyszał głos sierżanta Segali.

- Zabezpieczyliśmy lobby po drugiej stronie mostu. Wszystkie punkty wejściowe są obstawione. Czekamy na twoje rozkazy, panie.

Kantor zsalutował bratu Oro, uderzając pięścią w napierśnik, otrzymał w odpowiedzi równie energiczny salut, po czym obrócił się i poprowadził Daecora oraz Padille w kierunku mostu.

- Utrzymajcie to pomieszczenie, sierżancie - powiedział do Segali. - Lician, zacznij przeprowadzać swoich ludzi na drugą stronę.

- Tak, panie - odparł Lician.

Kantor spojrzał przez ramię na Oro. Grupa orków próbowała atakować z dołu, wymachując wielkimi, czarnymi tasakami. Stojący na szczycie rampy Oro przyjął ich ze spokojem, rozstawiając stopy na szerokość barków i opuszczając w ich stronę lufę działła termicznego. Rozległ się trzask i wizg najonizowanego powietrza, gdy broń usmażyła ciała obcych, spopielając zarówno kości, jak i mięśnie. Orki nawet nie miały czasu krzyknąć. Ich pancerze i broń zwały się na ziemię, zamieniając się w sterty rozgrzanego żwiru. Smród palonego mięsa rozszedł się w powietrzu, ale już po chwili rozwiął go silny podmuch wiatru.

Kantor spojrzał na wprost i szedł dalej. Wierzył we wszystkich swoich Astartes. Programy treningowe oraz warunkowanie psychologiczne, które musieli przejść, nie miały sobie równych. Wiedział, że Oro utrzyma swoją pozycję. Będzie tu trwał dopóki nie zjawi się Alessio, być może ranny, ale wciąż żywy. Musiał w to wierzyć. Stąpając po płytach mostu wykonanych ze stopu tytanu, powtarzał sobie, że Alessio przeżyje.

W końcu nazywali go Cortezem Nieśmiertelnym.



## 8

### Centralne Wieże,

### Port kosmiczny Nowego Rynn

Mistrz Zakonu oraz ci którzy pozostali z jego grupy szturmowej, w końcu uzyskali dostęp do potrójnych wież, gdzie znajdowały się ich pierwszo oraz drugorzędne cele. Czekają ich również niezbyt dobre wieści.

Kantor miał nadzieję, że orki nie będą zainteresowane wieżami. Nie było tu żadnej przenośnej broni, ani pojazdów które można rozebrać na części lub przerobić. Jednak w każdym pomieszczeniu, które przeczesał w poszukiwaniu zagrożeń, znajdowali ślady obecności orków. Powietrze cuchnęło orczymi ekskrementami, niemal tłumiąc inne zapachy. Ściany i posadzki znaczyły ślady po odchodach. W kątach wielu pomieszczeń piętrzyły się góry łajna, wokół których głośno bzyczały chmary żarłocznych much. Z gnoju wystawały białe kości, z których część miała wyraźnie ludzkie pochodzenie. Musiały należeć do ludzi, których spędzono tu jako pożywienie lub do żołnierzy Gwardii Rynn, którzy polegli w pierwszych dniach inwazji. To przywiodło mu na myśl coś jeszcze gorszego.

Kantor przypomniał sobie o braciach bitewnych kompanii krucjaty, którzy zginęli tu, wspierając Siły Obrony Planetarnej.

Kompania krucjaty.

Jego kompania.

Dwie drużyny, Phrenotas i Grylinus, otrzymały zadanie obrony tego miejsca. Z jaką zaciętością walczyli? Wszędzie dostrzegał ślady walk - podziurawione ściany oraz kratery w cemencie i żelbetonie opowiadały o wystrzelonych w gniewie pociskach z bolterów. Nawet teraz, po tylu miesiącach, zauważał ślady obecności braci, których nie sposób było przeoczyć. Brakowało jednak ciał Astartes. Nie było też śladu po pancerzach terminatorów, które przydzielono dwóm oddziałom straży tylnej. Gdzie zginęli? Gdzie znajdowało się miejsce ich ostatniego boju?

Wokół wałało się wiele ciał. Od chwili, gdy wkroczyli na most łączący centralne wieże z lądowiskiem Coronado, Kantor zauważał zaścielające posadzkę oderwane członki paszczaków i zmasakrowane truchła grotów. Sprawcami tych śmierci nie byli jednak żołnierze z Gwardii Rynn, ani Astartes. Była to sprawka orków. Kantor wiedział, że grotty często stawały się ofiarami zwykłych kaprysów swoich większych braci. Z kolei bulwiaste, jasno ubarwione paszczaki znacznie częściej stanowiły składnik diety zielonoskórych niż używano ich do tropienia lub podczas działań wojennych.

W miarę, jak coraz bardziej zbliżali się do wind, którymi mieli dotrzeć do wieży kontroli lotów, mijali zdezelowane pomieszczenia, gdzie powyrywano ze ścian maszyny, a ich mechaniczne wnętrza użyto jako części zamiennych. W duchu Kantor modlił się, by orki nie dobrały się do najważniejszych systemów portu kosmicznego. Zastanawiał się też, jak radziła sobie drużyna Victurixa i pozostali. Przed nim, mniej więcej na wysokości połowy wąskiego korytarza oświetlonego migającymi światłami, sierżant Segala zatrzymał się i uniósł dłoń.

- Zajęte pomieszczenia po obu stronach - wyszeptał przez komunikator. - Drzwi są zamknięte, ale słyszę za nimi zielonoskórych.

Kantor rozważał możliwości. Mógł rozkazać swoim Astartes zająć pozycje po obu stronach drzwi, a następnie oczyścić pomieszczenia jedno po drugim. Jednak odgłosy walki z pewnością ściągnęłyby im na głowę pozostałych.

Czy w którymś z tych pomieszczeń przebywał Snagrod?

Wydawało się to mało prawdopodobne. W przeciwieństwie do innych arcyhersztów, ten nigdy nie pokazał swojego pyska, ani nie zajął należnego sobie miejsca w pierwszych szeregach. Na przestrzeni ostatnich osiemnastu miesięcy zidentyfikowano i wyeliminowano niezliczonych zielonoskórych poruczników, choć drugie ich tyle wciąż jeszcze walczyło. Ale Snagrod wciąż nadawał swoje chełpliwe wiadomości w plugawym języku orków. Kantor zaczął podejrzewać, że arcyherszt nigdy nie postawił stopy na Świecie Rynn. Z jakiegoś powodu niektóre orki miały słabość do przestrzeni kosmicznej i tego rodzaju walki, który ona oferowała. Tego typu orki występowały wyjątkowo rzadko, być może nawet wbrew własnej naturze, ale mimo wszystko istniały. Czy Snagrod był gdzieś tam i dowodził swoją flotą w walce z imperialnymi statkami, które nawet w tej chwili walczyły o szansę na desant sił lądowych mających wesprzeć również ich?

- Żadnych hałasów - rozkazał Kantor. - Jeśli zdołamy uniknąć walki, szybciej dotrzemy do windy. Sierzancie Segala, nadal jesteście na szpicy.

- Tak, panie - odparł Segala. Pięści ponownie ruszyły z miejsca, starając się nie wywoływać niepotrzebnego hałasu.

Nie było to łatwe. Panczerze Astartes były dość hałaśliwe, orki zaś znane były z dobrego słuchu, co miało im zapewne zrekompensować słaby wzrok. Kantorowi i jego Pięściom udało się jednak z najwyższym trudem pokonać całą długość korytarza, bez zwracania na siebie uwagi.

Kolejny korytarz był prostopadły do poprzedniego. Po jego przeciwległej stronie Kantor zobaczył drewniane, dwuskrzydłowe drzwi. Jedno ze skrzydeł było częściowo zniszczone i opierało się pod kątem o ścianę. Za podwójnymi drzwiami znajdowała się obszerna, jasno oświetlona komnata. Na samym jej środku umieszczono windę, której szukali.

- Nie zatrzymujcie się - powiedział do pozostałych. - Posuwamy się na wprost, tak cicho jak to możliwe.

Rzecz jasna, bezszelestne poruszanie się było najtrudniejsze dla braci z drużyny Liciana. Morai, Ramos i Padilla nieśli broń znacznie cięższą niż pozostali. Choć nie spowalniała ich ona na tyle, by stanowiło to problem, to sprawiała, że przejście było dla nich nieco trudniejsze niż dla ich lżej uzbrojonych towarzyszy.

Korytarz wypełniał złom i odpadki. Każdy krok należało stawiać z rozwagą. Po obu stronach znajdowały się pomieszczenia. Podobnie jak wcześniej, zza niektórych drzwi dochodziły odgłosy zielonoskórych. Kantor był wdzięczny, że drzwi nie były przeszkłone.

Gdy trzeci od końca brat Ramos mijał sięgającą pasa płataninę prętów i drutu, kabel zasilający jego działo plazmowe zahaczył o jakiś wystający element. Nim Ramos zorientował się, co się stało, rozległ się brzęk spadających odłamków, które to przypadkowe uderzenie strąciło z pobliskiego stosu.

Pozostałe Pięści w jednej chwili skierowały boltery w kierunku drzwi po obu stronach korytarza. Głosy orków w pomieszczeniach ucichły, zupełnie jakby obcy próbowali dosłyszeć coś jeszcze, co usprawiedliwiłoby jakąś reakcję z ich strony. Kantor stał tuż obok drzwi z odrobiną powgniatanego czarnego metalu. Nagle usłyszał po drugiej stronie niezdarne kroki. Kroki, które zdawały się zbliżać. Mężczyzna rozprostował palce swojej rękawicy energetycznej, aktywując zabójcze pole siłowe. Kilka sekund później drzwi otworzyły się z trzaskiem. Kantor stanął twarzą w twarz z masywnym xenos z czarną przepaską na oku i uszami poprzekłwanymi fragmentami kości. Mózg stworza potrzebował chwili, by przetworzyć informacje, które przesyłało mu jedno czerwone oko.

To wystarczyło Kantorowi. Mężczyzna doskoczył do kreatury i zamasyście grzmotnął ją z góry pięścią w rękawicy energetycznej. Rozległ się ostry trzask pola siłowego. Korytarz rozświetliły łuki niebieskiego światła. W jednej chwili stwór posiadał głowę, zaś w następnej została ona wymazana z istnienia. Drgające cielsko poleciało w tył. Z mięsistej łapy orka wypadł pistolet.

W chwili, gdy broń uderzyła o ziemię, rozległ się huk wystrzału. Gruby pocisk trafił w sufit. Odgłos wydawał się ogłuszający wśród panującej ciszy.

- Na krew Dorna! - zaklął Kantor.

Wzdłuż całego korytarza zaczęły się otwierać drzwi, wypływając zielonoskórych wojowników, którzy z rykiem rzucili się do walki. W pierwszej kolejności obcy starli się z drużyną Segali, nacierając z furją. Ich wielkie topory i tasaki opadały raz za razem. Segala i jego ludzie byli znacznie szybsi i lepiej wyszkoleni, dzięki czemu parowali lub unikali kolejnych orczych ciosów. To rodziło w xenos frustrację, która jeszcze mocniej podsycala ich gniew.

- Lician - warknął Kantor - osłaniacie tyły. Daecor, ty i ja będziemy ich wspierać. Anais, Ruzco, trzymajcie się blisko mnie.

Zbrojmistrze, rzecz jasna, nie byli w żadnym wypadku bezbronni. Dzierżyli potężne topory energetyczne, zdolne rozplatać orka na dwoje. Każdy stwór, który znalazł się w ich zasięgu, ginął, ale Kantor wolał mieć ich przy sobie, by móc ich osobiście ochraniać. Postanowił już, że odda życie, jeśli zapewni to ich przetrwanie. Tak czy inaczej, wciąż jeszcze musieli dotrzeć do dwóch centrów kontroli.

Sierżant Daecor ruszył już do walki z pistoletem gotowym do strzału. Mężczyzna posyłał krótkie, kontrolowane serie w stronę każdego celu, który zdołał wypatrzeć. Kantor rzucił się do boju i po chwili znalazł się obok jednego z ludzi Segali, brata Bacara, który stawiał czoła orkowi dwa razy cięższemu od siebie. Stwór trzymał oba nadgarstki Bacara w żelaznym uchwycie i próbował przyciągnąć go do siebie, co umożliwiłoby mu ugryzienie Kosmicznego Marine w znacznie słabiej chronione gardło.

Pieść Kantora wystrzeliła do przodu. Rękawica energetyczna ponownie trafiła z ostrym trzaskiem uwalnianej energii. Ścianę zbryzgała krew. Brat Bacar wywinął się z uścisku martwego orka i kopniakiem posłał jego ciało na ziemię.

- Dzięki, mój panie - wysapał.

- Musisz się bardziej starać - odparł Kantor.

Chwilę później mężczyzna dojrzał Segalę otoczonego przez trzy orki uzbrojone w młoty i topory. Kolejny nacierał na niego, trzymając w górze wielką, nabijaną

kolcami maczugę.

- Do diabła - zaklął Kantor, zrywając się do biegu. Wiedział jednak, że dotrze za późno.

Segala walczył ze wszystkich sił, przechodząc od obrony do kontrataku z siłą i szybkością, jakiej należało się spodziewać po weteranie Astartes. Jednak w ciasnocie korytarza, otoczony innymi walczącymi, mężczyzna nie miał dość miejsca. Kantor zobaczył, że sierżant próbuje wykorzystać masę orków przeciwko nim samym, ustawiając się tak, by walczyć tylko z jednym przeciwnikiem naraz, ale było za późno. Mężczyzna został otoczony. Unosząc Strzałę Dorna, Kantor usłyszał jak ork z maczugą coś mówi. Kreatury po obu stronach Segali wypuściły z rąk broń i pochwyciły ramiona sierżanta. Mężczyzna był nadzwyczaj silny - podobnie jak wszyscy Astartes - ale pojedynczy ork był silniejszy, dwóm zaś nie był w ogóle się w stanie przeciwstawić. Zielonoskórzy unieruchomili mu ręce i przytrzymali mężczyznę w miejscu, podczas gdy ork z maczugą uniósł swoją broń nad głowę. Kantor wystrzelił. Seria pocisków z boletra szturmowego trafiła w lewą skroń orka, zabijając go na miejscu. Jednak bezgłowe ciało nie wypuściło broni, a potężne ramiona wykonały ostatni rozkaz małego, prostego mózgu.

Maczuga opadła na głowę Segali z siłą wystarczającą, by rozłupać jego hełm.

Napiersnik i naramienniki sierżanta spłynęły krwią.

Kantor ryknął ze wściekłością i wystrzelił ponownie, trafiając orka po prawej w ramię i w plecy, ale potwór z maczugą unosił już swoją broń do kolejnego uderzenia.

Mimo że orki przytrzymujące sierżanta w końcu osunęły się na ziemię, nabijana kolcami maczuga opadła ponownie, zamieniając to co zostało z hełmu w krwawą miazgę. Nogi Segali ugięły się pod nim i martwy mężczyzna runął na ziemię.

Kantor kroczył przed siebie. Strzała Dorna kontynuowała swoją wściekłą kanonadę, rozszarpując orczego wojownika. Maczuga upadła z głośnym brzękiem. Muskularne ciało tańczyło jeszcze przez chwilę w miejscu, gdy kolejne pociski wybuchały w jego wnętrzu, rozrywając je na strzępy.

Kantor ryknął i obrócił się w poszukiwaniu nowego celu. Wybór miał szeroki. Czując gorejący w nim płomień nienawiści i gniewu, rzucił się do walki wręcz, dobywając swego ostrza.

- Rozszarpacie ich na kawałeczki, bracia - zawołał. - Krew za krew. Zemsta za poległych. Żaden nie może ujść z życiem.

Pozwolił emocjom wziąć górę i czerpał z nich siłę. Poruszał się zbyt szybko i zbyt pewnie, by świadoma myśl odgrywała tu jakąkolwiek rolę. Jego ruchy w najczystszej formie odzwierciedlały jego drogę życiową, wszystkie treningi, wszystkie modyfikacje i zabiegi, które przeszedł. Stał się uosobieniem trzystu pięćdziesięciu lat doskonalenia sztuki wojennej, której dał teraz upust w starciu z tymi, którzy odebrali mu niemal wszystko; których nienawidził najbardziej w całej galaktyce.

Zabijał bez chwili wahania. Jego dwa serca pompowały krew, a mięśnie poruszały się w idealnej harmonii. Każdy, kto zobaczyłby go w tamtym momencie, zdałby sobie sprawę z czegoś bardzo istotnego. Pedro Kantor nie był Mistrzem Zakonu tylko ze względu na swój intelekt i postawę. Był jednym z najlepszych wojowników, którzy należeli do zakonu na przestrzeni ostatnich dziesięciu tysięcy lat.

Alessio Cortez byłby z niego dumny, choć wcale by go ten fakt nie zdziwił.

Od zawsze wiedział, że tak jest.

Drużyna Segala teraz stała się drużyną Daecora. Kantor nie miał wyjścia i musiał umieścić Feraggamosa Daecora na stanowisku dowódcy. Bracia z drużyny Segali zaakceptowali to. W tym momencie liczyła się tylko misja. Chociaż rozpaczali po utracie swojego sierżanta, musieli odłożyć żałobę na później, o ile sami dotrważą do tego czasu.

Mimo strat, pozostałe siły grupy szturmowej były w stanie uporać się z orkami w korytarzu. Gdy w końcu dotarli do centrum kontroli lotów, zostało ich już tylko dziewięciu, w tym Mistrz Zakonu. Sierżant Segala zginął w korytarzu. Bracia Gaban, Ramos i Morai również polegli. Ich ciężka broń znacząco obniżała ich zdolności bojowe w walce wręcz. Brat Oro bronił lądowiska Coronado, a przynajmniej Kantor miał taką nadzieję, gdyż nie był w stanie nawiązać z nim kontaktu.

A Cortez?

Cóż, Alessio zawsze powtarzał, że pewnego dnia spotka równego sobie. Kantor starał się na tym nie skupiać, ale sama myśl, że jedna kreatura zabiła Drigo Alveza oraz Allesio Corteza doprowadzała go do pasji. Musiał powstrzymać się, żeby nie zawrócić i nie wytropić krwiożerczej bestii osobiście. Mieli ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Centrum kontroli lotów zajmowało całe piętro wysuniętej najdalej na północ jednej z trzech wież. Było to szerokie, okrągłe pomieszczenie o półokrągłych oknach, które biegiły po całym jego obwodzie. Dotarłszy windą na górę, marines zastali na miejscu orki, dokładnie dwadzieścia trzy osobniki, które jednak nie spodziewały się żadnego ataku lub też nie były nań przygotowane. Być może były zbyt zajęte, by zwracać uwagę na jakikolwiek alarm wszczęty przez innych.

Gdy drzwi się rozsunęły, Kantor zobaczył zielonoskórych, którzy siedzieli przygarbieni w wysokich krzesłach. Wszyscy mieli na uszach słuchawki połączone z konsolami zwojami poskręcanych kabli i paplali coś do mikrofonów w swoim gardłowym, charczącym języku, który ledwo przypominał normalną mowę. Pomiedzy nimi biegały groty z najróżniejszymi narzędziami i niemożliwymi do opisanie gadżetami. Gdy małe stworzenia ujrzały Astartes, ze strachu zastygły w miejscu. Kantor kazał swoim ludziom otworzyć ogień i centrum kontroli zamieniło się w krwawą łaźnię. Orki ze słuchawkami nie miały nawet szans odwrócić się na krzesłach gdy Daecor i jego ludzie zaczęli do nich strzelać, wybijając mokre, czerwone dziury w ich zniekształconych łbach.

Ich cielska osunęły się w krzesłach. Niektóre ciężko zwały się na posadzkę.

- Czysto - powiedział Daecor. Czarny dym wciąż jeszcze unosił się z lufy jego boltera.

Kantor podszedł do powybijanych okien wychodzących na północną stronę. Wiatr wyl i szarpał nim, zupełnie jakby chciał zepchnąć go w zabójczą otchłań. Mężczyzna spojrzął z góry na lądowisko Coronado położone trzysta metrów niżej. Na zewnątrz było już zupełnie ciemno. Kantor zaczął przełączać tryby obrazu w hełmie. Przy takiej odległości tryb podczerwieni był zawodny, dlatego postanowił skorzystać z noktowizji. Na dole dojrzał wraki orczych myśliwców bombowych, które zdażyły się już wypalić. Nieco na prawo od nich zobaczył rampę dostępu prowadzącą do atrium.

Gęsto ścieliły ją trupy zielonoskórych.

Po bracie Oro nie było śladu.

Kantor wiedział, co to oznaczało. Dewastator nie opuściłby swojego posterunku.

To znaczy, że Alessio również nie żyje.

Czuł, jak coś w jego wnętrzu zaczyna pękać, coś ważnego, coś, co musiało wytrzymać jeszcze trochę dłużej. Nie przysłużyłby się pamięci Alessio, gdyby teraz się poddał. Należało zadbać o przetrwanie zakonu. Wciąż była szansa, jakkolwiek wątpliwa, że była jeszcze dla nich jakaś przyszłość. Przyszłość, w której Imperium wciąż będzie mogło polegać na Szkarłatnych Pięściach, jak niegdyś.

Spojrzał nieco dalej na północ, poza płytę lądowiska Coronado i daleko na horyzoncie zobaczył błysk ognia artyleryjskiego, któremu odpowiedziały jasne promienie zielonej i fioletowej energii. Mężczyzna wysilił słuch. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy słabe odgłosy walki o cytadelę, ale nie miał pewności. Dźwięk musiałby przebyć odległość sześćdziesięciu kilometrów, natomiast wiatr wyjący w powybijanych oknach nie ułatwiał mu zadania.

Jak blisko murów znalazły się garganty? Różnobarwne rozbłyski światła, których był świadkiem, sugerowały, że przypuściły już atak za pomocą olbrzymiej liczby potężnych broni energetycznych zamontowanych zamiast ramion. Ostatnie dzielnice wokół cytadeli z pewnością już padły. Kantor rozkazał ewakuować z nich wszystkich poza obrońcami, ale wymagało to przesiedlenia dosłownie milionów cywili, których Srebrna Cytadela nie była w stanie pomieścić.

Niemożliwością było przewidzenie Jak długo wytrzymają tarcze próżniowe cytadeli. Wszystko zależało od siły ognia orków. Kantor widział już garganty w akcji. Pomógł nawet unieszkodliwić dwie takie maszyny, w odstępie ponad stu lat, dowodząc grupami szturmowymi, które zdołały zniszczyć krytyczne elementy ich rdzeni energetycznych. Tym razem tego rodzaju działania nie były możliwe do zrealizowania. W ostatecznym rozrachunku ich jedyną szansą było zabezpieczenie portu kosmicznego i liczenie na to, że posiłki dotrą na czas. Prawdopodobieństwo powodzenia było żałośnie małe i zależało od wielu czynników, na które nie miał wpływu.

Być może - pomyślał. Jednak pewne sprawy mogę wziąć w swoje ręce.

Spojrzał na konsolę przed sobą. Najwyraźniej orki rozumiały, że nie należało ingerować w to, co tutaj zastały. Część urządzeń wyglądała, jakby rozebrano je na części, być może po to, by przekonać się, jak działają, ale większość sprzętu była nienaruszona. Może jedynie była nieco brudniejsza niż zwykle.

Bracia Anais i Ruzco nie czekali na rozkazy. Natychmiast odłożyli broń i rozpoczęli diagnozowanie systemów łączności.

Kantor pozwolił im pracować. Chwilę później podszedł do niego Ruzco, trzymając w ręku kabel zakończony złotą wtyczką i spytał, czy może wetknąć ją w ryngraf Mistrza Zakonu, gdzie znajdowało się gniazdo transmisyjne. Kantor bez wahania się zgodził. Ruzco umieścił wtyczkę w gnieździe. Kantor natychmiast usłyszał w hełmie szum zakłóceń. Zbrojmistrz przekręcił potencjometr na konsoli przed sobą, przełączając się pomiędzy kanałami. Z początku nie uzyskali żadnego sygnału i Kantor zaczął podejrzewać, że anteny na szczycie wieży jednak uległy uszkodzeniu. Dlaczego jednak w takim wypadku orki siedziały tutaj, paplając nieustannie do

mikrofonów?

Wtedy coś usłyszał - charkotliwie wysapaną transmisję w języku orków. Rozpoznał ten głos. Od kiedy Krzyżowiec wrócił z Badlanding z wieściami o śmierci Ashora Drakkena słyszał go już wielokrotnie. Należał do Snagroda, który jak zwykle nadawał swoje przechwałki i drwiny. Wiadomość dobiegła końca i zaczęła się od początku. Najwyraźniej ją zapętłono. Skretyniały arcyherszt wciąż nadawał w języku orków, choć jego wiadomości ewidentnie były przeznaczone dla uszu lojalistów. Nawet byłoby to zabawne, gdyby ta obca maskara nie była osobiście odpowiedzialna za niewypowiedziany ból, tortury i śmierć tak wielu ludzi. Ruzco dalej pracował przy pokrętłach konsoli łączności. Weszli teraz na wyższe częstotliwości. Kantor zaczynał tracić nadzieję gdy usłyszał ludzki głos. Czy też raczej głos istoty, która kiedyś była człowiekiem, lecz wciąż mogła zachować resztki człowieczeństwa.

Głos należał do serwitora łączności na jednym z imperialnych okrętów walczących na orbicie planety. Kantor uniósł dłoń, by powstrzymać Ruzco przed wprowadzaniem dalszych zmian i słuchał. Jednak potok słów serwitora przeznaczony był dla uszu innych serwitorów. Dotyczył głównie słów statusu systemów pokładowych i odczytów energii. Mistrz Zakonu zakręcił nadgarstkiem, na co zbrojmistrz przekręcił potencjometr jeszcze bardziej w prawo. W końcu znaleźli to, czego szukali.

- Wszystkie baterie na bakburcie mają obrać za cel ten statek - rzekł wykształcony głos w wysokim gotyku. - Uzbroidź lance energetyczne na wypadek zwrotu.

Wesprzemy Manzarion i Virago, gdy tylko opędzimy się od ich myśliwców.

Wykonać!

Kantor zaczekał aż mężczyzna skończy, po czym wtrącił się:

- W imię Imperatora, zidentyfikuj się.

- Do diabła, co robisz na tej częstotliwości? - wyjąkał wytworny mężczyzna. -

Wiesz, jaka jest kara za przerywanie łączności Imperialnej Marynarki Wojennej? Kto mówi?

- Chwilę - odparł Kantor. - Przesyłam kody identyfikacyjne.

Na konsoli przed Ruzco znajdowała się klawiatura runiczna. Palce zbrojmistrza szybko przemknęły po kolejnych symbolach.

Odpowiedź była natychmiastowa.

- To... to kod Astartes! - wydukał imperialny dowódca.

- Tak - rzekł Kantor. - Z tej strony Pedro Kantor, Lord Diabelskich Ostrzy, Mistrz Zakonu Szkarłatnych Pięści Kosmicznych Marines. A teraz zidentyfikuj się.

Dowódca okrętu zamilkł na chwilę, zbierając się w sobie.

- Nazywam się Arvol Dahan - powiedział. - Lord komandor niszczyciela Adaemus Imperialnej Marynarki Wojennej. Wybacz mi, lordzie Astartes, za... -

Nie musi pan przepraszać, komandorze - odparł Kantor. - Potrzebuję jednak pana pomocy w nawiązaniu połączenia z lordem admirałem Galtaiem.

- Niezwłocznie, mój panie. Galtaire utrzymuje otwarty kanał, który monitoruje jego starszy łącznościowiec. Przesyłam jego częstotliwość...

Ruzco zaczął ustawiać potencjometr, gdy tylko otrzymał dane. Kantor zaczekał aż skończy, po czym przedstawił się łącznościowcowi po drugiej stronie, dodając jeszcze: Muszę natychmiast rozmawiać z lordem admirałem Galtaiem.

Nastąpiła króciutka przerwa, podczas której zapewne przekazywano wiadomość lordowi admirałowi. Kilka sekund później w komunikatorze odezwał się opryskliwy głos:

- Tu Galtaire. Cieszę się, że tam na dole ktoś jeszcze żyje. Tym bardziej, że to ty, mój panie. Jaki jest wasz status? Nie mogę wam nijak pomóc, dopóki nie zabezpieczycie korytarza powietrznego i strefy lądowania.

- Pracuję nad tym, lordzie admirał - powiedział Kantor. - Ale czas nam ucieka. Garganty szturmują cytadelę. Tarcze próżniowe przez jakiś czas wytrzymają, ale nikt nie wie, jak długo.

- Garganty - powtórzył za nim lord admirał. - Wobec tego w pierwszej fali powinniśmy wysłać wam marsjańskich kapłanów i ich maszyny. Są z nami również Astartes, którzy nie mogą się już doczekać, kiedy będą mogli zademonstrować swoje umiejętności. Po nagłówku twojej transmisji, panie, widzę, że nadajesz z portu kosmicznego Nowego Rynn. Czy mogę zakładać, że cała budowla jest pod kontrolą sił imperialnych?

- Odbiliśmy centrum kontroli lotów i łączności. Systemy obronne portu kosmicznego są następne w kolejności. Zostawię tu trzech Astartes, którzy zapewnią łączność i bezpieczeństwo temu miejscu. Brat Ruzco będzie z wami w kontakcie. Informujcie go o wszelkich zmianach. Wszystkie krytyczne informacje będzie przekazywać bezpośrednio do mnie.

- Dobrze, lordzie Astartes - powiedział Galtaire. - Niech Imperator czuwa nad tobą i ma cię w opiece.

- Ciebie również - odparł oschle Kantor. - Wkrótce znów porozmawiamy. Mężczyzna wyjął złotą wtyczkę z gniazda na ryngrafie i wręczył kabel Ruzco. Obracając się plecami do powybijanych okien, ruszył w kierunku windy. Pozostałe Szkarłatne Pięści obserwowały go w napięciu, ciekawe, jak się sprawy mają.

- Dwóch z was zostanie z bratem Ruzco. Musicie za wszelką cenę utrzymać to pomieszczenie - powiedział. - Nic, absolutnie nic, nie może zakłócić naszej łączności z imperialną flotą.

- Szukasz ochotników, mój panie? - spytał Daecor.

- Nie - odparł Kantor. - Nie szukam. - Kolejno wskazał palcem dwóch braci. Jeden z nich, brat Lucevo z drużyny Segali, został ranny w walce, gdy ukąsił go orczy topór. Drugim był brat Padilla z drużyny Liciana.

- Lucevo, Padilla - rzekł Kantor - musicie złożyć mi przysięgę, że będziecie bronić tego miejsca, nawet kosztem swojego życia. Przysięgnijcie na lewe dłonie i krew naszego Prymarchy.

Obaj mężczyźni natychmiast przyklękli i przyłożyli zaciśnięte lewe dłonie do napierśników. Lucevo syknął, gdy odezwała się jego rana.

- Na honor Szkarłatnych Pięści, Prymarchy i Złotego Tronu - wyrecytowali jednocześnie.

Kantor spytał Ruzco, czy ten będzie jeszcze czegoś potrzebować i otrzymał przeczącą odpowiedź. Następnie nakazał pozostałym - Anaisowi, Daecorowi, Licianowi, Vemie i Bacarowi wsiąść do windy, którą przyjechali. Sam wsiadł do niej jako ostatni i zasunął metalową bramkę. Lucevo i Padilla obserwowali Mistrza Zakonu, który wkrótce zniknął im z pola widzenia.



Gdy winda ruszyła w dół, Kantor zwrócił się do swoich Astartes:

- Pomieszczenie kontroli obrony przeciwlotniczej znajduje się we wschodniej wieży. Na czterdziestym ósmym piętrze jest kładka łącząca obie wieże. Przejdziemy na drugą stronę, wjedzie my windą szesnaście pięter i zabezpieczymy pomieszczenie. Później... cóż, wszystko będzie w rękach Imperatora.

- Powinniśmy zniszczyć windę, gdy już wysiądziemy - zasugerował Daecor.

- Przetniemy kable.

Lodric Lician spojrział na niego.

- Na górze jest trzech naszych braci bitewnych. Czy na pewno powinniśmy ich odcinać od świata? Zaufajcie mi. Brat Padilla nie dopuści do tego, by orki odbiły to pomieszczenie.

- Nie jest to kwestia zaufania - powiedział Daecor.

Mijały ich migające pomarańczowe światła, świadczące o szybkim opadaniu.

- To kwestia praktyczności - ciągnął Daecor. - Gdy przybędą posiłki, będziemy mogli dokonać ekstrakcji Ruzco, Padilli i Lucevo. Teraz jednak najrozsądniejszym pomysłem będzie odcięcie orkom jedynej drogi do tego pomieszczenia. Czyż nie? Niezadowolony Lician mruknął coś pod nosem, ale nie mógł dyskutować z logiką Daecora.

- Przetniemy kable - oznajmił Kantor, kończąc dalszą debatę. - Nasi bracia będą bezpieczniejsi, a tym samym zachowamy możliwość komunikacji z flotą.

Spojrzał na cyfry zmieniające się na małym, zielonkawym wyświetlaczu windy.

- Powinniście wszyscy sprawdzić zapasy amunicji. Przejażdżka dobiega końca.

Wysiedli w tej samej okrągłej komnacie, w której rozpoczęli swoją podróż windą na górę. Kantor jako pierwszy opuścił platformę, cicho i ostrożnie. Wzrokiem omiół skąpany w półmroku korytarz, w którym poległ Segala. Pośród ciał xenos dostrzegł krawędź ciemnoniebieskiego naramiennika i czerwone knykcie wymalowanej na nim ikony zakonu.

W następnej chwili w jego ręce eksplodował ból i cały świat zawirował. Znalazł się w powietrzu, po czym wylądował ciężko, zatrzymując się u podstawy kolumny z białego kamienia, którą przyozdobiono filigranowymi listkami ze złota. Komnatę wypełnił ogłuszający, nieludzki ryk. Był tak głośny, że zdołał strącić obumarłe liście z drzew i krzewów, które niegdyś upiększały to miejsce, teraz jednak świadczyły tylko o jego upadku i rozkładzie.

Kantor uniósł wzrok. Coś ciężkiego i twardego uderzyło go prosto w twarz, przydzwaniając o jego hełm. Gdy przedmiot upadł na ziemię, mężczyzna spuścił spojrzenie.

Natychmiast rozpoznał tę starożytną i znajomą rzecz. Miała barwę wypolerowanego szkarłatu, inkrustowaną złotem i wysadzaną najwspanialszymi klejnotami oraz czarnymi perłami.

Jej knykcie ozdobiono czaszkami. Na grzbiecie widniał herb - pojedyncza pięść wykonana z rubinów wprawionych pomiędzy pierzaste skrzydła ze złota. Poniżej umieszczono wieniec laurowy okalający wyszczerzoną czaszkę okraszoną symbolem dwugłowego orła, aquili Imperium Człowieka.

Miał przed sobą osobisty herb Alessio Corteza, a to była jego rękawica energetyczna. W środku wciąż znajdowało się odcięte, zakrwawione ramię Corteza. Białe

fragmenty kości wystawały z mięsa, zupełnie jakby całość usunięto z chirurgiczną precyzją.

Kantor zastygł na chwilę, zdruzgotany, desperacko starając się pozbierać myśli i skierować je z dala od tego, co to oznaczało.

Mężczyzna uniósł wzrok i zobaczył wielkiego, zakutego w złoty pancerz herszta, Urzoga Mag Kulla, który ryczał triumfalnie. Jego lewy bok był przesiąknięty krwią. Potwór stracił również jedno oko. Duży kawałek zielonkawej skóry zwisał mu z boku czaszki, odsłaniając jasną kość. Poszarpane kable zasilające prawą nogę sypały migotliwymi iskrami. Cortez mocno sponiewierał bestię nim uległ jej niesamowitej sile. Ork ponownie ryknął, uniósł dwulufowy karabin maszynowy, który wycelował w Kantora i nacisnął spust.

Rozległo się głośne kliknięcie i wizg podajnika nabojów, ale z lufy nie wystrzelił ani jeden przeciwpancerny pocisk. Kantor spojrział na broń i zobaczył, że jej lufy były zmiażdżone i powykrzywiane. Cortezowi udało się w trakcie walki poważnie uszkodzić broń. Gdyby tego nie zrobił, Pedro Kantor zostałby rozerwany na strzępy tu i teraz.

- Obcy! - warknął Mistrz Zakonu, spychając ramię starego przyjaciela z kolan i podrywając się na równe nogi. - Zapłacisz za to!

Mężczyzna zerwał się do biegu, mknąc prosto w kierunku zwalistej, dwutonowej kreatury. Jego bolter szturmowy zasypał pancerne cielsko gradem kul. W ciągu zaledwie sekundy Kantor zmniejszył dystans i znalazł się metr przed orkiem, spoglądając wprost w straszliwy, wypełniony kłami pysk spod gniewnie zmarszczonych brwi. Jego rękawica energetyczna trzeszczała od nagromadzonej energii. Trzymane w lewej dłoni pokryte diamentem ostrze było gotowe do uderzenia.

- No dalej, bydlaku! - syknął. W odpowiedzi usłyszał jeszcze jeden złowróżbny ryk, po czym bestia skoczyła prosto na niego z zakrwawionym szponem energetycznym. Pomimo szybkości stworza, cios był sygnalizowany. Tuż przed uderzeniem ork na ułamek sekundy przeniósł ciężar ciała. To wystarczyło. Kantor odsunął się na bok w chwili, gdy szpon ciął na wysokości jego brzucha. Mężczyzna uderzył w wyciągnięte ramię rękawicą energetyczną. Gdyby trafił, mógłby równie dobrze pozbawić orka kończyny, ale potwór był niewiarygodnie szybki. Nie pozostawił wyprostowanego ramienia, ale cofnął je równie szybko jak wąż cofający łeb po ukąszeniu.

Pięść Kantora przecięła powietrze, na chwilę wytrącając go z równowagi. Właśnie wtedy ork zamachnął się na niego poobijanym, dwulufowym karabinem. Tego ciosu nie sposób było uniknąć. Zamiast tego Kantor uniósł lewą rękę, oparł głowę na wewnętrznej stronie przedramienia i spróbował przyjąć impet uderzenia.

Siła ciosu była oszałamiająca. Pomimo wysiłków, mężczyzna poleciał w tył, kompletnie ścięty z nóg. Wylądował ciężko na prawym boku, po czym przejechał jeszcze sześć metrów po posadzce.

Podniósłszy się z ziemi, zaklął, próbując się otrząsnąć.

Zobaczył, że sierżant Daecor, brat Vema i brat Bacar starają się otoczyć bestię.

Daecor drażnił stworza, podczas gdy dwóch pozostałych zachodziło go z boku.

Wyglądało na to, że ta strategia się powiedzie. Ork skoczył na Daecora. Masywny szpon wybił dziurę w marmurowej posadzce, gdy sierżant odskoczył w tył. Vema i

Bacar ruszyli, gdy tylko cios chybił ich nowego dowódcę. Vema wcisnął ostrze bojowe pod lewe kolano stwora i mocno szarpnął, przecinając kable wspomagania. Trysnął na niego olej i płyn hydrauliczny. Bacar chciał trafić nożem pod pachę potwora, której ze względu na mobilność nie osłaniał pancerz.

Potwór spostrzegł Bacara na skraju pola widzenia swojego jedyne go zdrowego oka. Obrócił się z szybkością błyskawicy, uderzając w okrytą hełmem głowę lufami podwójnego karabinu. Kiedy chwilowo ogłuszony brat Bacar rozpostarł ramiona, żeby odzyskać równowagę, kreatura wykręciła lewą część ciała i rozplatała mężczyznę na trzy części straszliwym, poziomym cięciem energetycznych szponów.

Ciało Bacara, łącznie z jego pancerzem wspomaganym, rozpadło się na trzy części. Jego głowa i lewe ramię upadły z plaśnięciem na posadzkę. Z otwartej rany w korpusie trysnęła fontanna krwi.

W tej samej chwili do walki włączyli się bracia Lician i Anais.

- Nie! - ryknął Kantor. - Bracie Anais, wracaj do windy. Lician, od ciebie zależy jego życie. Nie możemy go stracić!

Mistrz Zakonu rzucił się pędem w stronę bestii, która właśnie zabiła kolejnego brata z jego ukochanych Szkarłatnych Pięści.

Ilu jeszcze musiał stracić zanim Urzog Mag Kull polegnie?

Daecor znalazł się po lewej stronie Mag Kulla, jednak w chwili, gdy doskoczył do stwora, ten grzmotnął go na odlew w napierśnik. Uderzenie od dołu wyrzuciło sierżanta na kilka metrów w powietrze. Mężczyzna gruchnął plecami o ziemię, wypuszczając z rąk bolter.

Verna, który nagle znalazł się za plecami potwora, rzucił się na napędzane tłokami kolana, próbując przewrócić orka, ale nie miał żadnych szans. Nawet w pancerzu Astartes, mężczyzna ważył zaledwie ułamek tego co Mag Kull.

Udało mu się jednak na chwilę zdezorientować kreaturę, pozwalając Kantorowi wybić się w powietrze z rękawicą energetyczną uniesioną wysoko nad głową do śmiertelnego uderzenia.

Przez krótką chwilę Mistrz Zakonu dosłownie leciał. W ten atak włożył całą swoją olbrzymią siłę.

Mag Kull zdołał odepchnąć Vernę kopniakiem, krusząc pancerz na lewym ramieniu Szkarłatnej Pięści i łamiąc mu kości. Obrócił się w porę, by dostrzec atak Kantora, lecz nie dość szybko, by go uniknąć. Mógł jedynie próbować zminimalizować obrażenia miażdżącego uderzenia znad głowy.

W ostatniej chwili zasłonił pysk masywnym, metalowym ramieniem. Rozległ się głośny trzask, niczym ostry grzmot, gdy pięść Kantora zetknęła się z płytą pancerza stwora, przecinając osłonięte nim kości i węzły mięśni. Impet uderzenia pchnął orka w tył. Kantor runął jak długi na posadzkę.

Ork ryknął. Iskry lecące z uszkodzonych nóg podpaliły olej wyciekający z rurek.

Dolna część jego ciała stanęła w płomieniach. Wciąż jednak nie skończył ze Szkarłatnymi Pięściami. Jego prawe ramię, to w którym trzymał bezużyteczny ciężki karabin, zwisało teraz z barku na cienkich zwojach nerwów i ścięgien. Bezwładna ręka objęła się o płonący bok potwora, który z trudem ruszył w stronę Kantora. Poirytowana bestia uniosła swój wielki szpon, sięgnęła przez korpus i jednym ruchem zupełnie odcięła sobie nieprzydatne ramię.

Odcięta ręka upadła na ziemię ze szczękiem metalu.

Verna leżał, pojękując. Starał się na nowo zebrać siły. Daecor również z trudem podźwignął się z ziemi. Kantor wstał o własnych siłach, czując ból przeszywający całe ciało. Do diabła, nie mógł pozwolić sobie na przegraną. Jednak kreatura była nienaturalnie wytrzymała, wytrzymalsza niż którykolwiek z Astartes. Nie chodziło jedynie o pancerz, lecz o naturę rasy orków. Ból rzadko kiedy ich spowalniał. Strach niemal nigdy ich nie powstrzymywał. Były uzależnione od wojny, uzależnione od rzezi i nigdy się nie poddawały.

Kreatura chwiejnym krokiem zbliżała się do niego na płonących nogach, kłapiąc ostrzami swojej jedynej broni, śmiercionośnych szponów energetycznych, jakby była to jej druga szczęka.

Kantor wystrzelił serię pocisków, celując w łeb stwora, ale masywny, metalowy ryngraf przypominający długie kły chronił pysk kreatury. Pociski wybuchły w zetknięciu z pancerzem, co jedynie rozzłościło bestię.

Znalazłszy się cztery metry od niego, ork uniósł potężne szpony w powietrze.

Mężczyzna przygotował się, by sparować uderzenie lub uniknąć ciosu. Cała jego uwaga skupiona była na ostrych jak brzytwa pazurach broni, zupełnie jakby była to jedyna rzecz we wszechświecie. Dlatego też z początku nie zdawał sobie sprawy, co się stało. Choć zobaczył to na własne oczy, nie był pewien, czy dać temu wiarę.

- Jeszcze nie skończyliśmy, xenos! - warknął czyjś ochryply głos.

Opancerzona postać skoczyła stworowi na plecy, oplatając go jedynie za pomocą niebieskich, pokrytych ceramitem nóg. W lewej ręce, jedynej ręce, postać trzymała niewielki, metalowy przedmiot.

Potwór starał się obrócić w stronę nowego napastnika, ale niezależnie od tego, jak bardzo starał się wykręcić, niebieska postać zawsze była za jej plecami, trzymając się wyłącznie dzięki sile swoich nóg.

Ork ryknął z frustracją. Gdy jego paszcza otworzyła się na całą szerokość, napastnik pochylił się i umieścił metalowy przedmiot w pysku kreatury.

Zdezorientowany stwór połknął go odruchowo, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co właśnie zaszło.

Raz jeszcze wierzgnął w końcu zrzucając z siebie niebieską postać, która poluźniła chwyt i poleciała w tył, ciężko upadając na ziemię, po czym zaczęła szybko odpełzać.

Potwór rzucił się pościg, ale zdołał postąpić jedynie dwa kroki. Miał już postawić trzeci, gdy w jego żołądku eksplodował granat. W miejscu, gdzie głowa potwora wystawała z pancernej skorupy, trysnęła fontanna krwi i pogruchotanych kości.

Jeszcze przez chwilę zbroja stała pionowo, najwyraźniej nienaruszona przez wybuch zielonoskórego cielska. Następnie, powoli, niczym upadające drzewo ebonowe, przechyliła się w przód i runęła na posadzkę.

Kantor zdał sobie sprawę, że ciężko dyszy i świadomie spróbował rozluźnić ciało.

Wciąż nie był do końca pewien, co się wydarzyło. Wtedy usłyszał ochryply śmiech gdzieś po swojej prawej. Postać w pancerzu Szkarłatnych Pięści usiadła na ziemi, zanosząc się śmiechem. Od stóp do głów umazana była krwią, zaś jej opuchnięta twarz była niemal niemożliwa do rozpoznania.

Niemal.

- Alessio - wyszeptał Kantor, odrętwiała z ulgi. - Alessio.

Rzeczywiście był to Cortez, choć w trakcie ostatniego stulecia Kantor chyba nie widział go w gorszym stanie.

- Ty żyjesz! Na Dorna, ty żyjesz!

- Muszę podtrzymać swoją legendę - rzekł Cortez. Gdy zakasłał, na jego twarz wystąpił grymas bólu. - Cholera, twardy był z niego sukinsyn.

Kantor podszedł do przyjaciela, by pomóc mu wstać. Lician i Anais wysiedli z windy, aby wesprzeć Daecora i Verne.

Podając dłoń Cortezowi, Mistrz Zakonu skrzywił się, widząc pokryty zakrzepłą krwią kikut, który pozostał po prawym ramieniu przyjaciela. Cortez wyciągnął lewą rękę, przyjmując pomoc Kantora i podźwignął się na nogi. W każdym jego ruchu Mistrz Zakonu widział, jak ciężko ranny był jego stary druh. Mężczyzna stęknął z bólu, wstając, a cała jego szybkość gdzieś się ulotniła.

- Co teraz? - spytał Cortez, gdy już stanął o własnych siłach. Obrócił głowę, by spojrzeć kolejno na pozostałych.

- Dla ciebie nic - odparł Kantor. - Zostaniesz tu, dopóki nie znajdziemy dla ciebie medyka.

- Nie ma mowy - zaprotestował Cortez. - Jestem z wami. Nic mi nie jest.

- Nie - zagrzmiał Kantor. - Straciłeś ramię, Alessio. Tylko z łaski samego Imperatora nie straciłeś przy tym życia.

Cortez wskazał coś gestem ponad ramieniem Kantora.

- Wcale nie straciłem ramienia, bracie. Leży tam.

W istocie. Jego oderwana ręka, wciąż zakuta we wspaniałą rękawicę energetyczną przyozdobioną jego osobistym herbem, leżała dokładnie tam, gdzie Kantor ją zostawił, zaraz obok kolumny, o którą cisnęła nim kreatura.

Kantor pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć, że jego przyjaciel uważał to za zabawne. Daecor, Verna i pozostali zatrzymali się tuż obok.

- Twoja legenda rośnie, kapitanie czwartej - powiedział Daecor, salutując.

Cortez nie spuszczał wzroku z Kantora, ale Mistrz Zakonu odwrócił się do pozostałych i powiedział:

- Daecor, Lician, Anais... razem udamy się do centrum kontroli obrony powietrznej. Brat-kapitan Cortez i Verena wezmą windę do centrum kontroli lotów, gdzie zaczekają z Lucevo, Padillą i Ruzco.

- Z całym szacunkiem, panie - rzucił gniewnie Cortez - powiedziałem, że wciąż mogę walczyć.

Kantor pokręcił głową.

- Zaledwie trzech braci próbuje utrzymać centrum kontroli lotów. Krytyczne dla naszej misji jest, by pozostało ono pod naszą kontrolą. To rozkaz i masz go wykonać. Pozwoliłem ci już na stanowczo zbyt wiele, Alessio - pomyślał Kantor. Niemal doprowadziło to do twojej śmierci. Na dziś już wystarczy.

Język ciała Corteza zdołał wyrazić olbrzymie niezadowolenie z tego faktu, bez konieczności używania słów, ale mężczyzna zrobił, jak mu kazano. Odwrócił się i poprowadził kuśtykającego Verne do windy.

- Myślałem, że przetniemy kable - zauważył Daecor.

- Dobrze, że tego nie zrobiliśmy - odparł Kantor. - Żaden z nich nie jest w stanie dalej walczyć.

- To niesamowite - mruknął sierżant. - Niesamowite, że Cortez to przeżył.  
Cortez miał już zamknąć za sobą bramę windy, kiedy Kantor krzyknął za nim:  
- A co z bratem Oro? Widziałeś go?  
Drzwi zaczęły się już zamykać, ale Cortez zatrzymał je dłonią. Wychyliwszy się z windy, powiedział:  
- Oro wrócił do atrium i próbował mi pomóc. Powiedziałem mu, żeby się nie wtrącał, ale nie chciał mnie słuchać.  
Mężczyzna zamilkł na chwilę, po czym dodał:  
- Jeśli to cokolwiek zmienia, to zginął dzielnie.  
Na chwilę zapadła cisza.  
Cortez pozwolił, aby drzwi windy zamknęły się za nimi. Kilka sekund później wyciągarki zaterkotały i klatka windy ruszyła w górę.  
- Zbierzcie broń - powiedział Kantor. Jego spojrzenie przykuły zwłoki Bacara, zaledwie trzy makabryczne części zbite w jedną całość na posadzce po jego prawej.  
- Zabierzcie jego amunicję. Może się nam przydać.  
Z tymi słowami obrócił się i zaczął iść w stronę wyjścia w południowo-wschodniej ścianie komnaty.  
Pospieszcie się - powiedział do podążających za nim Pięści. - Garganty mogły się już przebić.

## 9

### Wieża obrony przeciwlotniczej

#### Port kosmiczny Nowego Rynn

Nic, co napotkali na swej drodze nie było aż tak zabójcze jak herszt orków, którego Cortez ostatecznie zabił. Choć Kantor zabrał ze sobą jako wsparcie jedynie garstkę braci bitewnych, przemieszczali się sprawnie, zabijając orki na swojej drodze z zimną, bezwzględną skutecznością. Wnętrze południowo-wschodniej wieży przypominało to, z którego właśnie przyszli. Gdy minęli łącznik i pokonali serię brudnych pokoi oraz zniszczonych korytarzy, znaleźli się w obszernym pomieszczeniu zdominowanym przez centralnie umieszczony szyb windy. Jediną różnicą pomiędzy tą salą i jej wcześniejszą odpowiedniczką wydawał się być brak martwych roślin.

Centrum kontroli obrony przeciwlotniczej znajdowało się niemal na szczycie wieży, dobry kilometr nad ziemią. Podobnie jak centrum kontroli lotów, okupowały go orki i grotty. Podobnie jak zielonoskórzy w centrum kontroli lotów, ci również byli nieprzygotowani na nagły i zdecydowany atak. Kilka chwil po tym jak wyłonili się z windy, Kantor i jego naprędce złożony skład zrzucali zakrwawione ciała z konsol. Rozkład pomieszczenia bardzo przypominał ten z centrum kontroli lotów, choć tu wybito mniej szyb. Było tu zimno, noce wysysały całe ciepło. Kantor zignorował chłód. Wewnątrz jego wspomaganego pancerza panowała niemal stała temperatura. Niektóre martwe grotty nosiły płaszcze i czapki z wełny raumasów, zapewne ukradzione z ciał Rynnitów, które kiedyś musiały ścielić to miejsce tak samo jak zwłoki grotów obecnie. Ich więksi, orczy bracia nie nosili tego rodzaju strojów. Ich wielka, rozdęta muskulatura uniemożliwiała przywdziewanie ludzkich ubrań. Gdy konsoly zostały oczyszczone z martwych obcych, brat Anais rozpoczął diagnostykę systemów. Kilka chwil później stanął u boku Mistrz Zakonu.

- Mam dobre wieści, panie. Wygląda na to, że zielonoskórzy nie wyrządzili żadnych nieodwracalnych zniszczeń.

- Ile czasu zajmie nam przejęcie pełnej kontroli nad bateriami ziemia-orbita?

Anais wstukał coś w runach przed sobą. Na zielonym ekranie pojawiły się cyfry.

- Część baterii została uszkodzona. Będziemy potrzebować czasu, by przywrócić je do działania. Pozostałe mogą rozpocząć ostrzał w ciągu godziny, może nawet szybciej.

- A suborbitalne baterie obrony przeciwlotniczej? - spytał Kantor.

- Podobnie, mój panie - odparł Anais. - Część z nich została rozebrana. Jednak odczyty zasilania są w normie. Orki nie zniszczyły, ani nie odłączyły lokalnych generatorów plazmowych.

- Przywróć działanie systemów tak szybko jak to możliwe - powiedział Kantor.

- Następnie nawiąż połączenie z naszymi braćmi w centrum kontroli lotów. Chcę uzgodnić z nimi plan działania. Gdy już będziemy gotowi, wyślemy wiadomość do lorda admirała Galtaire'a. Im szybciej flota wyśle nam wsparcie, tym lepiej. Przy okazji powiedz Ruzco, żeby spróbował nawiązać kontakt z siłami w cytadeli.

Potrzebujemy informacji. Mam nadzieję, że tarcze próżniowe wciąż działają. Kantor ledwo zdążył wziąć wdech po ostatnim zdaniu, gdy na zewnątrz rozległo się głośnie dudnienie. Był to niemożliwy do pomylenia odgłos turbin o dużej mocy, który na dodatek coraz bardziej się zbliżał.

Kantor miał czas jedynie, żeby wrzasnąć *Na ziemię!* zanim coś ostrzelało okna centrum kontroli obrony, wybijając szyby, które nie zostały wcześniej stłuczone. Pociski zdewastowały pomieszczenie, jednak nie wyglądało na to, że pochodziły z karabinów maszynowych, ale czegoś znacznie cięższego. Musiało to być działko automatyczne, które orki zrabowały z Chimery lub Hydry.

Do wnętrza pomieszczenia poleciało potłuczone szkło. Konsolety i serwitory stojące pod przeciwległą ścianą zostały doszczętnie zniszczone. Anais, Daecor i Lician przypadli do podłogi chwilę po tym jak Kantor ich ostrzegł. To uratowało im życie. Sam Kantor znalazł się jednak na linii strzału. Ciężkie pociski przeciwpancerne uderzały w niego, rykoszetując i wzbudzając snopy iskier przy każdym trafieniu, jednak nie wyrządzały mu żadnej krzywdy.

Miał zaledwie ułamek sekundy, by aktywować pole siłowe zamontowane w złotej aureoli na szczycie generatora na jego plecach, ale to wystarczyło. Potrzebny był zaledwie jeden rozkaz neuralny, zwykła myśl, by tak zwana Żelazna Aureola, wykonana w rzeczywistości z adamantium pokrytego złotem, osłoniła go potężnym polem siłowym, które odbiło śmiertelny grad pocisków.

Urządzenie stanowiło ostatnią deskę ratunku, ale nie miał wyboru. Uruchomienie pola siłowego pochłaniało ogromne ilości energii, przez co poziom naładowania jego pancerza spadł drastycznie na czas uruchomienia osłony. Temperatura wewnątrz pancerza gwałtownie wzrosła. Runy alarmowe rozbrzmiały czerwienią na wyświetlaczu, ale uratowało mu to życie. Był to pierwszy raz od niemal pół wieku, gdy pozwolił sobie polegać wyłącznie na aurze.

Ostrzał ustał. Kantor wyłączył tarczę energetyczną jedną myślą. Runy ostrzegające zgasły. Temperatura wewnątrz pancerza się wyrównała. Mężczyzna wyjrzał poza krawędź strzaskanych okiennic.

W powietrzu na zewnątrz pomieszczenia kontroli obrony unosił się niezgrabny pojazd, kołysząc się niczym pijak w tę i z powrotem dzięki silnikom wypluwającym niebieskie płomienie. Mężczyzna zobaczył dwa pilotujące je orki w goglach, które śmiały się na cały głos. Ich szpetne pyski oświetlały od dołu instrumenty kokpitu. Przestały się śmiać, widząc Kantora, który stał na krawędzi, cały i zdrowy, przesywając je spojrzeniem pełnym nienawiści i gniewu.

Mistrz Zakonu spodziewał się, że zielonoskórzy ponownie otworzą ogień, ale zamiast tego orki zwróciły pojazd bokiem, pokazując lewą burtę.

Przez otwarte wrota załadunkowe umieszczone na środku pojazdu, Kantor zobaczył zwalistą kreaturę o czerwonych ślepiach. Stwór wpatrywał się w niego i w tej samej chwili wydarzyło się między nimi coś nieokreślonego.

Kantor instynktownie wiedział, że miał przed sobą Snagroda. Nigdy wcześniej nie widział większego orka. Arcyherzta otaczała aura niesamowitej siły. Nic dziwnego, że zdołał zgromadzić tyle plemion orków pod jednym sztandarem. Dominacja była zakodowana w jego genach.

Bestia ryknęła, rozwierając olbrzymią paszczę i wskazała na płytę lądowiska Nolfear,



umieszczoną dwieście metrów niżej.

Kantor natychmiast zrozumiał. To była sprawa pomiędzy nimi dwoma. Dowódca przeciwko dowódcy.

Mężczyzna skinął głową, na co arcyherszt ryknął coś do swoich pilotów.

Maszyna zaczęła się oddalać. Snagrod i Kantor patrzyli sobie w oczy, dopóki pojazd nie zniknął Mistrzowi Zakonu z pola widzenia.

Kantor odwrócił się do pozostałych.

- Anais - powiedział. - Czy straciliśmy jakieś systemy krytyczne?

Zbrojmistrz już to sprawdzał.

- Żadnych uszkodzeń krytycznych, panie - rzekł po chwili. - Będę mógł przywrócić do sprawności dziewięćdziesiąt siedem procent pozostałych systemów obronnych.

- Zrób to - odparł Kantor, ruszając w kierunku windy. - Kiedy tylko przywrócisz systemy obronne, skontaktuj się z Ruzco i flotą. Niech zaczną wysyłać posiłki. Dom jeden raczy wiedzieć, jaka jest sytuacja w cytadeli.

Mężczyzna wszedł do klatki windy.

- Mój panie - odezwał się Daecor, podążając za nim. - Chyba nie chcesz iść sam.

- Tak - dołączył się Lician. - Zabierz nas ze sobą.

Kantor obrócił się i spojrzał na swoich sierzantów.

- To moja walka - powiedział. - Gdyby okazała się moją ostatnią, macie wykonać rozkazy, które przekazałem wybrańcom w Cassarze. Z tymi słowami zamknął za sobą bramę i nacisnął mnę jazdy w dół. Daecor i Lician niechętnie patrzyli jak odjeżdża, wiedząc jednak, że nie mogli uczynić nic, by go powstrzymać.

## Platforma terminalu Nolfeas

### Port kosmiczny Nowego Rynn

Na lądowisku Nolfeas stała zaledwie garstka maszyn latających orków. Te, które zostały, ustawiono kilkanaście metrów od krawędzi płyty lądowiska. Wszystkie wyglądały, jakby widziały lepsze czasy. Ich kadłuby nosiły ślady po kulach, których kaliber był zgodny z pociskami wykorzystywanymi w Hydrach. Pojazdy zostały trafione z dział imperialnych obrońców i wróciły tutaj do naprawy. Wokół maszyn kręciła się grupka grotów, które spanikowały i zniknęły w głębi rampy serwisowej, krzycząc i popiskując w swoim prymitywnym języku, gdy tylko zobaczyły Kantora wychodzącego z zabudowanego przejścia na płytę lądowiska.

Niebo nad lądowiskiem zaczęło jaśnieć, przechodząc z ciemnego, upstrzonego gwiazdami granatu w blady róż. Wraz ze zmianą barw Kantor przestał widzieć maleńkie światła, świadczące o bitwie kosmicznej. Mężczyzna modlił się do Dorna, by lord admirał Galtaire okazał się tak dobrym dowódcą jak wynikało z przebiegu jego służby wojskowej. Nie podobało mu się, że tak wiele w kwestii jego przyszłości, a także przyszłości całego zakonu, zależało od innych. Żaden Astartes nie czułby się z tym dobrze. Marines przywykli do tego, że posiadają kontrolę nad własnym losem. Nawet w ogniu walki zawsze wiedział, że niezależnie od tego, czy przeżyje, pozostali będą walczyć dalej. Wiedział, że zakon będzie trwał nawet po jego śmierci. Czy najbliższe dni będą dla nich ratunkiem czy unicestwieniem?

Mężczyzna ruszył w stronę środka lądowiska. Jak dotąd nie było śladu po arcyherszcie orków, ani jego pojeździe, ale Kantor był pewien, że nie pomylił się, odczytując intencje olbrzymiego orka.

Spojrzał w niebo, wysilając nadzwyczajnie czułe zmysły...

...i usłyszał ryk silników odrzutowych zaledwie sekundę przed tym jak orczy pojazd szturmowy zawisł nad krawędzią lądowiska, po czym otworzył ogień, dziurawiąc skalbet pociskami, zbliżającymi się w prostej, śmiertelnej linii.

Uskoczył w ostatniej chwili. Skalbetonowe odłamki uderzyły go w prawy bok, gdy naboje zryły lądowisko tuż obok niego.

Mężczyzna wstał, zwracając się w stronę pojazdu.

Wycelował broń, gdy maszyna przechyliła się w lewo, po czym posłał w jej kierunku serię ze Strzały Dorna. Kokpit był jednak silnie opancerzony, przez co pociski zostawiły jedynie czarne smugi na przezroczystej kopule z armoplastu. Jeden z orczych pilotów szarpnął za drążek i pojazd znów zwrócił się w jego kierunku dziobem.

Kantor aż za dobrze znał moc broni podwieszonych pod krótkimi skrzydłami pojazdu. Zobaczył, że w istocie były to dwa zdobywcze działka automatyczne, do których amunicję doprowadzały duże, ciężkie bębny, w których jak sądził mieściły się dziesiątki tysięcy naboii.

Broń wystrzeliła ponownie i mężczyzna znów ledwo zdołał uniknąć rozszarpania.

Wykorzystanie aureoli kosztowałoby go utratę energii i spowolniło. Nie mógł sobie

na to pozwolić. Miał przecucie, że piloci orków jedynie sobie z nim pogrywają. Snagro nie pozwoliliby im skraść chwały, jaką okryje się, zabijając Mistrza Zakonu Astartes. Z pewnością pragnął tego zwycięstwa tylko dla siebie.

Pojazd wystrzelił trzecią salwę. Kantor postanowił sprawdzić swoją teorię i nie ruszył się z miejsca.

Niewątpliwie podejmował ogromne ryzyko, jednak seria podziurawiła powierzchnię lądowiska Nolfeas obok niego.

Orczy piloci zaczęli porykiwać, przeklinając go. Jeden z nich znów szarpnął za drążek i pojazd oddalił się w stronę przeciwległej krawędzi płyty lądowiska. Gdy już się tam znalazł, zielonoskórzy obrócili maszynę bokiem i Kantor ponownie ujrzał swego nemezis.

Pojazd chybotliwie opadł w kierunku płyty na silnikach wektorowych. Znalazłszy się na wysokości sześciu metrów bestia imieniem Snagrod wyskoczyła przez wrota załadunkowe, lądując z takim impetem, że Kantorowi wydało się, iż cała płyta zdrząła. Oczywiście, nie było to możliwe. Lądowisko Nolfeas posiadało zawieszenie antygravitacyjne, tak samo jak inne lądowiska. Wstrząsnąć nim byłby w stanie co najwyżej transportowiec marynarki wojennej.

Wylądowawszy na ziemi, Snagrod wyprostował się na całą wysokość. Pojazd uniósł się w powietrze i zawisł tam, kołysząc się jak pijak w lewo i w prawo, podczas gdy piloci próbowali utrzymać go w miejscu.

Kantor wbił spojrzenie w arcyherszta. Snagro nie nosił pancerza wspomaganego jak inni przywódcy zielonoskórych. Jego ogromny, muskularny tors był zupełnie nagi, nie licząc głębokich blizn, śladów po przypaleniach, nierównych szwów oraz narzniętych żył grubych jak kciuk dorosłego mężczyzny. Brak pancerza był najbardziej jaskrawym przejawem pewności siebie i siły, jakiego Kantor nie widział u żadnego innego orka.

Wiedział, że nigdy wcześniej nie stawiał czoła takiej bestii w walce na śmierć i życie. Gdy szło o broń, potwór nie używał nawet szponów energetycznych. Zamiast tego ścisnął w palcach prawej dłoni ciężki karabin maszynowy z kasetowym magazynkiem i paskudnie ząbkowanym bagnetem podczepionym pod lufą. Na plecach nosił broń do walki wręcz. Jednakże Kantor nie miał możliwości się jej przyjrzeć.

Dwaj przeciwnicy zastygli w bezruchu, mierząc się wzrokiem. Obaj próbowali w milczeniu ocenić się nawzajem. U pasa Snagroda wisiał szereg hełmów Kosmicznych Marines, które podzwaniały na krótkich łańcuchach przypiętych do pasa ze skóry paszczaka. Były ich cztery, a każdy miał inny kolor i należał niegdyś do braci bitewnych z różnych zakonów. Jeden z nich przyozdobiony był złotym laurem weterana sierżantów.

Kantor napiął skryte pod pancerzem mięśnie i poczuł jak krew żywiej krąży w jego żyłach. Krew i adrenalina. Ta ostatnia miała dodać mu szybkości, uodpornić na ból, pomóc walczyć ze zmęczeniem i sprawić, że ruchy przeciwnika będą wydawać się wolniejsze niż były w rzeczywistości. Jak szybki był ten potwór? Snagro, którego nie ograniczały tony żelaznych płyt tak jak Urzoga Mag Kulla, był zupełnie innym przeciwnikiem.

Chwila ta przeminęła niespodziewanie jak podmuch wiatru i zaczęło się.

Snagrod wycelował lufę karabinu prosto w Kantora i pociągnął za spust. Kantor uniósł Strzałę Dorna i otworzył ogień zaledwie ułamek sekundy później. Pociski świsnęły w powietrzu w obu kierunkach... i trafiły w swoje cele.

Kantor włączył tarczę Żelaznej Aureoli w ostatniej chwili. Kule orka zatańczyły na polu siłowym, krzesząc iskry i rykoszetując, podczas gdy mężczyzna odpowiedział ogniem.

Pociski ze Strzały Dorna również okazały się celne, ale Snagrod uniknął jakichkolwiek obrażeń. Wyglądało na to, że jego również chroni jakiegoś rodzaju pole energetyczne. Był to kolejny powód, dla którego nie potrzebował ciężących metalowych płyt. Bolty szturmowe eksplodowały, tworząc falę dziwnej, zielonej energii na ciele arcyherszta.

Stali tak, dając upust furii swoich broni. Obaj rycieli przy tym ze wściekłości.

Niedługo później, niemal w tej samej chwili, skończyła się im amunicja.

Kantor wyłączył pole siłowe aureoli. Poziomy zasilania jego pancerza spadły niebezpiecznie nisko. Teraz znów wróciły do normy, ale nie osiągnęły wartości optymalnej.

Mężczyzna wiedział, że nie będzie mógł ponownie polegać na aureoli. Gdyby przeciążył generator pancerza, wszystkie systemy wyłączyłyby się, aby uniknąć atomowej eksplozji.

Wystrzeliwszy ostatni nabój, Snagrod z obrzydzeniem odrzucił ciężki karabin na bok i zaatakował.

Do diabła, ależ był szybki!

Jego niesamowicie umięśnione nogi pozwoliły mu dobiec do Kantora w ciągu zaledwie kilku sekund.

Kantor wydał z siebie okrzyk bojowy, po czym ruszył mu na spotkanie, dobywając lewą ręką miecz i aktywując rękawicę energetyczną.

Snagrod w biegu sięgnął po broń do walki wręcz przewieszoną przez plecy. Były to dwa wielkie topory łańcuchowe, które pomalowano w nierówną czarno-białą szachownicę. Wraz z warkotem silników, ich zęby zamieniły się w jasną smugę.

Dwaj przeciwnicy starli się na samym środku płyty lądowiska. Kantor uniknął miażdżącego uderzenia i ciał Snagroda w brzuch. Poleciały zielone iskry. Potwora wciąż chroniło pole energetyczne. Skąd czerpało ono swoją moc? Musiało skądś pochodzić, jednak wzrok Kantora nie potrafił wypatrzyć żadnych śladów urządzenia.

Musiało znajdować się gdzieś na ciele Snagroda, lecz Mistrz Zakonu nie miał czasu się mu lepiej przyjrzeć. Kolejne świszczące cięcie niemal skróciło Kosmicznego Marine o głowę. Ostrze lewego topora łańcuchowego minęło go o włos.

Kantor starał się trzymać blisko. Zasięg jego miecza był znacznie mniejszy niż orka. Cofanie się niewiele by dało. Tym sposobem był w stanie sam uderzać, jednak jakie to miało znaczenia, dopóki potwora chroniła tarcza?

Kolejne cięcie topora arcyherszta zostawiło Kantorowi miejsce do kontrataku. Jego rękawica energetyczna wystrzeliła do przodu, zadając cios, który zabiłby każdą inną żywą istotę. Pole siłowe rękawicy huknęło z siłą gromu, a osobista tarcza Snagroda rozbłysła jasnym światłem. Jednak cała siła uderzenia została rozproszona. Ork ledwo cofnął się o krok.

Kantor poczuł nowy przyływ adrenaliny. W walce z tym potworem czuł się bezsilny

jak dziecko.

Gdy Mistrz Zakonu skupiony był na unikaniu kolejnych ciosów śmiercionośnych ostrzy, Snagrod wyprowadził kopniaka, który trafił mężczyznę prosto w żołądek i posłał go w tył z taką siłą, że ten przejechał plecami dziesięć metrów po powierzchni lądowiska.

Kantor stęknął. Nawet pomimo ceramitowego pancerza, cios pozbawił go tchu. Snagrod atakował w czasie gdy Mistrz Zakonu wciąż leżał na ziemi. Bestia uniosła oba topory jednocześnie, wkładając całą swoją ogromną siłę w jedno śmiercionośne uderzenie z góry.

Kantor przetoczył się w lewo, zmuszając do wysiłku każdą cząstkę ciała. Topory wbiły się głęboko w płytę lądowiska i zaklinowały. Silniki poruszające zębami straszliwej broni zaczęły rzeźnić w proteście.

Snagrod ryczał, szarpiąc za trzonki, podczas gdy Kantor zerwał się na równe nogi i zaszedł potwora od boku. Na plecach arcyherszta, przy pasku ze skóry paszczaka, dostrzegł osobliwie wyglądający moduł.

To musi być generator tarczy - pomyślał Kantor.

Nim Snagrod zdołał wyszarpnąć oba topory, mężczyzna pchnął moduł sztychem miecza, celowo spowalniając swoje ruchy. Większość tarczy odbijała obiekty poruszające się z dużą szybkością, ale przepuszczała te wolniejsze. W tym wypadku było tak samo. Czubek ostrza przebił pole siłowe i uszkodził moduł.

Rozległ się trzask najonizowanego powietrza, po czym zielona tarcza opadła.

Snagrod natychmiast to poczuł. Z rykiem wściekłości grzmotnął Kantora trzonkiem prawego topora.

Uderzenie ponownie posłało Kantora na ziemię. Jego prawy naramiennik został niemal całkowicie strzaskany, sypiąc odłamkami ceramitu.

Osiągnął jednak więcej niż zamierzał. Arcyherszt był teraz narażony na ataki.

Wściekłość i żądza zemsty wezbrały wewnątrz Kantora, przełamując ostatnie bariery samokontroli niczym rzeka wrzącej lawy.

Chwilę później był już na nogach, ignorując ból. Świadoma część jego umysłu wycofała się, ustępując miejsca surowej, nieokiełznanej agresji. Z okrzykiem bojowym, który rozbrzmiał na całym lądowisku, po raz ostatni rzucił się na arcyherszta orków. Nie miał już żadnych zahamowań. Kontrolę nad nim przejął instynkt zabójcy. Mógł jedynie rozszarpać stwora na strzępy lub zgiąć.

Snagrod sam wydał z siebie ryk i rzucił się z toporami nad głowę, by stawić mu czoła. Arcyherszt nie zaznał smaku porażki od tysiąca lat, szlachtując każdego, kto podważał jego władzę. Żaden człowieczek nie miał prawa tego zmienić.

Zderzyli się ze sobą niczym rozpędzone ciężarówki. Ceramitowy pancerz przeciwko ciału twardszemu i wytrzymalszemu niż stara skóra. Topory świsnęły w powietrzu. Silniki znów warknęły chciwie, łaknąc mięsa, które mogłyby rozszarpać. Snagrod spróbował przeciąć Kantora na pół, wykonując krzyżujące się cięcia na odlew, jednak trafił w powietrze.

Kantor prześliznął się pod spodem jak błyskawica i w końcu miał arcyherszta tam, gdzie chciał. Jego miecz wszedł głęboko w bok potwora. Snagrod zawył z bólu i gniewu, po czym spróbował odepchnąć Mistrza Zakonu. Jednak ból odebrał ciosowi całą szybkość. Kantor uniknął go, znajdując się za gardą kreatury, a następnie

wyszarpnął ostrze. Gorąca jucha poląła się na płytę lądowiska. Snagrod ciął raz jeszcze, cofając się. Jego prawą nogę zalała krew.

Kantor podążał za każdym ruchem orka, kontynuując natarcie. Wyprowadził straszliwe uderzenie z nad głowy rękawicą energetyczną, celując prosto w głowę arcyherszta, ale bestia wykręciła ciało, przyjmując cios na muskularny bark. Gruby mięsień naramienny eksplodował fontanną krwi, odsłaniając kości i ścięgna. Impet uderzenia pchnął Snagroda w tył. Stwór upadł na jedno kolano. Kantor doskoczył do niego i kopniakiem posłał go na ziemię, po czym stanął okrakiem nad potężnym korpusem bestii. Uniósł rękawicę energetyczną do ostatecznego ciosu, ale Snagrod przechwycił ją, zaciskając palce wokół nadgarstka w żelaznym uchwycie. Reakcja Kantora była natychmiastowa. Uniósł lewą rękę, w której wciąż ścisnął miecz i pchnął sztychem prosto w gardło potwora.

Lewe ramię Snagroda było niemal bezużyteczne, lecz nie do końca.

Przewycięzając ból, ork zdołał w ostatniej chwili unieść ranne ramię. Chwycił klingę miecza prawą ręką. Ostrze wpiło się w jego palce. Z rykiem bólu arcyherszt wyszarpnął broń z dłoni Kantora i odrzucił ją na ziemię.

Kantor prychnął i zamiast tego zasypał orka ciosami lewej ręki. Ta rękawica nie posiadała śmiertcionośnego pola siłowego, jedynie knykcie zakute w pancerz, ale to wystarczyło. Furia jego ciosów była niesamowita. Grad dzikich uderzeń spadł na głowę arcyherszta, łamiąc kły potwora, zostawiając krwawe szramy na policzkach i czole, oslepiając go na jedno oko, a na koniec łamiąc mu szczękę.

Snagrod próbował się bronić, ale leżał na ziemi. Na dodatek jedno z jego ramion zostało okaleczone, drugie zaś trzymało w śmiertcionośnym uścisku rękawicę energetyczną Mistrza Zakonu, przez co nie mógł zrobić zbyt wiele, by uniknąć ciosów zadawanych przez Kantora z nieustającą furją.

- Zniszczyłeś nasz dom! - wrzasnął Kantor, zamieniając pysk arcyherszta w krwawą miazgę. - Zabiłeś moich braci. Teraz zapłacisz!

Słowa te nic nie znaczyły dla poszarpanych uszu arcyherszta, jednak znaczenie było jasne. Śmierć była blisko, bliżej niż kiedykolwiek dowódca orków pozwolił się jej zbliżyć.

Z rykiem wściekłości Snagrod, wykorzystując całą siłę swoich nóg, poderwał korpus z ziemi. Kantor poleciał w tył, ale natychmiast zerwał się na nogi, by kontynuować atak. Ork nie zamierzał czekać. Wstał i rzucił się biegiem, dudniąc olbrzymimi nogami o płytę lądowiska, prosto w stronę miejsca, gdzie wciąż unosił się pojazd raketowy. Kantor ruszył w pogoń, ale nagła seria z działka automatycznego zmusiła go do odskoczenia w tył, by uniknąć śmiertcionośnych pocisków.

Snagrod nie zwalniał kroku. Krew płynęła z jego ran czerwonymi strumieniami, zostawiając za stworem mokry ślad na płycie lądowiska. Pojazd obniżył lot na wysokość krawędzi płyty na chwilę przed dotarciem Snagroda. Arcyherszt wskoczył przez otwarte wrota załadunkowe w burcie pojazdu, sprawiając, że maszyna na chwilę straciła sterowność.

Kantor ryknął z frustracją, gdy statek oddalił się od krawędzi na językach niebieskiego ognia. Arcyherszt uciekał!

Mężczyzna usłyszał za plecami huk wystrzałów. Seria pocisków szturmowych eksplodowała na osłonie kokpitu pojazdu. Armaplast popękał, ale wytrzymał. Mimo

to orczy piloci nie mieli zamiaru czekać na kolejną salwę. Zawrócili maszynę i zwiększyli ciąg silników do maksimum.

Kantor śledził tor lotu statku, który z rykiem odleciał na południowy-wschód.

Mężczyzna zobaczył, że Snagrod wychyla się przed wrota załadunkowe i spogląda w jego stronę.

Wydawało się to niemożliwe, ale wyglądało na to, że potwór się śmieje.

Wokół Kantora rozbrzmiało pięć par ciężkich kroków.

Gdy pojazd orków zniknął mu z pola widzenia, Kantor odwrócił się i spojrzał w skryte za wizjerem oczy Terminatora z drużyny Victurixa.

Sam Rogo Victurix, sierżant oddziału, przemówił jako pierwszy.

- Uciekł.

- Tym razem - warknął w odpowiedzi Kantor.

- Zabezpieczyliśmy cały port kosmiczny - oznajmił sierżant. - Anais przywrócił działanie sieci obronnej. Ruzco już kieruje do nas pierwsze lądowiki. Będą tu za kilka minut.

Kantor omiół spojrzeniem płytę lądowiska. Wciąż stały na niej uszkodzone bombowce zielonoskórych.

- Musimy uprzętać wszystkie trzy terminale na wieżach - powiedział.

Jego głos brzmiał wyjątkowo chrapliwie. Powoli przemijał przyływ adrenaliny i nawet jego ciało Astartes zaczęło odczuwać efekty tak wymagającej walki. Ból wywołany ciosami Snagroda zaczął docierać do mózgu w miarę jak jego adrenalinowa euforia zaczęła się ulatniać.

Victurix skinął do swoich Terminatorów i powiedział:

- Myślę, że możemy się tym zająć.

Mieli zamiar po prostu zepchnąć bombowce z płyty. Piątka Terminatorów posiadała dostatecznie dużo siły, by to uczynić. Oczywiście najpierw musieli upewnić się, że na dole nie było żadnych Kosmicznych Marines.

- Wiesz, mój panie - rzekł Victurix tonem, który sugerował cierpki uśmiech skryty za ceramitową płytą twarzową - wyglądasz okropnie.

Kantor nie miał siły się śmiać, przynajmniej na razie.

Arcyherszt przeżył.

Wschodziło drugie słońce, wyłaniając się tuż ponad krawędzią horyzontu na wschodzie.

Złote promienie słońca oświetliły powgniatany pancierz Kantora. Mężczyzna spojrzał na północ, zastanawiając się, jak radzi sobie Srebrna Cytadela. Co z Maią Cagliestrą i jej ludźmi? Co ze Starszyzną, pancernikami, które zostawili, aby walczyły na murach?

Tarcze próżniowe zapewne przestały już działać lub były tego bardzo bliskie. Za kilka minut miały przybyć pierwsze transportowce marynarki wojennej. Nadlatywał Legio Titanicus, ale czy nie przybywał za późno? On i jego nieugięci Astartes uczynili wszystko, co w ich mocy. Zrobili wszystko co mogli i zapłacili za to wysoką cenę. Przelano wiele krwi zakonu. Przyjdzie im opłakiwać śmierć wielu dzielnych braci.

Przyszłość zależała tak samo od innych, jak i od Szkarłatnych Pięści.

Kantor wiedział jedno - jego zakon przetrwa. Szkarłatne Pięści odzyskają swój świat,

provincia po prowincji, metr po metrze, jeśli będzie to konieczne. Wszystko naprawią. Nawet, jeśli nic już nie osiągnie za życia, tę jedną rzecz doprowadzi do końca.

Był lordem Diabelskich Ostrzy, dwudziestym dziewiątym Mistrzem Zakonu Szkarłatnych Pięści, potomkiem Dorna, narodzonym, by toczyć wojny w imieniu Imperatora.

Alessio Cortez będzie trwał u jego boku, podobnie jak wielu innych, nieustępliwych braci bitewnych, wojowników takich jak Daecor, Victurix, Grimm, Deguerro i inni.

Czekały ich ponure dekady, lecz on przetrwa.

Zakon przetrwa.



# EPILOG

## Wspomnienie

*Tylko w takie dni jak dziś, w rocznicę dni, gdy szale losu w końcu się odwróciły, pozwalam tym wspomnieniom na nowo wypłynąć i dumam nad ogromem zniszczeń, które się dokonały. Pomimo swej rangi i całych lat, jakie nad tym spędziłem, nigdy nie udało mi się ustalić całej prawdy odnośnie tego, co wydarzyło się w porcie kosmicznym. Wiem tylko tyle - gdyby dzielni Kosmiczni Marines nie oddali życia, wiedząc, że nigdy nie usłyszą z naszych ust choćby słowa podziękowania, żaden mężczyzna, kobieta, ani dziecko nie przeżyłoby tej wojny.*

*Tarcze próżniowe Zona Regis były bardzo bliskie przeciążenia, gdy garganty zielonoskórych zwróciły się w stronę świeżych sił imperialnych, które niespodziewanie zaatakowały je od tyłu. Spod osłony wież strzeleckich widzieliśmy lądowanie transportowców marynarki wojennej, najeżonych działami i wieżyczkami raketowymi, wypełnionych po brzegi dzielnymi i śmiałymi żołnierzami. Widzieliśmy skrzydła myśliwców i bombowców marauder przelatujące nad szeregami wroga i obserwowaliśmy jak te szeregi stają w żółto-niebieskich płomieniach, gdy bomby dosięgły celu. Nie sądziliśmy, że jeszcze kiedykolwiek zobaczymy coś podobnego. Mimo zmęczenia, ran i głodu, cieszyliśmy się tak jak już nigdy nie będziemy się cieszyć. Patrzyliśmy jak zielonoskórzy najeźdźcy giną tysiącami, dziesiątkami tysięcy i jakimś cudem znaleźliśmy siłę, by na nowo podnieść broń i raz jeszcze włączyć się do walki.*

*Minęło dziesięć lat. Dziesięć lat co do dnia. Jak co roku wszyscy - weterani, politycy i ocalali - zebraliśmy się na wzgórzu Jadeberry, by oddać cześć tym, którzy oddali wszystko, zarówno zwykłym ludziom, jak i Astartes.*

*Była tam pani gubernator. Od czasu wojny szybko się zestarzała. Wygląda na nieco nawiedzoną. Pogłoski mówią, że wkrótce abdykuje na rzecz swojej wnuczki.*

*Oczywiście, wszyscy jesteśmy odrobinę nawiedzeni.*

*W południe niebiosa się otworzyły. Spadł zimny deszcz. Schroniliśmy się w budynku pamięci, gdzie kwartet smyczkowy grał „Vasparada et Gloris” autorstwa Guidollero. Razem staliśmy tam i płakaliśmy w milczeniu, w hołdzie za dusze wszystkich tych potężnych wojowników, dzięki których determinacji i ostatecznemu poświęceniu wciąż żyliśmy, a którym za życia nie mieliśmy szans się odplacić.”*

Fragment „*W cieniu olbrzymów*” - wspomnienia generała Saedusa Mira (934.M41)